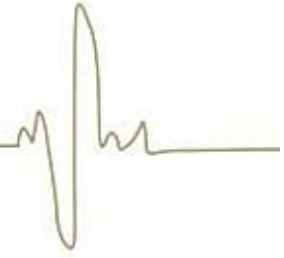
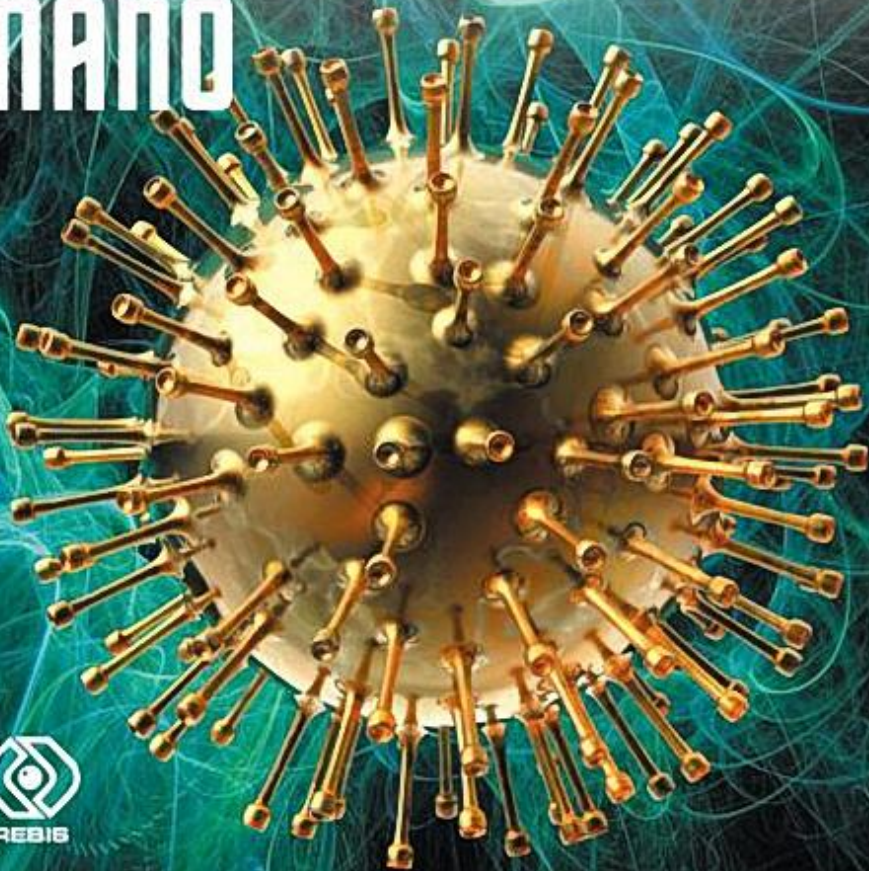


# ROBIN COOK



nano



**ROBIN COOK**

**NANO**

**(Nano)**

**Tłumaczenie Aleksandra Górskiego**

**TMN**

**Wydanie polskie: 2103**

**Wydanie oryginalne: 2013**



*Nano dedykuje zarówno możliwościom, jakie przed medycyną otwiera nanotechnologia, jak i nadziei, że jej ewentualne ujemne strony będą minimalne.*

## Przedmowa

Mały rozmiar jest najbardziej niedocenianą cechą. Od dzieciństwa jesteśmy uczeni nigdy nie poprzestawać na małym, dążyć zawsze do wielkich rzeczy. Jednak teraz mały rozmiar zajmuje poczesne miejsce na styku chemii, fizyki i biologii w dziedzinie zwanej nanotechnologią, która zmienia oblicze nauki, w tym także medycyny. Mimo że pojawiła się zaledwie w końcu minionego stulecia, już stała się wartym wiele miliardów fenomenem z coraz to nowymi zastosowaniami komercyjnymi.

W świecie nanotechnologii małe oznacza naprawdę niewielkie. Podstawową jednostką długości jest nanometr, jedna miliardowa metra. Atom wodoru ma średnicę w przybliżeniu jednej dziesiątej nanometra, cząsteczka DNA grubość dwóch, trzech nanometrów. Rozmiary wirusów mieszczą się w przedziale 20–400 nanometrów, bakterie są większe. Pałeczka *Salmonella*, odpowiedzialna za 90 procent przypadków zatruc pokarmowych na całym świecie, ma około 2500 nanometrów długości, 500 szerokości i cienką, przypominającą ogon wić, także długą na 500 nanometrów. Komórki budujące ludzki organizm są większe: średnica erytrocytu wynosi około 7000 nanometrów, krwinki białej 10 000 z kawałkiem.

W tym niewidzialnym gołym okiem nanoświecie królują prawa mechaniki kwantowej, do których wiedza opisująca świat makroskopowy nie ma zastosowania. Dominują oddziaływania

elektromagnetyczne, przy których grawitacja przestaje mieć znaczenie, a pojęcie powierzchni lub jakichkolwiek ostrych granic pomiędzy obiektami materialnymi traci sens. Liczą się natomiast przestrzenne rozkłady ładunków: dodatnio naładowanych jąder atomowych i otaczających je chmur elektronów. Na przykład złoto w nanoskali nie jest ani złote ani ciężkie. Ważniejszym jednak dla nanotechnologii pierwiastkiem jest węgiel, podstawowy budulec życia, o znanej zmienności alotropowej, występujący pod postacią diamentu i grafitu. Nanotechnologia odkryła, że jego atomy wystawione na równie gwałtowne warunki, jakie panują we wnętrzu czerwonych olbrzymów, tworzą także inne zdumiewające i cudowne nanometryczne struktury, zwane fulerenami. Należą do nich tak zwane piłki Bucky'ego – fulereny Buckminstera<sup>1</sup>, złożone z sześćdziesięciu atomów węgla i mające około jednego nanometra średnicy oraz nanorurki węglowe o różnej długości i budowie, a średnicy 1,3 nanometra. Te zaskakujące struktury wykazują wyjątkowe właściwości fizyczne: niesamowitą wytrzymałość, lekkość, stabilność i przewodnictwo i będą zyskiwać na znaczeniu w miarę postępów nanotechnologii.

W nanotechnologii kryją się zatem ogromne możliwości, ale także potencjalne zagrożenia. Nawet specjaliści nie znają jeszcze wpływu nanocząstek na środowisko czy zdrowie. Zauważono jednak, że nanorurki węglowe zachowują się podobnie do włókien azbestu, które mają właściwości kancerogenne. Wiemy, że nanocząstki potrafią przenikać do ludzkiego organizmu, w tym także do mózgu. Jak szkodliwe może to być, nikt nie ma pojęcia.

Drugie zagrożenie związane z nanotechnologią łączy się z jej szybkim sukcesem komercyjnym. Nikt tak naprawdę nie kontroluje badań prowadzonych przez najróżniejsze firmy nanotechnologiczne. Nie są objęte nadzorem, jaki funkcjonował na przykład w przypadku prac nad rekombinowanym DNA, i nie istnieje żadna kontrola

---

<sup>1</sup> Nazwane tak na cześć amerykańskiego architekta, wynalazcy i futurologa Richarda Buckminstera Fullera, zwanego „Bucky” (przyp. tłum).

potencjalnie negatywnego wpływu nanocząsteczek. Badania z zakresu nanotechnologii są prowadzone w tysiącach prywatnych laboratoriów, z których każde robi wszystko, by jako pierwsze zdobyć cenne patenty. Jest to świat, w którym rywalizacja jest wszechobecna, tajemnica ma kapitalne znaczenie, a zagrożenia są ignorowane albo lekceważone.

# Prolog

Szlak rowerowy Carter Lake, Boulder, Kolorado  
niedziela, 21 kwietnia 2013, 8.28

Kolarz zdecydował się na relaksującą przejażdżkę: prawdziwe treningi miały zostać wznowione od wtorku po dodatkowych badaniach medycznych. Trenerzy powiedzieli, że może wsiąść na rower, żeby pozbyć się zakwasów, których nabawił się dzień wcześniej, ale nalegali, by nie forsował się za mocno. Upewnili się też, że ma założone urządzenia monitorujące częstość tętna i oddechu oraz saturację, jak również lokalizator GPS, dla pełnego nadzoru.

Trasa, którą miał do dyspozycji, biegła na północ od Boulder do jeziora Carter i z powrotem i liczyła w sumie sto dwadzieścia kilometrów, ale była równa, pozbawiona większych zmian nachylenia i wysokości. Jeśli on i inni mieli rywalizować na zakładanym poziomie, powinni być w stanie pokonać sto dwadzieścia kilometrów płaskiego w przeważającej mierze terenu bez potu i wysiłku.

Po kilku kilometrach kolarz zaczął się nudzić i zrobił się niespokojny. Wiedział, że kazano mu się oszczędzać, ale miał w sobie moc, wigor i wrażenie, że płynie nad chodnikiem. Oddychał płytko i swobodnie jak podczas przechadzki w parku, nie pojawił się nawet ślad zadyszki. Był piękny wiosenny dzień, słońce przyjemnie grzało go w



plecy. Wbrew ostrzeżeniom kusiło go, by trochę zaszaleć. Dlaczego nie miałyby wykorzystać takiego dobrego samopoczucia i kondycji? Być może ukarzą go potem w jakiś sposób, ale był pewien, że nie skrzywdzą jego bliskich, tak jak grozili. Te sankcje były zarezerwowane dla próby ucieczki, a nie zbyt forsownego treningu. Po prawdzie przeszło mu nawet przez głowę, że może dostanie nagrodę za ewidentny postęp i wzrost wydolności.

A co tam, pomyślał i zaczął ostro pedałowac, nabierając szybkości, pochylony nisko nad kierownicą, żeby zredukować opór wiatru. Uprawiał kolarstwo dopiero od jakiegoś roku, ale wątpił, by ktoś mógł się z nim teraz równać. Jego ojczyzna pokaże jeszcze światu, że jej obywatele są w stanie rywalizować we wszystkich wytrzymałościowych dyscyplinach sportu na światowym poziomie.

Trasa miała jedno wyższe wzniesienie i rowerzysta zaatakował je ostro, wstrzymując oddech. Nie zwolnił ani na chwilę, pokonując je, jakby była to płaska droga, a nie sześcioprocentowa pochyłość. Teraz naprawdę pędził, frunął, upajając się pędem, kiedy nagle, w połowie wzniesienia, stracił oddech i poczuł ostry kłujący ból w piersi i lewym nadbrzuszu. Chwycił się za gardło, nie mogąc złapać tchu. Próbował zahamować, ale stracił kontrolę nad rowerem, który skręcił gwałtownie w prawo, uderzył o niewielki krawężnik i posłał go na opadające w dół zwirowo-trawiaste pobocze. Mężczyzna wylądował ciężko i przekoziółkował kilka razy, zanim się zatrzymał. Na rękach i nogach miał otarcia i skaleczenia i co gorsza, choć próbował, nie mógł złapać tchu. Zupełnie tak jakby zrobił wydech, ale wdech leżał już poza jego zasięgiem. Cały był zlany potem, serce waliło mu jak oszalałe, a ból nie ustępował. Był półprzytomny, niezdolny wstać ani w ogóle wykonać żadnego ruchu.

Nie miał pojęcia, jak długo tak tam leżał nieruchomy na zewnątrz, a w środku gwałtownie tracąc kontrolę niczym zużyty reaktor jądrowy. Po jakimś czasie – dziesięciu, trzydziestu minutach? – uświadomił sobie, że dokoła niego pojawiły się jakieś postaci. Trzech lub czterech ludzi mówiło coś naraz, czyjaś dłoń chwyciła go za nadgarstek. Wiedział, że

to jego rodacy – znajdował się w Stanach Zjednoczonych, ale to byli Chińczycy, tak jak on. Czuł, jak podnoszą go brutalnie z ziemi i kładą na twardej powierzchni, potem gdzieś przenoszą. Ostatnie wrażenie, jakie zarejestrował, zanim stracił przytomność, to, że go dokądś wiozą, prawdopodobnie do bazy.

Technik w furgonetce wyłączył urządzenie GPS, chwając w myślach jego skuteczność: lokalizator i jednocześnie monitor parametrów życiowych uruchomił alarm zaraz po wypadku i zespół wiedział natychmiast, że numer piąty jest w niebezpieczeństwie i gdzie się znajduje. Nietrudno było go namierzyć na poboczu drogi publicznej, ale na szczęście nikt się nie zatrzymał, by mu pomóc, ani nie widział samego zdarzenia. Upadek zmiotł go z drogi i zrzucił w dół niewielkiego nasypu na poboczu, gdzie leżał poza zasięgiem wzroku przejeżdżających i przechodniów. Lekarz nadzorujący był za to wdzięczny.

Teraz badany wykazywał wysoce nietypowy zespół objawów, ale wszystkie je obserwowali już wcześniej. GPS pokazał prędkość, z jaką poruszał się rowerzysta – zdecydowanie zbyt dużą jak na tę fazę cyklu treningowego. Wglądało na to, że go stracą, jednak lekarz wiedział, że świeża partia ma przylecieć tego samego dnia. Jednak zawsze to szkoda: ten akurat zapowiadał się obiecująco, jako że był sportowcem, zanim wszedł w konflikt z prawem.

Po dwudziestu minutach dojechali na miejsce. Furgonetka wjechała na dok rozładunkowy, gdzie czekał już inny zespół medyczny, i rowerzystę przeniesiono do pozbawionego okien pomieszczenia pełnego sprzętu medycznego i reanimacyjnego. Kiedy leżał nieprzytomny na noszach, jeden sanitariusz rozciął mu strój, drugi przysunął wózek z urządzeniem przypominającym aparat do dializy. Monitor EEG pokazał po podłączeniu zanik funkcji mózgowych, ale fakt ten miał drugorzędne znaczenie – musieli się upewnić, że serce pracuje, tak by można było zbadać krew i ustalić, co dokładnie poszło nie tak,

choć mieli już całkiem niezłe pojęcie.

Pół godziny później kolarz był już w zasadzie martwy, ale oddech, pracę serca i inne funkcje życiowe podtrzymywano mechanicznie. Krew męczyzny przepływała przez system, w którym była odwirowywana w próbkach po 100 cm<sup>3</sup>, zwykle elementy morfotyczne oddzielano od dodatków, i komórki oraz osocze wprowadzano z powrotem do podtrzymywanego sztucznie krążenia.

Do pomieszczenia wszedł zespół zabiegowy, jego członkowie, w rękawiczkach i kitlach, byli ubrani jak do zwykłej operacji. Jedyne różnica polegała na tym, że żaden nie zawracał sobie specjalnie głowy sterylnością, a szorowanie rąk przed zabiegiem było w najlepszym razie pobieżne. Bez specjalnych ceregieli wykonano splenektomię na martwym pacjencie i pobrano wycinek płuc. Zarówno śledziona, jak i próbka tkanki płucnej zostały natychmiast zsekcjonowane i zbadane w tym samym pomieszczeniu przez jednego ze starszych stażem członków zespołu. Pod mikroskopem zobaczył to, czego się spodziewał: mnóstwo mikroskopijnych, szafirowoniebieskich kul blokujących naczynia włosowate. Szefa wprawdzie nie było w kraju, ale musiał się o tym natychmiast dowiedzieć.

# Rozdział 1

Boulder, Kolorado

niedziela, 21 kwietnia 2013, 11.5

Kobieta jest zdesperowana i bezbronna. Wielki mężczyzna siedzi jej na klatce piersiowej, krępując ruchy, głowę ma odwróconą i patrzy na drugą stronę długiego pokoju. Zastłania jej widok, ale kobieta wie, że cokolwiek się tam dzieje, pachnie tragedią. Wyczuwa, że ktoś, kogo ona kocha i na kim jej zależy, zaraz zginie. Próbuje zrzucić ciężar z piersi i wtedy miga jej twarz prześladowcy. Zna go, to pracownik jednej z placówek opiekuńczo-wychowawczych, gdzie dorastała, człowiek, który zbliżył się do niej za bardzo. Odwraca wzrok, potem z powrotem spogląda na jego twarz. Teraz jest to inny mężczyzna, wujek, który wycisnął na jej życiu najgorsze piętno: trzyma w ręku tak przez nią znienawidzoną kamerę wideo.

Wujek, którym tak gardzi, mówi coś po albańsku do kolegi znajdującego się gdzieś z tyłu. Kobieta poznaje język, ale już go nie rozumie. Mężczyzna wykrzywia się w okrutnym uśmiechku, ma minę drapieżcy, ona jest ofiarą. Rozkoszując się jej przerażeniem, odzywa się znowu, tym razem po angielsku. „Zrób to!”, warczy do swojego rodaka. „Zastrzel go!” Kobieta unosi głowę i skręca ją pod nienaturalnym kątem, by zobaczyć coś więcej. Jakiś człowiek w kapturze na głowie

siedzi na krześle, unieruchomiony i skrupowany taśmą izolacyjną. Szarpie się, odchyła w przód i w tył, usiłując oswobodzić rękę albo nogę, niczym owad zaplątany w pajęczynę. Drugi mężczyzna trzyma pistolet. Chodzi dokoła krzesła, krzyczy coś po albańsku, przyskakuje z wyciągniętą bronią, dźgając nią więźnia, bawiąc się nim jak kot schwytaną myszą. Wyciąga wolną rękę i zrywa kaptur z głowy mężczyzny, potem spogląda na współnika. Kobieta poznaje związanego. To Will, jeden z jej kolegów ze studiów. Poznaje także twarz uzbrojonego napastnika. To jej ojciec. Widzi ją i odwraca się z powrotem do Willa, i kiedy powietrze wypełnia jej rozpaczliwe: „Nie!”, strzela pojmanemu w głowę.

Ciężar przygniatający jej pierś znikł równie nagle, jak się pojawił. Gruby podręcznik immunologii molekularnej, który wcześniej czytała, zwał się z łoskotem na podłogę. Kobieta usiadła gwałtownie na sofie i przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje, spocona i dygocząca w chłodzie pokoju. Dotarł do niej nieznamy odgłos, nie krzyków ani wystrzału, lecz dzwonka u drzwi. Przenikliwy dźwięk, który w ciągu osiemnastu miesięcy, odkąd tu mieszkała, rozległ się może dwukrotnie. Nadal zdezorientowana podniosła się niepewnie i poszła do wąskiego przedpokoju. Kto, u diabła, może się do niej dobijać? Szybki rzut oka przez judasza wystarczył, by rozpoznała gościa. Odwróciła się i oparła plecami o drzwi, na nowo wstrząśnięta. Świdrujący uszy dźwięk niósł się echem po w większości pustym mieszkaniu, sprawiając wrażenie głośniejszego niż w rzeczywistości, ale gdy otrząsnęła się trochę z sennego koszmaru, łatwiej jej było go znieść. Wzięła głęboki oddech, jednak wtedy przybysz zrezygnował z dzwonienia i trzykrotnie zastukał w drzwi. Zawsze był bardzo uparty. Westchnąwszy z rezygnacją, odwróciła się, zwołniała obie zasuwę i otworzyła drzwi.

– Pia! – wykrzyknął George Wilson. – Jesteś w domu! Świetnie. Jak się masz?

Wargi miał rozciągnięte w niepewnym uśmiechu i na próżno

usiłował popatrzeć jej w oczy, żeby ocenić reakcję na jego niespodziewany przyjazd. Potem powędrował wzrokiem niżej, na niemal gołe ciało dziewczyny, i uśmiechnął się szerzej. On na pewno ucieszył się na jej widok: była tak pociągająca jak zawsze. Wyciągnął prezentujący się dość smętnie bukiet róż.

– George, co, u licha, tu robisz? – spytała Pia Grazdani, wymawiając każde słowo dobitnie i z osobna.

Nawet się nie siliła na ukrycie wyraźnej irytacji: położyła ręce na biodrach, wysunęła żuchwę do przodu, zacisnęła usta. Dopiero kiedy poszła za jego wzrokiem, dotarło do niej, że stoi w samych majtkach i sportowym biustonoszu w otwartych drzwiach na progu korytarza, gdzie bawią się dzieci sąsiadów. Od jej stóp aż do sofy, na której wcześniej zasnęła, ciągnęły się porozrzucane po podłodze części stroju do biegania: buty, skarpetki, biały podkoszulek, koszulka, szorty i mały plecak. Na stoliku leżał iPod ze słuchawkami.

– Lepiej wejść do środka – powiedziała z rezygnacją i cofnęła się do skąpo, ale gustownie umeblowanego pokoju. – A te kwiaty to z jakiej okazji? – W jej tonie nadal słychać było rozdrażnienie.

– A jak sądzisz? Jest dwudziesty pierwszy kwietnia. Twoje urodziny. Wszystkiego najlepszego, Pia. – George się uśmiechnął, potem wzruszył defensywnie ramionami i zamknął drzwi. Postawił na podłodze torbę na kółkach i złożył teleskopowy uchwyt.

– O – powiedziała Pia po prostu. – Moje urodziny? – Miała świadomość, że to ten dzień, ale nie zrobiła nic, żeby go uczcić. Weszła w głąb mieszkania, zbierając po drodze strój do biegania.

George otaksował wzrokiem śliczną wypukłość jej pośladków, rad, że kształty dziewczyny okazały się równie zachwycające w rzeczywistości jak w marzeniach, które snuł przez zdecydowanie zbyt wiele miesięcy, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania. Patrzył, jak szybko wciąga na siebie ubranie, które podniosła z podłogi. W końcu klapnęła na sofę, przycisnęła kolana do piersi, oparła nagie stopy o krawędź stolika i popatrzyła na niego przez pokój. Było boleśnie oczywiste, że nie jest zachwycona jego niezapowiedzianą wizytą.

Omiotł wzrokiem mieszkanie: całkiem spore, oszczędnie urządzone, jak się zdawało nowymi, pozbawionymi wyrazu sprzętami. Zdaniem George'a sprawiało wrażenie niezamieszkanego. Nie zauważył żadnych bibelotów, zdjęć, tylko stertę podręczników medycznych na pustym poza tym stole.

– Ładne gniazdko – zapewnił.

Był podenerwowany, ale pełen determinacji. Po miesiącach wydzwaniania i zostawiania w skrzynce głosowej wiadomości, na które nie odpowiadała, oraz wysyłania niezliczonych błagalnych e-maili i SMS-ów, które też pozostawały w większości bez odpowiedzi, postanowił wykorzystać jej urodziny jako pretekst i spotkać się z nią osobiście.

Od czasu kiedy się ostatni raz widzieli w Nowym Jorku, George próbował coś zmienić, umówił się nawet z kilkoma atrakcyjnymi koleżankami z Centrum Medycznego Uniwersytetu Kalifornijskiego, gdzie odbywał drugi rok rezydentury na radiologii. Myślał, że trochę się już otrząsnął, jednak teraz, w obecności Pii, dotarło do niego, że kocha się w niej tak samo mocno jak przedtem, jeśli można było nazwać to, co od lat go trawiło, miłością. Miłość brzmiała lepiej niż obsesja. Słabość do Pii stała się częścią jego życia i przypuszczalnie miała już nią pozostać, i kropka. Zupełnie jakby był uzależniony. I choć nadal tego nie rozumiał, po prostu się z tym pogodził.

Podszedł do sofy, usiłując nawiązać z dziewczyną kontakt wzrokowy, ale jak zwykle uciekła spojrzeniem w bok. George się nie zdziwił i przyjął to spokojnie. Przez cztery lata studiów przyzwyczyił się już, że Pia nie potrafi patrzeć w oczy. Odkąd zaś po uzyskaniu dyplomów ich drogi się rozeszły, dużo czytał na temat zespołów zaburzenia więzi i stresu pourazowego. Od terapeutki i kuratorki Pii, Sheili Brown, z którą swego czasu się spotkał, wiedział, że dziewczyna zмага się z tymi zaburzeniami. George święcie wierzył, że wiedza jest siłą, i jako lekarz chciał pomóc Pii, chciał ją uzdrowić, a przynajmniej tak sobie tłumaczył. Informacje od kuratorki były dla niego wielkim wsparciem, pomogły mu znaleźć medyczne wyjaśnienie dla jej

niezdolności odwzajemnienia jego uczuć. Dzięki temu był w stanie znieść to, co inni uznaliby za trudne, a nawet niszczące, dla poczucia wartości.

Zbliżył się do stolika i wyciągnął w jej kierunku bukiet. Pia westchnęła i gdy opuściła ramiona, George'a opuściła nadzieja. Liczył na zdecydowanie bardziej serdeczne przyjęcie.

– Wszystkiego najlepszego...

– George, wiesz, że mam gdzieś swoje urodziny – skomentowała, dalej obejmując ramionami kolana. – A to jest najbardziej żałośnie wyglądający wiecheć, jaki widziałam od lat – dodała odrobinę mniej twardym głosem.

George zerknął na bukiet. Miała rację. Kwiaty były mocno przywiędłe. Zaśmiał się z nich i samego siebie.

– Droga dała im w kość. Kupiłem je pod wpływem impulsu na lotnisku w LA. Potem w nocnym samolocie do Denver miałem środkowe miejsce, wepchnięty między dwójkę grubasów, z których każdy musiał ważyć dobrze pod sto pięćdziesiąt kilo. Trzymałem je przez cały czas, nie chcąc odłożyć do luku nad głową. Później w autokarze stałem przez całą półtoragodzinną podróż tutaj, zanim w końcu złapałem taksówkę.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś ani nie zapytałeś, czy możesz przyjechać? – spytała, kręcąc głową z niedowierzaniem, że George był gotów tłuc się taki kawał drogi z LA w nadziei, że sprawi jej radość. Ona w życiu nie zrobiłaby czegoś podobnego.

– Nie miałem szans. Nie odpowiadałaś na wiadomości, które ci zostawiałem w skrzynce głosowej, ani na e-maile czy SMS-y. Zupełnie jakby cię znowu porwano.

– No, no, nie dramatyzujmy – rzuciła Pia, czując jednocześnie, jak po plecach przebiegł jej dreszcz. Wzdrygnęła się na uwagę George'a, jakby ją spoliczkował. Od czasu serii tragicznych wypadków w Nowym Jorku, których kulminacją było jej porwanie, próbowała zapomnieć o tych przeżyciach, ale nadal ją dręczyły, o czym najlepiej świadczył choćby senny koszmar, z którego wyrwał ją dzwonek do drzwi. – Zgoda



– westchnęła znowu, powietrze uszło głośno z jej z płuc jak z pękniętego balonu. – Chyba masz rację. Nie kontaktowałam się, ale nie rozmyślnie. To znaczy, chcę powiedzieć, że nie ignorowałam ciebie konkretnie. Miałam po prostu taki nawal roboty, że przestało dla mnie istnieć wszystko inne. – Zebrała myśli, gdy pierwszy szok na widok George’a i lęk wywołany koszmarem minęły. – Słuchaj, nie chcę być jędzą. Miałam ciężką noc. Pracowałam do szóstej rano i zamiast po powrocie się położyć, poszłam pobiegać. Potem usiłowałam czytać. Nie jestem teraz w najbardziej towarzyskim nastroju. – Westchnęła znowu. Zaczynała docierać do niej konieczność zajęcia się George’em.

Im bardziej rozjaśniało jej się w głowie, tym dobitniej sobie uświadamiała, że prawdopodobnie sama napotyła sobie tej biedy. Niespodziewana wizyta kolegi była jej winą, nie tylko dlatego, że ignorowała jego uporczywe próby nawiązania kontaktu. Problem tak naprawdę wynikał z tego, co mu powiedziała dwa lata temu w Nowym Jorku w sali szpitalnej już po swoim porwaniu. Wiedziała, że dała mu wtedy większą nadzieję, niż powinna. Mówiła o miłości, o tym, że nie wie, czym tak naprawdę ona jest, i jak bardzo chce to zmienić, upodobnić się choć trochę do George’a, który tak ją kochał i nieraz tego dowiódł wielkodusznością i wsparciem, jakim ją otaczał, mimo niewielkich zachęt z jej strony.

Rozmawiali wtedy w obecności kolegi ze studiów, Willa McKinleya, który leżał na szpitalnym łóżku w otoczeniu monitorów, naszpikowany rurkami i ledwo trzymający się życia. Został postrzelony w głowę, tak jak w sennym koszmarze Pii, i zostawiony na śmierć przez jej porywaczy, ludzi, którzy chcieli, by przestała, a razem z nią i George, interesować się śmiercią swojego promotora, Tobiasa Rothmana, śmiercią, która, jak ostatecznie udowodniła, była morderstwem. Poczowała kolejny dreszcz. Wątpiła, że kiedykolwiek zdoła się pogodzić z tym, co się stało, i myśleć spokojnie o tej całej odrażającej sprawie.

– Masz jakieś wieści o Willu? – spytała, licząc na dobre nowiny. Zakładała, że George utrzymuje częstszy kontakt z byłymi kolegami ze studiów niż ona.

– Kiedy ostatni raz coś słyszałem, sytuacja przedstawiała się bez zmian. Ale to było kilka tygodni temu. Antybiotyki nadal nie radziły sobie z zakażeniem. Podobnie jak wielokrotne chirurgiczne opracowywanie rany.

Pia skinęła głową. Tyle sama wiedziała. Uporczywe zapalenie kości czaszki w miejscu wtargnięcia pocisku okazało się odporne na wszystkie antybiotyki. Oczywiście, że wiedziała: problemy zdrowotne Willa były w dużej mierze przyczyną jej przyjazdu do Boulder w stanie Kolorado.

– Włożę kwiaty do wody – zaproponował George, rad się czymś zająć. – Może odżyją.

Zlokalizował małą kuchnię przy salonie i zaczął się rozglądać za czymś na kształt wazonu. Podobnie jak reszta mieszkania, to pomieszczenie także sprawiało wrażenie niezamieszkanego. Lodówka świeciła pustkami, jeśli nie liczyć paru napojów energetycznych i kilku kanapek na wynos. Wziął jedną i zobaczył, że jej data przydatności minęła dobre trzy tygodnie temu.

– A może wyskoczymy gdzieś na lunch? – zaproponował. Od poprzedniego dnia nie miał nic w ustach i skręcało go z głodu. Nie doczekał się jednak odpowiedzi, więc kontynuował poszukiwania naczynia, do którego mógłby włożyć bukiet. Znalazł kilka szklanek, ale były zdecydowanie za małe. W końcu położył kwiaty w zlewie i popatrzył na nie żałośnie. Jego samopoczucie niewiele odbiegało od ich wyglądu.

– Posłuchaj, George, przepraszam, że nie kontaktowałam się przez te ostatnie dwa miesiące. – Pia stała w wejściu do ciasnej kuchni.

George chciał sprostować, że nie kontaktowała się zdecydowanie dłużej, ale ugryzł się w język. Próbował spojrzeć jej w oczy, jednak jak zwykle uciekła wzrokiem w bok. Zastanawiał się, czy choćby podjęła próbę zmiany, tak jak obiecała w szpitalu przy łóżku Willa, czy w ogóle kiedykolwiek będzie potrafiła się otworzyć, mówić prosto z serca, zamiast wznosić między nimi mur w obawie, że ją zdradzi. Doskonale wiedział, co ją tak blokuje. Dzieciństwo spędzone w placówkach opiekuńczo-wychowawczych od szóstego do osiemnastego roku życia

było naznaczone przemocą i molestowaniem. Nauczyła się wtedy, że jedynym sposobem na przetrwanie jest zamknięcie się w sobie i nieufność wobec wszystkich.

– Wiem, co powiedziałam wtedy w szpitalu – ciągnęła. – Próbowałam się zmienić, otworzyć na uczucie, ale wygląda na to, że po prostu nie jestem w stanie.

George znowu miał wrażenie, że Pia czyta mu w myślach. Ale pocieszające było to, że sprawiała wrażenie autentycznie zbolalej. Uznał to za pewien postęp. Z pewnością nie taki, który zbliżyłby ich do siebie, ale przynajmniej pierwszy krok w tym kierunku.

– To nagłe pojawienie się ojca po latach nieobecności, fakt, że w ostatniej chwili uratował mi życie... pewnie powinnam być bardziej wdzięczna, ale nie potrafię. Najpierw oddał mnie do sierocińca, narażając na te wszystkie straszne rzeczy, które przeszłam, a potem nagle uznał, że może sobie z powrotem wmaszerować do mojego życia jak gdyby nigdy nic. Powiedział, że chce, byśmy na powrót stali się rodziną, jakby to w ogóle wchodziło w grę. Musiałam wyjechać z Nowego Jorku, byle jak najdalej od niego, a ty tylko dołałeś oliwy do ognia.

George wbił wzrok w buty. Przypomniał sobie przykre spotkanie, jakie odbył z Burimem Grazianim, alias Grazdanim, ojcem Pii, bez jej wiedzy i zgody. Nie chciała wtedy rozmawiać z nikim o swoim porwaniu, a George'a całymi dniami przesłuchiwała policja. Co mu wiadomo o śmierci promotora Pii, sławnego badacza doktora Tobiasa Rothmana i jego współpracownika doktora Yamamoto? Co się stało, kiedy Pię porwano z ulicy, a Willa McKinleya postrzelono, co George dokładnie wtedy widział? Czy wie, gdzie ją przetrzymywano i jak zdołała uciec? Czy słyszał kiedykolwiek o Edmundzie Mathewsie i Russellu Lefevrze, dwóch finansistach, których śmierć wiązano ze zgonem Rothmana? Tymczasem George wiedział bardzo niewiele. Potem zadzwonił do niego Burim. Twierdził, że jest ojcem Pii, tylko zmienił nazwisko, gdy oddał dziewczynkę do opieki zastępczej, i prosił o spotkanie. To było dla George'a jak grom z jasnego nieba. Niestety

wydawało mu się, że może pomóc ukochanej.

I choć George niewiele wiedział o ciemnych stronach życia, gdy się spotkali, z miejsca rozpoznał w Burimie Grazdanim – nie mógł przyzwyczać się do Graziani – bardzo niebezpiecznego człowieka. Opuszczał kawiarnię wstrząśnięty, jednak zgodził się podjąć mediacji między ojcem a córką. Po raz kolejny jego chęć niesienia pomocy wzięła w nim górę nad rozsądkiem. Kiedy Pia dowiedziała się o spotkaniu, wściekła się nie na żarty. Wrzeszczała, żeby George nie ważył się więcej wtrącać w jej życie, i poinformowała go, że człowiek, który podaje się za jej ojca, dla niej nie żyje. To był jeden z ostatnich razów, kiedy się widzieli, zanim George wyjechał do Los Angeles, a ona udała się gdzieś rzekomo na wakacje.

– Rozumiem, że chciałaś się wyrwać z Nowego Jorku i może to było dla ciebie najlepsze – powiedział teraz George, choć okropnie żałował, że wyjechała. – Rozumiem, że z powodu śmierci Rothmana i tych wszystkich tragicznych wydarzeń chciałaś odłożyć rezydenturę i doktorat. Wszystko to rozumiem. Ale Boulder! Czemu, na Boga, akurat Boulder?

– Bardzo mi się tu podoba, George. Uwielbiam tutejsze powietrze. Lubię swoją pracę. Podobają mi się góry. Dostałam bzika na punkcie zdrowego trybu życia. Zaczęłam biegać, jeżdżę na rowerze górskim, nawet szusuję na nartach.

Pia dalej opowiadała o Boulder i o tym, co dokładnie robi w obecnej pracy, ale George przestał słuchać. Samo Boulder nie obchodziło go nic a nic, tak naprawdę chciał tylko wiedzieć, dlaczego nie wyjechała do LA, tak jak planowała, zanim się pokłócili o jej ojca. Mówiła wcześniej, że zamierza tam przez kilka lat zająć się pracą badawczą i był to jedyny powód, dla którego on, George, zrezygnował z rezydentury w Centrum Medycznym Uniwersytetu Columbia i sam udał się do Los Angeles. Jak łatwo było przewidzieć, bez Pii nie bardzo mu się tam podobało.

Tymczasem ona mówiła dalej:

– ...a innym powodem przyjazdu do Boulder było zapalenie kości czaszki Willa McKinleya. Jeśli się nie domyślasz, to wyjaśnię, że mam

ogromne poczucie winy z powodu jego stanu. Pośrednio to moja wina. Mam nadzieję, że uda się wykorzystać nanotechnologię, a konkretnie mikrobiwory, do jego leczenia. Prowadzimy nad nimi badania tu, w Nano, i działają. Teraz potrzebujemy już tylko zgody FDA na dopuszczenie ich do użytku. Wystąpimy o nią zaraz po zakończeniu wstępnych badań bezpieczeństwa. Zajmuję się mikrobiworami od samego przyjazdu tutaj. Są niesamowite.

– Mikro co? Musisz mnie trochę wprowadzić.

– George, tłumaczyłam ci przecież przed chwilą, zajmuję się nimi od osiemnastu miesięcy, nie słuchałeś?

– Zamyśliłem się trochę – przyznał. Na jego ustach znowu wykwitł niepewny uśmiech. Nadzieja zbliżenia się do Pii wystawiała na ciężką próbę jego dalekie od doskonałości zdolności dyplomatyczne.

– Niby nie powinnam rozmawiać z osobami postronnymi o tym, nad czym pracujemy, zanim patenty zostaną zabezpieczone, ale co tam. Mam nadzieję, że będziesz trzymał buzię na kłódkę.

– Jasne – zapewnił. Tak bardzo pragnął, by się przed nim bardziej otworzyła. Odwołanie się do jego dyskrecji już stanowiło przedsmak jakiejś zażyłości, której tak łaknął.

– To będzie nowy sposób leczenia zakażeń – ciągnęła Pia. – Era antybiotyków powoli dobiega końca. Bakterie wykształcają oporność szybciej, niż pojawiają się nowe antybiotyki. Ratunkiem może służyć właśnie nanotechnologia. Jest szansa, że to ona zapewni szybkie i skuteczne terapie, zwłaszcza w przypadku posocznicy. A ja jestem przekonana, że poradzi sobie z zapaleniem kości Willa.

– W jaki sposób?

– Tak jak mówiłam: za pomocą mikroskopowych nanorobotów zwanych, niebezzasadnie, mikrobiworami<sup>2</sup>. Zajmuję się nimi od prawie dwóch lat. Są dużo mniejsze od erytrocytów, a po wprowadzeniu do krwiobiegu pochłaniają bakterie i inne mikroorganizmy. Można będzie je nawet zaprogramować tak, by wyszukiwały, pochłaniały i trawiły

---

2 Od łac. vorare – pożerać (przyp. tłum.).

zakaźne białka, takie jak priony albo nieprawidłowo zbudowane białka tau związane z chorobą Alzheimera, wobec których antybiotyki nie znajdują zastosowania.

– Z przykrością przyznaję, że moja wiedza o nanotechnologii nie jest imponująca. To znaczy, niby wiem, że dzięki niej mamy filtry przeciwsłoneczne, ale to wszystko.

– Cóż, będziesz musiał się trochę doszkolić, jeśli nie chcesz zostać w tyle. Nanotechnologia to przyszłość medycyny. Radykalnie ją zmieni, prawdopodobnie w stopniu zbliżonym do komórek macierzystych. Za pięć, dziesięć lat, dzięki nim dwóm, komórkom macierzystym i nanotechnologii leczenie ludzi będzie wyglądało zupełnie inaczej.

– Jakies tam mikrobiwory kursujące w krwiobiegu i pożerające bakterie. To brzmi jak scena z tego starego filmu SF, *Fantastyczna podróż*.

– Chyba nigdy go nie widziałam. Ale to, o czym mówię, to nie jest żadna science fiction.

– I są mniejsze od erytrocytów?

– Tak. Te, z którymi ja pracuję, mają jajowaty kształt i nie przekraczają trzech mikrometrów w największym wymiarze, czyli są sześć razy mniejsze niż wynosi średnica ludzkiego włosa.

– Mówię ci, to zalatuje science fiction.

– Tyle że to nie jest fikcja. Pracuję z nimi codziennie.

– No a co z Los Angeles?

Pia przekrzywiła głowę i zmierzyła George'a pytającym wzrokiem.

– Co masz na myśli? Niby co z LA? – Pytanie zabrzmiało w jej uszach zupełnie ni przypiął, ni przyłatał.

– Wydawało mi się, że to tam chciałaś prowadzić badania. Nigdy nie wspominałaś o Boulder...

– No tak, przez krótki czas rzeczywiście myślałam, że pojedę do LA. Dowiedziałam się, że jest tam firma nanotechnologiczna, która interesuje się mikrobiworami, jednak tamtejszy program jest nadal na etapie projektów. Złożyłam podanie o stanowisko badawcze, ale wtedy skontaktował się ze mną headhunter z propozycją pracy tu, w Boulder, w firmie Nano, która zdecydowanie wyprzedza inne zajmujące się

produkcją molekularną.

– Znowu się zgubiłem. Ta produkcja molekularna to niby co?

– Konstruowanie urządzeń w nanoskali, atom po atomie, cząsteczka po cząsteczce. To klucz do wytwarzania nanorobotów. Ten headhunter powiedział mi, że Nano zbudowała już kilka prototypów mikrobiworów i zaczęła je testować *in vivo*. To zdecydowało. Musisz zobaczyć ich zdjęcia z elektronowego mikroskopu skaningowego. Padniesz z wrażenia. Słowo. Są niesamowite.

– Jestem gotów paść – zapewnił George, patrząc na Pię, która o dziwo nie odwróciła wzroku. Widział, że jej umysł pracuje pełną parą. Przestraszył się, że zaraz go przejrzy i zda sobie sprawę, jak George mało wie na temat, który ją tak fascynuje, a wtedy ta nić porozumienia i bliskości, którą zaczynali odbudowywać, zniknie jak sen złoty. – Wygląda na to, że będę musiał się wiele nauczyć o nanotechnologii.

– Chwila – rzuciła Pia. – George, nie przeprowadziłeś się chyba do LA z powodu moj...

– Nie, nie, skądże znowu. – Desperacko pragnął zmienić ten akurat temat. Oczywiście, że przeniósł się tam z uwagi na nią, ale nie chciał się do tego przyznawać i wyjść w jej oczach na słabeusza. Nie znosiła, kiedy się tak zachowywał albo przepraszał, że żyje. – Badania nad tymi mikrobiworami muszą być naprawdę fascynujące – ciągnął nieprzekonywająco. – Będiesz mogła mi pokazać, czym dokładnie się zajmujesz? Chciałbym się dowiedzieć.

Pia dalej przyglądała mu się badawczo i w końcu odwrócił wzrok.

– Naprawdę umieram z głodu – zmienił temat i potarł nerwowo rękę. – Może jednak wyskoczmy na jakiś lunch. Pewnie sama też coś byś przekąsiła.

Przeniosła wzrok na jego torbę na kółkach, potem z powrotem na niego.

– Gdzie zamierzasz się zatrzymać?

– Cóż, po prawdzie to miałem nadzieję... – George rozciągnął usta w swoim najszerszym, choć nieszczerym, uśmiechu. Z reguły działało to na inne kobiety, ale bał się, że w przypadku Pii pójdzie na marne.

Zamknęła na chwilę oczy i niemal niezauważalnie pokręciła głową.

– Jak długo zamierzasz zostać w Boulder?

– Niedługo – zapewnił z nadzieją. – Dostałem tylko kilka dni wolnego. Powiedziałem szefowi, że to niecierpiąca zwłoki sprawa rodzinna. Muszę wrócić we wtorek. Liczę, że uda mi się namówić ciebie na wizytę w LA.

– Dobra, później o tym pogadamy. Lunch? Nie ma sprawy, ale szybki. Może potem pojedziemy do Nano? Pokażę ci, czym się zajmuję. Prawdę mówiąc, mam tam kilka eksperymentów w toku i za godzinę muszę sprawdzić, co i jak.

– Brzmi okay – rzucił George. Rozpromienił się. Wyglądało to na jakiś postęp, swego rodzaju.



## Rozdział 2

Pokład odrzutowca Gulfstream G550, nad zachodnim  
Pacyfikiem w drodze na lotnisko miejskie w Boulder, Kolorado  
niedziela, 21 kwietnia 2013

Zachary Berman nie posiadał się ze szczęścia, gdy był w powietrzu, najlepiej, tak jak teraz, na pokładzie odrzutowca Gulfstream należącego do Nano Sp. z o.o., firmy, której był większościowym udziałowcem, prezesem i dyrektorem naczelnym. Uwielbiał to wrażenie, że czas się zatrzymał, gdy maszyna pędziła w wybranym kierunku na wysokości 51 000 stóp, teraz akurat nad pozornie bezgranicznym przestworem Pacyfiku, kierując się w stronę kontynentu północnoamerykańskiego. Bez względu na to, jak stresujące i nerwowe było jego życie na dole, w powietrzu czuł się zdystansowany, bezpieczny, może nawet niepokonany. Samolot był wyposażony w środki łączności, które były na głowę te Air Force One, ale gdy je wyłączył, miał mnóstwo czasu, by planować, opracowywać strategie i cieszyć się z postępów Nano, zwłaszcza podczas tak długich lotów jak ten: Pekin–Boulder, prawie dziesięć tysięcy kilometrów w linii prostej. Oczywiście Zach, jak nazywała go większość osób, wiedział, że rzeczywista droga jego samolotu będzie krótsza dzięki trasie polarnej i spłaszczonemu kształtowi Ziemi.

Wizyta w Chinach okazała się ogromnym sukcesem, tak wielkim, że na samą myśl Zachary się uśmiechnął. Odłożył na bok papiery, obniżył oparcie fotela i podniósł podnózek, zmieniając siedzenie w wygodną leżankę. Zatonąwszy w ręcznie wybielanej i ręcznie zszywanej marokańskiej skórze, myślał o bilansach i potrzebach kapitałowych spółki. Na jego męskiej, pokrytej cieniem zarostu twarzy ponownie pojawił się uśmiech. Na tę chwilę wydawało się, że sprawy idą jak po maśle. Zadowolony pozwolił sobie na małą drzemkę.

Jakąś godzinkę później siedział już z powrotem, sączył resztki ostatniej w tej podróży szkockiej single malt i wyglądał przez małe okienko samolotu na brzozy pustyni, która zastąpiła ocean. Jego myśli powędrowały, co mu się często zdarzało, do ojca. Zastanawiał się, jakie wrażenie na staruszkę zrobiłby ogromny sukces, jaki niedawno odniósł syn, i fakt, że oto wraca do domu z podróży służbowej do Chin luksusowym prywatnym odrzutowcem, który na dobrą sprawę należał do niego. Każdego dnia przy goleniu wzdragał się, widząc w lustrze swoje podobieństwo do zmarłego rodzica, które teraz, gdy dobiegał pięćdziesiątki, jeszcze wzrosło.

To był powód, dla którego grube, lekko szpakowate włosy nosił zdecydowanie dłuższe od języka ojca, a strzygł je za cenę, która przyprowadziłaby staruszkę o trupią bladość. Dorastając w drobnomieszczkańskiej rodzinie w robotniczej dzielnicy w Palisades Park w New Jersey, Zachary często widywał kropki z farby we włosach ojca – choroba zawodowa właściciela firmy malarskiej – i zastanawiał się, dlaczego ten tak niewielką wagę przywiązuje do swojego wyglądu. Od czternastego roku życia przez college i okres studiów pracował latem w firmie ojca, ale zawsze wkładał wtedy bejsbolówkę, żeby chronić swoją fryzurę przed podobnymi rozpryskami. Bał się, że ich obecność jednoznacznie zaliczy go w poczet zwykłych robotników. Tymczasem Zach od małego mierzył bardzo wysoko.

Przyczyną głębszego rozdźwięku między ojcem a synem było to, co Zachary brał za samozadowolenie Eliego i jego absolutny brak ambicji. Kiedy on błyszczał w Yale, a potem na wydziale prawa Uniwersytetu

Harvarda, ojciec dalej mozolił się w swojej firmie malarskiej, zupełnie niezainteresowany jej rozwojem, a mimo to czuł się uprawniony, by wyśmiewać fakt, że Zach gra kiepsko w baseball i wbrew jego usilnym naleganiom nie poszedł na medycynę.

Z czasem pogarda Eliego dla wyborów zawodowych syna jeszcze wzrosła, gdy Zachary nagle zrezygnował z całkiem dobrze płatnej posady w firmie prawniczej na Manhattanie i zajął się finansami, a potem, po dziesięciu latach, rzucił także wybitnie lukratywne zajęcie analityka na Wall Street. Zachary próbował wyjaśnić Eliemu, że po prostu się znudził, uważa całe Wall Street za jeden wielki kant i jest przekonany, że znacznie większe zyski, nie wspominając już o satysfakcji, czekają na kogoś gotowego naprawdę stworzyć coś od podstaw, a nie tylko grać pieniędzmi innych ludzi na ustawionym rynku.

Pojedynczy cichy sygnał zegarka zasygnalizował godzinę i bliski koniec podróży. Zachary odwrócił się i popatrzył na tył samolotu. Na środku maszyny siedziała jego osobista asystentka i sekretarka Whitney Jones. Patrzyła prosto na niego, czekając na polecenia. Ubrana w jeden z prostych kostiumów Chanel, wyglądała znakomicie. Czarne włosy miała zebrane z tyłu, i ta gładka fryzura uwydatniała piękne rysy, w których idealnie zespoliły się najlepsze cechy afroamerykańskiego ojca i matki – Singapurki. Widok tej twarzy nieodmiennie przywodził Zachowi na myśl sławne popiersie Nefretete z berlińskiego Muzeum Egipskiego. Leciutko przechylił głowę i Jones, jak zawsze czujna, natychmiast odpięła pas bezpieczeństwa. Skinęła głową w odpowiedzi i wstała. Z wcześniejszych ustaleń wiedziała, że pora zbudzić gości.

Pewien, że Jones wszystkim się zajmie, Berman wrócił do widoku za oknem i swoich rozmyślań. „Dobrze przepracowany dzień jest najlepszą nagrodą”, mawiał Eli Berman co najmniej raz w tygodniu przez całe swoje dorosłe życie. Zamartwiał się, że jego syn nie potrafi zająć się niczym na stałe i docenić tego, czego on się nauczył w ciągu tych dziesięcioleci, które poświęcił swojej firmie malarskiej. Zachary się uśmiechnął. Zdecydowanie bardziej wolał lot luksusowym

gulfstreamem od satysfakcji, jaką mógł dać dzień fizycznej harówki.

Bawił się w zamyśleniu ślubną obrączką. Nadchodzące tygodnie miały być niezwykle ważne dla jego firmy, gra szła o miliardy dolarów, tymczasem jego żona i dzieci, które powinny przecież uczestniczyć w jego triumfie, przebywały w Nowym Jorku, niewiele wiedząc o jego pracy i roli, jaką odgrywa w fantastycznym rozwoju nanotechnologii. Swego czasu Zachary bardzo pragnął potomków, a przynajmniej tak mu się wydawało, jednak gdy już się ich doczekał, uznał życie rodzinne za równie nieciekawe jak prawo spółek. Od małego uzależniony był od wyzwań. Organicznie nie znosił status quo, przewidywalne sytuacje go nudziły. Wielokrotnie zdradzał żonę, kilka razy nawet z Whitney Jones, i od dawna już myślał o rodzinie bez sentymentu, głównie w kategoriach konieczności utrzymania jej na właściwym poziomie.

– Praca jest sama w sobie nagrodą – wymruczał z pogardą. Tak brzmiało drugie ulubione powiedzonko ojca. – Szkoda, że nikt nie powiedział tego Jonathanowi – dodał. Miał na myśli ukochanego młodszego brata, który był świetnym bejsbolistą i beniaminkiem ojca, a umarł w męczarniach na raka kości: leczenie, nieskuteczne, okazało się większą torturą niż sam nowotwór.

– Nie, tato, nagrodą jest to, co zdążysz wyszarpnąć życiu z gardła.

Zachary zmienił się po śmierci Jonathana. Zawsze żył niespokojnie, ale odkąd brat umarł, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Odszedł z Wall Street, gdy dowiedział się o jego diagnozie, żeby wspierać go w trakcie leczenia oraz prowadzeniu firmy ojca. Niestety agresywnego nowotworu nie dało się pokonać i Jonathan umarł po czterech miesiącach. Jakby z rozpacz, Eli, u którego pojawiła się demencja o nagłym początku, szybko do niego dołączył, zostawiając Zachary'emu, ambitnemu cynikowi, swoją firmę, względnie dobrze prosperującą, jednak z niewielkim, jak się wydawało, potencjałem wzrostu.

W geście szacunku dla brata i ojca Zachary dał sobie pół roku na zrobienie czegoś z Usług Malarskich i Remontowych Bermiana, poświęcając cały swój czas i energię temu wyzwaniu. Zaczął agresywnie obcinać ceny, zatrudnił więcej ekip i zaczął zgłębiać wszystkie tajniki

biznesu, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, potencjału, który przekona go, że usługi malarskie nie są stratą czasu. Kiedy natrafił na artykuł o możliwościach zastosowania nanotechnologii do produkcji farb, o mały włos go nie wyrzucił. W jego oczach farba była farbą, i kropka. Jakie znaczenie mogła mieć dla niego jakaś tam nanotechnologia, gdy wypruwał sobie flaki, usiłując wypracować mocną pozycję na rynku, tak by móc rywalizować z innymi firmami w północnym New Jersey?

Przeczytał jednak artykuł, szczególnie uważnie zaś ustęp o badaniach nad zastosowaniem w farbie nanorurek węgla, które mogły blokować sygnały telefonów komórkowych w salach koncertowych. Przeczytał artykuł raz jeszcze, a potem szybko zaczął pochłaniać wszystko, co wpadło mu w ręce, na temat nanotechnologii. Jeszcze szybciej doszedł do wniosku, że to bardzo obiecująca nisza, a przy tym w dużej mierze niezbadana i z pewnością niewykorzystana. Mnóstwa spraw z nią związanych nie rozumiał, ale potencjał był oczywisty, ekscytujący i mobilizujący. W college'u jak ognia unikał chemii, matematyki, fizyki, a nawet biologii. Teraz pluł sobie w brodę z tego powodu. Musiał się wiele nauczyć i zabrał się do tego z zachłannością głodującego, który natknął się na sklep spożywczy.

Po kilku tygodniach sprzedał firmę ojca z niemałym zyskiem, cały dochód z transakcji przekazał wdowie po Jonathanie i poczuł, że wypełnił zobowiązanie wobec rodziny brata. Kiedy kilka miesięcy później zdiagnozowano u jego matki chorobę Alzheimera, a Zachary uświadomił sobie, że w nanoświecie kryje się nadzieja na skuteczne na nią lekarstwo, upewnił się jeszcze bardziej w słuszności swojej decyzji. I nagle zafascynowały go i całkowicie pochłonęły możliwości, jakie nanotechnologia otwiera przed medycyną. Kto wie, może wynajdzie skuteczną terapię na raka kości. A matka? Czy jej zdoła pomóc? A niby dlaczego nie? Z nanotechnologią wszystko było możliwe.

Poczuł lekki uścisk na ramieniu. Whitney. Kiedy się pochyliła, żeby przekazać mu szeptem raport, poczuł zapach perfum i woń feromonów i oba te aromaty wyczarowały przed jego oczyma przelotny, ale

ujmujący obraz jej długiego, jędrnego ciała wyciągniętego na łóżku.

– Wszyscy są już gotowi – wyszeptła. – Łądujemy za trzy kwadranse.

Zachary skinął głową, wstał i się przeciągnął. Ubranie – czarny T-shirt i granatowe dżinsy – opinały ciasno jego muskularne ciało. Dbał o kondycję i zdrowie, zwłaszcza od czasu nagłej choroby i śmierci brata oraz wystąpienia demencji u rodziców. Nawet kiedy miał nawał roboty, czyli zawsze, potrafił wykroić czas na ćwiczenia i zdrowy posiłek.

Przyznawał otwarcie, że popadł nawet w pewnego stopnia hipochondrię, i regularnie korzystał z usług lekarzy zatrudnionych w Nano. Nie dawała mu spokoju obawa, że rozwinie się u niego otępienie alzheimerowskie jak u obojga rodziców, którzy na jego oczach popadli w absolutną bezradność. W nadziei, że rozwieje te lęki, kazał sobie zrobić badania genetyczne pod kątem obecności genu kodującego apolipoproteinę E4, którego obecność wiąże się ze zwiększonym ryzykiem wystąpienia choroby. Ku jego zgrozie, badania przyniosły odwrotny skutek. Dowiedział się, że ma homozygotyczną postać genu *ApoE4*, co zwiększało ryzyko zachorowania, podobnie jak fakt jego obecności u obojga rodziców. Od tej chwili jego zainteresowanie nanotechnologią przekształciło się w osobistą obsesję.

– Pora na przemówionko – powiedział i ruszył za Whitney na tył samolotu, gdzie na skórzanych fotelach siedziała trójka Chińczyków w biznesowych garniturach.

Na samym końcu odchyłane siedzenie zajmował potężny i srogo wyglądający biały, którego okazałych rozmiarów marynarka skrywała szeroki zestaw broni pokładowej: taser, noże i gumową pałkę. Nigdy jeszcze nie zaszła potrzeba jej użycia w trakcie podobnego lotu, bo ładunek był zawsze doskonale zabezpieczony. Cztery postaci w workowatych brązowych kombinezonach spoczywały na stojących naprzeciwko siebie kanapach. Producenci samolotu zaprojektowali te siedzenia i stolik raczej z myślą o partyjce kart albo o posiłku w trakcie długiego lotu, ale Zachary uznał ich układ za idealny do swoich potrzeb. Cała czwórka, trzech mężczyzn i kobieta, była skuta razem

łańcuchem przymocowanym do stołu. Po osiągnięciu wysokości przelotowej podano im środki nasenne i byli teraz nieprzytomni.

Berman i Jones stanęli obok siebie. Zachary mówił, a Whitney na użytek chińskich gości tłumaczyła jego słowa na perfekcyjny mandaryński. Biegła znajomość tego języka była jednym z powodów, dla których zarabiała ponad milion dolarów rocznie.

– Wkrótce będziemy na miejscu – poinformował Berman. – Po wylądowaniu będziecie państwo łaskawi udać się z naszym przedstawicielem do pojazdu, który będzie już oczekiwał na płycie lotniska. Pojedziemy prosto do centrum badawczego, gdzie otrzymacie państwo wygodne zakwaterowanie. Nasz bagaż pojedzie za nami. – Wskazał głową skutą czwórkę. – Zaczynamy bardzo ekscytujący etap naszej współpracy. W miarę postępów, nie wolno nam tracić z oczu ostatecznego celu, który razem wytyczyliśmy i z myślą o którym tak ciężko pracujemy. – Urwał i poczekał, żeby Jones przetłumaczyła. Potem sam wygłosił końcową kwestię w mandaryńskim: – Witamy w Nano.

Mężczyźni skinęli głowami i też wymruczeli powitanie. Sprawiali wrażenie podenerwowanych, świadomi odpowiedzialności i wagi zadania, jakie powierzyła im tajna agenda ich rządu.

Berman wrócił na swoje miejsce, opadł na oparcie, złożył dłonie w wieżyczkę i zamknął oczy. Przez tych kilka ostatnich minut lotu chciał myśleć tylko o tym, co naprawdę ciągnęło go z powrotem do Boulder. Przez całą drogę do Chin, a nawet już na miejscu, gdy finalizował niezwykle ważne umowy, jego głowy nie opuszczał jeden obraz... obraz Pii Grazdani.

## Rozdział 3

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado  
niedziela, 21 kwietnia 2013, 12.33

– Czyli firma, dla której pracujesz, nazywa się Nano. A jak się zwie wielki szef? Powtórz! – George się darł, żeby przekrzyczeć szum wiatru i warkot samochodu.

To był volkswagen gti barwy strażackiej czerwieni. Nie miał pojęcia, że Pia w ogóle umie prowadzić, a co dopiero w takim stylu. Trzymał się kurczowo krawędzi siedzenia i nerwowo obserwował wijącą się drogę, po której pędzili slalomem.

Na każdym zakręcie odruchowo wciskał lewą stopę w podłogę, jakby mógł wpłynąć na zachowanie samochodu wyimaginowanym hamulcem nożnym. Brakowało tylko, by wpadli w poślizg i wyrzuciło ich z drogi na jednym z ostrych zakrętów. Jechali podnóżem Gór Skalistych, które opadały kaskadą wzniesień na Boulder niczym wzburzone morze. Mimo że maj był za pasem, osiki nadal stały огоłocone z liści, a ich powyginane gałęzie na tle ciemnej barwy drzew zimozielonych sprawiały wrażenie żółtych. Na prostych odcinkach drogi George pozwalał sobie zaryzykować i puszczał fotel. Krzyżował wtedy ręce na piersi. Przyzwyczajony do upalnego Los Angeles, miał wrażenie, że trafił na biegun. Pia najwyraźniej się uodporniła: nadal



miała na sobie strój do biegania, a na ramiona narzuciła bluzę.

– Berman. Zachary Berman! – odkrzyknęła.

Szyby w samochodzie były opuszczone i wiatr rozwiewał jej czarne jak atrament, sięgające niemal do ramion włosy. Na nos wsunęła panoramiczne okulary przeciwsłoneczne. Kiedy George zaryzykował rzut oka w jej kierunku, ujrzał w nich własne zniekształcone odbicie ze stojącymi dęba włosami i wykrzywioną twarzą.

– Co to za gość?

– Niewiele o nim wiem – gładko skłamała Pia.

Prawda wyglądała zaś tak, że Berman, o czym z upodobaniem donosiła prasa, był swego rodzaju międzynarodowym playboyem, takim jak kilku innych sławniejszych, stosunkowo młodych i odnoszących sukcesy przedsiębiorców i biznesmenów w rodzaju Richarda Bransona i Larry’ego Ellisona. Miał żonę i dzieci, ale swoje małżeństwo nazywał otwartym. Natknął się kiedyś przypadkiem na Pię w jednej z kilku stołówek w Nano i zagiął na nią parol. Kilka razy nawet spotkała się z nim niezobowiązująco, bo naprawdę była pod wrażeniem jego dokonań na polu nanotechnologii i szans, jakie otwierają przed medycyną. Ale kiedy znajomość przybrała zbyt osobisty obrót, a ona dowiedziała się o jego rodzinie w Nowym Jorku, ucięła sprawę, ku jego wielkiemu rozczarowaniu.

I wtedy pojawił się problem. Berman, nienawykły dostawać kosza, zaczął narzucać jej się coraz natrętniej. Nawet gdyby nie był żonaty, ona i tak nie byłaby zainteresowana żadną bliższą relacją. Przyjechała do Boulder, żeby pracować i dojść do siebie po traumatycznych przeżyciach w Nowym Jorku. Poza tym nie wiedziała, czy w ogóle potrafi wejść z kimś w związek, nawet gdyby Berman nie był dążącym po trupach do celu egoistą, za jakiego go miała. Przez lata zdołała już uświadomić sobie swoje społeczne ograniczenia.

– Singiel? – ciągnął George.

– Nie, żonaty z dwójką dzieci! – odkrzyknęła, nie wdając się w szczegóły w nadziei, że George nie będzie drażył dalej tematu. Nie chciała go martwić informacją, że Berman poczuł do niej miętę i jego

atencja powoli staje się uciążliwa. Nie opuszczała jej też przykra świadomość, że tego właśnie dnia miał wrócić z ważnej podróży służbowej, która wybawiła ją od jego towarzystwa na prawie dwa tygodnie.

– W jakim jest wieku? – dopytywał się dalej George.

– Jakoś pod pięćdziesiątkę. – Pia zacisnęła zęby. Zapomniała już, jak upierdliwy potrafi być George w takich kwestiach.

– Chyba widziałem w „People” jego zdjęcie – stwierdził. – Zrobione na ostatnim festiwalu w Cannes. Ma jeden z tych wielkich jachtów.

– Ta? – bąknęła Pia bez zainteresowania.

– A on miał jakiś udział w tym, że dostałaś od firmy to auto?

Pia przesunęła dłonie po obitej skórą kierownicy. Nie podobał jej się kierunek, w jakim zaczynały zmierzać te indagacje, ale nie bardzo wiedziała, jak temu zapobiec inaczej, niż oświadczyć, że nie chce rozmawiać o Zacharym Bermanie, co byłoby oczywiście czytelnym komunikatem, tyle że dokładnie takim, jakiego wolą uniknąć. George zachowywał się kropka w kropkę tak jak w starych czasach: zasypywał ją pytaniami o jej życie prywatne. Zanim udało jej się nakłonić go do opuszczenia jej mieszkania, chodził po nim przez dwadzieścia minut i wydziwiał, wypytując ją, czy aby na pewno dba o siebie jak należy, skoro nie ma żadnego jedzenia w lodówce, i czy aby na pewno w ogóle tam mieszka. Wiedziała, że usiłuje ustalić, czy się z kimś spotyka.

– A wiesz, że miał. Dowiedział się, że dojeżdżam do pracy rowerem, i chciał, żebym wzięła jeden ze służbowych wozów. Powiedział, że na górskich drogach jest niebezpiecznie, zwłaszcza nocą, gdy muszę czasami jechać do firmy skontrolować przebieg eksperymentów.

– Nówka sztuka z wyglądu – stwierdził, rozglądając się po wnętrzu.

– No to chyba mi się poszczęściło – odpowiedziała, zerkając na George’a. Irytował ją, ale przyszło jej do głowy, że ten jego nagły przyjazd chyba na coś się przyda. Może dzięki niemu Berman przestanie jej się narzucać.

– Pia! – wrzasnął George.

Spojrzała z powrotem na drogę i coś mignęło jej przed maską. Zaraz

potem rozległo się głucho uderzenie.

– Uderzyliśmy w coś.

Odwrócił się, żeby sprawdzić. Pia zwolniła, zatrzymała samochód i wrzuciła wsteczny. Potem cofnęła się zdecydowanie szybciej, niż George by sobie życzył, zatrzymała się ponownie i wyskoczyła z auta, nie wyłączając silnika. Zanim sam się wygramolił, już stała przy jego drzwiach, trzymając coś w ręku. Uniósł się, żeby zobaczyć co dokładnie.

– Piesek preriowy – wyjaśniła. – Chyba tylko go potrąciłam, przynajmniej mam taką nadzieję. Zdaje się, że żyje. Szlag by to. Nie cierpię takich sytuacji. – Trzymała w dłoniach mały futrzany kłębek, który zdaniem George'a przypominał grubą wiewiórkę i nie wykazywał oznak życia. – Dalej w górach jest ich zatrzęsienie – powiedziała. – Co ty tutaj robisz, mały, co?

Jej cichy i pełen czułości głos wprawił George'a w konsternację. Wiedział, że potrafi bardzo lekceważąco odnosić się do ludzi, jego nie wyłączając, jakby myślała, że inni nie mają uczuć. Ale zwierzętom okazywała zawsze dużo troski. Na pierwszym roku medycyny na zajęciach z fizjologii odmówiła stanowczo uczestnictwa w eksperymentach na psach, ponieważ zwierzęta potem usypiano. Obok żadnego bezdomnego kota blakającego się przy akademiku nie przeszła obojętnie.

– Masz, weź go! – To już bardziej do niej podobne, pomyślał George. Wręczyła mu mały, jeszcze ciepły kłębek. – W mieście jest przychodnia weterynaryjna otwarta w weekendy.

George trzymał zwierzątko, gdy w milczeniu wracali do Boulder. Osobiście uważał, że stworzenie nie żyje, ale Pia z samozaparciem jechała przed siebie. Po półgodzinie dotarli do weterynarza i potwierdzili, że owszem, zwierzę zdechło, prawdopodobnie na skutek skręcenia karku. Pia bardzo się zdenerwowała, oczy zaszyły jej nawet łzami. Dla George'a było to coś nowego.

Po opuszczeniu przychodni zajechała do pobliskiego Burger Kinga, co go bardzo ucieszyło, ale nie rozmawiali, dopóki nie dostali zamówienia.

– Przykro mi z powodu tego malucha – rzucił, żeby przerwać milczenie.

– Dzięki. – Pia wzięła głęboki oddech. – Już drugi raz coś takiego mi się zdarzyło. Poprzednio nie mogłam spać przez kilka nocy z rzędu.

George uznał, że najlepiej będzie zmienić temat.

– Pamiętasz, w mieszkaniu powiedziałaś, że na twoją decyzję o przyjeździe tutaj i chęć zbadania możliwości terapeutycznych, jakie daje nanotechnologia, wpłynął bezpośrednio stan Willa. Przypomniałem sobie wtedy o Rothmanie i jego śmierci. Wiem, że nie chciałaś o tym wcześniej rozmawiać, ale bardzo chciałbym się w końcu dowiedzieć, co się tak naprawdę wtedy wydarzyło. Wiem, że ci finansiści z Connecticut maczali w tym palce, ale kto tak naprawdę wykonał brudną robotę? Wiesz?

Pia odłożyła burgera i wbiła wzrok w George'a. Źrenice zrobiły jej się takie ogromne, że miał wrażenie, że zaraz w nich utonie. Zaciśnęła pełne wargi w kreskę. Wyglądała, jakby lada chwila miała eksplodować. George także odłożył swojego burgera, bojąc się tego, co za chwilę się stanie. Odchylił się na krześle, żeby zwiększyć choć trochę dzielącą ich odległość.

– Powiedziałam to już raz i nie mam zamiaru powtarzać – zasyczała i nachyliła się, mierząc go spod zmrużonych powiek. – Nie zamierzam rozmawiać o śmierci Rothmana ani z tobą, ani w ogóle z nikim. Ani teraz, ani nigdy! Przyjmij do wiadomości, że ludzie, którzy to zlecili, nie żyją. To wystarczy. Choć wiem, że zbrodni dokonano przy użyciu polonu-210, nie mam pojęcia, w jaki sposób dokładnie ani kto był wykonawcą, ale wiem na pewno, że jeśli będę o tym rozmawiała, zginę. A jeśli powiem ci, co sama wiem, ty też przyplacisz to życiem.

– Dobrze, już dobrze! – wydusił George. Widział ogień w jej oczach. – Już nigdy o to nie spytam.

Twarz Pii złagodniała. Tak naprawdę bardzo dobrze wiedziała, że Rothmana i jego współpracownika zamordował na zlecenie albański gang rywalizujący z innym gangiem, w którym jej ojciec zajmował wysoką pozycję. Powiedziano jej, że jeśli nie będzie trzymała buzi na

klódkę i piśnie choć słówko o tym, co wie, choć nie wiedziała wiele, nie tylko ściągnie śmierć na siebie i George'a, ale także wywoła krwawą wojnę między obu gangami, w której dziesiątki osób pójdzie do piachu. To była beznadziejna sytuacja i odpowiedzialność, której nie mogła znieść.

Skończyli lunch w milczeniu. Dopiero kiedy już jechali i na horyzoncie pojawiły się zabudowania Nano, George odważył się odezwać.

– Robi wrażenie – powiedział, gapiąc się na siedzibę firmy, gdy dojeżdżali do bramy.

Kompleks był znacznie większy, niż to sobie wyobrażał, składał się z wielu nowoczesnych budynków, niektórych wysokich na pięć pięter, i ginał gdzieś w kępach wielkich wiecznie zielonych drzew. Cały teren ogrodzony był wysoką siatką zwieńczoną drutem kolczastym. Bardziej przypominał bazę wojskową niż siedzibę komercyjnego przedsiębiorstwa.

– Wygląda na to, że bardzo serio podchodzą tu do kwestii bezpieczeństwa – dodał na widok strażników w budce ubranych w eleganckie, quasi-wojskowe uniformy.

– Żebyś wiedział. Nanotechnologia rozwija się bardzo szybko i rywalizacja między firmami robi się coraz zacieklejsza. Nano ma cały dział prawny, który zatrudnia masę speców od patentów. – Pia czekała, aż któryś ze strażników wyjdzie z budki. Podała mu swoją legitymację, którą uważnie przestudiował. Potem spojrzał wyczekująco na George'a. – On jest ze mną – wyjaśniła. – To mój gość.

– Musicie się państwo udać do centrum ochrony i porozmawiać z kierownikiem zmiany – oświadczył strażnik. Jego ton nie był przyjacielski, ale nie brzmiał też nieprzyjaźnie, po prostu profesjonalnie.

W końcu szlaban powędrował do góry i Pia ruszyła.

– Nigdy jeszcze nikogo tu nie zapraszałam – powiedziała. – Nie jest to zalecane.

– Będzie z tym jakiś problem?

– Zobaczymy, co powiedzą w centrum ochrony. Nie wyobrażam

sobie, by nie pozwolili ci wejść, przynajmniej do budynku, w którym pracuję. Każdego dnia widuję tam kurierów pocztowych i tym podobnych, więc nie jest tak, że wstęp jest wzbroniony wszystkim z zewnątrz.

– Może powinnaś pójść sama i zrobić, co tam musisz. Ja mogę zawsze poczekać w samochodzie za ogrodzeniem

– Oj, daj spokój, George. Kto nie ryzykuje, ten nie ma.

George stłumił niepokój, który zawsze go opanowywał, gdy Pia ciągnęła go gdzieś, gdzie, jak uważał, nie jest mile widziany. Na studiach oboje o mały włos nie wylecieli przez nią z uczelni, gdy pomimo bardzo wyraźnego zakazu władz wydziału, uparła się, by na własną rękę badać przyczyny tajemniczych zgonów w pracowni genetyki, w której odbywał praktyki. Ale to tutaj to przecież naukowe laboratorium. Cóż takiego mogliby chcieć przed nim ukryć? Był w końcu rezydentem na radiologii, na miłość boską.

W ultranowoczesnym, przestronnym holu Pia skierowała się prosto do siedziby ochrony i poprosiła o rozmowę z kierownikiem zmiany. Czekaając na jego przyjście, patrzyli na rzędy monitorów telewizji przemysłowej, wyświetlające obrazy z pomieszczeń i korytarzy całego kompleksu, obserwowane w skupieniu przez pracowników ochrony.

Kiedy pojawiła się kierownik zmiany, obejrzała prawo jazdy i legitymację szpitalną George'a, wypytała go pokrótce, kazała usiąść przed rejestratorem tęczówki, potem bez słowa zniknęła z powrotem na zapleczu. Wróciła po ponad dwudziestu minutach, oddała George'owi dokumenty, potem podała Pii jego przepustkę.

– Odpowiada pani za niego na czas tej wizyty – stwierdziła rzeczowo.

– Jak sądzisz, dlaczego to trwało tak długo? – spytał George, gdy ruszył za Pią z powrotem do holu.

– Na pewno cię sprawdzali. Założę się, że im ulżyło, gdy potwierdzili, że jesteś rezydentem na radiologii w UCLA, bo to znaczy, że ryzyko, byś jednocześnie był szpiegiem przemysłowym, jest niewielkie. Moim zdaniem mają tu małą paranoję na tym punkcie.

Zanim dane im było wejść do windy, musieli przeciągnąć przez czytnik przepustki i przystawić oczy do skanera tęczówki. Zielone światło zasygnalizowało, że wszystko się zgadza. George widywał już wcześniej podobne zabezpieczenia, ale tylko na filmach.

– To co się mieści w tym budynku poza twoim laboratorium? – spytał, kiedy winda wjeżdżała na czwarte piętro.

– Wszystkie laboratoria ogólnobiologiczne. Prowadzi się tu dużo badań biologicznych, bo góra jest przekonana, że prawdziwą przyszłością nanotechnologii będzie medycyna.

– Ale kompleks jest ogromny. Co się w takim razie dzieje w innych budynkach?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– A nie ciekawi cię to?

– Może trochę. Ale niespecjalnie. Obecnie główne zastosowania nanotechnologii koncentrują się na farbach, materiałach lekkich, wytwarzaniu i magazynowaniu energii, tkaninach, IT i tego rodzaju niemedyceńskich dziedzinach, które zupełnie mnie nie obchodzą. Wiem oczywiście, że Nano wprowadziła na rynek kilka produktów z zakresu diagnostyki medycznej, jak czujniki i mikromacierze do badania ekspresji genów i sekwencjonowania DNA *in vitro*. To już bardziej by mnie interesowało, ale nie ta cała komercyjna reszta. Tak naprawdę obchodzą mnie tylko mikrobiwory, nanoroboty, którymi się zajmuję.

Winda stanęła i drzwi rozsunęły się cicho, ukazując osłepiająco białe korytarz, oświetlony lampami fluorescencyjnymi. Pia ruszyła przed siebie, a George powlókł się za nią, mrużąc powieki. Zsunął okulary przeciwsłoneczne z czubka głowy na nos, żeby osłonić oczy.

– Jak już ci mówiłam – ciągnęła Pia – Nano czyni ogromne postępy w produkcji molekularnej. Tutejsi badacze potrafią budować w nanoskali atom po atomie bardzo skomplikowane urządzenia, takie jak mikrobiwory.

Nagle się zatrzymała i George też przystanął.

– Chyba nie brzmi to tak, jakbym robiła ci wykład? Może nie chcesz tego słuchać? Jeśli tak, to po prostu każ mi się zamknąć. Naprawdę

ekscytuje mnie to, co tu robię. Przyjechałam do Kolorado głównie po to, by uciec z Nowego Jorku i od mojego ojca, uporać się jakoś z poczuciem winy z powodu Willa i zdecydować o dalszym kierunku zawodowym, ale praca tutaj naprawdę mnie wciągnęła. Uważam, że jest równie fascynująca jak to, czym się zajmowałam pod okiem Rothmana.

– Chcę słuchać – zapewnił George. – Słowo.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent.

– Dobrze, bo myślę, że też cię to zaciekawi. Oczywiście pod warunkiem że będziesz uważać, a nie odpłyniesz gdzieś myślami, tak jak wtedy w mieszkaniu.

– Zamieniam się w słuch.

Pia podjęła marsz, gestykułując przy tym, jakby była Włoszką pełną gębą, a nie tylko w połowie. George ruszył za nią, starając się dotrzymać jej kroku. Po prawdzie tylko częściowo interesowało go to, co mówiła. W większej mierze po prostu czerpał przyjemność z jej towarzystwa, ekscytacji i wyglądu: migdałowych oczu, niewiarygodnie długich, ciemnych rzęs, nosa o delikatnym kształcie i absolutnie nieskazitelnej skóry. George poszedłby za nią nawet do piekła. Był beznadziejnie zadurzony, ale co tam, już się z tym pogodził.

Pia biorąc jego zapewnienia za dobrą monetę, ciągnęła:

– Każdy poszczególny mikrobiwor składa się z ponad sześciuset miliardów atomów ułożonych w skomplikowaną strukturę. Po prawdzie to jest ich tam zdecydowanie więcej niż sześćset miliardów, ale co to za różnica: miliard w tę czy w tamtą? – Zaśmiała się. – To małe roboty o ruchomych ramionach, które wyszukują i wyłapują drobnoustroje chorobotwórcze, wprowadzają je do komory trawiennej i tam eliminują. Zobaczysz, są niewiarygodne. Dobra, jesteśmy na miejscu.

Zatrzymała się przed nieoznaczonymi drzwiami, do których dostępu bronił kolejny czytnik. Przystawiła do niego głowę, tak by czujnik mógł odczytać wzór tęczy. Nad drzwiami zapaliło się zielone światło. George chciał pójść za jej przykładem, ale go



powstrzymała.

– Nie musisz nic robić. Ten czujnik tylko otwiera drzwi.

Kiedy znaleźli się już w środku, George'owi przypomniało się laboratorium Rothmana na Uniwersytecie Columbia, tyle że to tutaj było większe i nowocześniejsze. Rozpoznał dobrze mu znany szum dochodzący z okapów wentylacyjnych i rozstawionej w pomieszczeniu aparatury.

– Imponujące – stwierdził.

– Tak. Szefowa bez przerwy mi powtarza, że w samym tym laboratorium stoi sprzęt wart pięćdziesiąt milionów dolarów.

– Szefowa? A nie ten cały Berman?

– On jest szefem szefów. Moją bezpośrednią przełożoną jest kobieta, niejaka Mariel Spallek, nawiasem mówiąc, zdecydowanie nie moja bajka.

Pia nie rozwijała tematu. Postawiła swój plecak, wzięła jakąś teczkę z formularzem i podeszła do centralnej konsoli, gdzie na wyświetlaczu widoczne były odczyty całego sprzętu biotechnologicznego. Ołówkiem odhaczyła kilka pól w formularzu i zanotowała coś w innych.

– Wszystko w porządku?

– Na to wygląda. Mój iPhone zaalarmowałby mnie, gdyby coś nie grało. Ale jak na razie wszystko przebiega pomyślnie. Aż do tej serii eksperymentów mieliśmy problemy z biokompatybilnością mikrobiworów. Kiedy po raz pierwszy wprowadziliśmy je do naszych modeli zwierzęcych, wystąpiły reakcje alergiczne. Niewiele i nie bardzo nasilone, ale dość, by stanowiły problem. W wypadku ssaków, zwłaszcza ludzi, żadna reakcja nie jest dopuszczalna. Zatem okazało się, że układ odpornościowy naszych badanych może czasami traktować mikrobiwory jako ciała obce, którymi oczywiście są. Jednak dziwiło nas to, bo są zbudowane z diamentoidu, który jest maksymalnie gładki i niereaktywny. Nadażasz?

– Jasne – zapewnił George trochę za szybko. Mimo to Pia ciągnęła:

– Doszliśmy do wniosku, że mimo zakładanej niereaktywności mikrobiworów jakieś molekuly musiały przyłgnąć do płaszcza,

wywołując odpowiedź immunologiczną. Pewnie pamiętasz to wszystko z zajęć z immunologii, co?

– No pewnie.

George miał nadzieję, że zdoła ukryć fakt, że tak naprawdę niewiele kojarzył z tego, o czym mówiła. Zawsze imponowała mu jej fenomenalna pamięć. Kiedy mówiła o sprawach naukowych, na jej twarzy malowała się autentyczna pasja. Nie miała też wtedy problemu z utrzymaniem kontaktu wzrokowego z rozmówcą, co prawie zupełnie nie wchodziło w grę przy zwykłej konwersacji, zwłaszcza na tematy osobiste i dotyczące uczuć.

George pokiwał głową entuzjastycznie. Usiłował wymyślić jakieś inteligentne pytanie, co nie było łatwym zadaniem, gdy stali tak blisko siebie. Czuł jej zniewalający naładowany erotyzmem zapach, który natychmiast skojarzył mu się z tymi kilkoma razami, gdy uprawiali seks.

– Jakich zwierząt używacie do badań? – zdołał wydusić, choć głos mu się łamał.

– Nicieni, ale wkrótce przejdziemy do ssaków, oczywiście pod warunkiem że u obłąków nie wystąpi teraz reakcja immunologiczna, co jak na razie się nie dzieje. Pewnie się domyślasz, że nie cieszę się specjalnie na te eksperymenty ze ssakami. Wiesz, jakie wywołują u mnie uczucia.

George ponownie skinął głową.

– A jeśli już zdołacie przejść do etapu wprowadzania tych mikrobiworów do ludzkiego organizmu, na przykład do krwiobiegu Willa, ile trzeba ich będzie tam umieścić jednorazowo?

– Coś w okolicach stu miliardów, mniej więcej tyle, ile gwiazd liczy sobie Droga Mleczna.

– To jak duży będzie bolus?

– Wcale nie będzie duży. Jakiś jeden centymetr sześcienny rozcieńczony w pięciu centymetrach sześciennych soli fizjologicznej. To daje ci kolejne wyobrażenie o minirozmiarze tych nanorobotów. Każdy jest o połowę mniejszy od erytrocytu.

– Czyli tym się zajmowałaś przez ostatnie miesiące? Biokompatybilnością tych mikrobiworów?

– Tak, głównie nad tym pracuję, i nie bez sukcesów. Nastąpił nawet swego rodzaju przełom, gdy zasugerowałam, by wzbogacić płaszcz mikrobiworów politlenkiem etylenu. Najpierw myślałam o oligosacharydach, ale w końcu zdecydowałam się na politlenek etylenu, czyli glikol polietylenowy.

George wzdrygnął się na te słowa. Dla niego to była greka. Mgliście pamiętał termin politlenek etylenu z zajęć z biochemii na pierwszym roku – miał coś wspólnego z węglowodanami złożonymi – ale to wszystko. Żeby odwrócić uwagę od swojej ignorancji, rzucił pospiesznie:

– W domu wspomniałaś coś o obrazach z SEM<sup>3</sup>. Może mógłbym rzucić na nie okiem, żeby mieć lepsze wyobrażenie, o czym mówimy?

– Świetny pomysł – powiedziała Pia z entuzjazmem.

Poprowadziła George'a do najbliższego stanowiska komputerowego i kliknęła kilka razy, wyświetlając zdjęcie. Odeszła na bok i z dumą wskazała na ekran. Zdjęcie było czarno-białe i ukazywało liczne, ciemne i błyszczące struktury obok większego obiektu, przypominającego kształtem pączka.

– Ten jeden to erytrocyt – wyjaśniła. – Reszta to mikrobiwory.

George podszedł, żeby się przyjrzeć. To, co zobaczył, wprowadziło go w zdumienie.

– Wyglądają jak statki kosmiczne albo latające spodki z wielkimi otworami.

– Nie przyszło mi to do głowy, ale rzeczywiście, widzę podobieństwo.

– A co to za okrągłe objekty na kapsule?

– Czujniki, które wykrywają wskazane mikroorganizmy lub białka. Mają także miejsca wiązania, gdzie przyklejają się patogeny. Te maluteńkie kółka otaczające czujniki to haki, które po wysunięciu

---

<sup>3</sup> Skaningowy mikroskop elektronowy (przyp. tłum.).

przemieszczają schwytyany obiekt wzdłuż mikrobiwora z ręki do ręki, by tak rzec, aż zostanie wciągnięty do komory trawiennej.

– Do tego otworu?

– Tak. Kiedy obiekt zostaje już, nazwijmy to, połknięty, jest trawiony enzymatycznie, czyli rozkładany na nieszkodliwe produkty uboczne, które są usuwane do krwiobiegu.

– I ten cały robot jest sześć razy mniejszy od średnicy włosa? Niewiarygodne.

– Musi być tak mały, by się przecisnąć przez najmniejsze naczynie włosowate, które ma około czterech mikronów średnicy.

George wyprostował się i popatrzył na Pię.

– A skąd ten miniaturowy robot wie, co ma robić i kiedy?

– Mózg elektronowy mu mówi – wyjaśniła Pia. – Dzięki nanoelektronice ma wbudowany komputer z oprogramowaniem obejmującym 610 kilobajtów kodu, o dwadzieścia procent więcej niż miał komputer pokładowy sondy kosmicznej Cassini w misji na Saturna.

– Naprawdę nie mieści się w głowie – powiedział George i mówił serio.

– Witaj w przyszłości. Kiedy wrócimy do mnie, dam ci artykuł o mikrobiworach napisany ponad dziesięć lat temu przez Roberta Freitasę. To futurolog, który przewidział to wszystko w czasach, kiedy produkcja molekularna była tylko wymysłem z kategorii mrzonek. Artykuł jest bardzo wyczerpujący.

– Głowę daję, że nie będę mógł się oderwać. – George nie był w stanie darować sobie nutki sarkazmu. Na szczęście umknęła uwagi Pii, która przeniosła wzrok na zdjęcie mikrobiworów. Z jej postawy i wyrazu twarzy widział, jaką dumą napawa ją to, czym się zajmuje.

– Myślę, że cię wciągnie.

– I to po to ściągnęli cię tu ci headhunterzy?

– Nie. Głównym powodem był fakt, że Berman czytał o badaniach Rothmana nad pałeczką duru brzuszego, w których uczestniczyłam. Widzisz, problemem dla nanorobotów są bakterie, które mają wić. No

wiesz, taki długi przypominający bicz ogon, jak u salmonelli. Kiedy mikrobiwor połyka taką bakterię, więc zwykle nie dostaje się do komory trawiennej tylko oddziela się i krąży swobodnie w krwiobiegu, a to może wywołać bardzo poważne reakcje zapalne. Z uwagi na doświadczenie z bakteriami wiciowymi, jakie zdobyłam w pracowni Rothmana, uznano, że mogę pomóc w rozwiązaniu tego problemu.

– No i? Udało ci się?

– Pracuję nad tym. Mam już nawet pewien pomysł, ale kiedy dowiedziałam się o problemach z biokompatybilnością, to mnie bardziej zainteresowało. Trudności z wicią mają raczej charakter techniczny, kwestia biokompatybilności wymaga natomiast prawdziwego ruszenia głową. Wydała mi się większym wyzwaniem.

George tymczasem znowu się zastanawiał, jak to się stało, że on sam wylądował na Uniwersytecie Kalifornijskim.

– A kiedy dokładnie Nano złożyło ci propozycję?

– Dokładnie? Nie pamiętam, w końcu czerwca chyba, tuż przed rozdaniem dyplomów. Czemu znowu o to pytasz?

George'a załaza ponownie fala frustracji, gdy sobie uświadomił, że sam wpuścił się w maliny, przeprowadzając się do Los Angeles. Powinien był zostać w Nowym Jorku. Na szczęście zanim zdążył coś powiedzieć, drzwi do pracowni się otworzyły i weszła kobieta w kitlu laboratoryjnym: bardzo przystojna, atletycznie zbudowana i wyższa od Pii. Miała blond włosy związane w koński ogon, władczy sposób bycia i mało przyjacielskie spojrzenie, którym obrzuciła po kolei ich oboje. Potem spojrzała na podkładkę, którą trzymała w dłoni, a George z miejsca poczuł się nieswojo.

– To jest pan Wilson, jak mniemam?

– Tak, Mariel. Doktor Wilson – potwierdziła Pia.

George podszedł do nieznajomej i wyciągnął rękę.

– Miło panią poznać. George Wilson – przedstawił się, zakładając, że to przełożona, o której wspominała Pia.

Kobieta skinęła tylko głową i George zabrał dłoń jak niepyszny.

– Pan Berman wraca dzisiaj. Może nawet już wylądował. Nie lubi,

jak po firmie kręcą się obcy, co jest powodem, dla którego goście nie są tu szczególnie mile widziani. Myślałam, że to rozumiesz. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że szczególnie nie w smak będzie mu fakt, że odwiedzają cię młodzi mężczyźni, Pia. Liczymy, że będzie z ciebie w Nano pożytek. Zostałaś zatrudniona z bardzo konkretnych względów.

George zerknął na Pię. Nie bardzo rozumiał, do czego pije ta kobieta.

– George studiował ze mną medycynę w Nowym Jorku. Teraz jest rezydentem na UCLA i zatrzymał się u mnie na kilka dni. Nie wyobrażam sobie, by pan Berman dopatrywał się w tym czegoś niestosownego. I zapewniam, że nie odbije się to na mojej pracy.

Zatrzymał się u mnie, powtórzył sobie w myślach George. To była pierwsza krzepiąca wieść co do miejsca jego spania, ale milczał. Między obiema kobietami aż iskrzyło od napięcia i ewidentnie miało to coś wspólnego z relacją Berman–Pia. Być może jego przecucie i mgliste obawy koniec końców nie były bezzasadne, zwłaszcza w świetle reputacji Bermana. George doskonale wiedział, jak mężczyźni reagują na Pię, jego samego nie wyłączając. A nowy sportowy volkswagen zdecydowanie wykraczał poza zwykłe standardowe stosunki szef–pracownik.

– Co dokładnie pan Wilson robi w naszej pracowni?

– Sprawdzam kilka eksperymentów dotyczących biokompatybilności, które zaczęłam wczoraj wieczorem – oznajmiła Pia.  
– Chciałam się upewnić, że przebiegają prawidłowo. Wiedziałam, że nie zajmie to dużo czasu. Pan Wilson po prostu mi towarzyszy. Już prawie skończyliśmy.

Mariel Spallek przeniosła wzrok na George'a i obrzuciła go spojrzeniem, od którego zrobiło mu się jeszcze bardziej nieswojo. Przypomniał sobie nagle talent Pii do pakowania go w tarapaty.

– Nie omieszkałam poinformować o tym pana Bermana. – Kobieta obrzuciła ich oboje wzrokiem i wyszła.

– O co chodziło? – rzucił George, gdy zniknęła. – A może nie powinienem pytać? Odniosłem wrażenie, że ta baba usiłowała coś

zasugerować o tobie i Bermanie. A może tylko coś mi się roi?

– Pewnie lepiej, żebyś nie pytał – ucięła krótko Pia.

Była zadowolona. Miała pewność, że Berman się dowie, że przyjechał do niej mężczyzna. Być może, tak jak liczyła, ostudzi to trochę jego miłosny zapał. Jeśli zaś szło o to, co po incydencie z Mariel może sobie wyobrazić George, nie był to problem, który choć przez chwilę zaprzętał jej myśli.

## Rozdział 4

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado  
niedziela, 21 kwietnia 2013, 14.45

Przyjemne uczucie spokoju, jakie towarzyszyło Zachary'emu Bermanowi w czasie lotu samolotem, znikło bez śladu. Nie żeby pojawiły się jakieś problemy przy lądowaniu i dostawie, wszystko przebiegło gładko. Dygnitarzy przewieziono jednym z suburbanów Nano do siedziby firmy, gdzie mieli zostać zakwaterowani. Gości przymusowych dyskretnie przetransportowano furgonetką dostawczą i także rozlokowano w Nano, choć w ciut mniej komfortowych warunkach. Berman zażądał, by kierowca zawiózł go jak najszybciej do biura. Nieoficjalny układ z władzami portu gwarantował mu bezproblemowy dostęp do wszystkich części lotniska i samochód mógł go zabrać bezpośrednio z pasa startowego na drogę wylotową.

Zachary wjechał na teren Nano przez nieoznakowany wjazd. Za nim w drugiej limuzynie jechała Whitney. Gdy stanęli przed budynkiem, otworzyły się nierzucające się w oczy drzwi, ukazując niewielki korytarz. Stało tam dwóch uzbrojonych strażników po obu stronach czytelnika, gdzie wszyscy, nie wyłączając samego szefa, musieli poddać się identyfikacji tęczówki, by uzyskać dostęp do zasadniczej części siedziby. Dopełniwszy tej formalności, Berman pospieszył do swojego



gabinetu, gdzie zastał czekającą już na niego Mariel Spallek.

– Jak minął lot? – spytała.

Berman zignorował jej pytanie i zadał swoje:

– Kim jest ten facet u Pii?

Mariel wiedziała, że Zachary przyczepi się akurat do tej jednej informacji spośród wielu, które przesłała mu w e-mailu, gdy tu jechał. Była pewna, że nie wspomni nic o czwórce nowych badanych, nie uzna za stosowne wprowadzić jej w aktualny stan negocjacji finansowych, nie spyta o postępy w licznych badaniach prowadzonych w tajnych i ogólnodostępnych częściach firmy, będzie natomiast chciał usłyszeć wszystko o Pii i młodzieńcu, który jej towarzyszył.

– Nazywa się George Wilson i jest rezydentem na UCLA. Sprawdziliśmy.

– Co tutaj robi?

Mariel widziała, że Zachary bardzo się stara zachować spokój, jednak z mizernym skutkiem. Wziął do ręki notatki i raporty z biurka, udając, że je przegląda, ale oczy miał rozbiegane. Pojawienie się mężczyzny u boku Pii wytrąciło go z równowagi i Mariel po części lubowała się jego cierpieniem. Nie знаła charakteru relacji, jaka łączyła Pię z George’em, ale nie wspomniała o tym słówkiem, pozwalając, by Zachary wyobrażał sobie najgorsze.

– Powiedziała, że przyjechał na kilka dni. Studiowali na jednym roku na Uniwersytecie Columbia. Jego nazwisko pojawiło się już w wywiadzie, który przeprowadziliśmy na temat Pii przed jej zatrudnieniem: przyjaźnili się przez cztery lata, choć w raporcie brak jest wzmianki o naturze tej przyjaźni. Pojawia się natomiast informacja, że był zamieszany w całą tę aferę z porwaniem.

– Tak, pamiętam. To on miał zostać zastrzelony.

– Zgadza się – potwierdziła Mariel. – Bez dwóch zdań, jest z niego kawał szczęściarza.

Berman podniósł głowę i zmierzył ją wzrokiem. Czyżby sobie z nim pogrywała? Wiedział, że jest świadoma jego nieodwzajemnionego zainteresowania Pią i coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że

przelotny romans z Mariel, na który swego czasu sobie pozwolił, był błędem. Grubym. Uczępiła się go wtedy jak rzep i trudno było jej się pozbyć, mimo przepaści dzielącej ich pozycje. A choć została odtrącona, nadal liczyła, dawał głowę, że jego namiętność do niej kiedyś wybuchnie na nowo i tylko czekała, żeby do niego wrócić na pierwsze skinienie.

Berman tymczasem najchętniej by ją zwolnił, żeby jej widok nie przypominał mu dzień w dzień o popełnionym błędzie, ale nikt nie miał większej wiedzy o programie medycznym Nano niż Mariel. To, co wiedziała na temat jego i firmy, mogło być niebezpieczne, więc ją znosił, choć przychodziło mu to z trudem. Być może któregoś dnia to zrobi, ale nie dzisiaj. Zastanawiał się, dlaczego Spallek nie może się zachowywać równie dojrzałe jak Whitney Jones, która wiedziała, że ich współpraca jest zbyt ważna, by ją narażać na szwank z powodu kilku małych barabara.

– Chcesz się z nią spotkać? – Mariel przerwała krępującą ciszę. – Kiedy ją widziałam, a było to nie tak dawno, kontrolowała w laboratorium przebieg swoich eksperymentów w towarzystwie tego młodzieńca. Może nadal tam są.

– A jak w ogóle idą te jej badania? – Zach doskonale wiedział, co Pia robi, i był pod wrażeniem, co jeszcze rozpałało dodatkowo jego pożądanie. Miała i urodę, i inteligencję – cechy, które uważał za najbardziej podniecające, zwłaszcza gdy szły w parze u jednej osoby.

– Wygląda na to, że dobrze. Jak dotąd nie ma śladu odpowiedzi immunologicznej. Ale jeszcze się nie zakończyły.

– No tak – rzucił Zachary. Wstał. – Muszę porozmawiać z nią na temat wici. Teraz, gdy robi takie postępy w pracach nad biokompatybilnością, powinna powoli zabrać się do rozwiązania tego problemu. Po to została tu zatrudniona.

– Oczywiście. – Mariel się cofnęła, żeby przepuścić szefa. Rzecz jasna była świadoma prawdziwego powodu, dla którego postanowił się wybrać do pracowni Pii, i to tak energicznie, że szybko zniknął jej z oczu. Z ociąganiem ruszyła za nim. – Mężczyźni! Są tacy przewidywalni

– wymruczała z pogardą.

Kiedy dotarła do pracowni, Berman stał sam na środku pomieszczenia z teczką w dłoni.

– Wyszła – powiedział. – Co to jest? – Podał jej teczkę, którą z miejsca rozpoznała. Wiedziała wszystko o prowadzonych przez Pię badaniach – pomagała przy opracowaniu protokołu dla większości z nich.

– Aktualne podsumowanie wyników. Jak widać, nic nie wskazuje na reakcję immunologiczną, co dobrze wróży. Ten nowy projekt konstrukcyjny włączający cząsteczki politlenku etylenu w zewnętrzną kapsułę to przebłysk geniuszu. Ewidentnie Pia miała rację i uważam, że powinniśmy zastosować to rozwiązanie wiesz gdzie.

Mariel nie była osobą najłatwiejszą we współżyciu, ale aż do przesady uczciwą. Nie znosiła Pii z wielu powodów: jej charakterystycznej rezerwy, faktu, że to za nią szalał Berman, ale potrafiła docenić inteligencję.

– Jeśli te pozytywne rezultaty się utrzymają, myślę, że będziemy mogli zacząć rozważać przejście do badań na ssakach.

Przyglądała się Bermanowi. Wyglądało na to, że na chwilę zapomniał o Pii. Rozpoznała tę minę: pojawiała się za każdym razem, gdy czynili kolejny krok w kierunku przełomu, którego tak wypatrywał. Jego twarz wyrażała coś więcej niż tylko pełną ekscytacji nadzieję na ogromne zyski. Malowało się na niej pragnienie.

## Rozdział 5

Mieszkanie Pii, Boulder, Kolorado  
niedziela, 21 kwietnia 2013, 15.30

George brał prysznic, a Pia siedziała na sofie i przeglądała te same wyniki, które przed chwilą oglądali Berman i Mariel. Były z pewnością korzystne. Na tyle dobre nawet, że spodziewała się, iż wkrótce zostanie poproszona, jeśli nie zmuszona, do zajęcia się na powrót zagadnieniem wici, i powędrowała do niego myślami. Jak wcześniej tłumaczyła George'owi, miało ono bardziej techniczny charakter i jej zdaniem rozwiązanie też będzie musiało być techniczne.

Oczyrna wyobraźni odmalowała sobie w głowie bitwę, jaka rozgrywać się będzie w organizmie między bakteriami a jej ukochanymi robotami.

– Powtórz, jaka to wielkość: dziesięć do minus dziewiętej? – pytanie George'a wyrwało ją z zamyślenia. Podskoczyła, jakby walnął w czynele. Przez osiemnaście miesięcy, odkąd mieszkała w Boulder, nigdy nie miała u siebie gościa.

Zerknęła na niego szybko. Stał w drzwiach, owinięty luźno jej jedynym dużym prześcieradłem kąpielowym. Przygotowała mu wcześniej mały ręcznik, których miała kilka, ale najwyraźniej nie wystarczył. Własna przestrzeń i rzeczy były dla niej obsesyjnie ważne.

W placówkach opiekuńczo-wychowawczych, w których spędziła dzieciństwo, musiała o nie walczyć.

– Nanometr to ile dokładnie? – dopytywał się George.

– Tak, zgadza się, jedna miliardowa metra – potwierdziła. Zamknęła oczy i policzyła w myślach do dziesięciu. Widok George'a w jej ręczniku ją irytował, jak zresztą cała jego obecność tutaj. Co, u licha, ona z nim pocznie aż do wtorku? – Wyobraź sobie na przykład, że nanometr ma się tak do metra jak kulka do gry do kuli ziemskiej. Albo że ludzki paznokieć rośnie w tempie jednego nanometra na sekundę.

– Niesamowite. Dopiero teraz do mnie dotarło, o jak niewielkich wielkościach mówimy.

– Cieszę się – rzuciła Pia z nutką sarkazmu, która jednak umknęła George'owi.

– Jeszcze wczoraj tak naprawdę nie wiedziałem nic o nanotechnologii. A ty twierdzisz, że za kilka lat piętnaście procent całej produkcji będzie w tej czy innej formie z niej korzystać?

– Może już nawet za trzy lata. W 2011 wartość produkcji nanotechnologicznej przekroczyła pięćdziesiąt miliardów dolarów w skali roku. Teraz wynosi około siedemdziesięciu.

– I kto reguluje ten rynek?

Pia zabębniła palcami o poręcz sofy. Społeczne i polityczne zagadnienia związane z nanotechnologią jej nie interesowały. Dla niej była to nauka, wyjątkowo obiecująca dziedzina nauki.

– Nie wiem, George. Nie wydaje mi się, by istniały jakieś uregulowania.

– Chodzi mi głównie o te nanocząsteczki, o których wspominałaś po drodze z firmy: te całe fulereny Buckminstera i nanorurki. Skoro są tak małe, wyobrażam sobie, że mogą łatwo wnikać do organizmu przez płuca lub nawet skórę. Wydaje mi się, że powinno się wziąć pod uwagę ewentualne zagrożenie dla zdrowia lub środowiska, zwłaszcza jeśli te nanotwory są tak stabilne, jak mówiłaś.

– Pewnie masz rację – przyznała Pia, ale myślami była już przy problemie wici. Zaczynało jej powoli świtać potencjalne rozwiązanie.

– No i te mikrobiowory, nad którymi pracujesz. Sądzisz, że one są bezpieczne?

Pia przewróciła oczyma: pod zalewem pytań George'a wszystkie sensowne myśli ulatywały jej z głowy.

– Od osiemnastu miesięcy nic innego nie robię, tylko usiłuję dowieść ich bezpieczeństwa.

– Niezupełnie. Jak dotąd usiłujesz się tylko upewnić, że nie wywołują reakcji immunologicznej w organizmie. A to nie wyklucza jeszcze ich szkodliwości. Co jeśli zaczną robić coś, czego się nie spodziewacie, na przykład przegryzać kapilary albo pożerać erytrocyty? Mogłyby przecież łatwo zmienić się w nienasycone miniaturowe żarłaczki – zachichotał z własnej, zabawnej, jak mu się wydawało, metafory. Energicznie suszył włosy, udając, że nie jest świadom swojej nagości.

– Jak ci już tłumaczyłam, zostaną specjalnie zaprogramowane na niszczenie bakterii, wirusów, grzybów i, miejmy nadzieję, patogennych białek. Nie ma możliwości, by wymknęły się spod kontroli. Każdy mikrobiowor ma wiele systemów awaryjnych zabezpieczeń, jak odrzutowiec, i można go włączać i wyłączać na odległość za pomocą ultradźwięków. Naoglądałeś się zbyt wielu złych filmów katastroficznych i ponosi cię wyobraźnia.

– A co, jeśli te piłki i nanorurki po prostu wywieje z laboratoriów i wiatr je gdzieś poniesie. Ktoś wziął taką możliwość pod uwagę?

– Wszystkie laboratoria w Nano, które zajmują się nanotechnologią medyczną, są odpowiednikami biolabów o trzecim stopniu bezpieczeństwa, takim samym jak te w Columbii, gdzie pracowaliśmy nad pałeczkami *Salmonella* z hodowli kosmicznej. No, może wyposażenie jest tu nowocześniejsze. Posłuchaj, jesteśmy dopiero na początku badań nad bezpieczeństwem mikrobioworów, ale na pewno nie odwalimy ich po łebkach, bo nie dostaniemy zgody FDA. Możesz być spokojny, że zostaną dopuszczone do użytku terapeutycznego, dopiero gdy nie będzie żadnych wątpliwości co do ich absolutnego bezpieczeństwa.

Wzmianka o laboratorium Uniwersytetu Columbia niespecjalnie uspokoiła George'a. Promotor Pii zginął na skutek zatrucia substancją radioaktywną w tamtejszym laboratorium BSL3. Zdaniem George'a pracownie prowadzące najnowsze badania były niebezpieczne. Patrzył na Pię, która przeniosła już wzrok na trzymane w dłoni papiery. Nie mógł wyjść z podziwu, że wygląda tak świetnie, w stroju do biegania i z włosami potarganymi przez wiatr. Dopiero teraz zauważył, że skróciła je o kilka centymetrów. Gdy tak stał wpatrzony w nią z zachwytem, z trudem się powstrzymywał, by nie podejść i jej nie dotknąć. Właśnie gdy się zastanawiał, czy jednak nie zbliżyć się do sofy, rozległ się dzwonek iPhone'a Pii i przywrócił go do rzeczywistości.

– Może skończysz toaletę w łazience i się ubierzesz? – rzuciła Pia, nie podnosząc głowy znad telefonu. – Też chciałabym wziąć prysznic i się przebrać. – To był kolejny SMS od Bermana. W ciągu ostatnich dwudziestu minut wysłał jej już trzy, każdy o podobnej treści: żeby zadzwoniła jak najszybciej. Westchnęła. Obecność George'a nie odstraszyła Bermana, wręcz przeciwnie: kolejne SMS-y stawały się coraz natarczywsze w tonie.

Po raz kolejny pożałowała tych kilku obiadów, na które pozwoliła się zaprosić Bermanowi. Powinna była mieć więcej rozumu: знаła jego reputację i stan cywilny. Ale była wtedy przekonana, że to plotki rozpущane przez niektóre kobiety, uważające go za rewelacyjną partię. I naprawdę dobrze się bawiła podczas tych paru wyjść. Berman zachowywał się bardzo rzeczowo, opowiadał o swym pragnieniu dokonania przełomu w medycynie za pomocą nanotechnologii, nadziei na znalezienie skutecznej terapii na raka i chorobę Alzheimera. Choć nie wchodził w szczegóły, a Pia nie dopytywała, dał do zrozumienia, że jego zainteresowania mają tło osobiste.

Podczas tych pierwszych niezobowiązujących obiadów wydał się Pii inny niż mężczyźni, z którymi wcześniej miewała do czynienia. Nie pozwolił sobie na żadną seksualną wycieczkę, a jedyne co bardziej osobiste uwagi dotyczyły jej pasji badawczej i jego radości, że zdecydowała się odłożyć swoją rezydenturę i studia doktoranckie, żeby

przyjechać do Boulder pomóc przy programie mikrobiworów, który, był pewien, przyniesie rozgłos całej firmie.

Odbyli jeszcze kilka takich przyjacielskich obiadów, ale potem, ni stąd, ni zowąd, zaczął przysyłać prezenty. Najpierw kwiaty, potem drogie wino, czekoladki i biżuterię, w końcu samochód. Z wyjątkiem bukietów, które trudno było odsyłać, zatrzymała tylko samochód, bo ułatwiał jej pracę. Teraz jednak już wiedziała, że auto też musi zwrócić. Ostatnim razem, kiedy spotkali się prywatnie, doszło do nieprzyjemnego zajścia: wyznał jej, że zupełnie stracił dla niej głowę, i usiłował wepchnąć się do jej mieszkania. Udało jej się uwolnić bez uciekania się do znajomości sztuk walki. Swego czasu w instytucji poprawczej, w której spędziła część dzieciństwa, opanowała świetnie taekwondo. Jednak tamtego wieczoru była dumna z siebie, że wybrnęła z sytuacji, nie narażając na szwank godności szefa. Do incydentu doszło tydzień przed jego podróżą do Chin. Teraz Berman wrócił i usiłował się z nią skontaktować, niepomny na fakt, że Pia gości u siebie mężczyznę.

– Jakie masz plany na popołudnie?

– Zamierzałam się zdrzemnąć – powiedziała. Poczuli się nagle wyczerpana po zarwanej nocy. Postanowiła zignorować ostatni SMS od Bermana, podobnie jak trzy poprzednie. Była pewna, że chce ją wysondować na temat George'a. Wiedziała też, że George ze swej strony przebiera nogami, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Bermanie. Uznała, że może najlepiej będzie pozwolić, by obaj póki co myśleli, co im tylko podsunie wyobraźnia. A kilka godzin snu naprawdę dobrze jej zrobi i pozwoli nabrać trochę dystansu. W końcu niedziela powinna być dniem odpoczynku.



## Rozdział 6

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado  
niedziela, 21 kwietnia 2013, 18.04

Mężczyzna przebywał w tym dziwnym miejscu dopiero od kilku godzin, kiedy wyciągnięto go z głębokiego snu, dano strój sportowy i zaprowadzono do pokoju, w którym stał teraz. Nieznany mu rodak w garniturze, ale nie jeden z czwórki, która leciała z nimi w samolocie, zapewnił go, że wszystko jest w porządku, chcą tylko, by przeszedł kilka testów na rowerze stacjonarnym. Sprawiał wrażenie życzliwego, jednak nie wyjaśnił, gdzie się znajdują. Akcent wskazywał, że pochodził z innej prowincji niż jego własna.

Mężczyzna zlustrował wzrokiem jaskrawo oświetlone pomieszczenie: rower, półki wypełnione rzędami aparatury z migającymi światełkami. Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie jest. Wiedział tylko, że na terenie Stanów. W pokoju znajdowało się jeszcze czworo nie-Chińczyków w strojach medycznych, czepkach i maseczkach na twarzach, którzy sprawdzali sprzęt. Człowiek, który wykonał im zastrzyk, zaraz gdy tu dotarli, wyglądał podobnie. Jeden z nich coś powiedział i nadeszła pora, by wsiąść na rower.

– Ustawiliśmy rower na takie same parametry jak podczas wczorajszej jazdy – oznajmił jeden z ludzi w maseczkach.

– Dobrze. To tylko kontrola. Musimy sprawdzić, czy ten poranny incydent to była odosobniona anomalia, czy też mamy problem systemowy – powiedział inny.

Kierował zespołem, więc wskazał chińskiemu badaczowi, że czas zaczynać. Ten wyjaśnił rowerzyście, że będzie czuł, jak rower naprzemiennie przyspiesza i zwalnia, a jego zadanie polega tylko na trzymaniu się tego tempa. Badanie ma na celu ocenę wpływu wysiłku fizycznego na jego organizm.

– Powiedz mu, że nie ma powodu do obaw – poprosił szef zespołu i jeden z mężczyzn w maseczkach rzucił mu szybkie spojrzenie. – Miejmy nadzieję – dodał cicho szef.

Badany zaczął pedałować. Wcześniej zauważył, że do tylnego koła podłączona jest aparatura, i teraz już wiedział dlaczego. Pedaly obracały się bardzo szybko i mężczyzna musiał się wyężyć, żeby nadażyć. Zdarzało mu się już wcześniej jeździć na rowerze, ale tym razem przychodziło mu to z dużo większą łatwością. Pomyślał, że jeśli to wszystko, czego od niego będą wymagać, poradzi sobie bez problemu. Nawet się nie zdyszał.

– Dobrze. Na jakim etapie jesteśmy? – spytał szef zespołu po kilku chwilach.

– Zbliżamy się do punktu krytycznego.

Parametry życiowe badanego nie odbiegały od normy. Może incydent z rana był jednak tylko wypadkiem.

Rowerzysta tymczasem czuł coś bliskiego euforii. Chciał, żeby maszyna podniosła poprzeczkę: to tempo to była dla niego pestka! Popatrzył po twarzach obserwujących go ludzi i ucieszył się, że wyglądają na zadowolonych. Był pewien, że jeśli tylko spełni ich wymagania, będzie mógł liczyć na odzyskanie wolności.

Kiedy opór wzrósł, zaczął pedałować jeszcze energiczniej – już prawie czuł się wolny, ale nagle ni stąd, ni zowąd poczuł, jakby na szyi zacisnęła mu się pętla. Jęknął i zwymiotował w maskę tlenową, którą

miął na ustach.

Technicy i medycy zaczęli pokrzykiwać jeden przez drugiego. Parametry życiowe prawie się załamały: wyglądało na to, że serce mężczyzny nie wytrzymało. Szef zespołu przyglądał się biernie temu zamieszaniu. Wiedział, że wydarzyło się dokładnie to samo co kilka godzin wcześniej, i już się zastanawiał, co powie swojemu przełożonemu. Poranny incydent nie był anomalia, tylko prawdziwym problemem, który będzie trzeba rozwiązać.

## Rozdział 7

Dom opieki w Valley Springs, Louisville, Kolorado  
niedziela, 21 kwietnia 2013, 19.15

Kobieta popijająca herbatę nie miała pojęcia, kim on jest. Wiedział o tym i już go to nie dziwiło ani nawet nie wytrącało z równowagi. Jeśli istnieje jakiś Bóg, myślał, ma bardzo ponure poczucie humoru. Ludzie nie powinni kończyć tak życia.

Przyzwyczał się już do procedury, która każdorazowo poprzedzała moment, zanim ją zobaczył, ale nadal nie rozumiał, po co te wszystkie mecyje. Kiedy on czekał w holu domu opieki, młody pielęgniarz czynił przygotowania do wizyty: porządkował pokój kobiety, upewniał się, że jest odpowiednio ubrana i siedzi wygodnie, nalewał tę przeklętą herbatę do dwóch filiżanek, z których ta stojąca przy krześle mężczyzny pozostawała zawsze nietknięta. Jakie to wszystko ma niby znaczenie? – zachodził w głowę gość. Niespecjalnie dbam o to, jak ona wygląda, a nawet gdyby pojawiła się jakaś krępująca sytuacja, ona i tak jej nie zapamięta.

Zachary Berman obserwował swoją matkę, która wyglądała przez okno. Na zewnątrz znajdowało się drzewo z karmnikiem dla ptaków i przez większą część roku siedziała przed nim całymi dniami i patrzyła, jak ptaki przylatują, dziobią jedzenie i kłócą się o co lepsze miejsca.

Kobieta odstawiała filiżankę na spodeczek i przeniosła wzrok na syna. Zachary sięgnął za siebie i wziął z komody ramkę na zdjęcia, która latami stała w ich domu w New Jersey. Była za duża do tego pokoju, ale uważał, że matka powinna mieć wokół siebie jak najwięcej drobiazgów przypominających rodzinę. To było jeszcze zanim zupełnie straciła kontakt ze światem.

W ramce znajdowało się dziesięć małych fotografii: ślubne zdjęcie rodziców, fotki Zachary'ego i Jonathana z czasów dzieciństwa, zdjęcia ich własnych potomków. Wyciągnął ramkę w kierunku matki i wskazał zdjęcie brata.

– To Jonathan, Susan. Pamiętasz Jonathana? Miał dziesięć lat, kiedy zrobiono to zdjęcie. Pamiętam ten dzień bardzo dobrze.

– Dlaczego pamiętasz? – spytała.

Zachary nie wspominał już w jej obecności, że jest jego matką, a Eli był ojcem, jako że bardzo ją to denerwowało.

– Pamiętam, bo to ja je zrobiłem. Pojechaliśmy do Poconos latem, żeby obejrzeć obóz. Pożyczyłem aparat fotograficzny i zrobiłem to zdjęcie. Widzisz, jak Jonathan się uśmiecha? Uwielbiał tę fotkę, należała do jego ulubionych.

– Skąd wiesz?

– Bo mi powiedział, Susan.

– Która godzina?

– Po siódmej wieczorem. A dlaczego pytasz?

– No, a jaki dziś dzień, do cholery?

– Niedziela.

– Mój program się zaczyna. O siódmej. – Susan podjęła na nowo swoją obserwację tonącego w mroku wewnętrznego dziedzińca. – Nie mogę go przegapić.

W drzwiach pojawił się pielęgniarz.

– No i jak pan ocenia jej stan? – spytał.

– Taki sam jak kilka tygodni temu, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Wy zauważyliście jakąś zmianę?

– Robi się coraz częściej i coraz bardziej niespokojna – odpowiedział

pielęgniarsz. – Obsesyjnie chce oglądać jakiś program w telewizji, ale nie wiemy jaki. Wie pan, że w zeszłym tygodniu usiłowała wyjść schodami pożarowymi? Szkoda, że tak naprawdę niewiele możemy dla niej zrobić.

Bermana zdziwiła ta otwartość, ale młodzieniec miał rację. Matka była w szponach Alzheimera, jej mózg zanikał, a razem z nim osobowość, wszystko, co swego czasu czyniło z niej Susan Berman. Na dobrą sprawę Susan Berman już została wymazana i zastąpiona przez tę potwornie zredukowaną jej wersję, która wkrótce miała stracić kontrolę nad wszystkimi funkcjami organizmu. Znajdowała się teraz na poziomie małego dziecka, choć to też nie była właściwa analogia: Berman uważał, że stoi nawet niżej.

Dzięki drobiazgowemu zgłębieniu tematu wiedział, co dokładnie dzieje się z głową jego matki. Mózg jest zbiorem neuronów, czyli komórek nerwowych, między którymi odbywa się nieustanna transmisja danych i informacji. Myśli, pomysły, wspomnienia, pamięć – jak na przykład zdolność rozpoznania żyjącego syna – to wszystko daje się sprowadzić do chemicznych albo elektrycznych oddziaływań między neuronami. U niektórych osób, takich jak Susan, ta komunikacja interneuronalna ulega zakłóceniu, blokowana przez patologiczne struktury: blaszki amyloidowe utworzone z białka zwanego beta-amyloidem albo spletki neurofibrylarne także tworzone przez nieprawidłowe białko tau. W obu przypadkach złogi tych patogennych białek są tak duże, że zaburzają neurotransmisję, niszcząc mózg neuron po neuronie. Normalnie funkcjonujące białko tau wspomaga odżywianie i stabilizację komórek nerwowych, ale w pewnych okolicznościach ulega nadmiernej agregacji wewnątrz neuronu, niszcząc mikrotubule, z których jest zbudowany.

Berman wzdrygnął się, gdy w myślach zobaczył siebie siedzącego na miejscu matki. Dom opieki był czysty i dobrze prowadzony, a mimo to śmierdział starymi, niedołączonymi ludźmi, moczem i Bóg jeden wie czym jeszcze. Nie cierpiał widoku matki w takim stanie, nie cierpiał przebywania w tym przygnębiającym miejscu, a mimo to tu przychodził

– choć matka go już nie poznawała ani nie pamiętała, że u niej był.

Patrząc na nią, czuł narastający niepokój i konieczność przyspieszenia prac nad mikrobiworami. Terapia musiała być gotowa, gdy u niego pojawią się pierwsze objawy, może nawet jeszcze wcześniej. Za każdym razem, kiedy nie mógł sobie czegoś przypomnieć, odchodził od zmysłów, że już się pojawiły. Kilka godzin wcześniej, gdy siedział w samolocie, umknęło mu nazwisko ulubionego aktora. Dopiero gdy dotarł do swojego gabinetu w Nano, ni stąd, ni zowąd zamajaczyło mu w głowie – Tom Hanks – i uśmierzyło jego niepokój.

Wierzył w to, że mikrobiwory okażą się remedium na alzheimera, ponieważ teoretycznie mogły działać w mózgu, rozpoznając i niszcząc wadliwe białko tau i blaszkę amyloidową. Ale jeśli prace badawcze jego zespołu miałyby przebiegać zgodnie z ogólnie obowiązującymi procedurami, czekały ich lata pracy i konieczność intensywnego zabiegania o ogromne fundusze, co wystawiało na próbę jego kreatywność. Jednak teraz znalazł wreszcie stałe źródło finansowania. Musiał się tylko upewnić, że kurek pozostanie otwarty, a to znaczyło, że potrzebowali rezultatów.

– Kim pan jest?! – wrzasnęła nagle Susan. – Co pan robi w moim pokoju? Niech się pan wynosi. – Na odgłos jej krzyków natychmiast nadbiegł pielęgniarz.

Zachary milczał w czasie całej tej tyrady. Podobne zdarzały się już wcześniej i nic, co wtedy mówił, nie było w stanie jej uspokoić. Pomocny był tylko pielęgniarz, którego w jakimś stopniu rozpoznawała. Ułagodził ją i wróciła do obserwowania ptaków.

Po swoich pierwszych sukcesach w obrębie niemedycznej nanotechnologii Berman poczynił ogromne inwestycje i zatrudnił najlepszych specjalistów, na jakich było go stać, żeby firma mogła się zacząć rozwijać również na polu medycyny. Kluczowe były ich przełomowe osiągnięcia w zakresie produkcji molekularnej. To Berman wpadł na pomysł naśladowania sposobu, w jaki żywe komórki wykorzystują rybosomy do produkcji białek, co pozwoliło firmie wysforować się zdecydowanie na czoło w produkcji nanorobotów. I to z

powodu jego osobistej obsesji i nacisków pierwszym dzieckiem tej metody był mikrobiwor: urządzenie, które teoretycznie zostało zaprojektowane ponad dziesięć lat wcześniej.

Jednocześnie z projektem badawczym mikrobiworów Berman wdrożył prywatne badania nad chorobą Alzheimera. Wielu zatrudnionych w Nano naukowców pracowało na jego zlecenie nad testami diagnostycznymi, czemu przyświecało założenie, że wczesne wykrycie patologicznych złogów białek zwiększa szansę spowolnienia rozwoju demencji. Wydawało się to logiczne. To wtedy też Berman kazał przeprowadzić sobie badanie na obecność genu *ApoE4*, którego wyniki tylko nasiliły jego lęk.

Kiedy za oknem pokoju matki zaczął zapadać zmrok, podniósł się powoli. Naprawdę nie cierpiał tych wizyt. W jakiś pokrętny sposób wydawały mu się niegrzeczne wobec matki. W duchu podejrzewał, że gdyby wiedziała, jak przyjdzie jej skończyć, pierwsza powiedziała by mu, żeby jej nie odwiedzał, tylko zapamiętał taką, jaka była wcześniej jako kochająca matka.

Darował sobie próby pożegnania się i ruszył długim korytarzem w kierunku holu, oddychając płytko, żeby nie czuć odoru. Wstrząsał się z obrzydzenia i gardził sobą za to, bo mało kto tak dobrze jak on był świadom cienkiej, zbudowanej z włókien nerwowych granicy, która oddzielała jego stan umysłu od stanu matki.

Kiedy w końcu opuścił dom opieki, słońce schowało się już za górami na zachodzie. Wśród gęstniejącego zmroku ruszył przez murawę na parking, gdzie czekał na niego jego aston martin.

Kiedy silnik warczał już cicho pod maską, Berman ponownie spojrzął na zegarek. Musiał wrócić jeszcze do laboratorium i dowiedzieć się, o czym tak pilnie chce z nim porozmawiać Stevens, szef zespołu badawczego od chińskiego projektu, który przysłał mu kolejną wiadomość tekstową. Brzmiała trochę złowieszczo, a Berman nie lubił takich niespodzianek. Pełen złych przeczuć ruszył ostro z piskiem opon jak zbuntowany podrostek.



## Rozdział 8

Mieszkanie Pii, Boulder, Kolorado  
poniedziałek, 22 kwietnia 2013, 6.15

George poruszył się na nierównej sofie Pii i poczuł ból w plecach. Odkąd się położył spać, budził się tak mniej więcej co pół godziny i wiercił, żeby ułożyć się wygodniej, ale z marnym skutkiem. Teraz wiedział podświadomie, że już nie uda mu się zasnąć. Zerknął na zegarek: było wcześniej według czasu Kolorado, ale jeszcze wcześniej według jego wewnętrznego zegara, który do tej pory nie przestawił się z czasu pacyficznego. Minęła chwila, zanim sobie przypomniał, gdzie się znajduje. Potem usłyszał odgłos odkręcanego prysznica, zatem najwyraźniej Pia już była na nogach i szykowała się do pracy. Zastanawiał się, czyby nie pójść do łazienki i nie porozmawiać z nią, gdy się kąpała, ale stchórzył. Uznał, że potraktowałaby to jako naruszenie prywatności, a nie wyraz sympatii. Nie zaprosiła go poprzedniego wieczoru do swojej sypialni, co było jasnym komunikatem, że chce zachować dystans. Położył się z powrotem.

Jak dotąd jego wizyta niezupełnie przebiegała, tak jak planował czy miał nadzieję. Oczywiście wiedział, że pojawił się tu bez zapowiedzi ani zaproszenia, liczył jednak, że Pia okaże większą radość i gościnność. Wprawdzie pozwoliła mu się zatrzymać w swoim mieszkaniu, ale przez

większość poprzedniego wieczoru zachowywała się tak, jakby go tam w ogóle nie było. Jej drzemka okazała się niemal snem zimowym. Trwała w sumie trzy godziny i w pewnym momencie George zaczął się nawet zastanawiać, czy Pia w ogóle zamierza wstać przed nadejściem rana. Ponieważ decyzję o przyjeździe podjął spontanicznie i bez większego namysłu, nie zabrał ze sobą nic do czytania. W mieszkaniu nie było telewizora ani nawet radia, więc słuchał muzyki na swoim iPodzie i z nudów zaczął przerzucać podręczniki immunologii, których stos leżał na stole w jadalni, ale trudno było je uznać za lekturę szczególnie ciekawą.

Pia w końcu wyłoniła się z sypialni w szlafroku o ósmej wieczorem, zaraz po zachodzie słońca, niczym jakaś wampirzyca, pomyślał zirytowany. Ewidentnie nie była w najlepszym nastroju ani nastawiona na konwersację. To wyraźnie depresyjne zachowanie zwiększyło dodatkowo jego niepokój. Jeszcze w Los Angeles zaczął mieć obawy o stan przyjaciółki, a obraz jej życia w Boulder niespecjalnie pomógł je rozwiać.

Nie umknęło jego uwagi, że ewidentnie zaniedbywała podstawowe potrzeby życiowe: niemal pusta lodówka i zupełny brak rzeczy osobistych w mieszkaniu były tego wyraźnym dowodem. Zawsze zachowywała się tak, jakby wszędzie była tylko przejazdem, ale tu, w Boulder, miała mniej własnych rzeczy, niż podróżny zabrałby na jedną noc do pokoju hotelowego. No i jeszcze ta sytuacja z Zacharym Bermanem. Intuicja podpowiadała George'owi, że gość wcale nie jest taki fajowy, jak Pia usiłowała mu wmówić. Wprawdzie ostatnie, czego chciał, to naprzykrzać się jej albo nadskakiwać, bo wiedział, że natychmiast go odepchnie, pragnął jednak okazać, tylko tak, żeby jej nie zirytować, że troszczy się o jej dobro. Pozostawało pytanie, jak to zrobić.

Obudziwszy się z drzemki, Pia poszła do kuchni. Poczłapał za nią i oparty o blat patrzył, jak wyciąga z szafki zieloną herbatę i nastawia czajnik. Kiedy woda się grzała, Pia obrzuciła go wzrokiem. Wyglądała na zasną i naburmuszoną jednocześnie.

– No, George, z twojego milczenia i miny wnoszę, że gotujesz się do

jednego ze swoich kazań.

George się zarumienił. Naprawdę zaczynał wierzyć, że czyta mu w myślach.

– No... – zaczął niepewnie. – Nie trzeba być Einsteinem, żeby zauważyć, że niespecjalnie się tu zadowowiłaś.

– Co to ma niby znaczyć?

– Spójrz tylko na to mieszkanie! – Wykonał ręką szeroki gest. – To miejsce wygląda jak pokój hotelowy. Choć to chyba też jest nadużycie. Nawet w hotelach jest więcej obrazów na ścianach. Daj spokój, Pia. Martwię się o ciebie. Minęły już dwa lata od traumy, którą przeszedłaś, a ty zaszyłaś się tu w odosobnieniu i na dobrą sprawę odcięłaś się od reszty świata. To nie jest zdrowe.

– Nigdy nie byłam wielką fanką reszty świata.

– No dobrze, odcięłaś się ode mnie.

– George, nic mi nie jest. – Nalała gorącą wodę do filiżanki z zieloną herbata, ale nie zdołała znaleźć drugiej. Jeśli się tym przejęła, skrzętnie to ukryła.

– Rozumiem, że podoba ci się w Nano – ciągnął George – i nowa praca daje ci prawdziwe zadowolenie. Ale co z tym całym Bermanem?

– Do czego pijesz, George? Nie jestem z tym, jak to ująłeś, całym Bermanem. I owszem, podoba mi się w Nano. Praca jest wspaniała. Nie wyobrażaj sobie, że nie potrafię o siebie zadbać. To uwłaczające, jeśli chcesz znać prawdę.

– Nie chciałem cię obrazić, tylko okazać troskę.

Pia ucięła temat, rzucając krótko:

– Porozmawiajmy o czymś innym.

Później odmówiła, gdy George chciał ją zabrać do miasta na urodzinowy obiad. Powiedziała, że nie ma ochoty się ubierać, ale zgodziła się podjechać z nim do spożywczego na zakupy. Nadal w szlafroku, czekała potem w samochodzie, gdy George szybko kupował niezbędne rzeczy do przygotowania prostego makaronu z sosem i sałatką. Gdy wrócili, on zajął się pichceniem posiłku, a ona praniem w piwnicy. Sam obiad przebiegł nawet miło, ale Pia unikała rozmowy na

swój temat, wypytując George'a o Los Angeles i o to, czym się zajmuje na rezydenturze. Potem dała mu prześcieradło i koc, a sama położyła się w sypialni. George miał wcześniej nadzieję na najmniejszy choćby znak jakiejś bliskości, ale ponieważ taki się nie pojawił, położył się spać na sofie, zachodząc w głowę, czy kiedykolwiek uda mu się do niej zbliżyć.

Kiedy teraz, rano, usłyszał prysznic, bił się z myślami, co zrobić. Ponieważ nie potrafił zdecydować, nie zrobił nic. Udawał tylko, że nadal śpi, ciekaw, jak Pia się zachowa. Wyobrażał sobie, że stanie w drzwiach, popatrzy na niego pożądlwym wzrokiem i w końcu podejdzie, żeby delikatnie go zbudzić. Może nawet, niewykluczone, położy się przy nim na chwilę lub dwie dla uczczenia faktu, że w przeszłości może z sześć razy się kochali.

Usłyszał, jak drzwi do łazienki cicho się otworzyły. Chwilę później równie cicho się zamknęły. Przez kilka minut mieszkanie tonęło w męczącej ciszy, a George oczyma wyobraźni widział już, jak Pia skrada się do sofy. Lada chwila spodziewał się poczuć jej dotyk i odruchowo cały się naprężył. Ale dotyk nie nastąpił. George usłyszał tylko odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych.

Z pewną dozą zboląłego niedowierzania usiadł i popatrzył na drzwi mieszkania. Pia wyszła. Zerwał się na równe nogi i podbiegł do okna akurat wtedy, gdy wsiadała do volkswagena. Niestety był goły jak święty turecki, więc pomysł pomachania jej na do widzenia nie przemówił do niego od razu. Chwilę później w ogóle odpadł, bo Pia wyjechała z parkingu i popędziła w poranną dal.

George opuścił żaluzje, odwrócił się i omiół spojrzeniem pokój. No to był załatwiony.

– Jezu Chryste! – wymamrotał ponuro. Cały boży dzień rozciągał się przed nim długi i zupełnie pusty.

## Rozdział 9

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado  
poniedziałek, 22 kwietnia 2013, 6.30

Jako nadpobudliwy, chorobliwie ambitny człowiek, Zachary Berman nie potrzebował wiele snu. Budził się czasami już po czterech, ale zwykle po pięciu lub sześciu godzinach i natychmiast wstawał z łóżka. Zjadał jakiś owoc i wsiadał na stacjonarny rower. Ćwicząc, oglądał serwis finansowy Bloomberga. Potem zjawiał się w Nano zwykle na długo przed większością innych pracowników z wyjątkiem Mariel, która była główną pracoholiczką w firmie. Siedząc za biurkiem tego ranka, Berman miał nastrój pod psem. Oprócz stanu matki spokoju nie dawało mu jeszcze kilka innych spraw.

Po wizycie w domu opieki wrócił prosto do Nano, żeby się spotkać z jednym ze swoich głównych badaczy, Allanem Stevenssem, który poinformował go o śmierci drugiego kolarza, badanego numer 5. Wcześniej Berman był wściekły, że zespół pozwolił pierwszemu badanemu sforsować się nadmiernie, co wywołało zgon, ale Stevens stanowczo bronił swoich ludzi, utrzymując, że kolarz otrzymał bardzo dokładne instrukcje i sam postanowił je zlekceważyć. Kiedy przeprowadzono kontrolny eksperyment z innym badanym i potwierdziło się, że problem tkwi w programie, a nie w uczestnikach,

Berman zażądał, by szczegółowy raport na temat obu incydentów znalazł się na jego biurku w ciągu doby. Chciał wiedzieć, czy i jak oba zgony różnią się od poprzednich, które wystąpiły w trakcie trwania programu.

– Co, waszym zdaniem, stało się na poziomie komórkowym? – spytał Stevensa, zanim się rozstali.

– Nie jesteśmy pewni – przyznał naukowiec. – W pobranych próbkach stwierdziliśmy pod mikroskopem optycznym liczne zatony w śledzionie i płucach u obu mężczyzn.

– A przyczyna?

– Zakładamy, że ponownie immunologiczna.

– Może czas wykorzystać to, czego dowiedzieliśmy się ostatnio o mikrobiworach?

– Dzisiaj ma się pojawić nowa grupa, zatem oczywiście nowi badani otrzymają już zmodyfikowane środki.

– Jest w tym pewna ironia. Wcześniej myśleliśmy, że to program wytrzymałościowy pomoże programowi mikrobiworów, a nie odwrotnie.

– Tak, jest ironia – zgodził się Stevens.

Po uporaniu się z większością korespondencji, która zebrała się podczas jego pobytu w Pekinie, Berman rozparł się wygodnie w ergonomicznym, luksusowym fotelu i wbił zamyślane spojrzenie w górski pejzaż za oknem. Zastanawiał się, co powie swoim niedawno przybyłym gościom, z których żaden na szczęście nie był naocznym świadkiem ostatnich komplikacji. Wprawdzie porozumienie zakładało milcząco, że badanych uczestniczących w programie można poświęcić, ale powtarzające się zgony ewidentnie świadczyły o tym, że coś poszło niezgodnie z planem. Uznał w końcu, że nie ma sensu ich o tym informować. Miał świadomość, że pierwszego dnia w Stanach zmiana czasu da im się bardzo we znaki. Powszechnie wiadomo, że latać na wschód jest ciężiej niż na zachód, i nie było potrzeby, by ich jeszcze dodatkowo niepokoić. Zamiast tego napisał SMS-a do Whitney, prosząc, żeby przygotowała lunch dla gości w reprezentacyjnej sali jadalnej

firmy, w którym zamierzał osobiście wziąć udział razem z kilkoma członkami kierownictwa. Miała ich także poinformować, że wieczór będą mieli do własnej dyspozycji. Zamierzał spędzić ten czas ciekawiej.

Szybko wystukał kolejną wiadomość tekstową, tym razem do Mariel, z prośbą, by do niego przyszła. Dawał głowę, że jak zwykle jest gdzieś na terenie laboratoriów.

Dokładnie trzy minuty później stanęła w drzwiach gabinetu. Była jedną z trzech osób, które za pośrednictwem zewnętrznego czytnika miały dostęp do tego pomieszczenia. Drugą był sam Berman, a trzecią Whitney Jones.

– Wczoraj straciliśmy kolejnego kolarza – powiedział Berman. – To już dwóch, i to tego samego dnia.

– Wiem. Szkoda. – Mariel usiadła na jednym z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem. Założyła nogę na nogę. Pod nieskazitelnie czystym i mocno wykrochmalonym kitlem miała spodnie i jedwabną bluzkę.

– Pierwszy z nich zlekceważył protokół, choć nigdy nie powinien zostać wypuszczony samopas na zewnątrz tak szybko po otrzymaniu środków. Z drugiej strony, tej lepszej, uzyskamy dzięki temu więcej danych, jeśli chodzi o tolerancję, co będzie bardzo użyteczne. Oba incydenty dowodzą jednocześnie, że system działa równie dobrze, a może nawet lepiej, niż zakładaliśmy. Być może to organizm musi się zaadaptować, jak we wspinaczce na dużych wysokościach.

– Wiemy, co dokładnie się stało?

– Stevens uważa, że doszło do reakcji autoimmunologicznej lub przełomu hipermetabolicznego. Będziemy mieli jaśniejszy obraz, gdy wpłynie dokładny raport od zespołu.

– Chętnie poznam szczegóły.

Zapadło krępujące milczenie. Mariel zauważyła, że Berman patrzy nie na nią, lecz na ekran komputera. Czekala na nią robota, a nie miała pojęcia, po co ją wezwał. Z pewnością nie z powodu zgonu drugiego kolarza, wiedziała, że omówił już ten temat szczegółowo z Allanem Stevensem. Po chwili spytała:

– Jestem ci potrzebna do czegoś konkretnie?

– Hę? – rzucił zdeorientowany, jakby całkiem zapomniawszy o jej obecności.

– Pytałam, czy masz do mnie jakąś konkretną sprawę. W przeciwnym wypadku muszę wracać do laboratorium.

Berman przeciągnął nerwowo ręką po włosach i jeszcze raz zerknął na monitor, zanim w końcu przeniósł wzrok na Mariel.

– Tak, jest parę spraw. Po pierwsze chciałbym usłyszeć, co jeszcze wiesz o tym mężczyźnie, który przyjechał do Pii. Powtórz, proszę, jak się nazywa.

– George Wilson. Powiedziałaś mi już wszystko, co wiem. Studiowali razem.

– Byli parą? Są teraz?

Mariel poczuła tę samą lekką Schadenfreude co wczoraj. Ewidentnie obecność gościa u Pii była dla Zachary'ego jak sól sypana na ranę. I należało mu się za to, że ją, Mariel, rzucił natychmiast, gdy tylko uzyskał to, co chciał. Należał do mężczyzn, którzy uganiają się za tym, czego mieć nie mogą. Liczyły się dla niego tylko łowy i liczba ofiar, uczucia miał gdzieś.

– W raporcie sprawdzającym nie ma wzmianki na temat charakteru łączącej ich relacji – powiedziała Mariel. Z chęcią zasugerowałaby coś przeciwnego, ale nie potrafiła. Nie umiała kłamać. – Wiem tylko tyle, ile powiedziałaś mi wczoraj. Studiowali na jednym roku. On był do pewnego stopnia zamieszany w tę aferę z porwaniem. O tym też już ci wspominałam.

– Jest na drugim roku rezydentury na radiologii w UCLA?

– Potwierdził to raport sprawdzający.

– No, a jak gość wygląda?

Mariel wzruszyła ramionami.

– Opisywanie mężczyzn nie jest moją mocną stroną. Wygląda kropka w kropkę jak młody lekarz w trakcie szkolenia.

– Powiedziałybyś, że jest przystojny?

Ponownie wzruszyła ramionami.



– W stereotypowy sposób. Jakieś metr osiemdziesiąt z hakiem. Blond włosy. Dość atletyczna budowa. Nie za szczupły, nie za gruby.

– Wydał ci się atrakcyjny?

– Nie jest w moim typie, Zachary. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

Jej ton i fakt, że zwróciła się do niego po imieniu, sprawiły, że najeżył się w duchu; ta jej cecha szczególnie działała mu na nerwy. Miewał często wrażenie, że Mariel go ruga, nawet swego czasu w sytuacjach intymnych, co było słabym afrodyzjakiem. Między innymi właśnie dlatego ją rzucił. Z nią wszystko miało mechaniczny posmak musztry, nawet seks.

– Cóż, chyba będę musiał pogadać z nim osobiście, dowiedzieć się, czy jest tu z uwagi na Pię czy na Nano.

– Nasz wywiad nie ujawnił u niego żadnych powiązań z przemysłem. Ot, zwykły rezydent na radiologii.

– Radiologia, tak jak każda inna gałąź medycyny, skorzysta ogromnie na nanotechnologii. Ale zgadzam się z tobą. Prawdopodobieństwo, że to szpieg przemysłowy, jest minimalne. Mimo to chcę go poznać. Chciałbym, żebyś przekonała Pię, by dzisiaj wieczorem przyprowadziła go do mnie do domu na obiad. Tylko daj jej wyraźnie do zrozumienia, że to zaproszenie nie do odrzucenia. Wcześniej odmówiła, gdy zapraszałem ją samą, ale myślę, że z osobą towarzyszącą się zjawi.

Mariel głośno przełknęła ślinę. Była wstrząśnięta. Jeszcze minutę wcześniej radowała się ewidentną zazdrością Bermana, a tu nagle on, ni stąd, ni zowąd zaprasza gościa Pii i ją samą do siebie do domu, w którym ona, Mariel, nigdy nie była.

– Przekaż jej, że spodziewam się ich o dwudziestej – ciągnął. – I powiedz wyraźnie, że to spotkanie towarzyskie. Wyjaśnij, że wchodzi w grę tylko dzisiejszy wieczór, bo przez resztę tygodnia będę zajęty, czarując do utraty tchu naszych ważnych chińskich gości.

Mariel wstała, przyciskając podkładkę z klipssem do piersi. Popatrzyła Bermanowi prosto w oczy, ale nic nie powiedziała.

Wiedziała, że ją wykorzystuje i rozmyślnie upokarza. Była jedną z ważniejszych osób w Nano i odgrywała kluczową rolę w prowadzonych badaniach biomedycznych, a on traktował ją jak chłopca na posyłki i kazał aranżować mu jakieś chore *rendez-vous*. Z bolesnego doświadczenia wiedziała, o co mu tak naprawdę chodzi.

Bez słowa skierowała się do wyjścia. Zanim jednak dotarła do drzwi, zawołał ją. Przystanęła, ale się nie odwróciła.

– Czyli przedstawisz to tak, jak mówiłem, okay? Towarzyskie spotkanie w gronie przyjaciół. I koniecznie dziś wieczorem.

Mariel się zawahała, zastanawiając, czy się nie odwrócić i nie powiedzieć mu, żeby sam załatwiał swoje osobiste sprawy. Jednak nie zrobiła tego. Pomimo to, jak ją traktował, nadal była w nim zadurzona. Całą urazę i złość przeniosła wobec tego na Pię, tę sukę.

## Rozdział 10

Dom Zachary'ego Bermana, Boulder, Kolorado  
poniedziałek, 22 kwietnia 2013, 20.20

George zagwizdał i pokręcił głową z niedowierzaniem. Siedzieli z Pią w jej samochodzie na brukowanym podjeździe przed imponującą drewnianą rezydencją Bermana.

– Ale chata! Przypomina bardziej hotel niż dom prywatny. Ta cała nanotechnologia to musi być naprawdę opłacalny biznes.

Przez cały dzień, kiedy Pia była w pracy, George siedział w sieci, czytając o nanotechnologii w ogóle i mikrobiworach w szczególności. Skutkiem tego był teraz swego rodzaju domorosłym ekspertem. Zadał sobie nawet trud przebrnięcia przez artykuł Roberta Freitasasa, który polecała mu Pia.

– Ale to takie marnotrawstwo, bo przecież nie ma tu nawet jego rodziny – powiedziała. Dom zrobił na niej tak samo wielkie wrażenie jak na George'u, zwłaszcza grubo ciosane kamienie i wysoki dach. Usadowiony na szczycie szerokich kamiennych schodów górował nad okolicą niczym średniowieczny zamek.

– Zaskoczyło cię to zaproszenie? – spytał George.

Nie mógł się nadziwić, że został uwzględniony. Nie miał pojęcia, jaką rolę Berman odgrywa w życiu Pii i czego może się spodziewać. Na

pewno wiedział jedynie to, że gdyby przyszło co do czego, nie ma żadnych szans rywalizować jak równy z równym z kimś tak zamożnym.

– Zaskoczyło, to mało powiedziane. Byłam zszokowana – przyznała. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała, zwłaszcza że przecież dzień wcześniej zupełnie zignorowała coraz bardziej natarczywe w tonie SMS-y Bermana. Cały dzień się bała, że Zachary pojawi się nagle w laboratorium i dojdzie do konfrontacji. Ale nic takiego się nie stało. Przeciwnie, nie widziała go przez cały dzień. Kiedy się dopytywała, powiedziano jej, że jest zajęty uroczystym lunchem, jaki firma wydaje na cześć nowo przybyłych chińskich gości.

– Początkowo próbowałam się wymigać – ciągnęła – ale Mariel w ogóle nie dopuszczała takiej możliwości. I była wściekła jak osa, zupełnie jakbym schrzaniła jakiś eksperyment, choć nic takiego nie miało miejsca. Z dziesięć razy mi przypominała o obiedzie. I jeszcze zasypywała mnie pytaniami na twój temat. „Twój przyjaciel jest zadowolony z pobytu?“, „Podoba mu się twoje mieszkanie?“, „Nie zapomnij, że pan Berman chce go poznać...“

– A ty się nie domyślasz, czemu mnie zaprosił? Trochę się denerwuję.

– Nie, George, nie mam zielonego pojęcia. Ale cieszę się, że mi towarzyszysz. Gdyby nie to, na kilometr bym się nie zbliżyła do tego miejsca...

– Dlaczego?

– Nie mówiłam o tym wcześniej, bo nie chciałam cię denerwować. Ale zanim Berman wyjechał do Chin, doszło między nami do małego spięcia. Dostawiał się do mnie po zupełnie niewinnym spotkaniu. Powiem tak: umówiliśmy się wcześniej na kilka czysto służbowych obiadów. Potem jego zachowanie się nagle zmieniło, i to bez żadnej zachęty czy prowokacji z mojej strony. Postanowiłam, że nigdy już nie zostanę z nim sam na sam, koniec i kropka. Nadal cenię go jako przedsiębiorcę z wizją i szanuję to, czego dokonał na polu nanotechnologii, ale nie przyjechałam do Boulder szukać przygód, a już

na pewno nie z żonatym mężczyzną.

George pokiwał głową. Domyślał się, że coś musiało się wydarzyć między nią a Bermanem, samochód i komentarze Mariel były wystarczająco czytelną przesłanką. Doceniał szczerść Pii, ale zastanawiał się, czy aby powiedziała mu wszystko.

– Zatem – ciągnęła – cieszę się, że jesteś tu ze mną, bo zawsze chciałam zobaczyć to miejsce. Nasłuchiwałam się o nim z biurowych plotek, ale nigdy nie wyobrażałam sobie, że zostanę tu kiedyś zaproszona. Wprawdzie Berman nie istnieje dla mnie jako mężczyzna, ale mimo to mnie interesuje. Wnosi ogromny wkład w rozwój medycyny, jak Rothman, tylko w inny sposób.

George uśmiechnął się do siebie w duchu. Oświadczenie Pii, że cieszy się z jego obecności, było więcej niż wystarczającą nagrodą za ten wypad do Kolorado. Może to jednak był dobry pomysł. Rano, kiedy ku jego rozpaczy wyszła z mieszkania bez słowa, zaczął już pluć sobie w brodę, zwłaszcza kiedy po powrocie nie uznała za stosowne ani go przeprosić, ani niczego wyjaśnić.

– No chodź – powiedziała nagle. – Wsiądźmy z auta. Wie, że tu jesteśmy, otworzył nam bramę ponad dziesięć minut temu. Spróbuj się wyluzować i dobrze bawić. W przeciwieństwie do mnie umiesz przecież prowadzić towarzyskie rozmówki. No i od przyjazdu tutaj chciałeś pójść gdzieś na obiad.

Pia wygramoliła się z samochodu i George poszedł za jej przykładem, ściskając w ręku butelkę, którą przyniósł w ramach prezentu. Wcześniej w pobliskim sklepie monopolowym niemal dziesięć minut gapił się na czerwone wina, zanim w końcu wybulił na flaszkę Sonoma Syrah prawie sto dolarów, grubo więcej, niż pozwalał jego budżet.

Kiedy dochodził do szczytu schodów, kilka kroków za Pią, zobaczył, że Berman otworzył już ogromne drzwi wejściowe i czeka na progu. Miał na sobie włoską marynarkę w jodełkę z szarego jedwabiu, a pod nią jedwabny golf. Z wybruszeń w stosownych miejscach George się domyślił, że jest kulturystą, i jęknął w duchu. Gość był nie tylko

forsiasty, ale jeszcze przystojny.

– Doktor Wilson, jak mi nie mam – powiedział Berman, kiedy dotarli na poziom wejścia. Otaksował George'a, ubranego w dzinsy i idiotyczną flanelową koszulę, badawczym spojrzeniem, jakby oceniał tuczniaka. Do twarzy miał przyklejony uśmiech, który zdaniem George'a trącił bardziej okrucieństwem niż szczerością.

– Tak, we własnej osobie. Miło mi pana poznać. Eee, przyniosłem to... – Wyciągnął gwałtownie butelkę wina owiniętą w srebrny papier prezentowy w kierunku gospodarza, który skinął głową.

Podali sobie ręce, Berman wprowadził go do domu i zwrócił się do Pii:

– Nie byłeś tu jeszcze?

– Nie – odpowiedziała, uznając pytanie za zwykłe towarzyskie zagajenie. Berman doskonale wiedział, że nigdy jej nie gościł. Jeśli liczyła na szczerość, nie był to najlepszy sposób na rozpoczęcie tego wieczoru. – Piękny dom.

Berman powściągliwie, na sposób europejski, dotknął jej policzków swoimi i wprowadził ją do domu śladem George'a.

Materialny entourage rzadko robił na Pii wrażenie, ale nawet ona nie miała wątpliwości, że miejsce jest wyjątkowe. Frontowe drzwi prowadziły do wysokiego na dwa piętra holu zwieńczonego dwuspadowym dachem. Między odkrytymi gołymi belkami znajdowała się warstwa mineralnego tynku. Salon, który był jeszcze większy i miał jeszcze wyższy sufit, był wsparty na gigantycznych ręcznie ciosanych belkach, sprowadzanych, jak poinformował Berman, aż z Montany.

W drodze na środek salonu Pia naliczyła trzy ogromne kominki, w których paliły się polana wielkości George'a. Meble, równie majestatyczne, obito skórą barwy burgunda. Liczne futrzane kapy i poduszki były porozkładane w przypadkowy, ale kuszący sposób. Ściana bez kominka, cała ze szkła, wznosiła się na trzy piętra do masywnego środkowego szczytu dachu. Z boku umieszczono supernowoczesny system kina domowego i nagłaśniający. W tle rozbrzmiewała cicho muzyka poważna, ale nie sposób było powiedzieć,

skąd dochodzi dźwięk.

Berman poprowadził ich na taras na tyłach domu, z którego roztaczał się widok na tonące w księżycowej poświacie góry. Wskazał gościom duże fotele bujane z drewna i niemal natychmiast jak spod ziemi wyrósł kelner, żeby przyjąć zamówienia na drinki. George zauważył, że przyniesioną przez niego butelkę Berman odstawił na bok.

– Pia, znasz już pannę Jones – powiedział gospodarz, gdy jak na zawołanie pojawiła się Whitney.

Podobnie jak on sam, była ubrana z elegancką prostotą, która eksponowała zgrabne ciało. Włosy miała upięte w gładki kok, tak że ani jeden kosmyk nie poczynał sobie swobodnie.

George zerwał się na nogi, by zostać przedstawionym. Na tarasie panował półmrok, ale uroda kobiety nie umknęła jego uwagi. Ucieszył się, że Berman ma tak atrakcyjną przyjaciółkę.

– Panna Jones jest moją niezastąpioną asystentką. To doktor Wilson, który przyszedł z Pią. Poprosiłem pannę Jones, by nam towarzyszyła.

I to by było na tyle, jeśli idzie o atrakcyjną dziewczynę, jęknął w duchu George.

– Witamy w Boulder – powiedziała Whitney do George’a.

Podeszła i usiadła po jego prawej stronie, po lewej miał Pię. Berman, który siedział dalej, przysunął swój fotel do Pii i zaczął z nią rozmawiać. George pociągnął spory łyk wódki z tonikiem, którą mu przed chwilą przyniesiono. Uświadomił sobie nagle, że bez wsparcia alkoholu nie przetrwa tego wieczoru.

– Dziękuję – rzucił do Whitney, która założyła nogę na nogę i pochyliła się w jego stronę, dając mu odczuć swą bliskość i woń mocnych perfum. On tymczasem nadstawiał uszu, by usłyszeć, co Berman mówi Pii, ale rozmawiali zbyt cicho. Poczł jednak, że przyjaciółka zeszywniała.

– Zatem, doktorze, jak się panu podoba w Los Angeles?

Mimo że George’a ciekawiło, o czym Pia rozmawia z gospodarzem, dawał się coraz łatwiej wciągnąć w konwersację z Whitney. Pewną rolę odgrywał w tym jej dekolt, ale także fakt, że była ewidentnie

zainteresowana tym, co ma do powiedzenia, i sama też mówiła interesująco. Odpowiadając na jego liczne pytania o Nano, sypała danymi jak z rękawa, i coraz bardziej pochłonięty rozmową George nie zauważał nawet, że jego szklaneczka jest systematycznie napelniana od nowa. Poczłwał žal, kiedy w pewnej chwili przeprosiła go i zniknęła, żeby sprawdźć, co z obiadem.

Na ten znak Berman wstał, podszedł do drewnianej balustrady tarasu i wyjrzał na zewnątrz.

– Nie przypomina to Los Angeles, co, doktorze?

– Nie – odpowiedział, rzucając szybkie spojrzenie Pii. Przewróciła oczyma w odpowiedzi i nie bardzo wiedział, jak ma to rozumieć.

– Myśli pan, że LA to dobre miejsce, by się uczyć radiologii? – spytał Berman.

– Szkolenie jest na medal, ale samo miasto chyba nie bardzo przypadło mi do gustu.

– Może powinien pan zastanowić się nad przeprowadzką do Boulder – rzucił Berman nadal ze wzrokiem wbitym w górski pejzaż. – Uniwersytet Kolorado ma pierwszorzędnny program.

– Okolica jest niewątpliwie bardzo piękna – zapewnił George. Popatrzył na Pię i bezgłośnie spytał „O co chodzi”?, ale tylko pokręciła głową w odpowiedzi.

– Próbowałem namówić Pię, by opowiedziała coś o tym koszmarnym porwaniu – powiedział Berman. Odwrócił się i spojrzał prosto na George’a. – Ale nie chce o tym rozmawiać. Wiem, że pan też był w to zamieszany, co może mi pan powiedzieć?

George usiłował gorączkowo zebrać myśli i wtedy dotarło do niego, że wypił więcej, niż sądził. Zauważył wcześniej, że dzięki usłużności personelu jego szklaneczka nigdy nie jest pusta, ale niewiele z tego sobie robił. Pomimo że szumiało mu teraz w głowie, pamiętał wzburzenie Pii na wzmiankę o całej tej aferze i jej stanowczą odmowę poruszania tematu, nawet z nim. Wiedział, że musi ważyć słowa, jeśli nie chce wypaść z jej łask.

– Niewiele wiem – wyjąkał.



– O, niechże pan da spokój – rzucił Berman z odrobiną irytacji. – Rozumiem jej powściągliwość, ale nie pańską. Dla pana też było to takim przeżyciem?

– Owszem, ale głównie dlatego, że Pia znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Jestem pewna, że pan Berman wcale nie ma ochoty tego wysłuchiwać. – Pia odezwała się po raz pierwszy tego wieczoru.

– Przeciwnie. Bardzo chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Szczególnie interesuje mnie użycie polonu-210 do zgładzenia obu naukowców. Czy ustalono, skąd pochodził materiał? Z tego, co wiem, trudno go zdobyć.

– Owszem, bardzo trudno. – George uznał, że temat polonu jest stosunkowo bezpieczny. – Używa się go do produkcji zapalników w broni nuklearnej.

– Nie wiem tylko, dlaczego oboje robicie z całej sprawy taką tajemnicę. Tutaj przez kilka dni to była wielka sensacja, wałkowana non stop przez gazety i telewizję. Z tego, co zrozumiałem, to ty, Pia, odkryłaś, że przyczyną śmierci obu lekarzy był polon-210.

– Tylko to rozwiązanie pasowało do wszystkich objawów.

– Jesteś chyba za skromna. Czytałem, że zdaniem kilku analityków twoja dedukcja była genialna. Widzi pan, doktorze Wilson, właśnie takiej miary umysły mamy tu w Nano.

Berman mówił tak, jakby chciał dopiero zatrudnić Pię, co trochę skonsternowało George'a, bo wiedział, że Nano może liczyć na jej lojalność. Zanim padła jakaś odpowiedź, Whitney Jones oznajmiła, że podano do stołu.

Posiłek, jak można się było spodziewać, był wyśmienity. Berman nie wspominał już o sprawie Rothmana, za to z wielką dumą podkreślał, że jedzenie na stole pochodzi wyłącznie z lokalnej hodowli i upraw. Szczególnie rozplęwał się nad polędwicą z łosia, która stanowiła clou obiadu. George, pomimo całego skrępowania obcym i zbyt eleganckim otoczeniem, uznał, że gospodarz chełpi się niebezpiecznie: mięso było odpowiednio kruche i idealnie miękkie.

Niewiele myśląc, osuszył jeszcze kilka kieliszków czerwonego wina, z którym to zakupione przez niego nawet nie mogło się równać. Gdy obiad miał się ku końcowi, szum w jego głowie zdecydowanie się nasilił. Berman i Pia wrócili na taras, by przez wspaniałą elektroniczny teleskop podziwiać rozgwieżdżone niebo, a George przeniósł uwagę na Whitney, która została z nim w jadalni niczym wcielenie czarującej, pobłażliwej hostessy.

– No to jak to z nimi jest? – rzucił George konspiracyjnym szeptem i nachylił się do niej. Wstawił się wystarczająco mocno, by zapomnieć o konwenansach, a alkohol rozwiązał mu język. Jedno pytanie ciągle nie dawało mu spokoju i uznał, że odpowie mu na nie Whitney, której, jak mylnie sądził, wpadł w oko.

– Z nimi? – Whitney także ściszyła głos, tłumiąc uśmiech. – Co ma pan na myśli?

– Proszę posłuchać, wiem, że za dużo wypilem, i Bóg mi świadkiem, że normalnie nie zadaję takich pytań. – George wziął kolejny łyk wina.

– Jakich pytań, doktorze Wilson?

– Czy Berman sypia z Pią?

Whitney zaśmiała się cicho.

– Pyta pan niewłaściwą osobę. Nie lepiej byłoby zasięgnąć języka u Pii?

– Tak, tak, naturalnie. Ale... Niekoniecznie by mi powiedziała.

– A to czemu?

– Jest bardzo samowolna, oględnie mówiąc, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Nie znosi, gdy ktoś wtrąca się w jej sprawy. Ale mnie to interesuje i nie tylko przez zazdrość. Z tego, co wiem, nigdy jeszcze nie była z nikim w stałym związku.

– A z panem?

– Tak. – George opadł na fotel. – Dobre pytanie – stwierdził bełkotliwie. – Niestety, to dotyczy też mnie. Od czterech lat próbuję się przebić przez jej skorupę.

– Przykro mi – zapewniła Whitney. – To musi być trudne. Podziwiam pana wytrwałość.

– Nie jest łatwo.

– Chodźmy na taras – zaproponowała nagle Whitney. – Jest taki piękny wieczór. – Wstała i ruszyła, żeby dołączyć do Pii i Bermana.

George został przez kilka minut w jadalni, przekonany teraz, że najprawdopodobniej Berman sypia i z Pią, i z Whitney Jones. Potem zgromił się w myślach za to, że się przed tą drugą wygadał. Wiedział, że nawet na trzeźwo nie jest mistrzem towarzyskich rozgrywek. Pytanie, jakie zadał Whitney, stanowiło przejaw słabości, której Pia chciała go oduczyć, jeśli nie wprost, to świecąc przykładem. Nalał sobie jeszcze wina i ruszył na taras. Był już teraz wyraźnie wstawiony, kręciło mu się w głowie i musiał iść wolniej niż normalnie, trzymając się mebli, żeby nie upaść.

Na zewnątrz Berman nadal popisywał się swoim teleskopem, zgasił nawet światła w salonie, żeby widok był lepszy.

George dołączył do oglądających i wbrew sobie znowu poczuł zachwyt. Nigdy wcześniej nie widział pierścieni Saturna, które tu były wyraźne jak na dłoni. Rzuciwszy okiem jeszcze na kilka ciał niebieskich, w tym jakąś odległą galaktykę w kształcie dysku, stanął przy Pii. Alkohol nie tylko rozwiązał mu język, uczynił go także wylewniejszym, a nawet ciut zaborczym.

– Jest bardzo miło, naprawdę, ale chyba powinniśmy się już zbierać – rzucił ni stąd, ni zowąd.

Śmiałym gestem objął Pię w pasie. Zaskoczyło go, gdy nie usiłowała się jak zwykle wywinąć. Jeśli Berman to zauważył, nie dał po sobie poznać. Whitney natomiast dyskretnie pokazała mu uniesiony do góry kciuk.

– Noc jeszcze młoda – rzucił Berman w odpowiedzi na jego uwagę.

– Ale robi się późno – zgodziła się Pia. Jeśli o nią szło, już siedzieli tam za długo. – A ja mam masę pracy, jak pan doskonale wie, panie Berman.

– Zachary. Mam na imię Zachary. Możesz mi też mówić Zach.

– Dobrze. Zachary. Dziękujemy za uroczy obiad i towarzystwo. I pani także, panno Jones, dziękujemy bardzo.

– Oczywiście. Cała przyjemność po naszej stronie.

George stał u boku Pii jak przyrośnięty, dopóki ta się nie odsunęła i nie ruszyła do drzwi w towarzystwie Whitney. Berman czekał na George'a, który mozolnie wspinał się na stopień prowadzący z tarasu do domu, a potem ostrożnie szedł przez tonący w mroku salon.

– Zobaczymy pana jeszcze kiedyś? – zapytał.

– Nigdy nie wiadomo – rzucił George nonszalancko.

Przy drzwiach ucałował w policzek Whitney, która zapewniła, że miło było go poznać. Potem uściśnął dłoń Bermanowi i wziął Pię pod ramię, udając, że ją podtrzymuje, gdy schodzili po schodach. Kiedy dotarli do auta, oboje popatrzyli na dom. Berman i Jones stali w drzwiach, machając.

– Dziwny wieczór i dziwna para. – George wgramolił się do samochodu, zwałił się na siedzenie i oparł głowę o zagłówek. Odetchnął głośno jak po długim biegu.

– Zalałeś się? – spytała Pia.

– W pestkę. Tylko tak mogłem przetrwać tę nasiadówkę.

– Byłeś bardzo...

– ...pijany. I nadal jestem. O, znowu siedzimy w aucie. Chodź, spadajmy stąd.

## Rozdział 11

W drodze do mieszkania Pii, Boulder, Kolorado  
poniedziałek, 22 kwietnia 2013, 22.45

Z początku George milczał. Był napompowany winem i jedzeniem, a ruch samochodu zmuszał jego żołądek do nieprzyjemnych ewolucji. Lewym ramieniem objął Pię i choć się nie przysunęła, nie zrzuciła też ręki. Wieczór był ciężki, George padał z nóg i kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że Berman umiejętnie zaaranżował całe spotkanie tak, by zagarnąć Pię dla siebie, a Whitney Jones polecił roztoczyć przed George'em cały swój niemały urok i wdzięki. Ponownie zbeształ się w myślach za to, co jej powiedział. Zerknął skruszony na przyjaciółkę, ale była skoncentrowana na prowadzeniu auta po ciemnej, krętej drodze. Jak zwykle wyglądała pięknie. Zastanawiał się, czy Whitney powtórzy Bermanowi to, co od niego usłyszała. Jesliby tak się stało, a Berman wspomniałby potem o tym Pii, wybuchłaby wielka draka.

– O czym rozmawiałaś z Bermanem?

– Kiedy?

– Przez większość wieczoru. Ewidentnie robił wszystko, żeby cię mieć tylko dla siebie.

– Głównie o pracy, z wyjątkiem chwili, kiedy usiłował mnie wziąć na spytki odnośnie do sprawy Rothmana i mojego porwania.

– Mnie też próbował pociągnąć za język.

– Wiem. Słyszałam i muszę cię pochwalić, że się nie dałeś. Dzięki.

– Nie ma za co.

– Ale skomplementował moje eksperymenty immunologiczne z mikrobiworami.

– Nic dziwnego. Zaslugują na to. – George potrząsnął głową w nadziei, że się mu w niej przejaśni.

– Powiedział także, że chce, żebym wróciła do pracy nad problemem wici.

– A masz już jakąś koncepcję, jak go rozwiązać?

– Owszem. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się nad tym, gdy z nim rozmawiałam. Wpadł mi do głowy pomysł, żeby mikrobiwory, które mają niszczyć bakterie z wicią, zaprogramować tak, by zwijały je w kulę. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie bardzo. – George przyłożył dłoń do czoła. Zaczynała go boleć głowa i chłód ręki przyniósł ulgę.

– Tłumaczyłam ci już, że mikrobiwory są zaopatrzone w specjalne miejsca wiązania, do których przyczepiają się niszczone obiekty. Mój zamysł polega na tym, aby zaprogramować je tak, by kilkakrotnie obracały bakterię, zanim wprowadzą ją do komory trawiennej. W ten sposób więc owinie się dokoła bakterii i zostanie strawiona razem z nią. Uważam, że to pierwszorzędny pomysł. Martwię się tylko, ile kodu to pochłonie. No a tobie jak się to widzi?

– Moim zdaniem brzmi dobrze – odparł George, ale nie bardzo mógł się skupić. Tak naprawdę chciał spytać Pię o to, czy ma romans z Bermanem, jak sugerowała Whitney, ale się nie ośmielił.

– Bermanowi też się chyba spodobało, ale on nie jest naukowcem. Jego rola polega na zapewnieniu środków, w czym najwyraźniej zresztą jest świetny. Naprawdę nie wiem, jak mu się to udaje. Zasugerował, że znalazł niemal nieograniczone źródło finansowania. Niebywałe.

– Wydawałaś się świetnie bawić w jego towarzystwie.

Pia zerknęła na George'a. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że jest zazdrosny.

– A ty wydawałaś się świetnie bawić w towarzystwie panny Jones. Jest bardzo piękna, prawda?

– Może.

– Może! George, ona zwala z nóg! A ty miałeś ją całą dla siebie.

– Myślę, że Berman chciał, żeby mnie wysondowała – powiedział bardziej do siebie niż do Pii.

– Na jaki temat niby?

– Na nasz. Tego, co nas łączy. Bermanowi nie wypadałoby spytać mnie wprost. Sprawia wrażenie człowieka, który dba o pozory, więc kazał swojej asystentce wyciągnąć mnie na słówka.

– Nie wyglądało na to, żeby ci to było bardzo nie w smak.

– Masz rację. Nie było. – George’owi coś przyszło do głowy. Zastanawiał się, czy Pia jest choć troszeczkę zazdrosna.

– No i spytała cię?

– Nie wprost.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałaś zbyt wiele, zwłaszcza nic osobistego.

– Skądże – skłamał. Próbował sobie przypomnieć, co rzeczywiście chlapanął, ale nie było to łatwe. Cokolwiek to było, żałował.

– Berman przeprosił też za ten incydent, o którym wcześniej ci wspominałam.

– Miło z jego strony. Co dokładnie powiedział?

– Że jest mu przykro. Że żył ostatnio w dużym napięciu, finalizując tę umowę finansową, i że za dużo wypił. Że chce, żebyśmy zaczęli naszą znajomość od nowa, bo ceni mój wkład w prace Nano.

– Uwierzyłaś mu?

– I tak, i nie – powiedziała Pia. – Nie na tyle, by widywać się z nim towarzysko bez twojej obecności. Ale potem powiedział jeszcze coś ciekawego, czego się zresztą domyślałam.

– A mianowicie? – George usiadł prosto i próbował zebrać myśli.

– Przyznał, że za jego zainteresowaniem nanotechnologią w ogóle, a mikrobiworami w szczególności kryje się bardzo osobisty powód. I to ten powód daje mu napęd do zbierania tak ogromnych funduszy.

Uważa mianowicie, że mikrobiwory mogą zapobiegać chorobie Alzheimera oraz leczyć ją albo przynajmniej kontrolować przebieg. Jego matka, która przebywa w pobliskim domu opieki, ma alzheimera.

– To bardzo szlachetnie z jego strony.

Pia oderwała na chwilę wzrok od drogi i rzuciła George'owi badawcze spojrzenie.

– Słyszałam sarkazm?

– Nie wiem – przyznał. – Za dużo wypilem.

– Ale przynajmniej dobrego wina.

Kilka minut później Pia wjechała na parking apartamentowca. Wskoczyła z samochodu i weszła do budynku, nie czekając na George'a. Ruszył jej śladem, ale ponieważ chłodne wieczorne powietrze działało orzeźwiająco, nie spieszył się. Kiedy dotarł do mieszkania, wypił trzy pełne szklanki wody i łyknął kilka ibuprofenów, żeby zmniejszyć nieunikniony ból głowy.

Kiedy wszedł do dużego pokoju, drzwi sypialni Pii były już zamknięte, ale widział, że w środku pali się jeszcze światło. Westchnął i zaczął się rozbierać, szykując się w duchu na kolejną noc na niewygodnej sofie.

Drzwi do sypialni się otworzyły, Pia stanęła na progu i popatrzyła na niego.

– Dziękuję, że pojechałeś ze mną do domu Bermana.

– Zawsze do usług – próbował nawiązać kontakt wzrokowy, ale oczywiście uciekła w bok spojrzeniem.

– Naprawdę musisz jutro wyjechać?

– Tak. Udało mi się wywalczyć tylko dwa dni.

Po chwili wymownej ciszy jej oczy powędrowały na ułamek sekundy do oczu George'a.

– A może wejdiesz do mnie? Byłoby chyba nie w porządku kazać ci znowu spać na sofie. – Chwilę później zniknęła.

George szarpał się z na wpół zrzuconym ubraniem, usiłując doczłapać do drzwi. Nie chciał, żeby zmieniła zdanie. I teraz naprawdę już żałował, że wypił tak dużo.



## Rozdział 12

Okolice siedziby Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

wtorek, 23 kwietnia 2013, 12.30

To nie był najlepszy ranek dla Pii. Po pierwsze musiała wstać wcześniej niż zwykle, żeby zawieźć George'a na dworzec autobusowy, gdzie miał złapać autobus na lotnisko w Denver. Nie znosiła pożegnań w ogóle, szczególnie zaś takich, które niosą ze sobą ryzyko scen, George tymczasem siedział w jej samochodzie, usiłując oddalić w czasie moment rozstania. Wcześniej zaczęła się już nawet cieszyć z jego przyjazdu, zwłaszcza że dzięki temu miała okazję obejrzeć dom Bermiana, a jemu samemu dać do zrozumienia, że ma chłopaka. Jednak poprzedniego wieczoru po powrocie z proszonego obiadu, gdy powodowana nagłym napływem ciepłych uczuć do George'a chciała się z nim kochać, okazał się niezdolny do seksu przez tę masę alkoholu, którą głupio w siebie wlał. Zatem była zadowolona, że wyjeżdża, i nie mogła się już doczekać, żeby wysiadł z auta. Chciała pojechać jak najszybciej do pracy, popytać programistów z Nano o wykonalność rozwiązania problemu z wicią, na które wpadła. Kiedy George w końcu wygramolił się z volkswagena, odjechała czym prędzej, na wypadek gdyby chciał wrócić i kazać jej znowu obiecywać, że będzie w kontakcie i przyjedzie do Los Angeles.

Jakby pożegnanie z George'em nie dało jej wystarczająco w kość, ranek w pracy okazał się jednym wielkim pasmem rozczarowań. Najpierw się dowiedziała, że żaden z programistów pracujących przy programie mikrobiworów nie będzie dostępny aż do następnego dnia, a może nawet do końca tygodnia. Potem okazało się, że muchy, które tak dały Pii popalić w poniedziałek, nie opuściły jeszcze nosa Mariel. Pia musiała z nią blisko współpracować, co stanowiło wyczyn nie lada, gdy Spallek była w jednym ze swoich pasywno-agresywnych nastrojów.

Jednak najgorszym wydarzeniem poranka było nagłe pojawienie się Bermana w nietypowym dla niego jowialno-wylewnym humorku. Ku rozczarowaniu Pii wyglądało na to, że spotkanie z poprzedniego wieczoru wcale nie ostudziło jego zapału i nie powstrzymało prób szukania towarzyskiej relacji. Wcześniej miała nadzieję, że pojawiając się u boku George'a, jasno da mu do zrozumienia, że jest zajęta, ale najwyraźniej tak się nie stało. Przeciwnie, Berman nawet jakby się rozzechwiał, i to mimo obecności Mariel, co kazało Pii się zastanawiać, co dokładnie George powiedział Whitney Jones podczas ich konwersacji.

Berman zaprosił Pię na uroczystą kolację, jaką wydawał dla chińskiej delegacji, i zaproponował kino w zbliżający się weekend. Pia usiłowała się wymigać, zasłaniając się swoim gościem, ale okazało się, że nie jest to najlepsza wymówka.

– A on przypadkiem nie odleciał wcześniej rano do Los Angeles? – spytał Berman.

Przyłapaną na kłamstwie nie wiedziała, jak wybrnąć, na szczęście Berman żartem rozładował sytuację.

– Będziesz musiała wymyślić coś lepszego. Tylko weź pod uwagę jedno: obiecuję, że moje nieokrzesane zachowanie sprzed podróży do Chin już się nie powtórzy. Słowo skauta. – Podniósł do góry trzy palce na dowód szczerości. – Nie musisz odpowiadać od razu – dodał. – Przemysł to na spokojnie. Chcę po prostu okazać uznanie dla twojego wkładu w prace Nano. Nic więcej się za tym nie kryje.

Zakłopotana zgodziła się rozważyć oba zaproszenia, ale była na

siebie wściekła. Powinna była wiedzieć, że George mamle jęzorem, gdy sobie podpije.

Kiedy w końcu przyszło południe i mogła zrobić sobie przerwę, z radością opuściła laboratorium i poszła pobiegać. To była nowa Pia, która zgodnie z prozdrowotną polityką firmy zaczęła cenić ćwiczenia i ruch na świeżym powietrzu. Jeśli pracownicy dbali o kondycję i nie palili, składka na ubezpieczenie zdrowotne była znacznie mniejsza.

Zatem tak często jak mogła, a pogoda pozwalała, Pia przebierała się w firmowy strój do biegania, ozdobiony logo Nano, i wyruszała na mniej więcej godzinną przebieżkę, zwykle w środku dnia. Miała swoje przyzwyczajenia i zawsze wybierała tę samą niebrukowaną górską drogę publiczną z dala od kompleksu firmy.

Bieg pomagał jej zebrać myśli. Tego dnia akurat, utrzymując równe tempo, skoncentrowała się na ruchu i oddechu. Praca, problemy z George'em i Bermanem, to wszystko zeszło chwilowo na dalszy plan. Wdychając rześkie górskie powietrze, biegła i upajała się pracą mięśni. Słońce świeciło jej prosto w twarz na wąskim, wznoszącym się łagodnie wzniesieniu.

Sprawdziła aplikację do biegania w swoim iPhone, który miała przypięty paskiem do prawego ramienia. GPS był włączony, a program rejestrował przebieg trasy, czas i odległość. Kiedy mijała charakterystyczną schłostaną wiatrem sosnę, która znajdowała się mniej więcej na piątym kilometrze trasy, wiedziała, że ma świetny czas. Bieg ją uspokajał. Czuła się tak, jakby najmniejsza troska nie mąciła jej myśli.

I nagle na drodze z przodu zobaczyła mężczyznę. Leżał twarzą do ziemi, z wyprostowanymi nogami i ramionami wyciągniętymi na boki, jakby go ukrzyżowano i położono na drodze. Wyglądało na to, że się nie rusza, i tętno Pii, które utrzymywało się wcześniej na stałym, umiarkowanym poziomie, nagle gwałtownie przyspieszyło. Od razu wiedziała, że ten człowiek potrzebuje pomocy, ale nie była pewna, czy będzie w stanie mu jej udzielić. Uzyskała co prawda dyplom, jednak medycyna ratunkowa nie była jej mocną stroną. Lekarzem z prawdziwego zdarzenia można było zostać tylko w trakcie rezydentury,

której ona jeszcze nie zrobiła. Wiedziała aż za dobrze, że nie bez powodu lekarz-stażysta dopiero po zaliczeniu odpowiednich szkoleń praktycznych i zdaniu dodatkowych egzaminów uzyskuje prawo wykonywania zawodu.

Starając się opanować te wątpliwości, podbiegła i ukucnęła przy mężczyźnie, który miał na sobie taki sam firmowy strój do biegania jak ona i był Azjata. Szybko ustaliła, że nie oddycha, a tętno na nadgarstku jest niewyczuwalne. Przewróciła go na plecy i potrząsnęła nim mocno w nadziei, że się ocknie. Potem pochyliła się niżej i przysunęła ucho blisko do jego ust. Teraz była już pewna: mężczyzna nie oddychał! Usta miał częściowo otwarte, na wargach zauważyła ślady piany i zastanawiała się, czy nie miał czasem ataku padaczkowego.

Wiedziała, że czas odgrywa decydującą rolę, zatem nie zwlekając, ponownie sprawdziła tętno. Gdy go nie wyczuła, walnęła mężczyznę otwartą dłonią w klatkę piersiową. Zapamiętała ten manewr z jednego z wykładów. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, czemu ma służyć, ale i tak go wykonała. Potem sięgnęła po telefon i zadzwoniła po pogotowie, żeby wezwać pomoc. Dzięki GPS-owi w aparacie mogła bardzo precyzyjnie określić swoje położenie, co zrobiła zaraz po tym, jak poinformowała dyspozytora, że natknęła się na nieprzytomnego mężczyznę bez pulsu i oddechu i że nie ma pojęcia, od jak dawna może znajdować się w tym stanie.

Upewniwszy się, że karetka jedzie, podjęła resuscytację krążeniowo-oddechową. Przynajmniej pamiętała podstawowe zasady. Najpierw splecionymi dłońmi ułożonymi w dolnej części mostka wykonała trzydzieści uciśnień klatki piersiowej na głębokość pięciu centymetrów. Nie było to trudne. Mężczyzna, około czterdziestoletni, był chudy i wyglądał na wysportowanego. Wiedziała, że manewr ma na celu przepchnąć krew przez zastawki serca dalej, żeby zapewnić jej dopływ do mózgu, dopóki za pomocą defibrylatora nie uda się przywrócić krążenia.

Po trzydziestu uciśnięciach zacisnęła palcami skrzydełka nosa mężczyzny, zwalczyła wewnętrzny opór, przycisnęła swoje usta do jego

ust i wdmuchnęła mu powietrze do dróg oddechowych. Zobaczyła, że klatka piersiowa uniosła się prawidłowo. Wykonawszy dwa takie wdechy, wróciła do uciskania mostka. Po trzydziestu uciśnięciach szybko sprawdziła tętno na nadgarstku mężczyzny, a gdy nic nie wyczuła, podwinęła mu rękaw bluzy na prawym ramieniu, żeby zbadać tętno na tętnicy ramiennej, i zrobiła wielkie oczy. Na przedramieniu nieprzytomnego był wytatuowany ciąg cyfr, który przywiódł jej na myśl numery więźniów nazistowskich obozów koncentracyjnych. Szybko odsunęła tę myśl i wróciła do pomiaru ciśnienia.

Ku swojemu zaskoczeniu odniosła wrażenie, że w drugiej lokalizacji wyczuwa tętno. Z nadzieją przyłożyła wtedy palce do tętnicy szyjnej i tam tętno było na pewno. Szybkie i słabe, ale wyraźne, co mogło być dobrym znakiem, pod warunkiem że zachowane krążenie było wystarczające, by dostarczyć tlen do mózgu. Uderzyło ją też coś jeszcze: skóra mężczyzny była gorąca, ale Pia nie zauważyła śladu potu na czole. Pomyślała, że może dostał udaru cieplnego, ale zaraz odrzuciła tę ewentualność: temperatura na zewnątrz była niska.

Ten zespół sprzecznych objawów wprowadził ją w konsternację. Poza zatrzymaniem krążenia zauważyła na przedramieniu ofiary wysypkę, jakby pokrzywkę. Nie miała też wątpliwości, że mężczyzna wymiotował, bo na ziemi obok widać było wymiociny. No i jeszcze ta piana, której ślady pozostały na ustach. Obawiała się, że mimo nitkowego tętna przy tak wysokiej gorączce mężczyzna może w każdej chwili umrzeć na skutek wstrząsu, być może septycznego.

Pochyliła się, by wrócić do oddechów ratowniczych, ale gdy próbowała wtłoczyć mu do ust powietrze, nagle poczuła opór. Ku jej zaskoczeniu mężczyzna zaczął oddychać samodzielnie. Nawet zakaszał. Zmierzyła mu tętno na nadgarstku. Było mocniejsze. Chwilę potem mężczyzna się ocknął.

Popatrzył na Pię z wyraźnym zaskoczeniem i lekko nieprzytomnym wzrokiem, potem chwycił ją za rękę i mocno nią potrząsnął, jakby się bał, że nie jest prawdziwa i zaraz zniknie. Powiedział coś szybko podnieconym głosem, Pia domyśliła się, że po chińsku. Pociągnął ją

potem za ramię, próbując usiąść, ale zdołał unieść się tylko trochę i zaraz opadł z powrotem na ziemię. Wpatrywała się w niego sparalizowana, jakby zobaczyła ducha. Zszokowało ją takie gwałtowne ozdrowienie: w jednej chwili, na ile potrafiła to ocenić, nie dawał żadnych oznak życia, a już moment później oddychał swobodnie. Strzelał nerwowo na boki oczyma i wydawał się przerażony.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała, próbując go uspokoić. Zerknęła na zegarek, zastanawiając się, jak długo był bez oddechu i krążenia i kiedy przyjedzie pogotowie. Miała nadzieję, że jest już niedaleko.

Mężczyzna ponownie próbował się podnieść. A kiedy znowu mu się nie udało, powiedział coś szybko. Pia zachodziła w głowę, co usiłuje jej przekazać. Nie rozumiała języka, którego używał, ale po wyrazie twarzy widziała jasno, że jego przerażenie zamiast maleć, narasta.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła. – Nie ma powodu do obaw. Karetka już jedzie. Proszę leżeć spokojnie. – Wiedziała, że ludzie po urazach i we wstrząsie często bywają pobudzeni i niespokojni, jednak ten wyraźnie próbował wstać i odejść. Jakby się bał, że ktoś go znajdzie.

Obawiała się, że może dojść do ponownego zatrzymania krążenia, bo przecież przyczyna, która wcześniej do niego doprowadziła, nie została usunięta. Jednak minuty mijały, a mężczyzna wydawał się powoli odzyskiwać siły. Kiedy usłyszał syrenę zbliżającego się ambulansu, zaczął kręcić głową, a na jego twarzy odmalował się jeszcze większy przestach.

– Nie, nie – powiedział do Pii. To były jego pierwsze słowa po angielsku. – Proszę. – Usiadł i tym razem nie upadł.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzała Pia, trzymając dłoń na jego ramieniu. – Nie ma się czego bać. Jest pan bezpieczny.

Karetka i radiowóz miejscowej policji zatrzymały się z piskiem opon i do mężczyzny podbiegło dwóch ratowników i funkcjonariusz. Ewidentnie byli zdziwieni, widząc, że ofiara siedzi samodzielnie i patrzy dokoła rozbieganym wzrokiem.

– Jestem lekarzem – oznajmiła Pia pośpiesznie. – Może niepraktykującym, ale skończyłam medycynę. Biegałam i znalazłam go nieprzytomnego na drodze. Nie oddychał, tętno było niewyczuwalne. Przystąpiłam do resuscytacji i udało mi się uzyskać słabe tętno. Wtedy nagle się ocknął. Myślałam, że będzie we wstrząsie, ale wygląda na to, że doszedł do siebie.

Pojawienie się pogotowia i policji wywołało u mężczyzny jeszcze większy niepokój. Mówił coś głośno, gestykulował jak szalony i usiłował się podnieść. Pia dalej trzymała dłoń na jego ramieniu, nie pozwalając mu wstać.

– Ej, proszę pana, spokojnie. Co panu dolega? – spytał jeden z ratowników.

– Chyba nie mówi po angielsku – wyjaśniła Pia. – Jest bardzo wzburzony.

– Widzę. Nie możemy go zabrać do szpitala wbrew jego woli. A wygląda normalnie.

– Musi pojechać. Nie wiadomo, jak długo nie oddychał. Trzeba zbadać czynność mózgu i ustalić, co było przyczyną zatrzymania krążenia. Powtarzam, gdy go zobaczyłam, nie wykazywał oznak życia.

– Bill ma rację – wtrącił się policjant, wskazując na jednego z ratowników. – Jeśli odmawia leczenia...

– Myślę, że pracuje w tej samej firmie co ja. Na pewno słyszeliście o Nano.

– Jasne – zapewnił policjant.

– Widzicie, że ma na sobie taki sam strój do biegania jak ja. Wszyscy pracownicy Nano otrzymują podobne.

Ratownik imieniem Bill podszedł do mężczyzny z ciśnieniomierzem, ale ten coś krzyknął i próbował wyrwać się Pii.

– Próbujemy panu pomóc – zwróciła się do niego. – Musimy zabrać pana do szpitala.

Podniosła się i gdy tylko zabrała rękę, mężczyzna usiłował wstać, jednak kolana się pod nim ugięły, a wtedy wola walki częściowo z niego uszła.

– Pojadę z panem.

Pia wskazała na siebie, potem na ambulans i pokręciła wyimaginowaną kierownicą. Potem wskazała na logo na swojej bluzie, a następnie na jego. Mężczyzna skinął głową, jakby zrozumiał. Ratownicy próbowali położyć go na noszach, ale odmówił. Pomogli mu więc wstać i wprowadzili go do karetki. Tam przypięli go do noszy. Wtedy już się nie opierał, jednak Pia nadal widziała strach w jego oczach. Kiedy jechali, zrobił się wprawdzie ciut spokojniejszy, ale nadal był pobudzony. Zastanawiała się, czego się tak boi i czy jeśli rzeczywiście pracuje w Nano, co wcale nie było pewne, to w jakim dziale. Na jej oko nie wyglądał na naukowca, jednak wiedziała, że pozory mylą. Ponieważ najwyraźniej znał tylko kilka angielskich słów, musiał się czuć jak obcy na obcej ziemi. Żeby go uspokoić, ujęła jego dłoń. Był chyba wdzięczny za ten gest, bo w odpowiedzi ścisnął jej rękę.



## Rozdział 13

W drodze do szpitala Boulder Memorial, Boulder, Kolorado

wtorek, 23 kwietnia 2013, 12.55

Gdy karetka, podskakując na nierównej drodze, zjeżdżała do miasta, Pia dalej próbowała porozumieć się z mężczyzną. Odwracała jego uwagę, a ratownik korzystał z okazji, by zmierzyć ciśnienie, tętno i temperaturę pacjenta.

– Pracuje pan w Nano? – spytała. Wskazała na logo firmy na jego bluzie. – Ja pracuję w Nano – dodała, kładąc dłoń na swojej piersi. Niestety ta pantomima nie wywołała żadnej reakcji słownej pytanego.

– O rany! – Brwi ratownika podjechały do góry na widok wyniku na wyświetlaczu dousznego termometru. – Ma prawie czterdzieści jeden stopni. – Jakby niedowierzając elektronicznemu pomiarowi, przyłożył dłoń do czoła mężczyzny. – To by się zgadzało. Jest gorący jak piec.

– A co z ciśnieniem i tętnem? – spytała Pia.

– W normie.

– Udar ciepłny? Może powinniśmy spróbować go jakoś ochłodzić?

Ratownik przekazał parametry życiowe pacjenta kierowcy, który z kolei skontaktował się z lekarzami pogotowia. Potem ratownik wyciągnął worek z lodem i podał go pacjentowi, a gdy ten popatrzył na niego pytająco, przyłożył worek do własnej głowy, żeby pokazać, o co

chodzi. Mężczyzna wziął lód i z ulgą przycisnął go sobie do czoła.

– Nie rozumiem – powiedziała Pia. – On musi pracować w Nano, ale nie potrafi porozumieć się po angielsku. À propos, mam na imię Pia.

– A ja David. Za kółkiem siedzi Bill. Miło cię poznać.

– Kiedy dojedziemy do szpitala?

– Za jakieś dziesięć minut – odpowiedział David i potwierdził to jeszcze u Billa.

Pia odpięła przylepic i ściągnęła telefon z ramienia. Wybrała numer. Czekać na połączenie, musiała zaprzeć się o ścianę, żeby nie upaść w rozkołysanej karetce. Syreny nie włączono, bo ruch na drodze był niewielki, a stan pacjenta wydawał się stabilny.

– Mariel. Mówi Pia. Dzwonię z komórki. Podczas joggingu natknęłam się na leżącego na ziemi mężczyznę w naszym firmowym stroju sportowym.

– Mężczyznę? Kto to? Jest przytomny? Gdzie się teraz znajduje?

– Nie wiem, jak się nazywa. Jest przytomny, ale nie zna ani słowa po angielsku. Nie ma przy sobie żadnych dokumentów. Jesteśmy w karetce, w drodze do szpitala.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza. Pia zerknęła na wyświetlacz telefonu, żeby sprawdzić, czy ich nie rozłączyło, ale zasięg był mocny.

– Mariel, jesteś tam...?

– Pia, posłuchaj, to bardzo ważne. Dokąd jedzicie?

– Poczekaj chwilę. David, dokąd dokładnie jedziemy?

– Szpital Boulder Memorial w Aurorze.

– Boulder Memor...

– Tak, słyszałam. Boulder Memorial. W jakim stanie jest teraz ten człowiek?

– Przytomny, ale trochę splątany, pobudzony i wystraszony. Problem w tym, że, jak już mówiłam, nie zna angielskiego.

– Dobrze. Zrobimy tak. Spotkamy się na miejscu w szpitalu. Postaram się dojechać tam jak najszybciej. Ale posłuchaj, Pia, dopilnuj, żeby nikt z pogotowia go nie dotykał. Nie mają kwalifikacji. Powtarzam:

niech nikt nie próbuje go badać, rozumiesz?

– Słyszałam, ale nie, nie rozumiem. Kiedy go znalazłam, nie oddychał, nie miał tętna. I Bóg raczy wiedzieć, jak długo tam leżał i dlaczego doszło do zatrzymania krążenia. Teraz oddycha samodzielnie, ale będą musieli go zbadać. Zaniechanie tego byłoby błędem w sztuce. Co dokładnie niby mam im powiedzieć?

Mariel nie odpowiedziała i Pia ponownie spojrzała na ekran. Połączenie zostało przerwane. Próbowwała oddzwonić, ale natychmiast włączyła się poczta. Najwyraźniej to Mariel nie miała ochoty z nią dłużej rozmawiać.

Wsunęła aparat z powrotem na ramię. Przesłyszała się, czy Spallek naprawdę upierała się, by nie badać mężczyzny? Popatrzyła teraz na niego: nadal był wystraszony. Kiedy ona rozmawiała przez telefon, David usiłował zrobić mu EKG, ale mężczyzna zerwał elektrody. Nie pozwolił nawet ściągnąć sobie bluzy ani podłączyć kroplówki. Ale przynajmniej nie próbował wstać z noszy ani odpiąć pasa, którym był do nich przypięty.

David usiadł z powrotem na siedzeniu obok pacjenta. Uznał, że można zaniechać podejmowania innych działań do chwili przekazania go na SOR, bo, poza bardzo silnym niepokojem, mężczyzna nie wykazywał objawów stanu zagrożenia życia. Worek z lodem musiał przynosić mu ulgę, bo nadal trzymał go na czole.

Kiedy karetka dojechała do szpitala i zatrzymała się przed izbą, mężczyzna zaczął mamrotać coś do siebie i rozglądać się dokoła, strzelając na boki oczyma jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę. Ledwo pozwolił wwieźć się na SOR, gdzie został umieszczony w separacie, bo wysoka gorączka mogła świadczyć o stanie zakaźnym. Ale wtedy uznał najwyraźniej, że to za dużo, i próbował odpiąć pas, którym był przypięty. Kiedy mu to uniemożliwiono, bluzgnął stekiem gniewnej chińszczyzny. Nie dopuścił do siebie żadnej z pielęgniarek. Dopiero kiedy Pia, dotąd trzymająca się na uboczu, do niego podeszła, trochę się uspokoił.

Klimatyzacja utrzymywała na oddziale temperaturę dobrze poniżej

dwudziestu stopni, Pia tymczasem nadal miała na sobie tylko strój do biegania i zaczynała dygotać z zimna. Jednej z pielęgniarek zrobiło się jej żal i dała jej biały szpitalny kitel. Poinformowała ją także, że wezwano tłumacza z mandaryńskiego, niestety jedyny dostępny nie miał akurat dyżuru i mógł być na miejscu najwcześniej za godzinę.

Pia stała przy łóżku mężczyzny, uspokajając go, gdy do sali wszedł lekarz nadzorujący. Jedna z pielęgniarek powiedziała jej, że został wezwany zgodnie ze swoim stałym zaleceniem, by go zawiadamiać o każdej nietypowej sytuacji. Tym razem tą sytuacją była bariera językowa uniemożliwiająca porozumienie się z pacjentem. Ratownicy z karetki przedstawili mu przypadek jeszcze w drodze do szpitala.

Pia obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. W trakcie studiów medycznych na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku przyzwyczała się do widoku zaganianych, znękanym lekarzy z SOR-u, którzy wyglądali jak z krzyża zdjęci. Mieli zawsze podkrążone oczy, dwudniowy zarost na twarzy w przypadku mężczyzn, włosy jak po przejeździe kabrioletem w przypadku kobiet i brudne, wymięte kitle, które sprawiały wrażenie, jakby w nich spano. Przez tych kilka minut, które spędziła na SOR-ze szpitala Boulder Memorial, Pii mignęło już kilku medyków odpowiadających temu opisowi.

Mężczyzna, który wszedł, był jednak tego zupełnym przeciwieństwem. Po trzydziestce, wysoki, szczupły i proporcjonalnie zbudowany, sprawiał wrażenie wysportowanego. Zadbany i opalony górskim słońcem, pod bielusińskim kitel miał wyprasowaną białą koszulę i ładny jedwabny krawat zawiązany w idealnie symetryczny węzeł. W wystających z rękawów marynarki mankietach tkwiły spinki. Stylowe okulary nadawały mu wygląd intelektualisty. Mówił spokojnym głosem, z którego emanowała pewność siebie urodzonego przywódcy. Pia była pod wrażeniem. Niewielu mężczyzn uznawała za atrakcyjnych, ale ten do nich należał.

– Co my tu mamy? Małą zagadkę, jak słyszałem. Pacjent, który wydawał się martwy, a teraz nie może się doczekać opuszczenia oddziału. – Omiótł wzrokiem w większości pustą kartę. Odwrócił się do

Pii i przedstawił: – Doktor Paul Caldwell. Rozumiem, że to pani go znalazła.

– Tak. Mam na imię Pia.

– I, jak mi powiedziano, jest pani lekarzem.

– Tak jakby. – Pia nie chciała przedstawiać się w nieprawdziwym świetle. – Skończyłam medycynę na Uniwersytecie Columbia, ale odłożyłam rezydenturę, żeby zająć się pracą naukową.

– Rozumiem. Co może mi pani powiedzieć o pacjencie?

– Natknęłam się na niego, gdy biegałam. Najwyraźniej stracił przytomność podczas joggingu. Gdy go znalazłam, nie oddychał i nie mogłam wyczuć tętna. Nie wiedziałam, jak długo jest w tym stanie, ale podjęłam resuscytację. Zauważyłam, że jest bardzo rozpalony, a na przedramionach ma jakby pokrzywkę. Po kilku minutach czynności resuscytacyjnych ocknął się i bardzo szybko doszedł do siebie. W jednej chwili był nieprzytomny, a już chwilę później całkiem świadomy. Od tego czasu jest bardzo pobudzony.

– Czyli żadnego wywiadu nie mamy?

– Niestety. On nie mówi po angielsku, a mój mandaryński, którym, jak sądzę się posługuje, pozostawia raczej wiele do życzenia.

Paul się uśmiechnął. Pia go zaintrygowała, zwłaszcza że była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie zdarzyło mu się oglądać. Usiłował zgadnąć w myślach jej pochodzenie, ale nie potrafił. Stawiał na mieszkankę francusko-północnoafrykańską.

– Uniwersytet Columbia. Interesujące. Sam też jestem przeszczepem ze Wschodniego Wybrzeża. Skończyłem Harvard, ale rezydenturę robiłem już na tutejszym uniwersytecie. A tu, w Boulder Memorial, miałem praktyki. Zatem co pani zdaniem dolega naszemu pacjentowi... panno... pani...?

– Pia Grazdani – odpowiedziała Pia, nie zamierzając dać się tak łatwo podpuścić. – Pojęcia nie mam, co mu dolega, ale wiem jedno: kiedy go znalazłam, był w stanie zatrzymania krążenia. Przyszło mi do głowy, że może ma udar cieplny, bo był taki rozpalony, a się nie pocił. Rozwazałam także napad padaczkowy i wstrząs septyczny. Ale do

żadnej z tych hipotez nie pasowały zmiany pokrzywkowe, jakie zauważyłam na jego przedramionach, więc może była to jakaś reakcja alergiczna.

– Cóż, najlepsze, że teraz jest w całkiem przyzwoitym stanie – powiedział Paul. – Spróbujemy wykonać mu kilka badań, jeśli się uda.

Usiłował porozmawiać z pacjentem, ale ten milczał i patrzył na niego spode łba, jakby ostrzegając, by nawet nie próbował się do niego zbliżyć. Paul wyciągnął termometr douszny z kieszeni i założył kapturek ochronny. Jak dotąd jedynym niepokojącym objawem była podwyższona temperatura. Nachylił się nad pacjentem, żeby ją zmierzyć ponownie.

– Chcę tylko... hola, przyjacielu, spokojnie! – rzucił zaskoczony, kiedy mężczyzna ze złością odtrącił jego rękę.

– Może ja spróbuję – zaproponowała Pia. Wzięła termometr od Paula, pokazała go pacjentowi i włożyła sobie do ucha. Potem pozwoliła, by rzucił okiem na wyświetlacz. Następnie zmieniła kapturek na nowy i nie przestając się uśmiechać, zmierzyła mu temperaturę. Wynik ją zaskoczył – niewiele odbiegała od jej własnej: 37 stopni.

– Niewiarygodne – wymamrotała. Jeszcze niedawno pacjent miał 41 stopni. Taki duży spadek podważał prawidłowość pierwszego pomiaru.

– Może pani przeprowadzić podstawowe badanie neurologiczne? – spytał Paul. Był tak samo zaskoczony jak Pia.

– Mogę spróbować – zgodziła się niepewnie. Wzięła latarkę, którą jej podał, i zaświeciła nią najpierw w prawe, potem w lewe oko pacjenta. Źrenice zwężyły się symetrycznie. Kontynuowała badanie i choć wiele z podstawowych jego części trudno było przeprowadzić z uwagi na brak kontaktu słownego, odnosiła wrażenie, że funkcje mózgu dostępne badaniu są niezaburzone. Mężczyzna bez problemu dotknął palcem jej palca, potem swojego nosa, co potwierdziło prawidłową czynność mózdzku. Co do orientacji w miejscu, czasie i własnej tożsamości, mogła się tylko domyślać, ale miała wrażenie, że jest prawidłowa.

– Jestem pod wrażeniem pani metod – powiedział Paul z

uśmiechem. Cieszył się z towarzystwa Pii i jej pomocy przy trudnym pacjencie. Był także zaskoczony, że bez praktycznego doświadczenia radzi sobie tak dobrze. – Brak zatem uchwytnych objawów deficytu neurologicznego. Może teraz spróbujemy zrobić EKG?

W obecności Pii pacjent wyraźnie się uspokajał. Udało jej się przymocować elektrody i ich nie ściągnął. Paul uruchomił aparat. Elektrokardiogram był zupełnie prawidłowy.

– Zdumiewające – przyznał. Przestudiował dokładniej wydruk. – Jest pani pewna, że doszło do całkowitego zatrzymania krążenia? Nie widzę żadnych anomalii.

Pia wzruszyła ramionami.

– Raczej na pewno nie oddychał, nie wyczułam też tętna. Więc muszę odpowiedzieć, że tak.

– I widziała pani jakąś wysypkę na jego rękach?

– Owszem. – Pokazała na przedramiona pacjenta.

– Teraz nie ma śladu po żadnych zmianach – zauważył i Pia się zgodziła. Cokolwiek to było, zniknęło.

Pokazał mężczyźnie gestem, żeby zdjął bluzę, ale ten głośno odmówił, kręcąc przy tym energicznie głową.

– Okay – powiedział Paul. Chciał go osłuchać, ale nie zamierzał naciskać, przynajmniej na razie. Postanowił poczekać, aż pacjent oswoi się bardziej z sytuacją. – Musimy pobrać krew – powiedział do Pii. – Lepiej ja to zrobię.

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. Była ciekawa, na jakiej podstawie zakłada, że zdoła pobrać krew mężczyźnie, skoro ten nie pozwolił mu wykonać nawet tak nieinwazyjnych procedur, jak pomiar temperatury czy badanie EKG.

– Może jednak ja spróbuję?

– Ale nie jest pani ubezpieczona.

Popatrzyła na niego zbита z tropu. Ta uwaga była ni przypiął, ni przyłatał.

Paul roześmiał się na widok konsternacji malującej się na jej twarzy.

– Tylko żartowałem. Jasne, że gość nie dopuści mnie do siebie nawet

na krok. Na pewno pani musi to zrobić.

Uśmiechnęła się. Wyglądało na to, że Paul ma też poczucie humoru.

– Postaram się, ale nie mam wielkiej wprawy. Choć on najwyraźniej mi ufa.

– Zauważyłem. – Podał jej igłę i probówkę próżniową. W rękę trzymał jeszcze dwie dodatkowe. Najwyraźniej zamierzał zlecić szeroki panel badań.

Pia pokazała igłę pacjentowi i wykonała ruch, jakby pobierała krew ze swojego ramienia. Mężczyzna patrzył, ale nie zareagował. Podwinęła mu wtedy lewy rękaw. Na ramieniu widać było wyraźne i stosunkowo świeże ślady po igle. Przyszło jej do głowy, że może mają do czynienia z narkomanem. Popatrzyła na Paula, który stał po drugiej stronie łóżka i skinieniem głowy dał jej do zrozumienia, że też je widział.

Pia założyła stazę i wkłuła się do żyły. Mężczyzna tylko lekko się skrzywił, jakby był przyzwyczajony do tej procedury.

Napełniwszy pierwszą probówkę, schowała ją do kieszeni, żeby wziąć dwie kolejne od Paula. Była z siebie zadowolona, bo wszystko przebiegało gładko. Oczywiście fakt, że mężczyzna był chudy i miał dobre żyły, wystające i grube jak cygara, też ułatwiał sprawę.

– Świetna robota – pochwalił Paul, gdy ściągnęła stazę, a potem wyciągnęła igłę. Podała sprzęt i napełnione próbówki jednemu ze stojących w pobliżu pielęgniarzy, którzy na wszelki wypadek czekali w sali. Po oddziale szybko rozeszła się wieść, że jeden z pacjentów może stawiać fizyczny opór.

Paul wyciągnął stetoskop i miał właśnie zamiar podjąć drugą próbę osłuchania pacjenta. Pokazał mężczyźnie, że podciągnie mu bluzę, jednak zanim ten zdążył odpowiedzieć, dał się słyszeć odgłos otwieranych gwałtownie drzwi i podniesione głosy dobiegające tuż zza zasłony oddzielającej pomieszczenie od reszty oddziału.

– Co u li...? – spytał Paul. Ściągnął z uszu stetoskop i wyciągnął rękę, żeby odchylić zasłonę, ale ktoś go uprzedził.

Pacjent krzyknął przestraszony i chwycił Pię za rękę, gdy do środka wpadło dwóch umundurowanych mężczyzn i stanęło po obu stronach



łóżka. Pia widziała, że mają broń. Poznała też mundury. To byli ochroniarze z Nano.

– To on? – jeden z nich zawołał do kogoś, kto jeszcze się nie pojawił.

– Tak, on. – Pia usłyszała znajomy głos.

Odwróciła się i zobaczyła Mariel Spallek. Za nią pojawili się dwaj Chińczycy w garniturach i okularach przeciwsłonecznych. Jeden z nich powiedział coś po mandaryńsku do leżącego na łóżku mężczyzny, który skulił się w odpowiedzi.

– Gdzie jest lekarz prowadzący? – zapytała Mariel. Nie zadała sobie trudu, by przywitać się z Pią.

– To ja – powiedział Paul. – Doktor Caldwell. Co, u licha, państwo wyprawiacie? Nie możecie wpadać tu w ten sposób. To mój pacjent. – Wyciągnął rękę i wcisnął czerwony przycisk przywołania na ścianie. Uruchomił się głośnik interkomu. – Siostro, poproszę szybko ochronę do izolatki – warknął.

– Doktorze Caldwell – odezwała się Mariel kategorycznym tonem. – Przyszliśmy po tego pacjenta. Bez żadnego badania mogę pana zapewnić, że nic mu nie jest. Jeśli nawet miał jakiś niewielki kryzys, to gwarantuję, że otrzyma odpowiednią opiekę. Zresztą sam pan widzi, że chce wyjść.

Mężczyzna już wcześniej usiadł i przerzucił nogi przez krawędź łóżka. Rozmawiał teraz z Chińczykiem w garniturze, który do niego zagaił, ale po tonie i mowie ciała widać było, że zwraca się do przełożonego. Nadal był pobudzony, jednocześnie jednak chyba mu ulżyło na widok znajomych twarzy.

– Mariel – włączyła się Pia. – Co się dzieje? Ten człowiek pracuje w Nano? Tak czy siak, uważam, że powinien tu zostać. Przynajmniej przez jakiś czas, na obserwacji. Uważamy, że doszło u niego do zatrzymania krążenia. A po co sprowadziliście tu ochroniarzy z firmy? I dlaczego są uzbrojeni?

Mariel ostentacyjnie zignorowała Pię. Ten z Chińczyków, który nie rozmawiał z pacjentem, wyciągnął rękę i zanim pielęgniarz się zorientował, wyrwał mu z dłoni dwie próbówki z krwią. Pielęgniarz

ruszył, by je odebrać, ale Paul go powstrzymał.

– Doktorze Caldwell – ciągnęła Mariel – proszę przygotować wypis. Pacjent już poinformował swojego kolegę, że chce opuścić placówkę. Panie Wang, proszę jeszcze raz się upewnić, że pacjent chce wyjść ze szpitala.

Chińczyk, do którego się zwróciła, powiedział coś do mężczyzny na łóżku. Ten pokiwał głową w odpowiedzi i, jak się wydawało, jednocześnie potwierdził to słownie.

– Chwileczkę! – zaproponował Paul. Nie należał do osób, które łatwo wywieść w pole. – Skąd mam wiedzieć, o co ten dżentelmen tak naprawdę zapytał pacjenta? Sprowadzę tu kogoś z kierownictwa szpitala.

Wyszedł z sali na korytarz, ale tam natychmiast jak spod ziemi wyrosło dwóch kolejnych rosnących strażników z Nano. Zastąpili mu drogę z ramionami skrzyżowanymi na piersi i stanowczymi minami.

– Proszę mnie przepuścić – rozkazał, ale mężczyźni się nie ruszyli. – Halo – zawołał w kierunku dyżurki. – Gdzie, do cholery, podziła się nasza ochrona? Natychmiast sprowadzić tu kogoś z kierownictwa!

Pia usiłowała porozmawiać z Mariel, ale ta tylko pstryknęła palcami, sygnalizując mężczyźnie, żeby wstał z łóżka. Biegacz wykonał polecenie, jednak nogi się pod nim ugięły i obaj Chińczycy w garniturach musieli go podtrzymać.

– Mariel! – wrzasnęła Pia. – To oburzające! Co, do diabła, się tu dzieje?!

Spallek obrzuciła ją jednym ze swoich pogardliwych spojrzeń.

– Nic się nie dzieje. Zabieramy go ze szpitala i przewozimy do nas. Powiedziałam ci przez telefon, że zajmiemy się tą sprawą. – Ostatnie zdanie wysyczała cicho przez zaciśnięte zęby.

– Pamiętam, co mi powiedziałaś – rzuciła Pia z niedowierzaniem. – Ale powtarzam ci, ten człowiek musi być obserwowany i przejść kompleksowe badania.

– Przejdzie je w naszej firmowej lecznicy, która jest lepiej wyposażona i świetnie przygotowana na radzenie sobie z tego typu

stanami nagłymi, a zajmą się nim nasi lekarze, którzy najlepiej znają jego stan zdrowia. Dziękuję, że mu pomogłaś, ale mówiłam ci, że nikt nie ma się do niego zbliżać. Tymczasem ty pozwoliłaś, żeby pobrali mu krew.

Pii opadła szczęka, również na wieść, że Nano ma w pełni wyposażoną lecznicę. Doktor Caldwell nadal protestował głośno na korytarzu, wykrzykując, że pacjent powinien zostać w szpitalu, że to porwanie w biały dzień, że on i personel są tu przetrzymywani siłą jak zakładnicy.

Pia patrzyła tymczasem, jak dziwna grupka zbiera się do odejścia. Dwaj Chińczycy podtrzymywali ślaniającego się mężczyznę, za nimi podążali dwaj ochroniarze, Mariel zamykała pochod. Zanim pacjent opuścił pokój, uśmiechnął się słabo do Pii i pomachał jej ręką, jakby chciał podziękować.

– Chodź! – poleciła Mariel Pii. – Możesz zabrać się ze mną.

Pia posłusznie ruszyła za nią. Na korytarzu dołączyli do nich dwaj pozostali ochroniarze i cała grupa skierowała się do wyjścia.

Niepilnowany już przez strażników Paul Caldwell rzucił się do dyżurki. Dobiegł do niej, akurat kiedy pojawiła się tam grupka wygarniturzonych szpitalnych oficjeli, w tym także dyrektor szpitala Carl Noakes. Towarzyszyło im kilku ludzi ze szpitalnej ochrony. Chaos pogłębiło jeszcze niemal równoczesne przybycie paru funkcjonariuszy miejskiej policji, w tym policjanta, który razem z pogotowiem wyjechał do nieprzytomnego biegacza.

– O, doktor Caldwell – powiedział pan Noakes, lekko zdyszany. – Może nam pan wyjaśni, doktorze, co się tu wyprawia.

Paul jęknął w duchu: miał Noakesa za figuranta i skończonego biurokratę. Z pewnością nie był to człowiek, który mógł się na wiele przydać w podobnej sytuacji.

– Mamy tu problem z niemówiącym po angielsku pacjentem najprawdopodobniej po nagłym zatrzymaniu krążenia, który jest wypisywany z oddziału wbrew moim zaleceniom.

W tym momencie obie grupki spotkały się na korytarzu. Noakes

podniósł rękę, dając znak, by się zatrzymali. Odchrząknął.

– Zdaje się, że zaszło tu nieporozumienie. Proszę przypomnieć mi nazwisko pacjenta, doktorze Caldwell.

– Nie znam jego nazwiska – odpowiedział Paul.

– Yao Hong-Xiau – krzyknął sam zainteresowany, i natychmiast został zgromiony przez jednego z trzymających go rodaków.

– Lepiej przejdźmy do któregoś z pustych pokoi badań – zaproponował Noakes na widok wbitych w nich kilkunastu zafascynowanych par oczu.

Obserwujący zajście pacjenci popatrywali na mierzących się wrogo policjantów i uzbrojonych ochroniarzy i mieli wrażenie, że oglądają scenę z sensacyjnego filmu w międzynarodowej obsadzie. Gdy pielęgniarka oddziałowa pokazała Noakesowi, gdzie mogą pójść, zaprosił tam zgromadzonych gestem ręki.

– Nie zaszło żadne nieporozumienie – powiedziała spokojnie Mariel, gdy już zniknęli z oczu ciekawskich. – Ten człowiek jest przedstawicielem chińskiego rządu i gościem amerykańskiego i wyraził wolę niezwłocznego opuszczenia szpitala celem powrotu do naszej siedziby. Ci dwaj dżentelmeni ze mną to obywatele chińscy chronieni immunitetem dyplomatycznym, którzy przyjechali z wizytą do Nano. – Wskazała na dwóch mężczyzn w garniturach, którzy twierdząco skinęli głowami.

– Może poczekamy na naszego tłumacza? Powinien się tu zjawić lada moment – zaproponował Paul.

Mariel obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem.

– Nie mamy zamiaru na nic czekać. Chcemy zabrać pacjenta do naszej lecznicy.

Jakby dla podkreślenia wagi jej słów, pacjent najwyraźniej poprosił o krzesło, bo jeden z eskortujących go Chińczyków przysunął mu to stojące przy biurku.

– A co z kosztami dotychczasowego leczenia, jakie poniósł szpital? Kto je pokryje? – spytał Noakes.

Paul znowu jęknął w duchu. To było typowe dla Noakesa, martwić

się o pieniądze w takiej chwili. Jakie znaczenie miały koszty oddziału wobec perspektywy wypuszczenia pod strażą potencjalnie chorego pacjenta?

– Cieszę się, że mi pan przypomniał. – Mariel przywołała na twarz sztuczny uśmiech. – Zostałam upoważniona, by uregulować wszelkie zobowiązania. – Wyjęła z torebki plik studolarowych banknotów i wyciągnęła zwitek w kierunku Noakesa. Musiało tam być kilka tysięcy dolarów. – To powinno załatwić sprawę – powiedziała.

– To bardzo niekonwencjonalne, zwykle nie przyjmujemy gotówki bez faktury – rzucił Noakes ze wzrokiem wbitym w banknoty.

– Istotnie, to niedogodność – powiedziała Mariel, wyciągnęła jeszcze kilka banknotów z torebki i dołożyła je do gotowego zwitka. Ponieważ Noakes stał jak sparaliżowany, siłą wcisnęła mu pieniądze do ręki. – Mam nadzieję, że to zrekompensuje ją z nawiązką. I bardzo przepraszamy za kłopot, jaki sprawiliśmy.

– Panie Noakes – zaczął Paul, niezadowolony z rozwoju sytuacji, ale Noakes odsunął się na bok i grupka z chińskim pacjentem wymaszerowała z sali, a potem opuściła oddział.

Pia ruszyła za nimi. Na usta cisnęło jej się ze sto pytań, więc truchtała obok Mariel, która zamaszystym krokiem skierowała się do drugiej z dwóch czarnych furgonetek czekających z włączonymi silnikami na parkingu. Dwaj kierowcy w uniformach i okularach przeciwsłonecznych wcześniej tak ustawili auta, by umożliwić jak najszybszą ewakuację. Pacjenta razem z dwójką chińskich notabli wprowadzono do pierwszego z nich.

– Mariel, co się dzieje?

– Pia. – Mariel wbiła w nią zimne spojrzenie. – Nano to nie tylko ta wąska działka, którą my się zajmujemy. A na świecie roi się od osób, które z radością położyłyby łapę na tym, co udało nam się w firmie osiągnąć. Nanotechnologia to jedna z ważniejszych dziedzin badań naukowych, w której wprawdzie przodujemy, ale jesteśmy narażeni na ataki. Musimy się bronić.

– Przy pomocy ludzi z bronią? I co to ma wspólnego z tym

człowiekiem? On tylko wyszedł sobie pobiegać, na miłość boską. Stracił przytomność. A ty zjawiasz się tu z uzbrojonymi strażnikami? I twierdzisz, że to przedstawiciel chińskiego rządu? A Nano ma własną lecznicę? I...

– Pia, dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś. Ale teraz musisz mi zaufać i przestać zadawać pytania! Trzeba jak najszybciej zawieźć tego mężczyznę do firmy. Jedziesz z nami?

Pia nadal miała na sobie pożyczony kitel, a co ważniejsze, zorientowała się, że zostawiła gdzieś na oddziale swojego iPhone'a.

– Ale mój telefon... – Obejrzała się przez ramię niepewna, co powinna zrobić.

– Nie możemy na ciebie czekać. Jeśli chcesz zostać, będziesz musiała wrócić na własną rękę. Tylko szybko, bo mamy mnóstwo roboty.

Pia skinęła głową i odwróciła się, żeby wrócić na oddział.

– Jeszcze jedno! – zawołała za nią Mariel. Pia obejrzała się, mrużąc oczy w blasku słońca. – Po prostu zapomnij o tym wszystkim, okay?

I nie czekając na odpowiedź, wskoczyła na przednie siedzenie i zamknęła drzwiczki. Pia stała jeszcze przez chwilę, patrząc na odjeżdżające furgonetki.

## Rozdział 14

Szpital Boulder Memorial, Aurora, Kolorado

wtorek, 23 kwietnia 2013, 14.05

Pia ruszyła z powrotem na SOR z głową pełną pytań. Większość z nich dotyczyła jej szefowej. Mariel nie zachowywała się zazwyczaj szczególnie przyjacielsko, co Pia zwykle doceniała, bo było to w jej oczach uczciwsze podejście. Na pewno była apodyktyczna, bez dwóch zdań, ale przy tym kompetentna i sprawdzała się jako przełożona: konstruktywna i wymagająca jednocześnie. Bywała też niemiła i złośliwa, jak na przykład tego ranka, ale Pii to nie przeszkadzało: nie szukała koleżanki. W każdym razie wydawało jej się, że przez te półtora roku współpracy dość dobrze poznała Mariel i wie, czego się może po niej spodziewać. Tak było do chwili, kiedy zadzwoniła do niej z informacją o nieprzytomnym chińskim biegaczu.

W najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że w odpowiedzi na jej telefon Mariel zjawi się w szpitalu z czterema uzbrojonymi strażnikami i wbrew opinii lekarzy wypisze pacjenta po niedawnym zatrzymaniu krążenia, nie czekając na diagnozę czy choćby próbę wyjaśnienia, co było przyczyną zapaści.

Mając w głowie kompletny mętlik, Pia ponownie weszła na SOR. Sytuacja na oddziale powoli wracała do normy. Po korytarzu kręciły się

jeszcze grupki ludzi rozmawiających o tym, co się wydarzyło. Był także policjant, który wcześniej przyjechał z pogotowiem do nieprzytomnego mężczyzny, ale stał pograżony w rozmowie z kilkoma osiłkami z ochrony szpitala. Pia zachodziła w głowę, co robił, gdy na oddział wpadła Mariel z ochroniarzami z Nano. Zobaczyła też kilka osób z kierownictwa szpitala, ale nie było już wśród nich dyrektora. Zainkasowawszy sowitą sumkę od Mariel, uznał najwyraźniej, że problem się rozwiązał: pacjent został obejrany, rachunek za obejrzenie uiszczony.

Swój telefon znalazła na stoliku w izolatce. Postanowiła wrócić do Nano taksówką – w etui telefonu trzymała zawsze dwudziestodolarówkę na nagłe wydatki.

Gdy ruszyła w stronę rejestracji, gdzie zamierzała zapytać o taksówkę, dotarło do niej, że jest bardziej wstrząśnięta, niż początkowo sama chciała przed sobą przyznać. Widok pistoletów wyprowadził ją z równowagi. Wprawdzie w tych czasach często widywało się uzbrojonych strażników czy funkcjonariuszy, nierzadko nawet z karabinami szturmowymi, zwłaszcza na lotniskach, jednak wspomnienie tego, jak Will McKinley został postrzelony z bliska w głowę, było w niej nadal żywe, a ją samą też porwali ludzie z bronią. Widziała na własne oczy, co pocisk potrafi zrobić z ciałem.

Nagle ktoś zawołał ją po imieniu.

– Jest tu pani jeszcze – powiedział Paul Caldwell. – A już myślałem, że opuściła nas pani z resztą najeźdźców.

– Telefon. – Pia pokazała mu aparat. – Zapomniałam go zabrać.

– A poza tym wszystko dobrze? To było dość osobliwe przeżycie.

– Nic mi nie jest, dziękuję. Ale zgadzam się, przeżycie było osobliwe.

– Może w takim razie napijemy się kawy w szpitalnej kawiarence? – zaproponował. – Teraz, gdy już się tu trochę uspokoiło, poradzą sobie na oddziale beze mnie. A bardzo chciałbym usłyszeć więcej o pani firmie. To musi być ekscytujące miejsce, jeśli podobne sytuacje są tam na porządku dziennym.



– Bynajmniej – odpowiedziała Pia serio. – Przynajmniej nie w dziale, w którym ja pracuję. To centrum badawcze i nic ekscytującego się tam nie zdarzyło przez półtora roku, odkąd tam jestem. – Kiedy to mówiła, dotarło do niej jednak, że w Nano może się dziać mnóstwo rzeczy, o których nie ma pojęcia, zważywszy na wielkość firmy i liczebność personelu.

– Tylko żartowałem – zaśmiał się Paul. – Choć nie w kwestii kawy. No, niechże się pani nie da prosić. Rad bym usłyszeć, dlaczego zamiast zacząć rezydenturę, przyjechała pani do Boulder.

Pii zapaliło się w głowie ostrzegawcze światełko. Wprawdzie od dawna nie miała nic w ustach i była głodna jak wilk, ale zastanawiała się, o co tak naprawdę chodzi Caldwellowi. Był bardzo przystojnym mężczyzną, jednak dzieciństwo spędzone w placówkach opiekuńczo-wychowawczych nauczyło ją ostrożności wobec mężczyzn. Mimo to głód naprawdę jej doskwierał, podobnie jak czysto zawodowa ciekawość co do możliwych przyczyn nagłego zatrzymania akcji serca u chińskiego biegacza i jego równie nagłego ozdrowienia. Chciała poznać opinię Paula w kwestii ewentualnej diagnozy. I niespecjalnie wyrywała się do spotkania z Mariel. Koniec końców postanowiła więc zignorować czerwone światełko, przynajmniej na razie.

– To jak? Da się pani zaprosić? – spytał Paul. Widział, że dziewczyna błądzi myślami gdzieś daleko.

– Tak, dziękuję – odpowiedziała. – A oprócz kawy znajdzie się tam też coś do jedzenia?

– Oczywiście – potwierdził. – Jednak jeśli ma pani ochotę coś przekąsić, polecam stołówkę. Mają zdecydowanie większy wybór.

Ruszyli razem do szpitalnej stołówki, gdzie jeszcze panował ruch pory obiadowej. Na trzymaną przez Paula tacę Pia położyła w zamyśleniu gotową kanapkę z sałatką jajeczną i butelkę wody. Nie była wybredna. Próbowwała zapłacić, ale Paul nie chciał nawet o tym słyszeć. Usiedli przy stoliku w głębi sali.

– No to od czego zaczniemy? – spytał, biorąc łyk kawy.

– Co ma pan na myśli? – Pia odpakowała kanapkę i odkręciła

butelkę z wodą.

– No, to była dość szalona sytuacja. Pani ewidentnie zna tę kobietę, która się pojawiła. I co to w ogóle za firma, to Nano? Nic o niej nie wiem.

Pia opowiedziała więc o swojej pracy i o Nano. Caldwell, jak się okazało, jeździł rowerem na tej samej trasie, którą ona wykorzystywała do joggingu, jednak nie miał pojęcia o tym, co się dzieje za murami ogromnego kompleksu. Gdy Pia mówiła, zaczął podejrzewać, że ona także nie ma.

– Zatem pani specjalnością jest pałeczka *Salmonella*?

– Tak, robiłam sporo badań na tym polu – potwierdziła Pia. – Dlatego właśnie zaproponowano mi pracę w Nano: w nadziei, że pomogę rozwiązać problem, jaki pałeczki duru i inne bakterie wiciowe stanowią dla nanotechnologicznej metody leczenia posocznicy i innych zakażeń. – Pia ugryzła się w język, pomna na ostrzeżenia Mariel o konieczności zachowania szczegółów badań w tajemnicy. Ale Paul był przecież lekarzem, specjalistą medycyny ratunkowej: nanotechnologia mogła go interesować tylko czysto zawodowo.

– Proszę mówić dalej – zachęcił. Kiedy jej słuchał, ponownie doszedł do wniosku, że jest przepiękna: oprócz egzotycznych rysów i doskonałej cery miała też wysportowaną sylwetkę biegaczki, co zauważył natychmiast, kiedy zobaczył ją w opinającym ciało spandeksie, zanim jeszcze dostała biały kitel, który nadal miała na sobie. I zajmowała się pracą naukową, badaniami medycznymi nad technologią, o której nic prawie nie wiedział. Był pod jej urokiem. Ale wyczuwał, że w kontakcie z nim jest zdystansowana i nie całkiem swobodna. Zastanawiał się dlaczego. Była cała masa rzeczy, która go w niej ciekawiła i o których chciał z nią porozmawiać, powściągnął jednak swoją gadatliwość i skoncentrował się na medycynie. Nie musiał wcale udawać. To także go fascynowało.

– A niech pani powie – zagaił, gdy nastąpiła przerwa w rozmowie – korzysta pani z uroków tutejszej przyrody? Tak naprawdę to one mnie tu zwabiły.

– Owszem, korzystam. Głównie biegam, trochę też jeździłam na rowerze.

– A na nartach?

– Z rzadka. Przynajmniej próbowałam. Ale to już wymaga większego zachodu. A pan?

– Narty, kolarstwo górskie, bieganie, nawet wspinaczka wysokogórska. Zawsze mi mało. Może moglibyśmy kiedyś umówić się na wspólne bieganie. Przyznaję, że mi się pani podoba.

– Cieszę się – rzuciła Pia niezobowiązująco. Zastanawiała się, czy wypad do stołówki nie był jednak błędem. Czerwone światełko w głowie znowu się zapaliło.

Ponieważ reakcja dziewczyny na jego niewinną propozycję była raczej mało zachęcająca, Paul szybko zmienił temat na ich niedawne wspólne przeżycia.

– Wracając do naszego biegacza. Powiedziała pani, że kiedy go znalazła, był nieprzytomny. Jak długo pani zdaniem mógł nie oddychać?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie było oddechu ani tętna, kiedy go badałam. Wróciły dopiero po resuscytacji.

– A mimo to późniejsze podstawowe badanie neurologiczne nie wykazało odchyień, elektrokardiogram też był prawidłowy – powiedział Paul. – Co najmniej zastanawiające, mówiąc oględnie.

– Ocknął się, jakby po prostu spał. Nie znam chińskiego, ale nie odniosłam wrażenia, by mówił bełkotliwie po odzyskaniu świadomości. I był niemal w pełni sprawny ruchowo, natychmiast próbował się podnieść.

– A gdyby miała pani zgadywać, jak długo był bez oddechu?

– Zobaczyłam go z dość dużej odległości i już wtedy zauważyłam, że się nie rusza. To musiało być piętnaście, dwadzieścia minut. Wiem, że to brzmi absurdalnie.

– Byłoby ciekawie zobaczyć, co wynika z katamnezy. Ponieważ jest jakoś powiązany z Nano, myśli pani, że mogłaby o niego spytać? Sądzi pani, że tam pracuje?

– Nie mam zielonego pojęcia – powiedziała Pia. – Nie zrobił na mnie wrażenia naukowca. Ale moja przełożona twierdzi, że to przedstawiciel chińskiego rządu, cokolwiek to może znaczyć.

– Ta kobieta jest pani przełożoną?

– Niestety – przyznała Pia. – I to bezpośrednio. Muszę z nią pracować na co dzień.

– Wyrazy współczucia.

– O, nie taki znowu diabeł straszny. Na pewno na wiedzy i kompetencji jej nie zbywa. Jest świetnym biologiem molekularnym i nadzoruje większość badań biologicznych prowadzonych w Nano. Przy moich też bardzo pomaga.

– A ja się cieszę, że nie jest moją przełożoną. – Na twarzy Paula pojawił się wyraz przerysowanego niesmaku. – Jest taka żółtawa. No i ta fryzura...

Pii dźwięczał w głowie przymiotnik, jakim Paul określił Mariel. Choć był niby trafny, wydał jej się trochę nie na miejscu.

– Jeśli się pani o nim czegoś dowie, będę zobowiązany za informację.

Pia zjadła swoją kanapkę i Paul widział, że znowu się zamyśliła.

– Odwiozę panią do pracy – zaproponował. – Przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby się zrewanżować za pomoc okazaną przy pacjencie.

– Nie, dziękuję. Naprawdę nie ma potrzeby. Wezmę taksówkę.

– Nalegam. Zespół lekarzy pracujących na tutejszym SOR-ze jest całkiem duży. Poprosiłem jednego z kolegów, by przyszedł dzisiaj wcześniej. Zresztą i tak kończę o trzeciej, ale zamierzałem zobaczyć się jeszcze z dyrektorem Noakesem, żeby go poinformować, że jest tchórzliwym bufonem. Sposób, w jaki załatwił ten problem, był oględnie mówiąc, niewłaściwy.

– To chyba nie jest dobry pomysł – stwierdziła Pia. – Informowanie go.

– Nie, nie jest, dlatego wyświadczy mi pani przysługę, pozwalając się odwieźć, bo tym samym uchroni mnie przed popełnieniem głupstwa. – Przesunął po stole w kierunku Pii swoją wizytówkę. – Chciałbym, żebyśmy byli w kontakcie, na wypadek gdyby dowiedziała

się pani czegoś o tym chińskim biegaczu. A ja dam pani znać, czy w szpitalu sprawa miała jakiś ciąg dalszy. Ma pani przy sobie wizytówkę? Pewnie nie, skoro wyszła pani tylko pobiegać. Proszę w takim razie podać mi numer swojej komórki, wpiszę go sobie od razu do kontaktów.

Pia wstała i wzięła wizytówkę.

– Nie ma potrzeby, Paul, wiem, jak się z panem skontaktować.

Paul wzdrygnął się wewnątrz. Wiedział, że Pia ma go za bezczelnego natręta, i rzeczywiście był trochę natrętny, ale z innych powodów niż jej się pewnie wydawało. Podobał mu się zdystansowany spokój tej dziewczyny i wyczuwał, że mają ze sobą dużo wspólnego, czego nie mógł powiedzieć o wielu osobach. No i była tak cholernie piękna. Ale przynajmniej wzięła wizytówkę.

– To uratuje mnie pani przed zrobieniem z siebie durnia? Nie pozwoli, żebym wyleciał z roboty? Mój samochód stoi tuż przed wejściem. Jednym z bonusów mojego stanowiska jest własne miejsce parkingowe.

Pia przyglądała się mu badawczo i myślała. Prawda wyglądała tak, że nie miała pewności, czy dwadzieścia dolarów wystarczy na taksówkę aż do Nano. Paul był wprawdzie dość natarczywy towarzysko, ale coś w jego zachowaniu jej mówiło, że nie jest to typowy, śmiertelnie nudny męski podryw.

– Zgoda – powiedziała w końcu. – Pozwolę się odwieźć, żeby uratować pana przed bezrobociem. – Uśmiechnęła się. – Ale zdradzę panu mały sekret. Mam czarny pas w taekwondo. – Teraz się roześmiała.

– Żartuje pani?

– Ani trochę. Zaczęłam trenować jeszcze w szkole jako czternastolatka. – Przemilczała fakt, że szkołą był poprawczak, a sztuka walki była jej potrzebna do przetrwania.

Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy Paula. W jego oczach Pia robiła się z każdą chwilą coraz bardziej interesująca.

– To fantastycznie – powiedział i był to szczery zachwyt.

Ruszyli w milczeniu na parking, gdzie stało jego subaru z bagażnikiem na dachu, do którego przypięty był ciemnograny rower Trek Madone. Z tyłu kombi znajdowały się zwoje liny do wspinania. Otwierając auto, Paul popatrzył na Pię.

– Kiedy jest pani ze mną, znajomość taekwondo nie będzie pani potrzebna.

– Wiem – zapewniła. – Tylko dlatego panu o niej powiedziałam. Gdybym podejrzewała, że może mi się przydać, wołami by pan tego ze mnie nie wyciągnął.

Paul otworzył drzwiczki po stronie kierowcy i nachylił się, by otworzyć te po stronie pasażera. Wsiedli do auta, które było równie czyste i zadbane jak jego właściciel. Paul przekręcił kluczyk w stacyjce i popatrzył na Pię.

– Poprosiłem o pani numer, bo chciałbym zadzwonić, i to nie tylko w sprawie tego biegacza. Może moglibyśmy wybrać się na drinka i pogadać o medycynie lub czymkolwiek, o czym miałyby pani ochotę.

– Jest taka możliwość – powiedziała Pia. Nie była przyzwyczajona do takiej rozbrajającej szczerości. Poza tym czuła się przy Paulu bezpiecznie. Zwykle szybko się orientowała, że dany mężczyzna uważa ją za atrakcyjną, bo łytał na nią pożądliwie i taksował ją wzrokiem. Paul natomiast powiedział po prostu, że mu się podoba. To była miła odmiana.

Opuścili szpitalny parking i ruszyli zgodnie ze wskazówkami Pii do Nano. Kiedy podjechali pod bramę firmy, pokazała strażnikowi swoją legitymację i poinformowała go, że Paul ją tylko podrzucił. Lekarz podjechał pod wejście głównego budynku. Był wyraźnie pod wrażeniem.

– To miejsce jest ogromne. A okolica i założenie ogrodowe ścinają z nóg. Całość robi trochę onieśmielające wrażenie, muszę powiedzieć.

– Tak – zgodziła się Pia, która po dziwnym incydencie z chińskim biegaczem patrzyła na Nano z nowej perspektywy. Nie podobało jej się to uczucie. Wysiadła z auta i Paul także się wygramolił.

– Nie naciskam, proszę pamiętać, ale bądźmy w kontakcie –

poprosił, opierając się o dach samochodu.

– Mam pańską wizytówkę – zapewniła Pia. Przypomniała sobie, że nadal jest w kitlu. Szybko go ściągnęła, złożyła i podała Paulowi. – A to, zdaje się, należy do pana.

– Nie do mnie osobiście. Rzekłbym, że jest to raczej własność pana Noakesa, a w takim przypadku śmiało może go pani zatrzymać. Serio, proszę wziąć kitel na pamiątkę wizyty w naszym szpitalu.

– Mam mnóstwo kitli laboratoryjnych. Ten naprawdę nie jest mi potrzebny. Będzie się niepotrzebnie marnował.

Dalej trzymała kitel w wyciągniętej ręce, ale Paul nie chciał go wziąć. Uśmiechnął się tylko i uniósł dłonie, jakby się odżegnywał.

W końcu Pia się poddała. Gdy z powrotem zarzucała kitel na plecy, coś wypadło z jego kieszeni i wylądowało na asfalcie: próbka z krwią biegacza. Naczynko odbiło się na gumowej zatyczce. Pia odruchowo się schyliła i chwyciła je, zanim zdążyło się rozbić. Uniosła je do góry, pokazując, że jest całe, i podała Paulowi. Podszedł do niej zaskoczony.

– Hej, sprytnie! – pochwalił. – Nie miałem pojęcia, że ukryła pani próbkę.

– Nie ukryłam. Przynajmniej nie rozmyślnie. Po prostu schowałam ją do kieszeni w trakcie pobierania krwi, żeby mieć wolne ręce na drugą i trzecią próbkę. A potem na śmierć o niej zapomniałam.

– Tak czy siak, świetnie, że ta się uchowała i jej nie skonfiskowali. Wezmę ją, jeśli nie ma pani nic przeciwko, i zbadam. Jestem ciekaw wyników, choć podejrzewam, że tak jak inne parametry, mogą nie odbiegać od normy.

– Będę wdzięczna – powiedziała Pia. Najchętniej sama zbadałaby krew, ale wiedziała, że w Nano będzie to bardzo trudne. Uznała, że w rękach Paula próbka będzie bezpieczniejsza. – Tylko proszę nie zużyć całej. Być może też będę chciała rzucić na nią okiem.

– Jasne – obiecał.

– Chce pan numer mojej komórki? – spytała.

– Jasne – powtórzył skwapliwie. Wyciągnął telefon, żeby zapisać numer w kontaktach. Potem schował próbkę do kieszeni.

Zasalutował Pii na do widzenia i posłał jej przyjacielski uśmiech. Wsiadł do auta i wyjechał z parkingu.

Kiedy zatrzymał się przed budką ochrony, czekając na podniesienie bramki, zerknął we wsteczne lusterko. Pia nadal stała tam, gdzie się rozstali. Bramka powędrowała do góry, Paul wyjechał na drogę stanową i popędził w kierunku miasta.

W drodze do Boulder złapał się na tym, że wesoło pogwizduje. Mimo scysji z Noakesem był w szampańskim nastroju. Miał za sobą niedawne rozstanie i nie był aktualnie w żadnym poważnym związku. Uznał, że spotkanie z Pią będzie najlepszym lekarstwem na smutki. Od dawna nie spotkał równie pięknej i inteligentnej kobiety i nie mógł się już doczekać, żeby ją bliżej poznać. A także sprawdzić, co wykażą badania biochemiczne krwi chińskiego biegacza.



## Rozdział 15

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

wtorek, 23 kwietnia 2013, 15.15

Pia odprowadziła wzrokiem subaru Paula, ale nawet gdy już zniknęło z widoku, stała jeszcze przez chwilę na parkingu i przyglądała się zabudowaniom firmy. Uczucie niepokoju, które ją ogarnęło, gdy kilka minut wcześniej wjechali z Pauliem na teren kompleksu, jeszcze się nasiliło, i jej analityczny umysł zaczął pracować pełną parą. Czego takiego dowiedziała się o Nano, czego nie wiedziała jeszcze dwie godziny wcześniej? Że w jednym z wielu firmowych budynków przebywa Chińczyk z dziwną przypadłością i że ochrona Nano otacza go specjalnym nadzorem. Że firma ma własną lecznicę z własnym personelem medycznym. I że tak naprawdę niewiele wie o swojej bezpośredniej szefowej Mariel Spallek.

To właśnie rola, jaką Mariel odegrała w brutalnym zabraniu chińskiego pacjenta ze szpitala, była w oczach Pii najbardziej zdumiewającym aspektem całego incydentu. Było oczywiste, że Spallek zna biegacza i możliwą przyczynę nagłego zatrzymania akcji jego serca. Wydawała się absolutnie pewna, że lekarze z Nano będą w stanie mu pomóc, podczas gdy Paul, dyplomowany specjalista medycyny ratunkowej, nie miał nawet pojęcia, co mu może dolegać. Wynikało z

tego tyle, że Spallek ewidentnie jest pracownikiem wyższego szczebla, niż Pia wcześniej sądziła. Pozostawało pytanie, jakie to może mieć konsekwencje dla niej, Pii. W jaki sposób fakt, że to ona znalazła mężczyznę, przełoży się na jej sytuację w firmie.

Ta kwestia zaprzętała ją jednak tylko przez chwilę. Zdecydowanie silniejsza okazała się instynktowna chęć ustalenia, co naprawdę się dzieje za murami Nano. W przeciwieństwie do większości ludzi, Pia należała do osób, które wyczuwając niebezpieczeństwo, skłonne są nie tyle uciekać, ile szukać jego źródła. Bardzo wcześnie w życiu nauczyła się, że w sytuacji zagrożenia trzeba liczyć tylko na siebie, a w razie potrzeby nie cofać się przed bezpardonową walką.

Uśmiechnęła się, gdy uświadomiła sobie coś jeszcze. Wiedziała, że George stawałby na rzesach, by odwieść ją od wściubiania nosa w nie swoje sprawy, w tym przypadku w sprawę chińskiego biegacza, ale George wyjechał. Nie było nikogo, kto by ją powstrzymał od wyjaśnienia tego dziwaczego incydentu. Poza tym z powodów etycznych musiała wiedzieć, w jakiej firmie pracuje, a tym samym kogo i jakie działania wspiera.

Przeszła przez skomplikowany system zabezpieczeń, zwracając tym razem więcej uwagi na jego szczegóły, i skierowała się do swojego laboratorium. Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając śladów niedawnej obecności Mariel, ale żadnych nie znalazła. Tego ranka, zanim wyszła pobiegać, zaczęła przygotowywać kolejną partię eksperymentów z nicieniami, tym razem z użyciem mikrobiworów o zmodyfikowanej powierzchni kapsuły, do której wprowadzono cząsteczki glikolu polietylenowego. Wszyscy, łącznie z Bermanem, z niecierpliwością czekali na wyniki, licząc, że to rozwiązanie zapobiegnie odpowiedzi immunologicznej i tym samym umożliwi rozpoczęcie badań na bardziej złożonych organizmach. Jeszcze przed przebieżką wypełniła wszystkie wymagane formularze zamówień zgodnie z instrukcjami nadgorliwych liczykrupów z księgowości.

Tak jak zawsze miała w zwyczaju po powrocie do laboratorium, sprawdziła przebieg już trwających eksperymentów, ale nie bardzo

mogła się skoncentrować, co rusz wracając myślami do chińskiego biegacza. Doszła do wniosku, że pewnie przewieziono go do firmowej lecznicy, o której wspomniała Mariel, a o której istnieniu Pia nie miała pojęcia. To natychmiast zrodziło w jej głowie pytanie, gdzie podobny przybytek może być ulokowany i czy zdoła go znaleźć. Gdyby jej się udało, może mogłaby porozmawiać z personelem o stanie Chińczyka i tym samym przynajmniej zaspokoić swoją ciekawość i powściągnąć wyobraźnię, która tworzyła w jej głowie najbardziej niestworzone scenariusze.

Ale gdzie powinna zacząć?

Zjechała windą na parter i wróciła do głównego holu, przez który przechodziła zaledwie kilka minut wcześniej. Podeszła do jednego z ochroniarzy, który sprawiał ciut sympatyczniejsze wrażenie od pozostałych czterech czy pięciu z dziennej zmiany. Stał sam przy ogromnej szybie, obserwując kuriera UPS wyładowującego paczki z auta.

– Przepraszam, panie Milloy – zagaiła, odczytawszy nazwisko strażnika z plakietki przypiętej do uniformu. – Mógłby mnie pan skierować do lecznicy?

– Jakiej lecznicy? Nie bardzo rozumiem.

– Firmowej. Powiedziano mi, że Nano ma taką.

– Nic o tym nie wiem. Ale proszę poczekać sekundę. Zapytam.

Milloy podszedł do dwóch kolegów stojących przy drzwiach frontowych ze srogimi minami, jak większość zatrudnionych w firmie strażników, i powiedział coś do wyższego z nich. Pia go nawet kojarzyła: zawsze stał prosty jakby kij połknął ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie niczym żołnierz na warcie. Nawet teraz, gdy Milloy go zagadnął, patrzył na wprost, a nie na niego. W końcu skinął głową, niemal niezauważalnie, i coś powiedział. Milloy wrócił do Pii.

– Potwierdziłem. W Nano nie ma żadnej lecznicy. Na potrzeby pracowników firma zatrudnia pielęgniarkę, która ma swój gabinet niedaleko stołówki. Ale zakładam, że wie pani o tym. Prawdopodobnie jesienią szczepiła panią przeciwko grypie.

– Tak, wiem, ale nie chodziło mi o pielęgniarkę. Dziękuję. – Już miała odejść, gdy nagle coś jej przyszło do głowy. – Panie Milloy, zawsze pracuje pan w tym budynku?

– A czemu to panią interesuje?

Już słysząc jej pierwsze pytanie, nie wydawał się skakać z radości, ale teraz był wyraźnie zirytowany. Zagadywał do niej kilka razy wcześniej i za każdym razem odnosił wrażenie, że Pia zadziera nosa, rozmyślnie okazując mu lekceważenie.

– Na terenie jest dużo zabudowań – powiedziała. – Nie mam pojęcia, co się w nich znajduje. Pomyślałam sobie, że jeśli czasami pełni pan służbę w innych budynkach, może wie pan, w którym z nich z największym prawdopodobieństwem mogłaby się znajdować lecznica.

Milloy pokręcił głową.

– Przykro mi – rzucił nieszczerólnie szczerze.

Pia ponownie przeszła przez czytnik tęczówki, pojechała windą na czwarte piętro i ruszyła korytarzem z powrotem do swojego laboratorium. Zatrzymała się przy drzwiach, ale nie weszła do środka. Zamiast tego szła dalej przed siebie. Wiedziała, że budynek, w którym mieści się jej laboratorium, połączony jest z sąsiednim gmachem łącznikiem biegnącym właśnie na wysokości czwartego piętra. Nie miała pojęcia, jak się do niego dostać, ale pomyślała, że z czystej ciekawości spróbuje ustalić. Po jakichś trzydziestu metrach i kilku zakrętach korytarz kończył się podwójnymi drzwiami chronionymi przez kolejny skaner. Rozejrzała się dokoła. Nie dostrzegła kamer, ale zakładała, że mogą być wbudowane w sufit, tak jak przed jej laboratorium, zatem istniało spore prawdopodobieństwo, że jest obserwowana. Postanowiła, że jeśli ktoś z ochrony spyta, co tam robiła, odpowie zgodnie z prawdą, że była po prostu ciekawa, co się mieści dalej.

Przyłożyła oko do czytnika i wcisnęła przycisk skanowania. Urządzenie wyglądało identycznie jak te, które znajdowały się przy głównym wejściu i drzwiach do jej laboratorium. Jednak nie zareagowało tak samo na widok jej tęczówki: zabrzączało ostro i

zamigotało czerwonym światełkiem. Pia spróbowała raz jeszcze i ponownie nie uzyskała dostępu. Nacisnęła klamkę, ale drzwi, tak jak się spodziewała, były zamknięte. Wzruszyła ramionami i odwróciła się. To by było na tyle, jeśli idzie o łącznik.

Zanim dotarła z powrotem do swojego laboratorium, wpadła na inny pomysł. Wyjęła iPhone'a, weszła w ustawienia i upewniła się, że usługi lokalizacyjne są włączone. Potem spróbowała określić swoje położenie w stosunku do innych budynków firmy. Ale nic się nie wyświetliło mimo że sygnał Wi-Fi był silny. Uruchomiła aplikację Mapy i wstukała adres Nano. Wyświetliła jej się pusta karta. Kiedy kliknęła dwukrotnie, żeby się wycofać, zobaczyła, że cały obszar zabudowań firmy jest pusty. Najwyraźniej Nano usunęło informację z Googlesphere.

Czuła, że znalazła się w ślepej uliczce. Nie знаła innego wjazdu do firmy z głównej drogi niż ten, z którego sama korzystała razem z pozostałymi pracownikami. Ale w okolicy były też boczne drogi. Może powinna spróbować obejść kompleks z zewnątrz i zobaczyć, co to da. Nie zamierzała się poddać, uznała jednak, że taka wycieczka nie jest w tej chwili najważniejsza: zawsze zdąży się jeszcze powłóczyć po lasach.

Wróciła do laboratorium i ponownie rozejrzała się w poszukiwaniu śladów bytności szefowej. Nie znalazła ich i zastanawiała się, kiedy, u licha, Mariel będzie łaskawa się zjawić. Wprawdzie rano była dla Pii niemą, a w szpitalu jawnie ją ignorowała, jednak wbrew temu, co usłyszała od niej na parkingu przed Memorial, Pia miała do niej całą masę pytań i szczerzy zamiar je zadać, choć nie była pewna, czy usłyszy odpowiedź.

Podeszła do stołów laboratoryjnych, które z braku osobnego gabinetu służyły jej też za biurko, i postanowiła wykorzystać jeszcze jeden pomysł. Chiński biegacz wykrzyczał w szpitalu swoje nazwisko, które nagle się Pii przypomniało. Zadzwoiła z jednego z laboratoryjnych telefonów na centralę i poprosiła o połączenie z panem Yao Hong-Xia.

– Proszę przeliterować – poprosiła operatorka.

Pia mogła tylko zgadywać, jak wygląda angielski zapis, ale po pierwszej próbie telefonistka poinformowała ją, że w rejestrze pracowników nie figuruje nikt z członem „Yao” lub „Hong” w nazwisku. Zapisała wtedy je sobie szybko na kartce i, pewna tylko kilku pierwszych liter, podała operatorce parę innych wersji. Gdy to też nie przyniosło skutku, spytała, czy jest numer do jakiejś grupy lub zespołu chińskich pracowników. Usłyszawszy kolejną przeczącą odpowiedź, zmieniła taktykę i poprosiła o połączenie z lecznicą.

Upewniwszy się, że chodzi o przybytek dla ludzi, telefonistka zapewniła, że w Nano nic takiego nie funkcjonuje.

– Może w takim razie jest szpital albo przychodnia pracownicza – dopytywała się Pia coraz bardziej zniechęcona.

– Przykro mi. Niczego takiego nie znalazłam. Może gabinet pielęgniarstwa? Mam numer.

Pia się rozłączyła. To zaczynało być frustrujące. Zastanawiała się, co jeszcze mogłaby zrobić, ale chwilowo nic nie przychodziło jej do głowy. Powędrowała wzrokiem do monitora LCD, na którym wyświetlały się odczyty ze wszystkich prowadzonych przez nią aktualnie doświadczeń. Jedna z wielu ikonki zaczęła migać, co sugerowało zmianę monitorowanego parametru.

Podeszła do sygnalizującego problem stanowiska. Jeden rzut oka wystarczył, by wiedziała, że sugerowana zmiana to tylko artefakt, wskazujący potrzebę niewielkiej recalibracji. Po jej dokonaniu miganie zniknęło.

Potem uwagę Pii zwrócił szcęk otwieranych drzwi do głównego korytarza. Chwilę później w wejściu pojawiła się Mariel Spallek z teczką przyciśniętą do piersi. Na jej twarzy malował się zwykły wyraz zaprawionej apodyktycznością pogardy.

– Miód na moje oczy – wymruczała pod nosem Pia. Jednak po raz pierwszy odkąd zaczęła pracę w Nano, naprawdę ucieszyła się na widok szefowej.

## Rozdział 16

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

wtorek, 23 kwietnia 2013, 15.45

– Pia, cieszę się, że cię zastaję – zaczęła Mariel. Podeszła prosto do niej, wdzierając się w jej przestrzeń osobistą i przytłaczając swoim wzrostem.

– Mariel.

Pia nie zamierzała oddawać pola i wbiła wzrok w arktyczny błękit oczu, które nad nią zawisły.

– Przyniosłam twoje dokumenty z księgowości – świergotała Spallek. – Cieszę się, że kontynuujesz te badania. Potrzebujemy jak najwięcej dowodów na potwierdzenie zgodności immunologicznej mikrobiworów. Dałam już zgodę na wszystko, o co prosiłaś.

Pia kiwała głową, czekając, aż Mariel skończy i ona będzie mogła coś powiedzieć.

– Cieszymy się też z panem Bermanem, że zajęłaś się problemem wici. To trzeba w końcu rozwiązać. Mogłabym ci jakoś pomóc w tej kwestii?

– Mogłabyś skłonić programistów od mikrobiworów, żeby poświęcili mi trochę czasu.

– Załatwione – zapewniła. – Przekażę te papiery do działu zakupów

i upewnię się, że wyszczególnione pozycje zostaną natychmiast zrealizowane. Ale chciałabym, żebyś podpisała druk zamówienia, bo zapomniałaś. Coś jeszcze? – Podała jej formularz.

– Czyli naprawdę nie zamierzasz o tym rozmawiać? – spytała Pia, biorąc dokument.

– O czym?

– Daj spokój, Mariel: o tym biegaczu, szpitalu, uzbrojonych strażnikach! Przywożę gościa na SOR, a chwilę potem ty się tam zjawiasz w zbrojnej obstawie i zabierasz go siłą, wbrew rozsądkowi. Powinien był przejść badania i zostać na obserwacji, przynajmniej na krótko. Miał zatrzymanie krążenia, stan zagrażający życiu, ledwo wywinął się śmierci. Ale ty jesteś absolutnie pewna, że nie jest to nic, z czym nie można by sobie poradzić tutaj.

Mariel popatrzyła na Pię. Cień irytacji zaczął się przebijać przez jej wyniosłą minę.

– Co więcej – ciągnęła Pia – nie miałam nawet pojęcia, że w Nano funkcjonuje jakaś placówka szpitalna. Zadzwoiłam do centrali i poprosiłam o połączenie z lecznicą, żeby się dowiedzieć o stan pacjenta, ale usłyszałam, że niczego takiego w firmie nie ma.

Mariel milczała przez kilka sekund, wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

– Ten mężczyzna nie został zabrany z Memorial siłą – oznajmiła w końcu.

– Słucham? – Pia przewróciła oczami.

Mariel ewidentnie nie zamierzała rozmawiać o tym biegaczu i roli Nano w jego leczeniu. To, czy został zabrany ze szpitala wbrew swojej woli czy nie, było oczywiście istotne, ale o wiele istotniejszy był sam fakt, że Mariel w ogóle się tam pojawiła ze swoją bandą zbirów.

– Twierdzisz, że siłą zabraliśmy jakiegoś pacjenta z oddziału ratunkowego szpitala Boulder Memorial, a ja ci powtarzam, że ów człowiek wyraził zgodę na leczenie w naszej placówce. Jeśli uważasz, że widziałas coś innego, jesteś w błędzie.

– Dobrze, wierzę, skoro tak twierdzisz. Ale powiedz mi w takim



razie, w jakim jest teraz stanie?

– Jestem przekonana, że ma dobrą opiekę.

– Jesteś przekonana? Czyli nie wiesz? Nie sprawdziłaś?

– Pia, obie zajmujemy się biobadaniami, pracujemy w laboratorium i na tym musimy się skupić. Ty także. Mamy tu ważne zadanie do wykonania. Projekt mikrobioworów jest najważniejszym programem badawczym w firmie. Wszystkie inne mają go wspierać. Zapewniam cię, że ten człowiek jest w dobrych rękach, pod opieką wysoko wykwalifikowanego personelu medycznego.

– Ale przecież Nano to laboratorium badawcze – upierała się przy swoich wątpliwościach Pia. – Z tego, co rozumiem, reszta prac koncentruje się na dodatkach do farb i tym podobnych. My prowadzimy doświadczenia na obleńcach, nawet nie przeszliśmy jeszcze do kręgowców. Po co w takim razie Nano zespół lekarzy i lecznica? I co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

– Panno Grazdani. Jak już wspomniałam w szpitalu, najlepiej byłoby, gdyby zapomniała pani o tym, co widziała. Lub co się pani wydaje, że widziała. – Przycięta do muru Mariel uderzyła w formalny ton. – W końcu to nie pani sprawa. Pora wracać do pracy.

Choć Mariel Spallek nie mogła tego wiedzieć, podobne napomnienia miały w przypadku Pii efekt z reguły odwrotny od zamierzonego. Pia była święcie przekonana, że sama ma prawo decydować o tym, co chce, a czego nie chce wiedzieć i co wiedzieć powinna. Uważała, że pracownicy ponoszą odpowiedzialność za działania organizacji i firm, w których są zatrudnieni, a ignorancja nie jest żadnym usprawiedliwieniem.

– Co ma wspólnego z Nano chiński rząd? – wypaliła.

Mariel zatęęła już w formularzach, które trzymała w dłoni, ale słysząc pytanie Pii, podniosła gwałtownie głowę i spiorunowała ją wzrokiem.

– Mówiłam ci, żebyś o tym zapomniała. Nie żartuję. I podpisz to cholerne zamówienie!

Pia wzruszyła ramionami i odwróciła się, żeby podpisać

dokumenty. Miała pewność, sądząc po gwałtownej reakcji Mariel, że uderzyła w czuły punkt, a zrobiwszy to, poczuła, że jej ciekawość wcale nie osłabła, przeciwnie: niepomiarowo wzrosła.

## Rozdział 17

Mieszkanie Pii, Boulder, Kolorado

wtorek, 23 kwietnia 2013, 18.50

Przez resztę dnia Pia niemal nie była w stanie skupić się na pracy. Wykrętne odpowiedzi szefowej tylko zwiększyły jej ciekawość, gwałtowna reakcja zaś na wzmiankę o chińskim rządzie zdecydowanie wydawała się znacząca. Chiny często konkurowały z USA w przedsięwzięciach komercyjnych, również na polu medycyny. Z okresu, kiedy pracowała nad hodowlą sztucznych narządów pod okiem doktora Rothmana w Nowym Jorku, Pia wiedziała, że poza Stanami najbardziej zaawansowane badania w tej dziedzinie prowadzone są właśnie w Chinach. A tam nie zawsze równie restrykcyjnie jak w USA honorowano obowiązującą moc patentów w ogóle, a patentów medycznych w szczególności.

Przez godzinę bawiła się w adwokata diabła, usiłując dowieść sama przed sobą, że Mariel niczego istotnego nie zataja ani nie ukrywa, a zapaść biegacza i jego nagłe ozdrowienie da się łatwo wyjaśnić. Mężczyzna nie życzył sobie, by leczył go Paul Caldwell, to było oczywiste, i wydawało się, że chciał pójść z dwójką swoich rodaków, którzy po niego przyszli, mimo że zjawili się w otoczeniu uzbrojonej ochrony w cywilnym szpitalu. I w chwili gdy go wypisywano z

oddziału, wszystko wskazywało na to, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu jest w nie najgorszym stanie. Był na pewno osłabiony, bez dwóch zdań, ale poza tym chyba nic mu nie dolegało. Pia przypomniała sobie, że miał jeszcze dość przytomności umysłu, by podziękować jej za pomoc.

A co z tymi ochroniarzami? – zastanawiała się. Jeśli byli zatrudnieni przez Nano, to z pewnością świadczyli usługi na zdecydowanie bardziej paramilitarnym poziomie: ich uniformy odbiegały od tych noszonych przez zwykłych strażników, których mijala na dole i przy bramie wjazdowej do firmy. A kim byli ci dwaj Chińczycy w garniturach? Członkami chińskiej delegacji, która przebywała aktualnie z wizytą w Nano? Im dłużej Pia myślała o tej sytuacji, tym więcej pytań pojawiało się w jej głowie.

Jednak najbardziej zastanawiał ją biegacz i jego stan zdrowia. Jeszcze raz wróciła myślą do zdarzenia na drodze i była przekonana, że w chwili, gdy go znalazła, mężczyzna był w stanie całkowitego zatrzymania krążenia, do którego doszło jakiś czas wcześniej, i to prawdopodobnie niekrótki. Mimo to dwie godziny później, gdy opuszczał oddział, w dużej mierze o własnych siłach zresztą, nie wykazywał żadnych większych zaburzeń. Z pewnością z medycznego punktu widzenia była to osobliwość, by nie rzec absolutna anomalia. Przypomniała też sobie numery wytatuowane na jego prawym przedramieniu i ślady po igle na lewym, które widziała, gdy pobierała krew. Krew!

Wyjęła z kieszeni wizytówkę Paula Caldwell. Wybrała jego numer, ale nie odebrał. Zaklęła i rozłączyła się, nie zostawiwszy wiadomości. Powędrowała do kuchni, ale uświadomiła sobie, że w mieszkaniu nie ma nic do jedzenia, jak zwykle zresztą. Wtedy zadzwoniła jej komórka.

– Pia, mówi Paul Caldwell. Przepraszam, odłożyłem aparat i nie mogłem go przez chwilę zlokalizować. Bez przerwy mi się to zdarza.

– Dzięki, że pan oddzwania.

– Nie ma za co. Dowiedziała się pani czegoś w pracy?

– Nie, niczego. Nie udało mi się nic ustalić ani na temat pacjenta, ani

na temat lecznicy. Dzwonię, żeby spytać, czy zlecił pan badania tej krwi.

– Tak, późnym popołudniem wysłałem próbkę do laboratorium. To oznacza, że na wyniki możemy liczyć najwcześniej jutro. Ale myślałem o tym wszystkim i tak się zastanawiam, czy czasem błąd nie tkwi w punkcie wyjścia. Czy naprawdę był w tak poważnym stanie, gdy go pani znalazła? Bo te wszystkie objawy, choć nieliczne, nie składają mi się w żadną sensowną całość, nic, z czym bym się zetknął w praktyce. I jeszcze wyszedł z oddziału praktycznie na własnych nogach, co byłoby niemożliwe, gdyby istotnie doszło u niego do zatrzymania akcji serca, jeszcze Bóg raczy wiedzieć jak długo trwającego.

– Wiem, że to się nie trzyma kupy – zgodziła się Pia. – Też się nad tym wszystkim głowię, odkąd się rozstaliśmy. Ale jestem absolutnie pewna, że kiedy go znalazłam, nie oddychał i nie miał krążenia.

– To co zrobimy? Opuścimy sprawę? Było widać, że ta kobieta, która się pojawiła, wie coś więcej. Z drugiej strony to pani szefowa, co, jak sobie wyobrażam, stawia panią w niezręcznym położeniu. Może powinniśmy na razie poczekać na wyniki badań krwi?

Objawy podmiotowe i przedmiotowe rzeczywiście do siebie nie pasowały, Caldwell ma absolutną rację, pomyślała Pia, nic się nie trzymało kupy. Ale wiedziała, że lekarz się myli, doszukując się błędu w punkcie wyjścia. Była na 99,9% pewna, że biegacz z klinicznego punktu widzenia nie żył, kiedy się na niego natknęła. A zaraz potem w cudowny sposób ożył i niemal całkiem ozdrowiał, nie wykazując niemal żadnych odchyłeń od normy.

Poprawiła się. Nie miała stuprocentowej pewności, że nie wystąpiły powikłania, bo nie udało jej się ani porozmawiać z samym pacjentem, ani uzyskać żadnych informacji na jego temat. Niewykluczone, że jego stan się pogorszył. Jeśli jednak tak się nie stało, to w murach Nano ktoś musiał prowadzić jakiś program badawczy spod znaku Łazarza, który umożliwiał człowiekowi zmartwychwstanie i wyjście bez szwanku ze śmiertelnej zapaści.

– Będziemy musieli poczekać i zobaczyć, co pokażą badania. Pia, jest tam pani jeszcze?

Fakt, że rozmawia przez telefon z Pauliem Caldwellem, całkowicie umknął z pamięci Pii. Zakończyła rozmowę bez słowa i usiadła na poręczu sofy. Nagle ją oświeciło. Już wiedziała, co musi zrobić, żeby ustalić, co się dzieje w Nano. Jedna osoba bez wątplenia wiedziała o wszystkim. Tą osobą był Zachary Berman.

W jednej chwili zrozumiała, co trzeba zrobić, choć było to akurat coś, czego wcześniej za wszelką cenę chciała uniknąć. Będzie musiała zbliżyć się do Zacha Bermiana. Nano było pilnie strzeżone przez czytniki tęczówek, strażników i kamery monitoringu, ale dom Bermiana mógł stanowić słabe ogniwo. Pia zakładała, że Berman pewnie ma tam gabinet, w którym pracuje. Gdyby mogła spędzić w nim kilka minut, prawdopodobnie znalazłaby odpowiedź na wszystkie dręczące ją wątpliwości. Pozostawało tylko pytanie, jak to zaaranżować. Poczula, jak serce jej mocniej zabiło, mózg przełączył się na wyższe obroty. Tak, był pewien sposób, choć bardzo ryzykowny.

## Rozdział 18

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

środa, 24 kwietnia 2013, 6.09

W zaciszu swego prywatnego gabinetu w Nano Zachary Berman z lekkim kacem przeglądał elektroniczne wydania „New York Timesa”, „Washington Post” oraz kilku niemieckich i angielskich gazet. Firma subskrybowała także wiele chińskich dzienników, ale tę część prasówki powierzał Whitney Jones. Na zewnątrz było jeszcze ciemno.

Poprzedniego wieczoru podejmował u siebie chińskich gości, którzy byli bardzo zadowoleni z porannego zwiedzania firmy, a resztę dnia spędzili na terenie o ograniczonym dostępie, obserwując, jak ich rodacy przechodzą badania i wykonują specjalnie na tę okazję przygotowane podstawowe, bezpieczne zestawy ćwiczeń. Na miejsce uroczystej kolacji ponownie wybrał swój dom. Przekonał się, że robi on znacznie większe wrażenie na dygnitarzach niż najbardziej eleganckie restauracje czy to w Boulder, czy w Denver. Poza tym zdecydowanie łatwiej było tam sprowadzić stadko dam do towarzystwa.

Teraz był już oswojony z długimi seriami toastów, które zawsze towarzyszyły takim okazjom. Choć zwykle pił wino lub piwo do posiłku, przy Chińczykach przerzucał się na preferowaną przez nich whisky, czemu zawdzięczał aktualny ból głowy. Jednak sam obiad

okazał się wielkim sukcesem.

Po posiłku przedstawił gościom swoją oficjalną prezentację z użyciem PowerPointa, wyłuszczając szczegółowo, w jaki sposób w nieodległej perspektywie nanotechnologia stanie się globalnym fenomenem w medycynie, a Nano i Chińska Republika Ludowa, dzięki wzajemnemu szacunkowi i owocnej współpracy, zbiorą żniwo jej nieograniczonego potencjału. Wszyscy w pokoju słyszeli już tę gadkę wcześniej w tej czy innej odsłonie, ale brawurowe wystąpienie Bermana zamieniło ostatni toast wieczoru w najgłośniejszy i najbardziej emocjonalny, a jego samego zmusiło do wychylenia całej szklaneczki szkockiej. Już po kilku minutach, kiedy zajął z powrotem miejsce, poczuł tępe pulsowanie nadchodzącej migreny. Pół godziny później, zasłaniając się koniecznością złapania choćby kilku godzin snu, przeprosił gości, którzy właśnie zaczęli w salonie partyjkę pokera z paniami do towarzystwa, i wstał, żeby udać się na górę.

Szef delegacji, Shen Han Li, poprosił go wtedy na bok na słówko. Podziękował Bermanowi za gościnność i zapewnił, że wszystko, co tego dnia widział, przekonało go, że jego koledzy nie mylili się w swojej wcześniejszej ocenie postępów firmy. Przypomniawszy jednocześnie, że jego przełożeni nie mogą się doczekać, by zobaczyć konkretne dowody skuteczności nanorobotów. Taka demonstracja pomogłaby Nano zabezpieczyć na jakiś czas źródła nieograniczonego finansowania. Berman podziękował Li za jego szczerść i hojność proponowanej zaliczki. Po wielogodzinnym posiłku i niezliczonych gratulacyjnych toastach to właśnie pragnął usłyszeć.

Wieczór był naprawdę udany.

Ale teraz, o poranku, Berman znowu poczuł presję czasu i potrzebę upewnienia się, że wyniki sportowców będą na tyle dobre, by zagwarantować pełną gotowość inwestycyjną strony chińskiej. W ostatnim czasie mieli trzy obsuwy i choć wszystkie udało się zatuszować, nie mógł sobie pozwolić na więcej takich potencjalnych katastrof. Gdyby Chińczycy się dowiedzieli, cała umowa mogłaby spalić na panewce. Zamierzał tego ranka porozmawiać ze Stevenssem, by mieć



absolutną pewność.

Kiedy przeglądał londyńskiego „Timesa”, jego uszu dobiegło pukanie do drzwi zewnętrznych. Pomyślał, że może to zboleła głowa płata mu figle, ale chwilę później odgłos się powtórzył. Było za wcześnie na którąkolwiek z jego sekretarek, a Whitney Jones zapowiedziała, że zamierza przez kilka godzin podładować akumulatory. Nawet pracoholiczka Mariel nigdy nie zjawiała się przed siódmą albo siódmą trzydzieści. Zaciekawiony włączył ekran pokazujący obraz z kamery monitoringu przed biurem i to, co zobaczył, wprawiło go w zdumienie.

– Proszę, proszę – powiedział na głos i z radością wpuścił gościa do środka. – Tędy! – zawołał.

Był zszokowany, ale zadowolony. Pia Grazdani przyszła do jego biura! Wstał, ciut podenerwowany. Zaskoczenie sprawiło, że czuł się jak zadurzony wyrostek. Przygłodził nerwowo włosy i upewnił się, że koszula nie wystaje mu ze spodni. Przed oczyma mignął mu obraz George’a obejmującego Pię – odprysk sceny, kiedy oboje opuszczali jego dom po proszonym obiedzie, która wtedy wytrąciła go z równowagi. Ale nie na długo. Whitney powiedziała, że George się upił, rozgadał, a nawet pytał ją, czy Pia sypia z szefem. Oboje z Bermanem się z tego zdrowo uśmiechali, a Whitney dodała jeszcze, że związek George’a z Pią, jak on sam wyznał, nie jest zażyły. Zachary uznał tę informację za obiecującą, zwłaszcza teraz, gdy dziewczyna zjawiała się w jego gabinecie bladym świtem.

– Dzień dobry, panie Berman – rzuciła pogodnie, przystając w otwartych drzwiach. – Mam nadzieję, że nie jest za wcześnie na wizytę.

– Nigdy nie jest za wcześnie na taką miłą niespodziankę. Czemu ją zawdzięczam? – Wyglądała rewelacyjnie i niewiarygodnie ponętnie. – Śmiało, wchodź i się rozgość. – Wskazał skórzaną sofę, gorączkowo uprzątając zaśmiecające ją papiery.

– Chciałam podziękować za przedwczorajszy obiad. Oboje z George’em świetnie się bawiliśmy. Głównie ja, bo George wypił niestety trochę za dużo. Ale dziękujemy.

– I postanowiłam przyjść i podziękować mi osobiście kwadrans po

szóstej rano? Nie, żebym nie doceniał gestu... – Berman był rozbawiony, nie mieściło mu się w głowie, że to jest prawdziwy powód jej wizyty.

– Wiem, że wcześniej przychodzi pan do pracy, i pomyślałam, że może będzie łatwiej...

– ...jeśli Whitney i Mariel nie będą się kręciły w pobliżu? – Bermana już zaczynała ponosić wyobraźnia.

– Cóż, skoro pan o tym wspomina, to owszem, tak – przyznała Pia z uśmiechem. Miała wrażenie, że łatwo ją rozszyfrować i nikogo, zwłaszcza Bermana, nie oszuka, mimo to brnęła dalej.

– Panna Spallek bywa trochę...

Berman pozwolił Pii dokończyć zdanie.

– ...zaborcza?

– Trafne określenie. Ale nie przejmuj się nią. – Ponownie wskazał na sofę ustawioną naprzeciwko sięgających od podłogi do sufitu okien, które wychodziły na japoński ogród skalny. Poklepał jedną z poduszek otwartą dłonią, jakby Pia potrzebowała dokładniejszej wskazówki.

Wchodząc, rzuciła pobieżnie okiem na pamiątki i ozdoby, w tym, jak wskazywały podpisy, poroża kilku różnych gatunków afrykańskiej gazeli. Miejsce emanowało stereotypową męskością starej szkoły, która, jak się Pii wcześniej wydawało, umarła razem z Hemingwayem. Usiadła w miejscu, które Berman jej wskazał, czując pomieszaną z zaskoczeniem ulgę, że tak łatwo nim manipulować. Cieszyła się, że mężczyźni tego typu są tak przewidywalni.

Przeszło jej przez głowę, czy nie lepiej byłoby jednak darować sobie te gierki i prosto z mostu spytać o chińskiego biegacza. Jednak zaraz przegnała tę myśl. Intuicja jej mówiła, że Berman najprawdopodobniej i tak by jej nic nie powiedział. Przypomniały jej się numery wytatuowane na przedramieniu mężczyzny. Zaniepokoiła się, gdy pierwszy raz je ujrzała, i teraz, gdy znowu stanęły jej przed oczyma, ponownie poczuła dreszcz.

– Mariel istotnie bywa czasami zaborcza – dodał Berman – ale ma dobre serce i jest lojalna. Naprawdę świetny z niej adiutant.

– Adiutant? Ciekawe określenie – skomentowała Pia.

– A może napijesz się espresso? – Wskazał nowoczesny ekspres wbudowany w boazerię z mahoniu.

– Chętnie – powiedziała.

Zanim tu przyjechała, denerwowała się tym, co zamierza zrobić. Miała jeszcze w pamięci, jak Berman próbował siłą dostać się do jej mieszkania. Teraz jednak czuła się pewnie i miała wrażenie, że kontroluje sytuację. Stawiała już w swoim życiu czoło groźniejszym mężczyznom. Albańczykom, którzy ją porwali, na przykład. To byli o wiele bardziej niebezpieczni przeciwnicy.

– Wydaje mi się, że Mariel ma w sobie coś z żołnierza, taki wojskowy styl bycia.

– Jest dobrą szefową.

– O, jak najbardziej. Informuje mnie na bieżąco o wszystkim, co robisz w laboratorium. – Podał jej filiżankę espresso, potem nalał kolejną dla siebie.

Pia była pewna, że Mariel poinformowała go też o tym, że to ona właśnie znalazła biegacza, i zachodziła w głowę, czemu Berman się o tym nawet nie zająknął.

– Jest tobą zachwycona – ciągnął. – Jak już wspominałem przy obiedzie, bardzo cenimy sobie postępy, jakie obie robicie w kwestii biokompatybilności mikrobiworów.

– Mam nadzieję, że idziemy w dobrym kierunku. To naprawdę fascynująca praca, a ja bardzo chciałabym wnieść choćby mały wkład w rozwój nauki.

Z filiżanką w dłoni Berman usiadł na obitym pluszem obrotowym krześle klubowym, które stało po drugiej stronie stolika. Przez chwilę przyglądał jej się z uśmiechem.

– A gdy mowa o zaborczych typach, jakże się ma twój przyjaciel, doktor Wilson? Wrócił cały i zdrowy do Los Angeles?

Pia także się lekko uśmiechnęła.

– Tak przypuszczam, nie rozmawialiśmy od tamtej pory. Dobrze jest mieć znowu mieszkanie tylko dla siebie. Nie bardzo mam warunki do podejmowania gości.

– To zrozumiałe.

– A panna Jones mieszka w pańskim domu?

– Uchowaj Boże.

– Chciałabym go znowu zobaczyć. Poprzednio byłam pod takim wrażeniem, że na pewno umknęło mi wiele szczegółów.

Berman wychylił resztę swojej kawy. Rozmowa przybierała lepszy obrót, niż mógł sobie w najśmielszych snach wyobrazić.

– Będziesz musiała znowu wpaść na obiad.

– Oczywiście – zapewniła Pia. – Z największą radością.

Wpatrywał się w dziewczynę z rosnącym zdumieniem. Z tą swoją egzotyczną urodą naprawdę była jedną z najatrakcyjniejszych kobiet, jakie spotkał, a tu, proszę, podaje mu siebie niemal na tacy. Starał się ochłonać.

– Świetnie – wydukał. – To kiedy jesteś wolna?

– Choćby dziś wieczorem. Jeśli się nie narzucam.

– Wcale się nie narzucasz. Zatem dziś wieczorem. Może być dwudziesta?

– Jak najbardziej. – Pia się uśmiechnęła. – Ale jedną kwestię chciałabym postawić jasno.

– Zamieniam się w słuch.

– Obiecał pan, że pańskie, jak to pan określił, nieokrzesane zachowanie sprzed podróży do Chin już się nie powtórzy. Liczę, że dotrzyma pan słowa.

Berman podniósł ręce i uśmiechnął się lekko.

– Przysięgam na honor mojej matki.

– Świetnie – powiedziała tylko Pia. – Zatem do zobaczenia o ósmej.

Wstała i opuściła gabinet, czując, jak odprowadza ją wzrokiem ze spojrzeniem wbitym w dolną część jej pleców.

Berman tymczasem odchylił się na krześle i podziękował losowi za ten widok i nadspodziewanie obiecujący początek dnia. Nawet kac, który wcześniej go męczył, teraz w cudowny sposób zniknął.

## Rozdział 19

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

środa, 24 kwietnia 2013, 12.09

Sprawdziwszy rejestr wejść i wyjść Mariel Spallek musiała przyznać, że ponieważ Pia zaczęła pracę tego dnia przed szóstą rano, miała bez wątpienia prawo do dodatkowych trzech kwadransów przerwy w porze lunchu, żeby pobiegać. Nadto pracownica zapewniła ją, że jogging doskonale usuwa zmęczenie, ułatwia myślenie i że na swoje najlepsze pomysły wpadła, przemierzając truchtem górską drogę biegnącą w pobliżu firmy. Sprawę ułatwił też niewątpliwie dobry nastrój Mariel. Udało jej się zagarnąć dodatkowy sprzęt i laboratorium piętro niżej z myślą o zintensyfikowaniu badań nad biokompatybilnością mikrobiworów o zmodyfikowanej powierzchni płaszcza. Kiedy zatem Pia ustawiła już nową aparaturę, Mariel pozwoliła jej pójść pobiegać, zastrzegając jednak, że wolałaby, żeby nie natykała się już na kolejnych pracowników Nano *in extremis*<sup>4</sup>. Obie zaśmiały się na tę wzmiankę.

Pia zwykle biegała z dala od firmy, korzystając z uroków górskiego krajobrazu, ale tym razem skręciła w prawo za bramą i ruszyła drogą prowadzącą do miasta. Po kilkuset metrach skręciła w boczną drogę, na

---

<sup>4</sup> Łac. med.: w agonii, w chwili konania (przyp. tłum.).

której nigdy wcześniej nie była. Kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymała się, wspięła na skarpe biegnącą wzdłuż drogi i wkroczyła do otaczającego Nano lasu. Zamierzała sprawdzić, czy istnieją jeszcze inne wejścia na teren firmy, co coraz mocniej podejrzewała, i w ogóle obejrzeć sobie cały kompleks z zewnątrz. W okolicy było mnóstwo tylnych dróg i mogłaby zrobić taki objazd samochodem, ale piesza wycieczka wydała jej się lepszym pomysłem. Choć zabudowania zajmowały ogromny obszar, planowała okrążyć cały teren wzdłuż ogrodzenia, w nadziei, że tym razem jej się poszczęści i znajdzie jakiś punkt zaczepienia, bo od opuszczenia szpitala poprzedniego dnia jej śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Jak dotąd wiosna była sucha i w powietrze wzbijał się leciusieńki pył, gdy pod jej stopami pękały z trzaskiem gałązki. Kiedy weszła głębiej w las i zarośla stały się gęstsze, musiała odsuwać gałęzie rękoma, na których szybko wykwitło kilka zadrapań. Już po pięciu minutach miała wrażenie, że znalazła się na zupełnym odludziu. Drzewa były tu większe i bardziej rozłożyste, przez co niemal całkiem straciła z oczu nieckę, w której znajdowały się zabudowania firmy. Gdy wyżej wzrok, patrzyła w dal, weszła prosto w gęstą ciemnozieloną siatkę i podrapała sobie nos.

– Cholera!

Dotknęła twarzy, ale nie było śladów krwi. Teraz, gdy skupiła wzrok, dostrzegła niemal niewidoczne ogrodzenie: w ziemi ciągnął się wąski rów, w którym co pięć–sześć metrów wkopano słupki z brązowego metalu, a między nimi jak okiem sięgnąć rozciągała się wysoka na trzy metry siatka. Potrząsnęła nią: była mocna i napięta, pokryta jakimś zielonym materiałem, być może produktem nanotechnologicznym. Usłyszała jakiś dźwięk i prosto przed sobą po drugiej stronie ogrodzenia zauważyła sarenkę, która patrzyła na nią znieruchomią.

– Nie bój się, maleńka – powiedziała Pia. – Żadna z nas nie pokona tej bariery.

Zatem firma miała drugie zewnętrzne ogrodzenie, które biegło w

sporej odległości od pierwszego wewnętrznego, zwieńczonego zwojami drutu kolczastego. Wszystko wskazywało na to, że to drugie również otacza cały kompleks, z wyjątkiem głównej bramy rzecz jasna. Był to kolejny przykład na to, jak poważnie firma podchodzi do spraw bezpieczeństwa.

Nagle zadzwoniła jej komórka i Pia podskoczyła przestraszona. Gwałtowne spotkanie z siatką, której się nie spodziewała, mocno wytrąciło ją z równowagi, przez co nerwowo zareagowała na nagły hałas. Zdjęła aparat z ramienia i zobaczyła numer Paula Caldwell'a na wyświetlaczu. Jej nadzieje momentalnie wzrosły: może badania krwi ujawniły coś istotnego.

– Pia?

– Paul, tak słyszę. Ustalił pan coś?

– Słabo panią słyszę, połączenie jest kiepskie. Proszę posłuchać...

Ale Pia nie usłyszała nic więcej. Odwróciła się i ruszyła w stronę drogi, z której weszła do lasu. Kiedy dotarła na jej skraj, czekała chwilę, żeby lekarz oddzwonił. Chciała uniknąć irytującej sytuacji, gdy obie strony dzwonią do siebie równocześnie i nic z tego nie wychodzi. Miała nadzieję, że Paul nie czeka na jej telefon.

W końcu aparat zadzwonił ponownie.

– Paul?

– Pia, to pani?

– Tak, Paul, co słycać? Dowiedział się pan czegoś?

– No, teraz wreszcie panią słyszę. Proszę posłuchać. Pojawił się problem z tą krwią.

– Problem? To znaczy? Co ustalili?

– Niczego nie ustalili. Krew nie została zbadana. Nie dotarła do laboratorium.

– Jak to? Kiedy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, powiedział pan, że wysłał ją do badania. Dzisiaj spodziewał się pan otrzymać wyniki.

– Owszem, powiedziałem, że ją wysłałem i że wyniki powinny być dzisiaj, ale mówiłem na podstawie tego, jak to zwykle przebiega. Tyle że w tym przypadku przebiegło inaczej.

– To co, u licha, się stało? – Pia była wściekła i choć wiedziała, że to idiotyczne drzeć się do słuchawki telefonu na skraju lasu, i tak się rozdarła. Słyszała, że Paul przeprosza, ale miała to gdzieś. Poza zaaranżowaniem kolejnej wizyty w domu Bermana, nic jej nie wychodziło. A teraz jeszcze ta krew.

– Zapakowałem próbkę jak zwykle i zostawiłem na zewnątrz dla kuriera. Zabrał ją i zostawił przy laboratorium. To nasz stały współpracownik i mu ufam, ale mimo to sprawdziłem: jest jego podpis, zatem próbka została odebrana, ale potem ślad po niej zagaął. Do samego laboratorium nie dotarła.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Pia. – Powinien pan osobiście ją tam dostarczyć.

– Niechże pani da spokój. Coś podobnego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Owszem, bywa, że ta czy inna próbka zostaje omyłkowo źle oznaczona, ale jeszcze żadna nie rozplynęła się w powietrzu. Proszę mi wierzyć, kazałem im przewrócić miejsce do góry nogami, to laboratorium połowę zleceń ma z naszego szpitala, i zagroziłem, że zerwiemy współpracę, jeśli próbka się nie znajdzie. Wątpię wprowadzić, żeby Noakes się na coś takiego zdobył, ale i tak postraszyłem ich w jego imieniu.

– Jak była oznaczona próbka?

– Miała standardowy kod kreskowy ze szpitala. Dopisałem swoje nazwisko i jeszcze skrótowo „biegacz”. Trafia tam dużo materiału zlecanego przeze mnie i chciałem się zabezpieczyć, na wypadek gdyby kod kreskowy się odkleił. Pia, przykro mi, że coś takiego się stało, ale to jeszcze nie koniec świata...

– Jasne – rzuciła ostro Pia i się rozłączyła.

Dla doktora Caldwell'a może to i nie był koniec świata, ale ona poczuła się potwornie sfrustrowana. Znowu znalazła się w punkcie wyjścia: nie miała nic. A jednocześnie podskórnie narastał w niej niepokój. Widok drugiego ogrodzenia przyprawił ją o złowieszczy dreszcz. To główne było wyższe i samo w sobie wystarczająco odstrasające. Podejrzewała, że drugie łatwiej byłoby pokonać, ale nie



wątpiła, że naszpikowano je czujnikami, które wychwycą każdego intruza. A może było na odwrót, może firmie bardziej zależało na uniemożliwieniu nie tyle wejścia na jej teren, ile jego opuszczenia? Na to pytanie, podobnie jak na dziesiątki innych, które nie dawały jej spokoju, nie znała odpowiedzi.

Zanim miała czas dłużej się nad tym wszystkim zastanowić, powietrze przeszył przenikliwy ryk silnika. Motocykl, pomyślała i szybko dała susa w zarośla, skąd nie była widoczna z drogi. Zanim jednak pojawił się jakiś pojazd mechaniczny, ujrzała najpierw jednego, a potem drugiego kolarza. Obaj mieli na sobie czarne stroje z logo Nano, mocne, czarne kaski rowerowe i przeciwśłoneczne okulary panoramiczne. Oddychali równo i wjeżdżali pod górę w imponującym tempie, ze stopami wpiętymi w pedały. Kiedy pierwszy, mijając ją, obejrzał się przez lewe ramię na swojego kolegę z tyłu, Pii mignęła jego twarz: był Azjata, być może Chińczykiem.

Tuż za kolarzami, z tą samą prędkością co oni, jechał na motocyklu terenowym mężczyzna w skórzanym kombinezonie i kasku zasłaniającym całą twarz. Pochód zamykała biała furgonetka podążająca w pewnej odległości za motocyklem. Pia nie była w stanie nic dostrzec przez zaciemnione szyby auta. Gdy cała grupka ją minęła i nikt nowy się nie pojawił, odczekała kilka minut i ruszyła biegiem za nią.

Pokonawszy ostry zakręt na szczycie wzniesienia, uzyskała widok na drogę. Trasa w oddali biegła kolejnym długim, ostrym wzniesieniem i w pobliżu jego wierzchołka dostrzegła kolarzy, którzy wcale nie zwolnili. Nawet z tej odległości widziała, że jadą niezwykle szybko, pomimo znacznego nachylenia. Zastanawiała się, kim są i dlaczego mają na sobie stroje z logo Nano. Niedługo potem zginęli jej z oczu za granią odległego wzgórza, razem z motocyklem i furgonetką.

Stała przez chwilę, patrząc na miejsce, w którym zniknęli. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie mogło być już mowy o przypadku. Najpierw tajemniczy biegacz, teraz kolarze, w jakiś sposób powiązani z Nano i na tyle ważni, by jechać w eskorcie motocykla i furgonetki.

Ten niespodziewany incydent sprawił, że nie do końca dotarło do

niej to, co powiedział jej wcześniej Paul Caldwell. Próbką krwi chińskiego biegacza, która się przypadkiem zachowała, została wysłana do laboratorium i zaginęła. Coś podobnego nie zdarzyło się nigdy przedtem i trudno było to wyjaśnić. Laboratorium przewrócono do góry nogami w poszukiwaniu zaginionej próbki, ale na razie bezskutecznie, a przynajmniej tak zapewniał skruszony Paul. Dobre sobie, pomyślała ponuro.

Był pewna, że pracownicy laboratorium marnują tylko czas. Dałaby sobie rękę uciąć, że ktoś z Nano zabrał materiał, zanim go zbadano. Mariel wiedziała, że biegaczowi pobrano krew, ale mogła zakładać, że wszystkie próbki zarekwirowano jeszcze na oddziale. Ta późniejsza akcja oznaczała, że ktokolwiek w firmie za tym stoi, jest bardzo skrupulatny i ma długie ręce. Na pewno podstawiono kogoś na oddziale albo, co bardziej prawdopodobne, w laboratorium, żeby móc przejąć materiał przysyłany z SOR-u szpitala Boulder Memorial. Firma dysponująca takimi zasobami jak Nano z łatwością mogłaby przeprowadzić podobną akcję.

Mimo to Pia pluła sobie w brodę, że powierzyła krew Paulowi Caldwellowi. Równie dobrze mógł przyczepić do próbki wielki transparent z napisem UKRADNIJ MNIE. Nie tylko napisał na niej swoje nazwisko, dołączył też informację, że materiał pochodzi od biegacza.

Potem, gdy trochę ochłonęła, zaczęła myśleć bardziej racjonalnie. Pomimo dziwnego incydentu na oddziale Pia nie ostrzegła Paula, że powinien zachować szczególną ostrożność z próbką, którą mu przekazała, i przeprowadzić badania w tajemnicy. Owszem, Nano przejęło dwie pozostałe próbki, ale przesadą byłoby oczekiwać od zwykłego lekarza, że będzie w stanie przewidzieć coś takiego. Z tego niefortunnego incydentu Pia wyciągnęła wniosek, że stawka wzrosła i w przyszłości będzie musiała mieć się na baczności. Z uwagi na ogromne pieniądze, jakie stały za nanotechnologią, miała za przeciwnika potężnego i działającego w ukryciu wroga.

Odwróciła się i zaczęła biec w kierunku, z którego przyszła.

Darowała sobie pomysł obejścia terenu firmy na piechotę. W końcu co za różnica, czy istnieje drugie lub nawet trzecie wejście do kompleksu? Nawet jeśli by je odkryła, i tak nic by to nie wniosło i niczego nie wyjaśniło. Coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że jedynym źródłem poznania sekretów firmy jest jej właściciel i dyrektor. W jego domu raczej nie było czytników tęczówek ani zasieków z kolczastego drutu. Jednak sama myśl o spotkaniu z Bermanem sam na sam przyprawiała ją o mimowolny dreszcz.

## Rozdział 20

Szpital Boulder Memorial, Aurora, Kolorado

środa, 24 kwietnia 2013, 17.53

Zanim po zakończeniu pracy udała się do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się na wieczorną randkę, Pia musiała na chwilę zajrzeć w jeszcze jedno miejsce. Wiedziała, że doktor Caldwell ma tego popołudnia dyżur, bo zadzwoniła wcześniej do szpitala, żeby to ustalić. Recepcjonistka zaproponowała, że poprosi go do telefonu. Pia grzecznie odmówiła, wskoczyła do auta i przyjechała prosto do kliniki. Przysługa, o którą chciała prosić, nie była sprawą na telefon. Wymagała osobistego kontaktu.

Weszła na SOR i traf chciał, że za drugim przepierzeniem, za które zajrzała, znalazła Paula Caldwella; nadzorował początkującego rezydenta, który udzielał pomocy chłopcu z urazem głowy po upadku z roweru. Patrzyła, jak lekarz uspokaja roztrzęsioną matkę, zapewniając, że dziecku nic nie będzie. Kiedy skończył, przekazał przypadek z powrotem rezydentowi i wyszedł z boksu. Na widok Pii uśmiechnął się niepewnie i unióśł brwi.

– Nie spodziewałem się tu pani – powiedział. Miał nadzieję, że zobaczy się z dziewczyną, jednak nie przypuszczał, że tak szybko, zwłaszcza po jej reakcji na wieść o zaginięciu próbki i gwałtownym

zakończeniu rozmowy. Był pewien, że się wtedy umyślnie rozłączyła.

– Przepraszam, że się tak wściekłam z powodu tej próbówki. – Pia ściszyła głos. Stali na środku oddziału. – Wiem, że to nie pańska wina.

– Rozumie pani, że nie zapodziałem tej próbówki rozmyślnie. Cóż, cieszę się, że postanowiła pani rozstrzygnąć wątpliwości na moją korzyść. To bardzo wspaniałomyślnie z pani strony.

Paul minął dyżurkę, gdzie zostawił dokumentację pacjenta z urazem głowy. Pia szła tuż za nim. Zauważyła, że tak jak dzień wcześniej, jest nienagannie ubrany.

– Ma pan chwilkę, żeby spokojnie porozmawiać? – spytała.

– Chyba tak. – Oparł się o kantorek dyżurki i spytał siostrę oddziałową, czy ma dla niego jeszcze jakiś przypadek. Jeśli tylko na oddziale nie było zbyt dużego obłożenia, jego rola sprowadzała się głównie do nadzoru. Pielęgniarka podniosła kciuk, sygnalizując, że chwilowo nie jest potrzebny. – Chodźmy – powiedział i poprowadził Pię korytarzem do pokoju lekarskiego.

W pozbawionym okien pomieszczeniu stało kilka klubowych foteli, sofa i biurko. Przy tym ostatnim siedział ubrany w wymięty strój lekarski rezydent, który już bardziej przypominał Pii lekarzy z SOR-u, których miała okazję oglądać w czasie studiów. Zajęty papierkową robotą nie podniósł nawet głowy, gdy weszli.

– Myślę, że Nano ma coś wspólnego z zaginięciem próbówki – oświadczyła Pia szybko i cicho, gdy już usiedli. – Po prawdzie, to jestem pewna.

– A skąd taki wniosek? – Paul zmierzył ją baczным spojrzeniem. To oświadczenie zabrzmiało mu trochę paranoicznie. I zauważył coś jeszcze. Pia nie utrzymywała kontaktu wzrokowego.

– Tak naprawdę to tylko przeczucie. – Zerknęła na lekarza przy biurku. Nie zwracał na nich uwagi. – To miejsce ma dużo tajemnic, o czym zaczynam się przekonywać. Środki bezpieczeństwa i ochrona są na niezwykłym poziomie. Do tej pory specjalnie się nad tym nie zastanawiałam, ale wydają się nadmierne, nawet uwzględniając potrzebę ochrony tajemnic produkcyjnych. Na każdym kroku są

czytniki tęczy. Jak w jakimś CIA czy Pentagonie, na litość boską. No, a poza tym nie tylko biegacze są w jakiś sposób powiązani z firmą. Dziś po południu, kiedy niby poszłam pobiegać, a tak naprawdę chciałam sobie obejrzeć z zewnątrz cały kompleks, widziałam dwóch kolarzy w strojach z logo Nano. Wyglądali na Chińczyków. Byli eskortowani przez motocyklistę i jakichś ludzi w białej furgonetce z zaciemnionymi szybami.

– Kolarze?

– Tak, w typie Lance’a Armstronga: wygląd i sprzęt zawodowców, szpanerskie stroje. I odkryłam, że Nano ma dwa ogrodzenia: jedno wewnętrzne, które pan widział, z drutem kolczastym zresztą, na miłość boską, i drugie zewnętrzne, zakamuflowane trochę głębiej w lesie. Zauważyłam je dopiero, gdy na nie dosłownie wpadłam.

– Była pani w lesie?

– Tak, właśnie wtedy, gdy pan do mnie dzwonił. Zamierzałam obejść teren firmy, żeby ustalić, gdzie znajdują się inne wejścia. Musi być przynajmniej jedno dodatkowe.

– Dobrze, ale nie bardzo rozumiem, jak to się ma do kradzieży próbki krwi z laboratorium.

– Powiedział pan, że nic podobnego się jeszcze nie zdarzyło. Gdyby było jakieś niedociągnięcie w systemie pracy laboratorium, pewnie taka sytuacja musiałaby się zdarzyć już wcześniej, prawda? Przy tej ilości materiału, który wasza placówka tam wysyła.

– To prawda, wykonujemy tam bardzo dużo badań – przyznał Paul.

– Mamy co prawda laboratorium w szpitalu, ale większość badań jest zlecana na zewnątrz. Tak jest taniej.

Pia miała świadomość, że jej rozumowanie pozostawia wiele do życzenia. Twierdziła, że to na pewno ludzie z Nano ukradli próbkę z krwią, bo firma jest tajemnicza i sprawia trochę złowrogi wrażenie. Mimo to postanowiła zawierzyć intuicji. Dwa lata wcześniej George Wilson próbował obalić wszystkie cudacznie brzmiące teorie spiskowe, jakie przedstawiała w związku ze śmiercią obu naukowców na Uniwersytecie Columbia, ale koniec końców dotarła do właściwego

rozwiązania, opierając się na własnych przeczuciach i dedukcji. Zdarzało jej się grubo mylić i błędzić po omacku, jednak w ostatecznym rozrachunku jej domysły okazały się słuszne. Sprawa Nano także postawiła w stan gotowości jej szósty zmysł, i Pia była zdecydowana go posłuchać. Nos jej mówił, że coś dziwnego dzieje się w firmie, i zamierzała ustalić co.

– Ujmę to tak – ciągnęła, gdy wyczuła powątpiewanie Paula. – Nano na pewno ma ludzi, którzy mogliby przeprowadzić coś takiego jak kradzież próbówki z laboratorium. Widział pan przecież tych gości, którzy zjawili się tu z moją szefową. Wyglądali jak prywatny oddział antyterrorystyczny. A w końcu Nano produkuje tylko dodatki do farb, na Boga. A przynajmniej tak twierdzą władze firmy. Po co w takim razie ten cały system zabezpieczeń i brutalna ochrona do zadań specjalnych?

– Rzeczywiście to, jak tu wparowali, wydało mi się, mówiąc kolokwialnie, przegięciem – przyznał Paul, choć wzdragał się też przed przyjęciem teorii Pii. Lubił proste, wolne od stresu życie, a cała ta afera stawała się coraz bardziej skomplikowana. Lubił też dzielić swój czas między pracę a kontakt z naturą, przynajmniej kiedy nie spędzał wolnych chwil przed komputerem, bawiąc się w programowanie, hobby, które było pamiątką po zajęciach z informatyki z czasów college’u. Uwielbiał względną niezależność, jaką dawało mu stanowisko lekarza SOR-u, i dlatego właśnie urzędasy w rodzaju Noakesa doprowadzały go do szaleństwa, a sama myśl, że firma taka jak Nano mogłaby kraść dowody, jeśli rzeczywiście do tego właśnie doszło, sprawiała, że przewracały się w nim wnętrzności. Ale nie lubił komplikować sobie życia.

– To jak zamierza pani ustalić, czy to Nano za tym stoi? – spytał po chwili ciszy.

– Paul, niech mi pan zaufa. Mam nosa do takich spraw. To Nano.

– Dobrze, ale jak chce pani to udowodnić?

– Zamierzam trochę powęszyć w sekrecie. – Czekwała, żeby ją złajał, co niewątpliwie zrobiłby George, ale milczał.

– I to jest kolejny powód mojej wizyty.

– Zamieniam się w słuch.

Ściszyła głos i przysunęła się bliżej.

– Potrzebuję recepty albo, nawet lepiej, może mógłby mi pan po prostu dać kilka tabletek, jeśli macie je na oddziale.

– O jakich tabletkach pani mówi? – spytał ostrożnie Paul.

Prośba Pii natychmiast uruchomiła w jego głowie dzwonek alarmowy. Poznali się zaledwie dzień wcześniej i na dobrą sprawę nic o niej nie wiedział. Zauważył jednak, że dziewczyna ucieka ciągle wzrokiem w bok i zastanawiał się, czy poprzedniego dnia zachowywała się podobnie. Nie pamiętał.

– O środkach nasennych – rzuciła Pia z oczyma wbitymi w swoje dłonie. Czuła się niezręcznie. – Nie potrzebuję wiele. Kilka tabletek czy kapsułek. Zeszłej nocy prawie nie zmrużyłam oka. Naprawdę będę bardzo wdzięczna i z góry dziękuję.

Paul odchylił się na krzesło.

– Ej, wcale się nie zgodziłem.

– Nie, słusznie, przepraszam. Głupio się zagalopowałam. Potrzebuję kilka tabletek temazepamu.

– To pochodna benzodiazepiny, lek psychotropowy o narkotycznym działaniu.

– Wiem, wiem. Ale mam straszne kłopoty ze snem. Na dobrą sprawę w ogóle nie śpiam. Brałam Zolpidem, ale w ogóle nie pomagał. No, niech pan tylko na mnie spojrzy.

Paul popatrzył na Pię i nie ujrzał niczego niepokojącego. Po prawdzie wyglądała absolutnie bajecznie. Podobnie jak ona, polegał na swojej intuicji, a ta kazała mu zachować ostrożność: czuł podskórnie, że coś tu śmierdzi, w dodatku Pia uparcie nie patrzyła mu w oczy.

– Dobrze, przepraszam. – Wstała. – Poproszę kogoś innego, nie ma sprawy. – Ruszyła w stronę drzwi.

– Pia, jest coś, czego pani nie powiedziałem.

Odwróciła się. Zauważyła, że młody rezydent nadal ich ignoruje, jakby w ogóle nie zauważał ich obecności.

– Nie wysłałem całej krwi do laboratorium. Część zachowałem. Jest



w lodówce.

– Naprawdę? – Twarz jej się rozpromieniła. – Dlaczego mi pan nie powiedział?

– Chciałem, ale się pani rozłączyła. Zresztą przez cały czas powtarzałem, że do badań wysłałem tylko próbkę. Resztę zachowałem, bo powiedziała pani, że może sama będzie chciała rzucić okiem na materiał. Wysłałem więc tylko tyle, ile było potrzebne do wykonania standardowych testów diagnostycznych, a resztę zachowałem.

– Szkoda, że mi pan od razu nie powiedział.

– Mówię teraz. Zresztą mogła pani trochę się opanować, gdy rozmawialiśmy poprzednio. Nie zamierzam biegać za panią jak zrugany szczeniak. Mam swoją robotę i własne zmartwienia.

– W porządku, rozumiem – powiedziała Pia. – Ma pan rację. Ale to świetnie. Proszę na razie ją przechować.

– Zgoda, przechowam ją, ale chciałbym zadać pani osobiste pytanie.

– Tak, o co chodzi? – Pia zeszytywniała, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Dlaczego nie patrzy pani na mnie, tylko bez przerwy odwraca wzrok? Czuję się przez to nieswojo, jakby coś pani przede mną ukrywała albo nie mówiła mi prawdy.

Pia zmusiła się, żeby popatrzeć Paulowi w oczy przez kilka sekund. Jak zwykle nie przyszło jej to łatwo. Potem wróciła na miejsce, na którym wcześniej siedziała. Ze wzrokiem wbitym w dłonie pokręciła głową.

– Z jednej strony ma pan rację, ale z drugiej się myli.

Teraz Paul pokręcił głową.

– Jeśli spodziewa się pani, że rozumiem tę uwagę, grubo przecenia pani moje zdolności intelektualne. Co, u licha, ma pani na myśli?

– Ma pan rację, twierdząc, że nie mówię prawdy, ale myli się pan, zakładając, że to dlatego nie patrzę panu w oczy. Pewnie niespecjalnie to pana interesuje, wyjaśnię jednak, że zdiagnozowano u mnie zespół zaburzenia więzi. Obił się panu o uszy ten termin?

– Nie przypominam sobie.

– No to żeby nie wchodzić w szczegóły, które może pan sobie potem sprawdzić, powiem, że najkrócej rzecz ujmując, mam problemy z kontaktami społecznymi.

Pia przedstawiła pokrótce dzieciństwo spędzone w placówkach opiekuńczo-wychowawczych. Zwykle nie bywała taka otwarta, ale intuicyjnie polubiła Paula. Czuła, że rodzi się między nimi nic porozumienia, i nie chciała jej zerwać. Kiedy skończyła mówić, zmusiła się ponownie, żeby na niego spojrzeć i nie uciec wzrokiem w bok. Nie potrafiła.

Po chwili ciszy powiedział:

– Dziękuję, że mi pani o tym opowiedziała. Poczytuję to za zaszczyt. Wczoraj poczułem, że chciałbym panią lepiej poznać, a teraz to pragnienie jest nawet jeszcze silniejsze. Ale przyznała też pani, że nie mówi prawdy. O co chodzi? Ma pani problem z narkotykami?

Pia nie mogła się powstrzymać. Roześmiała się, i nie był to chichot, lecz szczery, gromki śmiech. Ponownie zerknęła na rezydenta pracującego przy stojącym opodal biurku i odprężyła się, widząc, że nadal ich ignoruje. Przeniósła uwagę z powrotem na Paula.

– Skądże znowu. – Opanowała się i ściszyła głos. – Nie, nie jestem narkomanką. Choć kłamałam w sprawie tego temazepamu i problemów ze snem. Potrzebuję tych tabletek nie dla siebie, tylko żeby usnąć pewnego dżentelmena. Mówiąc bez ogródek, potrzebuję swego rodzaju pigułki gwałtu, choć nie w lubieżnych celach. Nie zamierzam nikogo wykorzystać seksualnie.

Paul zrobił skonsternowaną minę. Pochylił się w stronę Pii.

– No dobrze. Chyba lepiej, żeby mi pani wyjaśniła, co dokładnie chodzi jej po głowie, bo nie mam zielonego pojęcia. – Ich głowy niemal się dotykały. Czuł jej perfumy, jedne z jego ulubionych.

Pia opowiedziała mu *sotto voce* o swoim planie poszukania prawdy o Nano w samej jaskini lwa, czyli ekstrawaganckim domu Zachary'ego Bermana.

– Pani nie żartuje, prawda? – spytał Paul.

– Ani trochę. Myślę, że to jedyny sposób. Ironia polega na tym, że on

sam, rękę dam sobie uciąć, prawdopodobnie uczynił coś podobnego wielu kobietom. Może nie przy użyciu temazepamu, ale przynajmniej alkoholu.

– A skąd pani przyszedł do głowy akurat temazepam?

Pia poczuła przebłysk nadziei. Paul nie odrzucił z miejsca jej pomysłu.

– Dziś po południu sprawdziłam w sieci wykaz pigułek gwałtu. Wygląda na to, że ten środek jest dość często wykorzystywany w tej roli i dość łatwo dostępny. Ale Bogiem a prawdą, nie będę kręcić nosem, jeśli ma pan lepszą propozycję.

Teraz Paul się zaśmiał.

– Nie mam dużego doświadczenia w tej materii oprócz kilku przypadków zgwałceń, którymi zajmowaliśmy się na oddziale. Robimy toksykologię pod kątem podobnych środków, jeśli coś przemawia za tym, że ofiara mogła otrzymać pigułkę gwałtu.

– No to co pan powie teraz, gdy już wyznałam wszystko jak na spowiedzi? Da mi pan kilka tabletek?

– Etyka zawodowa absolutnie nie pozwala mi dać pani lekarstwa, choćby dwóch tabletek, przy użyciu którego mogłaby się pani dopuścić czynu karalnego, tym bardziej zaś ciężkiego przestępstwa, zwłaszcza jeśli nie wykorzystywałaby pani seksualnie swojej ofiary.

– Marne szanse. – Pia chcąc nie chcąc się uśmiechnęła. Podobało jej się poczucie humoru Paula.

– Ale wie pani co? Mogę dać pani kilka temazepamów, jeśli powie mi pani, że to na pani osobisty użytek.

– Zgoda.

– Ale nie tabletki, tylko kapsułki. Mogą być?

– To nawet lepiej – zapewniła.

– I mam jeszcze jedną prośbę. Musi mi pani podać adres tego całego Bermana. Chcę wiedzieć, gdzie mam wysłać policję, jeśli nie odezwie się pani do jutrzejszego ranka. I chciałbym, żeby to było jasne: absolutnie nie pochwalam tego planu.

– Zgoda – powtórzyła Pia.

## Rozdział 21

Dom Zachary'ego Bermana, Boulder, Kolorado

środa, 24 kwietnia 2013, 20.00

I znowu tu jestem, pomyślała Pia, siedząc w samochodzie przed domem Bermana. Miała na sobie tę samą czarną dopasowaną suknię, w którą była ubrana na poniedziałkowym obiedzie, bo był to jedyny strój koktajlowy, jaki posiadała. Jednak tym razem nie było George'a ani, miała nadzieję, Whitney Jones. Usiłowała wcześniej opracować jakiś plan działania na dzisiejszy wieczór, ostatecznie doszła jednak do wniosku, że będzie musiała improwizować w zależności od rozwoju sytuacji. Szczerze mówiąc, najchętniej darowałyby sobie całą tę farsę, jednak jej potrzeba dowiedzenia się więcej o Nano stała się już zbyt silna. Wiedziała, że aby ją zaspokoić, nie obejdzie się bez tego tête-à-tête z Bermanem. Będąc w głębi serca realistką, miała jednak świadomość, że naraża się na pewne ryzyko.

Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i patrząc w lusterko, nałożyła drugą warstwę brzoskwiniowej szminki, która pięknie podkreślała odcień jej skóry. A przynajmniej tak jej mówiono. Wysiadła z samochodu i wygładziła sukienkę świadoma, że Berman prawdopodobnie ją obserwuje. Pomieszczenie, z którego mógł to czynić, chciała zlokalizować w pierwszej kolejności.

Kiedy weszła po schodach i zbliżyła się do drzwi, te otworzyły się jak na zawołanie dokładnie w tym samym momencie. Tak jak poprzednio, Berman powitał ją, całując w oba policzki. Miał na sobie elegancki, ale swobodny strój, podobny do tego z poniedziałku, tyle że marynarka była tym razem granatowa, a golf jasnobrązowy.

– Musiał pan widzieć, że idę – zauważyła.

– Owszem. – Berman zaprosił ją do środka.

Pia przystanęła tuż za progiem.

– Nie zauważyłam żadnej kamery na zewnątrz.

– Jest bardzo dyskretnie umieszczona. Przekonajmy się, czy dasz radę ją zlokalizować.

Uśmiechnęła się. Jako dziecko Berman pewnie uwielbiał chwalić się swoją kolejką i innymi zabawkami. I, jak wielu mężczyzn, nigdy nie wyrósł z tej potrzeby.

– Zgoda. – Cofnęła się za próg i obejrzała futrynę, potem popatrzyła wyżej, gdzie na modłę tudoriańską wyeksponowano gołe belki. Berman przyglądał się temu rozbawiony.

– Nigdy jej nie znajdziesz. – Wskazał kamerę: małe lustrzany pęcherzyk pośrodku granitowego nadproża. Był niemal zupełnie niewidoczny.

Pia przywołała na twarz minę wyrażającą należyty zachwyt.

– Super! A gdzie jest pomieszczenie monitoringu?

– Proszę. – Berman ponownie zaprosił ją do środka, pokazując, by ruszyła przodem. Otworzył jakieś drzwi, które Pia brała wcześniej za drzwi szafy. Za nimi znajdował się niewielki pokój ze sprzętem elektronicznym i dwoma dużymi ekranami, na których widać było teren dokoła domu, bramę wjazdową, basen, kort tenisowy i resztę posiadłości.

– A wewnątrz? Także jest monitorowane czy też system obejmuje tylko teren?

Zamiast odpowiedzieć Berman wcisnął coś w aparaturze i dotknął ekranu. Niemal natychmiast na jednym z monitorów pojawiła się seria ujęć z poszczególnych pomieszczeń.

– I to się nagrywa?

– Jak najbardziej – zapewnił z dumą. – W cyklu dwudobowym. Materiał jest rejestrowany przez czterdzieści osiem godzin, potem automatycznie kasowany i zaczyna się nowe nagranie.

– Wyłączmy to – zaproponowała.

– Przepraszam?

– Wolałabym, żeby nagrywanie zostało wyłączone. Nie chcę się czuć skrepowana świadomością, że każdy mój ruch jest rejestrowany.

Lekki uśmiech pojawił się na twarzy Bermana. Był zachwycony. W cudowny sposób Pia przemieniła się w kobietę jego marzeń. Sięgnął do tego samego urządzenia, którego dotknął wcześniej, i wyłączył je. Ekran zrobił się czarny, zanim przełączył go z powrotem na zewnętrzny monitoring.

– Czasami – rzucił z krzywym uśmieszkiem – przyjemnie jest powrócić do niektórych wydarzeń wieczoru, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Uniósł ciemne, gęste brwi, robiąc minę, która wydała mu się wymowna.

Pia poczuła przyływ złości, gdy uświadomiła sobie, że jej poprzednia wizyta także najprawdopodobniej została nagrana. Doświadczenia z wujkiem, który w dzieciństwie robił jej pornograficzne zdjęcia, sprawiły, że poczuła odrazę, słysząc uwagę Bermana. Udało jej się jednak zachować kamienną twarz.

– Nie ma panny Jones dziś wieczorem?

– Nie. Zwolniłem do domu kucharza i gospodynię. Nasz obiad czeka w piekarniku, szampan chłodzi się w lodzie. Mamy cały dom tylko dla siebie. Może wolisz usiąść na zewnątrz? Wieczór jest taki piękny. Dam ci szal, gdybyś chciała się okryć.

– Dobry pomysł – powiedziała Pia.

Zatem droga wolna, pomyślała. Tyle że to działało w obie strony: nie było nikogo, kto powstrzymałby Bermana przed próbą zdobycia tego, czego pragnął.

Usiadła na tarasie, a Berman poszedł do barku, żeby przygotować drinki. Wrócił z dwiema szampankami i zaproponował toast.

– Za Nano i wszystkich na pokładzie – zaśmiał się lekko.

– Za Nano – dołączyła się do toastu Pia – i jego nieprzemijający sukces.

– Za nasz nieprzemijający sukces. Siedzimy w tym razem. I wszyscy będziemy cieszyć się owocami wspólnej pracy, kiedy przyjdzie czas zbiorów. Mariel mówiła, że doświadczenia nadal przebiegają pomyślnie.

– Owszem. – Pia się cieszyła, że rozmowa toczy się na tematy związane z pracą. Potwierdziła, że do siedemnastej tego popołudnia nadal nie zaobserwowała śladu reakcji immunologicznej u obleńców, którym wstrzyknięto mikrobiwory o zmodyfikowanej powierzchni. – Jeśli ten stan się utrzyma, będziemy mogli powoli myśleć o doświadczeniach na ssakach.

– Świetnie! – Wstał. – Pozwolisz, że ci doleję. – Wskazał na kieliszek Pii.

– Ja prowadzę, panie Berman, ale pan niech sobie nie żałuje.

– Mów mi po imieniu. Jestem Zach! Poza biurem wolałbym, żebyś tak się do mnie zwracała. I nie martw się o powrót. Jeśli będzie trzeba, wezwę kierowcę z firmy. – Posłał jej ten sam obłudnie przymilny uśmiech, od którego robiło jej się niedobrze. Wstała.

– Może pora coś przekąsić. Skoro obiad jest w piekarniku, nie powinniśmy pozwolić mu czekać zbyt długo. Nie chciałabym, żeby się przypalił albo zrobił zbyt suchy. W poniedziałek jedzenie było pyszne i dziś przez cały dzień szykowałam się na podobną ucztę.

– A ty gotujesz czasem u siebie?

– Nigdy. Praca za bardzo mnie pochłania.

– Wnoszę z tego, że jedzenie z firmowej stołówki nie bardzo ci smakuje?

– Nie, jest w porządku. Ale o niebo wolę twoje.

– O, miło to słyszeć. Ja też je wolę. Zapraszam zatem do jadalni. Za chwilkę do ciebie dołączę. – Berman ruszył do kuchni, nie przestając mówić, jego głos rozchodził się echem po ogromnym domu.

– Bardzo lubię sam podawać swoim gościom! – krzyknął z kuchni. –

To mi przypomina czasy, kiedy nie miałem jeszcze nikogo do pomocy. Służba mnie czasem denerwuje tym swoim nadskakiwaniem. Tak jest zdecydowanie swobodniej.

Taa, zgadza się, w głębi duszy zwykły z ciebie facet, pomyślała Pia z przekąsem.

– Mogę ci jakoś pomóc?! – zawołała.

– Nie, siedź, już idę!

Chwilę później pojawił się z tacą. Postawił przed Pią miseczkę parującej zupy i zaproponował świeżo zmielony czarny pieprz z ogromnego młynka.

– Pachnie bosko – powiedziała Pia.

– Wegetariańska zupa z groszku z miętą z mojego własnego ogrodu ziołowego. I kapką *crème fraîche*. Niebo w gębie. *Bon appétit!*

Pia musiała przyznać, że zupa jest przepyszna: świeża i delikatna, zyskiwała jeszcze na smaku dzięki aromatycznemu pieprzowi. Smakowałyby jej bardziej, gdyby się tak nie denerwowała.

Berman nalał jej jeszcze szampana i kieliszek białego wina – zwykłego francuskiego burgunda, jak zapewniał, ale Pia dałaby głowę, że trunek należy do bardzo kosztownych. Kiedy go sączyła i patrzyła, jak Berman w kilku łykach osusza swoją szampankę i bierze się do wina, napomniała się w myślach, by nie przesadzić z alkoholem. Zwłaszcza szampan był niebezpieczny, bo łatwo uderzał jej do głowy, a chciała zachować przytomność umysłu.

Musiała przyznać, że Berman jest dobrym i troskliwym gospodarzem: dbał o to, by jej jedzenie było odpowiednio poprawione, a szklanka z wodą gazowaną pełna. Dopiła białe wino i sięgnęła po treściwe czerwone, które Berman otworzył do pysznych bawolich steków podanych z miejscowymi warzywami i makaronem orzo w ziołach.

– Mięso było wyjątkowo kruche – skomplementowała, gdy sprzątnął jej talerz.

– I zdrowe. Dużo pierwszorzędного białka, mało tłuszczu. Może deser zjemy w sali telewizyjnej.



Pia nie przypominała sobie, by widziała ją w poniedziałek, i rzeczywiście, pomieszczenie było dla niej nowe: mieściło się obok salonu, oprócz kolejnego kominka na środku jednej ze ścian znajdował się w nim tylko ogromny telewizor, a przed nim skórzana sofa barwy ciemnego burgunda i stolik. Innych mebli nie było. Podobnie jak gabinet Bermiana w Nano, i ten pokój emanował duchem stereotypowej męskości. Na biegnącej na ścianie za sofą półce stał rząd fotografii Bermiana: przedstawiały go głównie w trakcie najróżniejszych sportowych zajęć: z bronią, wędką albo sprzętem wspinaczkowym. Pia usiadła na sofie, a on bawił się swoim iPhone'em: w kilka sekund przyciemnił światło, włączył jakiś jazz i zasunął zasłony.

– Fiu, fiu, co za technika – powiedziała Pia. Podejrzewała, że powinna być zachwycona.

– Przepraszam. Oklepane? Ale nie przeprowadziłem tego pokazu tylko z myślą o tobie. Kiedy jestem sam, też się tak bawię. Ta aplikacja w telefonie jest bardzo wygodna. Kilku programistów z Nano opracowało ją specjalnie dla mnie. Chwilę trwało, zanim nauczyłem się w pełni z niej korzystać, ale teraz mogę za jej pomocą odkręcić nawet kran w garażu. – Z dumą uniósł aparat.

Nic dziwnego, że nie mogę się doprosić o kontakt z programistami od mikrobiworów, pomyślała Pia, ale ugryzła się w język.

– To co mogę ci podać? – Berman dalej odgrywał troskliwego gospodarza. – Poobiedni likierek, jakieś wino deserowe? W zamrażarce mam lody domowej roboty. Zakładam, że cygarem nie jesteś zainteresowana. Ale nie chcę wyjść na seksistę. Gdybym był tu sam, acz niepomierne się cieszę, że tak nie jest, z pewnością strzeliłbym sobie cygarko.

– A często bywasz sam?

– Czasami. Dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem. Pracują dla ciebie takie atrakcyjne kobiety. Whitney, Mariel...

Usiadł obok Pii.

– Może i są atrakcyjne...

Wyciągnął rękę i kiedy się do niego odwróciła, przebiegł palcem wskazującym po linii jej brody. W pierwszym odruchu chciała strzepnąć jego dłoń, ale się opanowała. Wiedziała, że musi udawać albo wszystko pójdzie na marne. Z drugiej strony sytuacja ją mierzwiła, za bardzo przypominała wieczór, kiedy dobierał się do niej dyrektor poprawczaka. Ze wszystkich sił starała się patrzeć mu w oczy.

– Whitney i Mariel z pewnością są atrakcyjne – ciągnął Berman nieświadom tego, co chodzi Pii po głowie. – Ale nie są tobą. – Położył jej rękę na plecach i usiłował przyciągnąć ją do siebie. Pozwoliła mu, ale zaraz delikatnie się odsunęła. Tylko ostatkiem siły woli zapanowała nad sobą, żeby nie rzucić się na niego z pięściami, bo w tamtej chwili reprezentował wszystko, co budziło jej odrazę u płci przeciwnej.

– Zwolnijmy trochę – powiedziała cicho. – Przygotuję ci drinka. – Chciała, by wypił jak najwięcej w jak najkrótszym czasie.

Wyprostował się i popatrzył na nią.

– Dużo ode mnie wymagasz, Pia.

– Myślę, że powinniśmy się trochę lepiej poznać.

– Sądziłem, że kiedy przyszedłaś do mojego biura o świcie, byłaś gotowa przenieść naszą znajomość na nowy etap.

Pia wstała, pochyliła się nad Bermanem i oparła ręce po obu stronach jego nóg. Zbliżyła twarz do jego twarzy. Stłumiła chęć walnięcia go w szyję ciosem karate.

– Może i jestem gotowa, ale moja matka Włoszka zawsze mi powtarzała, że mężczyzna musi pokazać, że mnie szanuje, zanim pozwolę mu na coś więcej.

Sama się zdziwiła, że podobny tekst wyszedł z jej ust. W rzeczywistości nie pamiętała ani jednego słowa matki, która została zamordowana, gdy ona chodziła jeszcze z pieluchą w zębach.

Widziała, że Berman bliski jest szaleństwa. Wiercił się na sofie, jakby lada chwila miał eksplodować. Pokręciła lekko biodrami i uśmiechnęła się. Sama nie mogła się sobie nadziwić.

– No to co ci mogę przygotować? – spytała. – Pamiętam, że lubisz szkocką, prawda? Podziwiam mężczyzn, którzy ją piją. To taki męski

trunek.

– Tak, dobry łyskacz nie jest zły.

Berman z trudem formował słowa. Oblizwał usta.

Pia ponownie się uśmiechnęła. Warsztaty aktorskie z metody Stanisałwskiego, które ukończyła w trakcie nauki na Uniwersytecie Nowojorskim, nie poszły na marne.

– To gdzie masz barek? – Ruszyła do drzwi.

– Tutaj jest jeden – powiedział Berman. – Lubię mieć pod ręką dobry trunek.

Pia zakłęła pod nosem. Kopertówkę, w której miała wszystko, co potrzebne, zostawiła na stole w jadalni. Zakładała, że przygotuje Bermanowi drinka właśnie tam. Poszła teraz za jego wzrokiem i zobaczyła wbudowaną szafkę, której wcześniej nie zauważyła. Podeszła i pociągnęła za drzwiczki. Cały front barku odsunął się na bok, ukazując karafki z rżniętego szkła i szklaneczki do whisky.

– Którą? – spytała.

– Jaśniejszą. Laphroaig Single Malt.

– Lód – rzuciła triumfalnie. – Potrzebuję lodu!

– Pia, nie mogę pozwolić ci psuć wyśmienitej single malt lodem. Takiej whisky nie pija się z lodem.

– Przykro mi, ale jeśli ja mam jej spróbować, muszę mieć lód. Skąd mam go przynieść?

Berman wstał.

– Pozwól, ja się tym zajmę. – Doszedł już trochę do siebie. Wyciągnął szklaneczkę i nalał sobie kapkę. Pia chwyciła go pod ramię, żeby dolał więcej. Uśmiechnęła się. Odpowiedział uśmiechem.

– I tak muszę skorzystać z toalety – oznajmiła. – Więc mogę przynieść lód, wracając.

– Toaleta jest w holu, a barek w salonie, więc może ja...

– Ty siedź i się nie ruszaj – rzuciła Pia władczo. – Zaraz wracam.

Wyszła pospiesznie z bawialni, chwyciła kopertówkę ze stołu i ruszyła do holu. Serce biło jej jak szalone. W łazience wyciągnęła z torebki dwie trzydziestomiligramowe kapsułki temazepamu. Potem

spuściła wodę i umyła ręce. Wróciła do salonu, napełniła kieliszek do wina kostkami lodu z lodziarki, wetknęła kopertówkę pod ramię i skierowała się do bawialni.

Berman siedział na sofie i sęczył drinka. Na stoliku przed nim stała druga szklaneczka do połowy napełniona czystą whisky. Taka ilość alkoholu wystarczyłaby, by zwalić Pię z nóg. Zrozumiała, że jej plan może nie wypalić w kluczowym momencie. Nie mogła się ululać. Zastanawiała się, ile Berman już wypił. Kilka kieliszków szampana, kilka kieliszków białego i czerwonego wina. Sporo, ale nie dość jak na męczyznę jego postury i tolerancji na alkohol. A ona? Jak dotąd prawie cały kieliszek szampana i dwa kieliszki wina. Mogła więcej, ale od whisky powinna się trzymać z daleka. Nie miała doświadczenia z mocnymi trunkami.

Wrzuciła cały przyniesiony lód do szklaneczki z brązowym trunkiem, a to, co się przelało, wytarła serwetką.

– Ups, trochę nabrudziłam. No to najlepszego!

– *Santé!* – Berman wziął łyk swojej whisky, delektując się smakiem.

Pia też upiła kapkę i zaniósła się kaszlem.

– Spokojnie. Jeśli ci nie odpowiada, może wolisz coś innego?

– Smak jest w porządku. Polubiłam whisky jakiś czas temu. Ale w szkole średniej pijaliśmy głównie Crown Royal.

Coraz bardziej wczuwała się w odgrywaną rolę. Obejrzała się przez ramię i popatrzyła na fotografie.

– Wygląda na to, że aktywny z ciebie facet.

– Myślę, że to trafny opis.

– Tam na szczycie góry to też ty? – Wskazała na jedno ze zdjęć.

– Owszem – potwierdził z dumą Berman. – Zostało zrobione na jednym z niższych szczytów w Himalajach.

– Robi wrażenie. Może pokażesz mi je z bliska?

– Chętnie! – Wstał i obszedł sofę.

Pia skorzystała z okazji, by przytrzymując palcami kostki lodu, wylać pod stół większość whisky ze swojej szklaneczki. Kiedy wrócił z fotografią, okazała stosowny zachwyty. W duchu uważała jednak, że

wspinaczka wysokogórska w wykonaniu bogatych mężczyzn trąci śmiesznością.

Ze śmiechem odstawiała szklaneczkę na stolik.

– Pychota! – Zamarkowała czknięcie i zaśmiała się znowu. – No, a co z tobą? Pij, nie ociągaj się, bo zostajesz w tyle.

– Nie wiedziałem, że to wyścigi.

Udając narastającą euforię, spytała:

– Możesz zmienić muzykę? Zróbmy sobie imprezę z prawdziwego zdarzenia. – Wcisnęła mu w dłoń iPhone'a, wyrywając z niej szklaneczkę. Była nadal do połowy pełna.

– Czego chciałabyś posłuchać?

– Czegoś ciut bardziej współczesnego. Na czasie. – Podeszła do szafki z alkoholem. Napełniła szklaneczkę Bermana aż po sam brzeżek. Obejrzała się przez ramię: stał ze wzrokiem wbitym w aparat, najpewniej przewijając pliki muzyczne. Wrzuciła obie kapsułki temazepamu do bursztynowego trunku i usiłowała je zatopić.

– Może to? – spytał Berman i puścił coś, co przypominało Beatlesów.

– Nie, za stare. – Zamieszała whisky palcem, ale bez skutku. Czerwono-niebieskie kapsułki unosiły się na powierzchni płynu niczym miniaturowe boje. – Cholera – syknęła pod nosem. Odstawiła szklanę i wyłowiła je palcami.

– A to? – zawołał Berman.

Pia nie kojarzyła kawałka, który puścił.

– Nie poznaję. Co to?

– Zespół, który bardzo lubiłem w latach osiemdziesiątych. Podobają ci się?

– Lata osiemdziesiąte? A masz może coś z ostatnich dziesięciu? Coś, co mogło mi się obić o uszy?

Mocowała się z kapsułkami i w końcu zdołała je przełamać i wsypać białą zawartość do drinka.

– Ożeż, na litość boską! – krzyknęła.

– Co się stało?

– Znowu rozlałam whisky, przepraszam. – Znalazła w barku długie

szklane mieszadło i za jego pomocą gorączkowo usiłowała rozpuścić biały proszek, który pływał teraz na powierzchni. Pluła sobie w brodę, że nie przeprowadziła w domu próby generalnej. – Może poszukasz czegoś innego? – zaproponowała. Lekarstwo wreszcie zaczynało się rozpuszczać.

– Zgoda, ale nie bardzo mi pomagasz. – Berman znalazł jakąś stację radiową, gdzie leciała muzyka elektroniczna, wolna i ciut lunatyczna.

– O – ucieszyła się Pia. – To mi się podoba.

– Naprawdę? Mnie uszy bolą – stwierdził.

Popatrzyła na dno jego szklaneczki. Pływał tam niebieski kawałek kapsułki. Usiłowała wyciągnąć go palcem, ale uciekał, i w końcu po prostu przelała podprawiony narkotykiem trunek do nowego naczynia, które zaraz zaniósła na stolik. Następnie zabrała stamtąd swoją szklaneczkę i upewniwszy się, że Berman nie widzi, napełniła ją wodą z karafki i dołała ciut whisky dla koloru. Z bijącym sercem wróciła na sofę i postawiła naczynie.

– Chodź! – rzuciła ożywionym tonem i wyciągnęła rękę do Bermana.

– Zatańcz ze mną!

Zaczęła się kołysać w rytm hipnotycznej muzyki, z ramieniem uniesionym nad głową. Berman rozsiadł się na sofie i sięgnął po whisky. Co za kobieta!

– Wolę popatrzeć na ciebie! – powiedział, sącząc trunek.

Pia popatrywała na niego dyskretnie z ukosa, sprawdzając, czy nie wyczuje smaku lekarstwa. Wiedziała, że standardową dawką w przypadku bezsenności albo niepokoju jest jedna tabletką, nie miała jednak pojęcia, ile z zawartości kapsułek rzeczywiście trafiło do drinka.

Nie umiała tańczyć, ale starała się poruszać w takt muzyki, która na szczęście cały czas utrzymywała to samo powolne tempo. Chwyliła karafkę whisky i napełniła ponownie opróżnioną już w jednej czwartej szklaneczkę Bermana. Najwyraźniej smak nie był taki zły.

– Ej, oszukujesz – powiedział i Pia odniosła wrażenie, że ma problem ze skupieniem na niej wzroku.

Chwyliła swoją szklaneczkę i ostentacyjnie wychyliła jej zawartość.

To wystarczyło, by poszedł za jej przykładem, biorąc spore łyki trunku, gdy ona wróciła do swojego prowokacyjnego tańca.

I tak kawałek leciał za kawałkiem, Berman złapał szklaneczkę za szklaneczką, a Pia powoli zaczynała się zastanawiać, dlaczego, u Boga, jeszcze nie zasnął. Przyszło jej do głowy, że może często łyka benzodiazepiny i się uodpornił. Ale nagle, gdy dolewała mu whisky, oczy uciekły mu w głąb, a naczynie wyslizgnęło się z dłoni. Rzuciła się i zdążyła je złapać, zanim stoczyło się z jego kolan na podłogę. Głowa opadła mu do tyłu i zaczął cicho pochrapywać.

– Bogu dzięki – wyszeptwała.

Wzięła iPhone'a i kiedy wyłączyła radio, dom zatonął w całkowitej ciszy. Pobiegnęła szybko do kuchni ze szklaneczkami po whisky i szybko je umyła, na mało prawdopodobny wypadek, gdyby ktoś rano podejrzewał użycie tabletki gwałtu. Wyrzuciła nawet do zlewu uprzykrzoną resztkę kapsułki i upewniła się, że nie ma po niej śladu. Dopiero wtedy zaniósła szklaneczki z powrotem do bawialni i nalała do każdej po kapce trunku.

– Dobra – powiedziała do siebie, kiedy się już z tym uporała. – Sprawdźmy, co tu znajdziemy.

## Rozdział 22

Dom Zachary'ego Bermana, Boulder, Kolorado  
czwartek, 25 kwietnia 2013, 2.14

Pia uznała, że ma jakieś cztery–pięć godzin na przeszukanie domu. Fakt, że gospodarz był spity i nafaszerowany środkiem nasennym, nie powstrzymał jej przed dwukrotnym upewnieniem się, że mocno chrapie. Ułożyła go w bezpiecznej pozycji z głową lekko przechyloną przez krawędź sofy na wypadek gdyby zebrało mu się na wymioty. Wyglądało na to, że śpi jak dziecko. Zgasiła światło i wyszła. Potem w kuchni wypija kilka szklanek wody, dopóki nie poczuła, że doszła całkowicie do siebie. Chciała być w pełni sił przed czekającym ją zadaniem.

Tak naprawdę nie miała pojęcia, czego szuka. Obeszła cały dom, zapamiętując rozkład i funkcję poszczególnych pomieszczeń: na trzech piętrach mieściły się pokoje gościnne, siłownia, piwniczka na wino i garaż na dole. Widziała już wcześniej cały parter, ale na górze jeszcze nie była. Prowadziły tam dwie pary schodów: główne z salonu i tylne z kuchni.

Większość powierzchni na piętrze zajmowała gigantyczna sypialnia Bermana z dwiema dużymi łazienkami. Ale znajdował się tam także jeszcze jeden pokój – domowe biuro – i to ono ją najbardziej



interesowało.

Włożyła lateksowe rękawiczki, których na szczęście nie zapomniała ze sobą zabrać, usiadła przy biurku Bermana i rozejrzała się. Miało szklany blat, na którym stał duży mac, najnowszy model z ekranem Retina. Na prawo leżał wysoki na piętnaście centymetrów stos papierów i dokumentów, na lewo płaska panelowa ładowarka do iPhone'a. Z boku biurka stała szafka na dokumenty z drzewa wiśniowego, zamknięta jednak na klucz. Pia obróciła się na krzesło i zlustrowała wzrokiem całe pomieszczenie. W przeciwieństwie do reszty domu, ściany pokrywała gładka boazeria, która nadawała gabinetowi bardziej oficjalny charakter, niż miały inne pokoje.

Pod jedną ze ścian stała para niskich szafek, Pia pociągnęła za uchwyty przy drzwiczkach, ale były zamknięte. Na drugiej ścianie znajdowały się półki z książkami wypełnione typową męską kolekcją podręczników biznesu, biografii sportowców i thrillerów wzbogaconą o parę albumów o Górach Skalistych. Wyciągnęła kilka książek, ale z tyłu była ściana. Szklane biurko nie miało szuflad. Przeciągnęła dłonią po wszystkich płaskich powierzchniach w poszukiwaniu kluczy. Nic.

Miała dostęp tylko do stosu papierów na biurku.

Przejrzała je skrupulatnie. Większość z nich stanowiły wydruki wewnątrzfirmowych e-maili. Na wielu figurowały odręczne notatki Bermana zrobione ołówkiem. Dużo było raportów o stanie zaawansowania poszczególnych badań i doświadczeń prowadzonych w Nano, kilka z nich dotyczyło jej własnych eksperymentów. Nieznajomość technicznych aspektów innych zastosowań nanotechnologii uniemożliwiała jej zrozumienie bardziej specjalistycznego żargonu. Pomędzy e-mailami porzucane były kopie formularzy zamówień, które Berman podpisał, w tym również jej wykaz zapotrzebowania na sprzęt i materiały do dodatkowych badań nad biokompatybilnością mikrobiworów.

Jeden z druków dotyczył zamówienia nowego krzesła do gabinetu dla niejakiego Ala Clifta – Berman zakreślił zamaszystymi kółkami cenę – 359 dolarów – i napisał obok „odmowa”. Na podstawie tych

dokumentów można mu było zarzucić tylko skąpstwo i patrzenie pracownikom na ręce.

Pia opadła na fotel i wbiła wzrok w maca. Był wyłączony i uznała, że gdyby go uruchomiła, Berman najprawdopodobniej wiedziałby, że ktoś myszkował w jego gabinecie, a podejrzenie w pierwszej kolejności padłoby na nią. Była sfrustrowana i krańcowo zmęczona. Dochodziła czwarta. Postanowiła jeszcze raz obejść dom, wrócić do gabinetu, ponownie przejrzeć dokumenty i zmyć się, zanim Berman się obudzi.

W piwnicy nic nie znalazła. Piwniczka na wino była zamknięta, jednak przez okno zobaczyła tylko rzędy regałów z butelkami: ani śladu sejfu czy innego podejrzanego mebla. Słyszała szum systemu wentylacyjnego, utrzymującego w pomieszczeniu stałą temperaturę i wilgotność. Do garażu początkowo bała się wejść, na wypadek gdyby Berman zaliczył go do części zewnętrznej posesji i jej wizyta zostałaby zarejestrowana. Wtedy też na chwilę spanikowała, niepewna czy nie kłamał w kwestii wyłączenia kamer wewnątrz, ale trochę za późno było się o to niepokoić.

Uważnie obejrzała drzwi do garażu. Nie sprawiały wrażenia podłączonych do alarmu. Kiedy je otworzyła, trzymała się w cieniu, póki się nie upewniła, że na ościeżach nie ma żadnych czujników. Wszystko wskazywało na to, że to brama wyjazdowa garażu objęta jest zewnętrznym nadzorem, co miało sens, zważywszy na zawartość pomieszczenia.

Znajdowały się tam trzy pojazdy: ford 150 z pługiem śnieżnym, range rover i aston martin. Stała także żaglówka na przyczepie. Oprócz tego Pia zlokalizowała dwie zamrażarki wypełnione, jak jej się wydawało, dziczyzną. Na jednej ze ścian wisiały na hakach elektronarzędzia i sprzęt ogrodniczy. Pii przeszło przez głowę, że Berman to skrupulatny i przygotowany na wszystko porządniki.

Ta myśl uświadomiła jej jednocześnie, że w związku z tym jest raczej mało prawdopodobne, by przechowywał poufne materiały w domu. Po cóż miałby tak ryzykować, skoro mógł wszystko zostawić w pracy? W Nano były ogrodzenia, uzbrojona ochrona, czytniki tęczówek,

niezliczone kamery monitoringu i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Westchnęła. Postanowiła, że jeszcze raz rzuci okiem na papiery w gabinecie i da sobie spokój.

Weszła na parter. Kiedy mijała pomieszczenie monitoringu, jej uwagę przykuł ruch na jednym z ekranów. Podeszła bliżej i ze zgrozą zobaczyła, że ktoś zbliża się schodami do frontowych drzwi, od których dzieliły ją ledwie trzy metry. Poznała Whitney Jones.

Obróciła się na pięcie i popędziła na palcach do sali telewizyjnej. Po drodze ściągnęła rękawiczki chirurgiczne i kiedy, ściskając je w dłoni, stanęła na progu pokoju, z ulgą stwierdziła, że Berman nadal smacznie chrapie. Nawet się nie poruszył. Tymczasem Whitney pewnie dochodziła właśnie do wejścia. Pia pospieszenie przymknęła drzwi bawialni, nie zamykając ich jednak, i zaraz potem usłyszała postukiwanie obcasów na drewnianej podłodze. Rzuciła się w kierunku Bermana, klapnęła na sofę i zwinęła się w jej kącie, kładąc sobie jego stopy na kolanach. Miała nadzieję, że wygląda na pogrążoną we śnie. Jej puls ponownie przyspieszył.

Whitney weszła do jadalni, ale nie zajrzała do sali telewizyjnej. Pia zerknęła i zobaczyła na wyświetlaczu konsoli telewizyjnej, że jest 4.42. Zastanawiała się, czy panna Jones zawsze zjawia się tak wcześnie. Może w garażu był jednak alarm? Wiedziała, że Whitney musiała zauważyć jej auto na podjeździe. Kiedy kroki się oddaliły, domyśliła się, że asystentka poszła pewnie sprawdzić jedyne narzucające się miejsce, czyli sypialnię. Sięgnęła pod krótką sukienkę i ukryła rękawiczki w majtkach. Serce waliło jej tak głośno, że nie dziwiłaby się, gdyby Whitney słyszała je na górze.

Po, jak się Pii zdawało, półgodzinie, kroki powróciły, tym razem szybsze i głośniejsze. Nie znalazłszy Bermana w łóżku, panna Jones pewnie się zdenerwowała. Po kolejnym okrążeniu salonu, drzwi do bawialni otworzyły się powoli i do pomieszczenia wpadło światło. Pia głośniejszym odetchnęła. Głowa ją bolała ze zdenerwowania i było jej niedobrze. Whitney musiała ocenić sytuację z daleka, bo drzwi się szybko zamknęły i pokój znowu zatonął w ciemności.

Pia leżała nieruchomo, dziękując losowi, że na czas zauważyła Whitney na ekranie monitoringu i nie nadziała się na nią z zaskoczenia gdzieś w domu. Bała się też, że zostawiła gdzieś ślady swojego myszkowania. Whitney najwyraźniej nie zamierzała opuścić domu, a Pii nie bardzo było w smak leżeć tak w ciemności i słuchać pochrapywania Bermana. Musiała przespać się choć kilka godzin we własnym łóżku. Wstała, namacała w ciemności torebkę i ruszyła do drzwi.

## Rozdział 23

Dom Zachary'ego Bermana, Boulder, Kolorado  
czwartek, 25 kwietnia 2013, 4.45

Whitney Jones siedziała przy stole w jadalni i z wprawą wystukiwała jakąś wiadomość na swoim iPadzie. Była w tym naprawdę dobra – często wysyłała ponad setkę e-maili i SMS-ów dziennie. Usłyszała, że drzwi do sali telewizyjnej się otworzyły i zamknęły. Ucieszyła się, że ktoś przejął inicjatywę, bo nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachować w tej sytuacji. Wyczuła, że ktoś pojawił się w wejściu do jadalni, a ponieważ Berman najpewniej by się odezwał, domyśliła się, że to Pia. Nie podniosła jednak głowy, nawet gdy dziewczyna do niej podeszła. Rozmyślnie zachowywała się pasywno-agresywnie: wyczuwała, że zadurzenie szefa w Pii może tylko napytać firmie biedy.

– O, witam, panno Jones – rzuciła Pia, autentycznie zażenowana, choć nie została nakryta *in flagranti*.

Miała nadzieję, że gra równie przekonująco jak przed Bermanem, choć zupełnie inną rolę. Mimo to czuła niesmak i cieszyła się, że przyłapano ją tylko śpiącą w ubraniu na sofie z szefem, a nie na buszowaniu po jego domu w poszukiwaniu obciążających Nano dowodów.

– Tak mi się zdawało, że słyszę, jak ktoś wchodzi. – Pia czekała na jakąś reakcję Whitney. – No i zobaczyłam światło.

– Jedna sekunda – rzuciła Whitney i wróciła do wystukiwania kciukami tekstu. Po długiej chwili podniosła głowę i popatrzyła na Pię z uniesionymi brwiami. – Przepraszam, jeśli cię obudziłam. Szukałam pana Bermana, co chyba oczywiste. Musi z samego rana wykonać jeden telefon, zanim pewne osoby opuszczą swoje biura.

W oczach Pii Whitney sprawiała wrażenie zupełnie nieporuszonej jej obecnością. Albo tak dobrze się maskowała i grała, albo naprawdę potrafiła zachować zimną krew. Pia zachodziła w głowę, jakie stosunki łączą ją z szefem. Ewidentnie miała klucz do jego domu.

– Jest jeszcze bardzo wcześnie, prawda? – Pia rozejrzała się niby w poszukiwaniu zegara. – Która godzina? – Postanowiła zachowywać się równie nonszalancko jak Whitney, jakby nic się nie stało. I rzeczywiście nic się nie stało, poza tym że Berman spał nie po alkoholu, a po środku nasennym. Była jednak między młotem a kowadłem. Z jednej strony chciała się zmyć, na wypadek gdyby Berman podejrzewał, że pomogła mu zasnąć, z drugiej kusił ją, żeby zostać i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

– Tutaj jest za kwadrans piąta. – Słowa Whitney wyrwały ją z zamyślenia. – Ale nie na całym świecie. – Gdy nadeszła odpowiedź, asystentka popatrzyła z powrotem na tablet i wróciła do pisania.

Pia uznała, że w Chinach dochodzi pewnie siedemnasta. Może właśnie tam Berman miał zadzwonić. To się trzymało kupy.

– Eee, pan Berman śpi na sofie. – Poczuli potrzebę wyjaśnienia. – Oboje chyba niestety dość dużo wypiliśmy. – Kaca i zmęczenia nie musiała nawet udawać. Rzadko miewała kontakt z alkoholem.

Whitney skończyła pisać i popatrzyła na nią.

– Nie przejmuj się, Pia, ode mnie nie usłyszysz złego słowa – powiedziała. – Jednym z powodów, dla których Zachary darzy mnie sympatią, jest moja absolutna dyskrecja. Ale ten telefon trzeba wykonać. Wybacz!

Ruszyła w kierunku sali telewizyjnej. Po chwili wahania Pia uznała,

że niestosownie byłoby wyjść w tym momencie, więc poczłapała za nią. Whitney podeszła do Bermana i klepnęła go w ramię, ale się nie obudził. Przykucnęła więc i potrząsnęła nim trochę mocniej, jednocześnie wołając go po imieniu. Nadal nie było żadnej reakcji. Wstała i przyjrzała mu się badawczo.

– Śpi jak zabity. Co, u licha, piliście? Wygląda, jakby był nieprzytomny.

– To. – Pia podniosła niemal pustą karafkę z whisky i poczuła mdłości na samą woń trunku. Zebrała szklaneczki, które umyła, gdy Berman zasnął, i przyniosła z powrotem do sali. Ucieszyła ją własna przezorność: brak szkła mógłby wzbudzić podejrzenia Whitney. Jednak tylko w przypadku, gdyby Pia zachowywała się jak winowajca, co, jak się obawiała, właśnie czyniła.

– Zostaw je, gospodyni posprząta. – Whitney machnęła ręką.

– Żaden problem – zapewniła Pia.

Chciała umyć szklanekę ponownie, niczym lady Makbet ręce, na wypadek gdyby uchowały się tam jakieś resztki narkotyku. Zanim Whitney zdążyła znowu zaprotestować, poszła do kuchni i wyszorowała naczynie do czysta pod gorącą wodą.

Zrobiwszy to, znowu nie wiedziała, czy powinna zostać, żeby sprawdzić, czy Berman się ocknie, czy raczej zabrać się do domu, ale kiedy wróciła do sali, siedział na sofie i pił wodę ze szklanki. Wyglądał jak po bójkę w knajpie. Oczy miał czerwone, włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach.

– Jak się czujesz? – spytała Pia. To była chwila prawdy. – Bardzo szybko zszedłeś.

– Jakby ktoś mnie walnął młotkiem w łeb. – Siedział ze spuszczoną głową, odwracając oczy od światła. – Ile wypilem?

– Morze, ale nic ci nie jest? – Ugryzła się w język, żeby nie spytać, czy nie ma wrażenia, że ktoś go nafaszerował narkotykiem.

– Nie, wszystko w porządku. – Popatrzył na nią i spróbował się uśmiechnąć. – Zwykle mam mocniejszą głowę. Ale mną się nie przejmuj, powinnaś pojechać do siebie i się przespać. – Teraz on czuł się

zażenowany. Nie zamierzał zachować się jak jakiś zielony młokos z college'u. – Panna Jones mówi, że mam ważny telefon do wykonania za kilka minut, więc muszę wziąć się w garść i trochę ogarnąć. Ale dziękuję bardzo za miły wieczór. Świetnie się bawiłem, na ile pamiętam.

– Ja też – zapewniła Pia.

Kamień spadł jej z serca, że Bermanowi nic nie jest, ale nie wiedziała, czy powinna podać mu rękę na do widzenia, czy cmoknąć go w policzek. Koniec końców pomachała mu tylko słabo i uznała, że powinna się zmyć, zanim sytuacja zrobi się jeszcze bardziej niezręczna. Sprawdziła, czy wzięła wszystko, z czym przyszła, i opuściła dom.

Na zewnątrz było jeszcze ciemno i miała wrażenie, że nadal jest na lekkim rauszu, gdy niepewnie schodziła schodami na podjazd. Kręciło jej się w głowie i trzymała się kurczowo poręczy. Była skonana i trochę przybita faktem, że cały jej wysiłek poszedł na marne. Nie uzyskała nic, jedynie, co sobie teraz uświadomiła, napuściła na siebie Bermana. Aż do wczorajszego wieczoru udawało jej się trzymać od niego i jego zalotów na dystans. Teraz nie wiedziała, czego może się spodziewać.

Bardzo ostrożnie i powoli, dziesięć kilometrów na godzinę poniżej ograniczenia prędkości, pojechała do siebie. Zaparkowała, weszła do domu i rzuciła się na łóżko. Była piąta trzydzieści. Berman być może prowadził w tym momencie swoje tajemnicze rozmowy. Ona nie była jednak ani odrobinę bliżej poznania prawdziwego charakteru jego interesów niż przed pechową wizytą. Zanim miała czas się nad tym zastanowić i poczuć pełnię rozczarowania, zapadła w głęboki, pozbawiony marzeń sen.



## Rozdział 24

Mieszkanie Pii, Boulder, Kolorado  
czwartek, 25 kwietnia 2013, 10.00

Pia poderwała się ze snu i gwałtownie wróciła do rzeczywistości – cholera, pomyślała z miejsca, która godzina? Znalazła telefon i popatrzyła ze zgrozą na wyświetlacz. Zamierzała się zdrzemnąć góra dwie godzinki, tymczasem zrobiła się już dziesiąta. Zobaczyła długą listę nieodebranych e-maili, SMS-ów i wiadomości głosowych od Mariel, pewnie bombardującej ją pytaniami, gdzie się podziewa, i prośbami o jak najszybszy kontakt. Nawet nie musiała ich czytać ani odsłuchiwać. Nie chcąc odkładać tego, co i tak nieuniknione, wybrała numer. Spallek odebrała natychmiast.

– Tu Pia. Przepraszam, rozchorowałam się trochę. Postaram się przyjść po lunchu, jeśli ci to odpowiada.

– Chyba będzie musiało – rzuciła Mariel. – Co ci jest dokładnie?

Zadała to pytanie takim samym tonem, jakim zirytowany kierowca dopytywałby się mechanika, co się zepsuło w samochodzie. W jej głosie nie pobrzmiwał nawet cień współczucia czy troski. Była po prostu niezadowolona, bo nieobecność pracownicy pokrzyżowała jej szyki. Pii nie zdziwiła ta reakcja: ona też byłaby sfrustrowana, gdyby ktoś nie pokazał się w pracy bez uprzedzenia, choć Pii coś podobnego zdarzyło

się po raz pierwszy. Owszem, bywało, że przychodziła spóźniona, ale zawsze dlatego, że zarwała noc, pracując do wczesnych godzin porannych.

– Migrena, zawroty głowy, mdłości. Mówiąc krótko, czuję się gównianie. – Z rozmysłem użyła kolokwializmu w nadziei, że utnie rozmowę.

– Wygląda na to, że dopadła cię ta sama przypadłość co pana Bermana. – Mariel nie mogła się powstrzymać przed wbiciem małej szpili. Pia domyśliła się zatem, że szefowa już dowiedziała się o jej wizycie w domu właściciela Nano i poczuła się zazdrosna. – W takim razie do zobaczenia o drugiej, jeśli nie wcześniej.

Pia chciała jeszcze o coś spytać, ale Mariel już się rozłączyła. Czyżby Berman nie dotarł do pracy? Wydawało się to mało prawdopodobne. Uznała więc, że najpewniej się pojawił, tyle że ewidentnie skacowany, co naprowadziło Mariel na trop wczorajszej imprezy. Te kilka godzin snu, które Pia złapała, okazały się prawdziwym błogosławieństwem: doszła już prawie do siebie, ale żeby przyspieszyć rekonwalescencję, łyknęła jeszcze dwa ibuprofeny, wypila dwie szklanki wody i wzięła prysznic. Gorąca woda naprawdę postawiła ją na nogi. Orzeźwiona zaczęła jeszcze raz analizować całą sytuację. Postanowiła znowu pobawić się w obrońcę Nano, kwestionując zasadność swoich obaw i szukając racjonalnego, niewinnego wyjaśnienia tego, czego była świadkiem w ostatnich kilku dniach. I znowu go nie znalazła. Ponieważ w głowie nieustannie kołatała jej mglista myśl, że może chodzić o życie ludzi, niewykłuczone, że poddawanych nielegalnym eksperymentom, nie potrafiła przekonać samej siebie do zarzucenia śledztwa.

Uznała, że najlepiej będzie obgadać całą sprawę z kimś innym. W pierwszym odruchu pomyślała o George'u, ale zaraz przegnała tę myśl. Był za bardzo zaangażowany uczuciowo, by być użytecznym konsultantem. Rozmowa z nim okazałaby się tylko stratą czasu. Wprawdzie dwa lata temu na studiach bardzo jej pomógł i choć musiała wtedy walczyć z jego negatywnym nastawieniem, to właśnie on, aczkolwiek w niezamierzony sposób, naprowadził ją na trop polonu.

Jednak dzisiaj, gdyby zadzwoniła, chciałby rozmawiać o swojej niedawnej wizycie, jej znaczeniu, tym, że powinni być w bliższym kontakcie, bla, bla, bla. To było ostatnie, o czym Pia chciała dyskutować. Szczerze lubiła George'a, mimo że był beznadziejnie konserwatywny. Problem polegał na tym, że wiedziała, iż nigdy nie będzie mogła dać mu tego, czego pragnął. Poza tym szła o zakład, że na pewno usiłowałby ją odwieść od wściubiania nosa w sprawy firmy i nie zrozumiał jej potrzeby wyjaśnienia sekretów Nano.

Potem pomyślała o Paulu Caldwellu. Wtedy przypomniała sobie, że obiecała do niego zadzwonić z samego rana i potwierdzić, że jest cała i zdrowa, żeby nie zaalarmował policji. Zerknęła szybko na zegarek. Było po jedenastej. Trochę spanikowana wybrała jego numer.

– Pia, co słychać? – rzucił bez wstępów.

– Paul, dzięki Bogu, że pana złapałam. Na śmierć zapomniałam, że obiecałam zadzwonić. Powiedział pan, że postawi na nogi policję, jeśli się rano nie odezwę. Ale nie zrobił pan tego, prawda?

– Nie! Najpierw spróbowałbym się do pani dodzwonić.

– O, to dobrze – rzuciła Pia z ulgą. – Jest pan na oddziale?

– Nie, dopiero co stamtąd wyszedłem. Wziąłem dyżur za jednego z kolegów, któremu rozchorowało się dziecko. Jadę właśnie do domu, zamierzałem do pani zadzwonić, kiedy tam dotrę. Nie wiem, czy powinienem pytać, ale jak poszło zeszłej nocy? Udało się pani zdrowo zasnąć po temazepamie?

– Właśnie się obudziłam – przyznała Pia. Miała wrażenie, że Paul stroi sobie z niej żarty, więc zignorowała pytanie. Nie wspomniała także, że położyła się o piątej nad ranem. – I tak się zastanawiam, czy nie moglibyśmy spotkać się dzisiaj, żeby pogadać? Osobiście. Im szybciej, tym lepiej.

– A nie wybiera się pani do pracy? Już po jedenastej.

Przestał się martwić, że dał jej benzodiazepinę, bo najwyraźniej nie było żadnych reperkusji, i teraz już tylko zżerała go ciekawość, czy zdołała wywęszyć coś w sprawie Nano. Jednak idąc za jej przykładem, postanowił nie poruszać drażliwych kwestii przez telefon.

– Pójdę trochę później. Jestem jeszcze ciut, by tak rzec, wczorajsza. Alkohol i ja nie jesteśmy najbardziej dobraną parą.

– Dobrze, powiem w takim razie, jakie mam plany. Jadę do domu, wskakuję w strój do trekkingu i idę na szlak. Może pani do mnie dołączy? Moglibyśmy wtedy pogawędzić. Chętnie poznam szczegóły wczorajszego wieczoru. – Paul chciał się upewnić, czy u Pii naprawdę wszystko okay.

– Myślę, że dałoby się to zrobić. Proszę powiedzieć coś więcej o tej wycieczce. Nie mam sił na duże wyzwania.

– Mały, przyjemny wypad, proszę mi zaufać, nic forsownego. Sam miałem ciężki dyżur. Oprócz zwykłych zalanych w trupa dzieciaków z college'u jeszcze paskudny wypadek samochodowy, o którym wolę nie myśleć. No, niechże się pani nie da namawiać. Proszę pójść ze mną i zaczerpnąć trochę górskiego powietrza. Obiecuję, że od razu postawi panią na nogi. U mnie zawsze to działa.

Po prawdzie ostatnią rzeczą, jaka się Pii uśmiechała, była górską włóczęgą, ale jeśli to miała być cena za możliwość wygadania się przed Paulem, trudno, była skłonna ją zapłacić. Czuła, że potrzebuje czyjejś rady, że powinna opowiedzieć komuś o tym wszystkim, choćby tylko po to, by usłyszeć własne myśli.

– Zgoda, Paul. Proszę tylko powiedzieć, gdzie się spotkamy. I może mówmy sobie po imieniu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Trzy kwadransy później stała z Paulem na dole szlaku ubrana w strój do biegania i cienki anorak. Paul miał na sobie stylowy strój do trekkingu, w tym buty robiące wrażenie w pełni profesjonalnych, i wyglądał, jakby mógł cały dzień chodzić po górach mimo zarwanej nocy. Pia czuła się nieodpowiednio ubrana i zupełnie niegotowa do większego wysiłku. Jednak zapewnił ją, że zaplanował tylko dwugodzinny wypad przez zagajnik sosnowy na popularnej trasie.

– O tej porze nie powinno tu być tłumów – oznajmił i niemal natychmiast ruszył różnym, marszowym tempem, które sprawiło, że Pia

musiała się natężyć, by za nim nadażyć. Zaczerpnął głęboki haust powietrza i głośno odetchnął. Szli po ziemi zasłanej pachnącymi sosnowymi igłami. – Dlatego właśnie przeprowadziłem się do Kolorado. Tutejsze powietrze jest fantastyczne, nie sądzisz?

– Ciut za bardzo rozrzedzone jak na mój nizinny gust. Ale istotnie, jest czyste i rześkie. – W innych okolicznościach okazałaby więcej entuzjazmu, ale dziś nie miała ochoty marnować czasu na tego typu uprzejmości. Przeszła zaraz do rzeczy, streszczając Paulowi wypadki ostatniej nocy. Nie rozwodziła się nad tym, jak wykorzystwała temazepam, który od niego dostała: powiedziała po prostu, że Berman się upił i film mu się urwał. W miarę jak mówiła, uświadomiła sobie ponownie, że jej podejrzenia co do Nano opierają się na poszlakach, i to dość słabych.

Opowiedziawszy o wizycie w domu Bermana i jej marnych owocach, cofnęła się o dwa lata i dorzuciła jeszcze garść informacji na temat tajemniczych okoliczności towarzyszących śmierci Rothmana i Yamamoto na Uniwersytecie Columbia, roli, jaką odegrała w ich wyjaśnieniu, i tym, jak niemal nie przyplącała tamtego śledztwa życiem. Była jednak znacznie bardziej powściągliwa, jeśli chodzi o szczegóły tamtych wydarzeń. Paul uważnie jej słuchał, od czasu do czasu rzucając celne pytanie. Ona natomiast, kiedy wreszcie skończyła, z trudem łapała oddech, nienawykła do tak długich przemów i dziarskiego marszu. Po kilku chwilach milczenia, w których Paul najwyraźniej analizował to, co usłyszał, wreszcie się odezwał.

– Pozwól, że będę mówił szczerze i bez ogródek, bo taki właśnie jestem, zgoda? Widzę dwie możliwości. Pierwsza to taka, że masz detektywistycznego nosa, dar wyczuwania, że coś jest nie tak, i świetny analityczny umysł, dzięki któremu potrafisz po tropach dotrzeć do rozwiązania. I z tego, co mówisz, jesteś dość odważna, by próbować. Albo dość głupia.

– Dużo tego jak na jedną możliwość – powiedziała Pia. – A jaka jest druga?

– Że jesteś trochę stuknięta – wypalił Paul. – Bez obrazy. Bo chyba

się nie obraziłaś? – Popatrzył na nią. Miała obojętną minę. – Wygląda na to, że nie. To dobrze, bo tak naprawdę wcale nie mam cię za stukniętą. Uparta to chyba lepsze określenie. I ciut jasnowidząca. Z tego, co mówisz, przez długi czas byłaś jedyną osobą, która podejrzewała, że coś złego kryje się za zgonami naukowców w laboratorium na Uniwersytecie Columbia, tak?

– Owszem. Nikt mi nie wierzył. Czułam się jak jakaś Kasandra. Bo dla mnie to było oczywiste.

– Dobrze, ja ci wierzę. Zwykle nie przemawiają do mnie spiskowe teorie, jednak z twoich relacji i tego, co sam widziałem w szpitalu, wyłania się dość niepokojący obraz twojej firmy. To co w takim razie zamierzasz w tej sprawie zrobić? Teraz, gdy wizyta w domu szefa okazała się niewypałem?

– Cieszę się, że zgadzasz się ze mną co do Nano. To pocieszające. Sęk w tym, że cała ta sprawa budzi we mnie takie same złe przeczucia jak śmierć Rothmana. Nie mogę stłumić tych obaw i czuję, że mam obowiązek drażnić problem, choćby po to, by je rozwiązać. W zeszły weekend miałam u siebie gościa. Nazywa się George Wilson...

– Ha! – rzucił Paul z szelmowskim uśmieszkiem. – To mi się podoba. Miłość na wokandzie?

– Bynajmniej. – Pia machnęła ręką. – Przynajmniej nie z mojej strony.

– O nie! – Paul zrobił minę zbitego psa; spuścił nos na kwintę i się przygarbił. – Jesteś taka piękna, pewnie kręcą się koło ciebie setki kawalerów.

– Nic z tych rzeczy. – Uśmiechnęła się wbrew sobie. – Jak już mówiłam wczoraj, nie należę do najbardziej towarzyskich stworzeń. Niestety muszę cię rozczarować. Przyjaźniliśmy się z George'em na studiach i pomógł mi przy sprawie Rothmana, włamując się do kilku miejsc, do których nie mieliśmy wstępu. Ale to zupełnie inna historia. Chciałam tylko powiedzieć, że kiedy teraz tu do mnie przyjechał, zadał mi interesujące pytanie, które dało mi do myślenia. Gdy mu opowiedziałam, jak ogromny wpływ nanotechnologia wywrze na medycynę i ile w związku z tym wydaje się pieniędzy na badania nad

jej rozwojem, spytał, kto je nadzoruje. Kto pilnuje, żeby kwestie bezpieczeństwa nie były traktowane po macoszemu. W pierwszym odruchu się zachnęłam, pytanie mnie zirytowało, głównie dlatego, że już byłam zirytowana jego nieproszoną wizytą.

– To rzeczywiście zbrodnia. Tak się nie robi – wtrącił Paul.

– Ale potem uświadomiłam sobie, że ma rację. Badania nad nanotechnologią nie są objęte żadną odgórną kontrolą. Żadne ciało nie weryfikuje tego, czy nanoprodukty nie są groźne dla zdrowia ani czy w trakcie badań nie dochodzi do pogwałcenia standardów etycznych, na przykład przedwczesnych eksperymentów na ludziach.

– O, czyli to ci chodzi po głowie. Podejrzewasz, że z czymś takim możemy tu mieć do czynienia?

– Mówiąc szczerze, nie wiem, ale owszem, zachodzi takie ryzyko. A ja tkwię w tym po uszy, uczestniczę w pracach Nano codziennie. Chcę mieć pewność, że nie przykładam ręki do czegoś nieetycznego, może nawet nielegalnego. Muszę się dowiedzieć, czym dokładnie zajmuje się firma, i jeśli coś jest nie tak, zdobyć dowody. Nie mogę po prostu zadzwonić do gazet czy skontaktować się z FDA na przykład, bo nie mam nic na potwierdzenie swoich podejrzeń. To tak jak wtedy z Rothmanem. Wszystko zależy ode mnie, to mój obowiązek. Będę musiała dostać się jakoś do innych budynków firmy, gdzie nie mam oficjalnie wstępu, żeby wy badać, co się dzieje. Któregoś dnia próbowałam się trochę rozejrzeć, wejść do sąsiedniego gmachu, do którego można przejść łącznikiem z budynku, w którym pracuję. Bez skutku. Pocałowałam tylko klamkę. Czytnik tęczówki uniemożliwił mi wejście.

– A takie węszenie po firmie nie jest niebezpieczne? Widziałaś tych strażników, którzy przyszli na mój oddział.

Wzruszyła ramionami.

– Może tak, może nie. Tak naprawdę nie wiem. Ale jestem przecież pracownikiem Nano. Jeśli nawet ktoś mnie przyłapie w jakimś miejscu, gdzie nie powinnam być, mogę zawsze twierdzić, że się zgubiłam albo że załatwiam coś dla Bermiana, zwłaszcza teraz, gdy znamy się

towarzystwo. Jedyne pomysły, które poza tym przychodzi mi do głowy, to skłonić go, by zaprosił mnie do udziału w pozostałych, objętych tajemnicą, badaniach. Problem w tym, że nie wiem, czego dokładnie dotyczą, a nie mogę odsłonić przyłbicy. Mariel wiele razy wbijała mi do głowy, jak ważna jest dyskrecja, nawet w odniesieniu do badań, które ja prowadzę. W każdej chwili mogą mnie zwolnić. Jestem pomocna, ale z pewnością nie niezastąpiona.

– A skąd wiesz, że już nie pracujesz nad jakimś tajnym projektem?

– Co masz na myśli?

– Tylko tyle, że możesz nie znać wszystkich zastosowań i pełnego przeznaczenia nanorobotów, które badasz. Bo znasz?

– A ja myślałam, że to ja jestem cyniczna.

Pia zachichotała sarkastycznie. Nie brała wcześniej pod uwagę tej ewentualności. Wydawało się, że mikrobiowory stworzono w zbożnym celu, jednak nie mogła tego z taką samą pewnością powiedzieć o technologii, którą pomagała rozwijać, próbując rozwiązać problemy z biokompatybilnością. Milczała przez kilka minut.

– Przepraszam – powiedział w końcu Paul. – Nie chciałem cię zdenerwować.

– Nie zdenerwowałeś. Nic się nie stało.

– To dobrze. Okay. – Zatrzymał się i pokazał dokoła ręką. – Tutaj zawracamy. Nacieszmy się przez chwilę widokiem i w drogę.

Wyszli z lasu i dotarli na skalną półkę, z której roztaczała się przepiękna panorama odległych gór.

Po kilku minutach milczenia odezwał się ponownie.

– To jakiej pomocy ode mnie oczekujesz? Bo chyba do tego sprowadza się twój monolog. Chcesz, żebym po prostu to z tobą obgadał, czy spodziewasz się czegoś konkretniejszego? Tylko pamiętaj, nie zrobię nic niezgodnego z prawem. I nie zamierzam się nigdzie włamywać jak ten cały George.

– Rozumiem. Ale jest coś, w czym możesz mi pomóc.

– Jasne. Wal.

– Wspomniałeś, że lubisz się trochę bawić w programowanie, tak?



– Owszem, mogło mi się coś takiego wyrwać – powiedział ostrożnie.

– Nie martw się. Nie zamierzam cię prosić, żebyś zhakował jakieś hasła czy włamał się do komputera. Ale muszę sobie jakoś poradzić z tymi czytnikami tęczówki w Nano. Choćby po to, żeby się dostać do łącznika prowadzącego do drugiego budynku. Czy istnieje jakiś sposób obejścia albo oszukania takiego urządzenia, inny niż rozwalenie go młotkiem? Coś, co, gdyby mnie złapano, wyglądałoby tak, jakby ustrojstwo samo popełniło błąd, dokonało mylnej identyfikacji.

– A te skanery mają jakąś obsługę?

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– No, czy jakiś ochroniarz stoi obok i obserwuje podchodzące do czytnika osoby.

– Niektóre tak, ale nie wszystkie. Na parterze mojego budynku non stop kręcą się ochroniarze, ale nigdy nie zwracają uwagi, gdy przechodzę przez czytnik. A przy tamtym, który nie wpuścił mnie do łącznika, nie ma żadnej ochrony.

– W takim razie chyba mogę ci pomóc – stwierdził Paul. Pomysł mógł być nielegalny, ale w końcu to nie on miał z niego korzystać. Przed wszystkim jednak wydawał się fajnym wyzwaniem, z rodzaju tych, jakie kręciły go w czasach liceum. – Jak rozumiem, czytniki tęczówki bazują na matematycznych algorytmach identyfikacji, wykorzystując fakt, że ludzkie tęczówki są unikatowe i niepowtarzalne jak odcisk palca. Zastanowię się, co da się zrobić.

– Dzięki, Paul, to wspaniale.

– Ale posłuchaj. Nie chcę się czepiać i torpedować twoich planów, nie wydaje ci się jednak, że to trochę niebezpieczne? Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł?

Pia przewróciła oczyma. Jakby słyszała George'a.

– I tak spróbuję, bez względu na to, czy mi pomożesz czy nie.

– Domyśliłem się, że coś takiego powiesz. Zobaczę, co da się zrobić – powtórzył.

## Rozdział 25

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado  
czwartek, 25 kwietnia 2013, 14.15

Mariel Spallek spojrzała ostentacyjnie na zegarek, kiedy Pia weszła do laboratorium kwadrans po drugiej.

– Spóźniłaś się – stwierdziła. – Mówiłaś, zdaje się, że będziesz przed drugą. – Wbiła z powrotem wzrok w księgę rozłożoną na biurku.

– To ty mówiłaś o drugiej, nie ja. Ciesz się, że w ogóle przyszłam w tym stanie. Chyba mam prawo wziąć dzień zwolnienia, jeśli się źle czuję.

Pia straciła już do niej cierpliwość. Miała powyżej uszu tego wiecznego czepiania się i agresywnych, lekceważących uwag. Uznała, że nie pozwoli bezkarnie jeździć na sobie jak na łysej kobyle.

– Ja nigdy nie biorę zwolnień i nie życzę sobie, żeby moi pracownicy je brali – rzuciła Mariel, nie podnosząc głowy. – Czasem czuję się lepiej, czasem gorzej, ale zawsze, jeśli tylko nie leżę w szpitalu, zjawiam się w pracy. I tego samego oczekuję od innych.

Pii cisnęło się do głowy całe morze ciętych ripost, ale w końcu machnęła ręką. Liczyła, że kiedyś w przyszłości będzie miała lepszą sposobność powiedzenia szefowej, co o niej myśli.

Położyła zatem uszy po sobie i przez ponad dwie godziny ciężko

pracowała. Mariel odkomenderowała więcej pracowników do pomocy w nowym laboratorium, które udało jej się przejąć piętro niżej. Pia wprowadziła ich w temat i zaczęli przygotowywać kolejne eksperymenty nad biokompatybilnością. Wiadomo było, że im więcej się ich przeprowadzi, tym większą wartość statystyczną będą miały uzyskane wyniki.

Pii zaczynała coraz bardziej doskwierać obsesyjna skłonność Mariel do patrzenia wszystkim na ręce i nieustannej kontroli: trzeba było z nią uzgadniać nawet najdrobniejsze szczegóły. Tymczasem w oczach Pii duża część przyjemności, jaką dawała jej praca badawcza, płynęła z wyzwania: najpierw żeby znaleźć rozwiązanie, a potem dane potwierdzające jego słuszność. Czuła się skrupowana apodyktycznym nadzorem szefowej, tym, że bez przerwy zagląda jej przez ramię. Gdy miała chwilę przerwy, sama do niej podeszła. Mariel siedziała nadal zatopiona w pracy.

– Posłuchaj, Mariel, eksperymenty idą świetnie, ale inne zespoły badawcze w naszej firmie pracują nad projektami, o których nie mam pojęcia. Tak się zastanawiam, czy te projekty nie są przypadkiem powiązane z tym, co ja robię, a jeśli tak, to czy nie byłoby sensownie, żebym ja także była informowana o przebiegu prac. Mogłabym wtedy sama analizować ich przydatność do moich badań.

– To należy do mnie. Ty masz się skupić na przydzielonych ci zadaniach. To, co robią inni pracownicy, nie powinno cię interesować.

– Dobrze, już dobrze. Ale co to w ogóle za ludzie? Dlaczego nie mogę przynajmniej z nimi porozmawiać? Dzień w dzień ślęczę tu od rana do nocy, a nie wiem nawet, czym się zajmuje reszta pracowników. To frustrujące.

– Nano to duża, chroniona firma, o silnej segmentacji działów z uwagi na względy bezpieczeństwa. Obowiązuje w niej zasada ograniczonego dostępu do informacji. Każdy pracownik dysponuje jedynie tymi danymi, które są mu absolutnie niezbędne do wykonywania powierzonych zadań. Nie musisz wiedzieć, czym zajmują się inni, i *vice versa*. W ostatecznym rozrachunku ta strategia jest

efektywniejsza i z pewnością bezpieczniejsza. Skup się więc na tym, za co ci płacimy. Pan Berman wie, co robi. Jest mózgiem Nano. Ja jestem jego oczyma i uszami.

Plus zazdrosną jęzłą, pomyślała Pia, ale w porę ugryzła się w język. Spytana tylko:

– Wspomniałaś przez telefon, że nie czuje się najlepiej. Przyszedł dziś do firmy?

– Owszem, przyszedł. Jakżeby inaczej. To człowiek bardzo oddany pracy. W przeciwieństwie do ciebie. A dlaczego pytasz?

– Tak tylko, z troski. A możesz mi powiedzieć, czemu co rusz tak mi dogryzasz i dajesz popalić?

Mariel podniosła wzrok znad papierów. Uśmiechnęła się zimno.

– Przykro mi, jeśli uważasz, że traktuję cię niesprawiedliwie. Tak nie jest. Wszyscy pracujemy pod ogromną presją, również czasu, i ta presja pochodzi z góry, w moim przypadku bezpośrednio od Zachary'ego Bermana. Zapewniam cię, że on daje mi popalić znacznie mocniej, niż ja w twoim mniemaniu daję tobie. – Patrzyła na nią jeszcze chwilę z uśmiechem przyrośniętym do twarzy, potem przeniosła wzrok z powrotem na dokumenty.

Pia nie mogła wyjść z podziwu, że można się uśmiechać tak nieszczerze.

Uznała, że musi coś zrobić, zebrać jakoś myśli; w obecności Mariel trudno jej się było skupić. Sprawdziła wcześniej przebieg eksperymentów i upewniła się, że wszystko jest w porządku. Nadal nie pojawiły się objawy reakcji immunologicznej. Wyglądało na to, że politlenek etylenu naprawdę działa cuda.

– Pójdę zaczerpnąć trochę powietrza – oznajmiła. I zanim Mariel miała czas zaprotestować, dodała: – Nie martw się. Zaraz wrócę. Ta czy siak, odrobinę dzisiaj całą dniówkę.

Zjechała windą na parter i wyszła z budynku. Musiała z kimś porozmawiać, więc wybrała numer Caldwell'a. Przypomniała sobie jednak, że zamierzał się zdrzemnąć po powrocie, i rozłączyła się, zanim zdążył odebrać.

Pod wpływem impulsu zadzwoniła więc do George'a, choć miała mglistą świadomość, że rozmowa z nim pewnie bardzo szybko wyjdzie jej bokiem. Na szczęście włączyła się poczta głosowa, biedak pewnie urabiał sobie ręce po łokcie gdzieś w swoim szpitalu. Głównie z desperacji zadzwoniła więc do internistki, która opiekowała się Willem McKinleyem w Nowym Jorku, żeby dowiedzieć się o stan kolegi, jednak ona również nie odebrała. Ale choć zapędy konwersacyjne Pii spęły na niczym, sama przerwa przyniosła jej ulgę. Pokrzepiona wróciła do budynku gotowa stawić czoło kolejnym godzinom w towarzystwie kostycznej Mariel.

Kiedy dotarła do laboratorium, zatrzymała się w progu jak wryta na widok Bermana. Stał pogrążony w rozmowie ze Spallek i Pia w pierwszym odruchu chciała odwrócić się na pięcie i uciec. Perspektywa użerania się z Mariel i Bermanem jednocześnie przerosła ją. Niestety, zauważył ją w ostatnim momencie:

– O, Pia, jesteś. Jak się czujesz? Mariel mówi, że pod psem.

– Rzeczywiście, coś mnie rozbiera, grypa albo przeziębienie, jakbym złapała wilka, ale przyszłam. A pan? Ponoć też nie najlepiej?

Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale przygotowała się na najgorsze. Berman wprawdzie wydawał się spokojny, a w jego głosie nie słyhać było oskarżycielskiego tonu, ale bała się, że zaczął podejrzewać, że dosypała mu czegoś do drinka.

Uśmiechnął się. Czuł się o niebo lepiej niż rano, kiedy Mariel przyłapała go w biurze drzemiącego z głową na biurku.

– O, ze mną wszystko w porządku, nie narzekam, ale dziękuję, że pytasz. – Odwrócił się i z uniesionymi brwiami popatrzył na Mariel. Zrozumiała sugestię i odeszła jak niepyszna na drugi koniec pomieszczenia.

– Dotarłaś do domu bezpiecznie? – spytał Berman cicho.

– Tak, chociaż zajęło mi to dużo czasu. Przez całą drogę powrotną jechałam dużo poniżej ograniczenia prędkości.

– Bardzo rozsądnie. Podejrzewam, że ja w tamtej chwili nie miałbym dość rozumu, by postąpić podobnie. Na szczęście przez kilka godzin nie

musiałem się nigdzie ruszać, a potem byłem wożony. – Błądził spojrzeniem po laboratorium. – A jak tutaj sobie radzicie?

– Dobrze. Wdrożyliśmy dodatkowe eksperymenty nad biokompatybilnością, co z pewnością da nam wysoką istotność statystyczną wyników, zwłaszcza jeśli nadal nie wystąpią reakcje immunologiczne. To było możliwe dzięki dodatkowemu pomieszczeniu i technikom. Powoli zmierzamy do końca.

– Miło to słyszeć. Naprawdę lejesz miód na moje serce. Osobiście uważam projekt mikrobiworów za najważniejszy ze wszystkich prowadzonych w firmie.

– A czego dotyczą te inne? – Pia postanowiła nagle przestać bawić się w kotka i myszkę i spytać prosto z mostu.

Berman uśmiechnął się do niej, tak jak ojciec mógłby uśmiechnąć się do córki zadającej zbyt wiele pytań.

– Przykro mi, ale ze względów bezpieczeństwa, nie mogę ci powiedzieć. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Mariel powiedziała mi to samo. Ale przecież moja praca może częściowo pokrywać się z tym, co robią inni badacze tutaj. Czy nie byłoby z korzyścią dla wszystkich, gdybyśmy wiedzieli, kto się czym zajmuje, i mogli się konsultować ze sobą wzajemnie?

– Mariel i Allan Stevens tego pilnują. Wierz mi, twoja praca miała niebagatelny wpływ na inne projekty, które są w toku. Zapewniam cię o tym solennie.

– Ale który dokładnie aspekt moich badań? Problem biokompatybilności?

– Nie będę wchodził w szczegóły – uciał Berman. Głos mu stwardniał, uśmiech znikł z twarzy. Gołym okiem było widać, że zaczyna tracić cierpliwość, ale się opanował. – Wróćmy do przyjemniejszych kwestii.

– Spytałeś mnie, jak idzie praca, więc powiedziałam szczerze, co myślę. Przepraszam, jeśli posunęłam się za daleko.

– Nie, cieszę się, że mówisz otwarcie i zwracasz się bezpośrednio do mnie. Wiem, jaka potrafi być Mariel. Gorliwość jest niewątpliwie jej

wielką zaletą. Tyle że nie zawsze idzie w parze z miłym obejściem. Ale dość już o tym. Tak naprawdę przyszedłem tu, żeby przeprosić za tę szczeniacką niedyspozycję z zeszłej nocy. Ostatni raz film mi się urwał na pierwszym roku w Yale. Zwykle się tak nie zachowuję. Przepraszam.

– Naprawdę nie masz za co. Ja też wypiałam więcej niż zwykle i zasnęłam.

– Będzie nie na miejscu, jeśli spytam, czy mimo to się dobrze bawiłaś?

Nadal się uśmiechał, więc Pia się odprężyła.

– Owszem, bardzo dobrze nawet. Dziękuję za zaproszenie. – Rozejrzała się, niepewna, czy Spallek nie nadstawia ucha gdzieś w pobliżu. Pia wcale by się nie zdziwiła. Ale Mariel wyszła. – Żałuję tylko, że panna Jones znalazła nas śpiących razem na sofie. Było mi trochę wstyd.

– O, zupełnie niepotrzebnie, naprawdę. Wierz mi, że budziłem się już w znacznie bardziej kompromitujących okolicznościach. I muszę przyznać, że też się świetnie bawiłem, dopóki nie zmogła mnie whisky. Niezła z ciebie tancerka.

Pia poczuła, że się czerwieni. Że też właśnie to musiał zapamiętać.

– To niesamowite, co alkohol potrafi zrobić z zahamowaniami człowieka – bąknęła.

– Byłaś rozkoszna. Obiecuję, że następnym razem nie zasnę i będę troskliwszym gospodarzem. Co ty na to?

– Brzmi wspaniale – zapewniła Pia, myśląc coś dokładnie przeciwnego. – Tylko że przez kilka najbliższych dni będę po uszy zawałona robotą.

– Niestety ja z kolei wyjeżdżam w interesach i nie będzie mnie przez jakiś czas. Szkoda, że nie możesz ze mną pojechać, ale jesteś za bardzo potrzebna tutaj.

– Pewnie jedziesz w jakieś fajne miejsce. – Na samą myśl, że Berman choćby przelotnie rozważał możliwość zabrania jej ze sobą, ogarnęła ją zgroza i musiała włożyć dużo wysiłku, by ton głosu jej nie zdradził.

– Owszem, do Włoch. Ale to wyłącznie służbowa podróż, niestety,

więc nie bądź zazdrosna. Dobrze, muszę już lecieć. Cieszę się, że się zobaczyliśmy. Mariel się nie przejmuj, robi, co jej każe. A kiedy wrócę, na pewno znowu umówimy się na kolację.

– Nie mogę się już doczekać – rzuciła z przekąsem, gdy Berman się oddalił.



## Rozdział 26

Mieszkanie Paula Caldwell, Boulder, Kolorado

środa, 1 maja 2013, 9.45

Od czasu ostatniej rozmowy z Bermanem Pia pracowała na pełnych obrotach, wzięli też do galopu nowych laborantów. W rezultacie podejrzewała, że już wkrótce będzie mogła jednoznacznie ogłosić rozwiązanie problemu z biokompatybilnością mikrobiworów, przynajmniej w odniesieniu do nicieni. Zanim zmodyfikowano powierzchnię płaszczu nanorobotów glikolem polietylenowym, u 30–40% występowała odpowiedź immunologiczna. Wprawdzie niezbyt nasilona, ale istotna. Po wzbogaceniu płaszczu nawet niewielką ilością politlenku etylenu problem całkowicie zniknął. Wyniki były tak zachęcające, że Pia zaczęła się zastanawiać, na jakich zwierzętach powinna kontynuować doświadczenia. Pracowała też dalej nad problemem wici: pomysł jego rozwiązania, na jaki wpadła, również wydawał się obiecujący, choć do konsultacji z programistami ciągle jeszcze nie doszło.

Dużo wolnego czasu spędzała z Paulem Caldwellem. Wybrali się na jeszcze kilka górskich włóczęg, w tym jedną niedzielą, która przeciągnęła się na prawie całe popołudnie, i zostawiła Pii pamiątkę w postaci zakwasów następnego dnia, ale także wspomnień przepięknych

widoków z biegnącego wysoko w Górach Skalistych szlaku, na który Paul ją zabrał.

Ich przyjaźń rozwijała się bardzo szybko. Przebywanie w towarzystwie kogoś, kto ją lubił bez żadnych podtekstów, stanowiło dla Pii nie lada odmianę i ulgę. Nie wyzbyła się jeszcze do reszty swojej rezerwy i wiedziała, że w oczach innych osób – może także do pewnego stopnia i jego – jest trochę dziwna – ale łatwiej jej było zaangażować się w relację, która nie miała żadnego seksualnego tła. Paul upierał się, żeby we wtorkowy wieczór pojechali do Denver do klubu, który znał. Twierdził, że chce się nią pochwalić, więc Pia raz jeszcze wcisnęła się w swoją czarną sukienkę.

I choć z początku nie miała ochoty na tę imprezę, koniec końców bawiła się z przyjaciółmi Paula lepiej, niż mogłaby w najśmielszych snach przypuszczać. Reprezentowali różne zawody, ale łączyła ich pasja i inwencja twórcza, co potrafiła docenić. Sama nie uważała się za osobę najbardziej kreatywną, ale lubiła tę cechę u innych. Jednak najbardziej podobał jej się brak seksualnych zaczepek i presji, dzięki czemu atawistyczny strach, który prześladował ją od czasów dzieciństwa, chwilowo pozostawał uśpiony.

Zgodnie ze swoją obietnicą Paul zbadał temat czytników tęczówki: poszperał w sieci, rozpytał, nie wchodząc w szczegóły, paru rozmówianych w technice znajomych. W środę wieczorem oznajmił Pii, że jego zdaniem zdecydowanie da się oszukać taki skaner, zwłaszcza te pierwszej generacji, najbardziej rozpowszechnione. Uznał, że wystarczy wysokiej rozdzielczości, dobra fotografia oka albo całej twarzy. Wyjaśnił, że nie ma znaczenia, czy obraz będzie dwu- czy trójwymiarowy, bo sama tęczówka jest płaska. Po lekkiej kolacji, na którą przygotował wegetariańską lasagne, pokazał Pii jednoobiektywowy aparat fotograficzny o wysokiej rozdzielczości, którym oprócz normalnego zdjęcia można było także wykonać zbliżenie.

– Skąd go wytrzasnąłeś? – spytała Pia.

– Od przyjaciela ze studiów. No dobra, od byłego chłopaka.

Popatrzył na Pię. Po raz pierwszy odważył się nie wprost wspomnieć o swojej orientacji. Czuł, że przyjaciółka się domyśla, ale ku jego uldze najwyraźniej nie uznała tego za problem. Zauważył, że nawet nie mrugnęła.

– Nadal widzimy się od czasu do czasu. Takich aparatów używa się w laboratorium w jego klinice. Nie wiem do czego, ale to sprzęt o wysokiej rozdzielczości, którym można robić zdjęcia nawet przez mikroskop. Powiedział mi kiedyś, że zdobył podobny z myślą o jakichś artystycznych zdjęciach, nad którymi pracuje. Pożyczyłem go od niego na kilka dni.

– Jak dla mnie wygląda całkiem normalnie – stwierdziła Pia.

I rzeczywiście. Był może trochę bardziej skrzynkowy niż zwykłe aparaty komercyjne, ale Paul zapewnił ją, że obsługuje się go tak samo.

Chciał przetestować sprzęt na Pii, więc usiadła na jego sofie, a on stanął naprzeciwko, tak by światło padało z tyłu.

– Proszę się nie ruszać, moja panno, nie będzie bolało.

Paul wybałuszył oczy, a ona, idąc za jego przykładem, zrobiła to samo.

– Ma znaczenie, czy to prawe czy lewe oko? – spytała.

– Nie wydaje mi się. Zresztą po to właśnie robimy te zdjęcia, żeby sprawdzić, czy zdadzą egzamin. Dobra, nie ruszaj się.

Wykonał kilka zbliżeń obu oczu oraz zdjęcia całej twarzy najpierw z odległości trzydziestu centymetrów, potem prawie metra. W końcu oznajmił, że skończył.

– A gdzie je wydrukujesz? – spytała.

– Na mojej drukarce tu, w mieszkaniu. Ale może się okazać, że to wcale nie jest konieczne, może lepiej nawet będzie zostawić je w formie cyfrowej. Przegram najlepszą fotkę na twój telefon i spróbujesz z nim. Możemy nawet spróbować wykorzystać aparat w twoim iPhone. Telefony mają ekrany o bardzo dobrej rozdzielczości.

– Będzie dość dobre, by oszukać czytnik?

– Przekonamy się. A czy któryś z nich kiedykolwiek odrzucił obraz twojej tęczęwki?

– Tak. Mówiłam ci: ten przy wejściu do łącznika z sąsiednim budynkiem. Nie zwolnił zamka drzwi.

– Ale nikt z ochrony nie stał obok?

– Nie. Nikt.

– To dobrze. Orientujesz się, jak działają te ustrojstwa?

– Trochę. Głównie z tego, co mi mówiłeś.

– No to powtórzę. Zasada działania opiera się na fakcie, że tęczówki są unikatowe, tak jak odciski palców. Różnią się nawet u bliźniąt jednojajowych. Czytnik przetwarza pewne ich widoczne punkty charakterystyczne na matematyczne i statystyczne algorytmy, digitalizuje, a potem porównuje z przechowywanymi w pamięci obrazami tęczówek osób, które mają dostęp do danego pomieszczenia. Jeśli wszystko się zgadza, możesz przejść, jeśli coś jest nie tak, następuje odmowa dostępu.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, że poświęcasz na to swój czas – powiedziała.

– Ej, dla mnie to frajda. Interesują mnie takie michałki. Jestem też kinomanem i to mi trochę przypomina ten film z Tomem Cruise'em. Co to było?

Pia wzruszyła ramionami. Widziała wszystkiego może kilka filmów. Jej życie obfitowało w dramatyczne wydarzenia. Nie odczuwała potrzeby szukania dodatkowych wrażeń na dużym ani małym ekranie.

– *Raport mniejszości* – powiedział Paul zadowolony, że przypomniał sobie tytuł. – Tom Cruise kazał przeszczepić sobie oczy, co oczywiście jest przesadą, no ale na przesadzie opiera się całe Hollywood. Tak czy siak, my nie posuniemy się do tak drastycznego kroku. Żaden system identyfikacji biometrycznej nie jest póki co doskonały, czytniki tęczówki, które obecnie są w użyciu, również, i my to wykorzystamy.

– Widzę, że naprawdę cię to kręci – stwierdziła Pia. – Ciekawe, co robiłeś w liceum. Włamywałeś się do bankomatów?

– Nie twoja sprawa, co robiłem w liceum – rzucił Paul, ale z uśmiechem na twarzy. – Ale mówiąc serio... Co zamierzasz zrobić, jeśli się okaże, że to działa? Czyje oko sfotografujesz? Jedynymi osobami z

Nano, o których mi opowiadałaś, są Berman i ta cała Spallek, którą miałem nieprzyjemność poznać. On jest wielkim szefem, ona wielką jędzą. Jak zamierzasz cyknąć im te fotki?

– Teraz ty jesteś za ciekawski.

Pia nie powiedziała Paulowi wiele o charakterze swoich relacji z Bermanem. Uznała jednak, że z uwagi na ich towarzyski charakter to właśnie on byłby najlepszym celem. Miała świadomość, że igra z ogniem, ale trudno. Nie widziała innego sposobu dotarcia do prawdy. Dodatkowym plusem był fakt, że jako właściciel Berman z pewnością miał pełen dostęp do wszystkich pomieszczeń w Nano.

– Dla mnie to zabawa, ale mówiąc szczerze, o ciebie się martwię. Domyślam się, że będziesz próbowała zrobić zdjęcie Bermanowi, a ponieważ jesteś kuta na cztery nogi, pewnie ci się uda. Ale jeśli wykorzystasz je, żeby uzyskać dostęp do pomieszczeń, do których nie masz wstępu, z prawnego punktu widzenia będzie to nieuprawnione wtargnięcie na teren prywatny, włamanie i Bóg jeden wie, jakie mogą być tego konsekwencje

– Doceniam twoją troskę – powiedziała Pia. – I mam świadomość ryzyka. Jeśli wykorzystam twój pomysł, by dostać się do miejsc objętych zakazem wstępu, i coś się stanie, nie będzie w tym twojej winy. Ja i tylko ja będę odpowiedzialna. Ale dodam jeszcze coś: nawet gdybyś mi nie pomógł, i tak bym ustaliła, jak mogę obejść te czytniki. Zajęłoby to tylko więcej czasu. Zamierzam rozejrzeć się po firmie, zwłaszcza po budynku sąsiadującym z tym, w którym pracuję, i nic ani nikt nie odwiedzie mnie od tego pomysłu.

Przez jakąś minutę mierzyli się wzrokiem. W końcu Pia odwróciła oczy.

– Możesz przynajmniej docenić to, co mówię? – spytał Paul.

– Oczywiście – warknęła Pia. Wbiła w Paula wściekłe spojrzenie. – Ale nie posuwaj się za daleko, jeśli chcesz pozostać moim przyjacielem. Zbyt wiele osób podejmowało już w życiu za mnie decyzje. Wystarczy.

– Zgoda – powiedział Paul. – Chciałem tylko zrzucić to z serca.

– W porządku, zrzuciłeś. Możemy uznać, że mamy to już z głowy, i

działać dalej?

– Jasne. – Paul wstał i podszedł do biurka. Podłączył aparat fotograficzny do komputera. – Daj swojego iPhone'a. Zobaczymy, co da się zrobić.

Przez kilka chwil w milczeniu przegrywał zdjęcia twarzy i oczu, w powietrzu wisiało napięcie. W końcu Pia przerwała ciszę:

– A i jeszcze jedno. – Gdy nie odpowiedział, ciągnęła: – Chciałabym, żebyś mi dał jeszcze kilka kapsułek tego temazepamu.

Oderwał wzrok od ekranu komputera i popatrzył na nią.

– Zaczynasz się szarogęsić jak ta cała Mariel. Nie dam sobie wejść na głowę.

– Przepraszam – rzuciła Pia bez przekonania. Nie uważała się za osobę apodyktyczną, po prostu sama nie lubiła być rozstawiana po kątach.

– Muszę odmówić – powiedział Paul. – Znajdź sobie inną osobę, która będzie zaspokajała twoje potrzeby w tym względzie, jeśli chcesz pozostać moją *przyjaciółką*. Teraz ja powiem: wystarczy. Ostrzegalem cię, że nie zrobię niczego niezgodnego z prawem i nie zamierzam przykładać ręki do używania leków do nielegalnych celów, zwłaszcza jeśli naraża cię to na niebezpieczeństwo. Zgodziłem się ten jeden raz, nie przemyślałszy tego dokładnie, ale drugi raz to nie przejdzie.

– Dobrze, już dobrze. – Pia uniosła ręce, jakby chciała go uspokoić. – Rozumiem i myślę, że masz rację. Obejdę się bez środków usypiających. Potrzebny będzie tylko aparat i ciut kreatywności.

– Aparat możesz pożyczyć.

– Pod warunkiem że czytnik nabierze się najpierw na moje zdjęcie. W przeciwnym razie wszystko będzie psu na budę.

## Rozdział 27

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

czwartek, 2 maja 2013, 5.41

Pia ruszyła pospiesznie przez parking, ściskając w ręku komórkę, na której miała już ustawione w gotowości zdjęcie swoich oczu. Wiedziała, że ochrona kończy nocną zmianę o szóstej. Liczyła, że uda jej się dotrzeć do pracy wcześniej, ale nie była rannym ptaszkiem i zasnęła mimo nastawionego budzika. Zakładała, że jeśli podstęp z iPhone'em i czytnikiem nie wypali, zmęczeni całonocnym dyżurem i myślący już o fajrancie ochroniarze będą mniej czujni. Pracowało ich też mniej i, chyba z nudy, byli trochę bardziej rozmowni niż ci z dziennej i wieczornej zmiany.

Tak jak się spodziewała, w holu budynku stali dwaj ochroniarze. Znała ich imiona.

– Dzień dobry, Russ, dobry, Clive.

– Dzień dobry, doktor Grazdani. Wcześniej pani dziś zaczyna – odpowiedział starszy z nich, Russ.

– Tak. Mam mnóstwo eksperymentów w toku. Muszę pędzić, miłego dnia, panowie.

Podeszła do czytnika, który bronił dostępu do wind. Russ i Clive zajęli się księgą wejść i wyjść, odnotowując koniec swojej zmiany, i nie

zwracali na nią uwagi. W domu przećwiczyła przed lustrem w łazience to, co zamierzała zrobić. Kiedy weszła do budynku, trzymała aparat przyciśnięty do prawego ucha, jakby czekała na połączenie, teraz ustawiła go poziomo, ekranem na zewnątrz. Kiedy skaner wskazał, że jest gotów do odczytu, ustawiła telefon na wysokości oczu i czekała.

Ale nic się nie wydarzyło.

Przesunęła aparat lekko w dół, potem w górę, jednak dobrze jej znany sygnał akceptacji się nie rozległ. Zerknęła na czytnik, nie zobaczyła zielonego światełka sygnalizującego poprawny odczyt. Urządzenie najwyraźniej nie dało się nabrać.

– Cholera – zakłęta pod nosem. Odwróciła iPhone'a i popatrzyła na wyświetlacz. Był czarny. Zapomniała wydłużyć czas autolocka i ekran się wygasił.

– Wszystko w porządku, doktor Grazdani?! – zawołał Russ.

– Tak, dzięki, Russ. Musiałam mrugnąć nie w tym momencie. Spróbuję jeszcze raz. – Uśmiechnęła się do ochroniarzy, którzy pomachali jej w odpowiedzi i wrócili do swoich spraw.

Czytnik uruchomił się ponownie i Pia spróbowała znowu. Po kilku sekundach, w trakcie których serce o mało jej nie stanęło, rozległo się znajome bipnięcie i zapaliło się zielone światełko. Chwilę później blokada szklanych drzwi się zwolniła.

– Udało się! – rzuciła Pia na głos.

W pewnym sensie ją to zaskoczyło. Był to świetny przykład na to, jak jedna technologia wyprzedza drugą. Twórcom pierwszej generacji czytników pewnie się nie śniło, jaki postęp dokona się w rozdzielczości ekranów dotykowych w smartfonach.

– Na ogół się udaje – stwierdził Russ, ale tym razem jego głos rozległ się z bliska.

Pia drgnęła i odwróciła się. Ochroniarz stał dwa metry od niej.

– Mam rozmowę – powiedziała i z telefonem przy uchu przeszła przez szklane drzwi. Wcisnęła przycisk przywołania windy i obejrzała się: Russ wrócił do drzwi wejściowych i stał pogrążony w rozmowie z ochroniarzami z dziennej zmiany, którzy właśnie przyszli. Pia obiecała



sobie, że następnym razem będzie ostrożniejsza.

Na czwartym piętrze minęła swoje laboratorium i ruszyła dalej do podwójnych drzwi, które broniły wejścia do łącznika. Tam ponownie spróbowała sztuczki ze zdjęciem z telefonu. Nie miała podstaw, by zakładać, że fotka zadziała, skoro jej własne oko nie zdołało, ale i tak chciała spróbować. Kiedy zgodnie z przewidywaniami czytnik nie zareagował, wróciła do laboratorium. Co, u licha, firma ukrywa w tym drugim budynku? Czuła przez skórę, że musi być to coś naprawdę dużego kalibru, by uzasadniać te wszystkie zabezpieczenia.

Sprawdziwszy stan prowadzonych doświadczeń, ponownie zaczęła się zastanawiać, zdjęcie czyjego oka byłoby najlepiej wykorzystać. Doszła do tego samego wniosku co przedtem: z różnych powodów to powinien być Berman. Przelotnie rozważała też Mariel, a nawet Whitney, ale koniec końców stanęło na nim. Tylko on na sto procent miał pełen dostęp do wszystkich pomieszczeń w firmie, co do innych osób nie mogła mieć takiej pewności. Poza tym przemawiały za nim też względy praktyczne: jemu łatwiej mogłaby wykonać serię fotek bez wzbudzania podejrzeń.

Nie miała złudzeń, że żeby zdobyć takie zdjęcia, będzie musiała zaryzykować ponowną wizytę w jego domu i wystawić się na jego uwagę, tyle że tym razem bez zabezpieczenia w postaci temazepamu. Na samą myśl przeszedł ją dreszcz. Wiedziała, że będzie musiała go sprowokować, by zaprosił ją po raz kolejny, a to z pewnością dodatkowo rozpali jego żądze i zwiększy oczekiwania. Była pewna, że Berman to lubieżny brutal, przyzwyczajony do stawiania na swoim.

Jej plan miał wiele słabych punktów, w tym jeden zasadniczy. Od co najmniej tygodnia Zachary Berman nie pokazał się w Nano.

## Rozdział 28

Four Seasons Hotel, Mediolan, Włochy  
czwartek, 2 maja 2013, 16.12

Dwie godziny po tym, jak Pia rozpoczęła pracę, w oddalonym o ponad osiem tysięcy kilometrów Mediolanie dochodził kwadrans po szesnastej. Zachary Berman siedział w pokoju hotelowym przed komputerem i przeglądał przesłane pocztą elektroniczną raporty z postępów prac w firmie, w tym także programu mikrobiworów, który był najbliższy jego sercu. Z doniesień wynikało, że wszystko przebiega pomyślnie, co go ucieszyło i natchnęło chęcią powrotu. Jednak nie mógł jeszcze wrócić. Lada chwila miał się zacząć Giro d'Italia, największy po Tour de France wyścig kolarski świata i to on był przyczyną jego pobytu we Włoszech, choć Berman nie chwalił się tym faktem.

Przyleciał tu swoim prywatnym odrzutowcem już tydzień wcześniej, niemal natychmiast po rozmowie z Pią, i spotkał się z grupką chińskich dygnitarzy. Większość z nich miał już okazję poznać w Chinach albo w Boulder, a Whitney Jones godzinami wbijała mu do głowy ich imiona, nazwiska, zainteresowania i pełnione funkcje. Taka wiedza znacznie ułatwiała potem rozmowy i pozwalała uniknąć przykrych chwil milczenia, które musiał znosić podczas pierwszych spotkań. Zabieganie o fundusze nie należało do jego ulubionych zajęć,

zwłaszcza zaś zabieganie o fundusze u Chińczyków, których biurokratyczny sposób myślenia stał w absolutnej sprzeczności z jego systemem wartości. Otwarcie przyznawał, że nie cierpi tych rozmów. Jednak, czy mu się to podobało czy nie, prawda wyglądała tak, że wielkie pieniądze leżą w Chinach. I tyle.

Teraz większość negocjacji prowadził z niejakim Yanem, który był łatwiejszy w kontaktach niż większość chińskich oficjeli i nalegał, by zwracać się do niego Jimmy. Mówił świetnie po angielsku i najwyraźniej zajmował dość poczesne miejsce w zdumiewająco skomplikowanej hierarchii chińskiego rządu. Poza tym, ku radości Bermana, który przyjechał do Mediolanu specjalnie po to, by się z nim spotkać, okazał się całkiem miłym kompanem, w dodatku kosmopolitą. Studiował przez jakiś czas na Uniwersytecie Stanforda i lubił gawędzić po amerykańsku o amerykańskich sprawach. Berman nie wiedział dokładnie, ile ma lat, ale podejrzewał, że jest od niego młodszy. Nosił lepsze garnitury, był lepiej ostrzyżony niż większość jego rodaków, którzy negocjowali z Nano, i bardziej wysportowany. No i kuty na cztery nogi.

Po kilku dniach aklimatyzacji Berman udał się w towarzystwie Jimmy'ego i jeszcze dwóch chińskich urzędników oraz tłumaczki na kryty welodrom. Stanęli w głębi areny, starając się nie rzucać w oczy, i obserwowali trenujących kolarzy: zбитy peleton jechał po torze z ogromną szybkością. Berman przestraszył się, że dojdzie do poważnego wypadku, a była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebował. Chwilę potem podszedł do nich główny trener zespołu.

– Witam w Mediolanie. Nazywam się Victor Klaastens i jestem trenerem. Miło mi państwa poznać – rzucił z wyraźnym holenderskim akcentem.

– A, pan Klaastens – powiedział Berman. – Cieszę się, że pana tu zastajemy.

– A niby gdzie miałbym być jak nie z zawodnikami?

– Naturalnie. Proszę powiedzieć, jak idą przygotowania. Jestem pewien, że nasi goście radzi by się tego dowiedzieć.

Tłumaczka miała problem, żeby nadażyć, ale Bermanowi to nie przeszkadzało. Żałował, że nie mógł porozmawiać z trenerem na osobności przed spotkaniem z chińską delegacją. Klaastens, przysadzisty, po pięćdziesiątce, był starym wygą, który z niejednego pieca jadł... i pił, co potwierdzał wielki piwny kałdun. Jaskrawe niebiesko-czerwonozielone dresy zespołu wyglądały na nim zdecydowanie nie na miejscu.

– Wszystko idzie dobrze – odpowiedział trener. – Choć wolałbym nie rozmawiać przez tłumacza. I nie ma potrzeby tego przekładać. – Popatrzył na młodą kobietę, która przerwała tłumaczenie i pospiesznie skłoniła głowę.

Berman chciał, żeby wszystko przebiegło gładko, a słowa Klaastensa trochę go zdenerwowały. Nie okazał tego jednak, tylko popatrzył na Jimmy'ego. Ten przyjął je chyba spokojnie. Angielszczyzna dwóch pozostałych Chińczyków pozostawiała wiele do życzenia.

– Tak w dzisiejszych czasach wygląda sport – ciągnął Klaastens. – Jestem holenderskim trenerem drużyny kolarskiej z Azerbejdżanu, którą interesują się ci chińscy dżentelmeni w towarzystwie zamożnego Amerykanina o nieznanym mi nazwisku. Tego też proszę nie tłumaczyć, panienko.

– Zamożny Amerykanin? Różnie mnie już przezywano... Jestem tylko obserwatorem – powiedział Berman.

– Nieszczególnie obchodzi mnie, kim pan jest. Może nawet lepiej, że nie wiem. Odpowiada mi ta sytuacja – powiedział Klaastens. – Nawet jeśli muszę w ostatniej chwili przyjąć do zespołu kolarzy, z którymi nie mogę się dogadać, bo mówią wyłącznie po chińsku. Jesteśmy biedną drużyną z biednego kraju. Po co Azerbejdżanowi w ogóle drużyna kolarska, też nie mam pojęcia, ale Kazachstan ma swoją i oni też chcieli mieć własną. Co dla mnie akurat idealnie się złożyło, bo nie miałem roboty, a gdy jeszcze usłyszałem, że o cały sezon mogę być spokojny, nie posiadałem się z radości. Ktoś mi szepnął, że azerbejdżański rząd dostał pieniądze z zewnątrz, i bardzo chciałby pochwalić się zwycięską drużyną. Dla mnie to oznaczało koniec uganiania się za dotacją od

belgijskich dostawców telekomunikacyjnych. To średnia frajda dla mężczyzny, zwłaszcza w moim wieku i z moim doświadczeniem.

– No a jak sobie radzą ci nowi zawodnicy? – Berman spróbował skierować perorującego Klaastensa na bardziej neutralne tory.

– Radzą sobie bardzo dobrze. – Mówiąc to, trener patrzył na niego badawczo. – Wyjątkowo dobrze. Może nawet ciut za dobrze.

– Ale chyba nie powinien się pan tym martwić. Wręcz przeciwnie.

– Sęk w tym, że są tak dobrzy, że lider drużyny się denerwuje. Nie wiem, ile pan wie o sporcie, ale kiedy lider drużyny przystępuje do wyścigu z obawami, nie jest dobrze. Nasz ma już najlepsze lata za sobą, wiem, ale ma też grono fanów we Francji, a drużyna chce wygrać choćby jeden etap w Tour w lipcu. Kiedy dołączyłem tych dwóch do zespołu, nikt się nie przejął, bo, szczerze mówiąc, obaj też moglibyśmy się w nim znaleźć. Ale ci goście są szybcy i bardzo wytrzymali. A nikt nie wie kto zacz.

– Trenowali w Chinach. Usłyszałem o nich przypadkiem, gdy byłem tam w interesach. Sam trochę jeżdżę i od zawsze interesowałem się kolarstwem zespołowym i tak się poznaliśmy. Jeśli są dobrzy, no to... w porządku. Pierwszy raz biorą udział w międzynarodowych zawodach.

– To widać. Z nikim nie rozmawiają i mają własnych lekarzy.

– Chińczycy podchodzą nieufnie do zachodniej medycyny. Stawiają na ziołolecznictwo i stosują ziołowe specyfiki, oczywiście tylko te przebadane i dopuszczone do obrotu. A ci dwaj nigdy wcześniej nie byli za granicą. Pobyt tutaj to dla nich duży stres. Rozmawiałem już o tym wszystkim z kierownikiem drużyny.

– Wiem, że pan rozmawiał – powiedział Klaastens. – Tyle że ja znam się lepiej na kolarstwie od niego. Jak to się mówi w Stanach? Trenowałem kolarzy, gdy on jeszcze pieluchę w zębach nosił. Zgadza się?

– Bardzo dobrze.

– W porządku. Pytam, bo muszę być przygotowany, jeśli któryś z nich wygra etap w tym wyścigu.

– Myśli pan, że jest taka szansa?

Gdyby tak się stało, bardzo bym się zdziwił, pomyślał Berman. Obaj kolarze wiedzieli, jakie będą konsekwencje, jeśli za szybko zaczną osiągać zbyt dobre wyniki. Konsekwencje, które poniosą nie tylko oni, ale także ich rodziny w Chinach. Usłyszawszy teraz, że są tak szybcy, zaczął się niepokoić, że może już za bardzo się forsują, mimo wyraźnego zakazu.

– Pewnie nie. Mnóstwo zawodników świetnie się spisuje na treningu, a gdy przychodzi co do czego, dostają manto albo odpadają w przedbiegach. Być może z tymi też tak będzie.

– Niewykluczone.

– Okay. Jak już mówiłem, nie przejmuję się. Przeszli testy antydopingowe, które zlecaliśmy kilkakrotnie, takie same jakie przeprowadza się w trakcie wyścigu. Pan też mnie zapewnia, że wszystko z nimi w porządku. Więc tego się trzymam. Ponoć ponad siedemset milionów ludzi jeździ w Chinach na rowerach. No to przynajmniej dwóch z tych siedmiuset milionów musi być do rzeczy, co nie? Znalazłem te szacunki w sieci i spodobały mi się. Jeśli podniesie się wrzawa i media będą pytać, to właśnie powiem. Dwóch z siedmiuset milionów. To powinno zamknąć usta większości sceptyków.

Gdy Klaastens zamilkł, tłumaczka mówiła przez dobrą minutę i Zhu, jeden z członków chińskiej delegacji, rzucił w odpowiedzi kilka słów, wyraźnie wzburzony.

– Wszystko dobrze? – spytał Berman tłumaczkę. Ale zanim miała czas odpowiedzieć, ubiegł ją Jimmy.

– Zastanawia się po prostu, czy wszystko jest w porządku.

– Tak, zapewnij go, proszę, że nie ma powodów do obaw. Nasz przyjaciel jest znakomitością w świecie kolarstwa. Uznał za stosowne wyrazić kilka prywatnych opinii. Lubi mówić, jak widać. Ale wszystko jest w najlepszym porządku.

Chwilę później Berman odciągnął Holendra na bok.

– Nie chciałbym, żeby pomyśleli sobie, że nie docenia pan ich wsparcia – rzucił, kiedy znaleźli się poza zasięgiem uszu Chińczyków.

– Doceniam je, jak najbardziej. Tyle że nie wspierają nas oficjalnie,

rozumie pan? To właśnie chęć zachowania anonimowości mnie dziwi. Zwykle nie sposób powstrzymać sponsorów od oklejania swoim logo wszystkiego, co się rusza. Więc z tego względu nawet się cieszę, że trzymają się w cieniu, jednak tak naprawdę nie mam pojęcia, kim są, podobnie jak nie wiem, kim jest pan.

– Zapewniam pana, że kiedy przyjdzie czas, ujawnią się i ja także. Na razie jednak znajdujemy się jeszcze na bardzo początkowym etapie. Nasi goście woleliby nie świecić oczyma w przypadku niepowodzenia swoich rodaków. Stąd ta mała konspiracja. Ale pański informator miał rację. Fundusze dla drużyny pochodzą od trzeciej strony i zostały przekazane za pośrednictwem rządu Azerbejdżanu. Pod płaszczykiem ropy.

– Ropy?

– Powszechnie wiadomo, że Chińczycy są zainteresowani opanowaniem rynku surowców naturalnych.

Klaastens wzruszył ramionami i pokiwał głową. Usłyszawszy tę informację, stał się w pewnym sensie współnikiem Bermana. Zresztą szczegóły go nie interesowały, pewny etat był dla niego ważniejszy niż odpowiedzi na nękające go pytania. Uznał, że nawet gdyby coś poszło nie tak, z łatwością będzie mógł się zasłonić niewiedzą i wszystkiego wyprzeć. Dołączyli z powrotem do Chińczyków i Holender zwrócił się do tłumaczki:

– Proszę zapewnić panów, że nasza drużyna jest bardzo wdzięczna za ich wsparcie i że liczymy na długą i owocną współpracę. Chcemy tylko mieć pewność, że ich kolarze dalej będą oddanymi członkami zespołu. Choć wiele osób nie zdaje sobie z tego sprawy, kolarstwo jest, w ostatecznym rozrachunku, sportem zespołowym.

– Dobrze powiedziane – pochwalił Berman i oddalił się, zanim Klaastens przeszedł do prawdziwego pokazu sprawności i prędkości drużyny, zwłaszcza zaś jej dwu nowych chińskich nabytków.

Uporawszy się teraz z e-mailami przy biurku w swoim pokoju hotelowym, Berman popatrzył na zegarek. Zastanawiał się, czy ma czas na jeszcze jedną porcję smażonych gnocchi. Były palce lizać, choć kłóciły

się z zasadami zdrowej diety. W domu nawet nie przyszłoby mu do głowy, by skusić się na podobne jadlo, ale mediolańska kuchnia, zwłaszcza ta serwowana w tańszych restauracjach, wybitnie przypadła mu do gustu i stanowiła nie lada pokusę.

W ogóle całkiem dobrze się bawił przez te kilka dni spędzonych na włoskiej ziemi. Życie nocne Mediolanu okazało się bardzo ekscytujące i Berman uczestniczył w nim z zapałem, mając Jimmy'ego za zaskakująco dobrze obeznanego przewodnika. Bawili się w lokalach i klubach, przez które przewijał się niekończący się pochód atrakcyjnych kobiet z Europy Wschodniej, głównie z Czech i Węgier. W rezultacie nie mógł się już doczekać, by wreszcie się porządnie wyspać podczas lotu do domu.

Jeszcze kilkakrotnie odwiedził z Jimmym drużynę na treningach. Uczulił lekarzy zajmujących się dwójką chińskich kolarzy, by szczególnie przestrzegali ustalonych procedur. Najważniejsze były środki bezpieczeństwa. Absolutny zakaz noszenia czegokolwiek przy sobie – konieczność korzystania z kurierów. I rzecz podstawowa: kolarze nie mogą wygrać, wbijał im raz po raz do głowy. Powinni być szybcy, ale nie wysuwać się przed lidera. Prawdopodobnie biją go na głowę, jednak za wszelką cenę muszą trzymać swoją szybkość na wodzy i nie pozwalać sobie na indywidualne ucieczki. Na tym etapie chodzi tylko o to, by zaistnieli jako zawodnicy.

Przyjdzie jeszcze czas na brawurowe popisy i koncert wytrzymałości. W końcu o to właśnie chodziło chińskim dygnitarzom.



## Rozdział 29

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

wtorek, 7 maja 2013, 1.07

Zachary Berman poczuł, że powoli przechodzi mu zmęczenie po ostatnim locie. Bez względu na to, jak długo spał w samolocie, jak skrupulatnie przyjmował suplementy melatoniny, w których skuteczność święcie wierzył, ani jak rygorystycznie nie pozwalał sobie po powrocie na sen za dnia, zawsze przez kilka dni po wylądowaniu chodził trochę nieprzytomny.

Wrócił do Boulder w sobotę, kiedy krótką czasówką rozpoczął się Giro. Następnego dnia kolarze mieli do pokonania dłuższy, ponaddwustukilometrowy etap. Berman śledził występ azerbejdżańskiej drużyny przez Internet i ucieszył się, że wypadła przyzwoicie, ani żenująco źle, ani podejrzanie dobrze. Nie miał wprawdzie wpływu na wyniki lidera, ale ten ku jego radości uplasował się na trzydziestym miejscu klasyfikacji generalnej, a dwójka jego chińskich kolarzy każdy dzień kończyła w środku peletonu, zgodnie z instrukcjami. Dwudziestego siódmego zamierzał wrócić do Mediolanu na zakończenie wyścigu.

W niedzielę zmusił się do kolejnych bolesnych odwiedzin u matki w domu opieki w Louisville. Tym razem zachowywała się trochę bardziej

agresywnie i miała odrobinę większą trudność ze sformułowaniem spójnego zdania. Ten postępujący upadek był przerażający, nie dla matki, bo ona nie miała już świadomości swego stanu, ale dla niego: widział w nim złowieszcze memento.

Po każdych takich odwiedzinach Berman pracował jeszcze ciężiej, z jeszcze większym zaangażowaniem zbierając fundusze na prowadzone przez firmę badania. Prace naukowców były już zbyt zaawansowane, by rozumiał ich wszystkie szczegóły i aspekty techniczne, ale starał się nadążać w miarę swoich możliwości.

W centrum dowodzenia firmy odbywał wielogodzinne narady ze swoim głównym naukowcem Allenem Stevenssem i innymi specjalistami od nanotechnologii, słuchając, jak cały zespół raz po raz poprawia i modyfikuje procedury i protokoły badań. Margines błędu był bardzo wąski i cała praca przypominała balansowanie na linie.

Większość czasu po powrocie spędzał jednak w towarzystwie Whitney Jones. Razem opracowywali strategię firmy na najbliższe tygodnie. Byli o krok od sfinalizowania umowy gwarantującej ogromny zastrzyk finansowy, który miał umożliwić zainicjowanie kolejnego etapu w projekcie mikrobioworów, czyli badań na bardziej złożonych organizmach, w tym także na ludziach. Jednak warunkiem były odpowiednie wyniki sportowców. Berman najbardziej bał się o ich wytrzymałość psychiczną. Czy będą gotowi sprostać odpowiedzialności, jaka na nich ciąży? Czy na sto procent zastosują się do instrukcji? Niektórzy przecież tego nie uczynili z katastrofalnym dla siebie skutkiem, choć koniec końców ich zgony nie poszły na marne.

Słowem Berman był pochłonięty pracą. Nie mógł niczego pozostawić przypadkowi. Zaczął żyć niemal jak mnich: wstawał jeszcze wcześniej, pracował jeszcze ciężiej. Wiedział, że przez te kilka tygodni musi mieć możliwie jasną głowę. Był dorosły: potrafił zaczekać na nagrodę do czasu, kiedy będzie mógł się nią naprawdę nacieszyć. Zawarł więc pakt z samym sobą: zero czerwonego mięsa, zero alkoholu, zero cygar. I zero Pii. Za bardzo go dekoncentrowała po prostu.

## Rozdział 30

Mieszkanie Pii, Boulder, Kolorado

niedziela, 12 maja 2013, 10.25

Pia była zbyt zajęta, by się nudzić, ale ilekroć odrywała się od pracy, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Chciała wrócić do domu Zachary'ego Bermiana i w sprzyjających okolicznościach zrobić zdjęcie jego oczu, które, jak liczyła, da jej dostęp do innych budynków firmy. Niestety dyrektor naczelny zrobił się nagle nieosiągalny: albo podróżował, albo zajmował się kolejnymi chińskimi gośćmi.

Kilka razy wybrała się nawet do jego gabinetu o świcie, ale za każdym razem całowała klamkę, więc po trzech czy czterech próbach dała sobie spokój. Tylko dwukrotnie odważyła się tam udać w czasie godzin urzędowania, jednak sekretarka, która pracowała od dziewiątej do siedemnastej i zajmowała się głównie korespondencją, nieodmiennie twierdziła, że jest niedostępny. Na domiar złego Whitney Jones też jakby zapadła się pod ziemię. Pia nie chciała przeciągać struny ani sprawiać wrażenia, że narzuca się szefowi firmy, ale zaczynała powoli podejrzewać, że jest umyślnie ignorowana.

Nadstawiała więc uszu w nadziei, że usłyszy jakieś plotki o Bermianie i Whitney, oraz dość nietypowo dla siebie próbowała z całych sił zaprzyjaźnić się z dwójką laborantów przydzielonych jej do pomocy:

Pamelą Ellis i Jasonem Rodriguezem. Tę pierwszą jednak szybko skreśliła: dziewczyna okazała się młodszym klonem Mariel Spallek. I choć próby wciągnięcia koleżanki do rozmowy z pewnością były w wykonaniu Pii dość nieporadne, nie tłumaczyły kategoriycznych odpraw, z jakimi się spotykały. Często czuła też wbity w siebie jej wzrok, ale kiedy się odwracała, Pamela natychmiast spuszczała głowę. Pia doszła więc do wniosku, że może być szpiegiem nasłanym przez Mariel, i postanowiła trzymać się od dziewczyny z daleka.

Jason Rodriguez także zachowywał się z pewną rezerwą, ale zdecydowanie przyjaźniej. Był, jak otwarcie przyznał, maniakiem nauki. Bardzo chciał się dowiedzieć jak najwięcej o nanotechnologii, więc często i chętnie konsultował się z Pią i wypytywał ją o różne kwestie. Rozumiał, jaki potencjał tkwi w tej dziedzinie, a ambicji miał tyle, ile wzrostu: przyznawał się do metra dziewięćdziesięciu ośmiu, jednak Pia dałaby głowę, że jest wyższy. W college'u zrezygnował ze sportu, gdy uświadomił sobie, że czas, który na niego poświęca, odbija się na nauce. Chętnie opowiadał o studiach na Uniwersytecie Michigan, ale o tym, czym wcześniej zajmował się w Nano, nie chciał pisać ani słowa.

Pia posunęła się do zaproszenia go na drinka któregoś wieczoru, ale odmówił, zasłaniając się nawałem pracy. Wcześniej kilka razy opowiadał jej o swojej byłej dziewczynie z Michigan, zatem wiedziała, że nie jest gejem i że nie jest zajęty. Gdy dostała kosza po raz drugi, dała za wygraną. Nie chciała się narzucać, jednak jej duma została lekko zraniona: do tej pory to ona musiała opędzać się od mężczyzn i radzić sobie z niechcianymi zalotami.

Przede wszystkim zachodziła jednak w głowę co, u licha, wstąpiło w Zacha Bermana. Zadawała sobie to pytanie dzień po dniu. Miała świadomość ironii sytuacji. Przed incydentem z tajemniczym biegaczem to ona była zmuszona oganiać się od niego całymi miesiącami, a teraz, gdy niby spojrzęła przychylniejszym okiem, zapadł się pod ziemię. A w każdym razie nie pokazał się, by zaproponować jej kolejną randkę. Tak bardzo chciała zrealizować swój plan z czytelnikiem, że zgodziłaby się niemal na wszystko, byleby tylko cyknąć mu upragnione fotki. Jednak

nie dawał jej tej szansy.

Tymczasem w Nano pełną parą ruszyły przygotowania do eksperymentów na myszach z wykorzystaniem mikrobiworów jej projektu. Jednak w miarę jak wyniki doświadczeń na nicieniach stawały się coraz bardziej obiecujące, Mariel przestała Pię tak cisnąć: rzadziej ją kontrolowała i nie traktowała już tak niemiło. Pii niemal zaczęło brakować ciągłych przemów i połajanek. Dziwiła się, że szefowa nie naciska, by zintensyfikowała jeszcze prace badawcze, tak by mogli szybciej wystąpić do FDA o zgodę na dopuszczenie terapii do oficjalnego użytku. No i co z tymi informatykami od mikrobiworów, z którymi miała się spotkać? Dzień za dniem słyszała, że może będą dostępni w następnym tygodniu, ale konsultację wciąż odraczano.

Któregoś dnia Mariel poinformowała Pię, że Pamela Ellis przechodzi do innego laboratorium w Nano. Jej samej zaś zleciła prowadzenie eksperymentu z użyciem komercyjnego produktu: mikromacierzy DNA do zestawu testów ciążowych, co, przynajmniej w oczach Pii, było robotą głupiego, dużo poniżej jej kwalifikacji.

Siedziała teraz na kanapie, zastanawiając się nad tym wszystkim, i czuła narastający niepokój i frustrację. Przypomniała sobie coś, na zwrócił jej uwagę Paul Caldwell. Jaką tak naprawdę miała wiedzę o tym, jak Nano wykorzystuje jej pomysły? Może właśnie teraz Pamela Ellis gdzieś w objętych zakazem wstępu tajnych pomieszczeniach firmy wykonuje doświadczenia, które Pia powinna przeprowadzać w swoim laboratorium, na przykład na myszach z mikrobiworami o zmodyfikowanej powierzchni. Albo inne eksperymenty, które chcieli przed nią ukryć.

Sygnał iPhone'a oderwał ją od tych ponurych rozmyślań. Ucieszyła się. Na wyświetlaczu pojawił się numer Paula.

– Cześć, Paul. Właśnie myślałam o tobie.

– To miło, ale posłuchaj. – Mówił cicho, jakby się bał, że ktoś obok usłyszy. – Chyba mamy kolejnego.

– Jakiego kolejnego?

– Sportowca z Nano. Jest właśnie w drodze na SOR. Tym razem to

kolarz. Gdzie jesteś?

– W domu. Za dziesięć minut będę u ciebie. Co o nim wiesz?

Wciągnęła tenisówki, złapała kurtkę i kluczyki do auta. Wybiegła z mieszkania, przez cały czas rozmawiając przez telefon, który przyciskała ramieniem do ucha.

– Znalaziono go po drugiej stronie szlaku rowerowego Carter Lake – powiedział Paul. – Jakiś człowiek jechał kilkadziesiąt metrów za nim i zobaczył, jak tamten zemdłał, więc zadzwonił na pogotowie. Załoga karetki poinformowała nas o szczegółach wezwania, żebyśmy mogli przygotować miejsce. Twierdzą, że jest nieprzytomny. Ażjata w stroju kolarskim z logo Nano.

– O, świetnie! Znaczą się, nie świetnie, ale będziemy mogli go zatrzymać w szpitalu, prawda? I pobrać mu krew.

– Możemy spróbować.

– A ludzie z Nano wiedzą już o wypadku?

– Nie mam pojęcia.

– Dobra, jestem już w aucie. Ile mam czasu?

– Karetka jest w połowie drogi do miejsca zdarzenia, czyli do szpitala pewnie dotrą najwcześniej za jakąś godzinę, w zależności od tego, co tam zastaną. Przyjeżdż, to pogłóvkujemy, jak to rozegrać. Noakesa nie ma dzisiaj, dzięki Bogu, i zawiadomiłem już policję. Spróbujemy go zatrzymać.

Pia popędziła jak szalona do szpitala i znalazła Paula na oddziale przed dyżurką.

– No, dojechali już? – rzuciła gorączkowo. Twarz miała zaczerwienioną i była lekko zdyszana z przejęcia.

– Nie wiem, Pia. Musisz się uspokoić. Mamy nadzieję, że biedakowi nic nie jest, tak?

– Tak, tak, jasne. Przepraszam, Paul. Tyle że wypadek tamtego biegacza nie daje mi spokoju. A teraz kolejna zapaść. Muszę to wyjaśnić.

– Wiem, mówiłaś mi o tym wystarczająco często. – Uśmiechnął się do niej. Przy jego opanowaniu podekscytowanie Pii rzucało się dwa razy bardziej w oczy. – Rozmawiałem z naszym szpitalnym radcą

prawnym, jest już w drodze. Wygląda na to, że zapodziałem gdzieś namiary na pana Noakesa, więc on nie jest w drodze. O, mamy też dwóch policjantów z Boulder. Poinformowałem ich, że spodziewamy się pacjenta kardiologicznego, którego mogą próbować porwać osoby trzecie. No, nie użyłem słowa „porwać”. Powiedziałem tylko, że mogą pojawić się ludzie, którzy będą chcieli przejąć nad nim opiekę i zażądają wypisania go ze szpitala wbrew naszym zaleceniom. Zawiadomiłem także tłumaczkę mandaryńskiego i już jedzie. Na razie chyba nie możemy zrobić nic więcej.

Miał na głowie słuchawki od radia, które zapewniało łączność z pogotowiem. Wcisnął przycisk mikrofonu i spytał kierowcę karetki o oczekiwany czas dojazdu do pacjenta. Kiedy skończył rozmowę, odwrócił się do niej.

– Są na miejscu. To David i Bill, ci sami, którzy zajmowali się biegaczem. To dobrze. Dowiemy się, czy ten ma te same objawy.

– Co widzą? – dopytywała się Pia nerwowo. – Powiedz, żeby natychmiast wsadzili go do karetki.

– Pozwól im działać! Muszą go ustabilizować, zobaczyć, co się dzieje. Znasz procedury. Przepraszam na chwilę, Pia, muszę zajrzeć do innego pacjenta.

Pomaszerował do najbliższej wnęki, gdzie kręciło się sporo personelu, ale Pia stała za daleko, by słyszeć, co mówią. Nerwowo zerknęła to na zegarek, to na Paula. Po, jak jej się zdawało, bardzo długim kwadransie, wrócił i uśmiechnął się do niej.

– Dobra, to sprawdźmy, co u kolarza. Powinien być już w drodze do szpitala. – Połączył się z karetką i powtarzał na bieżąco to, co mówił mu ratownik.

– Okay, jesteście jeszcze na miejscu. Wstępnie objawy bardzo podobne, tak... Nieprzytomny... Wykonaliście resuscytację...

– Spytaj o tatuaże – poprosiła Pia.

– Co, poczekaj chwilę. O co chodzi, Pia? – Zasłonił mikrofon ręką, żeby usłyszeć, co mówi dziewczyna.

– Spytaj ich, czy ma tatuaże na prawym przedramieniu.

– Sprawdzimy sami, kiedy go przywiozą, najwyraźniej dopiero co go docucili. Tatuż nie jest w tej chwili istotny. Co mówisz? – Wyteżył słuch, żeby usłyszeć ratownika. Ściągnął aparat z paska i popatrzył na kontrolkę. Stracił łączność. – Nie słyszę ich, cholera. Centrala! Straciliśmy łączność z Dave’em i Billem. Dave? Słyszysz mnie?

– Co się dzieje? – dopytywała się niecierpliwie Pia.

Przez kilka długich minut stali na korytarzu bezradni. W końcu radio Paula zatrzeszczało i wróciła łączność.

– Co się dzieje? – rzucił do mikrofonu.

– Co jest? – chciała natychmiast wiedzieć Pia.

Paul podniósł rękę, sygnalizując, by dała mu spokojnie wysłuchać ratowników.

– Mówisz poważnie? Pacjent ma na nazwisko Yang... Ci sami ludzie, którzy wtargnęli... jesteś pewien... okay, rozumiem. Zaczekajcie tam, daj potem policję na eter...

Na te słowa Pia poczuła złowieszczy ucisk w żołądku.

– Okay, czekajcie tam. – Paul się rozłączył.

– Co znowu, u diabła?

– Nie zdążyli wsadzić gościa do karetki. Ni stąd, ni zowąd zjawiła się biała furgonetka i ta sama ekipa z Nano, która wmaszerowała wtedy na oddział, i zabrała pacjenta. Ponoć na dobrą sprawę siłą, pod bronią. I tak jak tamten biegacz, ten także bardzo szybko doszedł do siebie. W mgnieniu oka odzyskał pełną świadomość, ale ratownicy nie wiedzą, kiedy doszło do zatrzymania krążenia i jak długo nie oddychał.

– Gdzie jest ten cały szlak? Skąd dokładnie go zabrali?

– Chyba jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć kilometrów stąd na północ.

– Czyli mniej więcej tak samo daleko od Nano jak ze szpitala, ale oni muszą jechać krętymi bocznymi drogami, a my możemy autostradą. Chodź, damy radę ich doścignąć.

– Doścignąć? O czym tym mówisz?

– Musimy uniemożliwić im powrót do firmy albo przynajmniej upewnić się, że to tam go zabrali.



– Jak zamierzasz to zrobić?

– Coś wymyślimy. Wiemy, którędy pojedą. Idziesz czy nie? Chodzi o twojego pacjenta. Bałeś się wcześniej, że mogą go porwać. No to mu nawet nie pozwolili wsiąść do karetki. No chodź, marnujemy czas.

Ruszyła biegiem i Paul, wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, podążył za nią.

## Rozdział 31

Droga nr 36, na północ od Boulder, Kolorado  
niedziela, 21 maja 2013, 10.50

Paul nie miał czasu wyperswadować Pii jazdy jej samochodem. Wybiegła na parking i wskoczyła do volkswagena, ledwo sam zdążył zająć miejsce obok i zamknąć drzwi. Nie zapiął jeszcze pasa, a już odpaliła silnik.

– Pia, zastanówmy się nad tym. Co niby zrobimy, nawet jeśli zobaczymy białą furgonetkę? I skąd w ogóle będziemy wiedzieć, że to ta? No i nie zapięłaś pasa.

Popatrzyła na niego spode łba, jakby chciała powiedzieć: „Nie jesteś moim aniołem stróżem”. Wyjechała pospiesznie z parkingu i ruszyła szybko na północ w kierunku autostrady, agresywnie lawirując między pojazdami.

– Znajdziemy ich i będziemy improwizować. W najgorszym razie pojedziemy za nimi do Nano.

– A potem co?

– Nie wiem! Ale wiem, że na pewno nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać na to, co zrobi policja. Głowę daję, że Mariel ma już jakąś gotową wymówkę... Ej! Uważaj!

Gwałtownie odbiła kierownicą, żeby uniknąć zderzenia z

samochodem, którego kierowca zasygnalizował migaczem zmianę pasa i wykonał manewr, nie zobaczywszy w porę nadjeżdżającej szybko Pii.

– Pia, wpakujesz nas do szpitala albo do aresztu.

– Spokojna głowa. Mamy już zjazd.

Wjechała na autostradę, gdzie jej prędkość nie rzuciła się tak w oczy. Pędziła dalej, mając grubo ponad sto trzydzieści na liczniku, aż nagle gwałtownie zwolniła i skręciła w zjazd.

– Co ty wyprawiasz? – Paul trzymał się, czego się dało, by się nie poobijać.

– To jest najkrótsza trasa do Nano, no i przecina drogę do Carter Lake. – Zwolniła na znaku stopu, potem przyspieszyła znowu. – Za kilka minut po lewej będziemy mieli główną bramę firmy.

– A jak rozpoznamy tę furgonetkę? Wiemy tylko, że jest biała. Takich są tysiące. Pia, to wariactwo. – Pobielały mu kłykcie dłoni zaciśniętych na podłokietnikach.

– Miniemy Nano i pojedziemy dalej na północ w stronę Carter Lake. W okolicy nie może kursować wiele białych furgonetek.

Jechali przez kilka minut w pełnym napięcia milczeniu. Pia siedziała pochylona nad kierownicą, trzymając ją mocno obiema rękami.

Jechała szybko, ale uważnie. Nie zwalniając, minęła zjazd do bramy Nano i strąbiła czarnego suburba, który chciał zajechać jej drogę. W niewielkim przechyle weszła w zakręt i znowu przyspieszyła.

– Dobra, co teraz?

– Nic, jedziemy w kierunku Carter Lake. Szacuję, że mamy jakieś dziesięć minut przewagi. Jak ich zobaczymy, zastanowimy się, jak to rozegrać.

– A może po prostu zadzwonimy na policję i pozwolimy, żeby ona się tym zajęła? – zaproponował nieśmiało Paul. Pośpiech i determinacja Pii sprawiały, że czuł się nieswojo.

– Policja została już zawiadomiona. Poza tym już ci mówiłam: rękę dam sobie uciąć, że Mariel na pewno ma na podorzędziu jakieś niepodważalne i zgodne z prawem wyjaśnienie całej sytuacji, podobnie jak wtedy w szpitalu, gdy wparowała z ochroną po tego biegacza.

Miejscowa policja nam nie pomoże.

Pokonali łagodny zakręt i gdy wyjechali na prostą, Pia przyspieszyła. Mijali teraz teren Nano i między osikami i iglakami migały im zabudowania firmy. Po prawej stronie drogi znajdował się porośnięty drzewami parów, w którym płynął górski strumyk. Pia jechała ponad osiemdziesiąt na godzinę.

Zerknęła na Paula i miała właśnie się odezwać, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Kątem lewego oka zobaczyła w bocznym lusterku jakiś kształt niebezpiecznie blisko samochodu. Zanim zdążyła zareagować, poczuła gwałtowne uderzenie: coś walnęło mocno w tył auta. Choć się starała, nie była w stanie utrzymać samochodu w linii prostej, coś gigantycznego raz po raz uderzało w pojazd, spychając go z drogi. Chyba krzyknęła, ale jej wrzask zagłuszył zgrzyt rozdieranego metalu, gdy volkswagen najpierw zjechał na żwir na poboczu, a potem – po sekundzie ciszy – wypadł z drogi i poleciał w stronę linii drzew. Rozległo się głuchoe walnięcie i dźwięk tłukącego się szkła, fala mdlącego bólu rozeszła się po jej ciele, gdy samochód przetoczył się raz, potem drugi i może jeszcze kolejny, ale Pia tego już nie wiedziała, bo nagle wszystko zrobiło się czarne, nieruchome i ciche.

## Rozdział 32

Szpital Boulder Memorial, Aurora, Kolorado  
czwartek, 16 maja 2013, 12.55

George patrzył na Pię leżącą na szpitalnym łóżku i ścisnęło go w dołku. Kiedy otrzymał wieść o tym, co się stało, przekazaną przez Zacha Bermana ustami Whitney Jones czterdzieści osiem godzin po wypadku, rzucił wszystko, poinformował ordynatora radiologii, że musi znowu wyjechać w ważnych sprawach rodzinnych i popędził prosto na lotnisko. Od przyjazdu do Boulder, przed dwoma dniami, ani razu nie opuścił szpitala, a spał wszystkiego z przerwami może trzy kwadransy na potwornie niewygodnym szpitalnym krześle.

Raz po raz wracał myślą do dnia, kiedy stali razem z Pią w innej sali szpitalnej w Nowym Jorku i patrzyli, jak ich kolega ze studiów Will McKinley walczy o życie. McKinley wprawdzie wyszedł wtedy z agonii, ale był nadal w bardzo poważnym stanie z powodu uporczywego, opornego na antybiotyki zapalenia kości. I choć lekarze zapewniali George'a, że życiu Pii już nic nie zagraża, wiedział, że podobnie jak Will znalazła się niebezpiecznie blisko stanu permanentnego zawieszenia między życiem a śmiercią.

Była poważnie ranna. Miała pęknięte ramię w dwóch miejscach, trzon kości ramiennej i kość promieniową, oraz cztery żebra. Te ostatnie

najprawdopodobniej od kierownicy. Na skutek dachowania doszło do urazu głowy z następczym wstrząśnieniem pnia mózgu oraz odgięciowego urazu kręgosłupa szyjnego z krwawieniem do mięśni okołokręgosłupowych, więc założono jej kołnierz ortopedyczny. Odniosła także bardzo groźne obrażenia wewnętrzne: w trakcie wypadku doszło do pęknięcia śledziony i krwotoku do jamy brzusznej, gdyby nie szybkie pojawienie się karetki, mogłaby wykrwawić się na śmierć, gdy leżała nieprzytomna we wraku swojego auta. Na szczęście ratownicy szybko postawili właściwe rozpoznanie i zaalarmowali SOR, dzięki czemu niemal natychmiast po dotarciu do szpitala została zabrana na salę operacyjną. Niewątpliwie tylko błyskawiczna reakcja lekarzy uratowała jej życie.

Znajdowała się teraz w śpiączce farmakologicznej, w której miała być utrzymywana do ustąpienia obrzęku mózgu, i była podłączona do respiratora, który dbał o właściwe utlenowanie krwi. Jej stan był monitorowany dwadzieścia cztery godziny na dobę. George rozpaczliwie chciał, żeby już się wybudziła, żeby mógł usłyszeć jej głos, upewnić się, że wypadek nie pozostawił trwałych następstw. Wiedział, że musi wykazać się cierpliwością, zaczynał się jednak przekonywać, że jest to zaleta, na której trochę mu zbywa. Nie mógł nic zrobić, a nie cierpiał uczucia bezsilności.

Usłyszał, że drzwi do sali się otworzyły. Chwilę później ktoś wszedł do środka i stanął obok niego. George myślał, że to któraś z pielęgniarek, ale się mylił.

– Coś się zmieniło? – spytał Paul Caldwell.

– Cześć, Paul. Nie, wszystko po staremu.

Poznali się zaraz po przyjeździe George'a. Paul też czuwał przy łóżku Pii w przerwach między wypadami na SOR. Początkowo jego obecność wzbudziła w George'u gniew i zazdrość. Słyszał, że jechał z Pią, gdy doszło do wypadku, uznał więc z miejsca, że to on prowadził i ponosi winę za to, co się stało. Na domiar złego był przystojny i bystry i George widział w nim groźnego rywala. Kiedy się dowiedział, jak bardzo się myli w obu kwestiach, zrobiło mu się na tyle głupio, że

przyznał się do błędu i przeprosił. Był wdzięczny Paulowi za troskę i pomoc, jaką okazał w najtrudniejszym okresie hospitalizacji Pii, pilnując, by zajął się nią najlepszy chirurg.

– Posłuchaj, George, moja propozycja jest nadal aktualna. Powinieneś pojechać do mojego mieszkania i przespać się kilka godzin. A także wziąć porządny prysznic i przebrać się w świeże ciuchy. Mówiąc szczerze, wyświadczysz nam tym wszystkim sporą przysługę.

George popatrzył na lekarza i zobaczył uśmiech na jego twarzy. Doceniał próbę rozładowania napięcia odrobiną humoru. Poza tym na samo wspomnienie o śnie, poczuł się nagle jak z krzyża zdjęty.

– A wiesz, że może skorzystam. Chyba przez kilka godzin nic się tu nie zadzieje.

– Nie. Dopiero jutro planujemy zmniejszyć dawkę leków, żeby zacząć ją wybudzać. Stan jest dobry i stabilny. Mam wrażenie, że ona wie, że tu jesteś, jestem nawet tego pewien. Ale zakładam, że wolałbyś wyglądać po ludzku, gdy już się ocknie.

– Tak, masz rację. Chyba rzeczywiście kilka godzin snu dobrze mi zrobi.

– Świetnie. Zamówię ci taksówkę. Zapisałem ci adres, a tu masz klucze. – Podał George'owi kartkę i brelok z kluczami.

– Paul, a ty jak się czujesz? Przepraszam, nawet nie spytałem.

– Ja? W porządku.

W rzeczywistości lewa ręka mocno dawała się Paulowi we znaki. Nie zamierzał jednak się skarżyć, uważał, że i tak miał masę szczęścia, że wyszedł z całego wypadku właściwie bez szwanku – jedynie z kilkoma złamanymi palcami i posiniaczonymi udami.

Wystarczająco często zajmował się ofiarami wypadków komunikacyjnych, by wiedzieć, że kaliber obrażeń kierowcy i pasażerów jest często zupełnie nieporównywalny. Widział zdjęcia z kraks, po których z samochodów zostawała jedynie nierozpoznawalna, bezkształtna kupa metalu – tak jak z auta Pii – trzy osoby ginęły na miejscu, a czwarta uchodziła tylko ze złamaną nogą. W innym wypadku, który często mu się teraz przypominał, kierowca poniósł

śmierć, a siedzący obok niego pasażer nie miał nawet zadrapania. Ilekroć pomyślał, jak bardzo poturbowana została Pia, miał lekkie poczucie winy.

Pamiętał, że zapiął pasy bezpieczeństwa, co wyszło mu na dobre, i że Pia nie zapięła swoich. Pamiętał nawet, że zwrócił jej z tego powodu uwagę i że w odpowiedzi obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Jednak później ustalił, że w chwili wypadku Pia była w pasach, i dzięki Bogu, bo bez tego z pewnością nie uszłaby z życiem. Nie bardzo mógł sobie wprawdzie przypomnieć, kiedy je zapięła, i dziwił się, że w ogóle miała dość przytomności umysłu, by o tym pomyśleć w swojej wariackiej pogoni za furgonetką. Jednak cieszył się niepomniernie, że wykazała dość rozsądku i to zrobiła, ratując się tym samym od śmierci. Nie pamiętał także innych szczegółów związanych z wypadkiem, przez co uznał, że ma objawy lekkiej pourazowej amnezji.

– Zgoda! – powiedział w końcu George. – Zabieram się stąd na kilka godzin. Ale będziesz do niej zachodził, prawda?

– Oczywiście – zapewnił Paul. Poklepał go przyjacielsko po plecach. – W każdej wolnej chwili będę zaglądał. Ty się prześpij. Należy ci się to.

– Dzięki. – George uśmiechnął się blado, ścisnął nogę Pii przez prześcieradło i wyszedł z sali.

Paul odprowadził go wzrokiem, a potem popatrzył na pretensjonalnie wielkie bukiety kwiatów, które Zach Berman przysyłał codziennie z Nano. Postanowił sobie wcześniej tego dnia, że wyrzuci pierwszy z nich, który okres świetności miał już dawno za sobą. Sam Berman się tu jeszcze nie pojawił, nie zajrzał także nikt z kierownictwa firmy ani bezpośrednia szefowa Pii, Mariel Spallek. Tylko raz przyszedł nowy laborant, Jason Rodriguez.

Ten brak zainteresowania władz firmy ranną pracownicą i niejasne okoliczności samego wypadku budziły w Paulu narastający niepokój. Mimo usilnych starań nie mógł przypomnieć sobie wiele z tego, co wydarzyło się bezpośrednio przed dachowaniem i zaraz po nim. Pamiętał tylko, że ocknął się w jadącej na sygnale karetce. Złe przeczucia nie dawały mu spokoju, zaczynał się zastanawiać, czy to na



pewno był nieszczęśliwy wypadek, a jeśli nie, to czy stał za tym ktoś z firmy.

To był jego drugi dzień na SOR-ze po zdarzeniu, ale przez te myśli nie bardzo mógł się skupić na pracy. Nadto, mimo tego, co powiedział George'owi, martwił się o Pię. Miał nadzieję, że gdy się ocknie, będzie tą samą osobą. Jednak to też miało swoje minusy, przynajmniej jeśli idzie o jej lekką paranoję, ośli upór i skłonność do węszenia wszędzie spisków. Bał się, że kiedy dojdzie już do siebie, z jeszcze większym zapałem podejmie przerwane śledztwo, zwłaszcza jeśli też będzie miała wątpliwości co do przyczyn wypadku.

Paul początkowo wspomniał policji o swoim niejasnym wrażeniu, że kraksa mogła wcale nie być nieszczęśliwym zdarzeniem, że auto zostało chyba zepchnięte z drogi. Szybko się jednak zorientował, że jego sugestia nie spotkała się ze szczególnym zrozumieniem. Stróże prawa nie bardzo chcieli w nią uwierzyć i Paul nawet im się nie dziwił. Jednak wkrótce potem dwóch funkcjonariuszy zaczęło go wypytywać dokładniej, zwłaszcza o to, dlaczego Pia tak pędziła, ustalili bowiem, że jechała prawie dziewięćdziesiąt w miejscu, gdzie obowiązywało ograniczenie do pięćdziesięciu. Paul wyjaśnił zgodnie z prawdą, że usiłowała zatrzymać furgonetkę, która zabrała pacjenta, zanim ten został umieszczony w karetce, co policja potwierdziła. Opowiedział im także o wcześniejszym incydencie na oddziale ratunkowym, kiedy ekipa z Nano wbrew zaleceniom lekarskim zabrała ze szpitala chińskiego biegacza. Wrodzona powściągliwość i rozwaga nie pozwoliły mu wspomnieć o podejrzeniach Pii co do firmy, w której pracowała, bo sam nie bardzo wiedział, na ile powinien dawać im wiarę.

Kiedy ci sami funkcjonariusze wrócili na oddział następnego dnia, by znowu wziąć go w obroty, pogratił sobie w duchu wcześniejszej ostrożności. Pytali go w kółko o plan zatrzymania furgonetki: dlaczego uznali razem z Pią za konieczne pędzić po ulicach Boulder, ścigając człowieka, który odmówił skorzystania z pomocy pogotowia. Dlaczego tak ich obchodził ten konkretny pacjent?

Wyglądało na to, że obu policjantów bardziej interesuje fakt, że Pia pogwałciła ograniczenie prędkości, niż możliwość, że volkswagen został celowo zepchnięty z drogi. Powiedzieli, że auto nie nosi śladów uderzenia przez inny pojazd, choć została z niego tylko kupa szmelcu. Paul wiedział, że Pia natychmiast zaczęłaby kwestionować ten kierunek przesłuchania, ale on nie zaprzeczał, że mogło tak być. Nie bardzo pamiętał, co się naprawdę wydarzyło.

Jednak w myślach raz po raz analizował możliwe przyczyny wypadku. Bez dwóch zdań, Pia jechała szybko, ale, o ile pamiętał, ostrożnie i bez brawury. Wrażenie, że zostali staranowani i zepchnięci z drogi pojawiło się w jego głowie natychmiast, gdy się ocknął we wraku, ale pomysł wydał mu się nieprawdopodobny, jak z filmu. To by znaczyło, że ktoś próbował ich zabić. O ile wcześniej nawet skłaniał się ku jej podejrzaniom, że Nano może prowadzić eksperymenty na ludziach, doszukiwanie się udziału osób trzecich w wypadku, jaki im się przydarzył, niebezpiecznie mocno trąciło paranoją. Oczywiście domyślał się, że kiedy Pia się ocknie, natychmiast zacznie węszyć w tym zamach, zwłaszcza jeśli, jakimś nieprawdopodobnym trafem, będzie pamiętała więcej niż on.

Popatrzył na twarz dziewczyny. Wydawała się pogrążona w głębokim, smacznym śnie. Ten kontrast sprawił, że poczuł się nagle nieprzytomnie zmęczony. Najchętniej położyłby się obok niej i sam zdrzemnął choćby przez kilka minut.

## Rozdział 33

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

piątek, 17 maja 2013, 2.12

Pomimo hałasu panującego w pomieszczeniu Zachary Berman niemal spał na stojąco. Dwóch chińskich szkoleniowców wykrzykiwało komendy do pary kolarzy pochylonych nad unieruchomionymi w stojakach rowerami wyścigowymi. Sportowcy byli podłączeni do rzędu przyrządów pomiarowych i pedałowali jak szaleni, ale krzyczeli do trenerów, prosząc o przerwę. A przynajmniej tyle Berman zrozumiał, posiłkując się swoją słabą znajomością mandaryńskiego. Powietrze w pomieszczeniu było gęste i duszne, zawodnicy spływali potem, a Berman robił się coraz bardziej śpiący.

Spędził w tym pokoju już wiele godzin, obserwując, jak badacze i trenerzy usiłują ustalić warunki, w jakich u zawodnika może dojść do zatrzymania krążenia, tak jak to się wcześniej stało u biegacza i dwóch kolarzy. Jednym z uczestników trwającego eksperymentu był zresztą pierwszy kolarz, któremu to się przydarzyło. Jednak mimo usilnych starań, zmian dawek, stopnia nawodnienia, czynników stresogennych i warunków jazdy, u żadnego z badanych mimo niemal dziesięciu godzin pedałowania nie wystąpiły żadne zaburzenia rytmu serca ani nawet przyspieszenie tętna bądź oddechu.

To były ciężkie dni dla Zacha Bermana. Pomimo wyraźnych poleceń zakazujących badanym samodzielnych treningów poza terenem firmy znowu miał na karku problem. Zapaść kolarza w miejscu publicznym nastąpiła zaledwie kilka tygodni po wypadku biegacza, z którego ledwo co się zdołał wytłumaczyć przed chińskimi partnerami bombardującymi go pytaniami. Gdyby teraz zdarzył się jeszcze podobny incydent, byłoby to, mówiąc oględnie, bardzo niefortunne. Sponsorzy byli przekonani, że technologia jest niemal doskonała, i każda techniczna usterka tego typu mogła postawić pod znakiem zapytania realizację całego projektu. Berman wiedział oczywiście, że żaden z niego naukowiec i merytorycznie nie zda się tu na nic, ale nie mógł siedzieć beczynnie w gabinecie, bo przychodziły mu wtedy do głowy najgorsze scenariusze. Pocieszał się jedynie, że gdyby coś miało znowu pójść nie tak, lepiej, żeby stało się to teraz i pod kontrolą niż przy niepowołanych świadkach.

Jeszcze jedno nie dawało mu spokoju: nie mógł przestać myśleć o Pii. Przygotowany przez ochronę plan działań na wypadek sytuacji kryzysowej sprawdził się doskonale. Gdy tylko kolarz stracił przytomność, z firmy natychmiast wyruszył zespół, żeby go zabrać. Jednocześnie od informatora ze szpitala Boulder Memorial otrzymali wiadomość, że do zawodnika wyjechała także karetka pogotowia. Ale choć ratownicy dotarli pierwsi na miejsce, ochrona zdołała bezproblemowo przejąć kolarza i wydawało się, że sytuacja jest opanowana. Wtedy szef ochrony dostał cynk, że w pościg za kolarzem wyruszył szef szpitalnego oddziału ratunkowego i „jakaś młoda kobieta”. Zbrojny w tę informację, zadzwonił do Bermana i powiedział, że „może się tym zająć”. Berman niechętnie wyraził zgodę, w końcu płacił ludziom niemałe pieniądze właśnie za to, by zdejmowali mu z głowy takie problemy. Szef ochrony powiedział, żeby się nie martwić: nie ma szans, by kraksa wzbudziła jakiegokolwiek podejrzenia, a nawet gdyby, to tym też się zajmie.

Później Berman usłyszał, że Pia miała wypadek drogowy na tej samej drodze, i szybko się domyślił, że to ona towarzyszyła lekarzowi

ścigającemu kolarza. Przypomniawszy sobie też, że kilka tygodni wcześniej to właśnie ona znalazła nieprzytomnego biegacza i zasypywała Mariel Spallek pytaniami o ten incydent. Wtedy jednak wmówił sobie, że nie ma powodów do obaw. Teraz nie był już o tym przekonany. Mimo to cieszył się, że przeżyła: niedokończona sprawa między nimi wydawała mu się ważniejsza niż jakieś tam niewielkie zagrożenie, jakie mogła stanowić dziewczyna.

Nade wszystko chciał się zrehabilitować we własnych oczach jako mężczyzna. Wtedy u niego w domu, gdy na dobrą sprawę wprosiła się na obiad, wydała mu się tak ponętna, że był bliski szaleństwa. Fakt, że następnie spił się do nieprzytomności jak jakiś niedojrzały nastolatek, stanowił potężny cios dla jego ego i poczucia wartości. Kiedy Pia już wydobrzeje i opuści szpital, zamierzał powetować sobie tamtą straconą okazję, zwłaszcza że ciągle miał w pamięci erotyczno-egzotyczny taniec dziewczyny. Jeśli zaś idzie o jej wścibstwo, był pewien, że sam sobie z nim poradzi. W końcu bez problemu poradził sobie z Whitney i Mariel, gdy już znudziły mu się ich cielesne usługi.

Potańczał i napił się zimnej kawy z kubka, który został napełniony jakieś trzy godziny wcześniej. Przyszło mu do głowy, że może tych kilka epizodów zatrzymania krążenia to były tylko anomalie, jednorazowe i nieistotne statystycznie incydenty, których nie da się wyjaśnić. Jednak w takim wypadku umierałby z niepokoju, czekając, kiedy wydarzy się następny. Postanowił, że musi porozmawiać ze szkoleniowcami. Badanych trzeba było nastraszyć skuteczniej, tak by nie odważali się trenować samodzielnie poza terenem firmy, a łamiących zakaz karać surowiej. W ten sposób, nawet gdyby podobne problemy medyczne wystąpiły ponownie, nikt z zewnątrz by się o nich nie dowiedział i nie zainteresował Nano.

Z tych niewesołych rozmyślań nagle został wyrwany przez Whitney Jones, która wślizgnęła się do pomieszczenia niezauważona i mocno nim potrząsnęła.

– Panie Berman, dobrze się pan czuje? Wygląda pan, jakby miał zemdleć.

– Nie, Whitney, nic mi nie jest. Skąd się tu wzięłaś? Czemu jeszcze jesteś na nogach?

– Powinnam być, skoro pan też jest. I cieszę się, że byłam. Czekałam na pana w gabinecie, kiedy ktoś zadzwonił na pana bezpośrednią linię. To był pan Klaastens. Poinformowałam go, że pana odszukam, i poprosiłam, żeby zadzwonił ponownie. Musi pan pójść do gabinetu i odebrać ten telefon.

– Boże, co znowu? Kolejny problem?

– Obawiam się, że tak. Klaastens powiedział, że sprawa jest pilna. Chodzi o jednego z chińskich kolarzy.

– Cholera! – wymamrotał Berman. – Mam tylko nadzieję, że to nie kolejne zatrzymanie akcji serca. Powiedział, co dokładnie się stało?

– Nie, nie powiedział, a ja się nie dopytywałam. Chciał rozmawiać bezpośrednio z panem. Powiedział, że dzwonił do pana do domu, ale nikt nie odebrał.

– A skąd, u diabła, wytrzasnął numer mojej bezpośredniej linii? – Dziwił się głośno Berman. Miał zainstalowany w biurze prywatny telefon, którego numer znało tylko kilku chińskich dygnitarzy wysokiego szczebla i nieliczne grono zaufanych osób. Victor Klaastens do nich nie należał. – Podałem mu numer domowy, ale nie prywatny w biurze.

– Nie wiem. Będzie pan miał okazję sam go spytać. Ma zadzwonić ponownie za kwadrans, więc powinniśmy się pospieszyć.

Berman ledwo przebierał nogami, ale wiedział, że musi wrócić do biura, jeśli chce rozmawiać z Klaastensem. Prywatna linia nie była podłączona do centrali telefonicznej firmy. Poza tym wszystkie transmisje danych i połączenia głosowe sieci komórkowych były zablokowane w tej części budynku dzięki produktowi firmy: farbie ściennej, która tłumiała częstotliwości radiowe.

Dowlókł się do gabinetu dokładnie w chwili, gdy zadzwonił telefon. Odczekał trzy dzwonki, żeby wziąć głęboki oddech, i odebrał.

– Tak?

– Panie Berman, mówi Victor Klaastens.

– Jak pan zdobył ten numer? – Irytacja z powodu tego, co Berman uznał za naruszenie prywatności i zasad bezpieczeństwa, spowodowała, że się ożywił. Chciał mieć absolutną pewność, że prywatna linia nie jest narażona na podsłuch.

– Panie Berman, proszę, może nie jestem tak zamożny jak pan, ale nie jestem również głupi. Powinien pan wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, bo to ważniejsze niż jakiś tam zastrzeżony numer telefonu. I niech się pan nie martwi, nikt nie namierzy tej rozmowy ani miejsca skąd dzwonię.

– Dobrze, proszę mówić.

– Chodzi o jednego z pańskich kolarzy, Hana. Wystąpił pewien problem zdrowotny.

– Problem zdrowotny? Jaki? Coś z sercem? – Berman ugryzł się w język, by nie powiedzieć więcej.

– Z sercem? Dziwne, że pyta pan akurat o serce. Nie, ze ścięgnem Achillesa. Obawiam się, że doszło do całkowitego zerwania.

– Dziwne. – Bermanowi kamień spadł z serca, że wbrew jego obawom nie chodzi o problem kardiologiczny.

Zerwanie ścięgna Achillesa mogło się przydarzyć każdemu intensywnie trenującemu sportowcowi, więc łatwiej się z niego będzie wytłumaczyć przed Chińczykami. Z drugiej strony jednak był to problem, a Berman nie życzył sobie teraz żadnych problemów. Zastanawiał się, czy to nie kolejna anomalia. Czy tego typu kontuzje przydarzają się kolarzom, czy nie jest to uraz typowy dla sportów kontaktowych? Nawet jeśli nie ma nic wspólnego z programem, co powiedzą na to Chińczycy? Jasny szlag.

– Panie Berman? – spytał Klaastens niepewny, czy Berman jeszcze jest na linii.

– Mówi pan, że doszło do zerwania ścięgna?

– Tak, poszło w trakcie treningu aerobowego na rowerze stacjonarnym. Nawet się specjalnie nie forsował. Wszystko niby było w porządku i nagle powiedział, że czuje ból, jakby ktoś go bardzo mocno kopnął w tył łydki. Przykro mi, wiem, że nie to chciał pan usłyszeć.

– No, a co z nim? Gdzie teraz jest?

– Został oczywiście zabrany do szpitala, ale nie zostanie tam długo. Rozmawiałem z jednym z lekarzy. Powiedział, że trzeba poczekać, aż zmniejszy się obrzęk, i wtedy będzie można przeprowadzić operację. Ale to nie jest nic bardzo pilnego. Można to także leczyć zachowawczo, tyle że będzie się dłużej goiło.

– Dobra, na razie nic nie róbcie. Przyjeżdżam do Mediolanu na ostatni etap, dwudziestego siódmego. To może poczekać do tego czasu?

– Jestem trenerem, nie lekarzem. Nie wiem. Ale naprawdę szkoda, dobrze się spisywał, był spokojny. Myślę, że zapowiada się bardziej obiecująco niż Bo. W przyszłym sezonie może wrócić, nawet jeszcze silniejszy.

– W przyszłym sezonie – rzucił Berman bardziej do siebie niż do Klaastensa. Wiedział, że jeśli następna faza jego wielkiego planu się nie powiedzie, nie będzie żadnego przyszłego sezonu.

– Zatem do zobaczenia dwudziestego siódmego w Mediolanie, panie Berman. – Klaastens czekał na odpowiedź, ale Zachary Berman się już wyłączył.



## Rozdział 34

Szpital Boulder Memorial, Aurora, Kolorado  
niedziela, 19 maja 2013, 9.10

Ona wie, że śpi, a jednocześnie ma wrażenie, że jest zupełnie przytomna. Czuje się tak, jakby oglądała świat z dna basenu pływackiego; wprawdzie oddycha, ale nie może się ruszyć. Dźwięki są dziwnie wytlumione. Jakieś znajome twarze się do niej zbliżają, jakby ludzie nurkowali, by się z nią spotkać, gdy ona tak leży, patrząc do góry. Wie, że to przyjaciele i że są życzliwi, więc cieszy się na ich widok.

Potem pojawia się ktoś jeszcze. Ona chce uciekać, ale nie może, jakby płyn, w którym się znajduje, się kleił, bardziej lepki od wody. Spogląda na swoje ramiona i widzi, że są skrępowane, jakby pasami bezpieczeństwa w samochodzie, i nagle zaczyna pędzić, a potem koziółkuje i spada, leci, leci na samo dno świata. Coś jej mówi, że jeśli tylko otworzy oczy, nic jej nie będzie. Ale tak trudno to zrobić, tak trudno...

– Pia?

Wiedziała, że jest w szpitalu, zaczynała jej powoli wracać świadomość otoczenia. Czuła dyskomfort, nawet ból. Spróbowała się poruszyć, ale nie mogła, ręce jej nie słuchały. Wiedziała, że minęło sporo

czasu, ale co się z nią wtedy działo? Wiedziała też, że przychodzili do niej ludzie, znajomy dźwięk ich głosów dodawał jej otuchy. George. George był jednym z nich. I jej nowy przyjaciel Paul. Teraz też ktoś przyszedł. Głowa jej pękała, wiedziała, że jest pod wpływem leków, i w kilku miejscach ciała czuła tępy ból. Mimo to powinna być przecież w stanie rozpoznać gościa. Wtedy do niej dotarło, że musi jeszcze otworzyć oczy. Uniosła powieki.

– Pia? Ocknęłaś się? Pielęgniarki mówią, że jesteś już prawie wybudzona.

Rzeczywiście, była wybudzona, mężczyzna miał rację. Ale kto to jest? Przypatrywała mu się badawczo.

– Pia. Może powinienem dać ci spać.

Nagle sobie przypomniała.

– Pia, to ja, Zach. Chciałem cię zobaczyć przed odlotem. Wyjeżdżam w kolejną podróż służbową, ale wrócę. – Przyglądał się jej twarzy, potem spuścił wzrok na krągłości rysujące się pod białym prześcieradłem. Wyglądała tak samo ponętnie jak zawsze, może nawet jeszcze ponętniej. Pragnął jej. Chciał ją posiąść, ujarzmić, okiełznać. Droczyła się z nim, prowokowała go i zadziałało: był omamiony, oczarowany, zauroczony nawet i podobało mu się to. Pieprzyć Whitney i Mariel i ich małostkową zazdrość. On, Berman, postawi na swoim. Fakt, że Pia przeżyła, stanowił omen, który solennie obiecał sobie wykorzystać.

Pia chciała coś powiedzieć, ale zanim zdążyła sformować słowa, uświadomiła sobie mgliście, że ktoś wszedł do sali. Tym razem poznała głos natychmiast.

– Przepraszam bardzo, mogę spytać, kim pan jest? – przemówił stanowczym tonem Paul Caldwell. – Odwiedziny u tej pacjentki są ograniczone.

– Wiem. – Berman odwrócił się i przyjrzał swojemu rozmówcy. Zerknął na identyfikator. To samo nazwisko przewijało się w policyjnym raporcie z wypadku. – Witam, doktorze Caldwell. Nazywam się Zachary Berman. Jestem prezesem i dyrektorem

naczelny Nano. Doktor Grazdani jest naszą bardzo cenioną pracownicą i chciałem osobiście ją odwiedzić przed wyjazdem służbowym. Moja asystentka rozmawiała z dyrektorem szpitala, który wydał zgodę na krótkie odwiedziny. Zapewniono mnie, że to żaden problem.

– Poza najbliższą rodziną nikt nie ma prawa odwiedzać tej pacjentki, bez względu na to, co powiedział pan Noakes. Czy uzgodnił pan swoją wizytę z Glorią Jason, pielęgniarką oddziałową? To byłoby właściwsze posunięcie.

– Z tego co wiem, odwiedziny konsultowano tylko z doktorem Noakesem.

– Panem Noakesem. On nie jest lekarzem i nie zajmuje się opieką nad pacjentami.

– Cóż, w takim razie przepraszam za najście i już sobie idę. Mogę tylko spytać, jak ona się czuje? Bardzo się martwię. – Berman przywołał na twarz minę mającą wyrażać troskę.

– O stan pacjentki mógł się pan dowiedzieć telefonicznie – rzucił Paul szorstko. – Ale dochodzi do siebie. – Nie bawił się w serdeczności. Z miejsca poczuł antypatię do gościa. Na podstawie opowieści Pii, podejrzeń co do możliwego udziału Nano w wypadku oraz bezpośredniej obserwacji wyrobił sobie na jego temat zdanie. W jego oczach Berman był upojonym władzą brutalnym zwyrodnialcem, a Paul spotkał ich już w swoim życiu kilku.

– A mogę jeszcze spytać, jak pan się miewa? – indagował dalej Berman z tym samym wyrazem fałszywej troski. – Słyszałem, że pan także uczestniczył w tym wypadku.

– Owszem – potwierdził Paul. Nie zdziwiło go, że Berman wie. Informacja o kraksie pojawiła się w prasie, a nawet w wieczornych wiadomościach. – W porównaniu z doktor Grazdani wyszedłem z tego niemal bez szwanku. – Uniósł lewą rękę, pokazując palec wskazujący i środkowy sklezione razem białą taśmą. – To całe moje obrażenia.

Berman popatrzył na palce i uśmiechnął się w duchu. Czyżby pan doktor pokazał mu właśnie fałkę? Mimo całej niezręczności sytuacji

podobał mu się ten facet. Miał jaja, co Berman potrafił docenić.

– Cieszę się, że nic gorszego się nie stało – dodał.

– Poza tym. – Paul wskazał ruchem głowy na Pię.

– Być może nie radzi sobie tak dobrze za kółkiem, jak powinna, albo po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Kiedy wydobrzeje, chcielibyśmy, żeby wróciła do Nano.

– Zobaczymy.

– Proszę dać mi znać, jeśli będę mógł coś zrobić. – Berman popatrzył na Pię. Uśmiechnął się do siebie w myślach. Doskonale wiedział, co chciałby zrobić.

– Owszem. Jest jedna rzecz – powiedział Paul. – Może pan przestać przysyłać codziennie te bukiety. To lekka przesada. Poza tym trącą pogrzebem. Zwłaszcza lilie zasmradzają salę.

Berman uśmiechnął się znowu. Uznał, że z doktorka naprawdę jest aparat, ale nic nie powiedział. Skinął tylko głową i wyszedł.

Paul przeniósł wzrok na Pię i zobaczył zaskoczony, że przygląda mu się spod ciężkich powiek.

– Proszę, proszę, kopę lat! Jaka miła niespodzianka. Jak się czujesz?

– Paul! Gdzie jestem? – Spytała zachrypniętym głosem. Spróbowała zakasłać, ale słabo jej to poszło.

– W Memorial. Leżysz tu już od tygodnia.

– Od tygodnia? – wydusiła zaskoczona. – Co się stało?

– Mieliśmy wypadek. Samochodowy.

– Coś sobie przypominam. Szukaliśmy tej białej furgonetki.

– Zgadza się – potwierdził Paul. – Ale nie powinnaś teraz zawracać sobie tym głowy. Przyjdzie na to czas. Jak się czujesz?

– Przymulona. I obolała. Jakby mnie przejechała śmieciarka.

– Wyobrażam sobie. Przykro mi. Posłuchaj, uspiliśmy cię na kilka dni, bo trochę się o ciebie niepokoiśmy. Miałaś, między innymi, poważne wstrząśnienie pnia mózgu. Ale spokojnie, wyłizesz się. A w miarę jak działanie leków będzie słabło, przymulenie też minie.

– Głowa mnie boli.

– Nie dziwię się. Pewnie zresztą nie tylko głowa. Gdy tylko

zawiadomię twojego lekarza prowadzącego, że się wybudziłaś, podłączymy ci do kroplówki analgetyk. Teraz odpoczywaj. – Podeszedł do łóżka i podniósł przycisk przywołania leżący na poduszce. – Gdybyś wcześniej czegoś potrzebowała, po prostu to naciśnij.

– A dlaczego mam przywiązane ręce? – Próbowała je unieść, ale bez skutku.

– To tylko pasy unieruchamiające nadgarstki. – Paul rozpiął rzepy. – Nie chcieliśmy, żebyś przypadkowo wyrwała kroplówkę.

– Czy to Zachary Berman był tu przed chwilą?

– Tak.

– Co tutaj robił?

– Pojęcia nie mam.

– A George też tu był czy mi się to tylko śniło? Wydaje mi się, że przypominam sobie jego głos.

– Zgadza się. Jest w Boulder. Wygoniłem go, żeby poszedł coś zjeść. Bardzo się ucieszy, że się obudziłaś.

– Ale po co, u licha, Berman się tu pofatygował? Poczułam się... Nie wiem, jak się poczułam. Ale niedobrze. – Mowa Pii stawała się coraz wyraźniejsza, a po jej tonie Paul poznał, że dziewczyna jest wzburzona.

– Postaraj się uspokoić! Na razie niczym się nie przejmuj. Jeśli chcesz, powiem górze, że nie życzysz sobie żadnych gości oprócz mnie i George'a. Powinnaś teraz myśleć tylko o sobie. Berman już tu nie przyjdzie, zaufaj mi!

– Dziękuję, Paul. Jestem ci wdzięczna.

## Rozdział 35

Piazza del Duomo, Mediolan, Włochy

niedziela, 26 maja 2013, 17.00

Zach Berman wiedział, że jego kolarz nie startuje po to, żeby wygrać dość krótki ostatni etap Giro d'Italia, tym bardziej zaś cały wyścig, ale i tak się bardzo denerwował. Ogromne tłumy zebrały się na głównym placu, nad którym górowała masywna, a jednocześnie kunsztowna katedra. Berman zachwycił się nią już wcześniej tego dnia w czasie zwiedzania z Jimmym, zwłaszcza gdy usłyszał, że jej ukończenie zabrało sześć wieków. Czternastowieczni kamieniarze i artyści prawdopodobnie byliby zachwyceni, wiedząc, że ich praca stanie się częścią zespołowego wysiłku, który będzie trwał przez całe stulecia, a wszystko to w imię chwały ich Boga. Uważał, że jego projekt wykorzystania nanotechnologii w medycynie jest równie monumentalny jak katedra, tyle że on miał znacznie mniej czasu na jego zakończenie niż budownicowie.

Popatrzył na zegarek. Kolarze wyjechali z piazza Castellano kwadrans wcześniej. Szybko obliczył, że jeśli będą jechać czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, powinni pojawić się na widoku za jakieś dziesięć minut. Jimmy Yan podniósł się z aluminiowego krzeselka na odkrytej, prowizorycznej głównej trybunie i postukał w swój

zegarek. Berman skinął głową i także wstał.

– Są już blisko – powiedział, oglądając peleton przez teatralną lornetkę.

Rzesze ludzi powiewały chorągiewkami i flagami wszystkich państw, których zawodnicy uczestniczyli w wyścigu, ale najwięcej było flag włoskich. Z głośnym dopingiem rozkrzyczanych kibiców mieszał się dźwięk trąbek, klaksonów samochodowych, a nawet fajerwerków i rac, co sprawiało, że zgiełk był ogłuszający.

Jimmy stał na palcach i obserwował prowadzącą grupę. Ten ostatni krótki etap to była już tylko formalność. Ostateczną wygraną w klasyfikacji generalnej zagwarantował już sobie Hiszpan, musiałby spaść z roweru, żeby stracić laur zwycięzcy, ale o drugie miejsce zaciekle rywalizowało trzech Włochów i to właśnie ich z taką ekscytacją tłumy zagrzewały do walki. Wszyscy na trybunie już się podnieśli i Berman niewiele mógł dostrzec przez morze uniesionych rąk. Potem mignął mu fragment peletonu, gdy kolarze okrążali plac: czyżby dostrzegł niebiesko-czerwono-zielone barwy swojej drużyny? Nie był pewien.

– Tam! – Jimmy chwycił go za ramię i pokazał palcem: wszyscy zawodnicy z drużyny jechali w grupie w środku peletonu, który właśnie przekraczał linię mety.

– Widziałem Bo – powiedział Jimmy. – Jestem pewien.

Dzięki Bogu, pomyślał Berman. Jego kolarz musiał ukończyć wyścig, a to był dopiero pierwszy próg z wielu, które Nano musiało pokonać w najbliższych tygodniach. Nie żeby samo ukończenie wyścigu było wielkim wyzwaniem, jednak chińscy partnerzy postawili sprawę jasno: nie życzą sobie żadnych problemów ani niepowodzeń więcej, oczywiście żadnych urazów w trakcie publicznych imprez, żadnych tajemniczych zapaści na drogach w Boulder, żadnych karettek pogotowia i żadnych wizyt na oddziałach ratunkowych amerykańskich szpitali. Berman chciałby mieć taką kontrolę nad sytuacją, by wykluczyć każdą z tych ewentualności, ale miał nadzieję, że już niedługo to nastąpi.

– Powinniśmy zejść i zobaczyć się z drużyną – powiedział. Czuł, że ukończenie wyścigu bez żadnych katastrof zasługuje na małą fetę.

– Idź, jeśli chcesz – zgodził się Jimmy. – Ja wpadnę do Lianga.

Liang miał zająć miejsce Hana, który został przetransportowany samolotem do Stanów, by tam, z dala od oczu potencjalnie ciekawskich europejskich chirurgów, przejść operację ścięgna Achillesa. Jego kontuzja zresztą zabiła ćwieka badaczom z Nano. Takie urazy przydarzały się nakoksowanym bejsbolistom, którzy przesadzili z masą i w rezultacie nadweręzali zbyt mocno obciążone ścięgna, czasami odrywając je zupełnie od kości. Ale Han nie był umięśnionym pałkarzem szkolonym do zdobywania grand slamów, był szczupły i trenowany pod kątem szybkości i wytrzymałości.

Lekarze w Szanghaju i Boulder całymi dniami ślęczeli nad skanami rezonansu magnetycznego nóg Hana wykonanego na długo przed kontuzją, gdy był kwalifikowany do programu, ale nie znaleźli nawet najmniejszego pęknięcia ani innej wady budowy, które mogłyby przyczynić się do zerwania ścięgna Achillesa. W końcu uznali zgodnie, że był to po prostu fatalny niefart. „Czasami człowiek szcza pod wiatr”, podsumował sprawę na swój flegmatyczny, przasny sposób Victor Klaastens i Berman ostatecznie musiał przyznać, że nie sposób odmówić słuszności tej konkluzji – zarówno w odniesieniu do urazu Hana, jak i do życia w ogóle.

Jimmy zadekował Lianga w mieszkaniu gdzieś w Mediolanie. Berman nie miał pojęcia, gdzie się ono znajduje, wiedział tylko, że Liang przyleciał tu tym samym chińskim samolotem, który zabrał Hana do Kolorado, i że zajmuje się nim chiński lekarz, który dwa ostatnie lata spędził w Nano. Chińczycy nie chcieli w niczym zdawać się na przypadek, czy raczej na Amerykanów, co w ich oczach oznaczało chyba to samo.

– A jak się ma Liang? – spytał Berman, gdy Jimmy zebrał swoje rzeczy.

– Dobrze. Twierdzi, że jest silny i chce zacząć się ścigać. Pomimo sytuacji, w jakiej się znalazł, chyba to polubił.



Berman wolał nie myśleć za dużo „o sytuacji”, w jakiej znajdowali się ludzie przywożeni z Chin do Nano.

– Wie, że jeśli się wykaże, może zdobyć wolność dla siebie i swojej rodziny.

Berman uśmiechnął się do Jimmy’ego.

– Oczywiście. To na pewno silna motywacja.

– Strach przed przegraną jest chyba jeszcze lepszą, nie uważasz – bardziej stwierdził, niż zapytał Jimmy i Berman nic na to nie odpowiedział. Odprowadził wzrokiem Chińczyka, gdy się rozdzielili, a potem zaczął się przepychać w stronę tłumów zebranych wokół kolarzy. Chciał jeszcze zamienić kilka słów z Victorem Klaastensem.

## Rozdział 36

Mieszkanie Pii, Boulder, Kolorado

środa, 10 lipca 2013, 6.00

Przez większość dorosłego życia Pia miała problemy z porannym wstawaniem. Zwykle za długo czytała przed snem, który potem przerywały jej koszmary, więc gdy w końcu dzwonił budzik, była niewypoczęta, i pokusa, by go wyłączyć i przespać się jeszcze godzinę, okazywała się często zbyt duża. Ale od opuszczenia szpitala dzień w dzień budziła się punkt szósta, zwarta i gotowa do rehabilitacji.

Bezczynność była dla niej torturą. Nienawidziła jej bardziej niż porannego wstawania, bo budziła uspięne w jej pamięci demony. Wakacje, urlopy, tego typu rozrywki były nie dla niej. Uważała je za bezsensowną stratę czasu i okazję do niepotrzebnego myślenia. Musiała mieć zawsze jakiś cel przed sobą, powód, żeby wstać z ciepłego, przytulnego łóżka, coś, co da jej siłę i energię na przeżycie dnia. I teraz, od wyjścia ze szpitala, miała dwa takie cele.

Po pierwsze chciała wrócić do pracy. Od momentu uzyskania pełnoletności zawsze miała coś do roboty: najpierw robiła zaocznie maturę i pomagała w klasztorze, potem był college, studia medyczne, śledztwo w sprawie tajemniczych zgonów na uczelni i otarcie się o śmierć w jego następstwie. Po krótkim odpoczynku od cywilizacji praca

w Nano zdominowała jej życie na ponad osiemnaście miesięcy i nawet kiedy Pia zaczęła już kwestionować uczciwość firmy i zastanawiać się, co się dzieje na jej terenie, dalej była pochłonięta swoimi badaniami i absolutnie przekonana o ich wartości. Wierzyła święcie, że to, co robi, jest zaszczytne, etyczne i może nawet pomóc jej przyjacielowi Willowi. Nie mogła się więc doczekać, żeby wrócić do pracy. Chciała się dowiedzieć, jak przebiegają eksperymenty biokompatybilności na myszach, czy wyniki są takie same jak przy nicieniach, czyli czy jej pomysł wbudowania w powierzchnię diamentoidowego pancerza mikrobiworów cząstek glikolu polietylenowego rozwiązał problemy immunologiczne.

Poza tym pozostawała jeszcze kwestia wici. Była ciekawa, czy programiści zapoznali się wreszcie z jej pomysłem napisania kodu, dzięki któremu mikrobiwory potrafiłyby obracać bakterię wokół jej własnej osi, tak by wic owinęła się wokół niej i razem z nią trafiała do komory trawienia.

Bardzo chciała się tego dowiedzieć. Ale był pewien problem, i to nie miały. Kiedy leżała jeszcze w szpitalu, zadzwoniła do niej Mariel i zakomunikowała, że Pia ma się nie pokazywać w Nano, nawet z wizytą, dopóki nie otrzyma zaświadczenia o zdolności do pracy od chirurga ogólnego, ortopedy i fizjoterapeuty. Nie było mowy o żadnej dyskusji ani protestach. Swoim zwykłym, ostrym tonem Mariel ostrzegła Pię, żeby się nie ważyła przestąpić progu firmy bez oficjalnego potwierdzenia od lekarzy, że całkowicie wróciła do zdrowia po wypadku.

Choć Pia była przyzwyczajona do samotnego życia i je lubiła, wymuszona izolacja dawała jej się we znaki bardziej, niż się spodziewała. Zaczynała nawet podejrzewać, że wcale nie jest takim odludkiem, za jakiego się wcześniej miała. Przywykła do krótkich rozmów i przelotnych kontaktów z innymi ludźmi w czasie pracy, a teraz tę potrzebę musiały zaspokajać spotkania z fizjoterapeutą. Niestety, nie zaspokajały, a w swoim niewielkim, dziesięciomieszkaniowym budynku znała zaledwie kilku lokatorów, i to

tylko z widzenia.

Odwiedzał ją tylko fizjoterapeuta, który przychodził, dopóki nie wydobrzała na tyle, by dojeżdżać do ośrodka i ćwiczyć samodzielnie, no i Paul, który okazał się prawdziwym darem niebios. Pożyczył dla niej nawet od swoich rodziców ich drugi samochód. Służbowy volkswagen poszedł do kasacji, a ona nie bardzo mogła prosić firmę o nowy.

Drugim celem, który motywował ją każdego dnia do wstania z łóżka, był Berman. Ilekroć leżała w pościeli, ociągając się z pobudką, tak jak na przykład tego ranka, myślała o nim. Ilekroć, tak jak teraz, bolało ją złamane ramię albo żebra, albo paliła blizna po splenektomii, przed oczyma stawała jej twarz właściciela Nano. Chciała usłyszeć od niego wyjaśnienia, chciała, żeby odpowiedział na pytania dotyczące działalności firmy i – rzecz może ważniejsza – na pytania o jej wypadek.

Paul potwierdził, że tuż po jej wybudzeniu się, gdy była jeszcze na wpół przytomna, odwiedził ją w szpitalu Zachary Berman. Próbował zgrywać zatroskanego szefa zainteresowanego stanem pracownicy. Paul tego nie kupił. Berman sprawił na nim wrażenie drapieżcy, człowieka, od którego powinna się trzymać z daleka.

– Masz na myśli seksualnego drapieżcę? – spytała.

– Oczywiście.

– A na jakiej podstawie wyciągasz ten wniosek? Nie żebym ci nie wierzyła. – Pia przypomniała sobie, jak Berman usiłował wtargnąć do jej mieszkania.

– Na podstawie jego zachowania i w ogóle. – Paul pokręcił głową. – Szkoda, bo to przystojny facet.

Tak jak się spodziewał, Pia była święcie przekonana, że ich kraksa wcale nie była nieszczęśliwym wypadkiem, choć nie pamiętała nic z całego zdarzenia. Upierała się, że zna samą siebie oraz swoje umiejętności i nigdy, przenigdy, nie wypadłaby ot tak z drogi. Uważała, że samochód musiał zostać staranowany i rozmyślnie zepchnięty z szosy. Nie mogła się nadziwić, jak policja mogła choćby sugerować coś przeciwnego.

Paul poinformował ją, że cały incydent uznano oficjalnie za

wypadek spowodowany po części nadmierną prędkością. Policjanci doszli do takiego wniosku, choć w trakcie przesłuchania powiedział im, że przypomina sobie mgliście, mimo powypadkowej amnezji, inny pojazd, który pojawił się za nimi tuż przed wypadkiem. Kiedy Pia to usłyszała, postanowiła sama porozmawiać z funkcjonariuszami, którzy przesłuchiwali Paula. Jednak pomimo jej protestów śledztwo zostało zamknięte. Policja twierdziła, że oględziny wraku nie ujawniły śladów zderzenia z innym samochodem: było mnóstwo zadrapań, rys i wgnieceń, ale wszystkie mogły powstać w czasie upadku i dachowania, nie znaleziono też pozostałości lakieru innego pojazdu.

Pia oczywiście uznała to za próbę zatuszowania faktów. Ponieważ twardo upierała się przy swoim, Paul spytał, skąd ludzie z Nano, jeśli volkswagen istotnie został zepchnięty i jeśli istotnie to oni za tym stali, mieliby wiedzieć, że Paul i Pia ruszyli w pogoń za kolarzem? Przecież wyjechali ze szpitala zaledwie kilka minut wcześniej. Pia odpowiedziała, że w szpitalu mógł być szpieg, a w jej samochodzie zainstalowany lokalizator GPS. Stwierdził wtedy, że naoglądała się zbyt wielu sensacyjnych filmów.

Trzy tygodnie po jej wyjściu ze szpitala przyjechał George. Ledwo zdołał się wyrwać z Los Angeles i mógł zostać tylko na jedną noc, którą zresztą zarwał, bo Pia postanowiła przedstawić mu wszystkie swoje teorie i hipotezy. Słuchał ich jednym uchem, przerażony, że dziewczyna znowu napyta sobie biedy. I oczywiście absolutnie zgadzał się z Paulem, że powinna trzymać się z dala od Bermana. Powążył się nawet jej powiedzieć, że zachowuje się jak paranoiczka, węszy wszędzie zbrodnie i pozwala, by teorie spiskowe zdominowały jej życie. Przypomniał, że nie po raz pierwszy tego typu zachowanie wpędza ją w kłopoty.

– Bardzo możliwe – zgodziła się Pia. – Ale wtedy w Nowym Jorku koniec końców okazało się, że miałam rację.

– Ale fakt, że w Nowym Jorku miałaś rację, zresztą tylko częściową, pozwolę sobie dodać, nie oznacza automatycznie, że masz ją także w Kolorado. Uważam, jeśli chcesz mojej rady, że powinnaś po prostu dać

sobie z tym wszystkim spokoj. Przeprowadzić się, znaleźć sobie inną pracę i zacząć od nowa, bo twoje perspektywy w Nano, sądząc po tym wszystkim, co mi powiedziałaś, nie rysują się zbyt różowo.

Pia była pewna, że oznajmiwszy to, George zaproponuje, żeby zamieszkała z nim w LA, dopóki nie wróci całkiem do zdrowia. Nie uczynił tego jednak, co doceniła, choć wiedziała, że prędzej czy później takie zaproszenie padnie. Tyle że ona nie zamierzała przeprowadzać się do Los Angeles, nawet gdyby musiała zrezygnować z pracy w Nano.

Przede wszystkim jednak czuła narastającą frustrację. Bezczynność dawała jej się coraz bardziej we znaki, brak sił też robił swoje, a wiedziała, że będąc tak słaba, niewiele zdziała. Zatem tego dnia, jak tyle razy wcześniej, zastanowiwszy się nad sytuacją, wyskoczyła z łóżka, przeciągnęła się i wykonała kilka rozciągających ćwiczeń na rozgrzewkę. Już jakiś czas temu odstawiła wszystkie analgetyki, oprócz dostępnych bez recepty leków przeciwzapalnych, i dzielnie znosiła swoje obrażenia. Cieszyła się, że w tym tygodniu pozbędzie się w końcu ciężkiego gipsu z ręki, który miał zostać zastąpiony lżejszym syntetycznym, choć wiedziała, że póki co ramię pozostanie na temblaku. Żebra wciąż jeszcze miała oklejone, a włosy na czubku głowy, który ogolono, żeby założyć dziesięć szwów na ranę, były jeszcze krótkie.

Kiedy brała prysznic, wykonała kilka testów pamięciowych, żeby sobie udowodnić, że od czasu wypadku pamięć jej się nie pogorszyła, przeciwnie. Neurolog, z którym się konsultowała, uprzedził ją, że takie powikłania jak amnezja mogą wystąpić nawet kilka miesięcy po zdarzeniu, i przestrzegł przed depresją, która także może się pojawić. Zapewniła go, że jest zbyt wściekła, by groziła jej depresja, i ucięła temat, gdy naciskał.

Zapowiadał się ładny letni dzień i Pia postanowiła poćwiczyć dzisiaj intensywniej. Wieczorem miała się spotkać z Paulem na kolacji we włoskiej knajpce w Boulder i liczyła, że po porządnym treningu będzie głodna jak wilk.

## Rozdział 37

Col du Grand Colombier, Francja

środa, 10 lipca 2013, 14.10

Powietrze w górach Jura 1500 metrów nad poziomem morza było zdaniem Zachary'ego Bermana wspaniałe. Po latach spędzonych w Kolorado czuł się bardzo dobrze na tej wysokości. Pogoda też była doskonała, na wysokim błękitnym niebie świeciło słońce i Berman drżał w radosnym oczekiwaniu. Tego dnia miał wreszcie otrzymać nagrodę za lata ciężkiej pracy. Był pewien swego, ale nie zanadto: dręczące uczucie niepokoju, że coś może jednak znowu pójść nie tak, jak już tyle razy wcześniej, do końca go nie opuściło.

Chciał jednak wierzyć, że porażki należą już do przeszłości. Od dnia, kiedy otrzymał informację o zerwaniu ścięgna Achillesa u Hana, radował się już tylko dobrymi wieściami. Bo i Liang, nowy tandem w azerbejdżańskiej drużynie kolarskiej, doskonale zgrali się z resztą zespołu. Za pośrednictwem Victora Klaastensa, trenera, Berman rozpowszechnił w prasie fachowej informację o dwóch młodych chińskich kolarzach, którzy bardzo obiecująco spisują się na treningach. Na zlecenie rządu jedna z chińskich gazet przeprowadziła z zawodnikami wywiad, którego angielskie tłumaczenie ukazało się w sieci i było komentowane przez kilka zachodnich stacji sportowych.

Sukces chińskiego kolarstwa nie powinien już wzbudzić zaskoczenia wśród znawców.

A ten sukces był blisko. Naukowcy Bermana uważali, że rozgryźli przyczynę zapaści, które zdarzały się sportowcom. Łączyli je ze stanem hipermetabolicznym, wywołanym swego rodzaju zatruciem tlenowym, które jednak dawało się łatwo usunąć przez niewielkie zmniejszenie dawki nasycającej. Od momentu wprowadzenia tych zmian do procedury, u żadnego z badanych nie pojawiły się już podobne powikłania. Przeciwnie, wydolność i wyniki jeszcze się poprawiły, wzmacniając przekonanie Bermana, że uda się osiągnąć to, co zaplanowali na ten etap Tour de France.

Z dwójki kolarzy to Liang był silniejszy, i psychicznie, i mentalnie, i postanowiono, że to jemu powinien przypaść laur zwycięzcy. Drużyna była ustawiona tak, by triumf Lianga był zaskoczeniem, ale nie kompletnym szokiem. Okazał się świetnym góralem i w dwóch wcześniejszych etapach górskich zdobył kilka premii na podjazdach o średnim stopniu trudności, plasując się całkiem wysoko w klasyfikacji górskiej, której lider otrzymywał zaszczytny tytuł „króla gór”.

Na każdym etapie Berman i Jimmy starali się wspierać drużynę. Kilka dni wcześniej urządzili sobie bazę wypadową w zachodniej Szwajcarii, skąd mogli łatwo jeździć do Francji i śledzić na trasie zmagania kolarzy. Berman nigdy wcześniej nie przebywał tyle czasu w towarzystwie jednej osoby, wątpił, by nawet najbardziej kochające się pary małżeńskie spożywały razem każdy posiłek i tak jak oni, nie odstępowały się niemal na krok. Berman lubił Jimmy’ego, ale wiedział, że Chińczykowi nie płacą za to, żeby się z nim przyjaźnił. Jednak teraz, gdy stali w tłumie na szczycie ostrego osiemnastokilometrowego podjazdu na Col du Grand Colombier, poczuł, że może mu zaufać.

– Powiem otwarcie, Jimmy: jestem cały w nerwach. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie obgryzać paznokci. Gra idzie o ogromną stawkę.

– Rozumiem cię. Ja też się denerwuję. – Popatrzył na niego z uśmiechem, jakby lekko zażenowany własną słabością. – Wiem, ile masz



do stracenia. I wiem, że moim przełożonym też zależy na twoim sukcesie. Oni również grają o wysoką stawkę. Jeśli twoja metoda okaże się skuteczna, Chiny będą triumfować. To sytuacja, w której obie strony wygrywają.

– Myślisz, że się uda?

– Przekonamy się. Ale wierzę, że tak. W końcu sport po to właśnie jest: żeby przekraczać granice i spełniać marzenia. A to przecież robimy, spełniamy marzenia. – Roześmiał się i poklepał go przyjaźnie po plecach. – No, głowa do góry. Zobaczysz, każdy z nas dostanie jeszcze to, na co zasłużył.

Berman nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Ostatnie zdanie Chińczyka wzbudziło w nim lekki niepokój, zaraz jednak go przegnał. Z pewnością należała mu się nagroda. Bardzo ciężko pracował i ogromnie wiele poświęcił dla Nano, firmy, która miała być nadzieją medycyny i ratunkiem dla milionów. Pytanie Jimmy'ego przerwało te rozmyślenia.

– Jesteś pewien, że naprawdę chcesz czekać tutaj, a nie na mecie?

Etap kończył się w miasteczku Bellegarde-sur-Valserine, ponad czterdzieści kilometrów za górą, na której stali, a kolarzy od linii mety dzielił jeszcze jeden, mniej stromy podjazd.

– Tak, to idealne miejsce. Jeśli okaże się, że Liang tutaj prowadzi, to będzie znaczyło, że jest dość mocny, by wygrać etap. Poza tym za nic nie darowałbym sobie tego widoku: kolarz w pocie czoła wjeżdżający samotnie na szczyt, mierzący się w tym samym stopniu z własnym bólem i zmęczeniem, co z innymi zawodnikami. Dla mnie w tym właśnie zamyka się cała istota tego sportu.

– Wiem, że go lubisz – powiedział Jimmy.

– Widzę w nim metaforę życia – wyjaśnił Berman.

Chwilę później w tłumie podniosły się gromkie wiwaty, a kibice naparli na bariery.

– Jada – powiedział Jimmy.

Policja starała się powstrzymać falującą rzeszę, by nie zablokowała drogi. W następnej chwili na szczyt wjechał radiowóz z włączonym kogutem, za nim inny samochód, a później pojazd drużyny

azerbejdżańskiej i motocykl z siedzącym tyłem kamerzystą. Potem pojawił się pierwszy kolarz, ktoś go klepnął w plecy, rozległy się wiwaty na cześć triumfatora. Berman poczuł smak zwycięstwa. To był Liang! Zdobył premię i prowadził na etapie.

Oddychał równo i widać było, że ma jeszcze spory zapas sił, ale na jego twarzy malował się wyraz zaciętej determinacji. Stał na pedałach, ale gdy podjazd się skończył, opadł na siodełko i przejechał krótki płaski odcinek na siedząco. Pochylił się i sięgnął po butelkę z wodą, zapiął zamek koszulki, wsadził do ust jakąś przekąskę, popił i zniknął z widoku. Zaraz po nim pojawiły się motocykle i samochody kolejnych zespołów przedzierające się przez tłumek, który zamknął się za Chińczykiem.

Z ryczącego głośnika płynęły po francusku doniesienia o innych kolarzach, ale Berman nie rozumiał ani słowa. Popatrzył na Jimmy'ego, który pokazał głową, by się zbierali. Berman ruszył za nim, patrząc na wijącą się w dole szosę i Lianga pokonującego zakręt w oddali. Jimmy zerknął na swój zegarek, potem na komórkę.

– Ma cztery minuty przewagi – powiedział. – Reszta stawki jest rozproszona, nie ma zorganizowanego pościgu. Liang ma już etap w kieszeni.

Teraz Berman pluł sobie w brodę, że nie zdecydował się jednak zaczekać na swojego zawodnika na linii mety. Nie mieli już szans tam dotrzeć, wiedział, że miną godziny, zanim wydostaną się z tej góry. Ale miał także świadomość, i było to pewnym pocieszeniem, że za niecałą godzinę Liang wygra etap Tour de France. Tym samym on, Berman, znajdzie się w połowie drogi do osiągnięcia swojego celu: nieograniczonych funduszy na program mikrobiworów. Przed oczyma stanęła mu matka, ale zaraz przegnał jej obraz. Nie teraz. Wziął głęboki haust górskiego, rześkiego powietrza i pozwolił sobie na krótki, pełen samozadowolenia uśmiech.

## Rozdział 38

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado

środa, 17 lipca 2013, 8.10

Pia stała na parkingu przed budynkiem Nano i starała się uspokoić. Miała nadzieję, że problemy, z jakimi się przed chwilą spotkała przed bramą wjazdową, wynikły z nieporozumienia i nie są zapowiedzią czekającego ją w firmie przyjęcia. Została zatrzymana przez strażników, bo jechała starą toyotą rodziców Paula, a nie służbowym volkswagenem, który figurował w systemie. I mimo że ochroniarz chyba ją poznał, nie chciał przepuścić. Okazało się, że jej legitymacja straciła ważność. Próbowwała wyjaśnić, że była na zwolnieniu przez dłuższy okres i prawdopodobnie musi ją odnowić. Wtedy zgodził się, że powinna się udać prosto do centrum ochrony, i pozwolił jej wjechać.

Teraz stała przy samochodzie, i usiłowała zebrać siły. Zabudowania firmy nagle wydały jej się ogromne i złowieszcze. W dodatku ciemne niebo zasnuwały niskie, ciężkie chmury, i miała wrażenie, że nie jest tu mile widziana. Nikt z Nano się z nią nie kontaktował od chwili, gdy opuściła szpital. Otrzymała tylko pismo potwierdzające to, co zakomunikowała jej już wcześniej telefonicznie Mariel, a mianowicie, że przed powrotem do laboratorium musi przedstawić zaświadczenie lekarskie o zdolności do pracy. Nie określono jednak konkretnego

terminu. Spallek nie odpowiadała na jej e-maile, nie odbierała jej telefonów, a kiedy Pia zadzwoniła do niej ostatnio i chciała nagrać wiadomość, usłyszała automatyczny komunikat, że skrzynka głosowa jest pełna.

Chcąc nie chcąc, zastanawiała się zatem, czy nadal jest pracownikiem firmy, czy też została zawieszona.

Dostawała regularnie e-mailem paski wypłat, ale przysyłał je bank, nie bezpośrednio firma. Miała przy sobie zaświadczenia od chirurgów i fizjoterapeuty o znacznej poprawie stanu zdrowia. Nie zakończyła wprawdzie jeszcze rehabilitacji, ale była przekonana, że może pracować. Uznała, że najlepiej będzie, jak stawi się w firmie osobiście i wyjaśni swój status.

Deszcz, który wisiał w powietrzu, teraz zaczął padać, najpierw nieśmiało, potem z większą intensywnością. Kiedy tak stała w narastającej mżawce, usiłując zebrać się na odwagę, zobaczyła znajomą wysoką postać oddalającą się z parkingu w kierunku wejścia do budynku.

– Jason! – zawołała. – Poczekał chwilę.

Odwrócił się, pomachał do niej wyraźnie zakłopotany i ruszył dalej. Dogoniła go i zaszła mu drogę.

– Jason, co się dzieje? Nie możesz się zatrzymać i przywitać?

– Jestem spóźniony, Pia, naprawdę się spieszę.

Strzelał oczyma na boki, unikając jej spojrzenia.

– Paul powiedział mi, że byłeś u mnie w szpitalu, gdy byłam w śpiączce. To bardzo miło z twojej strony. Szkoda, że nie wróciłeś, gdy już mnie wybudzono.

Spojrzał przelotnie na Pię i zobaczyła, że ma zboląłą minę.

– O co chodzi, Jason? Przecież widzę, że coś jest nie tak.

– Mariel... – rzucił cicho i urwał.

– Mariel? Co Mariel, Jason? Zabroniła ci ze mną rozmawiać? Co ci o mnie nagadała?

– Dobra, posłuchaj. – Wreszcie na nią spojrzał i to tak przenikliwie, że sama musiała odwrócić wzrok. – Mariel się dowiedziała, że

poszedłem cię odwiedzić w szpitalu, i nie ukrywała swojego niezadowolenia z tego powodu. Powiedziała, że są z tobą same kłopoty i żebym lepiej trzymał się od ciebie z daleka, jeśli chcę pracować w Nano. Próbowałem cię bronić, powiedziałem, że może jesteś trochę dziwna, ale że uważam cię za znakomitego naukowca. Odpowiedziała, że o wielu rzeczach nie wiem.

– Niby o czym? Co sugerowała?

– Nie wiem dokładnie.

– Ale jej uwierzyłeś.

– Przykro mi, Pia, ta praca to dla mnie ogromna szansa. Od lat się o taką starałem. Wiesz, jak jest.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem odwróciła wzrok. Nie mieściło jej się to w głowie. Nagle stała się jakimś pariasem. Chciała wziąć Jasona na spytki, spróbować ustalić, co naprawdę myśli, bo ewidentnie nie powiedział jej wszystkiego. Ale nie miała na to siły.

– Powodzenia, Pia – rzucił po chwili niezręcznej ciszy. – Mam nadzieję, że sytuacja się wyjaśni. Naprawdę. – Podniósł kołnierz kurtki i pospieszył w stronę budynku.

Poczuła, że musi dać ujście wściekłości, wyjęła więc komórkę i wybrała numer Mariel. Spaltek jednak nie odebrała i Pia uznała, że może to i lepiej. Inaczej Bóg wie co by jej nagadała. Tym razem poczta głosowa się włączyła, ale Pia nie uznała za stosowne zostawić wiadomości. Zamknęła drzwi samochodu i ruszyła szybko w kierunku wejścia.

Normalnie podeszłaby prosto do czytnika tęczówki znajdującego się przy szklanych drzwiach przy windach, ale z uwagi na to, co zdarzyło się przy bramie wjazdowej, skierowała się do biura ochrony. Przed znajdującą się na lewo od wejścia recepcją, gdzie kierowano gości i dostawców, czekała już grupka osób. W holu jak zwykle panował ruch, pracownicy, z których większość Pia kojarzyła z wyglądu, podchodzili do szklanej ściany, a ochroniarze pilnowali, by przechodzili przez czytnik pojedynczo.

W biurze ochrony było spokojniej. Po rozmowie z Jasonem Pia

spodziewała się kolejnych problemów, ale podeszła prosto do okienka. Obsługiwała je kolorowa, rosła kobieta, której nie znała: tak jak reszta ochrony miała na sobie uniform w wojskowym stylu i plakietkę z nazwiskiem Harriet Pierson. Najwyraźniej spodziewała się Pii. Bez słowa wzięła od niej legitymację i usiłowała przeciągnąć przez skaner w komputerze. Kiedy, podobnie jak przy bramie, się to nie udało, zniknęła na zapleczu.

Czekając na jej powrót, Pia obserwowała główny hol budynku, pracownicy napływali ławą i przed czytnikiem tęczówki uformował się już ogonek.

W końcu Harriet się pojawiła i wręczyła Pii legitymację.

– W porządku, doktor Grazdani – powiedziała. – Chyba nie było pani u nas kilka tygodni.

Pia skinęła głową i uniosła lewe ramię, które nadal miała na temblaku. Wiedziała, że wygląda jak siedem nieszczęść: mokra od deszczu, w bejsbolówce zasłaniającej wystrzyżony placek na głowie, dzinsach, flanelowej koszuli i na domiar złego z ręką w gipsie.

– Ale zaktualizowałam legitymację. Nie powinna mieć pani więcej problemów przy wjeździe – ciągnęła Harriet.

Pia jej podziękowała, wyszła i skierowała się do kolejki przed czytnikiem. Poczowała przyływ optymizmu. Wizyta w biurze ochrony przebiegła gładko i liczyła, że teraz bezproblemowo już dotrze do swojego laboratorium. Poznała ochroniarza, który stał z boku szklanych drzwi i obserwował ludzi przechodzących przez czytnik. To był Milloy, służbista, z którym miała wcześniej lekkie spięcie.

Kiedy przyszła jej kolej, podeszła do skanera, ale po zakończonym odczycie nie usłyszała znajomego bipnięcia: zapaliło się czerwone światełko odmowy dostępu.

Ponowiła próbę jeszcze dwukrotnie, z tym samym skutkiem. Wtedy podszedł do niej Milloy.

– Proszę odejść na bok. Mogę zobaczyć pani legitymację?

– Oczywiście – rzuciła Pia, nie kryjąc frustracji. Była pewna, że przynajmniej z legitymacją nie będzie już problemów.

– Jedną chwileczkę. – Milloy podszedł z dokumentem do najbliższego stanowiska komputerowego. Ku jej irytacji spędził dobre trzy minuty, stukając dwoma palcami w klawiaturę i wpatrując się w ekran. Popatrzył na Pię, która przewróciła oczyma i przestąpiła z nogi na nogę, coraz bardziej zła z powodu zwłoki. W końcu wrócił. – Przykro mi, pani certyfikat dostępu został zawieszony do czasu przedstawienia zaświadczenia medycznego o zdolności do pracy.

– A może mnie pan wpuścić, żebym mogła je przedstawić w kadrach?

– Niestety.

– To co pan mi radzi?

– Radzę udać się do biura ochrony. Może oni pani pomogą.

– Przed chwilą tam byłam, żeby zaktualizować legitymację.

– To będzie pani musiała wrócić.

– Panie Milloy, to jest oburzające. Jestem tu zatrudniona, miałam tylko wypadek samochodowy.

– Rozumiem. Ale nie mam upoważnienia, żeby panią wpuścić.

– Proszę zadzwonić do Zachary'ego Bermana. On pana upoważni.

– Mam zadzwonić do naczelnego? – Roześmiał się. – I co niby mu powiem? Przykro mi, nie mogę pani pomóc.

– On mnie zna – rzuciła oburzona. Ale widziała, że nie przekona ochroniarza. Spróbowała z innej beczki. – Dobrze, proszę w takim razie zadzwonić do Whitney Jones, jego asystentki.

– Orientuję się, kim jest panna Jones. I przypadkiem wiem również, że wyjechała służbowo z szefem. Może zadzwoni pani do niej za kilka dni, na pewno pani pomoże. Ja muszę już iść.

Pia widziała, że Milloy bawi się jej kosztem. Normalnie stałaby tam i dalej się z nim kłóciła, ale teraz nie miała po prostu na to siły. Wróciła na parking, czując narastający gniew. Wsiadła do samochodu i wyjechała z firmy, zamiast jednak zawrócić do miasta, pod wpływem impulsu skręciła w prawo i skierowała się prosto do domu Zacha Bermana. Być może wyjechał, tak jak twierdził Milloy, a może nie. Nawet jeśli go nie było, musiała dać upust frustracji, a wiedziała, że to Berman jest za

wszystko odpowiedzialny. Bez jego wiedzy nic się w firmie nie działo.

Brama. Pia zapomniała na śmierć o bramie broniącej dostępu do posiadłości. Podjechała bezpośrednio pod nią i wcisnęła klakson. Jego przenikliwy dźwięk spłoszył ptaki z najbliższych drzew: widziała, jak zerwały się i przeleciały na rosnące dalej świerki.

Zatrąbiwszy kilka razy, dała sobie spokój. W uszach jej dzwoniło. Wsiadła z auta, stanęła przed kamerą i wzięła się pod boki.

– Ej, panie Berman. Nie mogę się dostać do swojego laboratorium. To nie fair. Pomogłam wam ulepszyć te mikrobiowory. Nie zasługuję na takie traktowanie. Mamy niedokończone sprawy. Pan to wie i ja także.

Nagle poczuła się głupio, stojąc tak i drąc się do kamiennego słupka. Popatrzyła w obiektyw jeszcze raz, pokazała środkowy palec i wsiadła z powrotem do auta.



## Rozdział 39

Mieszkanie Paula Caldwell, Boulder, Kolorado

piątek, 19 lipca 2013, 21.52

Pia siedziała na sofie u Paula i piła trzeci już kieliszek wina tego wieczoru. Nic w jej relacji o problemach, jakie miała z dostaniem się do Nano, nie zmieniło się od środy, ale zdała ją mu ponownie przy kolacji i podejrzewał, że ma ochotę zrobić to jeszcze raz w tym momencie.

– Dobra, Pia, nie chcę być niegrzeczny, ale już wiem, co się wydarzyło. Firma cofnęła ci dostęp do laboratorium, dopóki nie przedstawiś zaświadczenia o stanie zdrowia, i jesteś wkurzona. Co łatwo zrozumieć. Kumam, wkładałaś serce w tę pracę i bardzo im pomogłaś, a oni okazali się niewdzięcznymi draniami. Ale moim zdaniem sama nic nie wskórasz. Powinnaś skontaktować się z jakimś prawnikiem, żeby załatwił ci to spotkanie w kadrach.

– Nie potrzebuję prawnika! – zachnęła się Pia po raz enty.

– Nie mówię o adwokacie, tylko o specjalście od prawa pracy. Firma cię nie zwolniła, dalej płaci ci pensję, ale uniemożliwia świadczenie obowiązku pracy. Śmieszne, wielu ludzi na twoim miejscu skakałoby z radości.

– Nie chodzi mi o pieniądze – poskarżyła się.

– Wiem. No już, uspokój się. Spec od prawa pracy to rozwiąże, a

jeśli Nano nadal nie będzie chciało cię w laboratorium, załatwi ci ugodę. Wtedy będziesz mogła zdecydować, co dalej. Nie możesz tak funkcjonować w nieskończoność.

– Niby jak?

– Właśnie tak, Pia, grzebiąc się ciągle w tym samym. Nie każdą tajemnicę da się rozwiązać. Idź do gazet ze swoimi podejrzeniami. Przekonaj się, co działają dziennikarze. A może ten chiński biegacz i jego rodak-kolarz pozostaną zagadką. Na razie zresztą tylko ty i ja doszukujemy się w tym jakiejś zagadki, a mnie, muszę przyznać, przestała już ona bawić.

– Nawet gdybym poszła do prasy i nawet gdyby ktoś tam się tym zainteresował, głowę daję, że Nano jest przygotowane na podobne sytuacje. To nic nie da, dopóki nie będę miała w ręku twardych dowodów.

– Tylko że masz związane ręce. Skoro nawet nie możesz się dostać na teren firmy, nie masz szans ustalić, co się tam dzieje. Proste. Zresztą, szczerze mówiąc, nie chce mi się już nawet o tym gadać.

– Czyli umywasz ręce. Mogę liczyć tylko na siebie. To chcesz powiedzieć?

– Oczywiście, że nie. Niczego podobnego nie powiedziałem. Pomogę ci znaleźć dobrego prawnika. Znam ich całą masę. O, choćby jednego z Boulder, straszna brzytwa i z tego, co wiem, zajmuje się też prawem pracy. Załatwi to w trymiga. Gdy tylko do nich zadzwoni, położą uszy po sobie i dadzą ci wszystko, czego zażadasz.

– Żądam tylko dostępu do swojego laboratorium.

– Bądź rozsądna. Żaden prawnik nie załatwi ci przywrócenia do pracy w laboratorium, jeśli kierownictwo cię tam nie chce.

– A zmusi je do wyjaśnienia, dlaczego próbowano nas zabić?

Paul głośno westchnął.

– Nie, Pia, doskonale wiesz, że nie. A my nie mamy pewności, że to ludzie z Nano maczali w tym palce. Ja tylko mgliście sobie przypominam, że widziałem jakiś pojazd za nami, zanim wylecieliśmy z drogi. Ale ręki sobie uciąć nie dam. Niczego nie osiągniesz,

rozgrzebując tę sprawę. Wypadki chodzą po ludziach.

– Nigdy nie przyjmę do wiadomości, że zjechałam z drogi. To jakiś absurd.

– Masz prawo do swojego zdania, ale ja ci mówię, że nie możesz tak obsesyjnie drażnić tej sprawy. To jakaś monomania. Jak w *Moby Dicku*.

– W czym?

– Nieważne. Nadal nie masz ochoty wybrać się ze mną do Denver? Rozerwiemy się, obojgu nam to dobrze zrobi. No, chodź, nie daj się prosić.

– Nie, dzięki – powiedziała Pia. – Nie jestem w nastroju.

– Na pewno?

Skinęła głową. W ogóle nie miała ochoty na towarzyskie spędy. I wypita dość jak na jeden wieczór.

– Aha, Paul – rzuciła z nagłym ożywieniem. – Nadal masz ten aparat, który pożyczyłeś od swojego kumpla? Ten, którym się wtedy bawiliśmy?

– Owszem, jest tutaj. Dlaczego pytasz?

– Mogłabym go pożyczyć?

Paul się zawahał. Próbował spojrzeć Pii w oczy, ale szybko odwróciła wzrok.

– Po co?

– Nie mam takiego normalnego aparatu, a chciałam jutro, gdy będziesz w szpitalu, powłóczyć się trochę po górach. Jestem pewna, że moje żebra to zniosą. Myślałam, żeby zrobić kilka fotek kwiatom, które kwitną na pogórze.

– Pia...?

– O, daj spokój, Paul, nie bądź taki podejrzliwy. Skorzystałabym z aparatu w telefonie, ale chcę zrobić potem duże powiększenia, żeby zasłonić te gołe ściany w moim mieszkaniu, na które tak sarkasz. Więc przyda się wysoka rozdzielczość.

– Przyznaj się, co knujesz. Hmm? Co ci chodzi po głowie?

– Nic – rzuciła lekko. – Słowo. Chcę tylko jakoś sensownie wykorzystać czas, skoro i tak nie mogę pracować. No to jak będzie?

Pożyczysz mi go, czy mam sobie kupić własny?

– Dobra, zaraz przyniosę – rzucił Paul. Pia potrafiła wiercić dziurę w brzuchu.

– I mogłabym pożyczyć także ten przewód, który łączy go z komputerem? – zawołała za nim Pia. – Jesteś aniołem.

– Wiem – powiedział Paul. – I pewnie idiotą – dodał pod nosem.

## Rozdział 40

Dom Zachary'ego Bermana, Boulder, Kolorado

niedziela, 21 lipca 2013, 21.15

Zachary Berman zamknął stronę internetową, którą śledził na komputerze. Tego dnia zakończył się Tour de France, zwycięzcą okazał się Hiszpan, który na czele peletonu kolarzy przejechał triumfalnie ostatni odcinek na Polach Elizejskich. Ale Liang Dalian też zajął miejsce na podium, w białej koszulce w czerwone grochy, tradycyjnej koszulce Króla Gór. Był oklaskiwany jako pierwszy Chińczyk, który wygrał etap w Tour, i pierwszy zwycięzca jednej z prestiżowych konkurencji pobocznych. Pojawił się na jakąś minutkę w relacji telewizyjnej z wyścigu („Chińska inwazja na świat sportu”), ale zdecydowanie głośniejsze o jego triumfie było w sieci.

Berman z zadowoleniem obejrzał jeden z wywiadów. Liang miał świetnie przećwiczone odpowiedzi. Nie posiadał się z zaskoczenia i zachwyty z powodu swego osiągnięcia. Skromnie podziękował kolegom z zespołu, sponsorom i trenerom. Wyjaśnił, że udział w Tour był dla niego i jego rodaka, Bo, wielkim przeżyciem, również dlatego, że żaden z nich wcześniej nie był za granicą. Na koniec wyraził nadzieję, że to dopiero pierwsze z wielu jeszcze zwycięstw jego rodaków, i powiedział, że może w następnym roku, kto wie, wygra cały wyścig.

Niestety, Berman wiedział, że nic takiego się nie stanie. Podejrzewał, że to jakiś nastolatek z odległej rolniczej prowincji dostąpi tego zaszczytu: chłopak wychowany w Chinach i tam trenowany, który zostanie zawodowcem i będzie gwiazdą w swojej ojczyźnie. Ryzyko dalszego wystawiania Lianga było zbyt duże: jego prawdziwy życiorys mógłby jeszcze wyjść na jaw i Berman nie miał złudzeń, że w ciągu kilku miesięcy kolarzowi przydarzy się coś, co zrujnuje jego marzenia.

Otworzył inną stronę. Za tydzień w Londynie miała się odbyć ceremonia otwarcia mistrzostw świata w lekkoatletyce i oczywiście się tam wybierał. Czekał na nie z dwa lub trzy razy większym napięciem niż na Tour. To miał być przełomowy moment. Cała jego przyszłość zależała od jednego biegu. Ale trenerzy powtarzali mu w kółko, że może być spokojny. Mówili to samo, co osobisty szkoleniowiec Lianga powiedział mu któregoś ranka we Francji w trakcie Tour: nie ma powodów do obaw, kolarz ma znakomite wyniki, mimo że wykorzystuje zaledwie osiemdziesiąt pięć procent swoich możliwości, mógłby wygrać cały wyścig, i to z łatwością. Mówili też, że problemem nie będzie zwycięstwo, tylko zbyt zdecydowana wygrana.

Te słowa podnosiły Bermana na duchu, ale mimo to nie był w stanie się zrelaksować. Po raz enty zatem odwiedził stronę chińskiej kadry lekkoatletycznej. Była to jedna z liczniejszych reprezentacji przyjeżdżających do Londynu i miała mnóstwo szans medalowych. Odszukał maratończyków i znalazł wśród nich znajomą twarz Yao Hong-Miau. Późno dobił do kadry, nie wziął udziału w marcowych zawodach kwalifikacyjnych, ale osiągnął znakomity czas w innym biegu w czerwcu. Wprawdzie trzeba było użyć wpływów i pociągnąć za odpowiednie sznurki, jednak koniec końców wszedł do reprezentacji i miał pobiec w Londynie.

Z zamyślenia wyrwał go dziwny odgłos: jakby odległy hałas, który z trudem się przedzierał przez grube ściany i potrójnie szklone okna. Odwrócił się od ekranu i nadstawił uszu. Dźwięk był ledwo słyszalny, ale był.

– To cholerny klakson – rzucił na głos Berman. – Skąd, u licha,

dochodzi? Ze Wschodniego Wybrzeża? – Odsunął krzesło. Wyszedł z pokoju telewizyjnego, minął hol i zajął do pomieszczenia monitoringu.

– Co my tu mamy? – System był tak zaprogramowany, by wychwytywać każdy większy ruch poza kołysaniem gałęzi drzew na wietrze. Jeden z monitorów ukazywał bramę wjazdową, gdzie widoczna jak na patelni Pia Grazdani patrzyła prosto w kamerę z uniesionymi wyczekująco brwiami. Siedziała na miejscu kierowcy w samochodzie z opuszczoną szybą i nie zdejmowała ręki z klaksonu. – Proszę, proszę, miód na moje serce.

Tętno mu się lekko podniosło i poczuł przyływ ekscytacji w gadzich obszarach mózgu. Pia nie mogła sobie wybrać lepszej pory na odwiedzin. Berman był w nastroju do świętowania i takiego towarzystwa właśnie potrzebował. Zamierzał wreszcie odbić sobie to żenujące urwanie filmu z poprzedniej wizyty.

Pia dalej wciskała klakson. Postanowiła, że będzie to robić przez pięć minut, i powoli ten czas dobiegał końca. Przyjazd tutaj był nagłą decyzją zrodzoną z desperacji i frustracji. Cztery dni wcześniej, po tym jak nie mogła się dostać do laboratorium, podjęła podobną próbę, nieudaną. Liczyła, że może tego wieczoru bardziej jej się poszczęści. Nie miała pojęcia, czy Berman jest w Boulder, bo, podobnie jak Mariel, nie odpowiadał na jej telefony, SMS-y ani e-maile. Paul jednak wspomniał, że wie od przyjaciela, który pracuje na lotnisku, że odrzutowiec Nano niedawno wylądował. Czy Berman był na pokładzie, pozostawało kwestią domysłów.

Kiedy podjechała pod bramę posiadłości, poczuła jednak przyływ nadziei na widok światła w domu, choć nie stanowiły żadnej gwarancji, że gospodarz jest w środku, a nawet jeśli, to że zechce się z nią zobaczyć. Mimo to postanowiła nie odpuszczać, Berman był jej ostatnią deską ratunku. Musiała ustalić, co się dzieje za kulisami głównej działalności firmy, i w miarę możliwości uzyskać dostęp do swojego

laboratorium. Rozumiała wprawdzie, że kontynuowanie jej zatrudnienia w Nano może się okazać niemożliwe, ale pragnienie poznania prawdy nadal było w niej bardzo silne.

Starannie wybrała strój na tę okazję. Czarna sukienka wydawała się nieodpowiednia jak na nieplanowaną wizytę, choć pewnie Berman byłby wniebowzięty. Uznała, że powinna być ubrana swobodnie, jakby przypadkiem do niego wpadła. W końcu zdecydowała się na obcisłe dżinsy i czarną przylegającą koszulę, która podkreślała jej szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Włosy ściągnęła w koński ogon, żeby zasłonić odrost na wygolonym czubku głowy. Bardziej kłopotliwe okazały się inne pozostałości wypadku: gips na lewym przedramieniu i temblak, ich nie mogła w żaden sposób ukryć.

Nagle masywna brama z kutego żelaza zadrżała, a potem z metalicznym zgrzytem zaczęła się otwierać. Pia z ulgą zdjęła dłoń z klaksonu, ale kiedy okolica zatoneła z powrotem w ciszy, zawahała się przez sekundę. Nie wróciła jeszcze do pełni sił po wypadku i wiedziała, że w razie ataku nie będzie mogła skutecznie się obronić. Koniec końców determinacja wzięła jednak górę nad obawami. Pia wrzuciła bieg, przejechała przez bramę i ruszyła długim, wijącym się podjazdem.

Tak jak przy poprzednich wizytach zaparkowała na brukowanym parkingu u stóp schodów. Wzięła aparat i zaczęła wspinać się po stopniach. Kiedy weszła na ostatni, drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Berman. Był ubrany zaskakująco podobnie do niej: w dżinsy i ciemną kowbojską koszulę na zatrzaski. Stopy miał gołe, a usta zaciśnięte w pełen samozadowolenia uśmiešek.

– Proszę, proszę, kopę lat.

– Cześć. – Pia się wzdrygnęła, ale pomachała mu nieśmiało zdrową ręką. Dopiero teraz dotarło do niej, jak jest zdenerwowana.

– Machasz, to ładnie. Trochę inny gest od tego, jakim poczęstowałeś mnie kilka dni temu.

– Co? – zdziwiła się Pia, zanim sobie przypomniała, że podczas ostatniej wizyty, kiedy pocałowała klamkę, pokazała środkowy palec. – A, tak. Przepraszam, byłam sfrustrowana. Gest był pod adresem świata



w ogóle, a nie konkretnie twoim.

– Byłaś sfrustrowana, bo mnie nie zastałaś?

– Cóż, tak – przyznała. Berman jak zwykle sprowadzał wszystko do siebie i Pia nie widziała powodu, by wyprowadzać go z błędu. – Chciałam porozmawiać z tobą o tylu sprawach, a nikt z Nano nie odpowiadał na moje telefony ani e-maile. Ty także.

– Whitney i Mariel uznały, że tak będzie lepiej. No, ale przyjechałaś i w końcu się widzimy. Chcesz wejść? Jak sama powiedziałaś, mamy jeszcze kilka spraw do dokończenia. – Roześmiał się i usunął się na bok, robiąc jej przejście. Kątem oka dostrzegła, że bezczelnie puścił do niej oko.

– Owszem, chętnie wstąpię – powiedziała. – Dziękuję. – Zignorowała mrugnięcie świadoma, że on całkowicie odmiennie od niej rozumie „sprawy do dokończenia”. Zachodziła jednak w głowę, czy naprawdę sobie wyobraża, że ten bajer działa na kobiety. – Wiem, że jest późno, ale robiłam zdjęcia kwiatów na pogórzcu. – Pokazała mu aparat i przeszła obok niego. – Przejeżdżałam tędy i pomyślałam, że sprawdzę, czy jesteś w domu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Chciałam spytać, dlaczego nie mogę się dostać do laboratorium.

– Przeciwno? Jestem zachwycony. – Zamknął drzwi za Pią i skierował się w głąb domu.

Ruszyła za nim do salonu. Zauważyła, że drzwi do pokoju telewizyjnego są zamknięte. Poza tym miejsce wyglądało dokładnie tak samo jak podczas jej ostatniej bytności. Pomimo imponującego wystroju miało, tak jak jej mieszkanie, zupełnie bezosobowy charakter.

– Pozwól, że najpierw zaproponuję ci coś do picia. – Berman się uśmiechnął. – Nie chciałbym wypaść z roli dobrego gospodarza.

– Może kieliszeczek wina, dziękuję. Wolałabym uniknąć powtórki tej niefortunnej sytuacji z zeszłego razu.

– Bardzo słusznie. Ale ja mimo to sobie zdrowo golnę. Mam co świętować, jednak, wierz mi, żadnej powtórki nie będzie.

– A co świętujesz? – spytała Pia, ale już zniknął w kuchni, żeby przygotować drinki.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Musiała zachować zimną krew. Wrócił ze szklaneczką szkockiej i kieliszkiem białego wina. Pod ramię wepchniętą miał butelkę owiniętą białą serwetką.

– Może być? To Pinot Grigio. Mnie smakuje, choć z wyjątkiem posiłków rzadko sięgam po wino. To jak?

Pia skinęła głową i wzięła kieliszek. I tak zamierzała głównie markować picie, więc nie miało znaczenia, co jest w kieliszku.

Berman zaprosił ją na jedną z ogromnych sof, sam zajął stojący w pobliżu fotel klubowy.

Pia przełożyła aparat, by był pod ręką. Zastanawiała się, jak zaaranżować sytuację, w której będzie mogła swobodnie cyknąć mu upragnione fotki.

– Czyli mówisz, że nie możesz się dostać do laboratorium. Z tego, co wiem, miałaś wrócić do pracy dopiero po badaniu lekarskim.

– Mariel zadzwoniła do mnie, gdy byłam jeszcze w szpitalu, i zapowiedziała, żebym nie pokazywała się w Nano, dopóki w pełni nie wydobrzeję. Doszłam już chyba do siebie, mimo że nadal mam rękę w gipsie. À propos, słyszałam, że odwiedziłeś mnie, gdy leżałam nieprzytomna, ponoć Jason Rodriguez też wpadł. Dziękuję. Ale żaden z was już potem się nie pokazał.

– Ostatnio bardzo dużo podróżuję w interesach. Finalizuję umowy dotyczące finansowania kluczowych projektów i częściej mnie nie ma, niż jestem na miejscu. Ale dowiadywałem się o twój stan. Gdyby pojawiły się jakieś powikłania, natychmiast bym przyjechał.

– Wszystkie koszty mojego leczenia zostały pokryte, mniemam, że przez firmę. W środę usiłowałam zajrzeć do laboratorium, żeby się zorientować w sytuacji, ale nie mogłam wejść. Ponoć zawieszono mi certyfikat dostępu, tak twierdzi ochrona. To po tym incydencie tu przyjechałam poprzednio. Byłam dobrym pracownikiem. Jestem nim nadal i uważam, że zasługuję na lepsze traktowanie.

– Nie wątpię – rzucił Berman niezobowiązująco.

– Nie wątpisz, że zasługuję na lepsze traktowanie czy że tak

uważam? Pytam, bo to duża różnica.

– Dobrze, Pia. Porozmawiamy otwarcie. – Berman nachylił się w jej kierunku. – Oczywiście, że zasługujesz na dobre traktowanie, ale Nano, jak wielokrotnie podkreślaliśmy, oczekuje od swoich pracowników pełnej lojalności i dyskrecji. Kwestie bezpieczeństwa są dla nas, jak dla każdej firmy nanotechnologicznej, absolutnie najważniejsze. Konkurencja nie śpi, sama wiesz, a gra idzie o miliardy dolarów. Nie życzymy sobie rozgłosu, zwłaszcza negatywnego rozgłosu.

– A kiedy to dopuściłam się niedyskrecji?

– Kiedy ruszyłaś z tym lekarzem z SOR-u w pościg za firmową furgonetkę, która wiozła naszego kolarza. Co was podkuśiło, nie mam pojęcia, ale jest oczywiste, że zamierzaliście ją zatrzymać.

– O, czyli jednak wiedzieliście, że za nią jedziemy. Śledziliście nas? – rzuciła Pia lekko podniesionym tonem. Wyglądało na to, że Berman przyznał się właśnie do czegoś ważnego.

– Nie powiedziałem, że wiedzieliśmy. I nikogo nie śledziliśmy. Ale ty się nie wypierasz, że ścigaliście pracowników firmy załatwiających firmową sprawę, która nie miała nic wspólnego ani z tobą, ani ze szpitalem Boulder Memorial. Już po wypadku poskładaliśmy sobie wszystko w całość. Te rozmowy przez radio z ratownikami z pogotowia, telefon do ciebie od doktora Caldwell...

– Skąd wiedzieliście, że próbowaliśmy zatrzymać furgonetkę z kolarzem?

– ...bajeczka o rzekomym udziale Nano w wypadku, którą razem z doktorkiem usiłujecie wciskać policji. Dobry Boże, kobieto!

Pia przestała przekrzykiwać Bermana.

– Trudno się w tym dopatrzeć lojalności i dyskrecji, prawda? – powiedział.

– Przyznajesz się tu do wielu rzeczy... – zauważyła Pia. Spodziewała się kłamstw i uników i nie bardzo wiedziała, jak zareagować na taką otwartość.

– Do niczego się nie przyznaję. Ktoś przypadkiem słyszał, jak Caldwell dzwoni po ciebie z oddziału. Zeznania, jakie złożyliście potem

na policji na temat wypadku, nie są objęte klauzulą tajności. Później na parkingu firmy nagabywałaś pracownika, którego ostrzegano, że ma z tobą nie rozmawiać.

– Zamieniłam tylko kilka słów z Jasonem Rodriguezem. Pracowaliśmy razem. I myślałam, że się też przyjaźnimy, ale najwyraźniej się myliłam.

– Pia, w tej chwili to ja jestem twoim najlepszym przyjacielem, wierz mi. Mariel chciała...

– Co chciała? – Pia wstała z sofy i zaczęła nerwowo przemierzać pokój. Wszystko w niej się gotowało. Nie mogła spokojnie słuchać jego zimnych i wyrachowanych oskarżeń.

– Pia, proszę, uspokój się. I usiądź. Spójrz na to z mojego punktu widzenia, z punktu widzenia Nano. Na całe swoje zachowanie, które zresztą trwa od momentu, gdy niefortunnie natknęłaś się na tamtego biegacza w stanie chwilowej zapaści.

– Chwilowej zapaści?! U tego człowieka doszło do zatrzymania krążenia.

– Niemożliwe. W tej chwili jest w pełni sił, o czym z radością cię informuję, i wrócił już do swoich obowiązków tu, w Nano. Mylnie oceniłaś jego stan, zapewniam. Nadto proszono cię wyraźnie, byś puściła cały ten incydent w niepamięć. Najwyraźniej jednak nie posłuchałaś tej rady. Przykro mi, Pia. Owszem, jesteś świetnym specjalistą i wniosłaś ogromny wkład w rozwój prac nad głównym projektem firmy, a także wiele innych, pobocznych badań. Jednak twoja lojalność pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza w świetle tych skandalicznych sugestii, że Nano miało coś wspólnego z twoim wypadkiem, do którego sama doprowadziłaś, pędząc jak szalona. A teraz, jakby tego było mało, mam nagranie z kamery monitoringu przed bramą, na którym wykonujesz wulgarne gesty pod moim adresem.

– Och, daj spokój. To był wyraz czystej frustracji. Może dziecinny, ale z pewnością usprawiedliwiony.

– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek uzna to zachowanie za usprawiedliwione. W moich uszach nie brzmi to na najlepszą obronę.

Pia usiadła przybita i zagryzła wargę. Co teraz?

– Czyli zabroniłeś swoim ludziom się ze mną kontaktować?

– Mariel nalegała, żebym cię zwolnił, choć tak naprawdę niewiele ma do powiedzenia. Ja wolałem zostawić sobie otwarte drzwi. Zamierzałem porozmawiać z tobą osobiście, gdy już uzyskasz to zaświadczenie lekarskie o zdolności do pracy. Ale mnie ubiegłaś.

– A o czym zamierzałeś ze mną porozmawiać?

– Myślałem, że pogawędzimy sobie jak dwoje dorosłych ludzi. Jak mężczyzna z kobietą. – Znowu puścił do niej oko i uśmiechnął się. Natychmiast przypomniała sobie, z jakim indywiduum ma do czynienia. Miała ochotę uciec, ale tylko zagryzła zęby i odwróciła wzrok.

– Liczyłem, że wyjaśnimy sobie to i owo – ciągnął Berman, pociągnąwszy łyceczka drinka. – Mam nadzieję, że uznasz za stosowne zmienić się z indywidualistki i niebezpiecznej mąciwody w gracza zespołowego. Bo osobiście bardzo chciałbym cię zatrzymać w firmie.

– Co się dzieje w Nano? – wyrwało się Pii. – Kim są ci biegacze i kolarze, którzy padają jak martwi na drodze? Czemu nie mogę przejść przez te podwójne drzwi na czwartym piętrze? To jest to i owo, które ja chciałbym wyjaśnić.

– Och, Pia. W Nano nie dzieje się nic, co nie miałyby miejsca w innych przodujących ośrodkach nanotechnologicznych na całym świecie. Byłoby naiwnością wyobrażać sobie, że jest inaczej. Wszyscy jesteśmy pionierami wytyczającymi nowe horyzonty, przekraczającymi granice. Z tą tylko różnicą, że Nano ma małą przewagę nad konkurencją z uwagi na nasze zaawansowanie w produkcji molekularnej. Udało nam się przejść z nanorobotami od teorii do praktyki. Ale musimy zachowywać dyskrecję, inaczej konkurencja w mgnieniu oka nas dogoni. Próbujemy opatentować nasze przełomowe rozwiązania z zakresu nanoprodukcji, jednak to dość trudny i długotrwały proces.

– Przykro mi, ale muszę wiedzieć więcej, mieć pewność, że nikomu nie dzieje się krzywda.

– Och, Pia! – powtórzył, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Zapewniam

cię, że nikogo nie krzywdzimy i nie wykorzystujemy. Zaufaj mi. Wszystko opiera się na zasadzie absolutnej dobrowolności. Zatrudniamy utalentowanych ludzi, którzy skupiają się na swojej działce i nie interesują się... innymi sprawami. Nazywamy to segmentacją. Tylko parę osób w Nano wie wszystko. Tak jak powiedziałem, chciałbym cię zatrzymać w zespole, ale jeśli uważasz, że musisz wiedzieć, co się dzieje za każdymi drzwiami w całej firmie, to chyba rzeczywiście będziemy musieli się rozstać. Wynegocjujemy warunki ugody z przyzwoitą odprawą, bardzo przyzwoitą nawet. Naturalnie nie unikniemy okresu karencji i przez pewien czas nie będziesz mogła pracować dla innej firmy nanotechnologicznej. Za dużo wiesz o naszych najważniejszych projektach. Odejście z Nano da ci jednak szansę na zrobienie rezydentury, zdobycie pełnych kwalifikacji medycznych.

Jednym łykiem osuszył szklaneczkę szkockiej. Była to jego pierwsza whisky tego dnia, więc się nie martwił. Swego czasu bardzo podobnie rozegrał taką sytuację z Whitney i wiedział, że teraz musi poczekać, żeby to, co powiedział, w pełni dotarło do rozmówczynie.

Wstał, poszedł do barku i wrócił zaraz ze świeżym drinkiem. Patrząc na Pię, gotował się w środku z pożądania. Wiedział, że nie powinien w ogóle z nią rozmawiać. Mariel miała rację: Pia była bardzo inteligentna, bardzo wścibska, bardzo uparta i niezwykle niebezpieczna. Nie mógł jej ufać, ale nie potrafił także pogodzić się z myślą, że miałby ją stracić. Chciał ją osiąść i cieszyć się nią, dopóki mu się nie znudzi. Był przyzwyczajony do odnoszenia sukcesów we wszystkich dziedzinach życia i dostatecznie próżny, by uważać, że może mieć wszystko, co mu się tylko zamarzy. A marzył właśnie o Pii całą swoją chorą duszą. Siedziała na jego sofie i wyglądała diabelnie seksownie, mimo temblaka. Chciał, żeby znowu dla niego zatańczyła, a potem chciał uprawiać z nią dziki seks. Oczyma wyobraźni już widział ją w swoich ramionach.

Pia tymczasem czytała w nim jak w otwartej księdze. Był bogaty, obyty w świecie i kontrolował dużą, świetnie prosperującą firmę, która

miała dziwne powiązania z Chińczykami, prawdopodobnie przekazując im za kapitał technologiczne know-how. Najwyraźniej uważał, że to czyni go kimś wyjątkowym i że może bawić się z nią w te gierki, które pewnie uskuteczniał wcześniej z wieloma innym kobietami. Na dobrą sprawę przyznał przed chwilą, że Nano zajmuje się czymś nielegalnym. Mimo to siedział rozwalony na fotelu z triumfalnym uśmiechem na ustach, jakby był panem świata. A za tą fasadą krył się po prostu jeszcze jeden napalony facet liczący, że mu się poszczęści.

W swoim stosunkowo krótkim życiu miała do czynienia z wieloma mężczyznami jego pokroju. Samcami alfa opętanymi poczuciem władzy, którzy chcieli ją osiąść, nawet jeśli wiedzieli, że nie powinni, bo są albo jej opiekunami, albo szefami, albo, w najgorszym wypadku, rodziną. W oczach Pii Berman był tylko kolejnym drapieżcą, gotowym nadużyć swojej władzy byleby postawić na swoim. Choć wiedziała, że gra w niebezpieczną grę, zamierzała odwrócić sytuację, tak by dostać to, czego chciała, ale mu nie ulec.

## Rozdział 41

Dom Zachary'ego Bermana, Boulder, Kolorado

niedziela, 21 lipca 2013, 22.22

– Może dolałbyś mi trochę tego Pinot Grigio? – poprosiła Pia, wyciągając pusty kieliszek w kierunku Bermana. Opróżniła go wcześniej, wylewając zawartość pod stół, kiedy gospodarz zniknął na chwilę w pokoju telewizyjnym. W jej głowie powoli dojrzywał plan działania. Przede wszystkim musiała go przekonać, że jest podchmielona.

– Ależ oczywiście – ucieszył się Berman.

Pomyślał, że może Pia wreszcie zaczyna się łamać. Wstał, napełnił jej kieliszek i uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem i udała, że bierze duży łyk wina. Potem sięgnęła po aparat i zdjęła osłonkę z obiektywu. Wstając, zachwiała się, jakby miała kłopot z utrzymaniem równowagi.

Obserwował jej poczynania z lekkim uśmiechem, ale ściągnął brwi, gdy uniosła aparat do oczu i skierowała obiektyw prosto na niego.

– Chwilka! – zaoponował. Wyciągnął rękę i zasłonił się dłonią. – Co ty wyprawiasz?

– Całe popołudnie robiłam zdjęcia – wyjaśniła Pia, chichocząc. – Chcę zrobić jeszcze kilka. Tobie.

– Po co? – Przez nadgorliwych paparazzi miał awersję do zdjęć i



aparatów fotograficznych. Budziły jego nieufność.

– Przystojniak z ciebie – powiedziała Pia.

– Nie lubię aparatów.

– O, daj spokój. Wyluzuj! – Podniosła aparat, by popatrzeć na wyświetlacz, ale dłoń Bermiana nadal znajdowała się w centrum kadru.

– Ej, to cyfrówka. Jeśli ci się nie spodobają, można skasować.

– Może później pocykamy sobie nawzajem kilka fotek – powiedział.

– Najpierw pomówmy o twojej umowie. Usiądź.

Pia opadła z powrotem na sofę i położyła aparat obok siebie. Wyglądało na to, że będzie musiała się bardziej wysilić, żeby podejść Bermiana. On natomiast wyraźnie się odprężył.

– Dobrze. – Potarł dłonie. – Oto co proponuję. – Zaczął przedstawiać szczegóły porozumienia i zaoferował jej naprawdę hojną odprawę. W miarę jednak jak mówił, konsternacja Pii rosła.

– Chwileczkę, chcesz mnie zatrudnić?

– Tak, na kontrakcie osobistym. Pracowałabyś bezpośrednio dla mnie, nie dla Nano. Podobną umowę podpisała swego czasu panna Jones. A jest, jak wiesz, bardzo cenioną i sownie wynagradzaną pracownicą.

– Wspomniałeś, zdaje się, coś o lojalce, umowach poufności.

– Tak, oczywiście. To integralny element negocjacji. Musisz podpisać zobowiązanie do zachowania tej rozmowy w tajemnicy.

– To znaczy, niby omówimy zakres obowiązków?

– Tak, to standardowa procedura w przypadku pracowników najwyższego szczebla, którzy podlegają bezpośrednio mnie. A samo zobowiązanie jest nienaruszalne. Mam tu stosowny dokument, który możesz podpisać razem z kontraktem.

– Przygotowane z myślą o mnie? – Wcześniej, gdy wyłonił się z pokoju telewizyjnego ze świeżym drinkiem, Pia zauważyła, że miał w ręku jakieś papiery.

– Niezupełnie. Jak wspomniałem, to standardowa procedura. A te dokumenty zostały opracowane swego czasu dla Whitney.

– Poczekaj, nie tak szybko. Co niby miałabym dla ciebie zrobić?

– Cóż, to jeszcze uzgodnimy. Niektórych pracowników wolę najpierw zakontraktować, a dopiero potem się zastanawiać, gdzie sprawdzą się najlepiej. Wiem, że będziesz cennym nabytkiem z uwagi na twoje doświadczenie badawcze, wiedzę naukową i inne... talenty.

– Niby jakie konkretnie?

– Powiedziałem już, że może laboratorium to nie jest najlepsze miejsce dla ciebie, ale myślę, że na innych odcinkach też możesz się przydać firmie. I mnie osobiście w trakcie niektórych wyjazdów. Jesteś bardzo inteligentna, spostrzegawcza, przekonująca i, mówiąc szczerze, zdecydowanie wolę, żebyś pracowała dla mnie niż przeciwko mnie. Nano tylko na tym zyska. Poza tym zależy mi na tobie, Pia. Podobasz mi się. To chyba oczywiste zwłaszcza w świetle tego pożałowania godnego incydentu na progu twojego mieszkania.

– Czyli chcesz mnie zakontraktować? Jak romantycznie.

– Daj spokój, Pia, zjawiałaś się tu z własnej woli i inicjatywy po dziewiątej wieczorem. Jak sobie wyobrażałaś ten wieczór? Myślałaś, że o czym będziemy rozmawiać? Albo co robić? Oboje jesteśmy dorośli.

Nachylił się w jej kierunku, tak że dzieliła ich bardzo mała odległość.

Raz kozie śmierć, pomyślała Pia. Wstała, usiadła na poręczu fotela Bermiana i położyła mu rękę na ramieniu. Przysunęła usta do jego ucha i wyszeptała:

– Tylko najpierw powiedz mi, że nie miałeś nic wspólnego z moim wypadkiem.

Odchylił głowę do tyłu i powiedział cicho:

– Przysięgam.

– Kłamiesz – rzuciła nagle i mocno dźgnęła go łokciem w bok. Potem zerwała się i zaczęła uciekać. Berman rzucił się w pogon.

– Chodź tutaj, mała diablico! – wrzasnął. Śmiał się szeroko. Najwyraźniej ta zabawa bardzo mu się podobała.

– Bo co? Spuścisz mi łomot?

– Ty pierwsza mnie uderzyłaś...

– Dałam ci tylko lekkiego kuksańca. A spójrz na mnie. Ręka złamana w dwóch miejscach, pęknięte zębra, uraz głowy. No i straciłam

śledziona.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – zachnął się z udawanym oburzeniem, ale uśmiech nie schodził z jego ust.

Pia wiedziała, że oceniła go właściwie: tchórz, który prawdopodobnie uwielbia zadawać innym ból. Przypominał jej znieawidzonego wujka.

– Lubisz patrzeć, jak kobieta cierpi?

– Nie, Pia, wierz mi. Lubię różne zabawy, ale zawsze za obopólną zgodą i ku obopólnej przyjemności. No chodź, torturujesz mnie.

– Wiem.

– Chodzi o pieniądze? Mogę ci zaproponować więcej.

– To proponuj.

– Podwajam stawkę.

– Zapisz to.

Berman rzucił się w kierunku biurka i nabazgrał coś piórem na umowie. W oczach Pii był słaby, zdesperowany i żalony. Jeśli nie mógł czegoś uzyskać prośbą lub groźbą, był gotów zapłacić. Poczuli się pewniej, gdy dotarło do niej, że to ona teraz kontroluje sytuację.

– Pokaż.

Berman podał jej dokument.

– No, to już ma jakieś ręce i nogi. Zbliź się.

Kiedy stanął tuż przed nią, pchnęła go z powrotem na fotel.

– Gdzie trzymasz swoje zabawki?

– Jakie zabawki?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Taki mężczyzna jak ty w takim dużym domu. Na pewno masz ich całą masę.

– W sypialni. W szafce przy łóżku z prawej strony.

– Nie ruszaj się.

Zgasiła światła w salonie i weszła na górę do sypialni Bermana. Znalazła szafkę i rzeczywiście, tak jak podejrzewała, w środku była piękna kolekcja seksgadżetów: maski, obroże, wibratory, pejcze, zwój nylonowego sznurka i mnóstwo innych rzeczy, których nie rozpoznała. Działała szybko, żeby odwaga nie zdążyła jej opuścić. Znalazła

przepaskę na oczy, kajdanki i wzięła sznur, nie całkiem wiedząc, co zamierza zrobić. Potem ściągnęła dżinsy i koszulę, zebrała je razem z wybranymi zabawkami i wróciła na dół w samym staniku i majtkach.

Berman otworzył szeroko oczy, widząc ją prawie nagą z erotycznymi gadżetami w ręku.

– Ani się rusz! – rozkazała i rzuciła swoje łupy na kanapę.

– Nie ruszam się! Co ze mną zrobisz? – Wczuł się w rolę i porażony widokiem jej ciała, bacznie ją obserwował.

– Zobaczysz. – Stała za nim, kazała mu się pochylić i założyć ręce na plecy. Posłuchał, usiłując dojrzeć coś przez ramię. Mimo gipsu krępującego jej ruchy udało jej się jakoś związać mu ręce, ale nie za mocno. Chciała, by zdołał się sam uwolnić, jednak z pewnym wysiłkiem i po jakimś czasie. Potem stanęła znowu naprzeciwko niego i pchnęła go głębiej na fotel. – Powiedziałam, że zobaczysz, ale kłamałam. – Wsunęła mu przepaskę na oczy, a następnie odpięła wszystkie zatrzaski na jego koszuli, odsłaniając pierś i imponująco płaski brzuch. – Podoba ci się? – Przebiegła dłonią po klatce piersiowej w dół i pociągnęła za pasek u spodni.

Berman jęknął i poruszył się na fotelu.

– To tylko przedsmak tego, co się wydarzy, gdy w pełni wydobreję – wyjaśniła. – Wiesz, że moje kości jeszcze się dobrze nie zrosły, więc niestety na meritum będziemy musieli jeszcze chwilę poczekać.

– O czym ty mówisz? Nie chcę czekać!

Wzięła aparat, stanęła dokładnie na wprost Bermana i upewniła się, że ostrość jest ustawiona. Potem ściągnęła mu przepaskę z oczu i wykonała serię szybkich zdjęć jego twarzy.

– Co, do cholery! – krzyknął.

– Świetnie – ucieszyła się. – Będą idealnie pasować do moich kwiatów.

– Mówiłem ci, że nie cierpię, jak mi się robi zdjęcia.

– Mówiłeś, że nie cierpisz aparatów – poprawiła go. Zanim się zorientował, co zamierza, szybko nałożyła mu opaskę z powrotem na oczy. Potrząsnął gwałtownie głową, żeby się jej pozbyć.

– Ej. Zdejmij to!

– Ee-ee, nic z tego. – Pstryknęła mu jeszcze jedną fotkę, tym razem z zasłoniętymi oczyma, po czym szybko zebrała swoje ubrania i nałożyła osłonkę na obiektyw.

– Co robisz? – dopytywał się Berman, usiłując jednocześnie oswobodzić rękę.

– Ciąg dalszy nastąpi, gdy będę zdrowa. A tak dla twojej informacji: te fotki zrobiłam po to, żeby nie wszystkie atuty były w twoim ręku. Zapewniam, że są tylko do mojego użytku.

Berman z trudem się podniósł i wcisnął głowę w oparcie fotela, próbując zsunąć opaskę.

Pia nie czekała, aż on się uwolni. Chwyciła umowę ze stołu i pobiegła do frontowych drzwi, ściskając ubranie w ręku. Nie zawracała sobie głowy wkładaniem go, nawet gdy już dobiegła do samochodu. Woląca nie marnować czasu. Nie wiedziała, czy Berman może na odległość zamknąć główną bramę, ale podejrzewała, że tak, a ostatnie, czego chciała, to zostać uwięziona na terenie jego posesji. Kiedy wrota się otworzyły, poczuła, że kamień spadł jej z serca. W drodze do domu przeszło jej przez głowę, że prędzej czy później cały ten incydent odbije jej się czkawką, ale przynajmniej miała zdjęcia.

## Rozdział 42

Mieszkanie Pii, Boulder, Kolorado  
poniedziałek, 22 lipca 2013, 1.04

Zaraz po powrocie do mieszkania Pia wzięła szybki prysznic, żeby pozbyć się zapachu Bermana. Potem przegrała wybrane zdjęcie z aparatu do komputera: było rewelacyjne. Zaskoczony gwałtownym zerwaniem opaski Berman otworzył szeroko oczy i obiektu uchwycił całą twardówkę. Ostrość była tak duża, że obraz wyglądał na niemal trójwymiarowy i był znacznie wyraźniejszy niż fotki jej oczu, które przecież doskonale się sprawdziły.

Pia powiększyła oczy z fotografii do naturalnej wielkości i skopiowała obraz na swojego iPhone'a. Pracowała szybko, w gorączkowym rytmie, w jaki wpadła po opuszczeniu domu Bermana. Nie ubrała się, nawet kiedy podjechała już na parking przed blokiem. Dochodziła północ, dokoła i tak nie było żywej duszy, więc po prostu pobiegła do mieszkania.

Od tego czasu nie pozwoliła sobie nawet na chwilę odpoczynku. Teraz zaczęła się przygotowywać do wyjścia do Nano. Znalazła kitel laboratoryjny wiszący w szafie odłogiem od ponad sześciu tygodni oraz swoją legitymację i poszła do auta. W drodze powtarzała sobie w głowie plan działania. Wiedziała, że będzie potrzebowała sporo szczęścia, żeby

wszystko gładko poszło, i im bardziej zbliżała się do firmy, tym większy niepokój ją ogarniał. Pewność siebie, jaką czuła jeszcze w mieszkaniu, zniknęła bez śladu. Miała wprawdzie nadzieję, że pomoże jej znajomość pracowników ochrony z nocnej zmiany: zdarzało się, że przychodziła po godzinach do laboratorium, o najróżniejszych porach, i przy takiej okazji często z nimi gawędziła. Ponieważ nie działo się to regularnie, fakt, iż nie widzieli jej od ponad miesiąca, nie powinien wzbudzić ich podejrzeń. Mimo to z każdym kilometrem robiła się coraz bardziej zdenerwowana. Jej plan mógł nie wypalić z tysiąca innych powodów.

Kiedy w końcu podjechała pod bramę wjazdową, drżącą ręką podała strażnikowi legitymację i obserwowała go z zagryzioną wargą: ku jej radości, ledwo rzucił okiem na dokument. Dotknął daszka czapki, jakby salutując, rzucił: „Dobry wieczór” i podniósł szlaban.

Bezproblemowy wjazd do firmy natchnął ją optymizmem, choć najtrudniejsze było jeszcze przed nią.

Zaparkowała przed budynkiem i ruszyła do wejścia najpewniejszym krokiem, na jaki mogła się zdobyć. Służbę wewnątrz pełniło dwóch ochroniarzy. Jednego, Russa, poznała natychmiast, drugiego, znacznie młodszego, nie kojarzyła. Domyśliła się, że jest nowy.

– Witam, doktor Grazdani, dawno się pani nie pokazywała – powiedział Russ. – Przykro mi z powodu pani wypadku.

– Dobry wieczór, Russ, już wydobrzałam.

Na szczęście żaden z mężczyzn nie siedział przy komputerze. Inaczej mogliby się zorientować, że system wpuszcza do środka dyrektora naczelnego, a nie pracownicę, której nie było w firmie od miesiąca. Przywitawszy się z nią, Russ wrócił do rozmowy z młodszym kolegą i nie zwracał już na nią uwagi. Wzięła głęboki oddech i nie oglądając się już za siebie, przystawiła telefon z ustawionym zdjęciem oczu Bermiana do czytnika. Rozległ się sygnał dostępu i zapaliło się zielone światelko. Udało się. Otworzyła szklane drzwi i miała właśnie przez nie przejść.

– Doktor Grazdani.

Zamarła. Poznała głos Russa.

– Tak? – rzuciła z ciężkim sercem, świadoma, że nie ma dokąd uciec.

– Jeszcze raz witamy z powrotem.

– Dziękuję, Russ – odpowiedziała. – Miło jest wrócić na stare śmieci.

Ruszyła szybko przed siebie, wcisnęła guzik windy i weszła do środka, gdy tylko drzwi się rozsunęły. Przez cały czas umierała ze strachu, że ponownie usłyszy swoje nazwisko. Odetchnęła z ulgą, gdy dźwig ruszył do góry. Wsiadła na czwartym piętrze i popędziła do laboratorium. Ponownie przystawiła do czytnika przed wejściem zdjęcie oczu Bermana i ponownie sztuczka zadziałała. Chwilę później była już w środku.

Kusiło ją, by rzucić okiem na eksperymenty w toku i zorientować się, jak idą doświadczenia na ssakach, ale czas ją gonił. Berman pewnie gotował się z wściekłości, podwójnie zły, bo seks przeszedł mu koło nosa, i mógł w ramach odwetu kategorycznie zakazać wpuszczania jej nawet na parking.

Ponieważ w budynku na każdym kroku znajdowały się kamery monitoringu, wiedziała, że będzie się rzucać w oczy, włącząc się po korytarzach w dzinsach i fartuchu laboratoryjnym, i bała się, że ktoś z ochrony podniesie alarm. Wielu pracowników chodziło w kompletach lekarskich, niczym w klinice, i chciała zapewnić sobie przynajmniej takie minimum anonimowości. W gabinecie Mariel znalazła spodnie i bluzę, wprowadziła trochę za duże, ale i tak je włożyła, dorzucając jeszcze maskę chirurgiczną i czepek.

Kilka kilometrów dalej na stoliku nocnym w luksusowym apartamencie zadzwieczał telefon komórkowy, sygnalizując nadejście wiadomości tekstowej. Po paru minutach odezwał się znowu i tym razem z pościeli wyłoniła się ręka i go chwyciła. Whitney Jones poczuła przyływ irytacji, że nie wyciszyła aparatu, kładąc się spać. W tym, że dzwonił, nie było niczego nadzwyczajnego. Jej numer telefonu był połączony z najróżniejszymi systemami w całej firmie i informował ją o poczynaniach określonych osób. Jedyłą z nich, która naprawdę się



liczyła, był jednak Berman, a gdyby on chciał się z nią skontaktować, mógł zadzwonić na telefon stacjonarny, co zresztą regularnie czynił. Czasami nawet z najbardziej trywialnych powodów, włączając w to chwilowe trudności ze snem.

Popatrzyła na wyświetlacz. Otrzymała dwie wiadomości: pierwsza zawierała informację, że Zachary Berman wszedł do Nano o godzinie 2.05, druga, że cztery minuty później udał się do jednego z laboratoriów na czwartym piętrze. Whitney ziewnęła. W samym fakcie pojawienia się Bermana w pracy w godzinach nocnych nie było niczego niezwykłego, zastanawiała się jednak sennie, po co zagląda akurat do tego pomieszczenia. Wzruszyła ramionami i odłożyła aparat na stolik. Zasnęła, zanim odpowiedź przyszła jej do głowy.

Ubrana w pełen strój lekarski Pia skierowała się do drzwi. W samym laboratorium niewiele się zmieniło podczas jej nieobecności: mijała rzędy dobrze jej znanej aparatury, przy której spędziła tyle miesięcy, jedyną nowością były klatki z myszami. Przez chwilę się zastanawiała, kto tu teraz pracuje, ale szybko przegnała to pytanie. Nie miała czasu na spekulacje.

Opuściwszy bezpieczne schronienie laboratorium, wyszła na korytarz i ruszyła w kierunku drzwi prowadzących do łącznika z drugim budynkiem. Po drodze zastanawiała się, co za nimi znajdzie. Budynek, do którego dostępu broniły, stał w sąsiedztwie gmachu, w którym mieściła się większość biolaboratoriów, i był z nim bezpośrednio połączony. Jeśli rzeczywiście w Nano funkcjonował jakiś szpital lub ośrodek medyczny, najprawdopodobniej właśnie tam był ulokowany.

Starła się iść normalnym krokiem. Nie chciała, żeby wyglądało na to, że się spieszy albo nie wie, dokąd podąża. Upewniła się, że zdjęcie oczu Bermana jest na ekranie iPhone'a. Na lewo na suficie znajdował się mały krążek z ciemnobrazowego plastiku, który wyglądał jej na kamerę monitoringu. Przyłożyła telefon do głowy z prawej strony, a kiedy znalazła się bezpośrednio przed czytnikiem, przesunęła aparat na

wysokość swoich oczu. Gdy tylko usłyszała charakterystyczne bipnięcie, szybko wsunęła iPhone'a do kieszeni spodni. Zapaliło się zielone światelko, drzwi szczęknęły. Przeszła.

Serce znowu waliło jej jak szalone, teraz nie tylko ze strachu, ale i z podniecenia, jednak korytarz po drugiej stronie wyglądał dokładnie tak samo jak ten, z którego weszła: jaskrawo oświetlony, miał białe ściany i podłogę z białego kompozytu. Nie miała nawet wrażenia, że jest w łączniku między dwoma budynkami, jednak po przejściu jakichś piętnastu metrów domyśliła się, że weszła do drugiego gmachu i ta świadomość przydała sterylnej holowi złowieszczości. Po jego obu stronach znajdowało się kilka par drzwi pozbawionych numerów i tabliczek, na suficie rozmieszczone były w pewnych odstępach plastikowe półkule, prawdopodobnie kamery. Minęła rząd wind po lewej.

Nagle zobaczyła naprzeciwko zmierzającego w jej kierunku mężczyznę. Twarz, tak jak ona, miał zakrytą maską chirurgiczną, a w ręku trzymał nowoczesną białą walizeczkę. Serce niemal stanęło jej w piersi, gdy popatrzył w jej stronę, i instynktownie wstrzymała oddech, ale kiedy dzieliły ich już jakieś trzy metry, skinął jej tylko lekko głową i przeniósł wzrok przed siebie. Pia odpowiedziała skinieniem i szła dalej.

Odetchnęła. Oczywiście, że w budynku muszą być jacyś ludzie, tłumaczyła sobie. Mogła się tego spodziewać. Musiała zachować spokój i iść dalej. Ale dokąd? Minęła kilka par drzwi zabezpieczonych czytnikami tęczówki. W które powinna wejść? W teorii pomysł zbadania gmachu wydawał się zupełnie prosty, wyobrażała sobie wcześniej, że wszystko pójdzie jak po sznurku. Rzeczywistość weryfikowała teraz te pochopne sądy.

Korytarz zakręcił w lewo, a zaraz potem się rozwidłał. Wymalowane na podłodze linie rozchodziły się w przeciwnych kierunkach: zielona na lewo, czerwona na prawo. Którą wybrać? Zieloną jak zielone światło, uznała po chwili namysłu Pia, ale zaraz się rozmyśliła i skrzyła w prawo. Po mniej więcej trzydziestu metrach korytarz skręcał w lewo, a tam, za pustym stanowiskiem ochrony,

znajdowały się ciężkie i wielkie, podwójne drzwi z czytnikiem tęczówki. Cokolwiek przez nie przechodziło, skonstatowała w myślach, musiało być duże.

Nadal nie wiedziała, czego szuka, jednak intuicja jej mówiła, że zwęszyła dobry trop. Po raz czwarty tej nocy przystawiła iPhone'a do czytnika i poczekała na zielone światelko. Kiedy się pojawiło, otworzyła drzwi i weszła do środka. Kiedy zobaczyła, co znajduje się w pomieszczeniu, oczy wyszły jej z orbit i przełknęła głośno.

– O mój Boże – wyszeptała bezgłośnie.

Telefon Whitney Jones obudził ją po raz drugi kolejną informacją o poczynaniach Bermiana. Dobry Boże! Tym razem wszedł do głównej sali tajnego eksperymentatorium, skąd jedynie urządzenia podłączone do systemu centralnego, jak czytniki tęczówki, mogły się komunikować ze światem zewnętrznym. Gdyby nie to, zadzwoniłaby do niego, żeby się zapytać, czy wszystko gra i czemu na Boga tłucze się po firmie jak marek po piekle. Postanowiła wysłać mu SMS-a, który będzie na niego czekał, gdy opuści już teren ograniczonego dostępu.

„Co się dzieje? – wystukała. – Wszystko w porządku? Nie zapomnij, że Londyn dzwoni dziś o ósmej rano naszego czasu”.

Odłożyła aparat i zakłęła pod nosem, zanim przewróciła się na drugi bok. Bała się, że teraz już nie zaśnie.

## Rozdział 43

Nano Sp. z o.o., Boulder, Kolorado  
poniedziałek, 22 lipca 2013, 2.48

Pia stała przed ogromnym, wysokim prawie na trzy metry szklanym zbiornikiem wypełnionym płynem, w którym unosiło się ciało mężczyzny, czy raczej dwie trzecie ciała. Wyglądał na Azjatę, może Chińczyka. Miał obnażony mózg, a na ustach ściśle przylegającą maskę, jakby akwalung. Otwarte oczy patrzyły pusto na wprost. Klatka piersiowa także była otwarta, część ściany usunięto, odsłaniając poruszające się w rytm oddechu płuco. Jedną nogę i ramię mężczyzny amputowano, a kikuty szczelnie oklejono białym materiałem. Na dwóch pozostałych kończynach odsłonięto różne partie mięśni, a w poszczególnych pęczkach umieszczono elektrody.

Mężczyzna był unieruchomiony i Pia ze zgrozą zobaczyła, co trzyma go w miejscu: pionowy pal przechodzący przez cały zbiornik oraz liczne rurki, które wychodziły z ciała i znikwały w kilku zamkniętych pudełkach na podłodze. Inne przewody biegnęły od pudełek do ściany pojemnika, gdzie znajdował się rząd światełek sygnalizacyjnych z zaworami odcinającymi. Pia przyjrzała się lepiej rurkom i zobaczyła, że jedną z nich płynie jaskrawoczerwona, utlenowana krew.

Ten półczłowiek żył zatem, na ile było to możliwe w tych warunkach. I tkwił tam przyszpilony do pojemnika niczym okaz motyla.

Zatoczyła się do tyłu i oparła o ścianę. Rozejrzała się po ciepłym, wilgotnym pomieszczeniu i zobaczyła, że jest ogromne, z wysokim, czarnym sufitem, na którym biegly nieosłonięte rury i przewody. Przyćmione niebieskie światło dochodzące z góry wyglądało na ultrafiolet. Głównym jego źródłem był pojemnik, jaskrawo podświetlony od góry niczym wielkie akwarium. Pia zauważyła, że w pomieszczeniu znajduje się więcej podobnych, może nawet z dziesięć, ale z miejsca, w którym stała, nie widziała, czy wszystkie są zajęte. Większość była.

Dostrzegła też grupkę ludzi, prawdopodobnie laborantów albo strażników z maskami chirurgicznymi na twarzach. Stali pogrążeni w dyskusji jakieś dwanaście metrów od niej przy jednym z akwariopodobnych zbiorników. Nie słyszała, o czym rozmawiają, ich głosy zagłuszał wszechobecny szum i bulgotanie potężnych pomp. Nagle jeden z nich podniósł głowę i ją zauważył. Ruszyła do najbliższej szafki, na której leżała podkładka z dokumentami. Wzięła ją do ręki i udawała, że czyta.

– O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże... – mówiła do siebie pod nosem. Co się, u diabła, tu dzieje? W głowie dzwięczała jej uwaga Bermiana sprzed zaledwie kilku godzin: „Nikogo nie krzywdzimy ani nie wykorzystujemy. Wszystko odbywa się całkowicie dobrowolnie”. Taaa, jasne, pomyślała. Ci na wpół zsekcjonowani ludzie zgłosili się na ochotnika na ludzkie świnki doświadczalne. Przypomniała sobie biedne psy z laboratorium na studiach. Na samo ich wspomnienie robiło jej się niedobrze, ale ludzie? Eksperymentować na ludziach?

– Ochotnicy! – wyszeptała. – Akurat!

Naprzeciwko pierwszego zbiornika ustawiono drugi. Pii przeszła przez głowę makabryczna myśl, że po to, by obie zanurzone w płynie ofiary mogły na siebie patrzeć. Drugą okazała się kobieta, także częściowo wypreparowana – podobnie jak u mężczyzny Pia widziała

spora część jej płuc rozszerzającą się przy oddechu. Wzdrygnęła się. W najgorszym koszmarze nie mogłaby sobie czegoś podobnego wyobrazić. Tych ludzi potwornie okaleczono i utrzymywano przy życiu, sztucznie podtrzymując krążenie i oddech, ale po co?

Krew.

Popatrzyła na rurki biegnące w obu zbiornikach i zobaczyła krew wypływającą z obu ciał i z powrotem do nich wprowadzaną: przetwarzano ją i analizowano. Przyjrzała się dokładniej kobiecie i na jej przedramieniu dostrzegła wytatuowane numery, podobne do tych, które miał chiński biegacz. Żałowała teraz, że w odpowiednim czasie nie zbadała tego tropu. Przez chwilę usiłowała zgadywać, co mogą oznaczać, jednak jej myśli i tak co rusz wracały do krwi. Uznała, że skoro poświęca się jej tu taką uwagę, rozsądnie będzie ją zbadać. W jej głowie już kiełkowało podejrzenie, co się za tą całą makabrą tak naprawdę kryje, ale potrzebowała jeszcze dowodu.

Dalej udając, że przegląda dokumenty, rozglądała się po pomieszczeniu i obserwowała pracowników. Zauważyła, że są ubrani w kompletne stroje ochronne: kitle, buty, czapki i maski. Wsunęła się za jeden ze zbiorników, by jej sportowe obuwie i brak kitla nie zwróciły ich uwagi. Przewody, którymi płynęła krew, przechodziły przez ścianki pojemników do zewnętrznych portów, wiedziała zatem, że jeśli tylko znajdzie jakąś strzykawkę, będzie mogła pobrać próbkę.

Mniej więcej w połowie pomieszczenia znajdowała się szafka ze sprzętem medycznym: widziała zlewki, inne szkło laboratoryjne i rurki, miała nadzieję, że są tam także strzykawki. Jednak tam znalazłaby się na widoku, pracownicy z miejsca by zauważyli, że jest nieodpowiednio ubrana, i odkryli w niej intruza.

Od wyjścia Pii Zachary Berman niemal się nie ruszył. Nawet nie rozwiązał rąk. Był wściekły, poniżony, podniecony, wytrącony z równowagi, ale nade wszystko sfrustrowany. Jego gniew brał się głównie z tego, że Pia wyszła, a wcześniej jeszcze bezczelnie zrobiła mu

zdjęcia, mimo że wyraźnie powiedział, że sobie tego nie życzy. Jednak sam fakt, że je wykonała, specjalnie go nie martwił. Najwyraźniej wydawało jej się, że dzięki nim będzie miała na niego haka. Tylko niby co mogłaby z nimi zrobić? Umieścić je na jakimś serwisie społecznościowym? Był na nich tylko bez koszuli i w opasce na oczach. Wielkie rzeczy! Być może sytuacja byłaby trochę kłopotliwa, ale w żaden sposób nie zaszkodziłaby jego stosunkom z chińskimi dygnitarzami. Oni wszyscy mieli kochanki i używali sobie na boku. Pod tym względem bardziej przypominali Francuzów.

Przede wszystkim nie mógł się jednak otrząsnąć z wrażenia. Co za kobieta, powtarzał sobie raz po raz w duchu, kręcąc głową. Co za temperamencik! Doprowadziła go niemal do szaleństwa i chciał znowu znaleźć się przy niej, chciał zwariować do końca. Nagle odezwał się jego telefon, sygnalizując nadejście wiadomości i pomyślał, że może Pia zdobyła jakoś numer jego komórki i pisze do niego w ramach kontynuacji wieczornych igraszek.

Szybko wyswobodził ręce z więzów i wydobyl z kieszeni aparat. Cholera, to tylko Whitney z przypomnieniem o czekających go rano telefonach. Zastanawiał się, skąd wie, że jeszcze się nie położył. Ta kobieta powinna trochę wyluzować, na miłość boską. Rzucił aparat na sofę, gdzie jeszcze niedawno spoczywało ponętne ciało Pii. Wyobraził sobie, że dziewczyna wraca i rozparty na fotelu marzył o tym, co z nią wtedy zrobi. Wymknęła mu się już dwukrotnie, ale to się nie zdarzy po raz trzeci. Takie przekomarzanki były fajne, ale do czasu.

Dwóch laborantów opuściło nagle pomieszczenie przez drugie wejście z boku, którego Pia wcześniej nie zauważyła. Dwaj pozostali stali z boku jednego ze zbiorników pochłonięci jakimś problemem. Postanowiła wykorzystać okazję i szybko podeszła do szafki ze sprzętem. Znajdowały się tam najróżniejsze medyczne i laboratoryjne akcesoria, ale gdzie są strzykawki? Otworzyła kilka szuflad i je znalazła.

Wzięła trzy i wróciła do pierwszego zbiornika, który znajdował się najbliżej podwójnych drzwi, przez które weszła.

Po krótkich oględzinach portu szybko ustaliła, gdzie powinna podłączyć strzykawkę, zamocowała pierwszą, odkręciła zawór i szybko napełniła ją krwią, zamknęła i pospiesznie pobrała jeszcze dwie. Zaryzykowała szybki rzut oka w głąb pomieszczenia i zobaczyła, że trzeci z pracowników też się oddalił. Czwarty nadal był pochłonięty pracą, więc Pia wyciągnęła z kieszeni iPhone'a, uruchomiła aplikację aparatu, wyłączyła lampę błyskową i trzymając telefon na wysokości biodra szybko zrobiła zdjęcie.

Potem wyszła, nie oglądając się za siebie. Zastanawiała się, czy ją widziano. Pomieszczenie na pewno było objęte monitoringiem, ale liczyła, że nie rzuciła się w oczy specjalnie i nie wzbudziła niczyich podejrzeń. Jednak gdyby ktoś porównał dane z systemu logującego z zapisem z kamer, leżała jak długa: ochrona od razu by się zorientowała, że to nie Zachary Berman. Obawiała się, że nie ma wiele czasu. Szła szybko, usiłując przetrwać to, co przed chwilą widziała. W Nano przeprowadzano eksperymenty na ludziach utrzymywanych sztucznie przy życiu. Przystanęła na chwilę, bo bała się, że zwymiotuje. To nie było już tylko skandaliczne pogwałcenie etyki badań, to była zbrodnia. Wiedziała jednak, że to nie czas ani miejsce, by dać się ponieść emocjom. Wzięła się szybko w karby. Miała tu jeszcze coś do zrobienia.

Wracając do swojego laboratorium, nie mogła przestać myśleć o chińskim biegaczu, którego pomogła zabrać do szpitala. Czy to jego trzymano w tym potwornym akwarium w celach doświadczalnych? Berman powiedział, że w Nano nie dzieje się nic, co nie miałyby miejsca w podobnych firmach na całym świecie. Mówił o tego typu eksperymentach? Znowu miała ochotę pojechać do Rygi.

Kiedy dotarła do laboratorium, w pierwszym odruchu chciała natychmiast zadzwonić na policję, ale górę wziął głęboko zakorzeniony brak zaufania do władzy. Wtargnęła na teren prywatny bez zezwolenia, ochrona bez trudu mogła udowodnić, że dopuściła się włamania, podszywając się pod inną osobę. Zresztą policja i tak by nie weszła do



firmy w nocy, a władze Nano pewnie miały opracowany plan działań na wypadek tego typu sytuacji kryzysowych: likwidacja całego eksperymentatorium albo zastąpienie ludzi zwierzętami. Uznała, że im więcej zgromadzi informacji, tym lepiej.

Musiała zbadać krew. Sama zajmowała się mikrobiworami, ale wiedziała, że przy swoim zaawansowaniu technologicznym firma z łatwością może wytwarzać również inne nanoroboty. Podejrzała, że w celu wyprzedzenia konkurencji i jak najszybszego opanowania rynku, postanowiono darować sobie doświadczenia ze zwierzętami i przejść od razu do badań na ludziach.

Odwirowała delikatnie małą próbkę pobranej krwi, wykorzystując specjalny rodzaj aferezy, żeby oddzielić najpierw składniki komórkowe od osocza, a potem poszczególne elementy morfotyczne. Wiedziała, że nanoroboty można wprowadzić w stan pływalności zerowej za pomocą fal ultradźwiękowych, których działaniu poddała próbkę przed umieszczeniem jej w wirówce.

Czekając, aż krew zostanie odwirowana, uruchomiła skaningowy mikroskop elektronowy i schowała resztę krwi do jednej z wielu laboratoryjnych lodówek. Następnie zdjęła strój lekarski. Wtedy przyszła jej do głowy nowa myśl. Powinna zbadać krew chińskiego biegacza, którą Paul miał na przechowaniu. Wiązało się to wprawdzie z dodatkowym ryzykiem: musiałaby wyjść z firmy, a potem do niej wrócić, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Chciała wiedzieć, czy we krwi sportowca znajdzie to samo, co ujawni badanie próbki pobranej od osoby ze zbiornika.

Zostawiła zapalone światła w laboratorium, wsiadła do windy i zjechała na parter. Przeszła spokojnie przez szklane przepierzenie i ruszyła do głównego wyjścia. Russ nadal był na posterunku: czytał gazetę przy pustym biurku recepcyjnym.

– Skończyła pani na dzisiaj?

– Nie, Russ, zaraz wracam.

## Rozdział 44

Mieszkanie Paula Caldwell, Boulder, Kolorado  
poniedziałek, 22 lipca 2013, 3.25

Jak miliony Amerykanów Paul Caldwell nie miał w domu telefonu stacjonarnego, polegając wyłącznie na swojej komórce. Tę zaś wyłączał zawsze, gdy kładł się spać.

Pia wiedziała, że jeśli zszedł z dyżuru i nie odbiera telefonu, jedynym sposobem na skontaktowanie się z nim, jest udanie się do jego mieszkania. Jeśli pora była późna, oznaczało to wyciągnięcie go z łóżka.

Jak dotąd nie zdarzyło jej się korzystać z tej wiedzy. Po wyjściu z Nano nie marnowała jednak czasu na próby dodzwonienia się do przyjaciela, tylko pojechała prosto do jego domu. Wyskoczyła z auta, pobiegła do drzwi i wcisnęła przycisk domofonu. Minęła dobra minuta, zanim usłyszała głos w głośniku.

- Kto tam? – spytał Paul zaspanym głosem.
- To ja, Pia. Muszę z tobą porozmawiać.
- Jest wpół do czwartej nad ranem. To nie może poczekać?
- Nie. Inaczej by mnie tu nie było.
- Co się dzieje? Wszystko w porządku?
- Paul, wpuśćcie mnie, na Boga!

Zwolnił blokadę drzwi wejściowych i biegiem pokonała trzy piętra.

– Masz towarzystwo? – zapytała natychmiast, gdy jej otworzył.

– Nie. Jestem sam. – Stał w samych bokserkach, z na wpół przymkniętymi oczyma i zmierzwionymi włosami. – Co takiego nagłego się urodziło?

– Gdzie masz tę próbkę krwi? Tę od chińskiego biegacza?

– Co? Po co ci ona teraz?

– Po coś. Gdzie ją masz, Paul? Spiesz mi się.

– To widzę. Krew jest w lodówce w pokoju lekarskim. Przynajmniej tam ją umieściłem. Nie możesz usiąść i powiedzieć spokojnie, co się dzieje?

– Nie, naprawdę nie mogę. Nie mam czasu. Muszę zbadać tę krew. Natychmiast. Zaufaj mi, Paul. Wiem, co robię. Ubierz się i wskakuj do auta. Pojedziemy do szpitala, weźmiesz tę próbkę i dasz mi ją. Potem wrócisz sobie do domu. Będziesz z powrotem w łóżku za pół godziny. To nie może czekać do rana, bo wtedy mogę już się nie dostać do swojego laboratorium.

– Wydawało mi się, że w ogóle nie masz tam wstępu. Coś się zmieniło?

– Za dużo by wyjaśniać. Muszę tam zaraz wracać. Spaliłam kilka mostów, może nawet wszystkie, ale wiem już mniej więcej, co się dzieje w Nano, co przede mną ukrywali. Powiem ci tyle: wygląda to gorzej, niż podejrzewałam. No chodź, Paul. Za kilka godzin wrócę tu i wszystko ci wyjaśnię.

Paul zaczął protestować, ale Pia już wyszła, zostawiwszy lekko uchylone drzwi. Niby mógł wrócić do łóżka, jednak wiedział, że dziewczyna zaraz wparuje z powrotem i go z niego zwlecze choćby za uszy. Zrezygnowany wciągnął dzinsy i koszulkę, wsunął stopy w mokasyny i wyszedł na zewnątrz. Pia siedziała z niecierpliwą miną w aucie z włączonym silnikiem. Gdy podszedł, opuściła szybę.

– Naprawdę nie ma teraz czasu na gadanie, Paul. Jeśli dasz mi tę krew, może uwinę się w godzinę i będziemy mieli wtedy wszystko, czego potrzebujemy.

– Do czego?

Podniosła szybę i Paul nie miał wyjścia. Chcąc nie chcąc, wsiadł do samochodu i ruszył za nią do Boulder Memorial. Podjechali na parking i poprowadził ich przez pogrążony w ciszy oddział. Po raz pierwszy widziała SOR bez żadnych oczekujących pacjentów.

Weszli do pokoju lekarskiego, gdzie spał jeden z rezydentów. Paul, starając się zachowywać cicho, otworzył lodówkę, w której personel przechowywał jedzenie, i sięgnął do zamrażarki po torebkę z brązowego papieru.

– Trzymałeś ją w zamrażarce? – szepnęła Pia.

Wzruszył ramionami.

– Nikt tam nie sprząta. Po zaginięciu tej pierwszej próbki zaraziłaś mnie swoją paranoją i uznałem, że to będzie najlepsza kryjówka. No wiesz, jakby pod latarnią.

– Ale krew jest zamrożona. Muszę obejrzeć ją pod mikroskopem.

– Tak, jest zamrożona. Nie wiedziałem, jak długo przyjdzie mi ją trzymać. I nie przyszło mi do głowy, że zjawisz się po nią bez ostrzeżenia w środku nocy.

– Dobrze, już dobrze. Jedź do domu, przyjadę tam najszybciej, jak będę mogła.

Wyszli na zewnątrz. Pia wsiadła do swojego auta i chciała zamknąć drzwi, ale Paul je przytrzymał.

– Mam się o ciebie martwić? Dokąd teraz jedziesz?

– Nie, nie musisz się martwić. Bardzo chciałabym ci wszystko wyjaśnić, ale za długo by to trwało. Jak tylko będę mogła, przyjadę do ciebie i wtedy ci powiem, co i jak. Jeśli chcesz, żebym wcześniej zadzwoniła, to włącz telefon. A teraz puść już te cholerne drzwi.

Zatrzasnęła je, cofnęła auto i ruszyła szybko w kierunku bramy. Paul patrzył, jak odjeżdża. Był z niej lepszy numer, to pewne. Ośli upór i rogata dusza, pomyślał. Potrafiło to być trochę irytujące, ale stanowiło też część jej uroku. Mimo jej zapewnień, że nie ma powodów do obaw, martwił się o nią. Wiedział, że nie zmruży oka, dopóki nie zobaczy jej całej i zdrowej.

Whitney Jones często miewała problemy z ponownym zaśnięciem, gdy coś przerwało jej sen. Mimo to kiedy komórka przestała ją wreszcie informować o ruchach Bermiana, zapadła w głęboką drzemkę.

Niedługo jednak się nią cieszyła.

Gdy kolejny SMS ją obudził, zirytowała się nie na żarty. Włączyła lampkę, żeby sprawdzić, o co chodzi tym razem. Najchętniej po prostu wyłączyłaby ten cholerny telefon, ale bycie na bieżąco z poczynaniami szefa należało do jej obowiązków. Nalała sobie szklankę wody z kranu w kuchni i usiadła przy stole. Przeczytała informację, że Zachary Berman wrócił do firmy tuż po czwartej nad ranem. Wiedziała jednak, że dopiero co ją opuścił – gdzie w takim razie był w międzyczasie? Co, u diabła, wyprawiał?

Zabębniła palcami o blat. Berman nie odpowiedział na jej SMS-a. Zdarzało się to już kilka razy wcześniej, było jednak zastanawiające w świetle jego nocnej aktywności. Doszła do wniosku, że go przeczytał, tylko postanowił zignorować. Mogła odebrać to jako afront, ale lata pracy u jego boku nauczyły ją bardziej filozoficznego podejścia.

Telefon odezwał się ponownie, gdy trzymała go w dłoni. Tym razem system komunikował jej, że Berman po raz trzeci wszedł do tego samego laboratorium w strefie ogólnego dostępu. Po co się kręcił akurat po tej pracowni? Jaki mógł mieć tam interes? Wtedy przypomniała sobie, kto tam wcześniej pracował. Przez głowę przeleciało jej tysiące myśli i możliwości.

– Cholera – zaklęła cicho i wreszcie zadzwoniła do Bermiana na telefon domowy.

Pia popatrzyła przez okular mikroskopu optycznego na preparat odwirowanej krwi człowieka ze zbiornika. Tak jak się spodziewała, zobaczyła mnóstwo nanostruktur, które wyglądały jak mikrobiowory. Podejrzewała jednak, że są to jakieś inne nanoroboty, bo miały kobaltowoniebieskie zabarwienie, a mikrobiowory były czarne. Jak na

razie badanie wydawało się potwierdzać jej domysły. Krew człowieka z eksperymentatorium zawierała miliardy jakichś nanomaszyn.

Przeszła następnie do konsoli skaningowego mikroskopu elektronowego. Wcześniej przygotowała preparat z tej samej krwi, umieściła go w komorze roboczej i uruchomiła pompy próżniowe. Gdy wskaźnik próżni pokazał odpowiednią wartość, włączyła działo elektronowe. Po jakimś czasie na monitorze komputera pojawił się obraz. Natychmiast się zorientowała, że patrzy na jakieś nanoroboty o kulistym kształcie, ale nie na mikrobiowory, bo te były sferoidalne. Żeby lepiej im się przyjrzeć, zwiększyła powiększenie do 300 000 i czekała, aż wiązka elektronów zeskanuje powierzchnię próbki. Kiedy się to dokonało, ustawiła ostrość.

Teraz widziała urządzenia znacznie wyraźniej. Obraz z SEM był czarno-biały, więc nie mogła podziwiać niebieskiej barwy, widziała natomiast, że powierzchnia płaszcza nanorobotów na mniej więcej dwóch trzecich powierzchni pokryta jest czymś, co przypomina nanoroboty. Czemu miało to służyć, nie miała pojęcia.

Takim samym oględzinom poddała rozmrożoną próbkę krwi biegacza. Początkowo pod mikroskopem optycznym widziała tylko prawidłowe elementy morfotyczne, głównie erytrocyty, ale także trochę leukocytów. Po ponaddziesięciminutowych poszukiwaniach nie znalazła ani jednego nanorobota i już chciała się poddać. Wtedy nagle zauważyła jedną niebieskawą strukturę kulistą. Biegacz także miał nanoroboty we krwi, tylko w mniejszym stężeniu, a jej zaczynało już świtać, jaka może być ich funkcja.

Kiedy zaczynała pracę w Nano i czytała wszystko, co jej wpadło w ręce na temat nanomaszyn, dowiedziała się, że Robert Freitas, człowiek, który jako pierwszy przedstawił teoretyczny projekt mikrobioworów, wymyślił także respirocycy – nanoroboty zdolne transportować tlen i dwutlenek węgla z tysiąc razy większą wydajnością niż czerwone krwinki. Pia dałaby sobie głowę uciąć, że patrzy właśnie na jeden z nich. Wniosek nasuwał się sam: Nano testowało syntetyczne nanoerytrocyty na ludziach, z katastrofalnym skutkiem. Po co – nie starała się nawet

zgadywać.

Świadoma, że więcej już nic tu nie działa, zebrała preparaty i niewykorzystane próbki i zapakowała je do brązowej torebki. Wyłączyła sprzęt i zerknęła na zegarek. Dochodziła piąta rano.

Padała z nóg, ale była zadowolona, jeśli można było mówić o zadowoleniu w takiej sytuacji. Miała wreszcie w ręku niezbite dowody na zbrodnicze eksperymenty prowadzone w firmie: próbki krwi obu badanych plus, jak liczyła, jedno zdjęcie.

Bardzo ważny był też udział Paula. Wiedziała, że policja może zbagatelizować jej oskarżenia jako desperacką próbę odwetu niezadowolonej pracownicy, którą właśnie zwolniono z firmy, albo nawet podłe insynuacje porzuconej kochanki szefa. O ile jednak jej twierdzenia łatwo było zdyskredytować, o tyle zeznania Paula Caldwellella już nie. Wprawdzie on nie widział ciał w pojemnikach, ale uczestniczył w pobieraniu pierwszej próbki krwi, był lekarzem, cenionym specjalistą o nieposzlakowanej opinii i mógł zaświadczyć, że materiał istotnie pochodzi od chińskiego biegacza.

Wysłała Paulowi SMS-a z informacją, że jest już w drodze, ale nie spodziewała się odpowiedzi, zakładając, że prawdopodobnie poszedł z powrotem spać. Zamierzała pojechać do jego mieszkania i obudzić go, tak jak zrobiła to już wcześniej. Wyszła pospiesznie z laboratorium, zjechała windą do holu recepcyjnego i tam zmusiła się, by iść normalnym krokiem. Była to najspokojniejsza pora nocnej zmiany i Russ musiał zrobić sobie przerwę, bo na posterunku był tylko młodszy, nieznany jej ochroniarz. Ledwo skinął jej głową, gdy wychodziła z budynku. Musiała jeszcze tylko wyjechać z parkingu i będzie bezpieczna.

Stara toyota zapaliła bez problemu i równie bezproblemowo Pia przejechała przez bramę firmy. Wprawdzie tam serce na chwilę podeszło jej do gardła, bo strażnik zwlekał z podniesieniem szlabanu, jednak w końcu go podniósł i wyjechała na pustą drogę. Wiedziała, że jest rozgorączkowana, a w takim stanie łatwo o błąd czy nieszczęście, więc upewniła się, że pasy ma zapięte, i obiecała sobie jechać wolno i

ostrożnie.

Jednak wtedy właśnie zobaczyła we wstecznym lusterku policyjny radiowóz. Zbliżył się i ku jej zgrozie usiadł jej na ogonie. Chwilę później zapalił się kogut i rozległ krótki dźwięk syreny.

– Proszę się zatrzymać! – dobiegł ją z głośników metaliczny głos.

Posłuchała niechętnie, zastanawiając się jednocześnie, co, u licha, takiego przekrobała. Zatrzymała samochód i czekała z włączonym silnikiem.

Ki diabeł, zachodziła w głowę. Może zepsuło się tylne światło, ale raczej w to wątpiła. Nikt nie wysiadł z radiowozu. Przeszło jej przez głowę, czyby nie zadzwonić pod 911, ale tego nie zrobiła. Potem za radiowozem zatrzymały się dwa SUV-y. Przestraszona już nie na żarty, zdjęła stopę z hamulca, ale zanim zdążyła ruszyć, kolejna terenówka nadjechała z ogromną prędkością z naprzeciwka, zatrzymała się tuż przed jej autem i zablokowała jej drogę, świecąc reflektorami prosto w twarz. Wysiadło z niej dwóch mężczyzn i stanęło po obu stronach jej samochodu. Trzeci nadszedł od tyłu, zastukał w jej okno i otworzył drzwi. Pochylił się i zajrzał do środka.

– Witaj, Pia – powiedział Zachary Berman. – Miło cię znowu widzieć. Musimy porozmawiać.

Otworzył szerzej drzwi, żeby mogła wysiąść, i chcąc nie chcąc, posłuchała.

– Zadzwoniłam już na policję – rzuciła w desperackiej próbie obrony. – Tylko pogarszacie swoją sytuację.

– Jak widzisz, Pia, policjanci już są na miejscu. I jakoś nie wygląda na to, by spieszyli ci na pomoc. O, przyjechała panna Jones.

Chwilę później zbliżyła się do nich asystentka Bermana i Pia z ulgą powitała pojawienie się drugiej kobiety. Czuła, że w obecności Whitney nie zdarzy się nic brutalnego.

– Przykro mi, Pia, naprawdę – powiedziała Jones i zanim Pia zdążyła zareagować, wbiła jej przez rękaw koszuli igłę w ramię i nacisnęła tłok strzykawki.

Jeden z ochroniarzy złapał Pię, zanim upadła nieprzytomna na



ziemię.

## Rozdział 45

Mieszkanie Paula Caldwell, Boulder, Kolorado

poniedziałek, 22 lipca 2013, 9.55

Analizując w myślach przebieg ich trzymiesięcznej przyjaźni, Paul się zastanawiał, ile razy Pia rzuciła tekst w rodzaju „za chwilę wracam”, a potem nie dotrzymała słowa. Wiedział, że nie zawsze można na niej polegać. Zdarzało się często, że kończąc rozmowę telefoniczną, obiecywała, że za chwilę oddzwoni, i w połowie przypadków tego nie robiła. Kilkakrotnie, gdy zapraszał ją na spotkania ze swoimi przyjaciółmi, twierdziła, że zaraz będzie, a potem się rozmyślała. Nie było to coś, co go w niej szczególnie drażniło, ot, po prostu mniej przyjemny aspekt jej czarującej poza tym osobowości, który nauczył się akceptować.

Rozumiał także, że nie może oczekiwać po niej takiej wrażliwości na uczucia innych, jakiej człowiek zwykle spodziewa się po przyjacielu. Wynikało to z zespołu zaburzenia więzi, jaki u niej zdiagnozowano. Gdy mu o nim opowiedziała na wczesnym etapie ich znajomości, zadał sobie trud zaznajomienia się ze szczegółami tej przypadłości i ta wiedza pomagała mu tolerować jej dziwactwa, takie jak impulsywność, pozorny brak empatii oraz nieufność. Ale gdy kilka godzin wcześniej wypadła ze szpitala, obiecując, że lada chwila wróci do jego mieszkania,

była wyjątkowo stanowcza. Wysłała mu nawet SMS-a z informacją, że już jedzie. I dlatego właśnie, gdy się nie zjawiała, zaczął się denerwować nie na żarty.

Nie próbował jej zatrzymać, gdy wypadła z SOR-u, jakby się paliło, i teraz pluł sobie z tego powodu w brodę. Szedł o zakład, że postanowiła włamać się do Nano. Była jednak dorosła i szanował jej prawo do podejmowania własnych decyzji, nawet niebezpiecznych. Zresztą wiedział, że i tak postawi na swoim, niezależnie od jego protestów. Mimo to dręczyła go obawa, że wpakowała się w jakieś tarapaty, i czuł się winny, że nie zrobił nic, by ją powstrzymać ani temu zapobiec.

No i pozostawało najważniejsze pytanie: co się z nią dzieje? Nie odbierała, gdy dzwonił na komórkę.

Coraz bardziej się bał, że naprawdę stało jej się coś złego. Uznał, że w grę mogą wchodzić trzy możliwości. Pierwsza, że może Pia nie poszła jednak do Nano, tylko postanowiła zbadać próbkę gdzieś indziej. Problem polegał jednak na tym, że w okolicy nie było wiele miejsc, gdzie można było skorzystać z mikroskopu, tym bardziej w nocy. Druga możliwość była taka, że bez przeszkód załatwiła wszystko w Nano i postanowiła nie wracać do jego mieszkania, żeby nie budzić go po raz drugi, tylko pojechała do siebie i wyłączyła telefon. Wreszcie pozostawała trzecia, najmniej prawdopodobna ewentualność, że Pia nadal jest w Nano. Postanowił zweryfikować tę z nich, która była najłatwiejsza do sprawdzenia. Ponieważ w szpitalu musiał być dopiero późnym rankiem, wsiadł do auta i pojechał do jej mieszkania.

Kiedy dotarł na miejsce, nie zauważył na parkingu corolli swoich rodziców. Wprawdzie nie dowodziło to jeszcze, że dziewczyny nie ma w domu, ale nasuwało takie podejrzenie. Niezrażony, zaczął się dobijać do drzwi, a potem sięgnął po zapasowy klucz ukryty na górze futryny. Pamiętał, że śmiał się z Pii, że wybrała sobie takie oczywiste miejsce na kryjówkę, ale twierdziła, że i tak nie posiada niczego wartościowego, a lepszego schowka w pobliżu nie ma. Poza tym powiedziała mu, że zawsze zabiera klucz do środka, gdy jest w domu.

– Pia! Jesteś?! – zawołał, oczekując podświadomie, że zaraz spadnie

na niego grad wyzwisk, złorzeczeń i pytań co, u diaska, tu wyprawia, ale odpowiedziała mu cisza. Nie znalazł jej w łóżku, które wyglądało, jakby nikt w nim nie spał, choć w przypadku Pii to jeszcze o niczym nie świadczyło. Wiedział, że czasami, gdy wracała z pracy nad ranem, nie zawracała sobie głowy ściąganiem ubrań czy słaniem łóżka i po prostu kładła się na pościeli albo sofie.

Miała niewiele rzeczy osobistych i rzadko kupowała jedzenie, co dodatkowo utrudniało ustalenie, czy zaglądała do mieszkania niedawno. W zlewie nigdy nie walały się brudne naczynia, na stoliku nocnym nigdy nie leżała otwarta książka, bo prawie nigdy nie jadła w domu, nie miała nocnego stolika, a książek tylko kilka. Krótki przegląd garderoby też niewiele wniósł: oczywiście w szafie wisiały stroje, które rozpoznał, jednak nie potrafił orzec, czy któregoś brakuje. Usiadł na poręczy sofy i sprawdził telefon w nadziei, że może przegapił jakąś wiadomość. Niestety, tylko się łudził.

Zastanawiał się, co jeszcze może zrobić. Wyobrazził sobie, jak wyglądałaby jego rozmowa z policją, gdyby postanowił ją zawiadomić. Tak, widziałem ją może jakieś sześć godzin temu. Nie, w zasadzie nie zaginęła. Dlaczego się denerwuję? Bo myślę, że mogła zostać zatrzymana w swoim miejscu zatrudnienia, gdzie obecnie nie jest mile widziana. W rzeczywistości chyba podjęła próbę wtargnięcia tam bez zezwolenia, więc może ochrona firmy sama zawiadomiła policję. A jeśli tak, to czy mają może w areszcie jakąś Pię Grazdani?

Nie wiązał wielkich nadziei z podobną rozmową. Gdyby Pię rzeczywiście aresztowano i pozwolono wykonać osławiony jeden telefon, zadzwoniłaby do niego. O ile wiedział, nie miała rodziny, a George siedział setki kilometrów stąd, w Kalifornii. Gdyby zatem coś się stało, rozumował, to właśnie on, Paul, jako jedyna bliska jej osoba w Boulder zostałby poinformowany w pierwszej kolejności. Jednak póki co nie otrzymał wieści ani od Pii, ani od nikogo innego.

Mógł tylko pójść do domu i czekać.

## Rozdział 46

Pokład odrzutowca Gulfstream G550, lot do Mediolanu  
poniedziałek, 22 lipca 2013, 12.00

Obecność Whitney Jones nie poprawiała Bermanowi humoru. Słuchając stłumionego pomruku silników, analizował wydarzenia ostatnich piętnastu godzin, a ona siedziała na miejscu naprzeciwko i raz po raz otwarcie piorunowała go wzrokiem. Czuł się ośmieszony i wystrychnięty na dudka przez Pię i był wystarczająco wściekły z tego powodu, a tu jeszcze wyraz twarzy podwładnej stale przypominał mu o tym, że jego szczeniackie zadurzenie wystawiło na szwank dobro całej firmy. „Ty idioto”, mówiła mina Whitney.

Ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej się upewniał, że jego starannie opracowane plany i kilkuletnia, okupiona wielkim poświęceniem praca zostały zagrożone, ale nie przekreślone. Studiował w głowie każdy szczegół, szukając czegoś, co przeoczyli, a co mogłoby wszystko zniszczyć. Niczego takiego jednak nie znajdował.

Wtargnięcie Pii do tajnego eksperymentarium pociągnęło za sobą pospieszną, ale staranną operację pozbycia się z Nano poddanych wiwisekcji ciał ludzkich i zastąpienie ich psami. Był to ruch, który i tak planowano wykonać w najbliższej przyszłości, bo doświadczenia fizjologiczne, które prowadzono na ludziach, zostały pomyślnie

zakończone. Na ich korzyść działał także fakt, że Pia była samotnym wilkiem, niezwykle skrytą i zamkniętą w sobie osobą. Miała niewielu przyjaciół oprócz George'a Wilsona, który mieszkał tysiące mil dalej w Los Angeles i również był, jak ustaliła Whitney, trzymany przez Pię na dystans.

Wiele informacji na temat dziewczyny Berman zdobył od prywatnego detektywa, któremu wcześniej kilkakrotnie zlecał jej śledzenie. Z jego raportów wiedział zatem, że jedynym prawdziwym problemem może się okazać lekarz z SOR-u, Paul Caldwell. Szef ochrony Nano się z tym zgadzał, jednak zakładał, że Pia nie zdażyła mu przekazać żadnych istotnych informacji, a w tej sytuacji Caldwell był mniejszym zagrożeniem żywy niż martwy. O ile bowiem zniknięcie Pii dałoby się stosunkowo łatwo wytłumaczyć w świetle jej osobowości, o tyle zapadnięcie się pod ziemię drugiej, związanej z nią osoby mogłoby już wzbudzić poważne podejrzenia.

Na szczęście mieli pewność, że Pia nie przekazała nikomu wyników badania próbek krwi: na komputerze znaleźli kilka mikrofotografii z SEM, ale żadnego dowodu, że zostały zapisane, wysłane lub skopiowane. W iPhone odkryli tylko jedno pośpiesznie wykonane zdjęcie jednego ze zbiorników, na którym jednak nie było dokładnie widać zawartości. Nie mogłoby im zaszkodzić, nawet gdyby je komuś przesłała. Analiza jej sprzętu pokazała jednak, że tego nie uczyniła. Wysłała tylko jednego SMS-a do Caldwell'a z informacją, że zaraz u niego będzie. Fakt, że się nie pojawiła, mógł się okazać trochę kłopotliwy, ale wierzyli, że wybrną z tego bez szwanku.

Jeśli idzie o najbardziej obciążające dowody, ludzie z ochrony zabrali Pii krew chińskiego biegacza i tę, którą pobrała od badanego z eksperymentatorium, a dyskretne przeszukanie Boulder Memorial nie ujawniło więcej fiolek nigdzie na terenie oddziału ratunkowego.

Oczywiście Berman był wściekły z powodu luk w systemie zabezpieczeń, które umożliwiły Pii dostęp do Nano i pozałowania godnej, żenującej roli, jaką sam w tym odegrał. Komunikaty z systemu bezpieczeństwa, który zarejestrował obecność szefa zamiast Pii,

pomogły ustalić, w jaki sposób dziewczyna zdołała obejść czytniki tęczówki. Na potwierdzenie swoich domysłów Whitney Jones znalazła w iPhone dziewczyny zdjęcia oczu Bermana, dodała dwa do dwóch i wszystko było jasne. Pokazała potem szefowi ochrony fotki oczu i zleciła opracowanie skanerów, które nie będą reagowały na dwuwymiarowy obraz.

Wydała także instrukcje, by jeden z ochroniarzy co najmniej godzinę po odlocie gulfstreama jeszcze dwukrotnie skorzystał z aparatu dziewczyny na wejściu i wyjściu z firmy. Skoro Pia pokazała im, jak można oszukać system, dlaczego nie mieli teraz wykorzystać tego na swoją korzyść? Ten sam ochroniarz miał następnie udać się do jej mieszkania, zostawić tam kilka rzeczy, zabrać parę ubrań i zniszczyć je w Nano. Jedna z pracownic jechała teraz samochodem Pii na wschód i miała go porzucić gdzieś na pustkowiu z telefonem dziewczyny w środku. Te wszystkie działania powinny zapewnić Whitney i Bermanowi alibi, a policję przekonać, że Pia wróciła do mieszkania po wizycie w Nano, a potem wyjechała gdzieś autem, kierując się na wschód.

Oprócz tych kwestii myśli Bermana w czasie kilkogodzinnego lotu do Europy zaprzątał głównie on sam i jego uczucia. Ta kobieta go oszukała i sprawiła, że wyszedł na śmiechu wartego żółtodzioba, mimo to kiedy leżała nieprzytomna na tyle terenówki w drodze na lotnisko, zamiast wściekłości czuł pożądanie. Pragnął jej chyba jeszcze bardziej niż wcześniej. I zdecydował szybko, że nie zostawi jej w rękach szefa ochrony ani Whitney. Kontrolował sytuację i nie skończył jeszcze z Pią Grazdani. Tuż przed jej zatrzymaniem zadzwonił do swojego chińskiego przyjaciela.

Jego spokój znów dodał Bermanowi otuchy. Jimmy zapewnił, że korzysta z bezpiecznego telefonu i mogą mówić otwarcie, a wysłuchawszy relacji z ostatnich wydarzeń, nie wściekał się i nie przeklinał. Milczał tylko przez chwilę, potem powiedział Bermanowi, co ma robić. Obiecał, że odbierze go z lotniska i zawiezie do domu, który jest własnością chińskiego rządu, i zakończył rozmowę.

Fakt, że Jimmy się nie zdenerwował, był dla Bermana pocieszający, wiedział jednak, że przyjaciel będzie musiał się gęsto tłumaczyć, jeśli postanowi wspomnieć o tym incydencie swoim przełożonym. Znajdowali się w bardzo newralgicznym momencie. Od tygodni wszystko było przygotowane na wypadek pomyślnego zakończenia eksperymentalnej fazy współpracy ze stroną chińską. Po osiągnięciu pożądanego rezultatu w Londynie Nano miało otrzymać pierwszy z nowej serii tajnych przelewów pieniężnych, a Chiny dostęp do pierwszych, także tajnych, stron internetowych, na których znajdowały się tysiące stron technicznych specyfikacji dotyczących niektórych patentów i tajemnic przemysłowych firmy.

Chińczyk przebąkiwał jednak coś o rozgrywkach w rządzie i przyznał, że niektóre frakcje i osoby krzywym okiem patrzą na jakiegokolwiek układy z obcymi z Zachodu, zwłaszcza Amerykanami. Ich zdaniem Chiny mogłyby same osiągnąć podobne zaawansowanie technologiczne. Tak, zgadzali się zwolennicy współpracy, oczywiście, że Chiny mogą same dokonać takiego postępu, ale jak długo to potrwa? Pojawiła się okazja i kraj powinien z niej skorzystać, zwłaszcza dysponując ogromnymi rezerwami obcej waluty, w tym głównie dolarów. Poza tym mogli zdobyć coś jeszcze, czego pragnęli niemal równie mocno: uznanie świata lekkoatletycznego, które mogłoby wzmocnić narodowe poczucie wartości, mocno nadszarpnięte przez stulecia zachodniego wyzysku kolonialnego.

Berman odwrócił głowę od okna i jeszcze raz nadział się na pełne potępienia spojrzenie Whitney.

– Dobrze, już dobrze. Dałem ciała – przyznał. – Co jeszcze mam powiedzieć?

– Nic nie mówiłam.

– Nie musiałaś, twoja mina jest wystarczająco wymowna. Wiem, co myślisz: stary cap musiał polecieć za spódniczką. Nie potrafił utrzymać wacka w spodniach jak jakiś zadurzony pętał. Zgoda, mam słabość do pięknych kobiet. Nie chcę ci przypominać, że swego czasu ty też skorzystałaś na tej słabości.



– Zachary, przecież nic nie mówię, słowo.

– Dobrze, może w takim razie ja muszę to z kimś obgadać. Jestem pewien, że Pia nie powiedziała nikomu o tym, co znalazła, może z wyjątkiem tego doktora. Nie miała czasu. A gdyby wspomniała coś doktorowi, to ten z miejsca popędziłby na policję, tymczasem wiemy, że jak na razie tego nie zrobił. Póki co siedzi u siebie w domu i wydzwania tylko na komórkę Pii. Myślę, że pójdzie do szpitala na dyżur, a jakieś ruchy zacznie podejmować, dopiero gdy z niego zejdzie, Bóg raczy wiedzieć o jakiej nieludzkiej godzinie.

– Jesteś pewien?

– Tak. Nikt rozsądny nie będzie wszczynał alarmu tylko dlatego, że dorosła kobieta nie odzywa się przez kilka godzin. Centrale telefoniczne byłyby rozpalone do czerwoności. Zresztą policja nie kiwnie palcem przed upływem dwudziestu czterech godzin. A wtedy my już będziemy w bezpiecznym domu Jimmy'ego.

– Pewnie masz rację – przyznała Whitney. – Wiem, że sobie poradzimy. – Trochę się uspokoiła, ale nadal uważała, że Berman popełnia jeden gruby błąd. Ponieważ rozmawiali otwarcie, postanowiła o nim wspomnieć.

– Jedyнным prawdziwym problemem jest ta kobieta. – Wskazała głową na tył kabiny. – Co dokładnie zamierzasz z nią zrobić?

– Czyli to cię gryzie? Fakt, że ją zabrałem?

– Oczywiście, że tak. To najślabsze ogniwo. To ona wywołała całe to zamieszanie i o mały włos nie ściągnęła nam na głowę policji, a mimo to nadal jest z nami. Może wszystko zrujnować. Gdyby to zależało ode mnie, zostawiłabym ją w rękach szefa ochrony. To on ponosi winę za całą tę wpadkę, bo pozwolił, by dostała się na teren firmy.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, co by się z nią stało, gdybyśmy zostawili ją w jego rękach. To ci nie przeszkadza?

Whitney milczała przez chwilę. Wiedziała, co by się wtedy stało, ale wolała po prostu o tym nie myśleć, tak jak nie myślała o ludziach w eksperymencie. Związała się z firmą na dobre i na złe i jej przyszłość zależała od przyszłości Bermana: miała świadomość, że jeśli

jemu się noga powinie, ona pójdzie na dno razem z nim.

– Mówiąc prawdę, nie. Nie przeszkadza mi. Nie myślę o tym. Ale fakt, że ona jest tu z nami, mi przeszkadza.

Whitney odwróciła się i popatrzyła przez ramię. Berman poszedł za jej spojrzeniem, gdzie na dwóch szerokich siedzeniach leżała Pia. Była nieprzytomna i przykuta do stolika jak wcześniej wielu chińskich sportowców transportowanych tym samolotem na Zachód. Usta miała otwarte, klatka piersiowa unosiła się i opadała regularnie w rytm oddechu.

– Zabrałeś ją, mimo że może zrujnować wszystko, na co tak ciężko pracowaliśmy. Co zamierzasz z nią zrobić?

– Nad tym właśnie się zastanawiam – rzucił Berman z uśmiechem. – Jej los zależy od tego, czy będzie chciała grać zespołowo. Może mogłaby zostać twoją asystentką?

– Moją asystentką? – Whitney jęknęła. – Nie, nie, nie! Mowy nie ma. Nie obarczysz mnie tą upartą dziwką. Nie zamierzam niańczyć twojej ostatniej maskotki, zwłaszcza że, znając ciebie, szybko się nią znudzisz. Będzie wisiała mi na karku, a ja nie mam ani czasu, ani energii, żeby się nią zajmować. I tak już urabiam sobie ręce po łokcie.

– O, daj spokój, Whitney. Masz coraz więcej obowiązków i potrzebujesz kogoś do pomocy. Pia jest inteligentna i wytrwała, to dobry pracownik. Przyda ci się.

– Nie wiem – powiedziała Whitney. Miała świadomość, ile zawdzięcza Bermanowi, i trudno jej było odmówić jego prośbie. Szła jednak o zakład, że cała ta afera z Pią źle się skończy, a nie chciała poznawać bliżej tej kobiety tylko po to, by później musieć się jej pozbyć, i to dosłownie.

## Rozdział 47

Stara plebania, Chenies, Wielka Brytania

wtorek, 23 lipca 2013, 6.01

Zegar wewnętrzny Bermana wysiadł kompletnie. Najpierw spędzili dwanaście godzin w samolocie, lecąc z Boulder do Mediolanu, tam zatankowali, zawrócili i polecili z powrotem na zachód, choć lot z Włoch na lotnisko Stansted w Londynie był znacznie krótszy.

Cieszył się, że to Jimmy Yan jest jego partnerem na tym etapie rozmów z chińskim rządem, bo był w stanie rozwiązać gładko i łatwo wiele problemów, które inaczej mogłyby postawić ich w kłopotliwej sytuacji. Na lotnisku w Mediolanie Berman wypracował sobie kontakty, dzięki którym dyskretne przemieszczanie ludzi i towarów nie nastęczało trudności. Jednak teraz musiał pewien problematyczny ładunek wwieźć do Wielkiej Brytanii, kraju, który bardziej rygorystycznie traktował przepisy importowe i celne niż Włochy.

– Nie ma sprawy – powiedział Jimmy. – Załatwię wam status oficjalnego lotu chińskiego rządu. Nikt nie będzie wściubiał nosa. Co do ładunku, bagaż dyplomatyczny może być dowolnych rozmiarów, upewnijcie się tylko, że zawartość się nie rusza. Jeśli idzie o kwaterę, zapomnij o swoim hotelu na West Endzie. Jak to sobie zresztą wyobrażałeś? W Londynie są fatalne korki. Chiński rząd ma na wsi dom

na potrzeby naszych dyplomatów, który jest znacznie wygodniejszy. I bezpieczniejszy.

Jimmy i jego ludzie odebrali ekipę z Nano z lotniska Stansted i zawieźli obwodnicą M25 w wielkiej czarnej limuzynie do miejsca przeznaczenia. Po drodze Berman widział drogowskazy do miejscowości o dziwacznie brzmiących nazwach, takich jak Potters Bar, Frogmore i Chorleywood. W końcu dotarli do miasteczka Chenies w Buckinghamshire.

Przez większość podróży Jimmy milczał, powiedział tylko Bermanowi, że jego rodacy korzystają w Wielkiej Brytanii głównie z kombi i furgonetek mercedesa, bo SUV-y za bardzo kłują w oczy. Przy cenie benzyny dwa funty za litr tylko ci, których stać na puszczenie pieniędzy z dymem, niemal dosłownie, nimi jeździli. Chińska delegacja wolała zachować większą dyskrecję.

Teraz Berman siedział w kuchni dużego starego domu z kamienia i patrzył na dobrze utrzymaną murawę i malowniczy angielski ogród otoczony niskim ogrodzeniem. Wcześniej zauważył masywną żelazną bramę, liczne kamery i strażników, pilnujących bezpieczeństwa lokatorów. Choć Jimmy mówił coś o dyplomatach, Berman podejrzewał, że znajdują się raczej w domu należącym do Guóānbù, Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa, chińskiego odpowiednika CIA. Miał jednak dość rozumu, by nie pytać, kto dokładnie ich gości.

– Jak herbata? – spytał Jimmy.

– Doskonała, dziękuję.

– Bardzo polubiłem angielski sposób jej przyrządzania. Z mlekiem i cukrem, mocną. I woda powinna być gorąca, ale nie wrząca. Po uszy mam już tej letniej lury z torebki, jaką serwują w waszym kraju. Brr, obrzydliwość, na samą myśl robi mi się niedobrze.

– Ta stawia na nogi – przyznał Berman, choć czuł, że będzie potrzebował czegoś więcej niż filiżanki herbaty, by dojść do siebie. – Dokąd zabraliście dziewczynę?

– Nieocenionym walorem starych angielskich domów, takich jak ten, są duże piwnice. Tę tutaj trochę przerobiliśmy z myślą o okazjonalnych

gościach, zwłaszcza tych, powiedzmy, stawiających opór.

– Bardzo dogodnie – rzucił Zachary lekko.

Chińczyk walnął ręką w blat z taką siłą, że Bermanowi zadrżała dłoń i krople gorącej herbaty prysnęły mu na kłykcie. Jeszcze nigdy nie widział, żeby Jimmy stracił panowanie nad sobą. To go zszokowało.

– To nie pora na żarciki. Bardzo ryzykuję, pomagając ci. Bardzo. Nie ma niebezpieczniejszego miejsca niż dom pełen szpiegów, a w takim właśnie jesteśmy. Jak się wytłumaczę z tej kobiety swoim przełożonym? Jak mam im wyjaśnić, że jak jakiś smarkacz pozwalasz, by libido brało u ciebie górę nad rozsądkiem?

– Ale powiedziałeś, że bym ją tu przywiózł. To był twój pomysł. – Berman patrzył na niego zbity z tropu.

– Najbardziej bym chciał, żeby ona w ogóle nie istniała, ale istnieje. Uznałem, że w Kolorado nie zdołacie się jej pozbyć jak należy, biorąc pod uwagę ograniczone środki, jakimi dysponujecie, i kłopotliwą niezależność waszej policji. Przynajmniej większości jej funkcjonariuszy. A ten problem trzeba rozwiązać. Jesteśmy tak blisko celu. Nie chcę, by coś położyło się cieniem na naszej współpracy lub jej zagroziło. – Popatrzył znacząco na Bermana. – Więc sam się wszystkim zajmę.

– Posłuchaj, Jimmy, mam niedokończoną sprawę...

– Głupiec z ciebie, Zach. Możesz mieć kobiet na pęczki.

– Nie takich jak ona – powiedział Berman i zauważył, że Jimmy się lekko odprężył.

– Słuchaj, rozumiem cię. To są słabości silnych mężczyzn. Sam mam ich kilka, moi przełożeni zresztą także je mają. Wiemy, jak radzić sobie w podobnej sytuacji. Więc podejmiemy do tego racjonalnie. Środki ostrożności, które podjęliście, są dobre. Nic nie łączy tej kobiety z tą posiadłością, co bardzo ważne. A ty ją uciszysz.

– Whitney Jones trzyma rękę na pulsie. Kobieta jest nieprzytomna i będziemy dalej podawać jej środki usypiające. Chcę spróbować ją przekonać, by dołączyła do zespołu.

Berman popatrzył na zegarek. Wedle jego szacunków w Kolorado dochodziła dwudziesta trzecia i lada moment doktorek powinien zejść z

dyżuru. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim podniesie alarm.

## Rozdział 48

Mieszkanie Pii Grazdani, Boulder, Kolorado

wtorek, 23 lipca 2013, 1.12

Po dyżurze Paul Caldwell został w szpitalu jeszcze godzinę. Umierał ze zmęczenia i niepokoju o Pię, jednak pilne przypadki na oddziale wymagały jego uwagi i nawet w tych okolicznościach nie mógł odejść od łóżka chorego. Minęły dwadzieścia dwie godziny, odkąd zniknęła, nie dając znaku życia, i kiedy w końcu wrócił do jej mieszkania, był już pewien, że stało się coś złego.

Jeszcze raz zadzwonił do drzwi, potem załomotał w nie sfrustrowany i zawołał Pię po imieniu. Uchyliły się drzwi mieszkania obok i jakaś starsza kobieta głośno się oburzyła:

– Pan wybaczy, młody człowieku! Jest bardzo późno.

– Przepraszam bardzo. Możemy zamienić słówko? – Paul podszedł do jej drzwi i usłyszał, jak zakłada łańcuch. – Jestem lekarzem.

– Zorientowałam się – powiedziała. Prawie całkiem przymknęła drzwi, zostawiając jedynie wąską szparę, przez którą widać było pięciocentymetrowy kawałek jej twarzy i jedno oko. – Po kitlu. Tylko dlatego nie zamknęłam drzwi. Czego pan chce od tej młodej damy? Chyba już pana tu widziałam. To pańska dziewczyna?

– Przyjaciółka. Martwię się o nią. Od wczoraj nie daje znaku życia.

– Tak, widziałam już tu pana. Jest pan trzecim mężczyzną, który ją odwiedza. Inny kiedyś próbował do niej wejść, ale go nie wpuściła. Miałam wtedy nawet dzwonić na policję. Ona nie wie, że ja widzę, ale widzę. Nie wszystko, znaczy się, ale dużo.

– Mogę wejść, proszę pani?

– Nie, nie może pan. Widziałam ją wczoraj mniej więcej o tej porze. Nie sypiam najlepiej i słyszę i widzę różne rzeczy. Zjawiła się na klatce z ubraniem w ręku.

– Przepraszam? – zdziwił się Paul. Nie był pewien, czy się nie przesłyszał. – Z ubraniem w ręku? Czyli była naga? – Nie mieściło mu się to w głowie.

– Nie, nie naga. W bieliźnie, a resztę rzeczy z jakichś powodów trzymała w ręce. I chyba aparat fotograficzny. Zobaczyłam ją, ale ona mnie nie. Nie wiem, czy w ogóle powinnam o tym panu mówić.

– Cieszę się, że mi pani powiedziała. A widziała ją pani jeszcze później zeszłej nocy?

– Tak. Niedługo po tym, jak się zjawiła, wyszła. Tym razem w ubraniu i wyraźnie jej się spieszyło. Kto zrozumie was, młodych? Na pewno nie ja.

– A później jeszcze ją pani widziała?

– Nie.

– Nie widziała jej pani przez cały dzień ani nic nie słyszała?

– Nie, ale sypiam więcej w ciągu dnia niż w nocy. Pojęcia nie mam dlaczego.

– A widziała pani kogoś jeszcze?

– Tak, widziałam pana dziś rano. I człowieka wyglądającego jak policjant, który wychodził wcześniej z budynku. Ale nie wiem, w którym był mieszkaniu. Przecież nie stoję tu z nosem przy judaszu jak dzień długi i nie szpieguję ludzi.

– Jestem pewien, że nie.

– No, skoro jest pan jej przyjacielem, to klucz jest na framudze. Ale przecież już pan o tym wie. – Co powiedziawszy, zamknęła drzwi, sygnalizując koniec rozmowy.



Paul sprawdził kąt między wejściem do jej mieszkania a drzwiami Pii i uznał, że mogła je widzieć, tylko jeśli swoje lekko uchyliła, tak jak przed chwilą. Zatem jeśli nie spędzała dwudziestu czterech godzin na dobę przyklejona do szpary w wejściu, łatwo mogła kogoś przeoczyć. Gdyby usłyszała jakiś hałas – a wyglądało na to, że słuch jej nie szwankuje – i podeszła do wizjera, i tak by nic nie dostrzegła.

Wziął zapasowy klucz i wszedł do mieszkania.

– Bądź tutaj, Pia. Bądź tutaj – prosił cicho.

Ale się rozczarował. Zauważył jednak, że musiała tu zajrzeć po jego ostatniej wizycie. W mieszkaniu widać było ślady czyjejś bytności. Na blacie w kuchni stał na wpół opróżniony półtoralitrowy karton mleka, obok leżał egzemplarz poniedziałkowego „Denver Post”. W sypialni z wysuniętej szuflady komody zabrano jakieś rzeczy. Paul poszedł do łazienki i zobaczył, że zniknęła szczoteczka do zębów.

Usiadł i zaczął analizować uzyskane informacje. Pia była w mieszkaniu, ale się z nim nie skontaktowała. Dlaczego? Gdzie jej się mogło spieszyć tak bardzo, że nie miała czasu nawet wysłać SMS-a? Paulowi wydało się to mało prawdopodobne. Nie, nie mało prawdopodobne, to było niemożliwe. Czy Pia w ogóle pijała mleko? Nigdy nie widział w lodówce więcej niż pół litra, nie zauważył też płatków śniadaniowych, które mogłyby tłumaczyć zużycie takiej ilości. No i ten dziennik. O ile sobie przypominał, Pia nie czytała lokalnej prasy. A po co w ogóle kupowała by gazetę, skoro ją tu zostawiła, najwyraźniej nieprzeczytaną? Starał się myśleć tak jak ona zwykła, analizując w pierwszej kolejności najgorszy z możliwych scenariuszy, który wyjaśniałby to, co tu zastał. Ktoś usiłował sprawić wrażenie, że Pia była w domu, i jednocześnie określić wyraźne ramy czasowe jej obecności. Jak lepiej to zrobić, niż zostawiając gazetę?

Idąc dalej tym tokiem rozumowania, podszedł do jej maca i włączył go. Ekran pokazał stronę wyszukiwarki ze wskazówkami dojazdu do laboratorium nanotechnologicznego w New Jersey. Paul uznał, że to wszystko jest trochę zbyt czytelne. Z drugiej strony dla osób postronnych mogło stanowić jednoznaczne wyjaśnienie nieobecności

dziewczyny.

Nagle poczuł bardzo silny niepokój, jak najciszej opuścił mieszkanie i uważnie odłożył klucz na miejsce. Popatrzył w głąb korytarza, ale drzwi starszej pani były zamknięte. Zastanawiał się, czy jeśli Pia naprawdę zniknęła i policja wdroży śledztwo, to on będzie jednym z podejrzanych.

Siedział potem w samochodzie na parkingu, rozważając, co może zrobić. Postanowił rano zadzwonić na posterunek, choć był pewien, że policja nie kiwnie palcem. Wcześniej mógł jednak wykonać inny telefon z gwarancją, że ten rozmówca zareaguje błyskawicznie. Odszukał na liście kontaktów numer George'a Wilsona i go wybrał.

## Rozdział 49

Stara plebania, Chenies, Wielka Brytania

wtorek, 23 lipca 2013, 15.58

Był piękny letni dzień. Zachary Berman doszedł już trochę do siebie po trzygodzinnej drzemce, ale chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Wnętrze plebanii pachniało stęchlizną, większość pokoi, w tym również jego sypialnia, była maciupka i niska. Ściany i framugi drzwi zdobiły masywne belki, niektóre pochodzące ponoć z osiemnastowiecznych brytyjskich okrętów wojennych. Przynajmniej tak twierdził Jimmy Yan.

Ogród był uroczy: pełen letnich kwiatów i porośnięty wypielegnowaną murawą, przystrzyżoną równo niczym green na polu golfowym. Rozgrywano na niej partyjkę krokieta. Na jednej z łąk w oddali pasło się stadko owiec, przez co całe miejsce wyglądało jak żywcem wyjęte z dziewiętnastowiecznego obrazu.

Berman obszedł dom kilka razy, zastanawiając się, co powiedzieć Pii i jakich użyć argumentów. Wiedział, że nie będzie to łatwa przeprawa, przy jej uporze, który tak dobrze znał, i przekonaniu o własnej słuszności, którego się spodziewał. Niemal już słyszał jej oburzenie. Gdyby skórka nie była jego zdaniem warta wyprawki, w ogóle by sobie nie zawracał tym głowy. Jednak stawiał sobie za punkt honoru, by

działała absolutnie dobrowolnie. Z zasady nigdy nie płacił za seks ani, w swoim przekonaniu, nie wziął żadnej kobiety siłą. Satysfakcję dawała mu w takim samym stopniu własna rozkosz, co przyjemność partnerek. Bardziej niż fizycznego spełnienia szukał w łóżku potwierdzenia własnej wartości.

W końcu wyszedł przed dom i zapatrzył się w dal na rozciągającą się przed nim wioskę. Widział skwer otoczony skromnymi bajkowymi domkami: wyglądały jak uformowane przez krajobraz, jakby wyrosły z ziemi, a nie zostały wzniesione ludzką ręką. Gdzieś w oddali samochód jechał wiejską drogą, co chwila znikając za żywopłotami. Za nimi złote kłosa żyta kołysały się na miniaturowych polach.

Dołączył do niego Jimmy Yan.

– Prawda, że bardzo tu ładnie? – zagaił, podziwiając pejzaż.

– Tak. I spokojnie.

– W rzeczy samej. Nikt nas nie niepokoi, nie zadaje żadnych pytań.

Staramy się nie rzucać w oczy.

Stali razem przez chwilę w milczeniu. Jimmy odwrócił się lekko i wskazał na inny duży budynek stojący trochę na wschód od nich, niemal zasłonięty przez gęsty zagajnik.

– To dwór. Zbudowano go w 1460 roku, niespokojnym okresie w dziejach Anglii. Należy do nas, ale jeszcze nie zapadła decyzja, czy będziemy go odnawiać. Pochłonęłoby to dużo pieniędzy. Jest w tym jakaś ironia, że teraz my, Chińczycy, kupujemy tu posiadłości ziemskie, po tych wszystkich krzywdach, których doznaliśmy w czasach kolonializmu. Ale to uroczy stary budynek. Oczywiście chińska cywilizacja i tak należy do najstarszych, a w waszym kraju chyba niewiele się działo w 1460 roku.

Bogiem a prawdą na terenie Ameryki Północnej działo się bardzo wiele, zanim Kolumb odkrył te ziemie, pomyślał Berman, ale nie miał ani siły, ani ochoty angażować się w akademicki spór z Jimmym Yanem.

– Postanowiłeś już, co zrobisz z dziewczyną? – zaczął z innej beczki Chińczyk.

– Właśnie się nad tym zastanawiam.

– No, powinieneś mieć gotowy jakiś plan działania, bo doniesiono mi, że powoli się wybudza. Musisz do niej iść. Jak już wspominałem, zależy nam na zachowaniu spokoju. Nie życzymy sobie żadnych zajść tutaj. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Berman skinął głową i Jimmy Yang wszedł do domu. Zachary słuchał jeszcze przez chwilę śpiewu ptaków, potem ruszył za nim.

Była w jakimś pokoju, ale światło było tak oślepiające, że nie była w stanie dostrzec żadnych szczegółów. Kiedy usiłowała odwrócić wzrok, uświadomiła sobie, że nie może się ruszyć ani zamknąć oczu, by ochronić się przed blaskiem. Potem nagle wszystko zgasło i znalazła się w całkowitej ciemności. Przez pewien czas słyszała tylko własny oddech, później pojawiły się głosy jakichś ludzi, którzy kręcili się po pomieszczeniu. Zastanawiała się, co robią, nie mogła jednak ani się odezwać, ani poruszyć, ani nic zobaczyć.

Światła wróciły, ale już nie tak mocne, i wtedy ujrzała człowieka w pojemniku. Był zanurzony w jakimś płynie i na pewno już nie żył, bo została z niego tylko połowa: od pasa w dół nie było nic. I kiedy ta półpostać odwróciła się i popatrzyła na nią, Pia mogła tylko krzyknąć bezgłośnie. Potem poczuła uderzenie w ramię i zaczęła spadać, spadać wprost w czarną nicość.

Stopniowo Pia zaczynała rozróżniać szczegóły otoczenia, ale przede wszystkim była świadoma więzów na prawym ramieniu. Leżała w dużym, wilgotnym i pachnącym stęchlizną pokoju na gołym materacu, przykuta łańcuchem do pierścienia w ścianie. Było gorąco jak w piekle i głowa pulsowała jej bólem do rytmu z dziko walącym sercem. Gdzie, u licha, się znajduje? Co jej się stało?

Chwycała się strzępków sennych wspomnień.

Pamiętała, że była w Nano i widziała te makabryczne pojemniki z ludźmi w środku. Paul. Widziała się z Paulem i namówiła go, żeby gdzieś z nią poszedł, ale nie pamiętała gdzie. Mglisto kojarzyła także,

że oglądała coś pod mikroskopem, ale nie miała pojęcia, co to było. Paul, przypomniała sobie, Paul miał jej pomóc, ale nie mógł, bo nie dotarła do niego z powrotem. Przeszkodził jej Zachary Berman i tak wylądowała w tym pomieszczeniu. Nagle strach ścisnął ją za gardło i zaczęła się trząść mimo gorąca. Muszę wziąć się w garść, pomyślała, biorąc głęboki wdech i powoli wypuszczając powietrze. Drzenie ustało.

Rozejrzała się. Pomieszczenie było długie i nisko sklepione, ściany miało z czerwonej cegły, a w tej naprzeciwko posłania znajdowały się proste dębowe drzwi. Na wszystkich powierzchniach błyszczała wilgoć. Obok dużego, niskiego łóżka stała prymitywna toaleta, a przy niej umywalka z jednym kurkiem. W rogu prawie pod sufitem umieszczono maleńkie okno, ale światło w pomieszczeniu pochodziło z wielkich fluorescencyjnych lamp zwisających z sufitu. Nie miała pojęcia, co to za pomieszczenie, i nie przypominała sobie, by była gdzieś przewożona. Jednak od jej wyjścia z Nano upłynął jakiś czas: na zewnątrz był dzień, ale ile dokładnie ich minęło od ostatnich wydarzeń? Dwa? Trzy?

Zamknęła oczy i próbowała się skoncentrować na czymś innym poza pulsującym bólem głowy. Niedziela. Tak, w niedzielę poszła zobaczyć się z Bermanem w jego domu. I wtedy nagle zalały ją wspomnienia i wszystko do niej wróciło: napalony Berman, zdjęcia, to, co odkryła w Nano, Paul Caldwell, próbka krwi z pokoju lekarskiego, znowu Nano, kuliste nanoroboty pod mikroskopem, zatrzymanie przez policję w drodze do mieszkania Paula. Teraz już miała mniej więcej jasność, co się stało. Została porwana przez Zachary'ego Bermana. Wiedziała, że powinna przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, ale nie mogła się skupić.

Oprócz głowy doskwierało jej całe ciało: była zeszywniała i obolała, zwłaszcza w miejscach niedawnych urazów. Lewa kość ramienna rwała ją tak, jakby znowu została złamana. Temblak jednak był na miejscu, gips na kości promieniowej także. Z pewnym wysiłkiem zdołała się podnieść i usiąść na brzegu łóżka. Przy okazji zauważyła, że łańcuch, którym była przykuta do ściany, jest długi akurat na tyle, by mogła dojść do toalety i umywalki. Zmiana pozycji zmniejszyła trochę

dyskomfort w lewym ramieniu.

Kiedy mogła już myśleć nieco jaśniej, spróbowała sobie przypomnieć, czy ktoś mógł widzieć porwanie. Paul Caldwell na nią czekał i pewnie wszczął alarm, gdy się nie pojawiła, jednak jeśli nikt nie był świadkiem jej uprowadzenia, wszyscy uznają, że po prostu zniknęła. Ale moment! Przecież zatrzymali ją funkcjonariusze miejscowej policji! W radiowozie miejscowej policji! Czy to możliwe, że Berman ich przekupił? Analizowała przez chwilę tę ewentualność, potem opadła na materac. Dotarło do niej, że policjanci maczali w tym palce. Zostali w radiowozie i pozwolili, by Berman ją zabrał. Jeśli w ogóle byli to prawdziwi policjanci.

Bywała już w swoim życiu w poważnych opałach, ale tym razem naprawdę nie było jej do śmiechu. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje – na terenie Nano czy gdzieś indziej – i nie słyszała ani nie widziała żywej duszy od chwili, gdy się ocknęła. Zastanawiała się, czy nie krzyknąć, nie zacząć wzywać pomocy, ale bała się, że jej głowa tego nie wytrzyma. Uznała, że najlepiej będzie poczekać.

Poczuła zatem niemal ulgę, gdy kilka minut później usłyszała szcęk odsuwanych zasuw. Ktoś zajrzał do środka przez ciężkie niskie drzwi i zanim Pia podniosła wzrok, już wiedziała, że to Berman.

## Rozdział 50

Mieszkanie Paula Caldwell, Boulder, Kolorado

wtorek, 23 lipca 2013, 10.13

Paul chodził nerwowo po mieszkaniu, czekając na przyjazd Wilsona, żeby przekazać mu najnowsze wieści. Po tym jak zadzwonił do niego w środku nocy i perorował przez dwie minuty do słuchawki, George kazał mu się zamknąć. Powiedział, że usłyszał dość i przylatuje do Boulder najbliższym samolotem. Zaoponował, gdy Paul zaproponował, że wyjedzie po niego na lotnisko: wolał, żeby czekał w mieszkaniu, na wypadek gdyby Pia się pokazała.

W końcu rozległ się dzwonek domofonu, Paul wpuścił gościa do środka i chwilę później George stał już na progu.

– Jakies wieści? – zapytał z miejsca.

– Dostałem esemesa. Jakąs godzinę temu.

– Od Pii?

– Sam zobacz. – Podał mu swój telefon, jako nadawca wiadomości figurowała Pia – „Wracam do domu. Nie martw się. Wkrótce zadzwonię”.

– Odpowiedziałeś? – spytał George.

– Oczywiście. Dzwoniłem, ale bez skutku, wysłałem więc esemesa i otrzymałem odpowiedź: „Nie martw się”.



– I co myślisz?

– Że to nie Pia. Ktoś ma jej telefon.

Powiedział George'owi, co wyświetlił ekran jej komputera.

– Nie wydaje mi się, by Pia uznawała New Jersey za swój dom, a tobie?

– Też nie.

Przez chwilę mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Znali się głównie z opowieści Pii i tych kilku dni, które George spędził w Boulder po jej wypadku. Obecne okoliczności nie były najbardziej fortunnym momentem do pogłębiania tej znajomości: obaj byli zmęczeni i cali w nerwach.

– Dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś – rzucił George i naprawdę był wdzięczny.

– Nie wiedziałem, co robić – przyznał Paul. – Jesteś moją ostatnią nadzieją.

– Próbowalesz później dzwonić jeszcze na jej komórkę?

– Tak, bez skutku, włącza się poczta. Gdyby to była Pia, odebrałaby.

Paul popatrzył na gościa. George wyglądał fatalnie, ewidentnie wrzucił na siebie to, co akurat mu się nawinęło pod rękę: spodnie od dresu, bawełniany T-shirt i bluzę. Paul za żadne skarby nie pokazałby się w podobnym stroju, tym bardziej że chłopak miał na nogach, o zgrozo, białe skarpetki i buty od garnituru. George poszedł za wzrokiem gospodarza.

– Wiem. Włożyłem nie te buty. Sportowe były mokre, bo biegałem na deszczu. Gdy zadzwoniłeś, poleciałem prosto do szefa się zwolnić, a potem na lotnisko, żeby załapać się na najbliższy samolot do Denver, który odlatywał za godzinę. Przyleciałem, tak jak stałem. Potem kupię sobie jakieś sensowne ciuchy, ale na razie musimy chyba się naradzić, co robić. Więc opowiedz mi wszystko jeszcze raz, tylko ze szczegółami.

George poprosił jeszcze o colę, twierdząc, że potrzebuje zastrzyku kofeiny. Paul mu ją przyniósł i gdy usiedli, zrelacjonował szczegółowo ostatnie wypadki, zaczynając od końca, czyli od momentu, kiedy trzydzieści godzin wcześniej otrzymał od Pii SMS-a z informacją, że

jedzie już do jego mieszkania. Co jakiś czas George kiwał głową na znak, że słucha i rozumie, a gdy Paul skończył, spytał:

– Czyli nie wiesz, co znalazła w Nano?

– Nie, ale myślę, że coś bardzo ważnego, bo była strasznie podekscytowana i nie chciała tracić czasu na wyjaśnienia. Powiedziała, że opowie mi wszystko, gdy tylko załatwi to, co ma załatwić. Najwyraźniej coś z próbkami krwi. Potem wysłała mi esemesa, że już do mnie jedzie. Jestem pewien, że tamten był od niej.

– A masz choćby cień podejrzenia, co mogła tam odkryć?

– Tylko bardzo mgliste wyobrażenie. Podejrzała, że Nano może prowadzić niedozwolone doświadczenia na ludziach.

– Niby z tymi nanorobotami, którymi się zajmowała?

– Nie znam szczegółów. Wiemy tylko, że to ma coś wspólnego z tymi chińskimi sportowcami: biegaczem, którego znalazła nieprzytomnego, i tym drugim: kolarzem. Kojarzysz?

– Tak, oczywiście. To co jeszcze się wydarzyło?

Paul opowiedział George'owi o czytnikach tęczówki, o aparacie, udanej próbie oszukania skanerów zdjęciami oczu Pii i o tym, że bez wątpienia złożyła Bermanowi wizytę, by zdobyć fotki jego tęczówek.

– Szlag by to! – rzucił George z emfazą. – Cała Pia. Lezie do chaty tego dupka, narażając się nie wiadomo na co tylko po to, żeby zdobyć jakieś fotki i móc powęszyć po firmie.

– Próbowałem jej to wyperswadować. Zresztą nie pierwszy raz udała się tam sama. Wcześniej poszła, żeby przeszukać jego dom. – Paul przemilczał swoją rolę w tej eskapadzie i dostarczenie Pii kapsułek temazepamu. Po czasie bardzo się tego wstydził. – Domyślam się, że druga wizyta okazała się sukcesem i Pia cyknęła mu te przeklęte fotki. Potem wykorzystała je, żeby dostać się do tajnej części Nano, a tam odkryła to coś wyjątkowego.

Później opowiedział George'owi o drugiej próbce krwi, po którą Pia zjawiła się u niego w środku nocy, twierdząc, że musi ją natychmiast zbadać i wyciągając go z łóżka.

– Ciekawy jestem, co tam znalazła. – George zapatrzył się w

przestrzeń w zamyśleniu, potem przeniósł wzrok z powrotem na Paula.  
– Ale brzydko mi to pachnie.

– Tak. Ochroniarze, którzy wparowali wtedy na mój oddział, wyglądali jak komandosi. Uzbrojeni po zęby. No, a potem jeszcze ten wypadek.

– Właśnie. – George czuł, jak narasta w nim gniew. – Pia była przekonana, że ktoś usiłował was wtedy zabić, a mimo to pozwoliłeś, żeby poszła do Nano nocą? I dwukrotnie puściłeś ją samą do domu Bermana? Co z ciebie za przyjaciel? – George obiecywał sobie wcześniej, że nie będzie się darł na Paula ani sugerował, że to on ponosi winę za zniknięcie dziewczyny. Sam wiedział najlepiej, jaka uparta i zuchwała potrafi być Pia. W czasie pobytu w Kolorado po wypadku nabrał do niego szacunku i sympatii i wiedział, że lekarz jest dobrym przyjacielem. Ale teraz, gdy był już na miejscu, nie potrafił się powstrzymać. – A jeśli nie byłeś gotowy z nią iść, czemu przynajmniej do mnie nie zadzwoniłeś?

– Moja gotowość nie miała tu nic do rzeczy, George. Pia w ogóle mnie nie uprzedziła. Był środek nocy, na miłość boską. Wiele razy wcześniej słyszała ode mnie gadki na temat odpowiedzialności, ale to dorosła kobieta. Musiałem wierzyć, że wie, co robi.

– Tak? No to patrz, dokąd ją to zaprowadziło.

– Wiem, George, wiem. Myślisz, że o tym nie myślałem przez ostatnie trzydzieści godzin? Że mnie to nie dręczy? „Trzeba było ją powstrzymać”. „Trzeba było zawiadomić policję”, „Trzeba było zadzwonić do George’a”. Ze sto razy to sobie powtarzałem. Ale o czwartej nad ranem, gdy się tu zjawiała, wybudzony z głębokiego snu, nie myślałem tak jasno. Zawsze miała świetne wytłumaczenie, dlaczego powinna sama sobie radzić.

– Zawsze je ma, w tym sęk.

– Posłuchaj, George, zdążymy jeszcze o tym pogadać. Teraz powinniśmy skupić się na tym, co zrobić, żeby ją odnaleźć. Zgoda?

George przełknął swoją wściekłość i skinął głową.

– Masz rację. I nie tylko ty plujesz sobie w brodę. Powinienem z

miejsca tu przyjechać, gdy tylko przebaknęła nieśmiało, co zamierza zrobić. I tyle. Dobra, to przeanalizujemy jeszcze raz, co wiemy i co z tego wynika. Musimy mieć wszystko poukładane, kiedy pójdziemy na policję. Bo chyba będziemy musieli to zrobić, choć pójdziemy na dobrą sprawę z niczym. No bo co niby powiemy? Że martwimy się o kobietę, bo miała przyjść i nie przyszła? Myślę, że policjanci nie kiwną palcem. Nic w końcu nie wskazuje na to, by doszło do przestępstwa czy coś.

– Po części właśnie dlatego jeszcze ich nie zawiadomiłem – zgodził się Paul.

– Ale najpierw powinniśmy sprawdzić jeszcze u Bermiana. Zbieraj się.

– Jeśli ją tam trzyma, raczej nas nie wpuści – zaproponował Paul.

– Musimy się przekonać, Paul. Mogę pożyczyć twoje auto? Znaczący się, jeśli nie chcesz tam jechać?

– Jasne, że z tobą pojedę.

W drodze do Bermiana Paul analizował jeszcze jeden scenariusz, którego, znając Pię, nie mógł wykluczyć.

– Pozwól, że cię o coś spytam, George. Znasz ją dłużej, ale obaj wiemy, jak uparta, przekorna i mało wrażliwa na uczucia innych potrafi być Pia. Jak ci się widzi taki pomysł, że cokolwiek tam odkryła w niedzielę wieczór, powiedziała sobie: „Pieprzę to, nie chcę mieć już nic wspólnego z Nano” i rzeczywiście gdzieś się ulotniła?

George myślał dobrą minutę, zanim odpowiedział. Nie mógł zaprzeczyć, że Pia sama jest sobie sterem i okrętem, mówiąc delikatnie, i że często nie wykazuje zrozumienia dla słabości i uczuć innych, zwłaszcza dla jego uczuć i słabości. Ale czy mogłaby ot tak, bez słowa się zmyć, bo coś ją naszło? Nie mieściło mu się to w głowie.

– Nie – powiedział w końcu. – Myślę, że to niemożliwe. Pia rzeczywiście jest taka, jak mówisz, ale przede wszystkim jest zawzięta i uparta jak osioł. Jeśli już wbiła sobie coś do głowy, zwłaszcza gdyby znalazła dowody na potwierdzenie swej tezy, nie odpuściłaby, choćby się paliło i waliło. Możesz mi wierzyć.

Paul skinął twierdząco głową.

Kiedy dojechali do bramy, George wysiadł z auta i wcisnął dzwonek, ale nie było odpowiedzi.

– Zakładam, że przesuńcio ma najnowocześniejszy monitoring i ochronę – powiedział Paul, który został w samochodzie.

– Zgadza się. Jesteśmy teraz nagrywani – potwierdził George. – Kamera jest tam. – Pokazał ją Caldwellowi.

– To co teraz robimy? Nie widzę w pobliżu żadnej toyoty.

– Berman by ją przeparkował, jeśli Pia rzeczywiście tu jest – powiedział George. – Może mógłbym się wdrapać i przeleźć przez bramę... Czekaj, ktoś jedzie.

Długim podjazdem zbliżała się biała ciężarówka. Ciężkie wrota z żelaza się rozsunęły i pojazd się zatrzymał. Za kółkiem siedział obcy mężczyzna.

– Spytajmy tego gościa. Przekonajmy się, co wie.

Kierowca ciężarówki, blondyn o mocnej opaleniznie, wcisnął klakson – subaru Paula blokowało mu wyjazd – i wystawił głowę przez okno.

– No, panowie, dajcie przejechać człowiekowi.

– Szef w domu? – spytał George.

– Pan Berman? Nie wiem, ja tylko zajmuję się jego drzewami. Nie widziałem go, ale na ogół go nie widuję. Słuchajcie, muszę jechać do drugiego zlecenia, a wiecie, że nie mogę was wpuścić. Dzwoniliście do domu?

– Chodź, George – powiedział Paul. – Blokujemy przejazd.

– Chwileczkę – powiedział George. Podszedł do ciężarówki i wsadził głowę przez okno od strony pasażera. – Przepraszam, nie chcemy panu przeszkadzać i za sekundkę się zmyjemy. Zastanawiamy się tylko, czy pan Berman jest w domu. To ważne. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Przyjechałem aż z Los Angeles i chciałem się z nim przywitać. – George rozwinął cały swój urok. W swym ultranonszalanckim stroju prezentował się niegroźnie, a ogrodnikowi się spieszyło.

– Nie wydaje mi się, żeby był. Jeden z gości, który dogląda kwiatów,

twierdzi, że znowu wyjechał.

– Za granicę?

– Nie mam pojęcia, dokąd jeździ. Wiem tylko, że kiedy jest na miejscu, wszyscy chodzą na rzesach i wypruwają sobie flaki, a teraz siedzą z tyłu, popijają kawkę i czniają na wszystko. Skomentowałem to i usłyszałem w odpowiedzi, że Berman wyjechał. Ale o to, dokąd dokładnie, musicie spytać kogoś innego. Chłopaki od ogrodnika powinni się pojawić za jakąś godzinę.

– Dzięki – powiedział George. – Wrócimy tutaj.

– Jeśli jutro ktoś zapyta, mam powiedzieć, że kto mnie zatrzymał?

– Po prostu przyjaciel – rzucił George, pomachał mu jak gdyby nigdy nic i wsiadł do auta.

– No i co? – spytał Paul, cofając samochód z drogi arborysty.

– Berman ponoć wyjechał, a przynajmniej facet tak słyszał od jednego z ogrodników. Ale nie wie, czy to podróż zagraniczna czy krajowa, w ogóle nic więcej nie wie. W każdym razie prezesa nie ma w okolicy. Może pojedziemy teraz do Nano i zobaczymy, co tam uda nam się ustalić?

– Możemy spróbować – zgodził się Paul i ruszyli w kierunku miasta.

– Ale nie wydaje mi się, żebyśmy wiele tam zwojowali. Firma ma bżika na punkcie ochrony i zabezpieczeń.

– Musimy wszystko sprawdzić – powiedział George stanowczym tonem, którego Paul wcześniej u niego nie słyszał. – A jeśli nawet odejdziemy stamtąd z kwitkiem, jeszcze raz przetrząśniemy jej mieszkanie.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Żaden nie miał złudzeń, że będzie łatwo dostać się na teren firmy.

– Przyjechaliliśmy na rozmowę w sprawie pracy – rzucił George do strażnika przy głównej bramie.

– Na dzisiaj nie zaplanowano żadnych rozmów – zdziwił się starszy mężczyzna. – Zawsze jestem wcześniej uprzedzany w takiej sytuacji i dostaję tymczasowe wejściówki dla kandydatów. A dzisiaj żadnych nie dostałem.

– To nieoficjalne spotkanie. Wstępna, rekonesansowa rozmowa z panią Whitney Jones w biurze dyrektora Bermana.

– Wiem na pewno, że panny Jones nie ma dzisiaj w pracy. Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy?

– A to w jakim celu?

– Wszyscy nasi goście muszą się wylegitymować. Pana też poproszę o okazanie dokumentu tożsamości – zwrócił się strażnik do Paula.

George i Paul popatrzyli na siebie. Znaleźli się w kropce. Wiedzieli, że jeśli się wylegitymują, władze firmy dowiedzą się, że tu byli, jeśli odmówią, nie wjadą nawet za bramę. George wzruszył ramionami i wygrzebał prawko z portfela. Paul poszedł za jego przykładem. Strażnik wycofał się z dokumentami do budki i podniósł słuchawkę telefonu. Za samochodem Paula tymczasem zdążyła się już uformować spora kolejka aut i kilku niecierpliwych kierowców dawało wyraz swojej frustracji za pomocą klaksonów.

– Posłuchaj, George, powinniśmy z tym iść na policję – powiedział Paul.

– Nie zaszkodzi, jeśli Berman się dowie, że się tu kręcimy.

Paul tego nie skomentował. Strażnik odłożył słuchawkę.

– Proszę tutaj zjechać – polecił, wskazując małą zatoczkę na prawo od stanowiska ochrony. Oddał im dokumenty. Gdy tylko Paul zaparkował, podjechał do nich czarny SUV i wysiadł z niego mężczyzna w garniturze.

– Mogę wam w czymś pomóc, chłopaki? – Był młodszy od strażnika przy bramie, bardziej atletycznie zbudowany i budził większy respekt, mimo uśmiechu na ustach i swobodnego stylu wypowiedzi.

– Przyjechaliśmy na rozmowę w sprawie pracy – powiedział Paul.

– Dzisiaj nie ma żadnych rozmów, doktorze Caldwell. Proszę sprawdzić w kalendarzu, chyba pomyliły się panom daty. Możecie wyjechać tą samą bramą. – Wskazał uniesiony szlaban i dodał jeszcze: – Życzę wspaniałego dnia, panowie.

## Rozdział 51

Stara plebania, Chenies, Wielka Brytania

wtorek, 23 lipca 2013, 18.04

– Witaj, Pio.

Berman stał w drzwiach podziemnej celi i patrzył na dziewczynę. Leżała na brudnym, gołym materacu przykuta łańcuchem do obręczy wystającej z ceglanej ściany i gapiała się w sufit. Sprawiała wrażenie małej i bezbronnej, domyślał się, że złamana ręka daje jej się we znaki. Ale pamiętał, że go ośmieszyła, upokorzyła i wystawiła na szwank to, co miało być jego koronnym życiowym osiągnięciem. Miał wszelkie powody, by być na nią wściekły. I z pewnością był dzień wcześniej w Boulder. Należała mu się jakaś zemsta.

– Nic mi nie powiesz? – spytał i uświadomił sobie, że zależy mu na reakcji Pii, jakiegokolwiek. Znowu wytrąciła go z równowagi mieszanina frustracji i pożądania, która nagle go zalała. Nigdy wcześniej nie doświadczył jeszcze czegoś podobnego. I mimo że stał przed spętaną, bezsilną kobietą, sam czuł się jak więzień i przestępował nerwowo z nogi na nogę, lekko przerażony. Miał irracjonalne wrażenie, że Pia ma nad nim przewagę. Wiedział, że to absurdalna myśl, ale nic nie mógł na nią poradzić. Wszedł do pomieszczenia i chiński strażnik zamknął za nim drzwi. Gdy zniknął z widoku, Berman poczuł się trochę pewniej,



choć nadal był nieswój i skrępowany.

– Pia, przykro mi, że do tego doszło, ale musisz zrozumieć, że nie dałaś nam wyboru. Przyszłaś do mnie do domu, oszukałaś mnie, wzięłaś na kawał. I to nie pierwszy raz. Już od jakiegoś czasu podejrzewałem, że przy poprzedniej wizycie straciłem przytomność nie tylko z powodu alkoholu, ale mimo to postanowiłem ci zaufać. Gdy potem przyszłaś w niedzielę, liczyłem, że twoje intencje są szczerze, teraz jednak wiem, że to wszystko było kolejną farsą, którą odegrałaś, żeby zdobyć zdjęcia moich oczu i móc wejść do Nano. – Urwał, ale nie doczekał się żadnej reakcji ze strony Pii. – Posługując się tymi zdjęciami, włamałaś się do tajnej części firmy i ukradłaś próbkę krwi z tajnego eksperymentu. Wcześniej weszłaś też nielegalnie w posiadanie innej próbki krwi, mimo że Nano miało nakaz jej konfiskaty. Wiemy także, że bez upoważnienia wykorzystowałaś sprzęt firmowy, żeby zbadać obie próbki. Mówimy tu o bardzo poważnych wykroczeniach.

– Mengele – powiedziała Pia bardzo cicho.

– Przepraszam, Pia, nie dosłyszałem.

– Wiesz kim był Josef Mengele?

– Oczywiście, nazistowskim lekarzem w obozach koncentracyjnych...

– Tym właśnie jesteś. Współczesnym Mengelem.

– Pia, to śmieszne, ale rozumiem, że to, co widziałas, wymaga pewnego wyjaśnienia z mojej strony. To nie tak, jak myślisz.

– Pewnego wyjaśnienia! Ty draniu. – Pia usiadła i posłała Bermanowi wściekłe, pełne nienawiści spojrzenie. Cofnął się odruchowo, mimo że była przykuta do ściany. – Gdzie, do cholery, jestem? Kazałeś mnie przykuć do ściany tego średniowiecznego lochu żywcem wyjętego z opowieści o Robin Hoodzie. Mały, żaloszny, tchórzem podszyty impotencik.

Krew napłynęła Bermanowi do twarzy.

– Nie wydaje mi się, żebyś miała podstawy mnie tak oceniać. Nie dałaś mi okazji pokazać, jaki naprawdę jestem. Nie poznałaś mnie ani od strony zawodowej, ani osobistej. Ale to się może jeszcze zmienić.

Lada chwila kierowany przeze mnie zespół dokona największego przełomu naukowego w medycynie od półwiecza. Może nawet od stu lat. Po raz kolejny proponuję ci, żebyś do nas dołączyła. Daję ci życiową szansę.

Pia parsknęła ponurym śmiechem. Pokręciła głową.

– Chcesz, żebym do was dołączyła? I dlatego przykułeś mnie łańcuchem do ściany?

– Po pierwsze, nie mogłem pozwolić, żebyś zniszczyła wszystko w ostatniej chwili. Po drugie, nie słuchałaś mnie tamtej nocy w moim domu. Nigdy zresztą nie słuchasz. Zawsze widzisz tylko czubek własnego nosa. Jeśli jedynym sposobem na to, byś mnie wysłuchała, jest łańcuch, trudno, nie ma rady. Chcę tylko tego: żebyś mnie wysłuchała.

– A mam wybór?

– Niestety nie. Ale proszę, żebyś spróbowała spojrzeć na to, co powiem, jak naukowiec i badacz, jak lekarz zainteresowany ratowaniem ludzi, a nie egzaltowany podłotek, który kieruje się źle pojętym sentymentalizmem i odruchami również źle pojętej etyki.

– Tak, pewnie istotnie źle pojmuję etykę, skoro doszukuję się czegoś złego w sekcjonowaniu ludzi żywcem i trzymaniu ich na wpół martwych w akwariach.

– Jesteś świetnym naukowcem, z zadatkami na geniusza. Mariel Spallek tak twierdzi, a ja ufam jej ocenie, zwłaszcza po twoim pomysle wzbogacenia powierzchni płaszcza mikrobiworów dodatkiem glikolu polietylenowego. Niestety nie możesz się powstrzymać od wtrącania się w sprawy, którymi nie powinnaś się przejmować.

– A nie to właśnie powinien robić dobry naukowiec? Przejmować się? Czyż nie to właśnie sugerował Robert Oppenheimer, kiedy podsumowywał swoje dokonania jako twórca bomby atomowej?

– To zadanie dla filozofa. Rolą naukowca jest poszerzanie granic wiedzy, czyli dokładnie to, czym się zajmujemy w Nano i w czym nam pomagałaś, Pia. Wiesz, jak bardzo nanotechnologia zmieni świat, pewnie zdajesz sobie z tego sprawę niemal tak dobrze jak ja. To będzie prawdziwa rewolucja, lawina nowych technologii, metod i produktów i

my musimy być wtedy w awangardzie, a nie wlec się smętnie w ogonie razem z Europejczykami i innymi krótkowzrocznymi narodami, które nie patrzą przyszłościowo. Którym umyka obraz całości.

– Domyślam się, że właśnie to masz do zaoferowania: przyszłościowe spojrzenie.

– Żebyś wiedziała. Mierzę wysoko. Miałem odwagę porwać się z motyką na słońce i zamienić teorie w rzeczywistość.

– No to przedstaw mi ten obraz całości, Zachary. Przybliż mi go łaskawie razem ze swoim przyszłościowym spojrzeniem.

Berman popatrzył na Pię. Była jak zwykle arogancka i sarkastyczna, ale teraz w dodatku naprawdę wkurzona, prychała jak osaczony, przyparty do muru dachowiec, nadal bez śladu moresu. Uznał, że skoro już tak daleko zaszli, nie ma sensu przed nią niczego ukrywać. Ta rozgrywka i tak miała się wkrótce skończyć albo jej podporządkowaniem się albo czymś znacznie mniej przyjemnym, więc nie miał nic do stracenia i nic nie ryzykował. Co najważniejsze, zaczęła przynajmniej z nim rozmawiać.

– Chodzi o pieniądze. Zawsze przecież chodzi o pieniądze, prawda? Wszystko się o nie rozbija i do nich sprowadza. Możemy działać na terenie Stanów swobodnie, bez nadzoru lub z niewielkim tylko nadzorem ze strony władz. Jednak już każda większa dotacja wiąże się z takimi czy innymi ograniczeniami i próbami kontroli. Rząd mówi o przestrzeganiu prawa, dostosowaniu się et cetera. Musimy trzymać się tego przepisu, tamtej ustawy, srego rozporządzenia, żeby każdy okręg wyborczy i każdy głupkowaty wyborca był zadowolony. Biurokracja jest niewiarygodna. A od czasu krachu finansowego sprzed pięciu lat uzyskanie dotacji od prywatnego krajowego kapitału graniczy z cudem. Tygodniami prowadzi się rozmowy, tłumaczy, negocjuje, namawia, w końcu goście przymykają oczy na swoje skrupuły, akceptują twoje gwarancje i obietnice i wreszcie przelewają jakiś psi grosz, śmieszne sumy w porównaniu z naszymi potrzebami. No wiesz, jakieś tam pozał się Boże dziesięć czy dwadzieścia milionów. Ale mają się za Bóg wie jakie grube ryby. Z Chińczykami jest inaczej. Znają się na rzeczy,

wiedzą, jak się załatwia takie umowy. I mają wizję: patrzą w przyszłość, a nie babrają się w terażniejszości, nie mówiąc już o tym, co było. Nie wiem nawet dokładnie, jaką działką w rządzie zajmują się ludzie, z którymi rozmawiam, ale ich przedstawiciele siadają i mówią: „Chcemy mieć tę technologię. Ile będzie kosztowało jej opracowanie i przekazanie nam danych?” Na to ja: „O, lekko licząc jakieś pół miliarda na początek”. Oni na to: „Zgoda”.

– Pół miliarda dolarów?

– Nie odstrasza ich taki budżet na badania i rozwój, wiedzą, że już teraz nanotechnologia generuje siedemdziesiąt miliardów rocznie. Są nie w ciemę bici, mają świadomość, że to i tak okazja i prędzej czy później wyjdą na swoje, zważywszy na przełom, jakiego Nano dokonało w produkcji molekularnej. To aż niewiarygodne, jak szybko podejmują decyzję, wiedząc, że inwestują w przyszłość. Od naszego pierwszego spotkania byli bardzo zainteresowani Nano. Chcieli tylko potwierdzenia skuteczności nanorobotów, więc zainwestowali w mikrobiowory, ale przyszła produkcja zależała od przedstawienia im niezbitego dowodu skuteczności nanorobotów. Pewnie ktoś tam z ichniejszej wierchuszki, najwyraźniej niezadowolony z tego, jak się spisali na olimpiadzie w Pekinie, powiedział: „Niech gość pokaże, że te ustrojstwa działają. Jeśli weźmie dobrego sportowca i zrobi z niego mistrza światowego formatu, będziemy mieli dowód, że nie opowiada bajek”.

– Jakie ustrojstwa? – spytała Pia. – Powiedziałeś: „Niech gość pokaże, że te ustrojstwa działają”. O jakich ustrojstwach mówisz?

– Tych samych, które widziałas w próbkach krwi.

– Niebieskie nanoroboty.

– Zgadza się. Wiesz, co to dokładnie?

– Stawiam na respirocyty.

– Jestem pod wrażeniem.

– Nietrudno było się domyślić. To musi być coś, co zwiększa wytrzymałość sportowców. Sztuczne transportery tlenu. Czytałam o nich. To by wyjaśniało pewne medyczne anomalie, jakie wystąpiły u tego biegacza.

– Nasze respirocyty dostarczają tlen do krwioobiegu znacznie efektywniej niż naturalne erytrocyty. Tysiąc razy lepiej, mówiąc precyzyjnie. Są tak wydajne, że serce badanych może nie pracować przez kilka godzin, a mózg i inne istotne dla przeżycia narządy i tak otrzymają właściwą dawkę tlenu. To tłumaczy brak neurologicznych powikłań u tych z badanych, u których wystąpiło zatrzymanie krążenia i którzy pozostawali w stanie *de facto* śmierci sercowej przez godzinę lub dwie. Jak później odkryliśmy, przyczyną tych zaburzeń kardiologicznych była właśnie zbyt duża efektywność respirocytów. Wywoływały hiperoksję i stan hipermetaboliczny, który skutkowało swego rodzaju zawałem mięśnia sercowego z następczym zatrzymaniem krążenia. Pierwsi badani dostawali po prostu zbyt dużą dawkę, choć było to wszystkiego zaledwie pięć centymetrów sześciennych zawiesiny. Nie mieliśmy pojęcia, że respirocyty okażą się aż tak wydajne. To zresztą jest świetny prognostyk sukcesu mikrobioworów.

– I Chińczycy chcieli dowodu, że zaprojektowane i wytworzone w Nano respirocyty są w stanie w sposób znaczący podnieść wydajność sportowców?

– Tak. Wyszkoliliśmy kolarza, który wygrał etap w Tour de France. Ale wierchuszka postawiła bardziej konkretny warunek: chiński sportowiec ma zdobyć złoty medal w prestiżowych zawodach. Traf chce, że biegacz, którego wtedy ratowałeś, startuje w maratonie na mistrzostwach świata w lekkoatletyce. Zaczynają się już w piątek.

– W Londynie.

– Nie inaczej.

– Czyli właśnie tu jesteśmy? – spytała Pia. – W Londynie?

Twarz Bermiana pozostała nieprzenikniona.

– Ale oszukujecie i wasz biegacz zostanie zdemaskowany.

– Nie sędzę. Żaden z testów antidopingowych nie wykryje czegoś tak obojętnego jak nanoroboty o diamentoidowym płaszczu. Nawet gdyby postanowiono zrobić morfologię, szansa, że któryś z respirocytów trafiłby w pole widzenia, jest bardzo niewielka przy

minimalnych dawkach, jakie teraz stosujemy. Mam przecucie, że nasz biegacz wygra, liczę, że nie nazbyt zdecydowanie, bo takie otrzymał instrukcje. A kiedy tylko złoty medal zawisnie na jego szyi, Nano zwija się ze sportu. Niewątpliwie ktoś kiedyś odkryje, że to respirocyty stoją za zwycięstwami i pewnie zostaną wtedy opracowane stosowne testy, ale do tego czasu my będziemy zajmować się już czymś innym. A Chińczycy będą mieli swój dowód i uznanie, jakie wiąże się z sukcesami sportowymi na arenie międzynarodowej.

Bardzo im na tym zależy. Równie mocno jak na dominacji gospodarczej. Pragną sukcesów w sporcie, żeby udowodnić, że ich ustrój jest najlepszy. Pod tym względem niewiele się różnią od Związku Radzieckiego i Niemieckiej Republiki Demokratycznej, które w czasie zimnej wojny były gotowe zrobić wszystko, byleby sprzątnąć Amerykanom sprzed nosa olimpijskie złoto. Jestem pewien, że chcą w ten sposób wymazać i powetować sobie upokorzenia, jakich ich kraj zaznał w dobie kolonializmu.

Sport nic dla Pii nie znaczył, ale rozumiała, że może być w tym odosobniona. Miała jednak świadomość, że Berman stosuje po prostu oklepany chwyt, próbując usprawiedliwić haniebne środki rzekomo szczytnym celem. Przez cały czas jego perory nie opuszczał jej obraz ciał w pojemnikach. Był gotów iść po trupach i eksperymentować na ludziach, byleby osiągnąć to, co chciał.

– Czyli robisz to wszystko dla Chińczyków, żeby uzyskać od nich kasę.

– Inwestycje. Żeby zainwestowali w projekt mikrobiworów.

– Ale dlaczego tak ci na tym zależy? Czy ich pieniądze przyspieszą badania? A jeśli tak, to o ile? Dwa lata? Pięć?

– Raczej koło dziesięciu – powiedział Berman. – Bez chińskiego zastrzyku myślę, że minie z dziesięć lat, zanim mikrobiwory zostaną dopuszczone na rynek i wejdą do komercyjnego użytku. I to pod warunkiem że nie pojawią się inne nieprzewidziane problemy. A pomyśl tylko, co ich dostępność będzie oznaczać dla milionów pacjentów na całym świecie. Zrewolucjonizują leczenie chorób

zakaźnych i raka. Celowana, pozbawiona skutków ubocznych terapia. Chemio- i radioterapia przejdą do lamusa jako jakiś średniowieczny przeżytek. No i mikrobiowory najprawdopodobniej będą mogły też zapobiegać chorobie Alzheimera i ją leczyć. Mówimy tu o prawdziwym przewrocie w medycynie.

– Ale za jaką cenę?

– Taką, jaką widziałaś. To jest koszt. Tak jak mówiłem, głowę daję, że w Nano nie dzieje się nic, co nie miałyby miejsca w innych tego typu ośrodkach na całym świecie.

– Nie wierzę.

– A ja wiem to na pewno.

– Zapewniałaś mnie, że prowadzicie badania tylko na ochotnikach. Chcesz powiedzieć, że ci ludzie z akwariów zgodzili się dobrowolnie poddać wiwisekcji?

– Owszem, mówiłem, że to ochotnicy, i nadal tak twierdzę. Zostali skazani za przestępstwa zagrożone karą śmierci. Każda z osób poddawanych w Nano eksperymentom była lub jest skazańcem z celi śmierci. Chiny wykonują ze trzy tysiące wyroków śmierci rocznie, co osobiście niekoniecznie sam pochwalam, bo część z nich zapada za takie przestępstwa jak oszustwa czy defraudacje. Wybrano kilku takich skazańców i zapytano ich, czy chcą wziąć udział w badaniu medycznym.

– Przeprowadzaliście na nich wiwisekcje!

– Osobnicy, których widziałaś w akwariach, to badani, u których wystąpiły nieodwracalne zagrażające życiu powikłania na skutek wywołanej hiperoksją hipermetabolicznej niewydolności serca. Doszło u nich do śmierci mózgu, zanim zostali zamienieni w preparaty fizjologiczne. Dzięki ich poświęceniu mogliśmy ustalić odpowiednie i bezpieczne dawki. Nie przeprowadzono na nich wiwisekcji, jak imputujesz, w każdym razie nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Te zgony są ubolewania godne, ale nigdy nie zabiliśmy zdrowego badanego.

– O, w dechę! To mi ulżyło. Kamień z serca. Gdzie jest ten kontrakt,

który masz dla mnie? Podpiszę go w ciemno.

Berman wbił wzrok w Pię, czując, jak znowu zalewa go fala frustracji i gniewu. Jej jawny sarkazm jasno pokazywał, że wbrew temu, co sobie wyobrażał jeszcze minutę wcześniej, próby przekonania jej chybiamy celu. Odchrząknął.

– Posłuchaj, ci ludzie w akwariach doświadczalnych na dobrą sprawę już nie żyli, zanim zostali w nich umieszczeni. Zresztą gdyby nie przyjechali do Nano uczestniczyć w naszych pracach, i tak by zginęli. I to znacznie szybciej. Odkrycia rządzą się swoimi prawami, a nauka nie może się obyć bez ofiar. Od wieków poszukiwania nowych leków okupione bywają zgonami. Jeśli osiągniemy nasz cel z mikrobiworami choćby pięć lat wcześniej, pomyśl, ile istnień ludzkich zdołamy uratować. Miliony.

– To nie tak funkcjonuje i doskonale o tym wiesz. Kiedy po drugiej wojnie światowej sądzono nazistów, zadekretowano wyraźnie, że żaden kraj nie ma prawa przeprowadzać doświadczeń na więźniach. Nie sposób ich uznać za prawdziwych ochotników.

– Po wojnie amerykański rząd zakazał badanych krętkiem bladym wywołującym kiłę.

– Dobra, ale teraz już tego nie robi. A doświadczenia, o których mówisz, zostały całkowicie zdyskredytowane.

Berman zamilkł. Dyskusja nie przebiegała zgodnie z jego nadziejami, ale specjalnie go to nie zaskoczyło. Szanse, że Pia łatwo się podda i da przekonać, były od początku mizerne. Wiedział, że to wymaga czasu i nie zamierzał się poddać. Przyszło mu do głowy, że może jasne zestawienie strat i zysków bardziej przemówi jej do wyobraźni.

– Przez cały czas trwania badań straciliśmy może dziesięciu badanych, a uratować możemy miliony.

– Jak długo już trwa ten projekt z respirocytami?

– Od czterech lat. – Berman odetchnął z ulgą, zadowolony, że wreszcie zadaje sensowne pytania.

Westchnęła i obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Patrzył na nią z



miną, której nie potrafiła zinterpretować. Naprawdę wyobrażał sobie, że uda się mu ją przekabacić? Przekonać, by uwierzyła, że jego chory sposób patrzenia na świat jest usprawiedliwiony? Z narastającym przygnębieniem uświadamiała sobie, że tak. Berman serio wierzył, że zdoła ją urobić i skaperować. To dlatego poczuła się nagle taka przybita. Zastanawiała się, jak powinna to rozegrać, żeby mieć szansę ucieczki. Naprawdę są w Wielkiej Brytanii? Czy Berman nabierze się na jej kolejną komedię, po tym jak odegrała podobną już dwa razy? Co się z nią stanie, jeśli nie zgodzi się na rolę, jaką chciał jej narzucić? Będzie próbował zmusić ją siłą do seksu?

– Nigdy się z tobą nie prześpię – oznajmiła.

– Nie jestem potworem, za jakiego możesz mnie mieć w tej chwili. Powinnaś chyba dokładnie sobie przeanalizować to, o czym mówiłem. Tylko pomyśl, jakie możliwości kariery naukowej otwiera przed kobietą taką jak ty dostęp do najlepszego sprzętu i nieograniczonych funduszy. Uwierz mi, Mariel nie będzie ci już patrzyła na ręce, jeśli zgodzisz się wrócić do pracy badawczej. Wiem, że właśnie to chcesz robić, i daję ci szansę, o którą większość naukowców by się biła.

– Nie, jeśli musieliby rozkładać przed tobą nogi. To tak przekonujesz swoje dziewczyny, żeby z tobą spały? Szantażem?

– Przeciwnie. Opowiadałem ci o Whitney. Odbyłem z nią wiele bardzo burzliwych rozmów, zanim udało mi się przekonać ją do mojego punktu widzenia, i teraz jest moją najbardziej lojalną współpracownicą. Masz szczęście, że nie zostawiłem cię w jej rękach w Boulder, bo wtedy z pewnością nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy.

– Paul Caldwell mnie znajdzie.

– Niestety, ośmielę się w to wątpić. Jest z nim teraz twój przyjaciel George. Byli u mnie w domu. Potem pojechali do Nano, gdzie byli uprzejmi nawet się wylegitymować. Kilkakrotnie odwiedzali też twoje mieszkanie. Teraz siedzą u Paula i załamują ręce. Może się nawet za nie trzymają. Wiem, że Paulowi by się to podobało.

– Ma w sobie dziesięć razy więcej męskości niż ty.

– No cóż, jest spora szansa, że żadne z nas się o tym nie przekona.

– Pójdą na policję.

– O tak, głowę daję, pobiegną nawet. Ale nie wiem, czy podzielenie się ze stróżami prawa obawami o twoje bezpieczeństwo przyniesie im dużą ulgę. Pamiętasz, jak pomocni okazali się dzielni funkcjonariusze, gdy ich ostatni raz widziałas.

Pamiętała. Ewidentnie przynajmniej część policjantów siedziała Bermanowi w kieszeni. Nie mogła wykluczyć, że blefuje co do Paula i George'a, ale nie zdziwiłaby się, gdyby kazał obserwować mieszkanie Caldwell. Póki co musiała radzić sobie sama.

– Ręka mnie boli – poskarżyła się. – Jest tu jakiś lekarz? – Chciała zobaczyć czyjaś twarz, czyjąkolwiek byle nie Bermana.

Skinął głową.

– Cieszę się, że pytasz. – Wziął to za dobry omen, znak, że Pia potrafi wznieść się ponad swoją obrażoną moralność. I bardzo chciał, by już wydobrzała. Nadal desperacko pragnął ją pościć fizycznie, jednak nie taką nadwerężoną. W końcu musiał trzymać pewien poziom.

Odwrócił się i zastukał dwa razy w drzwi. Otworzyły się i na progu stanął sześćdziesięcioletni mniej więcej Chińczyk w białym kitlu. Podeszedł do dziewczyny i poprosił, żeby wstała, potem zaczął oglądać jej lewe ramię i gips na nadgarstku.

– Zapomniałem ci jeszcze o czymś powiedzieć – rzucił Berman. – Może to ci pomoże podjąć decyzję. Na wypadek gdyby twoim przyjaciółom udało się nakłonić jakiegoś sędziego do wydania nakazu przeszukania firmy, chcę cię poinformować, że wszystkie ludzkie preparaty zostały zastąpione psami. Ludzie spełnili już swoje zadanie, zostali usunięci, a ich prochy wrócą do Chin i zostaną przekazane ich bliskim.

Co powiedziawszy, odwrócił się i zastukał w drzwi, by go wypuszczono.

## Rozdział 52

Komenda policji, Boulder, Kolorado

środa, 24 lipca 2013, 8.05

Paul i George przyjechali do komendy tuż po ósmej rano. Przez kilka minut siedzieli w samochodzie, zastanawiając się, jaką strategię powinni obrać. Wilson bardzo się niecierpliwił; tak było zresztą od chwili jego przylotu do Kolorado i rzucało się to w oczy również w jego wyglądzie: miał na sobie niedobre ubrania, a na twarzy dwudniowy zarost. Upierał się, że musi być jeszcze coś, co mogą zrobić oprócz wizyty w domu Bermana i próby dostania się do Nano, Paul radził na razie się wstrzymać. Po południu czekał go kolejny dyżur. Próbował wziąć trochę wolnego, ale w firmie, która miała kontrakt na obsługę SOR-u, już brakowało dwóch lekarzy, pozostali wyjechali na wakacje. W rezultacie musiał pogodzić poszukiwania Pii z pracą, inaczej niż George, który miał mnóstwo wolnego czasu. Przez wylotem z Los Angeles zdołał załatwić sobie dwutygodniowy urlop z pilnych powodów i teraz palił się do działania, jednak jego pomysły – włamanie się do domu Bermana i włamanie się do firmy – były w ocenie Caldwell'a śmiechu warte i tylko by zaszkoziły. Paul też odchodził od zmysłów, ale starał się tego nie pokazywać. Uważał, że powinni darować sobie nieprzemysłane akcje, żeby nie wpaść w kłopoty:

areszt był ostatnim miejscem, z którego mogliby pomóc Pii. Upierał się, że muszą postępować zgodnie z prawem i najlepsze, co mogą zrobić, to pójść na policję. W końcu ustalili, że jeśli przyjaciółka nie da znaku życia do rana, to właśnie uczynią.

A teraz siedzieli w aucie przed komendą i naradzali się. Paul najchętniej zresztą wszedłby do środka sam, ale George nie chciał nawet o tym słyszeć. Próbował go więc chociaż przekonać, że to on powinien rozmawiać z policją. Tłumaczył, że zna sytuację lepiej, widział Pię jako ostatni i to u niego miała się zjawić, a się nie zjawiła. W rzeczywistości jednak bał się po prostu, że George straci nad sobą panowanie i zacznie rzucać pod adresem Bermiana i całej firmy niestworzone oskarżenia, których nie będzie w stanie poprzeć dowodami ani nawet sensownie uzasadnić. Dla dobra sprawy powinni zachować spokój, mówić rzeczowo i bez emocji, a Paul to umiał. W końcu George dał się przekonać i obiecał, że będzie trzymał gębę na kłódkę.

Mimo to spotkanie z policją wcale nie okazało się tak łatwe, jak to sobie wyobrażali. Po półgodzinie czekania na straszliwie niewygodnych plastikowych krzeselkach w holu w towarzystwie lumpów i bezdomnych, nawet Paul zaczął tracić cierpliwość. George tymczasem chodził od ściany do ściany niczym zwierzę w klatce, co chwilę sprawdzał telefon i głośno wzdychał.

– No, co jest! – mruczał pod nosem, bardziej do siebie niż Paula. – Nikt nam nie pomoże?

Wreszcie pojawiła się jakaś funkcjonariuszka, wyczytała ich nazwiska i poprowadziła do biurka w głębi holu.

– Nie wejdziemy do środka? – spytał George. Naoglądał się seriali policyjnych i oczekiwał zgoła innego traktowania.

Młoda funkcjonariuszka z nazwiskiem Gomez na odznace, wyglądająca na góra szesnaście lat, obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Tutaj przeprowadzamy wstępne przesłuchania, proszę pana.

– Oczywiście, dziękujemy – rzucił pospiesznie Paul, piorunując kolegę wzrokiem.

Usiedli i Paul opowiedział o zaginięciu Pii. Zrelacjonował szczegółowo wypadki z ostatnich kilku dni oraz swój w nich udział, ale przemilczał, że nafaszerowała szefa narkotykami i włamała się do Nano. Widział, że George przez cały czas wierci się niespokojnie na krześle. Gdy skończył Gomez odłożyła długopis i notatnik i popatrzyła na lekarzy.

– Proszę pana, rozumie pan, że osoba pełnoletnia ma prawo opuścić miejsce zamieszkania bez uprzedzenia. I ma prawo do prywatności. Nawet gdybyśmy znaleźli ją w Denver, a ona powiedziała by, że nie życzy sobie, by określone osoby się z nią kontaktowały, nie moglibyśmy poinformować panów, gdzie jest.

– Oczywiście, jak najbardziej rozumiem. Jestem lekarzem, specjalistą medycyny ratunkowej. Na oddziale non stop mamy do czynienia z ofiarami przemocy domowej. Skąd macie państwo wiedzieć, czy nie szukam dziewczyny, by dać jej wycisk.

– Paul, to śmieszne – wtrącił się George. – Proszę pani, Pia Grazdani została porwana, jestem tego pewien. Wprawdzie nie dla okupu, jak to się zdarza najczęściej, ale porwana. Sprawcy chcą ją uciszyć i się jej pozbyć. Mój kolega nie mówi o tym otwarcie, bo się boi, że nie potraktujecie nas państwo poważnie. Ale ja mam pewność, że tak właśnie przedstawia się sytuacja.

Paul westchnął i popatrzył na George'a z mieszaniną frustracji i irytacji. Policjantka zeszytywniała i obrzuciła Wilsona badawczym spojrzeniem. Caldwell był pewien, że zupełnie inaczej interpretuje teraz jego wygląd: zarosnięte policzki i brudne, porozciągane ubranie.

– Pani funkcjonariusz – powiedział swoim uspokajającym tonem lekarza. – Mój przyjaciel jest bardzo zdenerwowany. Wiemy, że przed zaginięciem Pia udała się do dawnego miejsca pracy, korzystając z pożyczonej legitymacji. – Uznał, że dyplomatyczniej będzie nie zagłębiać się w techniczne szczegóły wybiegu, jakim się posłużyła, żeby pokonać zabezpieczenia firmy. – Zasugerowała wcześniej, że odkryła, iż firma dopuszcza się jakichś nielegalnych praktyk – ciągnął, jeszcze spokojniejszym i bardziej wyważonym tonem. – Wiem, że macie

państwo obowiązek podjąć bezzwłoczne działania, jeśli coś wskazuje, że dana osoba została porwana lub znalazła się w niebezpieczeństwie. Jestem przekonany, że tak właśnie jest w tym przypadku. Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem w poniedziałek nad ranem, wspomniała, że odkryła coś w firmie, i obiecała, że powie szczegółowo co, gdy wróci do mojego mieszkania. Potem przysłała esemesa z informacją, że jest już w drodze, ale nigdy do mnie nie dotarła.

– Z tego, co rozumiem, twierdzi pan, że dostała się na teren firmy nielegalnie? – spytała Gomez. – Mówimy o tym centrum nanotechnologicznym u podnóża gór, które wdrożyło taki zaawansowany system zabezpieczeń w ochronie przed możliwością szpiegostwa przemysłowego?

– Tym samym – George odpowiedział na pytanie skierowane do Paula.

– Niech panowie zaczekają – rzuciła Gomez, podniosła się i wyszła.

– Świetnie, George. Miałeś pozwolić, żebym to ja mówił. Teraz Pia awansowała z osoby zaginionej na podejrzaną ukrywającą się przed wymiarem sprawiedliwości.

– I co z tego? – spytał George. – Jak sądzisz, kogo będą szukać z większą werwą?

Trzydzieści minut później policjantka pojawiła się w towarzystwie mężczyzny w garniturze, który wyglądał jak uosobienie policyjnego starego wygi: miał niemodną fryzurę, siwe wąsy, nadwagę i staromodną marynarkę.

– Detektyw Samuels – przedstawił się, podając rękę najpierw Paulowi, potem George'owi. – Zadzwoniliśmy do zakładu pracy panów przyjaciółki i usłyszeliśmy, że panna Grazdani jest na płatnym urlopie z przyczyn zdrowotnych, a żadnych prób nieuprawnionego wtargnięcia na teren firmy nie odnotowano. Potwierdziliśmy tę informację u pracowników ochrony. Poinformowali nas, że nie doszło do żadnego włamania ani zaginięcia dokumentu, który mógłby posłużyć do dostania się na teren firmy, a jedynymi osobami, które podjęły podobną próbę, byliście wy, panowie.

Paul zerknął ukradkiem na George'a.

– Martwiliśmy się o naszą przyjaciółkę – wyjaśnił. – Była bardzo poruszona czymś, co odkryła w Nano.

– Powiedziała, co to takiego?

– Nie, ale domyślałam się, że ma to coś wspólnego z pewnym chińskim biegaczem...

– Pewnym chińskim biegaczem? – powtórzył Samuels z wyraźną nutą sceptycyzmu. – No dobrze, funkcjonariuszka Gomez streściła mi to, co panowie mówiliście. Wygląda na to, że wasze wersje, a przynajmniej interpretacja wypadków, różnią się zasadniczo od siebie. Pan, doktorze Caldwell, utrzymuje, że panna Grazdani była bardzo zdenerwowana i nie wróciła do pańskiego mieszkania w poniedziałek nad ranem po tym, jak włamała się na teren firmy. Pan natomiast, doktorze Wilson, jest przekonany, że panna Grazdani, pozostająca na zwolnieniu lekarskim, została porwana? Tak?

– Wiem, że została – sprostował George.

– Udaliście się panowie do jej mieszkania – ciągnął Samuels, posiłkując się notatkami Gomez – i znaleźliście w jej komputerze stronę w sieci z instrukcjami dojazdu do firmy w New Jersey...

– Ktoś specjalnie wczytał tam tę stronę. Żeby zmylić trop – rzucił George podniesionym głosem. – Pia nigdy nie sprawdzałaby dojazdu. Po prostu wsiadłaby do samochodu i pojechała. To najbardziej uparta, samowolna...

– Samowolna na tyle, by włamać się na teren firmy? – spytał Samuels.

– Nikt przecież nie zgłosił żadnego włamania – zaproponował Paul.

– I twierdzi pan także, że otrzymał esemesa nadanego z jej telefonu, ale nie wierzy, by to ona go wysłała. – Samuels zamilkł, dając wybrzmieć tej informacji. – A nie przyszło panom do głowy, że przyjaciółka bawi się waszym kosztem? Nie widzę nic, co by wskazywało na to, że została porwana. Przyjrzymy się jednak bliżej tej sprawie. Chętnie przesłucham panią Grazdani na okoliczność tego planowanego wtargnięcia na teren zakładu, o którym mówiła. Znam

wielu pracowników ochrony z Nano. To grupa świetnych fachowców. Kierownictwo firmy chyba niebezpiecznie przywiązuje wagę do ochrony informacji patentowych i poważnie podchodzi do incydentów nieuprawnionego wkroczenia na teren zakładu. Weźmiemy pod uwagę wszystko, co nam powiedzieliście, i skontaktujemy się z panami. Dziękujemy za zaufanie.

– Insynuujecie pan, że to właśnie Pia robiła? Kradła tajemnice handlowe i patenty w miejscu pracy?

– Niczego nie insynuuję, doktorze Wilson. Dobrze, panowie, myślę, że na razie to wszystko. Jeszcze raz dziękuję, że nas zawiadomiliście. – Zwrócił się do policjantki: – Chodźmy. Trzeba się zająć tą sprawą.

Gomez oddaliła się z nim posłusznie.

– Nie mów tego – rzucił George.

– Muszę – powiedział Paul. – Kiedy znika osoba pełnoletnia, policja wdraża natychmiastowe śledztwo tylko w przypadku poważnych dowodów wskazujących, że zaginięcie jest wynikiem czynu przestępczego. Tutaj zaś jedynym przestępstwem było to popełnione przez Pię.

– Ale przecież wiemy, że ją porwali.

– Jasne, my tak, ale spójrz na to z ich perspektywy.

– Słyszałeś, co mówił ten gość. – George ruszył w kierunku wyjścia.

– Kumpluje się z ochroniarzami z Nano. Wiem, że Pia zachowuje się czasem lekko paranoicznie, ale to tutaj na kilometr śmierdzi kumoterstwem. Idę o zakład, że co najmniej połowa ochroniarzy z firmy to byli gliniarze. Może powinniśmy pójść z tym do FBI? Żaden eksagent pewnie nie pracuje w Nano.

– Myślisz, że w FBI usłyszymy coś innego? Zresztą i tak pewnie odesłaliby nas z powrotem na policję.

– Czyli co? Zostaliśmy sami, to chcesz powiedzieć? – George nie wierzył własnym uszom. – Może chociaż spróbujemy oficjalnie zgłosić zaginięcie?

– A nie to właśnie przed chwilą próbowaliśmy zrobić?

– Tak, chyba masz rację. Ale nie możemy przecież siedzieć z



założonymi rękami i czekać nie wiadomo na co.

– Nie bardzo wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Słuchaj, George, bardzo chciałbym ci pomóc, naprawdę, ale uważam, że włamanie się do domu Bermiana czy inne tego typu akcje nic dobrego nie wniosą, jeśli to ci chodzi po głowie.

– Wiem, że gdybym tylko zdołał dostać się do Nano...

– To co, George? Zresztą to marzenie ściętej głowy. Miejsce jest pilnie strzeżone, naszpikowane kamerami, czytnikami i Bóg wie jakim jeszcze sprzętem. Nic byś nie zdołał.

– A co z tą szefową, Pii, Mariel Spallek czy jak jej tam? To kawał jędzy, ale kto wie? Moglibyśmy z nią pogadać, wybadać, co wie.

– Ewentualnie. Pod warunkiem, że ustalimy, jak się z nią skontaktować. Podejrzewam, że powinna być teraz w pracy.

– Mam wrażenie, że ona żyje tylko pracą – powiedział George. – Trzeba sprawdzić najpierw, gdzie mieszka. – Puścił do Paula oko.

Paul wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział. To już był lepszy pomysł niż próba włamania się do strzeżonego jak zamek domu Bermiana albo do Nano.

## Rozdział 53

Stara plebania, Chenies, Wielka Brytania

środa, 24 lipca 2013, 17.14

Większość dnia Pia spędziła w łóżku, prawdziwym łóżku, a nie na obskurnym materacu na podłodze w piwnicy, gdzie wcześniej rozmawiała z Bermanem. Zbadał ją lekarz, po czym dwóch mężczyzn zaprowadziło ją do małej sypialni: wcześniej musieli pokonać kilka cementowych stopni prowadzących na górę z piwnicy i korytarz z najniższym sufitem, jaki Pia widziała w życiu. Nawet ona musiała się lekko pochylić, gdy nim szli. Oświetlała go pojedyncza goła żarówka zwisająca smętnie z sufitu.

Pia miała nogi jak z waty i była przymulona. Straciła rachubę czasu i nie bardzo wiedziała, gdzie jest, dopóki nie otrzeźwiała trochę i mogła myśleć przytomniej. Po drodze z piwnicy mijali małe okienko i za szybą mignął jej przelotnie fragment ogrodu i kilka drzew. Padał deszcz i było pochmurno. Zachodziła w głowę, gdzie może być. W Kolorado? Ale Berman coś przebąkiwał o Londynie. Może są w Anglii?

Strażnicy przykuli Pię do metalowej ramy łóżka. W pomieszczeniu nie było innych mebli ani żadnych okien, a drzwi były ze stali. Znalazła się w kolejnej celi, tylko mniej wilgotnej niż ta piwniczna. Była wściekła na Bermana, że tak ją załatwił. Zauważyła basen, z którego, jak się

domyślała, przyjdzie jej korzystać. Zalała ją fala gniewu pomieszanego z upokorzeniem. Trzymali ją tu jak jakieś zwierzę.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły i do środka wszedł chiński lekarz.

– Mówi pan po angielsku? – spytała, ale popatrzył na nią obojętnym wzrokiem. Miał opuchniętą, pozbawioną wyrazu twarz i ziemistą cerę.

– I pan się mieni lekarzem? Zapomniał pan, że „po pierwsze nie szkodzić”?

Spuścił wzrok na jej rękę i Pia domyśliła się, że zaraz dostanie kolejny zastrzyk, po którym straci przytomność. Chwycił jej ramię.

– Nie, nie waż się! – wrzasnęła. – Nie chcę zostać znowu uśpiona. Zostaw mnie, ty dupku.

Wywinęła się z jego uścisku i zaczęła drzeć się na całe gardło, obrzucając go stekiem wyzwisk. Nie próbował jej obezwładnić ani przemówić do rozumu. Po prostu zastukał w drzwi i odsunął się na bok, gdy do środka weszło dwóch ochroniarzy.

– Zostawcie mnie! Żądam, żebyście natychmiast mi powiedzieli, gdzie jestem. Gdzie jest Berman? Chcę z nim porozmawiać.

Krzyknęła z bólu, gdy jeden z goryli chwycił ją brutalnie za chore ramię. Po kilku sekundach była już obezwładniona.

Lekarz wyciągnął przed siebie dłonie, pokazując, że nie ma w nich strzykawki, i zbadał jej rękę.

– Jesteś kolejnym nazistowskim Aniołem Śmierci, jak Berman. Nie ujdzie ci to płazem. Wiem, że mnie rozumiesz. Nie wywiniesz się od odpowiedzialności. Ciebie też dopadną.

Lekarz popatrzył na Pię i żaden mięsień na twarzy mu nie drgnął, nawet powieka nie zadrżała. Wyszedł bez słowa razem ze strażnikami.

## Rozdział 54

Livingstone Circle, Niwot, Kolorado

środa, 24 lipca 2013, 12.34

Kiedy się okazało że adres Mariel Spallek nie figuruje w żadnym z publicznie dostępnych rejestrów, Paul Caldwell skorzystał z pomocy zaprzyjaźnionego dyspozytora w pogotowiu, żeby ustalić, gdzie kobieta mieszka. Wynajmowała jedno z czterech mieszkań w jednopiętrowym budynku w zamożnym miasteczku sąsiadującym z Boulder.

– Dobra, jesteście na miejscu. Co teraz? – spytał, zaparkowawszy na wszelki wypadek jakieś pięćdziesiąt metrów od budynku. – Zamierzasz podejść do frontowych drzwi i ot tak, wcisnąć dzwonek?

– A dlaczego nie?

– Nie wspomniałeś przypadkiem, że się poznaliście? Co niby jej powiesz, że właśnie się wprowadziłeś do mieszkania obok i chciałbyś pożyczyć filizankę cukru? Albo że wstąpiłeś do policji?

– Na to chyba jestem trochę nieodpowiednio ubrany. – George poszedł w końcu do sklepu, ale w rezultacie tej wizyty wzbogacił swoją garderobę tylko parą tanich pepegow. – Nie wiem, co powiem. Coś wymyślę – zapewnił.

– Według Pii, to kawał megiery, ale nie głupiej, George. Musisz się wysilić.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Paul. O tej porze pewnie będzie w pracy. Na to liczę.

Zanim Paul odpowiedział, George wyskoczył z auta i ruszył do drzwi mieszkania Mariel. Wejście było odgrodzone od sąsiadów drewnianym ogrodzeniem. Wcisnął trzy razy dzwonek i czekał. Nikt nie odpowiedział, nie rozległo się też szczekanie psa, którym musiałby się martwić. Poszedł potem do drzwi obok na końcu szeregowca, zadzwonił i znowu nikt mu nie otworzył. Był gotów iść o zakład, że wszystkie te mieszkania wynajmują osoby samotne: garaże były jednostanowiskowe, a ogródki zaniedbane. Nigdzie nie poniewierały się dziecięce zabawki, a przy wejściu do każdego z domów znajdował się tylko mały kubeł na śmieci.

Ze spokojem, któremu sam nie mógł się nadziwić, obszedł budynek dokoła i zobaczył, że podwórka z tyłu odgrodzone są niskimi płotkami, które ciągną się tylko do linii drzew i nie tworzą zamkniętego ogrodzenia. Przelazł przez płot na podwórko Mariel, podszedł do tylnych drzwi i nacisnął klamkę, a gdy nie ustąpiły, znalazł kamień w ogrodzie, rozbił nim szybkę nad zamkiem, zwolnił zasuwę i ostrożnie wszedł do środka. To było łatwe, pomyślał.

Rozejrzał się za puszką czy panelem alarmu, ale niczego takiego nie dostrzegł. Dopiero wtedy wyszedł przez frontowe drzwi i podbiegł do samochodu.

– Odbiło ci? – spytał Paul.

– Prawdopodobnie. Masz w aucie jakieś rękawiczki? Wolałbym nie zostawiać odcisków.

– A co z sąsiadami? I alarmem?

– Nie ma żadnego alarmu i założę się, że o tej porze również żywej duszy w całym budynku. No, chodź. Bierz te rękawiczki i mi pomóż. Marnujemy tylko czas, tak gadając.

– Przykro mi, ja w to nie wchodzę. Zrobię wszystko, żeby pomóc Pii, ale w granicach prawa, George. Nie namówisz mnie do udziału we włamaniu. – Wyjął parę sterylnych rękawiczek chirurgicznych i podał je George'owi.

– Dobra – ustąpił George. – To chociaż rób za czujkę. Zatrąb albo zadzwoń do mnie, jeśli zobaczysz, że ktoś nadchodzi.

Eric McKenzie i Chad Wells już od trzech godzin śledzili subaru z charakterystycznym bagażnikiem na dachu i dwóch gości, którzy dzień wcześniej usiłowali dostać się do Nano. Szef ochrony powiedział na odprawie, że mężczyźni nie są niebezpieczni i nie trzeba interweniować. Poleciał im tylko jechać za nimi i nie dać się zauważyć.

To ostatnie napomnienie uruchomiło alarm w głowie Chada, gdy zobaczył, że subaru, spędziwszy najpierw ponad godzinę na parkingu przed komendą, skręca w bramę wjazdową zamożnego osiedla.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – spytał Eric, gdy Chad zjechał na bok. Śledzone auto zniknęło im z oczu.

– Popatrz na to miejsce. Jeden rząd domów za drugim, zero ruchu. Z miejsca nas zauważą.

– No i co z tego?

– To z tego, że szef wyraźnie polecił, żebyśmy nie dali się przyfilować, tępaku. Nie płacą nam za myślenie, co akurat świetnie się składa w twoim przypadku.

– Bardzo śmieszne.

– No więc lepiej pedału.

– Co?

– Wyskakuj z auta i uderz z buta. Sprawdź, czy ich zobaczysz. Byłem tu już kiedyś. To jedyny wjazd. Ja spiknę się przez radio z bazą i powiem, gdzie wjechali, może ustalimy, kogo mogą tu odwiedzać.

– Radio działa, gdy samochód jedzie, wiesz o tym – próbował oponować Eric.

– Sio. Już cię tu nie ma.

– Cholera z taką robotą – sarknął na głos Eric dziesięć minut później. – Kto w ogóle chciałby tu mieszkać? Ulice takie same, żywej duszy dokoła. Połowa mieszkań wygląda na puste. – Po subaru nie było nigdzie śladu, co nie dziwiło, zważywszy na wielkość osiedla. Ale

McKenzie szedł dalej w promieniach popołudniowego słońca, pocąc się w swoim sportowym płaszczu, którym zasłaniał broń, i kładł pod nosem na czym świat stoi.

Słuchawka od radia zatrzeszczała mu w uchu.

– Eric, gdzie jesteś?

– Licho wie, na jakiejś uliczce, która wygląda kropka w kropkę jak ta poprzednia.

– Dobra, dojdź do najbliższej przecznicy i powiedz mi, jak się nazywa. Geniusze z firmy domyślają się chyba, do kogo te tępaki poszły.

– Okay, mam. Jestem na rogu Franklina i Jacksona.

– Dobra, nie ruszaj się. Będę za pięć minut.

Założywszy lateksowe rękawiczki, George metodycznie przeszukiwał mieszkanie Mariel. Znalazł jakieś dokumenty w niezamkniętej szufladzie, ale bez znaczenia dla sprawy: papiery samochodu, gwarancje sprzętu domowego i tym podobne. Nagle zadzwoniła jego komórka i teczka wypadła mu z dłoni.

– Znalazłeś coś? – spytał Paul.

– Spallek idzie?

– Nie, nikt nie idzie. Dzwonię kontrolnie.

– To nie dzwoń. Omal nie wyskoczyłem ze skóry. Jeszcze szukam – rzucił George i się rozłączył.

Chad zatrzymał samochód w takiej samej odległości od domu Mariel jak lekarz, tylko z drugiej strony ulicy. Zobaczył przez lornetkę, że ktoś siedzi w subaru.

– Jeden jest w aucie, czyli drugi pewnie myszkuje w domu. Musieli się włamać. A to ponoć jacyś lekarze czy coś. Nie sądziłem, że łapiduchy biorą się teraz do włamów.

– No to czemu tu stoimy jak osły? – dziwił się Eric zawsze rwący się do akcji. – Przyskrzyńmy drani.

– Chwila, chwila, nie tak szybko. Coś ty taki w gorącej wodzie kąpany. Zamelduję o tym szefowi.

– Boże, co za nuda. – Eric wiercił się na fotelu, gdy kolega odbywał krótką rozmowę z szefem ochrony.

– Zawiadomimy policję – oznajmił Chad, gdy się rozłączył. – Takie mamy polecenia. Szef powiedział, że i tak nic obciążającego tam nie znajdą, lokatorka nie przynosi ważnych dokumentów do domu. Więc gość w środku może sobie szukać i myszkować, ile dusza zapagnie. Jeśli policja ich zdybie na gorącym uczynku, trafią na dołek i to im wybije z głowy dalszą zabawę w detektywów. Jeślibyśmy tam weszli i sami spróbowali im to wyperswadować, tylko by się bardziej zawzięli. Jeśli mają jaja, znaczy się. Goście naprawdę nie wiedzą, co robią.

– Szkoda.

– Wiem. Ale jeśli policja nic nie zdołała, potem my weźmiemy ich w obroty. Więc nie trać nadziei. Dobra, teraz dzwoń do swojego kumpla gliniarza i podaj mu namiary. Tu masz adres.

Chad podał Ericowi kartkę.

Paul popatrzył na zegarek, zaczynał się niecierpliwić, George siedział w środku już jakieś dwadzieścia pięć minut. Zerknął w lusterko: kilkadziesiąt metrów za nim stał zaparkowany samochód, którego nie było jeszcze minutę wcześniej. Próbował wyteńczyć wzrok, by zobaczyć, czy ktoś siedzi w środku. Wydawało mu się, że widzi przynajmniej jedną postać. Zadzwoił znowu do George'a.

– George, jakiś samochód zaparkował za mną. Nie widziałem, jak nadjeżdżał. Dopiero teraz go zauważyłem. W środku siedzą chyba dwie osoby. Tak mi się zdaje. Jedną widzę na pewno.

– Ale nie wysiadają?

– Nie.

– Tutaj musi coś być – upierał się George. – Ta kobieta siedzi w tym po szyję.



- George, wychodź. I tak siedzisz tam za długo.
- Jeszcze minutka – rzucił George i się rozłączył.

Paul wychodził z siebie. Jedna minutka przeciągnęła się w dwie, potem trzy, później pięć. Zlewał się zimnym potem. Włączył silnik, żeby uruchomić klimatyzację i co rusz obsesyjnie zerkał w tylne lusterko na zaparkowane dalej auto. Nagle zobaczył, że z oddali nadjeżdża kolejny samochód. Żołądek podszedł mu do gardła: to był radiowóz. Pospiesznie wywołał numer George'a.

Wilson leżał na podłodze z wyciągniętymi przed siebie rękoma i sprawdzał, czy nie ma niczego pod sofą. Znowu zadzwoniła jego komórka i poczuł falę irytacji: Paul robił się naprawdę upierdliwy. Wstał, zerknął przez okno i zobaczył radiowóz zatrzymujący się dokładnie przed podjazdem Mariel.

– O cholera – zaklął i co tchu popędził do kuchennych drzwi, potem śmignął przez podwórze i rzucił się w lasek rosnący na tyłach. Mimo zarośli i gęstych drzew przedzierał się szybko dalej. Po kilku minutach przystanął, popatrzył w kierunku skąd przyszedł i zadzwonił do Paula.

Kiedy George nie odebrał telefonu, a dwóch umundurowanych funkcjonariuszy policji wysiadło z radiowozu i skierowało się do drzwi Mariel, Paul bardzo wolno ruszył. Popatrzył w lusterko i zobaczył, że stojący za nim malibu też oderwał się od krawężnika i jedzie za nim, utrzymując stałą odległość. Uznał, że to nieoznakowany radiowóz i spodziewał się, że lada chwila rozlegnie się ryk policyjnej syreny i zostanie zatrzymany. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Zadzwoniła za to jego komórka.

- George!
- Jestem w lesie na tyłach. Co się dzieje? – zapytał zdyszany Wilson.
- Gliny weszły do domu, a za mną jedzie ten samochód, który się wcześniej pojawił. Ale to nie może być policja, bo już by mnie zatrzymali.

– Jedź prosto do domu. To na pewno ochroniarze z Nano.

– Tak sądzisz?

– A któżby inny? Dobra, muszę iść. – George się rozłączył. Przedzierał się dalej przez las i w końcu dotarł do jakiejś drogi. Trzymając się w cieniu drzew, po dwudziestu minutach marszu doszedł do skrzyżowania. Ponownie zadzwonił do Paula.

– Jestem na jakiejś drodze – oznajmił. – Nikt mnie chyba nie ściga.

– Dzięki Bogu!

– A tamci nadal cię śledzą?

– Nie wiem, George. Nie widzę ich samochodu. Mam już tego naprawdę serdecznie dosyć. A za godzinę zaczynam dyżur.

– Jedź do szpitala. Ściągnę sobie współrzędne z telefonu. Wezwę taksówkę i zobaczymy się później.

– Przyjmujesz to wszystko tak spokojnie – zauważył Paul.

– Myślę, że dużo się już dowiedzieliśmy. Ktoś nas śledzi, zgadza się? To musi być Nano. Jeśli Pia niesłusznie by podejrzewała, że mają coś na sumieniu, po co by sobie zdawali tyle trudu?

– No, a masz jakiś plan, co zrobimy dalej?

– Nie. Ale potrzebujemy pomocy.

– Jasne. Tylko kto nam jej udzieli?

– Nie wiem, Paul, naprawdę nie mam pojęcia.

## Rozdział 55

Stara plebania, Chenies, Wielka Brytania

czwartek, 25 lipca 2013, 14.10

Pia czuła się tak, jakby pływała w melasie. Bez kolejnego zastrzyku usypiającego wieki minęły, zanim zasnęła, ale gdy już się jej udało, spała jak kamień. Jej organizm najwyraźniej nie pozbył się jeszcze całkiem narkotyku. Gdy się wreszcie ocknęła i powoli doszła do siebie, zaczęła się zastanawiać, ile czasu minęło. Nie widziała Bermana od chwili, kiedy ją zostawił w podziemnej celi po swojej perorze o nanotechnologii. Straciła zupełnie rachubę czasu i orientację w porach dnia: światło w jej pokoju zawsze się paliło. Zastanawiała się, kiedy miała miejsce ta rozmowa z Bermanem? Wczoraj? W zeszłym tygodniu? Równie dobrze mogło to być w zeszłym roku, jeśli o nią idzie. Bolała ją głowa, w oczach jej się mąciło i czuła się strasznie, ale musiała wziąć się w garść i pomyśleć.

Wcześniej nie bardzo mogła przeanalizować swoje położenie, bo była non stop pod działaniem narkotyków, ale teraz, gdy zaczęła przetrwać wszystko, co była w stanie sobie przypomnieć, naszło ją olśnienie. Berman powiedział jej zbyt dużo, by ryzykować teraz jej wypuszczenie. Znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Wiedziała, że albo mu ulegnie, albo drogo zapłaci za swój upór.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Przy łóżku stał plastikowy statyw kroplówki, na którym wisiał worek z roztworem soli fizjologicznej. W całym pokoju nie zauważyła niczego innego, co mogłaby użyć w charakterze broni. I nadal była przykuta łańcuchem do łóżka.

Gdy usiłowała to wszystko jakoś sobie poukładać, otwór w drzwiach, którego wcześniej nie zauważyła, otworzył się i zaraz szybko zamknął. Potem usłyszała szcęk zamka i do środka znowu wszedł lekarz. Pia usiadła gwałtownie na łóżku, gotowa do walki.

– Przyszedłem rzucić okiem na pani rękę. Chcą, żeby była pani w formie. – Mężczyzna nie patrzył Pii w oczy.

– Czyli jednak mówi pan po angielsku. A do czego niby mam być w formie? Co zamierzają ze mną zrobić? I co to za „oni” w ogóle? Jeśli jest pan lekarzem, ma pan obowiązek mi pomóc.

Drzwi się otworzyły, do środka wszedł strażnik, zamknął je i bez słowa popatrzył przed siebie.

– Gdzie jest Berman, ten Amerykanin...?

– Nie wolno pani mówić.

Lekarz chwycił jej chore ramię. Dopiero wtedy dotarło do niej, że oprócz głowy, ono także ją boli. Wiedziała dość o pęknięciach i złamaniach kości, by mieć świadomość, że powinna trzymać rękę na temblaku, by mogła się prawidłowo zrosnąć. Ale przez większość czasu leżała, i to głównie na brzuchu, może nawet na chorej ręce. Mimo całej nienawiści, jaką czuła do lekarza, pozwoliła mu ją delikatnie zbadać. Gdyby się nie zrosła lub nastąpiłby zrost nieprawidłowy, konieczna byłaby operacja.

– Ręka panią boli?

– Nie bardzo. To znaczy trochę pobolewa, ale da się przeżyć.

– Wie pani, jakie mogą być konsekwencje, jeśli pani to zaniedba i nie będzie uważać?

– Jestem więziona Bóg raczy wiedzieć gdzie, przykuta łańcuchem do łóżka. Ma pan tupet, żeby w tej sytuacji mówić mi, że stan mojej ręki zależy ode mnie.

– Jeśli nie zrosnie się prawidłowo, nie odzyska pani w niej

sprawności.

– Jakby to był teraz mój największy problem – prychnęła. Przyszło jej do głowy, że może to jej kiepska forma powstrzymuje Bermana, że tylko z tego powodu nie zaczął się jeszcze do niej dobierać. – Generalnie jestem cała obolała i słaba, a w dodatku całkiem bezbronna – dodała.

Mężczyzna milczał.

– Wie pan dla jakiego typu pracuje, prawda? – spytała po chwili.

Nic nie odpowiedział, zanotował tylko coś w małym zeszytiku i opuścił pokój. Wrócił chwilę później z miską i butelką wody. Pod pachą trzymał szarą teczkę.

– Przyniosłem wodę i zupę. Powinna pani coś zjeść. Amerykanin chce, żeby pani to przeczytała.

Postawił miseczkę na podłodze w zasięgu łańcucha i wyszedł. Teczka zawierała jakiś dziesięciostronicowy dokument opatrzony sygnaturą POUFNE i numerem seryjnym wydrukowanym jak znak wodny na każdej stronie. Przekartkowała go i cisnęła na podłogę w kąt pokoju; to był prospekt handlowy dla potencjalnych inwestorów przedstawiający plany rozwoju firmy do 2020 roku. Usiłuje mi pokazać, że niby to jest normalnym, praworządnym przedsiębiorcą i biznesmenem. Czy praworządni ludzie tak postępują, spytała samą siebie, unosząc ramię z łańcuchem. Za bardzo bolała ją głowa, by ją sobie dodatkowo zawracała jakimiś autopochlebczymi bzdetami Bermana.

– Jeśli chcesz, żebym przeczytała to gówna, to mnie stąd wypuść! – wrzasnęła w stronę drzwi.

Leżała na plecach i gapiła się w sufit. Nie czuła się dobrze, ale nie chciało jej się też już spać. Po jakimś czasie przypomniała sobie o misce, którą zostawił jej lekarz. Usiadła, od czego znowu zaczęła ją boleć głowa, gdy po jakiejś minucie ból trochę zelżał, zjadła zimną zupę. Przyciągnęła nogą folder i go podniosła. Z czystej nudy przeczytała całość.

Nanotechnologia na zawsze zmieni oblicze medycyny, głosiło pierwsze zdanie. Powiedz mi coś, czego nie wiem, parsknęła w myślach

Pia. Nanoroboty mogą usuwać blaszkę miażdżycową, udrażniając tym samym zatkane naczynia krwionośne, wyliczał dokument. Mogą likwidować nawet najbardziej agresywne komórki nowotworowe i patogeny, walczyć z zakażeniami, zasklepić rany, a nawet czyścić zęby.

Jednemu z zastosowań nanotechnologii poświęcono więcej miejsca niż innym. Nanoroboty mogłyby hamować odkładanie się patogennych białek w mózgu pacjentów we wczesnej fazie choroby Alzheimera, a nawet działać profilaktycznie, zapobiegając wystąpieniu choroby u osób obciążonych. Przypomniała sobie, że Berman opowiadał jej kiedyś o swojej matce zmagającej się z postępującą demencją typu alzheimerowskiego.

W chwili olśnienia przeszło jej przez głowę, że to dlatego tak ryzykował, szedł na skróty, nie wahał się posunąć nawet do zbrodni. Dlatego tak desperacko chciał przyspieszyć o te dziesięć lat badania nad sztandarowym projektem. Zastanawiała się, ile może mieć lat. Czterdzieści kilka? Zbliżał się do pięćdziesiątki. Jeśli był obciążony, pierwsze zmiany już mogły zachodzić w jego mózgu. Za dziesięć lat będą już zaawansowane. Była pewna, że trafiła w dziesiątkę, że jej domysły są słuszne. Tylko co jej po tej wiedzy?

Leżała i zastanawiała się nad motywami Bermana. Pragnienie znalezienia lekarstwa na chorobę Alzheimera było niewątpliwie szczytnym celem, badania prowadzone z myślą o osiągnięciu tego celu mogłyby być niezwykle ważnym, szlachetnym dziełem. Ale nie prowadzone tak jak w Nano. Napila się wody. Wiedziała, że nic nie może zrobić, dopóki nie zobaczy się znowu z Bermanem.

## Rozdział 56

Klub nocny Incense, Mayfair, Londyn

piątek, 26 lipca 2013, 2.27

Jimmy Yan nie przestawał zdumiewać Zachary'ego Bermana. Jemu samemu kleiły się powieki, z trudem utrzymywał otwarte oczy, a Chińczyk siedział w vipowskiej części nocnego klubu w Mayfair, pogrążony w rozmowie z uderzająco piękną Chinką, która była o dobre dwadzieścia centymetrów od niego wyższa. Druga kobieta, która przez jakiś czas dotrzymywała Bermanowi towarzystwa, znudziła się i wyszła jakieś pół godziny wcześniej. Klub pulsował ciężkim brzmieniem i roił się od atrakcyjnych młodych ludzi. Mimo że Berman próbował włączyć się do zabawy, tak naprawdę marzył tylko, żeby znaleźć się już w łóżku.

– Źle się bawisz? – spytał Jimmy, przekrzykując hałas.

– Prawie cię nie słyszę. – Berman przyłożył dłoń do ucha.

– Ale przecież lubisz takie miejsca. W Mediolanie uwielbiałeś się po niech włączyć.

– Wiem. Ale jest późno i jestem zmęczony.

Tak naprawdę chciał mieć u swego boku Pię. Mimo że bardzo się starał, nie mógł wyrzucić jej z myśli, świadom, że gnije teraz gdzieś na posłaniu na plebanii. Spodziewał się, był niemal przekonany, że chiński lekarz mu przekaże, że Pia chce go widzieć. Jednak nic takiego nie

nastąpiło. Spytał nawet Chińczyka wprost, ale ten utrzymywał, że dziewczyna niczego takiego nie powiedziała. Sytuacja była patowa, wzięwszy pod uwagę, że oboje lubili stawiać na swoim. Przeklął w duchu jej ośli upór, choć miał jednocześnie świadomość, że stanowi on część jej uroku.

Ziewnął i zakrył usta dłonią, żeby to ukryć. Był skonany. Chińczyk natomiast wyglądał równie rześko i świeżo jak rano, gdy wstał z łóżka, choć obaj cały dzień byli na nogach i w ruchu. Pojechali z Chenies na stadion i do wioski olimpijskiej, ta sześćdziesięciokilometrowa podróż, która powinna zająć im góra godzinę, zajęła trzy z uwagi na potworny ruch i nieludzkie korki na drogach, które wedle miejscowych standardów uchodziły jedynie za spore.

Berman wcześniej wielokrotnie wiercił przyjacielowi dziurę w brzuchu, żeby pozwolił mu się zobaczyć z Yao Hong-Miau, maratończykiem, w którego nogach leżała przyszłość Nano. Jimmy w końcu uległ tym prośbom i zabrał go do mieszkania, w którym przebywał biegacz. Leżał na łóżku, gdy przyszli, wydawał się spokojny i dobrze przygotowany. Poinformował ich, że stara się nie opuszczać kwatery, bo na zewnątrz jest zbyt wiele atrakcji i to go dekoncentruje, przez większość czasu więc odpoczywa i nieforsownie trenuje.

Po wizycie u maratończyka Berman szybko się przekonał, że chłopak miał rację w kwestii atrakcji, jakie miasto miało do zaoferowania. Londyn był w pełni sezonu wakacyjnego i na ulicach panowała atmosfera letniej fiesty. Zostawili samochód z kierowcą w Stratfordzie, gdzie odbywały się mistrzostwa, i pojechali metrem – ostatni raz Berman podróżował nim, gdy jako student Yale wybrał się na objazd po Europie – do śródmieścia. Niewielkie wagony pękały w szwach od ludzi, z których dwie trzecie wyglądało na turystów. Dokoła rozbrzmiewał różnojęzyczny gwar. Jakiś uliczny grajek zaczął śpiewać piosenkę Sinatry, fatalnie fałszując, i został zakrzyczany przez grupkę Australijczyków z puszkami piwa w rękach.

Przez wąskie uliczki i chodniki centrum także przewalało się mrowie turystów i londyńczyków. Grupki uzbrojonych policjantów



stały na głównych skrzyżowaniach, a miejscowi funkcjonariusze usiłowali trzymać w ryzach pieszych i powstrzymać ich od chodzenia jezdniami. Dźwięki muzyki rockowej dobiegały z witryn sklepowych, powietrze przepętniała woń setek różnych kuchni. Dzień był gorący, słoneczny i Berman się zastanawiał, gdzie się podziała osławiona zła angielska pogoda.

– Jimmy, co my tu robimy?

– To Leicester Square, sam środek Londynu. Bajeczne miejsce, co?

– Nie. Za duży ścisk. Jeszcze nigdy nie widziałem takich tłumów.

– I mówisz to do Chińczyka? Ja widuję bez porównania większe na co dzień. Chodź.

Chwycił go za rękę i poprowadził bocznymi uliczkami do jakiejś knajpki. Nad drzwiami wisiał mały szyld w języku chińskim.

– Jesteśmy w Chinatown. Najlepsza chińska kuchnia w Europie. Ci ludzie pochodzą z mojej prowincji. – Najwyraźniej znał właściciela, który uklonił mu się trzy lub cztery razy.

Gdy zamówione dania pojawiły się na stole, okazało się, że jedzenie jest niewiarygodnie pikantne i zupełnie inne od tego, które Berman wcześniej miał okazję smakować.

– Nie za ostre? Prosiłem, żeby trochę złagodzili smak z myślą o europejskich podniebieniach.

– Dobrze – powiedział Berman, przeżuując kawałek mięsa, które paliło go w język. – Ale trochę piecze.

– Chcę, żebyś przestał zawracać sobie głowę tą kobietą. Wiesz, że ona nie zmieni zdania.

Berman się zastanawiał, skąd Chińczyk ma tę pewność. Uświadomił sobie, że w pokojach na plebanii prawdopodobnie zainstalowano pluskwy i Jimmy pewnie zna odpowiedź Pii na jego błagania.

– Zmieni zdanie – zapewnił. – Musi. Posłuchaj, Jimmy, doceniam, że zachowujesz tę sprawę w dyskrekcji przed swoimi przełożonymi.

– A skąd wiesz, że im nie powiedziałem?

– Wierzę, że nie. Jak na razie nie wydarzyło się nic, co mogłoby zagrozić naszemu przedsięwzięciu. Jediną konsekwencją jej zniknięcia

jest fakt, że dwaj goście w Boulder poszli na policję, ale raczej niewiele zwojują. Po prawdzie to raczej właśnie oni mogą mieć kłopoty, nie my. A o dziewczynie nie wiadomo nic pewnego.

Chińczyk wzruszył ramionami. Berman wiedział, że Pia nic dla Jimmy'ego nie znaczy. Ale dopóki kwestia ostatecznej umowy się jeszcze ważyła, mogła pozostać jego gościem. Maraton miał się odbyć dopiero za dwa tygodnie, zatem Berman miał wiele czasu, by przekonać dziewczynę. Jeszcze nigdy nie poległ w takiej sytuacji.

Teraz, ponad pół dnia od tego lunchu, po kilku godzinach zwiedzania i ciągnącym się w nieskończoność obiedzie, Berman miał dość i postanowił odmeldować się do łóżka.

– Jak chcesz – powiedział Jimmy. – Samochód czeka na zewnątrz, jeśli masz ochotę wracać. Ja omawiam tu z panią chińską politykę rolną. Serio. Przyjadę później.

Chińczyk odwrócił się do swojej nowo poznanej towarzyszki. Pogratulować, pomyślał Berman, ale ja jestem wykończony. Zastanawiał się, czy bierze się to z późnej pory czy z faktu, że myśl o Pii nie opuszczała go ani na chwilę. Podejrzewał, że to, co czuje do dziewczyny, wykracza poza wymiar czysto cielesny, bo w przeciwnym wypadku posiadłby ją siłą natychmiast po dotarciu na plebanię. Równie mocno jak jej samej pragnął jej uznania, chciał usłyszeć, że jest pionierem i że mogą rozwijać Nano razem. Współpraca z Chińczykami wkrótce się zakończy i nie będzie już potrzeby prowadzenia tajnych eksperymentów. Były konieczne, by uruchomić cały program i pozyskać na niego fundusze, ale teraz już wszystko miało się odbywać *lege artis* i w zgodzie z prawem. Pia będzie mogła nawet zaprosić przedstawicieli NIH<sup>5</sup> na inspekcję, jeśli ją to uspokoi.

Dyskdżokej zmienił płytę i nowy rytm wdarł się w uszy Bermana. Wyglądało na to, że Jimmy rzeczywiście nie zamierza opuścić klubu w najbliższym czasie, więc Zachary wstał ze skórzanej sofy, podziękował

---

5 National Institutes of Health – główna instytucja w USA zajmująca się badaniami biomedycznymi (przyp. tłum.).

przyjacielowi za pełen atrakcji dzień i ruszył poprzez tłum pięknych ludzi w stronę wyjścia.

## Rozdział 57

Mieszkanie Paula Caldwell, Boulder, Kolorado

czwartek, 25 lipca 2013, 20.55

Obaj lekarze mieli odmienne zdanie co do prawdopodobieństwa wizyty policji w związku z ich wypadem do domu Mariel Spallek, ale Paul nie ucieszył się, gdy wyszło na jego. Na szczęście zdążyli wcześniej uzgodnić swoje wersje, zanim u drzwi Caldwell stanął wieczorem detektyw Samuels z kolegą, którego przedstawił jako detektywa Ibbotsona. Cała czwórka usiadła w salonie: Paul i George na sofie, a policjanci na kuchennych krzesłach naprzeciwko. Atmosfera była napięta. Samuels zagaił:

– Możemy porozmawiać tutaj albo bardziej oficjalnie jutro na komendzie. – Patrzył na Paula jako gospodarza, ale odpowiedział mu George.

– Chętnie porozmawiamy tutaj.

– To dokąd panowie się udali po wczorajszej wizycie u nas?

– Jeździliśmy po mieście, zastanawiając się, co możemy zrobić. Martwiliśmy się o naszą przyjaciółkę, a rozmowa w komendzie nie rozwiązała raczej naszych obaw. Poczuliśmy się trochę zlekceważeni.

– Przykro mi, jeśli odnieśliście panowie takie wrażenie, ale nadal badamy tę sprawę. I dokąd pojechaliście?

– Około trzynastej trzydzieści pojechaliśmy do Niwot. Ustaliliśmy, że mieszka tam bezpośrednio przełożona Pii, Mariel Spallek. Mieliśmy nadzieję, że może będzie w domu i z nami porozmawia, odpowie na kilka pytań. Naprawdę nie mamy pojęcia, co w tej sytuacji zrobić. Ale nie zastaliśmy pani Spallek, więc uznaliśmy, że wrócimy tam jeszcze nazajutrz, i odjechaliśmy.

– Byliście tam panowie około pierwszej trzydzieści, tak? – spytał Samuels.

– Mniej więcej wtedy, zgadza się – powiedział krótko George, mimo że o tej godzinie siedział już bezpiecznie w taksówce i wracał do domu.

– I pan może to potwierdzić? – Samuels zwrócił się do Paula.

– Tak. Pamiętam, która wtedy była, bo spieszyłem się do szpitala. Już byłem spóźniony.

– Paul pojechał do pracy, ja wziąłem taryfę – brnął George, choć wiedział, że jeśli sprawdzą, ustalą, że owszem, wezwał taksówkę, ale z zupełnie innego miejsca.

– Dlaczego pojechał pan taryfą?

– Paul spieszył się na oddział, nie chciałem, żeby mnie podrzucił i spóźnił się jeszcze bardziej.

Samuels przyglądał się badawczo obu lekarzom. Domyślał się, że kłamią w żywe oczy, ale biorąc pod uwagę ogólną sytuację, nie miało to aż takiego znaczenia.

– Czyli zadzwonił pan do drzwi panny Spallek i nikt nie otworzył?

– Zgadza się – potwierdził George.

– A widział pan w okolicy kogoś podejrzanego?

– Nie, nikogo. Naszą uwagę zwrócił tylko jeden samochód, który wydał nam się podejrzany

– Dlaczego?

– No, stał zaparkowany na tej samej ulicy, trochę dalej od domu pani Spallek, a w środku siedziały dwie osoby. Wydało nam się to dziwne i rzuciło się w oczy, bo cała ulica była poza tym pusta.

Paul skinął głową.

– Możecie opisać ten samochód?

– Granatowy sedan – powiedział Paul. – Amerykański. Buick albo coś podobnego. Przeszło mi nawet przez głowę, że to policja. Wyglądał tak ponuro. Bez obrazu.

Samuels popatrzył na Paula, potem na George'a. Bardzo sprytnie, pomyślał i zamknął notatnik. Cała ta sytuacja nie była warta jego zachodu. Wiedział, że policja dostała cynk z Nano, sugerujący, że obaj lekarze są pod obserwacją ochrony z firmy, prawdopodobnie dlatego, że usiłowali, nieskutecznie, dostać się na jej teren. Nos mówił Samuelowi, że cała historia ma jakieś dziwne romantyczne tło, ale nie chciał w to wnikać ani snuć domysłów. Gołe fakty przedstawiały się zaś tak, że ktoś, może właśnie któryś z siedzących naprzeciwko lekarzy, włamał się do mieszkania Mariel Spallek, jednak niczego nie ukradł ani nie uszkodził poza szybką w tylnych drzwiach. Funkcjonariusze, którzy udali się na miejsce zdarzenia, nikogo nie widzieli, drzwi nosiły ewidentne ślady włamania. Co najważniejsze, Mariel Spallek nie była zainteresowana ściganiem sprawców i nie złożyła nawet oficjalnego zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa.

– Detektywie Ibbotson, może pójdzie pan już do samochodu. Zaraz do pana dołączę – powiedział.

Jego partner skinął głową i wyszedł.

– Nie wiem, co się tu dzieje – ciągnął Samuels – ale mam wrażenie, że powinniście panowie przestać się bawić w detektywów, zanim się wpakujecie w prawdziwe kłopoty. Znam pracowników ochrony z Nano i zapewniam, to nie są głupcy. Następnym razem, gdy spróbujecie wywinąć podobny numer, mam nadzieję, że nie dorwą was pierwsi.

– To brzmi jak pogróżka – stwierdził George.

– Ale nią nie jest. To tylko przyjacielska rada. Pańska dziewczyna wróci, jeśli będzie chciała. Tak się dzieje w 99,9 procentach podobnych przypadków. Jeśli nie będzie chciała, to nie wróci. Ale będziemy dalej badać tę sprawę. Jesteśmy w bezpośrednim kontakcie z kadrami Nano, mamy rysopis i zdjęcie kobiety. Są też dowody na to, że po wysłaniu esemesa do pana wróciła do swojego mieszkania, a potem udała się na Wschodnie Wybrzeże. My oczywiście będziemy trzymać rękę na pulsie,

ale panom szczerze radzę: odpuście, zanim traficie do paki albo stanie się wam jakaś krzywda.

Samuels wstał i wyszedł.

– Dziwne, że przyszli, akurat gdy skończyłem dyżur – stwierdził Paul, gdy zostali sami.

– To jasne, że ochrona Nano nas śledzi i jeszcze nastąpiła na nas policję, a my nie jesteśmy ani o krok bliżej ustalenia, gdzie jest Pia. Nie wierzę, żeby pojechała do New Jersey. Została porwana, jestem tego pewien. Myślę, że przez Bermiana. Ale sami nie mamy szans jej znaleźć.

– To co, do diabła, zrobimy? Policja najwyraźniej nie traktuje nas poważnie.

– Kiedy Pia była w opałach, uratował ją jej ojciec. Chyba muszę poprosić go o pomoc. Bardzo niechętnie, bo to jest najgorszego sortu gangster.

– Ojciec Pii? Nie wiedziałem, że ma rodzinę.

– Jest szefem, a przynajmniej wysoko postawionym członkiem jednej z albańskich organizacji mafijnych działających na terenie Nowego Jorku. Nawet nie wiem, czy będzie skłonny coś zrobić, ale pomógł jej poprzednim razem, gdy wpakowała się w bardzo podobny kanał. Wtedy też została porwana. Rety, przyciąga do siebie nieszczęścia jak magnes.

– Albańska mafia? Dobry Boże! Chyba oglądałem jakiś film na jej temat. Niezwykle brutalna.

– Tak.

– Jak się nazywa jej ojciec?

– Burim Graziani czy jakoś tak.

– Nie Grazdani, jak Pia?

– Z jakichś powodów musiał zmienić nazwisko.

– A jak ją uratował?

– Została porwana przez konkurencyjny albański gang, któremu jacyś finansisci spod ciemnej gwiazdy zlecili jej zabicie. Ale gang tego nie zrobił, bo miała albańskie nazwisko. Skontaktował się z jej ojcem, który potwierdził, że to jego rodzina. Ci Albańczycy są trochę jak

włoska mafia, jeśli chodzi o rodzinę i specyficzne pojęcie honoru.

– Mafia czy nie mafia, chyba powinniśmy spróbować z tym Burimem. Dlaczego uważasz, że mógłby nie chcieć pomóc?

– Po tym, jak ją uratował z rąk tego konkurencyjnego klanu, próbował odbudować z nią stosunki, zacząć wszystko od nowa, ale nie chciała o tym słyszeć ani nawet z nim rozmawiać. Kiedy miała sześć lat, oddał ją do domu dziecka, gdzie była psychicznie maltretowana. Nigdy mu tego nie wybaczyła. Zadzwoił do mnie, stąd mam numer jego komórki, i prosił, żebym się za nim wstawił, przekonał, żeby się z nim skontaktowała. Jak idiota dałem się namówić i próbowałem pomóc, ale Pia strasznie się wściekła, że się wtrącam w jej życie. Od tego czasu jej nie widziałem aż do kwietnia, kiedy tu wpadłem na jej urodziny.

Paul wzruszył ramionami.

– Ten ojciec rzeczywiście nie wygląda na postać z bajki, ale chyba nie mamy wielkiego wyboru. Policja z Boulder nie kiwnie palcem, dopóki nie pojawi się jakiś bezpośredni dowód, że została porwana. Podejrzewam zresztą, że wywieźli ją z Boulder.

– Też tak myślę.

– Mam kumpla na lotnisku. Może na początek spróbuję ustalić, czy odrzutowiec Nano jest na miejscu, a jeśli nie, to dokąd poleciał. Nie wiem, czy mają takie informacje, ale przecież piloci muszą przedstawić jakiś plan lotu.

– Na pewno nie zaszkodzi spróbować – stwierdził George. – Cholera. Wolę się trzymać z daleka od typów w rodzaju tego Burima, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

– Powinieneś do niego zadzwonić – powiedział Paul.

– Po prawdzie to już to zrobiłem. Oczywiście nie odebrał. Musiałem podać swoje nazwisko i numer komórki.

Telefon zadzwonił godzinę później. Gdy tylko Wilson zaczął mówić, dzwoniący mu przerwał. Przyznał, że nie jest Burimem i nie chce słyszeć żadnych szczegółów przez telefon. Jeśli George chce



porozmawiać z panem Grazianim, to tylko osobiście i w publicznym miejscu, co oznacza, że będzie musiał przyjechać do Nowego Jorku. I lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego. Jakkolwiek zaproszenie nie brzmiało entuzjastycznie, George się ucieszył. Pozostawało jednak pytanie, jak ma się wydostać z Boulder niezauważony, skoro ochrona z Nano ma ich na oku.

W końcu wykupił bilet na samolot do Newark odlatujący o 8.37, a potem ustalili z Paułem plan działania, który miał odwrócić uwagę ochroniarzy i pomóc mu dostać się na lotnisko w Denver bez ich nadzoru. Dlatego właśnie Paul o czwartej nad ranem siedział w swoim subaru na parkingu przed domem.

– Ej, Eric, ruszyli się.

Nie doprowadziwszy do aresztowania Caldwell i Wilsona w domu Mariel Spallek, Chad Wells i Eric McKenzie dostali nocny dyżur. Zaparkowali na ulicy, w pewnej odległości od bloku Caldwell, w miejscu, które zapewniało widok na parking. Chad miał szczęście – zasnął, tak jak Eric, ale obudził się na czas, by zobaczyć, że subaru stoi z włączonymi światłami i pracującym silnikiem.

– Obaj w nim siedzą? – Eric przetarł zaspane oczy. – Która jest godzina, na litość boską?

– Około czwartej.

– Co, do cholery, wyprawiają o tej porze? Gdzie, u licha, mogą jechać?

– Chyba właśnie to musimy ustalić. Pamiętaj, że to lekarze. Może dostali pilne wezwanie.

– Wygląda na to, że obaj siedzą w aucie.

– Tak obstawiam – zgodził się Chad, choć nie widział dokładnie z tej odległości. Jak dotąd jednak obaj lekarze wszystko robili razem, uznał więc, że można bezpiecznie założyć, że teraz jest podobnie. Bał się, że w przeciwnym wypadku Eric zasugeruje, żeby został na miejscu, a nie uśmiechało mu się sterczenie na tym cholernym zimnie.

- Dobra, jedziemy za nimi. Tylko trzymaj się z daleka, okay?
- Kapuję.

Po pięciu minutach Paul ruszył; bardzo powoli wyjechał z parkingu, omiatając światłami samochód, który, jak sądził, ich śledził. Pomysł był taki, że miał pojechać do domu Bermana, pokręcić się po okolicy, a potem wrócić, zahaczając po drodze o szpital. Powinno mu to zająć co najmniej godzinę: dość, by George zdążył opuścić blok tylnym wyjściem i dotrzeć do zamówionego wcześniej samochodu z kierowcą, który miał czekać na stacji benzynowej osiemset metrów dalej. Wątpili, by w ich śledzenie zaangażowany był więcej niż jeden samochód, a nawet gdyby jakiś człowiek został na obserwacji przed budynkiem, nie zauważyłby, że George wychodzi tylnym wyjściem. Przynajmniej mieli taką nadzieję.

Gdy Paul odjechał, George opuścił zasłonę, odszedł od okna i odczekał jeszcze kwadrans. Potem zgodnie z planem wyszedł z bloku tylnym wyjściem i ruszył szybko ulicą, nie oglądając się za siebie. Pożyczył od Paula płaszcz sportowy i parę eleganckich spodni, które w miarę dobrze na nim leżały, żeby jako tako się prezentować na czekającym go o szesnastej spotkaniu. Na samą myśl o ojcu Pii robiło mu się nieswojo, a nawet lekko niedobrze, i czuł, że puls mu przyspieszył. Nie był z natury ryzykantem, ale wiedział, że nie ma wyboru. Kiedy dotarł na stację i zobaczył czekającą limuzynę, wiedział, że ich plan się powiódł.

Na wszelki wypadek spojrzął jeszcze przez ramię i zobaczył, że dokoła nie ma żywej duszy. Udało się.

## Rozdział 58

Stacja benzynowa Vince'a Lombardiego, autostrada New  
Jersey Turnpike  
piątek, 26 lipca 2013, 16.14

George Wilson siedział w restauracji Roy Rogers. Przypomniały mu się długie rodzinne podróże z czasów dzieciństwa, kiedy zatrzymywali się na odpoczynek i posiłek w podobnych miejscach. Jego rodzina zawsze miała własne jedzenie, kupując na miejscu tylko napoje, i George siedział i wsuwał domowej roboty kanapki z jajkiem, podczas gdy inne dzieci zajadały się hamburgerami. Pewnie właśnie dlatego dzisiaj zamówił hamburgera, ale odgryzł jeden kęs i nie mógł przełknąć nic więcej. Sącył więc tylko dietetyczną colę i czekał.

Dwadzieścia minut później, z ponad półgodzinnym spóźnieniem, pojawił się Burim Graziani aka Grazdani.

– Jeszcze czekasz – powiedział i George podskoczył lekko wystraszony, bo nie widział, jak gangster wchodził.

Towarzyszył mu drugi mężczyzna, który sądząc z wyglądu, mógł być z nim spokrewniony. Burim wyglądał tak, jak George zapamiętał: pięćdziesięciokilkulatek, drobnej budowy, średniego wzrostu, o ciemnej karnacji i czarnych jak smoła przesywających oczach. Lewy kącik ust, gdzie biegła stara blizna, podjeżdżał mu trochę do góry, co nadawało

twarży lekko szyderczy wyraz. Miał na sobie czarny golf i za dużą czarną kurtkę ze skóry. Usiadł, trzymając ręce pod stołem. George domyślił się, że jest uzbrojony. Drugi z przybyłych był większy i stał przy stoliku ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc na George'a niczym kot na struchlałą mysz.

– Oczywiście, że czekam – wychrypiał George. Odchrząknął. – Chciałem się z panem zobaczyć.

– To zupełnie inaczej niż ja. Raz się już spotkaliśmy, ale tylko straciłem czas. Prosiłem, żebyś mi pomógł, ale spieprzyłeś sprawę i jeszcze pogorszyłeś sytuację. Prawie dwa lata temu uratowałem tyłek swojej córki i w zamian za swój trud chciałem tylko szansy na... – Nie mógł znaleźć właściwego słowa.

– Pojednanie? – podrzucił George.

– Nie zgrywaj mi tu mądrali – warknął Burim i przez chwilę mierzył George'a spod zmrużonych powiek. – Ale tak, coś takiego. Miałem nadzieję trochę lepiej ją poznać, ale to już wielka pani doktorka, nie chce mieć ze mną nic wspólnego, bez kija nie podchodź.

– Jest w ogromnym niebezpieczeństwie.

– To niby tak już zawsze będzie? Ilekroć ona wpakuje się w jakieś gówno, ja będę musiał cię oglądać?

– Niech pan posłucha, jej szef w Kolorado...

Burim podniósł rękę.

– Ani słowa więcej. Musisz wyjść z moim człowiekiem na zewnątrz. Przeszuka cię.

– Przeszuka mnie? Dlaczego?

– Nie podoba ci się, droga wolna. Nie musimy rozmawiać. Czaisz?

George zrobił, co mu kazano. Oprychowaty towarzysz Burima zabrał go na tył granatowej furgonetki. Tam inny mężczyzna obszukał George'a brutalnie i bardzo dokładnie. Kiedy przeciągnął palcami przez jego włosy, posłał mu oko. Czyżby to był wujek, o którym opowiadała mu Pia? Nie odważył się jednak spytać Burima, gdy wrócił do stolika. Albańczyk dokończył swoją wodę.

– Dobra, studenciku. To nawijaj.

George zrelacjonował całą historię, podkreślając, że szef Pii, Zachary Berman, nastawał na nią seksualnie. Wyjaśnił, że dziewczyna nabrała podejrzeń, że coś dziwnego dzieje się w Nano, firmie badawczej, w której pracowała, i narobiła sobie kłopotów, usiłując ustalić, co takiego dokładnie. Wiedziała tylko, że to ma coś wspólnego z Chińczykami, bo znalazła nieprzytomnego chińskiego biegacza, który też był powiązany z Nano. Potem, kiedy chyba wreszcie odkryła, co jest grane, zniknęła.

– Napisała esemesa do przyjaciela z informacją, że już do niego jedzie, żeby mu wyjaśnić co i jak, ale do niego nie dotarła. Od tamtego czasu nikt jej nie widział. Razem z tym jej przyjacielem, też lekarzem, jesteśmy przekonani, że ten Berman ją porwał.

– Kiedy to wszystko się wydarzyło?

– Kilka dni temu. A dokładnie w poniedziałek nad ranem.

Burim popatrzył na swojego towarzysza.

– Zupełnie jak dwa lata temu. Jezu Chryste, ta dziewczyna jest niemożliwa. – Mężczyzna skinął głową. Burim przeniósł z powrotem wzrok na George'a. – Pia jest kropka w kropkę jak jej matka. Z tamtej też była mąciwoda. A to nic dobrego. Żadna z nich nie okazała mi szacunku.

– Pia miała ciężkie życie. W tych domach dziecka i poprawczakach...

– Uważaj, studenciku. Waż słowa.

George przełknął głośno ślinę, ale twardo ciągnął dalej:

– Te przeżycia odcisnęły się na niej trwałym piętnem. Nie potrafi wiązać się z ludźmi, nikomu nie ufa, mnie także. Nie ma wielu przyjaciół, tak naprawdę tylko dwóch, mnie i tego drugiego lekarza.

– O, błagam – prychnął Burim, unosząc ręce nad stół. – Nie mam ochoty tego wysłuchiwać.

– Próbuję tylko powiedzieć, że oprócz nas dwóch nikt się nie przejmie jej zniknięciem, nikt nie kiwnie nawet palcem. Jeśli naprawdę chce ją pan poznać, zbliżyć się do niej, to zajmie lata. I nie będzie łatwe. Na pewno nie zdarzy się z dnia na dzień, tak jak pan to sobie wyobrażał. Musi pan być cierpliwy.

– A dlaczego niby miałbym w ogóle zawracać sobie głowę?

– Bo to pańska rodzina. Krew z krwi, kość z kości. To dlatego przecież poprzednio ją pan uratował. Na pewno też nie było to łatwe i przyjemne, wyobrażam sobie, ale jednak pan to zrobił. Pia nie jest osobą, która ukłoni się i podziękuje w takiej sytuacji. Ma w sobie ogromnie dużo dumy, to na pewno coś panu mówi. Przez dwa lata nie odezwała się do mnie ani słowem po tym, jak próbowałem panu pomóc.

– Poważnie?

– Niestety.

Burim skinął głową.

– Krew z krwi. Wygląda kubek w kubek jak jej matka. Skóra zdarta, wiesz.

– Pańska żona musiała być bardzo piękną kobietą.

Burim popatrzył na George'a i zmrużył oczy.

– Nadal się uczysz na lekarza?

– Tak.

– Takiego od głowy? Psychiatrę?

– Nie. Robię specjalizację z radiologii.

– To skąd wiesz te wszystkie bzdety na temat Pii?

– Nie trzeba być specjalistą, żeby wiedzieć, przez co przeszła i jak się to na niej odbiło. Nie da się zaprzeczyć, że miała trudne życie, ale to niezwykła osoba: inteligentna jak diabli i bardzo piękna. Wielu mężczyzn się za nią ugania, jeśli chce pan wiedzieć, mnie nie wyłączając. Naprawdę się o nią martwię. Usiłowaliśmy z tym drugim lekarzem skłonić do działania miejscową policję, ale oni nie kiwną palcem w bucie, bo nie ma bezpośrednich dowodów, że ktoś Pię porwał. Przeciwnie, twierdzą, że wszystko wskazuje na to, że wyjechała z miasta, prawdopodobnie na Wschód, rzekomo z powodu nieodwzajemnionego uczucia, co jest straszliwą bzdurą. Krótko mówiąc, nic nie zrobią i każą nam czekać, twierdząc, że w większości podobnych spraw kobieta wraca. Ale ja wiem, że ona nie wróci. Ten gość, Berman, ją skrzywdził i porwał, głowę dam sobie uciąć. Może molestował. Zgwałcił. Niewykluczone, że nawet zabił. Mówimy o Pii. Pańskiej córce.

George urwał, miał nadzieję, że nie naciska zbyt mocno.

– Jeśli rzeczywiście ten cały Berman ją porwał, dokąd mógł zabrać? Masz jakiś pomysł?

– Nic konkretnego. Ale ten drugi lekarz, o którym wspominałem, ma przyjaciela na miejscowym lotnisku. Przez niego zdołał ustalić, że firmowy odrzutowiec, prawdopodobnie z Bermanem na pokładzie, odleciał z Boulder w dniu, w którym Pia zniknęła.

– Dokąd poleciał?

– Zgodnie z planem lotu do Włoch. Na jedno z lotnisk w Mediolanie.

Burim przez dobrą chwilę wyglądał przez okno.

– Krew z krwi – powiedział cicho. – Poczekaj tutaj.

Minęło dziesięć minut i kiedy George zaczynał już podejrzewać, że Albańczyk zabrał się na dobre, wrócił.

– Dlaczego przypuszczasz, że została zabita? – spytał. – Jakie są szanse, że jeszcze żyje?

– Nie sądzę, żeby została zabita. Myślę, że ją gdzieś więżą. Prawdopodobnie we Włoszech.

– Sęk w tym, że w Denver nie ma żadnych albańskich klanów. Ale to nie jest wielki problem.

– A we Włoszech? – spytał George.

– Z Włochami nie ma problemu. Mieszkałem tam nawet przez jakiś czas, zanim przyjechałem do Stanów. To tam poznałem i poślubiłem matkę Pii. Mamy mnóstwo ludzi we Włoszech. Zresztą to tylko osiemdziesiąt kilometrów od Albanii.

– Mam nadzieję, że zdoła ją pan znaleźć, i to szybko.

– Cholera! Już raz to zrobiłem – powiedział Burim. – Wygląda na to, że będę musiał zrobić ponownie. Ale lepiej żeby teraz okazała trochę więcej wdzięczności, bo trzeciego razu już nie będzie. – Na jego cienkich wargach wykwitł krzywy uśmiech.

O 23.10 tego wieczoru Burim Graziani siedział na swoim miejscu w klasie premium economy w airbusie brytyjskich linii lotniczych i czekał na lot na Heathrow. Popatrzył na zegarek. Samolot miał wystartować już przed pięcioma minutami, ale stewardesy chodziły jeszcze po pokładzie i sprawdzały pasy. Poza domem i samochodem bilet na ten lot był najdroższą rzeczą, jaką Burim nabył legalnie czy raczej półlegalnie, bo nazwisko na paszporcie nie było jego. Kasjer poinformował go, że ma szczęście, że w ogóle dostał jakieś miejsce na trzy godziny przed startem. Ktoś odwołał grupową rezerwację i wszystkie bilety trafiły do rąk chętnych z listy rezerwowej. Wszystkie, poza tym jednym. Burim zarezerwował lot, nie pytając nawet o cenę.

Rozmawiał z George'em Wilsonem w restauracji na stacji benzynowej przy New Jersey Turnpike jeszcze pół godziny. Zapewnił go, że postąpił właściwie. Policja nie zamierzała nic zrobić, a George nic zrobić nie mógł. Potrzebował pomocy zawodowców z dużymi możliwościami, jakimi dysponuje na przykład albańska mafia. Nie użył słowa „mafia”, powiedział „rodzina”, ale George zrozumiał, co ma na myśli.

Poprosił go, by jeszcze raz szczegółowo zrelacjonował mu całą historię. Niczego nie notował, zresztą niewiele tego było, więc z łatwością zapamiętał tę garść faktów. Wypytał jeszcze chłopaka, co wie o tym całym Bermanie. George powiedział, że gość jest naprawdę bogaty – ma własny jacht i oczywiście odrzutowiec.

Burim podrzucił chłopaka na dworzec w Paramus, bo George powiedział, że chce pojechać na Manhattan, żeby sprawdzić, jak się miewa Will McKinley. Potem wrócił do Weehawken do domu swojego szefa Bertiego Ristaniego. Berti bardzo cenił Burima jako bliskiego i lojalnego współpracownika i chętnie mu pomógł. W końcu chodziło o rodzinę. Poza tym był niesłychanie dumny, ilekroć uświadamiał sobie przy takich okazjach, jak daleko sięgają teraz macki albańskiej organizacji. Wykonał jeden telefon w imieniu Burima do osoby spoza albańskiej rodziny, ale z koneksjami i długiem wdzięczności. Nie było to proste zadanie, w ich fachu nawet jedna rozmowa telefoniczna wiązała



się z nie lada zachodem i wymagała skomplikowanych operacji z uwagi na ciągły nadzór FBI, jakim byli objęci. Berti skorzystał zatem z telefonu na kartę, żeby zadzwonić pod inny jednorazowy numer, w wyniku czego powinien otrzymać telefon zwrotny na trzeci aparat, który po jednokrotnym użyciu miał wyrzucić razem z pierwszym do Hudsonu.

Teraz pozostało im już tylko czekać. Berti pił wodę i żuł gumę. Po kryzysie zdrowotnym, jaki przeszedł pół roku wcześniej, oznajmił, że zamierza schudnąć, i ku zdumieniu swoich ludzi rzeczywiście zrzucił prawie dwadzieścia trzy kilogramy i czuł się świetnie.

– Wiesz, gdybyśmy byli policjantami, więzienia pękałyby w szwach – powiedział. – Potrafimy zwaćcać każde gówno sto razy szybciej niż gliny czy FBI.

– Bo znamy wszystkich przestępców – zauważył Burim.

– Właśnie! Może powinienem zgłosić się na ochotnika i pokierować tym całym CIA. Służyć swojemu krajowi. – Berti się uśmiechnął. – No, ale żebym nie zapeszył. Mam nadzieję, że te dupki mnie nie zawiodą.

– Berti, jeśli będę musiał poświęcić trochę czasu tej spra...

– Burim, spoko, niczym się nie przejmuj. Zrobisz, co będziesz musiał. – W końcu rozległ się dźwięk telefonu. – Poczekaj. To pewnie oni.

Odebrał i nie odezwał się ani słowem do dzwoniącego, ale przekazywał Burimowi informacje, zasłoniwszy mikrofon aparatu dłonią.

– Tak, samolot należący do Bermana wyleciał z Boulder tamtego dnia, potwierdzają. Leciał do Mediolanu. Tak mówił plan lotu.

Burim wstał.

– Poczekaj, to nie wszystko. – Berti słuchał. – Dowiedzieli się od swojego człowieka, który siedział wtedy w wieży. Był drugi plan lotu. Okay – rzucił do słuchawki. – I dziękuję. – Rozłączył się. – Pilot mówił coś o drugim planie lotu, który zamierzali złożyć w Biurze Odpraw. Powiedział, że we Włoszech zawracają i lecą na Stansted, niedaleko Londynu. To było lotnisko docelowe.

– Dzięki, Berti – powiedział Burim. – Jestem twoim dłużnikiem.

– Drobiazg, nie ma o czym mówić. W Londynie mamy swoich ludzi. Pomogą ci, gdy będziesz na miejscu. Załatwię, żeby ktoś wyszedł po ciebie na lotnisko. Tylko wracaj stamtąd cały i zdrowy, wiesz, że cię bardzo cenię. I załatw tego bydlaka, który porwał ci córkę.

Krzepiące słowa Bertiego rozbrzmiewały nadal w głowie Burima, gdy rękaw odsunął się wreszcie od samolotu i maszyna zaczęła kołować na pas lotniska w Newark.

## Rozdział 59

Stara plebania, Chenies, Wielka Brytania

sobota, 27 lipca 2013, 01.15

Pia straciła rachubę czasu, nie miała pojęcia, ile dni jest już w zamknięciu, ale wiedziała, że nie widziała Bermana od dawna. Jedynymi ludźmi, których oglądała, był chiński lekarz i ten sam strażnik, który nigdy nie patrzył jej w oczy. Raz na moment otworzyło się okienko w drzwiach i mogłaby przysiąc, że mignęła jej twarz Whitney Jones. Ramię jej już trochę mniej doskwierało, ale i tak czuła się apatyczna i rozbita. Zastanawiała się, jak długo jeszcze Berman zamierza ją tak torturować. Miała wrażenie, że mięśnie zaczynają jej zanikać z braku ruchu.

W końcu Zachary Berman pojawił się w jej celi.

– Czego chcesz? – spytała. Wydawało jej się, że widzi cień uśmiechu na jego ustach, co podziałało na nią jak płachta na byka.

– Masz ochotę na spacer? – zaproponował, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

– Jeśli tylko dzięki temu wyjdę z tego pokoju, to jasne – powiedziała Pia. Wykonywała wcześniej podstawowe ćwiczenia pilates, żeby trochę rozciągnąć i uelastyczyć zastałe mięśnie, ale wiedziała, że pokonanie nawet małego dystansu może jej sprawić problem.

Strażnik zdjął jej łańcuch i pomógł się podnieść. Czuła się potwornie słaba i pulsowało jej w głowie, była jednak w stanie ustać, trzymając się ściany. Poprowadził ją do drzwi, gdzie czekał już Berman z balkonikiem. Poczwała się pewniej – prawie jak człowiek, gdy chwyciła się jego poręczy i powłokła za Zacharym.

– Bardzo mi przykro, że tak się to potoczyło, Pia, naprawdę. Szkoda, że nie byłaś bardziej skłonna do współpracy. Musisz wiedzieć, że ogromnie wiele ryzykuję, trzymając cię tutaj.

Pia poczuła nagle niepokój – w tonie Bermana pobrzmiwała ponura, definitywna nuta.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Na spacer, przecież mówiłem.

Ciężkie drzwi otworzyły się z zewnątrz i weszli do ogrodu na tyłach plebanii. Ciągnął się na jakieś pięćdziesiąt metrów i ze wszystkich stron był otoczony gęstymi drzewami i obrzeżony wysokim drewnianym płotem. Dokoła trawnika biegła ścieżka, a w każdym rogu stała ławka.

– Chcę, żebyś odzyskała siły – powiedział Berman. – Myślałaś o naszej rozmowie? Przeczytałaś materiały, które ci dostarczyłem?

– Oczywiście, że o niej myślałam. I przeczytałam twoje materiały. Robią wrażenie, bez wątpienia. W 2020 roku Nano będzie największym graczem na rynku badań medycznych. Ale nie wspomniałeś tam o kilku aspektach swojej niezbyt chwalebnej przeszłości.

– Pia, błagam, spójrz na to bardziej dalekowzrocznie. Ci ludzie w akwariach, które widziałaś, i tak by zginęli, i to bezsensowną śmiercią. Myślę o nich jako o swego rodzaju pionierach. Dzięki ich poświęceniu, ich ofiarności będziemy w stanie dokonać niewiarygodnego przełomu w medycynie.

– To śmieszne i doskonale o tym wiesz. Trudno mówić o ofiarności czy poświęceniu w sytuacji przymusu. – Dobrze było spacerować, więc Pia szła dalej. Chciała, by rozmowa trwała.

– Pamiętasz, jaka byłaś podekscytowana, gdy zaczęłaś pracę w Nano? – zaczął z innej beczki Berman. – Entuzjizm, z jakim mówiłaś o badaniach, był naprawdę zaraźliwy. A kiedy przyszałaś na obiad z tym

swoim kolegą, rozmawialiśmy o możliwościach, jakie nanoroboty otwierają przed nauką. I to naprawdę jest cały nowy świat możliwości, nieograniczonych perspektyw. Nowe granice medycyny. Nanotechnologia zapewni skuteczne lekarstwa i terapie na tysiące chorób. I wiesz, że zaoszczędzi także pieniądze. Teraz Nano wejdzie w nową erę. Skończyłem ze sportowcami i nielegalnymi eksperymentami. Możemy zająć się na wielką skalę właściwymi doświadczeniami, najpierw na zwierzętach, potem na ludziach. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby można było wstrzyknąć kilka centymetrów sześciennych zawiesiny z respirocytami topielcowi? A co z chorymi na przewlekłą obturacyjną chorobę płuc, którzy nie są w stanie wejść nawet na jeden stopień schodów? Respirocyty by ich wyleczyły. Całkowicie. Dobro, którego dokonamy w przyszłości, będzie tysiąckrotnie większe niż zło, jakiego się dopuściliśmy w przeszłości. Tysiąckrotnie! Powetuje każdą krzywdę. Nie będziemy już musieli ryzykować czyimś życiem, by dostarczyć szybko gotowe respirocyty chińskim inwestorom. I mówiąc prawdę, czasem nawet żałuję, że w ogóle się do tego posunąłem.

Popatrzyła na niego spode łba.

– Gównu prawda. Nadal nie cofniesz się przed niczym.

– Rozumiem, że możesz mi nie wierzyć, ale mówię szczerze.

– Robiłeś to wszystko po to, żeby uratować siebie.

– Co masz na myśli?

– Opowiadałeś mi kiedyś o swojej matce, która ma chorobę Alzheimera. Dokument, który mi dałeś, dużo miejsca poświęca tej chorobie. Umierasz z przerażenia, że ciebie też dopadnie, i nie cofniesz się przed niczym, żeby znaleźć lekarstwo.

– Nie ma pewności, że zachoruję, ale owszem, prawdopodobieństwo jest duże. Oboje moi rodzice na nią cierpieli, widok ojca tracącego kontakt z rzeczywistością był tragiczny. Teraz moja mama szybko idzie jego śladem. Mam gen, który związany jest ze zwiększonym ryzykiem, co oznacza, że jestem w podwójnych opałach. Więc tak, skupiam się na badaniach nad alzheimerem i chorobami zakaźnymi, to taka zbrodnia?

– Więc się przyznajesz. Oczywiście, że to zbrodnia, jeśli w trakcie

badania zabijasz ludzi.

– Było ich może z dziesięciu i wszyscy byli przestępcami, skazanymi na karę śmierci. I tak by zginęli, nawet gdyby nie uczestniczyli w naszym programie. Zresztą wcale nie chcieliśmy, żeby umarli, nie taki był nasz cel. W rzeczywistości przyspieszyliśmy tylko to, co i tak było nie do uniknięcia.

Pia obiecała sobie wcześniej, że przy następnej okazji przyjmie bardziej pojednawczy ton w rozmowie z Bermanem. Rozumiała, że musi ustąpić i zgodzić na jego warunki, bo inaczej nigdy jej nie wypuści i Bóg jeden wie, co z nią będzie. Znała nawet ostateczny termin – bieg maratoński na mistrzostwach. Ale gdy przyszło co do czego, nie potrafiła się powstrzymać. Miała fatalny nawyk mówienia rzeczy, których mówić nie powinna.

Poczuła się nagle bardzo zmęczona. Wiedziała, że od jej wizyty u Bermana mogło minąć góra kilka dni, ale miała wrażenie, jakby upłynęły całe lata. Zastanawiała się, czy jeśli uda, że ustępuje, Berman ją uwolni. Może mogłaby go omamić perspektywą seksu, którego tak pragnął. Wiedziała na pewno, że dopóki jest tu więźniem, nic nie zdziała.

– Jak długo jeszcze zamierzasz mnie tu trzymać jak zwierzę?

– Jak długo zamierzasz jeszcze bronić się przed tym, co nieuniknione?

– Może do końca życia.

– Mówiłem już, że narażasz się tym samym na katastrofalne konsekwencje.

– Mógłbyś przynajmniej dać mi celę z prawdziwą łazienką. Czy też mam tak jak twoja matka robić w pieluchę? Lubisz, jak bliskie ci kobiety są upokarzane, co? O to ci chodzi, Berman?

Czekała gotowa na cios. Ale jej nie uderzył. Przystanął tylko. Widziała, że gotuje się z wściekłości.

– Masz szczęście, że jesteś w takim pożałowania godnym stanie. Na pewno wiesz, że gdybym tylko chciał, mógłbym już sto razy cię wykorzystać. Prawda wygląda tymczasem tak, że jeszcze cię bronię

przed naszymi gospodarzami, ryzykując, że ich cierpliwość się skończy. Ale to nie znaczy, że będę cię chronić bez końca. Zastanów się jeszcze raz nad swoją sytuacją. Co niby chcesz zrobić, przeleźć przez ten płot?

Pia popatrzyła na ogrodzenie okalające ogród: było niebotycznie wysokie, nie do pokonania w jej obecnym stanie. Nawet gdyby jej pozwolił, nie byłaby w stanie tego dokonać. Wiedziała, że Berman ma rację. Znalazła się w potrzasku, a nadzieja na ratunek była bliska zeru. Pewnie tylko Paul podejrzewał, że została porwana, ale co mógł zrobić, skoro nawet policja z Boulder siedziała Bermanowi w kieszeni.

## Rozdział 60

Lansdowne Road, Tottenham, północny Londyn, Wielka  
Brytania  
niedziela, 28 lipca, 3.35

– Lubisz ten sport, Burim?

– W innych okolicznościach – powiedział.

Starał się być dobrym gościem, ale od wielu godzin nie robił nic innego, tylko siedział i oglądał telewizję. Teraz jego gospodarze śledzili jakiś mecz bilardowy, być może poola. Burim ledwo mógł na to patrzeć i po trzech wypitych piwach odmówił, gdy proponowali mu kolejne. Musiał zachować trzeźwą głowę.

Wiedział, ile do tej pory miał szczęścia. Przyleciał na Heathrow, zmęczony i zdezorientowany, i został odebrany z lotniska przez mężczyznę z tabliczką z napisem PRZYJACIEL BERTY'EGO. Była ona również nieortograficzna co zbędna: nieogolony oprych o kruczoczarnych włosach był w sposób oczywisty jego kontaktem. Przedstawił się jako Billy i powiedział, że zajmie się Burimem. Poinformował go też, że dzwonił Berti z informacją, że policja znalazła w Iowa samochód, którym jeździła Pia, ale nadal nie widzi nic podejrzanego w jej zniknięciu.

Obaj mężczyźni pojechali potem w milczeniu do tego szeregowca w



cokolwiek podupadłej okolicy w północnym Londynie. Setki pytań cisnęły się Burimowi na usta, ale idąc za przykładem kierowcy, nie odzywał się.

Billy poprowadził Burima do wąskiego, zalatującego wilgocią domu z jaskrawą tapetą i przedstawił mu Harry'ego: trochę starszego i lepiej ubranego mężczyznę.

– Billy i Harry? – rzucił Burim powątpiewająco.

– Wiem – rzucił Harry. – Ale im mniej wiemy o sobie, tym lepiej, tak?

– Zgoda.

– Mamy pokój na górze. Jest niewielki, ale przecież nie będziesz się tu długo gnieździł. Możesz też wziąć prysznic, jeśli chcesz. Będziesz potrzebował jakichś ubrań.

– Poradzę sobie. A robimy coś w sprawie zlokalizowania mojej córki?

– Oczywiście. Dlatego właśnie tu jesteśmy. Mamy zdjęcie, które zostało przesłane, i rysopis. To piękna młoda kobieta. Co ułatwia nasze zadanie. Rozprowadziliśmy zdjęcie wśród naszych przyjaciół i znajomych, którzy mają swoich przyjaciół i znajomych. Słyszeli, że można dostać nagrodę. Bo można dostać nagrodę, tak?

Burim skinął głową. Wiedział, że takie pytanie się pojawi, i postanowił zapłacić. Nie wiedział jeszcze tylko ile. Przegnał tę myśl i sondował dalej.

– A co z tymi Chińczykami? Samolot, który przyleciał na Stansted figurował jako chiński rejs dyplomatyczny.

– Zgadza się – potwierdził Harry. – Co każe nam zakładać, że może kontakt w Ameryce ma błędne informacje. Sprawdzamy inne lotniska.

– Wiem, że w sprawie, którą badała moja córka, przewijał się wątek chiński.

– Owszem. Ale prawda wygląda tak, że jeśli to był chiński lot rządowy, to sprawa mocno się komplikuje. Jest kilka krajów, w których bardzo trudno się działa, i Chiny do nich należą. Triady stanowią tu w Londynie prawdziwy problem. Bardzo potężne i trudne do infiltracji.

Więc mamy nadzieję, że to nie był ten lot.

– A co ja mogę zrobić?

– Nic. Musisz siedzieć i czekać, aż nasi ludzie odwalą robotę. Nie znasz Londynu. To ogromne miasto i tylko byś się wpakował w kłopoty. Jest tu kilka albańskich grup, z którymi się nie przyjaźnimy, i wolelibyśmy ich unikać. Wiesz, jak jest. Pewnie u was wygląda to tak samo.

Burim skinął głową. Pomiedzy konkurencyjnymi albańskimi klanami zawsze toczyły się wojny podjazdowe.

– Napij się piwa i pooglądaj snookera. Fajna gra.

Harry się uśmiechnął i Burim skinął głową. Zgodził się. Póki co.

## Rozdział 61

Mieszkanie Paula Caldwell, Boulder, Kolorado

środa, 31 lipca 2013, 10.35

Wilson nie mógł się nadziwić, jak Paul znajduje czas na wszystko. Chodził do szpitala, brał nocne dyżury, pilnie pracował. Co kilka godzin dzwonił kontrolnie do domu, ale George niewiele miał do powiedzenia. Policja się z nim nie skontaktowała, Nano nie odpowiadało na jego e-maile, nadal nie zdołał ustalić numeru do Zachary'ego Bermiana i Burim Grazdani też się nie odezwał.

Nie mógł się na niczym skupić. Po krótkiej wizycie u Willa McKinleya w Nowym Jorku wrócił do Boulder i spędzał czas, chodząc z kąta w kąt i obijając się o ściany mieszkania Paula. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie przybity i sfrustrowany. Wiedział, że nic nie może zrobić, i doprowadzało go to do szaleństwa.

Tego dnia ponownie zadzwonił do komendy, gdzie odsyłano go już z miejsca do cywilnej urzędniczki. Potem wrócił do domu Paul i podsunął mu pomysł skontaktowania się z Whitney Jones. George był już w połowie książki telefonicznej, usiłując ustalić zamiary na jej rodzinę lub krewnych. Ten sam dyspozytor z pogotowia, który wcześniej pomógł im zlokalizować Spallek, ustalił miejsce zamieszkania Whitney, jednak szybko się okazało, że to adres Nano. Może kobieta

naprawdę mieszka w pracy, zastanawiał się George, przeklinając jednocześnie ją w duchu za to, że nosi akurat nazwisko Jones, a nie na przykład Johansson lub jakiś inne mniej popularne.

Nagle zadzwonił jego telefon. Na wyświetlaczu pojawił się długi ciąg cyfr. Więcej niż normalne dziesięć. Połączenie międzynarodowe. To Pia, pomyślał z nadzieją, jest bezpieczna. Odebrał.

– Pia?

– Żadnych imion ani nazwisk, pamiętaj – przestrzegł męski głos. Szorstki i urywany. Minęła chwila, zanim go zidentyfikował. Burim.

– Znalazł ją pan?

– Nie.

Dzwonił z miejsca publicznego, George słyszał głosy w tle i jakieś komunikaty z głośników w oddali.

– Gdzie pan jest? – spytał.

– Odezwała się do ciebie? Jeśli się skontaktuje albo czegoś się dowiesz, masz mi natychmiast dać znać, tak?

– Oczywiście. Na ten numer komórkowy, który na początku od pana dostałem?

– Tak, ale nic nie mów. Ja oddzwonię do ciebie. Czyli nic nowego nie wiesz?

– Nie.

– Dobra. W takim razie chcę, żebyś ściągnął dupsko tutaj – oznajmił Burim.

– Co? Dlaczego?

– Bo ja odwalam tu czarną robotę, a ty siedzisz na dupie w miejscu, w którym wiemy, że jej nie ma. Jasne?

– Chce pan, żebym mu pomógł?

– Nie podniecaj się, studenciku. Nie proponuję ci pracy. To upierdliwe zajęcie, ale musimy wykorzystać wszystkie możliwości. Wiem, że ją rozpoznasz, gdy się na nią natkniesz. Dobra, więc zabieraj się tutaj. Zadzwonię do ciebie jutro o tej samej porze.

– Ale gdzie pan jest? W Mediolanie?

– W Londynie. Przyjedź do Londynu. Wtedy się zdzwonimy. –  
Burim się rozłączył.

Poszukiwania Pii w Londynie okazały się póki co bezowocne. Harry potwierdził Burimowi, że owszem, samolot, który przyleciał na Stansted z Kolorado via Mediolan, był zgłoszony jako oficjalny lot chińskiego rządu. Dodał także, że nikt z jego znajomych nie ma żadnych powiązań z chińskimi triadami, tym bardziej zaś z administracją. Graziani zrozumiał, że miejscowi Albańczycy umywają ręce. Chińskie powiązanie było jak kamień młyński. Ale mógł zostać u swoich gospodarzy, jeśli chciał kontynuować poszukiwania na własną rękę. Zaczął się włóczyć po centrum miasta, zaglądając do noclegowni i tanich hotelików, burdeli i klubów dla mężczyzn. Wszędzie pokazywał zdjęcie Pii, tak że pozaginało się na rogach i pobrudziło od tysięcy dłoni. Wyobrażał sobie, że tak urodziwa dziewczyna pewnie jest sporo warta odurzona środkami narkotycznymi, jak wiele kobiet i dziewcząt z Europy Wschodniej. Jego albańskie kontakty nic nie ustaliły i zaczął się martwić, że szanse na jej odnalezienie nikną razem ze zdjęciem. Ale nie ustawał w wysiłkach. Chciał pomóc Pii, jeśli była w niebezpieczeństwie, potrzebował tylko jakiegoś punktu zaczepienia, czegoś więcej niż chińskie powiązanie, które póki co niewiele wniosło.

## Rozdział 62

Stara plebania, Chenies, Wielka Brytania

czwartek, 1 sierpnia 2013, 18.35

Kiedy Berman przyszedł po Pię, siedziała na łóżku i czytała. Obok stał stolik nocny i mała lampka. Spełnił jej prośbę i przeniósł ją do lepszego pokoju z normalną toaletą i umieszczonym wysoko małym okienkiem z szybkami w ołowianych ramkach. Mogła przez nie zobaczyć zielone drzewa i pastwiska. Przede wszystkim jednak wiedziała już, kiedy jest noc, a kiedy dzień. Zdjęto jej łańcuch, ale nadal zamykano na klucz drzwi, za którymi dwadzieścia cztery godziny na dobę dodatkowo pełnił wartę strażnik. Berman przyniósł jej jakieś stare książki do czytania i wydał dyspozycje, by raz dziennie wypuszczano ją na godzinny spacer po ogrodzie: jak psa, na smyczy, którą trzymał chodzący za nią strażnik. Kij i marchewka, myślał Berman.

Pia nabrała już sił i cała w środku buzowała od nierozładowanej energii. Ale nadal udawała chłodną i trochę obolałą, licząc, że troska Bermana o jej zdrowie nie przekształci się z powrotem w lubieżność.

Usiadł przy niej na łóżku. Zesztywniała, gdy położył dłoń na jej kolanie.

– Jak się czujesz?

– Rewelacyjnie – rzuciła sarkastycznie.

– Ale masz przecież książki i łazienkę. I wyglądasz lepiej. O niebo lepiej.

– No, jak modelka gotowa na wybieg. – Miała na sobie prostą czarną koszulkę i szorty w tym samym kolorze, które jej dano.

Dłoń Bermana podjechała w górę po udzie Pii. Strząsnęła ją.

– Nie chcesz się zagalopować – powiedziała. – Więc zabieraj to cholerne łapsko z mojej nogi, ty zboku. – Spiorunowała go wzrokiem, ale w odpowiedzi tylko przycisnął mocniej swoją nogę do jej nogi. Wywinęła się i trzepnęła go zdrową ręką. Powstrzymała się przed wyprowadzeniem ciosu w bok jego szyi, który jego wprawdzie posłałby na kolana, ale ją pewnie z powrotem do piwnicy. – To twój nowy sposób na przekonanie mnie? No to lepiej daj sobie spokój. Nie zadziała.

Ponownie położył dłoń na jej udzie i przesuwiał ją wyżej. Znowu ją strzepnęła.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnęła na całe gardło.

Berman podskoczył, lekko wkurzony, i wstał.

– Dobrze, już dobrze. Dotarło. Tylko się z tobą droczyłem, żeby zobaczyć, jak zareagujesz.

– No to zobaczyłeś.

– A tak naprawdę przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że zorganizowałem małą ucztę. Zjemy dzisiaj obiad razem w kuchni.

– Jak romantycznie – warknęła Pia. Odkąd odłączono kroplówkę, dostawała proste posiłki w pokoju. – Obiecuję, że zjem wszystko, jeśli tylko zatrujesz moją porcję.

Berman się zaśmiał.

– Pomyślałem, że cię uprzedzę. Może będziesz chciała się odświeżyć. Wrócę za pół godzinki.

Zgodnie z tym, co powiedział, wrócił po trzydziestu minutach i wypuścił Pię z pokoju. Zauważyła strażnika przy drzwiach, to był ten z pozbawioną wyrazu twarzą, którego widywała najczęściej. Ruszył za nimi po poza tym pustym domu.

Centralne miejsce w kuchni zajmowała duża żelazna kuchenka, na której stało kilka garnków i patelni. W pomieszczeniu unosiła się

przyjemna woń gotujących się potraw. Przy stole stały trzy krzesła, na jego masywnym drewnianym blacie trzy nakrycia. Strażnik wszedł do kuchni, ale stanął z boku.

– Ktoś jeszcze do nas dołączy? Pozwól, że zgadnę kto. Whitney Jones?

– Nie, Whitney jest zajęta. Może wpadnie jeden z kolegów.

Pia patrzyła w milczeniu, jak Berman krząta się przy garnkach. Jeszcze kilka dni temu w życiu nie usiadłaby z nim przy jednym stole. Teraz jednak dotarło do niej, że musi się trochę ugiąć, jeśli chce uratować życie. I że powinna darować sobie te sarkastyczne i obraźliwe uwagi, jakimi go bez przerwy częstowała. Pomyślała, że Berman chyba naprawdę się łądzi i wyobraża sobie Bóg wie co. Co za dziwaczna sytuacja. Pichcił sobie w najlepsze posiłek, jakby byli na randce.

– Pewnie masz już po uszy tej zupy – powiedział. – Więc na przystawkę przygotowałem sałatkę. – Z dumą pokazał kolorowy półmisek. – I świeże pieczywo.

– Mogłabym dostać długi, ostry rzeźnicki nóż do masła?

– Niestety, nie. Sam ci posmaruję chleb. No, daj spokój, Pia! Bardzo się staram. Próbuje nawiązać z tobą dialog w przyjemnej oprawie.

Pia zaczęła jeść. Posiłek był smaczny mimo groteskowych okoliczności.

– Lubię gotować – wyjaśnił Berman tonem towarzyskiej pogawędki.

– Nie wiem, czy już ci to mówiłem. Na drugie przygotowałem rybę: pstrąga w migdałach. Kilka razy już go robiłem w ramach odmiany od chińskiej kuchni, która zwykle jest tu serwowana, i jest całkiem dobry. Ciekaw jestem twojej opinii.

– Jak chcesz – powiedziała. Kręciło jej się w głowie i powoli zaczynała tracić cierpliwość. Cała ta komedia przestała ją bawić. Dialog, takiego wała, pomyślała, ale ugryzła się w język.

– Napijesz się wina? – spytał Berman.

– Czemu nie? – rzuciła, starając się ukryć sarkazm w głosie.

Berman poszedł do lodówki i wyciągnął schłodzoną butelkę Chablis.



Drzwi się otworzyły i wszedł nieznany jej Chińczyk, pewnie ktoś ważny, bo zauważyła, że na jego widok strażnik zeszytywniał i wyprostował się jak struna. Był mniej więcej w wieku Bermana, może trochę młodszy. Miał przyjemny, swobodny wyraz twarzy, a na sobie wyglądający na kosztowny, może jedwabny T-shirt i stylowe dżinsy. Całości dopełniało modne uczesanie.

– Witam. – Jimmy przywitał się z Pia jak gdyby nigdy nic, ale się nie przedstawił. Wcześniej zapowiedział Bermanowi, żeby nie używał żadnych nazwisk ani imion przy stole, jeśli się pojawi. Teraz ledwo skinął mu głową.

Berman zamknął lodówkę i zajął się otwieraniem wina. Pia odniosła wrażenie, że pojawienie się trzeciego gościa najwyraźniej go nie uszczęśliwiło. Pewnie chciał być z nią sam na sam, by móc prowadzić ten swój tak zwany dialog. Ona – przeciwnie, ucieszyła się z powodu obecności trzeciej osoby.

– Kim pan jest? – spytała.

Berman wyraźnie wkurzony wyrzucił korek i trzasnął drzwiami szafki. Podszedł do stołu i z hukiem postawił butelkę. Pia przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Gdyby Berman był przełożonym Chińczyka, kazałby mu wyjść, tak przynajmniej przypuszczała. Jedno było pewne: musiała rozegrać to bardzo ostrożnie.

– O, widzę, że będziecie zaraz jedli – powiedział mężczyzna. – Nie chcę przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pan – zapewniła. – Pan Berman bawi się w szczęśliwą rodzinę, a ja od tygodni nie rozmawiałam z nikim innym. Mamy dodatkowe nakrycie, więc proszę siadać. To kim pan jest, jeśli wybaczy mi pan wścibstwo.

– Oczywiście, że wybaczę. A pani mi wybaczy, że nie odpowiem. – Jimmy się uśmiechnął. Popatrzył na wściekłego Bermana. – Naturalnie, sytuacja jest dość niezwykła – ciągnął, nie spuszczać wzroku z Zachary'ego. – I musimy ją jakoś rozwiązać.

– Musimy, czyli kto konkretnie? Co za „my”? – spytała Pia. – I

tak à propos, ja też tu jestem. Skoro to o mnie rozmowa, mógłby mnie pan do niej włączyć. Powiedziałabym wtedy, że jestem tu przetrzymywana wbrew mojej woli i żądam, by mnie uwolniono. Zaczyna mnie nudzić ta cała nanotechnologia, więc chętnie wróciłabym do badań nad salmonellą w jakimś innym ośrodku. Co wy na to?

Jimmy był pod wrażeniem. W dziewczynie nie było ani krzty strachu, za to wyczuwał w niej ogromną nieustępliwość.

Pia popatrzyła na niego. Głowa znowu zaczęła ją boleć, ale starała się nie okazać słabości.

– Cóż, jednakowoż pan Berman i ja musimy rozwiązać tę sytuację.

– Rozwiązujemy ją – rzucił Berman do Jimmy'ego. – Ja ją rozwiązuję. Mamy mnóstwo czasu.

– Mnóstwo czasu na co?

– Na udowodnienie, że ty i ja możemy pracować razem, Pia. Twoja wiedza i talent naukowy będą dla Nano nieocenioną pomocą, gdy przejdziemy do kolejnego etapu badań. Wiem, że w głębi duszy jesteś tego świadoma. Może po prostu jeszcze nie przyznałaś tego sama przed sobą.

Uśmiechnął się do niej i obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. To, co Jimmy zobaczył w tamtej chwili, powiedziało mu wszystko. Była piękną kobietą, tu Berman się nie mylił, ale miała w sobie twardość i zapiekłość, czego najwyraźniej Amerykanin nie brał pod uwagę. Widział w niej tylko kobietę, a nie dostrzegał tygrysy.

– Cóż, jeszcze zobaczymy. Panie Berman, chciałem poinformować, że jutro jedziemy na stadion przyjrzeć się z bliska zmaganiom zawodników.

– My? – spytał Berman.

– Pan, panna Jones i ja. Obawiam się, że panna Grazdani będzie musiała niestety tutaj zostać. Ale my troje będziemy mieli fascynujący dzień, obiecuję. Popłyniemy łódką, to jedyny sposób podróżowania przy korkach, jakie się tu ostatnio robią. Mistrzostwa się zaczynają. Będzie świetna zabawa. Wyjeżdżamy o ósmej.

– Miałem wprowadzić inne plany na ten dzień, ale jeśli zależy panu

na moim towarzystwie...

– Owszem.

– Ja nie mam żadnych planów – wtrąciła się Pia, patrząc na Jimmy'ego. – Może pojedę z panem? Będzie ubaw.

Jimmy uśmiechnął się jeszcze szerzej do Pii. Naprawdę niezwykła kobieta, pomyślał, ale przez to jeszcze bardziej niebezpieczna.

– Życzę smacznego obiadu.

– Może jednak zje pan z nami – naciskała Pia. – Bardziej by mi wtedy smakował.

– Panno Grazdani. – Skinął jej tylko głową i opuścił kuchnię.

– To kto to jest, Berman? – spytała po chwili milczenia Pia. – Twój gość od kasy? Partner z chińskiego rządu? Facet, który podsyła ci przyszłe trupy z chińskich więzień? Jego angielski jest doskonały, tak à propos, może to Amerykanin chińskiego pochodzenia?

Berman nie odpowiedział. Pomieszczenie mogło być na podsłuchu, strażnik mógł znać angielski – prawdopodobnie obie ewentualności wchodziły w grę.

– Sprawdźę, co z pstrągiem – rzucił tylko.

Jimmy Yan udał się do swojego pokoju na drugim piętrze plebanii. W pełni potwierdził swoje podejrzenia co do Pii, a to znaczyło, że nazajutrz czekał go jeszcze pracowitszy dzień, niż planował. Musiał zatelefonować w kilka miejsc. Wybrał pierwszy numer.

– Halo, tak, to ja. Chodzi o plan, o którym rozmawialiśmy. Musimy przeprowadzić go jutro. Ale czas jest niezwykle ważny. Zadzwońę później i podam dokładne wytyczne.

## Rozdział 63

Stacja metra Oxford Circus, Londyn, Wielka Brytania

piątek, 2 sierpnia 2013, 7.45

Burim pokazał kolorowe ksero zdjęcia Pii jeszcze jednej dziewczynie, żyjącej na ulicy. Pokazywał je już tysiącom bezdomnych i dzieciaków na gigancie. Proponowano mu usługi podobnych lasek, dopytywano się, czy może wolałby młodszą, oferowano adresy ładniejszych i chętnych za dwadzieścia, pięćdziesiąt albo sto funtów. Ale nikt nie widział Pii. Burim wiedział, że to przeczesywanie ulic jest bez sensu, jednak musiał coś robić. Wszystko było lepsze od beczynnego siedzenia i pograżania się w narastającej rozpaczce, choć jedyną realną nadzieję wiązał z tym, że albańska mafia w Londynie coś ustali. Wyjął telefon, który dzień wcześniej pożyczył mu Harry, i zadzwonił do niego do domu w Tottenham. Nie, Harry jeszcze nic nie słyszał. I co w ogóle Burim sobie wyobraża, dzwoniąc o takiej nieludzkiej porze rano.

Rozłączył się. Zastanawiał się, czy może George miał więcej szczęścia, choć w to wątpił. Ściągnięcie tutaj tego studencika było idiotycznym posunięciem i nic nie wniosło poza tym, że Burim dał chwilowo upust swojej frustracji i złości na chłopaka za to, że wmanewrował go w takie bezsensowne szukanie wiatru w polu.

George dotarł do ojca Pii późnym rankiem w czwartek. Burim już wcześniej uznał, że pewnie lepiej będzie, żeby miejscowi Albańczycy nie wiedzieli, że sprowadził chłopaka, wręczył więc George'owi zwitek banknotów i polecił, żeby znalazł sobie pokój w innej części miasta niż on, kupił komórkę i miał ją włączoną. George wykonał, co mu kazano, a potem zgodnie z dalszymi instrukcjami Burima, zbrojny w kopie zdjęcia Pii, które od niego dostał, przeczesał dworce kolejowe i autobusowe oraz główne stacje metra i, tak jak Burim, poznawał oblicze Londynu skrajnie odmienne od tego, jakie widzi większość Amerykanów.

Jimmy Yan spał zaledwie dwie godziny, kiedy budzik poderwał go na nogi w piątkowy rano. Nie kusiło go jednak, by poleżeć jeszcze kilka minut, nie miał takiego zwyczaju, a tego dnia, jak mało kiedy, wszystko zależało od doskonałej koordynacji czasowej. Poprzedniej nocy siedział niemal do świtu, dopinając wszystko na ostatni guzik. Zanim się położył, odbył jeszcze długą rozmowę przez bezpieczne łącze z przełożonym w Pekinie, z którym omówił każdy szczegół planu, w tym część dotyczącą Pii.

Wiedział, że Zach Berman i Whitney Jones także wstali wcześniej, i poprosił, by po lekkim śniadaniu spotkali się z nim przed plebanią.

– Dzień dobry, Whitney, dawno się nie widzieliśmy – powiedział Berman, kiedy wyszedł przed dom.

– Byłam zajęta. – Kobieta posłała szefowi pełne irytacji spojrzenie. – Trudno jest prowadzić interesy w Kolorado, siedząc na angielskiej wsi.

Berman puścił przytyk mimo uszu. Oczekiwał od swojej asystentki sprawnej pracy i wykonywania obowiązków w każdych okolicznościach.

Po chwili z domu wyłonił się Jimmy. Pokazał im, żeby wsiedli z nim do drugiego z podstawionych samochodów.

– Pojedziemy trasą widokową do Windsoru – oznajmił. Jak zwykle był w pogodnym nastroju. Bardzo wcześnie w życiu nauczył się nie odsłaniać swoich kart. – Little Chalfont... Amersham... Beaconsfield.

Z entuzjazmem wziął na siebie rolę przewodnika wycieczki. Kiedy wyjeżdżając z miasteczka Amersham, mozolnie wspinali się na strome wzgórze, poinformował, że nazwano je Gore Hill<sup>6</sup> dla upamiętnienia bitwy z wikingami, po której krew spływała strumieniami ze wzniesienia do osady.

Berman i Whitney posłusznie podziwiali widoki i kiwali głowami, choć żadne nie było specjalnie zainteresowane.

– Tam – Jimmy wskazał na uliczkę jeszcze węższą od tej, którą jechali – w Chalfont St Giles stoi dom Johna Milтона. Ale to nam teraz nie po drodze. Może zajrzemy tam, gdy następnym razem będziemy w okolicy.

Pół godziny później siedzieli już w szybkiej łodzi i płynęli na wschód Tamizy. Whitney cieszyła się świeżym powietrzem, to była miła odmiana po wielu dniach pracy w obskurnym pokoju. Berman sprawiał wrażenie zdenerwowanego, Jimmy co kilka minut sprawdzał swojego smartfona. Nadchodzące regularnie SMS-y informowały go o rozwoju sytuacji i pozwalały trzymać rękę na pulsie. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Pia usłyszała w ciszy poranka trzask zamykanych drzwi dwóch lub trzech samochodów i chrzęst opon na żwirze, gdy auta odjeżdżały. Domyśliła się, że to pewnie Berman i Whitney razem z tym Chińczykiem, którego widziała poprzedniej nocy. Zastanawiała się, kim jest ten człowiek. Nauczyła się cenić spacer w ogrodzie, a nie sądziła, by jej na nie pozwolono podczas nieobecności Bermana. Ostatnie dni okazały się trochę znośniejsze: miała jedzenie, dostęp do łazienki. Nawet ten śmieszny obiad poprzedniego wieczoru powitała z radością, jako miłą odmianę od dręczącej ją nudy.

Właśnie gdy to pomyślała, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł chiński lekarz w towarzystwie strażnika. Podeszedł prosto do niej i chwycił ją za zdrowe ramię.

---

6 gore (ang.) – krew (przyp. tłum.).

– Ej, o co chodzi? Co to ma znaczyć? – warknęła, usiłując wyrwać rękę.

Lekarz unikał jej wzroku i wiedziała, że to zły znak.

– Co robicie?! – zawołała, gdy strażnik siłą położył ją na wznak na łóżku.

W następnej chwili poczuła ukłucie w ramię i pieczenie, a potem ogarnęła ją wirująca ciemność jakby w zwolnionym tempie zamykała się przesłona starego aparatu fotograficznego.

Odezwała się komórka i Burim odebrał połączenie po pierwszym dzwonku.

– Tak?

– Mówi Harry. Słyszeliśmy coś z pewnego źródła. Trafiła do przechowalni.

– Do przechowalni? Co to znaczy, na miłość boską? Gdzie niby jest?

– Nie wiemy gdzie. Słuchaj uważnie! Zapamiętaj nazwiska, które ci podam, idź do jakiejś biblioteki i sprawdź w sieci. Dowiesz się, co to jest przechowalnia.

Burim zapisał nazwiska.

– Masz wszystko, co od nas dostałeś?

Otrzymał od Harry'ego komórkę, przez którą teraz rozmawiał, i sig sauera z zapasowym magazynkiem. Trzymał go w małym plecaku, który miał przewieszony przez ramię.

– Tak, mam wszystko.

– Dobra. Bądź w pogotowiu. Możemy nie mieć żadnych nowych wieści przez kilka najbliższych godzin, ale musisz zareagować natychmiast, jak tylko się pojawią. Więc bądź gotowy.

Burim popatrzył na zegarek. Dochodziła czternasta. Znajdował się na dworcu kolejowym King's Cross i z miejsca ruszył do pobliskiej biblioteki St Pancras.

Zachary Berman ze zdziwieniem dowiedział się, że zmagania na stadionie olimpijskim mają się zacząć dopiero o dziewiętnastej. Po co w takim razie wyjechali tak wcześnie? Dlaczego musieli siedzieć w tym pomieszczeniu dla vipów, kręcąc się koło chińskich dygnitarzy? Whitney Jones natomiast najwyraźniej doskonale się bawiła, skonstatował, patrząc na swoją asystentkę.

Whitney rzeczywiście czuła się dobrze. Po raz pierwszy od przyjazdu do Anglii dwa tygodnie temu miała okazję się zrelaksować. Choć doskonale wiedziała, że przyszłość Nano waży się na tych mistrzostwach, nadal musiała dopilnować mnóstwa spraw: eksperymentów, które były w toku w Boulder, personelu, najbardziej przyziemnych aspektów funkcjonowania firmy, bo jej szef nie miał do takich bzdur głowy, którą zaprzętała Pia. Wszystko spadło na kompetentne barki Whitney.

Siedziała więc teraz w łoży chińskiej delegacji, sączyła szampana i gawędziła z Jimmym Yanem, który wydał jej się fascynujący. W porównaniu z Bermanem był jak ożywczy powiew. Nie mogła się powstrzymać, by nie ponarzekać trochę na szefa.

– Rzeczywiście, wydaje się zaabsorbowany tą kobietą – przyznał Jimmy. – I zgadzam się, że to mu nie służy. Ale jesteśmy ludźmi interesu, panno Jones. Dopóki pan Berman dostarcza nam to, co obiecał, jesteśmy zadowoleni. Wszyscy mamy swoje słabostki i dziwactwa. Chciałbym tylko, żeby nie ucierpiały na tym najważniejsze sprawy.

– Zapewniam, że wszystko jest gotowe. Dane i specyfikacje zostały przygotowane, strony w sieci czekają tylko, by je otworzyć.

– Jestem przekonany, że wszystko przebiegnie gładko i bez problemów. Jak sportowcy swój dystans dzisiaj wieczorem. Trzeba przyznać, że Londyn świetnie przygotował te mistrzostwa, podobnie jak wcześniej olimpiadę. Oczywiście, tutejsze igrzyska i otwarcie nie były tak spektakularne jak nasze w Pekinie...

– Wam w ogóle trudno dorównać. Ale zauważyłam, że pan nie pije.

– Jeszcze nie. Czekam, żeby wznieść toast za chińskie zwycięstwo. Najpierw czeka nas sto metrów kobiet. Sprint to nie jest nasza



najmocniejsza strona, nie jesteśmy Jamajczykami, więc chyba będę się musiał wstrzymać z oblewaniem do długich dystansów i konkurencji wytrzymałościowych.

Burim siedział przed monitorem komputera w bibliotece St Pancras. Bezdomy, którego odepchnął ze stanowiska, zagroził, że pójdzie „do kierownictwa”, i Albańczyk się śpieszył, na wypadek gdyby biedak naprawdę zdołał kogoś tu ściągnąć. Wpisał w wyszukiwarkę nazwiska, które podał mu Harry. To, co się wyświetliło, nie było przyjemną lekturą.

Obaj mężczyźni byli kluczowymi postaciami albańskiego gangu handlarzy żywym towarem, który specjalizował się w przemyśle dziewcząt z Europy Wschodniej do krajów Dalekiego i Bliskiego Wschodu oraz Afryki Północnej. Nie wzdragał się też przed porwaniem dziewcząt z ulic Londynu, Manchesteru, Edynburga czy stolic innych krajów europejskich. Ofiarami były zwykle nastolatki na gigancie albo młodziutkie emigrantki, które nie mogły znaleźć odpowiedniej pracy w Pradze, Budapeszcie czy Bratysławie, na ogół atrakcyjne wedle kryteriów obowiązujących w świecie mody: młode, szczupłe, ale tu i ówdzie apetycznie zaokrąglone i o ładnych rysach twarzy. Cena młodej dziewczyny o wyjątkowej urodzie potrafiła dochodzić na arabskim rynku do pół miliona funtów. Burim szybko doczytał artykuł do końca. „Przechowalnią” nazywano sieć kontaktów, którymi przekazywano dziewczęta, zwykle szprycowane dużymi dawkami narkotyków. Kiedy któraś tam trafiła, odnalezienie jej graniczyło z cudem: zapadała się jak kamień w wodę. Przechowalnia była jak czarna dziura.

Burim opuścił pospiesznie bibliotekę i wybrał numer Harry’ego, ale ten nie odebrał. Zadzwoił więc do George’a.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytał.

– Nie. Może tylko tego, że w Londynie jest niewiarygodna masa bezdomnych i dzieciaków na gigancie. Do głowy by mi to nie przyszło.

– Szukaj dalej, ale miej telefon pod ręką – polecił Burim i rozłączył się. Nie sądził, by George zniósł dobrze informację o przechowalni, ale chciał, żeby był w pogotowiu.

Nie próbował dzwonić ponownie do Harry’ego, żeby oszczędzić baterię. Przez resztę dnia włóczył się ulicami Londynu, bo nie był w stanie siedzieć i czekać z założonymi rękami. Żałował tylko, że skoro już musiało dojść do takiej sytuacji, nie doszło do niej w Nowym Jorku, gdzie miał prawdziwą władzę i koneksje, a nie na tej obcej ziemi.

Jimmy Yan zmusił Bermana, żeby zajął miejsce w łoży, by obejrzeć ostatnią konkurencję wieczoru, finał biegu na 10 000 metrów. Zachary nadal się zamartwiał i wypił więcej ginów z tonikiem, niż powinien. W biegu startowała Brytyjka i zgromadzeni na trybunach rodacy skandowali jej nazwisko, zagrzewając ją do walki.

– To będzie świetny bieg, czuję to – powiedział Jimmy.

Po pięciu okrążeniach czwórka zawodniczek – dwie Kenijki, Brytyjka i Amerykanka – wysforowały się na prowadzenie, oderwawszy się od reszty stawki. Tempo biegu narzucały Afrykanki, które zmieniały się na pierwszej pozycji. Whitney kibicowała głośno Amerykance. Jimmy zbeształ ją żartem.

– No co, Chinka i tak jest w ogonie – broniła się Whitney.

– Daj jej czas – powiedział Jimmy. – Wolno się rozgrzewa.

Berman widział, jak Chinka, Wei, poderwała się na cztery okrążenia przed końcem. Wyglądało to tak, jakby wrzuciła piąty bieg – przyspieszyła gładko i bez wysiłku. Zaczynając niemal od końca stawki, wyprzedzała kolejno zawodniczkę po zawodnicze, aż na dwa okrążenia przed metą zostały przed nią tylko Kenijki i Amerykanka. Widząc ten heroiczny pościg, tłumy kibiców zaczęły gorąco dopingować Chinę. Berman widział, że biegnie z niewiarygodną łatwością. Popatrzył na Jimmy’ego Yana. Chińscy oficjele dokoła niego darli się na całe gardło, zagrzewając rodaczkę, ale Jimmy obserwował wpadki na bieżni beznamietnie, jakby nie był zaskoczony. Zauważył, że

Berman mu się przygląda, uśmiechnął się i wskazał na bieżnię.

– Patrzcie, jak idzie! – wrzasnęła Whitney.

Na ostatnim okrążeniu Wei usiadła Kenijkom na ogonie i usiłowała wysforować się przed nie, ale ją blokowały, biegnąc ramię przy ramieniu. Niezrażona Chinka ostatni zakręt wzięła szerokim łukiem, tak szerokim, że wydawało się, iż odpadnie z rywalizacji, ale złapała jakimś cudem drugi wiatr i zrównała się z Afrykankami, a potem gładko wysforowała się przed nie, przekroczyła metę i wzniosła ręce nad głowę w geście zwycięstwa.

W łoży wybuchło istne szaleństwo. Mężczyźni klepali się po plecach, skakali ze szczęścia, pomieszczenie zatoneło w radosnym zgiełku.

Berman poczuł się nieswojo w tej wrzawie i wymknął się do toalety. Skorzystał z ubikacji i popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Wiedział, że za dużo wypił, ale jego mózg pracował na pełnych obrotach. Niepokoił go styl, w jakim Chinka wygrała wyścig. Jej zwycięstwo wyglądało na zainscenizowane, zaplanowane i zbyt nieprawdopodobne, zważywszy na wysoki poziom rywalizacji i uczestnictwo wybitnych biegaczek, w tym rekordzistki świata. Coś tu było nie tak. Berman umył ręce w zamyśleniu, potem wrócił do łoży.

– O co chodzi?

To był Jimmy, który stanął za Bermanem z ręką trochę za mocno zaciśniętą na jego ramieniu.

– Ty mi powiedz, Jimmy. Nie podoba mi się sposób, w jaki Wei wygrała bieg.

– Chodź ze mną, pogadamy o tym.

– A dlaczego nie możemy pogadać tutaj? – spytał Berman.

– Chodź ze mną – powiedział Jimmy. – Muszę nalegać.

## Rozdział 64

Stadion Olimpijski, Londyn, Wielka Brytania  
piątek, 2 sierpnia 2013, 22.00

Dwaj ochroniarze Jimmy'ego zaprowadzili Bermana do małej salki konferencyjnej naprzeciwko toalety. Ku jego zaskoczeniu w środku przy stole siedziała już Whitney Jones z innym ochroniarzem u boku. Na blacie przed nią stały dwa włączone komputery. Oprócz tego w pomieszczeniu siedziało jeszcze kilku Chińczyków w garniturach, każdy miał przed sobą laptopa.

Jimmy zamknął drzwi i pokazał Bermanowi, by zajął miejsce obok Whitney. Kiedy nie posłuchał, dwaj ochroniarze posadzili go siłą na krześle.

– Łapy przy sobie! – wrzasnął bełkotliwym, przepitym głosem.

– Spokojnie, Zachary, nie denerwuj się. Wiem, że winien ci jestem wyjaśnienie – powiedział Jimmy.

– Jak cholera. – Berman cały się w środku gotował. Już wcześniej był nie w sosie, ale fakt, że przed chwilą sponiewierała go ochrona Chińczyka, przepęłnił czarę. Jimmy był jego przyjacielem, robili razem interesy, a Berman nie znoślił, by go dotykano.

– Zachary. Zapewniam, że w naszych stosunkach nic się nie zmieniło.

– No patrz, a już się dałem nabrać. Co się tu dzieje? Głowę dałbym sobie uciąć, że ta Wei miała respirocycy we krwi, a ty mówisz, że nic się nie zmieniło? Jedyнным miejscem na świecie, gdzie są produkowane, jest Nano.

– Powiedziałem, że nic się nie zmieniło. No, może tylko nasz terminarz został nieznacznie zmodyfikowany.

– Co to ma niby znaczyć? I kim była ta kobieta? Przysięgłbym, że nigdy wcześniej jej nie widziałem.

– To nowe bożyszczce Chin i mistrzyni świata. Zasługuje na gratulacje. Ty zresztą też, Zachary. I pani, panno Jones.

– A co ja mam wspólnego z jej zwycięstwem? – spytał Berman.

– Wei otrzymała dawkę respirocycytów zgodną z najnowszym protokołem badań prowadzonych w tajnym centrum treningowym w Chinach.

– Że co?! – Berman zerwał się z krzesła, ale został natychmiast posadzony z powrotem przez goryli. – To oburzające! Nie tak się umawialiśmy. Mamy umowę! Ta metoda jeszcze nie została nawet dopracowana, a już ją ukradliście?!

– Nie nazwałbym tego kradzieżą. Pożyczyliśmy sobie awansem trochę respirocycytów w zamian za sumę, pozwól, że dodam, wielką sumę, którą zraz zapłacimy za tajemnice produkcyjne i możliwość wytwarzania nanorobotów w Chinach. Zebraliśmy się tutaj po to właśnie, by sfinalizować transakcję. Więc naprawdę żadna krzywda nikomu się nie stała.

Jimmy odwrócił się i powiedział coś do jednego z współpracowników przy stole.

– Co on mówi? – Berman spytał Whitney. – Wiedziałaś coś o tym?

– Nie! Oczywiście, że nie. Prosi o przygotowanie przelewu na rachunek.

– Nie mam kodu dostępu do witryn internetowych ze specyfikacją technologiczną – powiedział Berman. – Nie spodziewałem się, że będę go dziś potrzebował.

– Pozwoliłem sobie zabrać twoją maszynę ze sobą specjalnie na tę

okazję – powiedział Jimmy i podał Bermanowi jego laptop.

– Dlaczego to robisz? Czemu nie czekamy na bieg maratoński, tak jak było ustalone?

– Uznaliśmy, że to niepotrzebne. Moi przełożeni obwarowali umowę dodatkowymi warunkami, nalegając, bym cię o nich nie informował. Mieliśmy powtórzyć twój spodziewany sukces na mistrzostwach zwycięstwem zawodnika, którego sami wyszkolimy i przygotujemy. Ponieważ jednak maraton kończy zmagania, musieliśmy wykonać nasz ruch wcześniej.

– Jak weszliście w posiadanie respirocytów? Macie szpiegów w mojej firmie? I tak się dowiem i polecą głowy.

– Zachary, proszę, nie denerwuj się tak tym. Tracisz tylko czas i energię. Nic się nie zmieniło, nadal jesteśmy zainteresowani nanotechnologią i naszą współpracą, a pieniądze, które zaraz otrzymasz, są najlepszym dowodem naszego zaangażowania. Panno Jones, proszę łaskawie zerknąć na szczegóły na ekranie i powiedzieć, czy pani zdaniem wszystko się zgadza.

Jimmy przysunął dwa laptopy do Whitney, która przebiegła wzrokiem po danych. Suma, na jaką opiewał przelew, ogromna suma, była właściwa. Bank i numer konta też się zgadzały.

– Według mnie wszystko się zgadza – potwierdziła. – Kwota, bank, numer rachunku.

– Jak mogę ci zaufać? – rzucił Berman, patrząc na Jimmy'ego. Głos mu drżał.

– Sam musisz odpowiedzieć sobie na to pytanie, Zachary. Ja nie potrafię. Zrozum, że nie miałem wpływu na to, jak się to potoczyło. Musisz mi uwierzyć. A teraz proszę, gdybyś mógł mi podać kody dostępu do witryn.

– A potem co?

– Co masz na myśli?

– Co się stanie, gdy to zrobię?

– Pieniądze wpłyną na rachunek Nano. Tak jak ustaliliśmy. A my uzyskamy dostęp do specyfikacji technologicznych. Oficjalnie. Wtedy

będziemy mogli sami wdrożyć produkcję nanorobotów i współpracować z wami przy dalszych badaniach.

– I wrócimy na plebanie?

– Niestety, to nie będzie możliwe.

– Ale... Pia... – rzucił Berman, jękając się. I nagle dotarło do niego najgorsze.

Im więcej czasu upływało bez wieści od Harry'ego, tym bliższy kresu sił był Burim Graziani. Poszedł na Piccadilly Circus, stację, z której, jak mu się wydawało, najłatwiej dostać się do każdej części miasta. Uznał, że najlepiej będzie poruszać się metrem, na wypadek gdyby musiał się spieszyć: w piątkowy wieczór na ulicach panował ogromny ruch, centrum było dokumentnie zakorkowane. Dochodziła prawie dwudziesta trzecia, od wielu godzin nie miał żadnych nowych informacji. Jeśli było coś gorszego od śmierci, Burim czytał o tym tego popołudnia. Słyszał o handlarzach ludźmi zajmujących się stręczycielstwem i wiedział, jaki los czekał dziewczyny, które porywali. Cały się w środku gotował z furii. Przrzekł sobie, że ktoś za to wszystko odpowie i tym kimś będzie Zachary Berman.

– Ty draniu.

– Zachary, ratuję cię przed samym sobą. Byłeś do niczego przez te ostatnie dwa tygodnie. Panna Jones sama zajmowała się sprawami firmy, bo tobie w głowie była tylko ta Pia. Całe dni i noce o niczym innym nie myślałeś. Wczoraj wieczorem przekonałem się, że ona nigdy nie odda ci się dobrowolnie. Tak jak mówiliśmy, nie ma nic złego w słabostce, ale taka obsesja na punkcie jednej dziewczyny to już ułomność. Nie potrafisz trzeźwo myśleć. Jesteś jak postać z greckiej tragedii.

– Dopilnuję, żebyś...

– Niczego nie dopilnujesz. Możesz sobie krzyczeć i wściekać się do woli. Masz swoje pieniądze, my mamy dane technologiczne.

Przygotowaliśmy wasz odlot. Twój samolot zabierze cię za półtorej godziny ze Stansted do Boulder. Do czasu, gdy dotrzesz do domu, zrozumiesz, że wyświadczyliśmy ci przysługę.

– Ale gdzie jest Pia?

– Nawet gdybym wiedział, nie pisnąłbym ani słowa. Ale nie wiem. W trosce o naszą... opinię i pozycję... zleciliśmy osobie postronnej posprzątać twojego bałaganu. Nie mógłbym ci powiedzieć, gdzie jest Pia, nawet gdybym chciał. A teraz opuścisz to miasto. Dobrowolnie lub nie, mnie jest wszystko jedno. Wracaj do domu, Zachary! Wracaj do tego swojego zamku i znajdź sobie inną rozrywkę. Zasłużyłeś na odpoczynek.

– Wiem, że trochę mi odbiło – przyznał Berman. – Ale błagam, żebyś zastanowił się jeszcze raz, co robisz. Wiem, że Pia ulegnie do czasu maratonu. Taką mieliśmy umowę. Że poczekać. Sama mi powiedziała, że zaczyna zmieniać zdanie. Niech cię szlag, ty draniu.

Jimmy wzruszył ramionami i polecił swoim ludziom przypilnować, żeby Berman bez problemu wsiadł do samochodu na dole. Zamierzał pojechać za nimi na lotnisko Stansted.

Kiedy zadzwonił telefon, Burim ledwo usłyszał dzwonek w ulicznym zgiełku. Na środku placu siedziała chyba z setka dzieciaków z gitarami i wszyscy grali tę samą głupią melodię.

– Czy to Burim? – spytał głos, którego Burim nie poznał.

– Kto mówi? – Albańczyk wsadził sobie palec do drugiego ucha i ruszył szybko, żeby oddalić się w cichsze miejsce.

– Wiem, gdzie jest przetrzymywana twoja córka.

– Jeśli coś jej zrobisz, zabiję cię.

– To nie ja ją więzę, tylko dwaj goście.

Burim usiłował ustalić akcent rozmówcy. Na pewno nie albański, w ogóle nieeuropejski.

– Powiedz, gdzie ją trzymają.

– W Wimbledonie.



– Tam, gdzie są te korty? Podaj mi adres.

Mężczyzna podał Burimowi szczegóły, które ten zapamiętał. Potem spytał:

– Gdzie jesteś?

– W śródmieściu.

– Lepiej się pospiesz.

Burim rozłożył plan Londynu, w który zapobiegliwie wcześniej się zaopatrzył. Odszukał miejsce, potem zadzwonił do Harry'ego i opowiedział mu o tajemniczym cynku.

– Dziwne – stwierdził Harry. – Jak myślisz, kto to mógł dzwonić?

– Nie wiem i mam to gdzieś. Podjedźcie tam czy nie? Muszę się tam, kurwa, jakoś dostać. Gość ostrzegł, żebym się pospieszył.

– Okay, przyjedziemy, ale Wimbledon jest na drugim krańcu miasta. To może trochę potrwać.

– Przyjedźcie najszybciej, jak dacie radę. Mogę potrzebować wsparcia.

Rozłączył się. Ruszył pospiesznie w stronę wejścia do metra i idąc, zadzwonił do George'a.

– Gdzie jesteś?

– Hammersmith. Poznaje po głosie, że coś wiesz.

– Musimy się zaraz spotkać. To miejsce w Wimbledonie. Podam ci adres. Pia tam jest, mam nadzieję. Łap taryfę, jedź tam i zaczekaj na mnie, ale nie rób nic, zanim się nie zjawię. Nawet jeśli ją zobaczysz, nie wtrącaj się, tylko obserwuj. Kapujesz?

– Dobrze, dobrze. O mój Boże. Gdzie mam jechać?

Burim podyktował mu adres i jeszcze raz ostrzegł, by nie podejmował żadnych działań przed jego przyjazdem. Dodał, że to może być niebezpieczne, także dla Pii. Schodząc schodami do metra, kłął na czym świat stoi, wściekły, że w takiej sytuacji może będzie musiał polegać na takim głupim studenciku jak George.

Jimmy poczuł ukłucie współczucia dla Zachary'ego, ale zaraz przywołał się do porządku. Berman okazał się słabeuszem. Odniósł taki sukces w życiu, a mimo to nie potrafił nad sobą zapanować, gdy było to konieczne. Uzyskanie dostępu do tajemnic Nano okazało się pestką, jednak sytuacja mogłaby wyglądać zgoła odmiennie, gdyby Amerykanin był choć w części mężczyzną. Jimmy miał tak po uszy jego zawodzeń i skamlenia, że wołał razem z Whitney pojechać drugim autem.

– Powinieneś przyjść z tym najpierw do mnie – powiedziała Whitney. – Porozmawiałabym z nim. Wszystko mogłoby się inaczej potoczyć.

– Wiem, że byś z nim porozmawiała. Ale jestem pewien, że niewiele by to dało. Zupełnie stracił głowę dla tej kobiety. Ale mu przejdzie i przestanie mnie nienawidzić. Albo nie przestanie. Jest mi to obojętne. – Jimmy się uśmiechnął.

– Firma sobie poradzi – powiedziała Whitney.

– Wiem – zapewnił Jimmy. – Głównie dzięki tobie. – Popatrzył na zegarek. Na razie wszystko szło jak po maśle i zgodnie z planem. Dojeżdżali już do lotniska i teraz najważniejsze było, by Berman znalazł się w powietrzu, zanim ostatni akt się rozegra.

– Północ – powiedział. I rozparł się wygodniej w fotelu.

Przesiadka na South Kensington poszła szybko i bezproblemowo, ale teraz Burim stał w wagonie i się niecierpliwił. Czemu ten pociąg tak się wlecze? Dlaczego stacje muszą być tak blisko siebie? Znalazł pasażerkę, która wysiadła w Wimbledonie, dowiedział się od niej, że powinien być na przedzie pociągu, żeby jak najszybciej wyjść. Przepychał się z wagonu do wagonu przez rozochoczone i w większości pijane grupki podróżnych, którzy tylko raz rzuciwszy na niego okiem, schodzili mu z drogi, świadomi, że nie jest to człowiek, z którym należy zadzierać.

Burim wiedział, że Hammersmith jest bliżej Wimbledonu niż

Piccadilly i kazał Geroge'owi jechać taksówką, co znaczyło, że chłopak dotrze na miejsce szybciej. Miał tylko nadzieję, że się, u diabła, pohamuje i spokojnie na niego zaczeka.

Wreszcie pociąg dojechał na stację i Burim wypadł z wagonu. Od domu, gdzie trzymano Pię, dzieliły go niespełna dwa kilometry, a w zasięgu wzroku nie było żadnej taksówki. Rzucił się biegiem. Znał trasę z planu miasta i gdy dotarł na miejsce, zobaczył czekającego na ulicy George'a Wilsona. To było spokojne osiedle mieszkaniowe w zamożniejszej części miasta niż ta, w której sam się zatrzymał. Wszystkie domy były czteropiętrowe.

– Widziałeś coś? – wydyszał, z trudem łapiąc oddech, gdy dobiegł do George'a.

– Nic. Myślę, że chodzi o mieszkanie na górze w drugim domu od końca. To, gdzie palą się światła. Co zrobimy?

Burim nie odpowiedział, wyciągnął tylko pistolet, odbezpieczył i wsadził za pasek spodni. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na oświetlone mieszkanie i przebiegł przez ulicę do frontowych drzwi budynku.

George się zawahał. Widok broni wytrącił go z równowagi. Ale potem, nie zastanawiając się nawet, co robi, pobiegł za Burimem. Albańczyk stał już przy drzwiach i wyciągał z plecaka łom.

Wsadził metalowy pręt w ościeże, napał i drzwi łatwo ustąpiły. Wbiegł do środka i rzucił się po schodach na górę. George ruszył jego śladem. Na najwyższym piętrze podbiegł do drzwi mieszkania 4A. Ponownie wsadził łom między drzwi a ościeżnicę tuż nad zamkiem. Potem prawą ręką wyciągnął pistolet zza paska, a lewą napał całym ciężarem ciała na łom. Drzwi miały zasuwę i łańcuch, jednak Albańczyk był jak opętany: pod wpływem jego siły drzwi pękły i wyleciały z zawiasów.

Moment później Burim był już w mieszkaniu, trzymając oburącz broń przed sobą. W środku na sofie siedzieli dwaj mężczyźni, na blacie stołu przed nimi, obok ścieżek kokainy, leżały pistolety. Zareagowali, ale zbyt późno: Burim oddał dwa strzały w kierunku każdego z nich, celując w ich zaskoczone twarze: pierwszy od razu osunął się na ziemię,

drugi próbował sięgnąć po broń, Burim wypalił raz jeszcze, tym razem celniej.

George wparował do pokoju i z miejsca poczuł mdłości na widok śmiertelnie rannych mężczyzn. Leżeli w groteskowych pozach. Burim miał dobre oko i wprawna rękę: trafił obu w głowę – mózg i kawałki kości rozprysnęły się na ścianie za sofą. Telewizor był włączony i na ekranie gospodarz nocnego programu nadal wesoło gawędził jak gdyby nigdy nic z zaproszonym do studia gościem. Na stoliku obok pistoletów i kokainy leżała gruba paczka banknotów euro.

– Chryste – jęknął George.

Nadal trzymając broń przed sobą, Burim przeszukał mieszkanie. Najpierw zajrzał do kuchni: panował w niej bałagan, stosy brudnych naczyń wały się w zlewie i na blatach. Nie marnując czasu, rzucił się w głąb salonu. Znajdowało się tam dwoje zamkniętych drzwi, zapewne do sypialni. Otworzył pierwsze z nich z bronią gotową do strzału. W środku stało nieposłane podwójne łóżko, otwarta szafa i niewiele więcej. Mała łazienka była pusta.

Podszedł do drugiego pokoju, ignorując George'a, który stał jak sparaliżowany na progu salonu. Przyłożył pistolet z boku głowy, przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

Jimmy Yan ziewnął. To był ciężki dzień. Ale samolot Zacha Bermiana już stał gotowy do odlotu i Jimmy wiedział, że za kilka minut sam pojedzie do Manchesteru na inne lotnisko, do innego samolotu, którym odleci do domu i swojego nowego pięknego życia.

Podszedł do schodów prowadzących na pokład gulfstreama. Amerykanin stał obok na pasie; był zdruzgotany i lekko pijany. Jimmy skinął głową na znak, że już czas, i ochroniarze puścili Bermiana. Ruszył chwiejnym krokiem w stronę schodów. Jimmy wyciągnął rękę, na wypadek gdyby Amerykanin miał ochotę na pożegnalny uścisk dłoni, ale nie miał. Przystanął na chwilę, spiorunował Chińczyka wzrokiem i już nie oglądając się, wspiął się po schodach

Wszedł na pokład i zatonął w jednym ze skórzanych foteli. Zamknął oczy. Piloci sprawdzali kontrolki przed startem. Kilka chwil później, gdy drzwi odrzutowca zamknęły się z hukiem, Berman otworzył oczy i skinął głową stewardesie. Dopiero wtedy odwrócił się i zdziwiony rozejrzył po kabinie. Był jedynym pasażerem. Whitney Jones nie pojawiła się na pokładzie.

Pochylił się i wyjrzał przez duże owalne okno, wyciągając szyję, by mieć lepszy widok. Dostrzegł Jimmy'ego i tak, zgadza się, Whitney Jones, która stała obok. Opadł z powrotem na oparcie fotela. Mam pieniądze, pomyślał, więc czemu czuję się tak, jakbym stracił wszystko?

– Wszystko w porządku? – Jimmy zwrócił się do Whitney.

– Wszystko okay – zapewniła. – Nawet lepiej niż okay. Jestem pod wrażeniem twoich dokonań. Firma będzie się miała o niebo lepiej, gdy ty staniesz na jej czele.

– Z twoją pomocą, oczywiście – powiedział Jimmy. – Zapewnisz tak potrzebną ciągłość zarządzania.

– Dziękuję za uznanie. I rzeczywiście zasłużyłam sobie na nie. Musiałam się naharować, żeby utrzymać Nano na powierzchni przez te ostatnie kilka miesięcy. Ale to tobie należą się największe gratulacje.

– Cieszę się, że tak przychylnym okiem patrzysz na nasz mały zamach.

– Tak jak mówiłam, gdybyś przyszedł do mnie wcześniej, pomogłabym wam. Berman zaniedbywał sprawy Nano przez tę swoją głupią, niedojrzałą obsesję. W twoich rękach firma będzie znacznie bezpieczniejsza. To było cholernie sprytne posunięcie. I rozegrałeś je po mistrzowsku.

Kiedy Berman na stadionie popatrzył na stronę transakcji w komputerze, nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Siedzącej obok niego Whitney także. Tymczasem potwierdzenie przelewu było podrobione. Żadnego transferu nie wykonano. Berman myślał, że Jimmy ukradł mu trochę respirocytów, ale prawda przedstawiała się gorzej. Know how,

tajemnice produkcyjne i kilka patentów to była prawdziwa wartość firmy – poza obciążoną wysoką hipoteką siedzibą i zakładem produkcyjnym – i wszystko to znalazło się teraz w chińskich rękach. Za kilka dni oficjalny wykup zastawu miał postawić kropkę nad i, formalizując to, co już było *de facto* prawdą: Nano należało do Chin. Jimmy dawno poznał wszystkie sekrety badawcze firmy i w chwili obecnej chińscy badacze wyprzedzali o kilometr amerykańskich. Wracał do domu, żeby pokierować firmą z Whitney jako swoim nowym zastępcą. Na jakiś czas Chiny zagwarantowały sobie prymat w dziedzinie nanotechnologii medycznej.

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedział Jimmy. – Jestem szczęśliwy.

Był bardzo zadowolony z siebie. Przejęcie Nano zostało pomyślnie załatwione, a dziewczyna zniknęła. Kiedy dzięki działającym na terenie Wielkiej Brytanii chińskim triadom dowiedział się, że do Londynu przyjechał Graziani w poszukiwaniu córki, uznał, że może ten fakt wykorzystać. Burim był dobrze znany chińskiemu wywiadowi w Stanach jako nieźle się zapowiadający gangster, a tym samym potencjalnie użyteczny kontakt w Nowym Jorku. Chińczyk doszedł do wniosku, że posłużenie się jednym z albańskich gangów do pozbycia się Pii, a potem nasłanie Burima, by zlikwidował sprawców, będzie bardzo sprytnym sposobem załatwienia całej tej ponurej historii.

Gdzie, do cholery, podziewają się chłopaki? Burim zadzwonił do Harry'ego i powiedział mu, że na samą akcję się już nie załapią, wielkie dzięki za pomoc, ale teraz desperacko potrzebuje transportu. Prowadził tę rozmowę skulony w ciemnościach kilkaset metrów od domu w Wimbletonie, w którym teraz rojło się od policji. Wiedział, że muszą z George'em wydostać się stamtąd, i to szybko. Nagle komórka Burima się odezwała, dzwonił Harry, by ustalić, gdzie dokładnie ma podjechać.

– Gdzie, do cholery, jesteście? Ugrzęźliśmy tu i musimy się jakoś wydostać.

– Okay. Widzimy radiowozy z miejsca, gdzie stoimy. Bardzo wolno

przejedziemy z naprzeciwka. Dobra?

– Szukajcie dwa miejsca – powiedział Burim.

– Wiem. Masz dziewczynę.

Nastąpiła długa chwila ciszy, zanim Burim się odezwał.

– Nie. Nie mam. Mieszkanie było puste. Przyjechaliśmy za późno.

Jestem tylko ja i wspólnik.

## Epilog

Pokład odrzutowca Gulfstream G550, 1300 kilometrów od  
wybrzeży Irlandii  
sobota, 3 sierpnia 2013, 03.12

Pół godziny po starcie Zachary Berman, coraz bardziej pijany, myślał o tym, co się stało. Pia zniknęła, ale co, do cholery, wyprawia Whitney? Zadurzyła się w tym chińskim ropuchu? Taka zdrada po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Był niepocieszony, mimo że zdobył w końcu swój upragniony kapitał, a jego respirocyty przeszły test ogniowy. Chiny mają swój złoty medal, wyliczał w myślach, pewnie będą miały i drugi, bo maratończyk też zwycięży, a on ma wreszcie całość pieniędzy na swoje badania, ale było to zwycięstwo pyrrusowe. Zapłacił za nie ogromną osobistą cenę. Sama utrata twarzy była trudna do zniesienia. Pocieszał się tylko, że kiedyś jeszcze się zemści.

A Pia? Co z Pią? Okazała się wyzwaniem ponad jego siły. Była takim upartym rarogiem i nie można jej było ufać. Nigdy by mu nie uległa, tylko intrygowała i knuła, żeby go zniszczyć. Ten łajdak Jimmy mówił mu to wszystko, ostrzegał, ale przecież drań jej nie znał. Berman dałby sobie rękę uciąć, że już się zaczynała łamać, powoli dojrzewała. Gdyby tylko miał ten obiecany czas, skaptowałby ją jak nic i stałaby się równie oddaną współpracownicą jak Whitney czy Mariel, mógłby



przysiąc. Kiedy pomyślał o Whitney, zaśmiał się ponuro.

– No i patrzcie, jak to się skończyło! – rzucił na głos. Ale nie było nikogo, kto by mu odpowiedział.

Pierwszy sygnał, że z lotem gulfstreama coś jest nie tak, pojawił się, gdy drugi pilot nie zgłosił się do kontroli lotów zgodnie z planem o czwartej rano. Wieża kontrolna w Irlandii, która prowadziła nadzór nad rejsem, nie mogła wywołać załogi, a gdy kontrola ruchu lotniczego w Nowej Fundlandii zameldowała, że także nie udaje jej się nawiązać kontaktu z gulfstreamem, ogłoszono alarm. Ale siła eksplozji, która rozerwała samolot, była tak wielka, że żadnych dających się zidentyfikować szczątków samolotu Zachary’ego Bermana nie znaleziono nigdy w zimnych, głębokich wodach północnego Atlantyku.